

Przez świat

Tom XXI

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



**WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
RZESZÓW 2017**

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Maciej Brożyna, Tomasz Cukiernik, Sławomir Drozd, Ewa Flak, Łukasz Godek, Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź, Wioletta Ilkiewicz, Wojciech Ilkiewicz, Jarosław Kociel, Anna Kolmas, Radomir Kolmas, Rafał Kołodziej, Dorota Konopska, Anna Lega, Grzegorz Lega, Katarzyna Pado, Anita Pogorzelska, Rafał Robak, Beata Rujner, Adam Stępiński, Jacek Strejch, Katarzyna Szeremeta, Tomasz Szymkiewicz, Maciej Śliż, Grażyna Wiland, Piotr Wiland

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. inż. Marian Kowalewski, prof. AWF w Warszawie

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Kocząż

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-471-0 (tom XXI)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2017

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2017

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 17,5, ark. druk. 15,0, zlec. red. 114/2017

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane

są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malezja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod znamienym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.



**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXIV OSOTT 2017,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 10–12 listopada 2017.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:
**www.travelbit.pl/osott
www.ur.edu.pl**

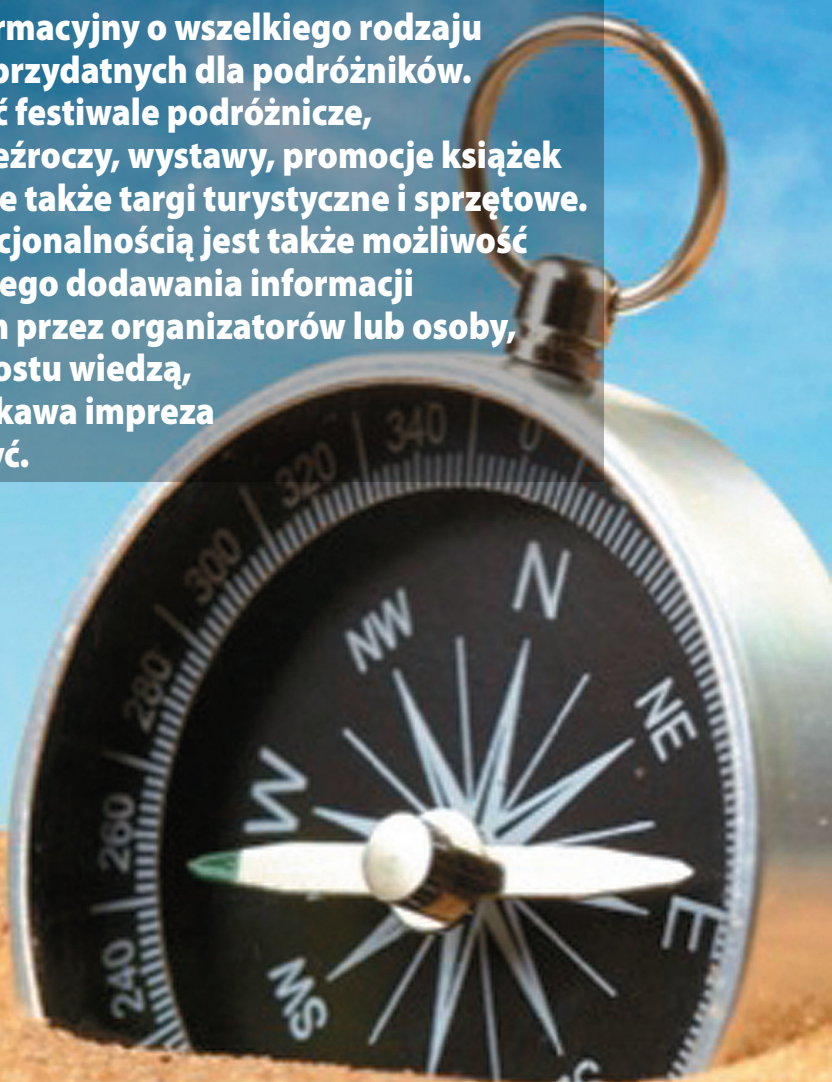


Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.





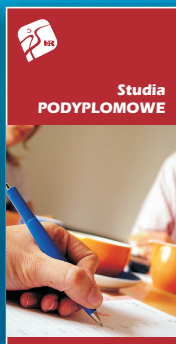
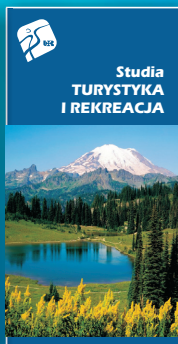
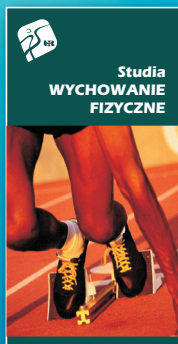


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

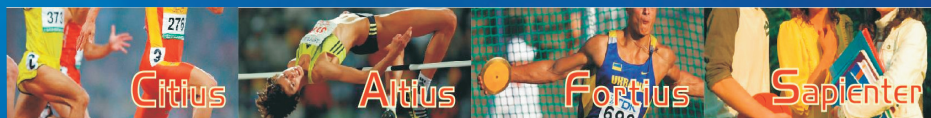
35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 1861

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



**Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!**

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyższej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XXII książki „Przez świat”

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2016–2017. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2018. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięźłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznanne fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.

Adam Stępiński

Drogą Aragońską do...



Przedstawiam propozycję na krótką pielgrzymkę w stronę Santiago de Compostela, a może w siebie..., zachęcam do przejścia Camino i refleksji, wyciszenia, zwolnienia tempa. Polecam samotną wyprawę, bez żadnych obaw. Buen Camino.

Termin: 31 maja – 8 czerwca 2016

Trasa: Warszawa – Bruksela – Saragossa – przełęcz Sampoort – Canfranc – Jaca – Santa Cilia – Arres – Artieda – Ruesta – Undes de Lerda – Sangusta – Saragossa – Bruksela – Warszawa.

Transport: Ryanair z Modlina do Brukseli (Charleroi) – Rayner do Saragossy – autobus do Jaca i Sampoort, powrót: autobus z Sangusta – Pampeluna – Saragossa – Rayner Bruksela – Modlin – Warszawa

Droga. Zacznę od informacji praktycznej. Do Modlina najtaniej dojechać z przystanku autobusowego z Placu Bankowego w stronę Bielana. Jest to przystanek komunikacji miejskiej, ale zatrzymują się autobusy Transludu, Polbusa w stronę Modlina i Zakroczymia itd. Koszt 9 PLN, z ostatniego przystanku w twierdzy Modlin odjeżdżają minibusy na lotnisko, skomunikowane z autobusem z Warszawy, przejazd w cenie pierwszego biletu. Autobusów odjeżdżających sprzed PKIN nie polecam, bardzo drogie ok. 35 PLN. Odlot samolotu o 9.20, warto mieć wcześniej wydrukowaną kartę pokładową, a więc od razu do odprawy bagażowej.

Druga informacja praktyczna: z terminalu Charleroi do centrum Brukseli obecnie kursują tylko autobusy po 17 EUR, bez żadnych zniżek. Lepiej odszukać żółto-pomarańczowy autobus, iść w lewo od wyjścia, dojedziemy do dworca kolejowego 5 EUR i potem pociągami do Brukseli, dla emerytów od 9.00 do 21.00 bilet 6 EUR, można kupić od razu np. do Gent, czyli Gandawy itd. Niestety mam pecha, strajk kolejarzy, muszę bulić 17 EUR. W Urban Hostel przyjmują do dormitorium tylko ludzi do 40 lat, pokoje prywatne od 40 EUR. Idę do schroniska młodzieżowego Breughel, nocleg w sali czteroosobowej ze śniadaniem ok. 22 EUR. Znakomite położenie!

Trzecia praktyczna informacja: Paszport Pielgrzyma (Credencial del Peregrino) – niezbędny! – wydrukowałem z Internetu www.santiago.defi.pl, a moja przyjaciółka Al-donka zgrabnie mi go skleiła i złożyła w harmonijkę. Mogłem więc od razu udać się na szlak. Jestem oczarowany scenerią, ośnieżone szczyty Pirenejów, na górskich łąkach kwitną wiosenne i letnie kwiaty. Pierwszego dnia wyznaczam sobie do przejścia tylko ok. 8 kilometrów, po drodze odpoczywam w ruinach szpitala św. Krystyny, jednego z najstarszych obiektów noclegowych dla pielgrzymów, z ok. X wieku. Polecam nocleg w schronisku młodzieżowym, które jest również albergue dla pielgrzymów (10 EUR).

1 czerwca. Wstaję o 4.00, pieszo do dworca Brusel Midi, ok. 15 minut i znów 17 EUR za autobus, odjeżdża co pół godziny. Odlot o 7.10, mam już kartę pokładową. Przylot do Saragossy, autobus miejski 1,85 EUR, do centrum ok. pół godziny jazdy, wysiadam na dworcu autobusowym i kolejowym. Ok 16.00 odjeżdża pociąg do Canfranc Estacion, jedna z piękniejszych tras kolejowych, przejazd ok. 4 godzin. Jadę jednak autobusem do Jaca i ok. 16.00 jestem na przełęczy Sampoort.

2 czerwca. Poprzedniego dnia było bardzo gorąco, ale w nocy śpię pod pięcioma kocami. Wita mnie słońce, rzucają na kolana panoramy ośnieżonych gór i ukwieconych łąk. Odpoczywam w Castilo de Jaca, pierwsze, kamienne miasteczko na wzgórzu, w którym zatrzymał się czas. Siedzę w cieniu romańskiego kościółka, niestety zamkniętego. W Jacie zwiedzam katedrę romańską i obowiązkowo muzeum katedralne, najważniejsze romańskie freski w krypcie. Nowoczesne albergue obok barokowego, starego szpitala, czyli schroniska dla pielgrzymów (10 EUR). Uczestniczę w nabożeństwie (19.30) w kościele św. Jakuba, pod koniec mszy ksiądz błogosławi pątników do Santiago de Compostela. W mieście jest dużo zabytków, m.in. fort, ale muszę wypocząć przed następnym dniem wędrówki. Od 22.00 obowiązuje absolutna cisza, ale zmęczeni pielgrzymi zasypiają wcześniej, by wyjść ok. 6.00 rano.

3 czerwca. Wychodzę ok. 7.00, drugi raz zmierzam Camino, wiem, że nie dojdę do Santiago, więc nie spieszę się tak bardzo, przekonałem się, że szlak aragoński przemierza niewielu pielgrzymów i nie ma problemów z otrzymaniem łóżka w albergue. Droga do Santa Cilia jest mało interesująca, cały czas wzdłuż ruchliwej szosy, jeżeli się ma niewiele czasu, warto ją przejechać autobusem. Założyłem sobie dojście do Arres, więc nie wstępuję do Puente la Reina, by oglądać kamienny gotycki most. Szlak pnie się pod górę, ze ścieżki fantastyczny widok na ośnieżone, postrzępione Pireneje. Nagle wyłania się zza zakrętu ścieżki albergue; prowadzą je bardzo sympatyczni gospodarze, spożywamy wspólną wieczerzę, popijamy wino. Wracam na ścieżkę, aby popatrzeć na zachód słońca, szczyty stają się pomarańczowe, a potem prawie fioletowe i nikną, nadciągają chmury. Rano podają grzanki z chleba, dżemy i kawę. Za te dobra proszą o donatiwo, czyli co łaska.

4 czerwca. Schodzę bardzo prędko z uroczego Arres, kamiennego miasteczka, tak małego, że nie ma nawet sklepu spożywczego. Camino prowadzi przez pola uprawne, w perspektywie nad dojrzewającym zbożem widać ośnieżone góry. Nareszcie można się wyciszyć z daleka od ruchliwych szos. Ze szlaku widzę miasteczko Martes; nie wstępuję, ponieważ mam w planie przejście przez podobne kamienne, romańskie miasteczko Minos; dochodzę do Artiedy. Albergue stoi otworem, czekam jednak na

prowadzącą schronisko (10 EUR), jest wyjątkowo czyste i wygodne, nocuję sam. Z balkonu pewnie już ostatnia panorama gór.

5 czerwca. Camino prawie od razu zagłębia się w las, idę wąską ścieżką i dochodzę do sztucznego, ale rozległego jeziora, o pięknej barwie. Podziwiam również bardzo stare góry, które jakby zapadły się w ziemię, złagodniały, straciły wysokość i ostrość skał, są jak usypane kopce cementu, bo ten przypomina ich kolor. Na leśnej polanie natrafiam na ruiny średniowiecznej pustelni. Idę ciągle przez las, aż nareszcie widzę wieżę zamku w Reuscie. Dochodzę do bramy przez kamienny most, a zamek potężnieje w twierdzę. W jej ruinach dwa schroniska (12 EUR), gdzie wypijam tylko kawę i ruszam dalej, trafiam na źródła i pozostałości romańskich kaplic. Zmęczony upałem wspinam się do miasteczka Undues de Lerda. Dlaczego one wszystkie znajdują się na wysokich wzgórzach? Odpoczywam, biorę kąpiel i ruszam na spacer po miasteczku; znów kościół zamknięty. Sklepu też brak, ale pani opiekująca się schroniskiem prowadzi bar, więc kupuję u niej pieczywo. Albergue mieści się w zabytkowym zamku biskupów, którego część jest doskonale zaadaptowana na schronisko. Nocuje ze mną małżeństwo z Francji; korzystamy z pralki i suszarki, więc jutro ruszymy w czystych ubraniach.

6 czerwca. Mam świadomość, że to ostatni dzień mojej wędrówki; wprawdzie planowałem dojść do szlaku francuskiego, ale wiem, że to niemożliwe. Za pierwszym razem, w roku 2004, doszedłem w miesiąc do Santiago de Compostela, dziennie przechodziłem ok. 30 kilometrów, a w tym roku wlokę się przez cały dzień i tylko 20 kilometrów, no cóż, byłem o te kilkanaście kilogramów młodszy. Wspominam tamtą pielgrzymkę i nie pilnuję drogi, bo pobłądziłem i nadkładałem trochę kilometrów do Sanguesy. Mam ambicje jeszcze trochę przejść, ale następne schronisko jest za 26 kilometrów! To wyjątek, z reguły odległości są rzędu 5 kilometrów. Decyduję się na wycieczkę do Sos del Rey Catolico (12 kilometrów), to najpiękniejsze miasteczko w okolicy, oczywiście na wzgórzu, otoczone murami z basztami, a katedra rewelacyjna z romańskimi portalami, kryptą i freskami (1 EUR wstęp). Z miasteczka kursuje bezpośredni autobus do Saragossy, ale tylko w dni nieparzyste. Wracam więc do Sanguesy – to miasto również zachwyca. Albergue tylko jedno przy dawnym klasztorze, obecnie szkoła muzyczna, piękny gotycki wirydarz, nocleg (5 EUR).

7 czerwca. Szkoda, że muszę wracać, autobus do Pampeluny o 8.00, a potem do Saragossy. Jestem ok. 16.00, trafiam do schroniska, które jest w sąsiedztwie placu, przy którym są sanktuarium maryjne i katedra (16 EUR, ze śniadaniem). Kilka godzin, które poświęciłem na zwiedzanie miasta, to stanowczo za mało! Są trzy muzea z dziełami Francisca de Goi, dla emerytów wstęp gratis.

8 czerwca. Wyspałem się, bo samolot do Brukseli o 9.30, dobra komunikacja miejska na lotnisko, blisko przystanek od schroniska. Podróż przebiegła bez zakłóceń i o 22.00 byłem w domu. Bardzo bym chciał jeszcze raz ruszyć Camino, jest tyle wariantów szlaku, a ceny przelotów bardzo atrakcyjne (ok. 200 PLN).

Maciej Brożyna, Łukasz Godek, Maciej Śliż, Sławomir Drozd,
Rafał Kołodziej, Katarzyna Szeremeta, Katarzyna Pado

Kołobusem dookoła Islandii



Termin podróży: 10–24 września 2017

Trasa: Reykjavik – Vik – Hófn – Klaustur – Akureyri – Hvammstangi – Reykjavik (ponad 1300 km)

Uczestnicy: 7 osób

Przelot: Warszawa – Keflavik – Warszawa (Wizz Air)

Przewodnik: *Islandia*, wyd. National Geographic

Waluta: islandzka korona (ISK), 100 ISK = 3.42 PLN

Język: angielski jest powszechny

Wyżywienie: najlepiej przygotowywać posiłki samemu z zakupionych produktów w supermarketach. Wychodzi najtaniej.

Alkohol można kupić tylko w specjalnych sklepach (*Vínbúðin*) o wyznaczonej godzinie. Na stacjach benzynowych jest tylko piwo bezalkoholowe, które po sprawdzeniu przez nas miało około 3% – dziwne!

Noclegi: nocowaliśmy u naszych przyjaciół z Polski, którzy mieszkają tam na stałe. Jeśli ktoś ma namiot, to może śmiało rozbijać się na dziko. Nikt wam nie zwróci uwagi, bo panuje tam wielka gościnność. Można również skorzystać z powszechnych кемпінгów.

Pogoda: bardzo zmienna, o czym świadczy islandzkie powiedzenie: „Jeśli nie podoba ci się pogoda, to zaczekaj pięć minut”.

Transport: najtaniej i najwygodniej poruszać się samochodem (terenowym). Jest bardzo dużo wypożyczalni. Sieć autobusowa jest bardzo dobrze rozwinięta, ale bardzo droga. Przejazd z lotniska na dworzec w RKV – 2200 ISK, z RKV do Klaustur ok. 6000–8000 ISK.

Kiedy zwiedzać: sezon jest bardzo krótki i trwa praktycznie 2 miesiące, tj. lipiec i sierpień (jest wtedy oczywiście najtłoczniej i najdrożej). Można również się skusić na po-

czątek września, ale jest wtedy chłodniej niż w lecie. Nie należy jednak bać się chłodu na Islandii, bo ciepły Prąd Zatokowy powoduje, że szczególnie na południowych obszarach temperatury są znośne, a śnieg nawet zimą pada sporadycznie. Zorze polarne zaczynają się na przełomie września i października.

Poniżej lista cen produktów:

W sklepie: mleko 1 l – 150 ISK, ser w plasterkach 490 g – 460 ISK, szynka 120 g – 370 ISK, chleb – 440 ISK, masło – 320 ISK, jaja 10 szt. – 470 ISK, czekolada – 310 ISK, zupka chińska – 90 ISK, kawa rozpuszczalna 100 g – 630 ISK; **w barze:** hamburger + frytki – 1200–1500 ISK, pizza – 1500–2500 ISK, obiad – 1500–4500 ISK, piwo – 850–1000 ISK; **w specjalnym sklepie Vinbudin:** piwo 0,5 – od 250 ISK, wódka 1 l – 7200 ISK, whiskey 0,5 – 4000 ISK, wina w sklepie od 1600 ISK, a w barach ok. 800–1000 ISK za 200 ml; **stacja benzynowa:** diesel – ok. 250 ISK, benzyna – ok. 248 ISK, kawa – 200 ISK, hot dog – 850 ISK

Ceny w hotelach: za 2 os. pokój ze śniadaniem od 25 000 ISK, hostel – od 6500 ISK/os.

Whale watching: ok. 7600 ISK/os., przewodnik na Hvannadalshnukur – ok. 30 000 ISK/os.

RELACJA Z PODRÓŻY

Kolejny raz potwierdziło się przysłowie: „Jeśli raz odwiedzisz Islandię, to już zawsze będziesz tu chciał wrócić”. W pełni się z tym zgadzamy, a dowodem na to jest kolejna wizyta na tej endemicznej, tajemniczej wyspie. Uczestnicy wyprawy dwa lata temu realizowali projekt Wydziału Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego „Rzeszów na Koronie Europy”, którego celem jest zdobycie 46 najwyższych szczytów Europy, w tym najwyższego szczytu Islandii – Hvannadalshnukur (2119 m n.p.m.). Ten najwyższy szczyt Islandii położony jest w Parku Narodowym Skaftafell (południowo-wschodnia Islandia) na skraju lodowca Vatnajökull. Pogoda w okolicach parku narodowego jest bardzo kapryśna. Bliskość największego lodowca Europy powoduje, że okolice parku pokryte są przez większą część dnia gęstymi chmurami, z których często pada. W parku Skaftafell nocować można tylko na kempingu. W niewielkiej odległości od parku zbudowano hotel, ale ceny są „moskiewskie”. Hvannadalshnukur wznosi się nad powierzchnię lodowca i otoczony jest zewsząd przez pokrywę lodową, lodowca Oraefajökull (najbardziej na południe wysunięte pasmo lodowca Vatnajökull). Po raz pierwszy został zdobyty przez Norwega Hansa Frisaka w 1813 roku. Sama bezwzględna wysokość Hvannadalshnukura może nie robi wrażenia, ale trzeba wziąć pod uwagę fakt, że na najwyższy szczyt Islandii startuje się z poziomu morza, więc trzeba pokonać ponad 2 kilometry przewyższenia podczas jednego dnia. Szczyt nie ma zastraszającej wysokości, ale z powodu tworzących się szczelin i ciągłej zmiany pogody jest dosyć niebezpieczny. Mimo naszych chęci i determinacji, będąc już na lodowcu, który jest trzecim, co do wielkości lodowcem na świecie, ma się wrażenie, że człowiek jest całkowicie zależny od natury.

Podróżowaliśmy po Islandii wynajętym terenowym bussem; bez niego niektóre odcinki byłyby nie do przebycia. Przejechaliśmy około 3 tys. km, widzieliśmy prawdziwą Islandię, od krajobrazów rodem z księżycy – czarne plaże, popioły i rzeźby stworzone

po wybuchach wulkanów, po zielone okolice pozbawione drzew i otoczone kilometrowymi terenami porośniętymi mchem. Mieszkaliśmy u naszych przyjaciół w jednej z większych miejscowości w Islandii, bo liczącej 119 mieszkańców, o nazwie Kirkjubæjarklaustur (nie jest więc dziwne, wszyscy się tam znają).

Nocowaliśmy także na campingach, pod gołym niebem w hostelach i w mieszkaniach pracowniczych, które załatwili nam nasi znajomi z Islandii.

Po drodze zwiedzaliśmy mniej i bardziej znane miejsca, jak choćby Systrafoss – wodospad, na szczycie którego znajduje się jezioro Systravatn. Zobaczyliśmy około 15 wodospadów, z podobno 30 tys., które są tam tak codziennym widokiem, jak w Polsce korki na drogach. Ma się wrażenie, że prawie z każdego miejsca w Islandii widać jakiś wodospad. Szczególnie duże wrażenie robią: Dettifoss – największy w Europie pod względem ilości przepływającej wody (ponad 100 ton/s), Gullfoss – przez większość turystów uznawany za najpiękniejszy, Glymur – najwyższy na Islandii (ok. 200 m), na szczyt którego prowadzi piękna trasa widokowa.

Warte polecenia były: Dvergahamrar – kraina krasnoludów, czarna plaża w Vik (pustynia z czarnego bazaltowego piasku uformowanego przez powódzie i erupcje wulkanu), wodospad Seljalandsfoss, za który można wejść i podziwiać go z każdej strony, wodospad Svartifoss w największym parku narodowym w Islandii „Skafatfell”, wyglądający jak kościół gotycki.

Większość atrakcji, które zostały stworzone przez naturę, jest na Islandii bezpłatnymi miejscami do dyspozycji turystów. W Polsce prawdopodobnie zostałyby zabudowane i dostępne za niezłą opłatą. Wśród takich cudów przyrody był Geysir. To właśnie tutaj narodziła się nazwa gejzer, którą określamy gorące źródła geotermalne na całym świecie; pod wpływem zgromadzonego ciśnienia wyrzucają one setki litrów wody na wysokość nawet kilkudziesięciu metrów. Obecnie Geysir wyrzuca wodę regularnie co około 10 minut na wysokość do 30 metrów. Po drodze można wstąpić na olbrzymi krater Kerið, opłata, jaka nas czekała, to bilet wstępu 250 ISK. Niedaleko miejscowości Selfoss znajduje się muzeum Skógar, w którym bez opłat można zaglądać do starych domów i gospodarstw Islandczyków sprzed 100 lat. Jedyne opłaty dotyczą zamkniętego budynku, w którym znajdują się wybrane muzealne eksponaty.

Wielkie wrażenie zrobiły na nas Dyrhólæy, czyli miejsce, na szczycie którego rozpościera się widok na skały w kształcie łuków triumfalnych wyłaniających się z morza, a wokół nich czarne plaże powulkaniczne, pełne kamieni, które w Europie wykorzystuje się do masażu ciała. Na skałach setki tysięcy ptaków lundi, będących symbolem Islandii – dla nas były to po prostu „sraluchy”.

Kolejnym miejscem, które warto zobaczyć, jest Landmannalaugar, czyli różnokolorowe skały. Można poczuć się jak w bajce. Dookoła głowy widać było góry, mieniące się kolorami tęczy, a wszystko to stworzyła natura. To region w pobliżu wulkanu Hekla w południowej części Islandii. Teren ten jest popularnym miejscem i węzłem turystycznym w Islandii. Na tym obszarze spotykamy szereg niezwykle ciekawych geologicznych elementów, jak wielobarwne Rhyolite i rozległe pola lawy. Wiele gór w okolicy ma szerokie spektrum barw w różowym, brązowym, zielonym, żółtym, niebieskim, fioletowym, czarnym i białym kolorze. Jest tu duży i skomercjalizowany kemping. Żeby

skorzystać z toalet oraz kąpać się w gorącej rzeczce, nie trzeba płacić. Samochód trzeba pozostawić na parkingu przed wjazdem do parku.

Są tu również wytyczone szlaki po kolorowych górach. Miejsce to jest o tyle atrakcyjne, że turyści je odwiedzający (a było ich setki), po długim trekkingu mogli wykąpać się w darmowych i gorących źródłach. Większość źródeł w Islandii jest badana przez „ichniejszy” sanepid, by czasami nie miały wysokiego stężenia siarki. Te jednak nie były badane, o czym informuje nas tabliczka ostrzegawcza. Po upewnieniu się, że ludzie wychodzący z wody, mieli skórę i wszystkie kończyny, również zażywaliśmy kąpieli.

Odświeżeni, pełni sił postanowiliśmy ruszać dalej, ponieważ dwa lata temu byliśmy już w tym miejscu i zdobyliśmy wulkan o nazwie Laki. Lakagígur (Krater Laki) – wulkan szczelinowy w południowej Islandii, na południowy zachód od lodowca Vatnajökull, niedaleko miasteczka Kirkjubæjarklaustur. Najwyższy ze szczytów osiąga wysokość 818 m n.p.m. Kratery tworzą pasmo górskie, ciągnące się na długości ponad 25 km. Należy do systemu wulkanicznego Katla, do którego należy też system szczelin Eldgjá, znany z dużej erupcji w roku 934. Można do jego podnóża dojechać tylko samochodem terenowym. Ku naszemu zdziwieniu znajduje się tam informacja turystyczna, a w niej kobieta, której praca polega na zachęcaniu turystów do wspinaczki. Jest to o tyle dziwne, że w odległości 60 km wokół nie ma niczego oprócz chałtek górskich, postawionych na pustyniach, stworzonych z zaschniętej lawy, w otoczeniu gór i licznych jaskiń. Każdego dnia, gdy pokonywaliśmy kolejne trasy, w oddali ukazywał się nasz lodowiec, z najwyższym szczytem. Postanowiliśmy jeszcze raz zobaczyć go z bliska i trochę pomarzyć. Wybraliśmy się nad jezioro lodowe Jökulsárlón. Jest to cud natury! W pełnym słońcu podziwialiśmy bloki lodowe, odszczepione pod wpływem temperatury od lodowca i wypływające z jeziora wprost do Oceanu Atlantyckiego. Podziw potęgował fakt, że płynące bryły wielkością dorównywały wieżowcom mieszkalnym.

Wyczerpani przeżyciami, jak przystało na prawdziwych turystów, postanowiliśmy zjeść coś typowego dla Islandczyków. Oprócz pysznej baraniny, która dobrze zrobiona rzeczywiście nie „śmierdzi capem”, nasi przyjaciele zamówili dla nas kilka z narodowych potraw. Wśród nich „zgniętego rekina islandzkiego”, którego już raz próbowaliśmy i po tym doświadczeniu przyrzekałem, że już nigdy nie wezmę tego do ust. Niestety ze względów grzecznościowych ponownie to zrobiłem. Było ciężko...! Jednak by zostać prawdziwym Islandczykiem, należy jeść to, co oni. Postanowiliśmy więc zaryzykować!!!

Rekin, oprócz smrodu, nie posiada żadnych innych walorów smakowych. Chyba że ktoś lubi czysty amoniak. Jedno wiemy na pewno, na Islandię wrócimy, ale rekina już nie zjemy. W sumie zjedliśmy go dwa razy w życiu – pierwszy i ostatni! Kolejnym naszym kulinarnym doznaniem było mięso z wieloryba, które, choć pachnie jak atrament, jest bardzo dobrym i pożywnym mięsem. Szczególnie przekonał się o tym jeden z nas, który postanowił zjeść cały, duży kawałek, po którym utwierdził się w tym, że to mięso jest bardzo pożywne, słuckie i zaspokaja na bardzo długo, bo dzień później odbijało się koledze piórem sulkowym i kałamarnem. Polecamy natomiast ryby i owoce morza, które są wyjątkowo pyszne.

Jeśli chodzi o alkohol, to zarówno dostęp, jak i ceny są ciężkie, podobnie jak w krajach skandynawskich. Godny polecenia jest „Brennivín” – wódka kminkowa, która ratuje życie, choćby po zjedzeniu zgniłego rekina, zabijając jego smak. Jeżeli ma ktoś kłopoty z katarą bądź ma zatkaany nos, polecamy islandzką tabakę. Jest to tytoń wymieszany z suszonymi dodatkami – krótko mówiąc: „przekichane”.

Zdarza się, że jadąc drogą, poczujesz z tzw. „pola” nieprzyjemny zapach. To, co my poczulśmy, to nie było coś nieprzyjemnego, to było coś, czego nie da się wytrzymać.

Dla wyjaśnienia mimo naszego olbrzymiego głodu i faktu, iż ktoś wyjął kanapki z plecaka, zapach, który unosił się w powietrzu, sprawiał, że zjedzenie kanapek graniczyło z cudem i było bliskie uczuciu jedzenia w okolicznościach przebywania wewnątrz oczyszczalni ścieków lub – co gorsza – uczucie bezpośredniego kontaktu z czymś, co śmierdzi zgniłymi jajami.

Namafíall Hverir – geotermalny teren. Była to jedna z kolejnych atrakcji, od których nie mogliśmy oderwać wzroku. Dymiąca powierzchnia ziemi pełna intensywnego zapachu siarki. Temperatura pod powierzchnią ziemi może nawet przekraczać 200°C. Woda i gazy, które są ogrzewane pod ziemią za pomocą komory magmy, wydostają się na zewnątrz w postaci gorących źródeł, bulgoczących bagienek czy fumaroli. A wszystko odbywa się w towarzystwie specyficznego zapachu zgniłych jaj. Dla niektórych zapach może być drażniący, ale warto się przemęczyć dla takich krajobrazów.

Wszystko na około bucha, wrze. Na szczęście to nie Australia i nie wszystko chciało nas zabić. Warto wspiąć się na pobliskie wzgórze, aby z góry zobaczyć parujące tereny. Po raz pierwszy widzieliśmy takie zjawisko, tak że nie mogliśmy się oderwać od widoków.

Miejsce przygotowane jest dla turystów – wybudowano kładki, pomosty, toteż w bezpieczny sposób możemy podziwiać to niezwykle zjawisko. Możecie się domyślać, że miejsce jest znane, więc nie ma szansy na kameralną atmosferę.

Dojeżdżając do fiordów na północy Islandii, czuliśmy chłód Morza Norweskiego i piękno przyrody, która w tych rejonach jest nie do opisan.

Mijając kolejne wioski na północy, widać, jak cenny i rzadki jest widok człowieka, choć i w takich warunkach można spotkać Polaka, który najczęściej zajmuje się pracą przy hodowli owiec lub połowami na kutrach.

Wiedzieliśmy przed przyjazdem że pogoda na Islandii jest nieprzewidywalna, ale nieustający deszcz padający ciągle, z naciskiem na słowo „ciągle”, trochę nas przerósł.

Deszcz padał bez przerwy mniej lub bardziej, ale ciągle przez okrągły tydzień. Bardzo nas to irytowało, jednak nie pozwoliło ani na chwilę przerwać podróży i podziwiania tej tajemniczej wyspy. Przepraszam – był taki moment, kiedy grad i śnieg z deszczem powodowały ograniczenie widoczności do zera, co zdeterminowało nas do zatrzymania się i pozwoliło na podjęcie decyzji o spędzeniu czasu na podziwianiu widoku samych siebie w towarzystwie „Kapitana Morgana” ukrytego w zgrabnej butelce.

Gdy dojechalśmy do stolicy północnej Islandii – Akureyri, poczulśmy się jak w typowym portowym miasteczku, w którym nie było nic szczególnego. Jednak przeżyliśmy tam jedną z piękniejszych przygód naszego życia, a mianowicie: bliski kontakt z cudem stworzenia i natury, potęgą mórz i oceanów, czyli z wielorybem. Wyływa-

jąc w rejs, mieliśmy okazję obcować z kilkoma wielorybami zamieszkującymi tamtejsze wody. Widok wieloryba w filmie przyrodniczym jest niczym w porównaniu z osobistym kontaktem, który uświadamia nas, jak mali jesteśmy na tym świecie i jaką potęgą jest natura.

Po tylu przeżyciach i atrakcjach myśleliśmy, że już niewiele rzeczy nas zdziwi. A jednak! Przejeżdżając przez północne fiordy islandzkie prawie w ogóle niezaludnione, spotykamy na drodze samochód terenowy leżący w fosie wraz z unieruchomionymi w nim ze strachu Chińczykami, zgodnie ze swoim wrodzonym spokojem wykonującymi polecenia wezwanych służb ratowniczych, które powiedziały przez telefon: „proszę zostać na miejscu, nie ruszać się i czekać na pomoc”. Nikt inny jak tylko naród chiński mógłby wziąć sobie te słowa tak dokładnie do serca.

Pośród wszystkich atrakcji i zjawisk, które można spotkać i zobaczyć na Islandii, jest coś, co mimo naszej wiedzy na temat powstawania tego zjawiska, budzi zachwyt i powoduje, że człowiek przenosi się w inny wymiar i nie jest w stanie ukryć swoich emocji. Mowa oczywiście o zorzy polarnej, na którą czekaliśmy długo, ponieważ przez pierwszy tydzień padało i dopiero po zakończeniu naszej „pory deszczowej” zrobiło się chłodno, a niebo czyste, co sprzyjało zjawisku zorzy. Widok buchających i mieniających się kolorów wywarł na nas największe wrażenie, kiedy mieliśmy okazję oglądać spektakl na północy Islandii nad widnokretem Morza Norweskiego. Jest to coś nie do opisaniania!!! Czas nas gonił i musieliśmy wracać w kierunku Reykjavíku.

Jeśli ktoś chce poczuć się jak na ekskluzywnych wakacjach, polecamy wizytę w Blue Lagoon kilkadziesiąt kilometrów od Reykjavíku. Jest to znany ośrodek z naturalnymi wodami termalnymi, w którym można zażywać wszelkich terapii, odnawiających nasze ciało. Do takich zabiegów zaliczają się maseczki błotne z masy wulkanicznej. Nie brakuje również barów pływających na wodzie, których jedynym minusem są ceny. Koszt całonocnego pobytu w Blue Lagoon – podstawowy bilet – 6500 ISK. Gorące źródła geotermalne Błękitna Laguna to jedno z najpopularniejszych miejsc na Islandii. Znajdują się na południe od drogi z lotniska w Keflavíku do Reykjavíku. Od stolicy dzieli ją 40 km. Każdego roku odwiedza ją ponad 120 tys. turystów w celach rekreacyjnych, wypoczynkowych oraz zdrowotnych. Uzdrowisko to znajduje się w miejscu licznych ciepłych źródeł i jest zasilane nadmiarem wody z pobliskiej elektrowni geotermalnej. Nasza podróż dobiegała końca. Pełni podziwu, wrażeń oraz z lekkim niedosytem, jedno wiemy: na 100% musimy tu wrócić.

Jest kilka miejsc na świecie, do których ciągle się wraca. Jednym z nich zapewne jest Islandia. Mimo że ktoś kiedyś chciał zniechęcić ludzi do jej zasiedlania, nazywając ją lodową wyspą, a zdecydowanie mniej gościnną wyspę – Grenlandię – nazwał zieloną wyspą, dziś wiemy, że mu się to nie udało i prosimy was, nie dajcie się zwieść.

Beata Gwóźdź
Rafał Gwóźdź

Ziemia Święta 2017



Termin: 8–22 lutego 2017

Trasa: Katowice – Jerozolima – Betlejem – Jerycho – Ramallah – Akka – Madaba – Wadi Musa (Petra) – Wadi Rum – Ejlat – Jerozolima – Tel Aviv – Katowice.

Przeloty: Katowice – Tel Aviv – Katowice Wizzair 612 zł/os. z bagażem rejestrowanym. Uwaga: Ceny noclegów poniżej podane dotyczą zawsze pokoju 2-osobowego.

Waluta: Izrael i Palestyna szekel (NIS), wymienialiśmy najczęściej po kursie 100 EUR = ok. 390 NIS. Jordania: dinar jordański (JOD), 100 EUR = 73 JOD

Różnica czasu między Polską i Izraelem – 1 godzina (Polska 7.00, Izrael 8.00)

RELACJA Z PODRÓŻY

8 lutego, lot z Katowic do Tel Avivu i przejazd do Jerozolimy. Lot mieliśmy o godz. 14.50 z lotniska w Pyrzowicach, czyli tylko ok. 10 min jazdy samochodem od naszego miejsca zamieszkania. Już przy kontroli bezpieczeństwa poznaliśmy Polaka mieszkającego na stałe w Izraelu, który zaoferował nam nocleg, jeśli będziemy w Akce. Mimo że dotarliśmy do tej miejscowości, to z powodu napiętego planu nie skorzystaliśmy z gościny. W Tel Avivie wylądowaliśmy punktualnie o 19.30. Kontrola paszportowa i odbiór bagaży poszły sprawnie, wiza nawet bez naszej prośby nie była wklejana do paszportu, lecz na osobnej karteczce, którą koniecznie trzeba zachować aż do wyjazdu z Izraela. Do zarezerwowanego już wcześniej przez sieć hostelu w Jerozolimie dojechaliśmy shuttle busem za 61 NIS/os.

Nocleg: Abraham Hostel (<https://abrahamhostels.com/>) 810 NIS za pokój z łazienką i skromnym śniadaniem na 3 noce.

9 lutego, Jerozolima. Chcieliśmy wstać już o 6.00, aby z samego rana udać się do Bazyliki Grobu Pańskiego (wstęp bezpłatny), lecz zważywszy nasze zmęczenie po locie i późne położenie się spać – niestety nam się to nie udało. Udało nam się dopiero ok. 8.30 po śniadaniu (zimne jajko na twardo, pieczywo, pomarańcza, jakieś sałatki, kawa). Bazylika Grobu Pańskiego to najważniejsza świątynia chrześcijańska położo-

na w dzielnicy Jerozolimy, skupiającej wyznawców tej religii. Znajdują się w niej miejsca ukrzyżowania oraz grobu Jezusa. W związku z dość wczesną porą kolejka do Grobu Bożego nie była duża, tłumy zbierają się już ok. godziny 10.00.

Na lunch zjedliśmy bułkę z szormą (30 NIS) + puszka coca-coli (10 NIS). Niestety, jak dla Polaka ceny w Izraelu są bardzo wysokie, ale coś jeść trzeba. Następnie udaliśmy się pod Ścianę Płaczu (wstęp bezpłatny), która z kolei jest jednym z najbardziej czczonych miejsc przez Żydów. Osobne wejścia są dla mężczyzn, którzy mają ok. 3/4 ściany do swojej dyspozycji, kobiety ściskają się na reszcie ściany. Mężczyźni obowiązkowo muszą nałożyć jarmułkę na głowę, ta na szczęście jest wypożyczana bezpłatnie.

Kolejnym odwiedzionym miejscem było Wzgórze Świątynne (wstęp bezpłatny) oraz znajdująca się tam Kopuła na Skale i meczet Al-Aksa. Są to z kolei najświętsze miejsca dla muzułmanów i wyznawcom innych religii wstęp do środka świątyń jest zabroniony. W jeden dzień zobaczyliśmy najświętsze miejsca chrześcijan, Żydów i muzułmanów, a wszystko to w bardzo bliskiej odległości od siebie.

Na zakończenie dnia przeszliśmy drogą Via Dolorosa, którą Chrystus przebył swoją Drogę Krzyżową. Niektóre stacje trudno zauważyć, a sama droga w większej części przebiega między straganami lokalnych kupców. Zjedliśmy jeszcze falafela – typowego przedstawiciela kuchni żydowskiej. Te kuleczki z ciecierzycy smażone na głębokim oleju i podawane w picie wraz z dodatkami kosztowały tylko 6 NIS.

Inne ceny:

- zeszyt ozdobny z Jerozolimy 18 NIS
- magnes na lodówkę 5 NIS
- pocztówka 2 NIS
- woda (755 ml) 7 NIS
- coca-cola (1,5 l) 10 NIS

10 lutego, Palestyna: Jerycho, Ramallah, Betlejem. Po śniadaniu, ok. godz. 7.40 pojechaliśmy na wycieczkę do Palestyny, organizowaną przez Abraham Tours (wszystkie organizowane przez nich wycieczki można kupić na miejscu w hostelu). Uwzględniając 10% zniżki dla mieszkańców hostelu, za wycieczkę zapłaciliśmy 675 NIS/os. Ze wspaniałym przewodnikiem, który nieustannie częstował nas lokalnymi przysmakami, odwiedziliśmy kolejno:

- Qasr el-Yehud – miejsce chrztu Jezusa nad Jordanem, w sumie nic ciekawego – troszkę zaniedbane miejsce nad rzeką z postawioną jakąś wiatą.
- Jerycho – najstarsze, ciągle zamieszkane miasto świata. Archeolodzy odkryli tutaj resztki ponad 20 osiedli datowanych na więcej niż 9000 lat przed naszą erą. Ponadto zobaczyliśmy Górę Kuszenia, gdzie Jezus odbył 40-dniowy post i był kuszony przez diabła.
- Sykomorę Zacheusza – drzewo, na które zgodnie z opisem w Biblii wspiął się celnik Zacheusz, aby lepiej widzieć Jezusa.
- Źródło proroka Eliasza – uważane za miejsce cudu, gdy słona woda została przez Eliasza zamieniona w słodką, zdatną do picia.

- Ramallah – stolica Palestyny, gdzie zobaczyliśmy grób Arafata i zjedliśmy pyszny obiad (zawarty w cenie wycieczki), zapłaciliśmy dodatkowo 15 NIS za piwo palestyńskie Tybah 0,33 l.
- Betlejem – bazylika Narodzenia Pańskiego, która ze względu na brak konsensu między trzema religiami zarządzającymi tym miejscem (chrześcijaństwo, Ormianie oraz grekokatolicy) jest dość zaniedbana.

Po kolejnym poczęstunku, składającym się z palestyńskiego deseru oraz kawy podjechaliśmy jeszcze z bliska obejrzeć mur odgradzający Izrael oraz Palestynę. Do hostelu wróciliśmy ok. 17.00, a że był to szabat, to całe życie zamarło, chodzą tylko wystojeni Żydzi.

Inne ceny:

- palestyński chlebek 1 NIS
- magnes z Betlejem 4 NIS

11 lutego, Jerozolima. Po śniadaniu w hostelu zostawiliśmy plecaki w przechowalni i wyruszyliśmy w kierunku Góry Oliwnej, gdzie udaliśmy się z tzw. dworca arabskiego przy bramie damasceńskiej (bilet na samą górę – 2,4 NIS). Zaczęliśmy od zwiedzenia ewangelickiego kościoła Wniebowstąpienia (wstęp – 4,7 NIS), gdzie dodatkowo można wejść 200 schodami na szczyt wieży, skąd można oglądać panoramę Jerozolimy. Następnie udaliśmy się na miejsce, z którego według podań Jezus wstąpił do nieba. Co ciekawe, obecnie znajduje się tam skromny meczet z kamieniem (wstęp 5 NIS), gdzie rzekomo widać odbicie stopy Chrystusa. Kolejnym zwiedzanym obiektem był kościół Pater Noster (wstęp 10 NIS), w którym na ścianach widnieje modlitwa *Ojcze Nasz* w ponad 200 językach świata – oczywiście wśród nich znajdziemy również język polski. Nieopodal znajduje się jeden z najlepszych punktów widokowych na Jerozolimę, z charakterystyczną Złotą Kopułą na skale.

Schodząc w dół z Góry Oliwnej, wstąpiliśmy jeszcze do grobowców trzech żydowskich proroków. Jakiś samowolny strażnik skasował nas za wstęp po 5 NIS, a później w przewodniku wyczytaliśmy, że akurat to miejsce powinno być darmowe. W naszej opinii nawet za tę parę groszy raczej nie warto zwiedzać tego miejsca. Już u stóp góry odwiedziliśmy prezentującą się okazale z zewnątrz cerkiew prawosławną pw. Marii Magdaleny oraz kościół z Grobem Maryi. Ważnym miejscem dla katolików jest też ogród i kościół Getsemani, gdzie według Biblii Jezus modlił się z uczniami przed swoim pojmaniem.

Po krótkiej przerwie na Starym Mieście, gdzie zjedliśmy falafela (2 szt. + coca 25 NIS), poszliśmy jeszcze zwiedzić Wieczernik, czyli miejsce ostatniej wieczerzy Chrystusa oraz kościół zaśnięcia Maryi wraz z kryptą, w której można również zobaczyć ołtarzyk poświęcony MB Częstochowskiej.

O godz. 18.45 (pierwszy autobus w szabat) udaliśmy się do Haify (bilet 37,5 NIS), gdzie prawie natychmiast po przyjeździe (20.30) przesiedliśmy się na autobus do Akki – naszego miejsca docelowego w tym dniu (bilet 11,5 NIS). Po krótkim spacerze ok. 21.20 dotarliśmy do hostelu.

Inne ceny:

- piwo Pilsener (puszka 0,5 l) 12 NIS

- kebab w bułce 25 NIS
- coca-cola (puszka) 6 NIS

Nocleg: Akko Gate Hostel (<http://akkogate.com/>) 250 NIS za pokój dwuosobowy z łazienką.

12 lutego, Akka. Z samego rana poszliśmy zwiedzać Akkę – urokliwe starożytne miasteczko, otoczone murami, od 2001 roku wpisane na listę UNESCO. Kupiliśmy tzw. „combo ticket” (40 NIS/os.), obejmujący twierdzę krzyżowców, tunel templariuszy, muzeum sztuki współczesnej Ohosi oraz skarbiec Treasury In the Wall. Najciekawsze z tej listy były 2 pierwsze obiekty, dwa pozostałe można sobie podarować. Aby się nie zgubić w płataninie wąskich uliczek, warto zakupić razem z biletem mapę Akki (3 NIS).

Jako że spieszyliśmy się, aby przed nocą dotrzeć do Madaby w Jordanii, to już ok. 12 poszliśmy na dworzec kolejowy, skąd pociągiem pojechaliśmy do Haify, a następnie do Beit Shean, a więc ostatniej miejscowości przy granicy izraelsko-jordańskiej (bilet 23 NIS/os.). Niestety, nie przewidzieliśmy, że stacja tam będzie znajdowała się w szczerym polu, więc autobusem musieliśmy podjechać do centrum miasta (2,5 NIS), a stamtąd było jeszcze ok. 7 km, więc z naszymi bagażami nie za bardzo chciało nam się iść. Nasze próby złapania stopa spełzły na niczym, więc ostatecznie musieliśmy wziąć horrendalnie drogą taksówkę (50 NIS). Dla oszczędnych bodajże 3 razy dziennie jeździ do granicy autobus publiczny, niestety, w czasie gdy my tam byliśmy, akurat go nie było.

Przekraczanie granicy to temat na inną opowieść. Trzeba uiścić opłatę wyjazdową z Izraela (100 NIS/os. + 5 NIS za grupę), następnie trzeba czekać aż zbierze się grupka ludzi, aby oficjalny autobus (5 NIS) zawiózł nas ok. 200–400 metrów na stronę jordańską. Po stronie jordańskiej formalności graniczne poszły sprawnie, ale aby dostać się do Madaby (bądź Ammanu), trzeba wziąć taksówkę (50 JOD). 120 kilometrów, dzielące nas od Madaby, ze względu na złą pogodę przejechaliśmy w 2 godziny i 40 minut.

Inne ceny:

- śniadanie (falafel z dodatkami +2 pity) 20 NIS
- woda (0,75 l) na dworcu kolejowym 9,0 NIS
- coca-cola (0,5 l) na dworcu kolejowym 9,5 NIS

Nocleg: hotel Grand Madaba (<http://www.grandhotelmadaba.com/>) 117,32 NIS za pokój z łazienką i śniadaniem za 2 noce. My mieliśmy za darmo, ponieważ wygraliśmy pobyt w konkursie.

13 lutego, Madaba. Rano zjedliśmy skromne śniadanie jak na hotel 4-gwiazdkowy. Następnie poszliśmy do kościoła grekokatolickiego pod wezwaniem św. Jerzego (wstęp darmowy), w którym na posadzce znajduje się słynna mozaika przedstawiająca najstarszą mapę mozaikową Ziemi Świętej. Szczerze powiedziawszy, sama mozaika już jest bardzo zniszczona. Później złapaliśmy taxi, która za z góry ustalone 30 JOD zawiózła nas po kolei w 3 różne zaplanowane przez nas miejsca:

- Górę Nebo (2 JOD) – góra, z której Mojżesz miał zobaczyć Ziemię Obiecaną. Na szczycie jest sanktuarium Mojżesza, którym opiekują się franciszkanie. Miejsce zyskało na popularności od czasu wizyty Jana Pawła II w 2000 r.

- Bethany Beyond the Jordan (wstęp 12 JOD – my w ramach Jordan Pass – <https://www.jordanpass.jo/>) – miejsce chrztu Jezusa nad rzeką Jordan. Dokładnie to samo miejsce, w którym byliśmy po stronie izraelskiej kilka dni wcześniej.
- Morze Martwe – chociaż w planie mieliśmy kąpiel w tym morzu, ale aura była nie-sprzyjająca, a wstęp na plażę to 12 lub 20 JOD (w zależności od plaży).

Do Madaby wróciliśmy ok. 14.00, w pokoju kawa i poszliśmy na pizzę (8 JOD). Przy okazji w jednym z nielicznych sklepów monopolowych kupiliśmy po jordańskim piwie Petra 10% i 8% (3 + 3,5 JOD). Zaklepaliliśmy sobie na następny dzień przejazd drogą królewską (King's Highway) do Petry taksówką za 60 JOD. Wyjazd organizowany przez Black Iris Hotel (<http://blackirishotel.com/tours-and-trips/>) – ogólnie cena 20 JOD/os., ale przy przynajmniej 3 osobach – jako że my nie znaleźliśmy o tej porze roku innego chętnego, musieliśmy zapłacić całość kwoty za 3 osoby.

Inne ceny:

- woda 1 JOD
- chipsy Lays 1,65 JOD
- coca-cola (puszka 0,33 l) 0,5 JOD

14 lutego, przejazd do Petry drogą królewską (King's Highway). Po hotelowym śniadaniu, zgodnie z umową o 9.00 podjechała po nas umówiona wcześniej taksówka. Trasa drogą królewską ma około 270 km, a jej przejechanie z 3 przystankami zajęło nam 6 godzin. Pierwszym przystankiem, po około godzinie jazdy, był punkt widokowy na kanion Wadi Al-Mudżib. Jest on nazywany jordańskim kanionem Colorado. Drugim przystankiem, gdzie spędziliśmy ponad godzinę, był zamek Krzyżowców – Karak (wstęp 2 JOD – my w ramach Jordan Pass). Zamek w zasadzie mieliśmy tylko dla siebie, mogliśmy dosłownie wejść w każdy zakamarek i dziurę. Trzecim i ostatnim przystankiem, dosłownie na 2 minuty, bo wiało niesamowicie, był rezerwat Dana – nazywany najcenniejszym przyrodniczo obszarem na Bliskim Wschodzie.

Hotel mamy 200 metrów od wejścia do Petry, co ułatwi nam zwiedzanie od samego rana następnego dnia. Skorzystaliśmy z oferty hotelu i zjedliśmy kolację 4-danio (zupa, sałatki, główne danie oraz deser) za 10 JOD w hotelowej restauracji.

Inne ceny:

- kawa 1 JOD
- toaleta 0,7 JOD
- pepsi (2,5 l) 1 JOD
- paczka ciastek 2 JOD
- mały kebab z kurczaka 2 JOD
- zawieszka do kluczy 0,5 JOD

Nocleg: hotel 3-gwiazdkowy La Maison (<http://www.lamaisonhotel.com.jo/>) 90 JOD pokój z łazienką i śniadaniem za 3 noce.

15 lutego, Wadi Musa (Petra). Pobudka już o 5.20, żeby – jak to mamy w zwyczaju – iść do Petry zaraz po otwarciu bram (6.00), by uniknąć tłumów zwiedzających. Postanowiliśmy przeznaczyć na to skalne miasto dwa dni (bilet normalnie 55 JOD, my w ramach Jordan Pass). Zaraz po przekroczeniu wejściowych bramek (ok. 1 km) zaczyna się wąwóz Al-Siq o długości 1,2 km. Na końcu wąwozu ukazuje się jeden

z piękniejszych „budynków” Petry – Skarbiec, powstały w I–II w. najśłynniejszy zabytek Petry.

Następnie doszliśmy do centrum starożytnej Petry, w którym znajdują się budynki mieszkalne, teatr oraz duża świątynia. Później ciekawie wijącym się szlakiem w górę po ponad 800 schodach wyłobionych w skale doszliśmy do Klasztoru – drugiego najciekawszego budynku w Petrze. Drogę umilały nam uliczne handlarki, częstujące słodką arabską herbatą oraz chętnie pozujące do zdjęć. Jako że do Klasztoru dotarliśmy jako pierwsi z turystów, mogliśmy w spokoju kontemplować widok, popijając kawę z kardamonem (1,5 JOD) w restauracji naprzeciwko Klasztoru. W drodze powrotnej zaczęło delikatnie padać, więc, jako że też swoje mieliśmy w nogach, udaliśmy się na zasłużony obiad (pizza 10,5 JOD + coca-cola 1 JOD). Resztę deszczowego dnia spędziliśmy w pokoju.

Inne ceny:

- magnes na lodówkę 1 JOD
- płaskorzeźba z widokami z Petry 5 JOD
- toaleta na terenie Petry 0,5–1 JOD (są też w niektórych miejscach darmowe)

16 lutego, Wadi Musa (Petra). Dziś już nie zależało nam, aby być w Petrze z samego rana, więc pospaliśmy troszkę dłużej i zjedliśmy śniadanie w hotelu. W kierunku Petry poszliśmy o 8.00, lecz zaraz po wyjściu z wąwozu i zobaczeniu kolejny raz Skarbca skróciliśmy w szlak po prawej stronie, prowadzący w górę na punkt widokowy, umożliwiający podziwianie tej budowli z góry. Podejście było dość męczące, ale widok na końcu szlaku wynagrodził nam wysiłek. Jakież było nasze zdziwienie, gdy na samym szczycie zobaczyliśmy namiot beduiński serwujący m.in. herbatę (1 JOD). Ogrzaliśmy się przy ognisku, podziwiając Skarbiec z góry i popijając słodką herbatę. W drodze powrotnej zobaczyliśmy jeszcze grobowce królewskie, a że zaczęło coraz bardziej padać, to postanowiliśmy zakończyć nasze zwiedzanie. Warto jednak poświęcić na Petrę co najmniej 2 dni, a jak ktoś ma więcej czasu, to nawet dołożyć dzień trzeci. Zwłaszcza że każdy kolejny dzień kosztuje tylko dodatkowo 5 JOD, co przy cenie biletu na jeden dzień (50 JOD) nie stanowi wielkiego wydatku.

W dniu dzisiejszym postanowiliśmy na obiad skosztować typowych potraw kuchni jordańskiej. Wzięliśmy mensaf – kawał baraniny na kości z ryżem polewanego jakimś wywarem (10 JOD) oraz kebab z barana (9 JOD). Całość smakowała wyśmienicie – więc polecamy.

Inne ceny:

- T-shirt 9 JOD,

17 lutego, Pustynia Wadi Rum. Zgodnie z planem o 6.15 miał po nas przyjechać autobus do Wadi Rum. Ze względu jednak na załamanie pogody i śnieg (sic!) autobus był opóźniony o 1,5 godz., o czym na szczęście zostaliśmy poinformowani w hotelu (bilet 7 JOD, my ze względu na złe warunki atmosferyczne i małą liczbę osób zapłaciliśmy po 10 JOD/os). Ogólnie aby ułatwić sobie przejazd z Petry do Wadi Rum, należy przynajmniej dzień wcześniej taką chęć zgłosić w hotelu. Autobus wszystkich chętnych zabiera wprost z ich hoteli, nie trzeba się fatygować na dworzec autobusowy. Po drodze mieliśmy przygody związane z tym, że tiry zablokowały drogę i trzeba było zator

objeżdżać pod prąd. Do Wadi Rum dotarliśmy z około 1,5-godzinnym poślizgiem, ok. 10.20, gdzie na szczęście cierpliwie czekał nasz przewodnik wcześniej umówiony przez Internet. Koszt wjazdu do Wadi Rum 5 JOD (my tradycyjnie za darmo w ramach Jordan Pass), natomiast za całodzienną wycieczkę z wyżywieniem i noclegiem na pustyni zapłaciliśmy 65 JOD/os. (agencja Bedouin Directions <http://wadirumjeptours.com/>).

Jeżdżąc dżipem, zwiedziliśmy najciekawsze miejsca na pustyni (wydmy, formacje skalne, inskrypcje naskalne), kończąc dzień na podziwianiu wspaniałego zachodu słońca ze szczytu jednej ze skał. Noc spędziliśmy w beduińskim obozie, przed snem ogrzewając się przy ognisku i wypijając litry słodkiej herbaty. Ok. 20.00 wyłączono agregat i w całym obozie zapadła cisza i ciemność, więc nie pozostało nam nic innego, jak udać się spać.

18 lutego, Ejlat. O 7.00 rano, po śniadaniu w namiotach, zawieziono nas do wioski, gdzie czekała już na nas umówiona wcześniej taksówka, która miała nas zawieźć na granicę jordańsko-izraelską (25 JOD). Przekroczenie granicy jordańskiej poszło sprawnie, natomiast na granicy izraelskiej dokładnie przetrzepano nasze bagaże, przez co kontrola trwała trochę dłużej. Pozytywnie nas zaskoczyło, że nie żądano od nas opłaty wyjazdowej z Jordanii, więc pieniądze, które mieliśmy zostawione na ten cel, zmieniliśmy w granicznym kantorze z powrotem na dolary.

Z granicy do centrum Ejlatu mieliśmy 3,9 km, więc, chcąc zaoszczędzić, przeszliśmy ten odcinek pieszo. Pogoda stała się słoneczna, więc zdecydowaliśmy się zostać tu 1 dzień, tym bardziej że ze względu na szabat połączenia komunikacyjne startowały dopiero późnym wieczorem. Resztę dnia spędziliśmy na plaży, wygrzewając się w słońcu oraz zażywając kąpeli w Morzu Czerwonym.

Inne ceny:

– McDonald's Big Mac menu 36,8 NIS

– piwo – 3 za 15–20 NIS

Nocleg: Arava hostel (<http://www.aravahostel.com>) 200 NIS za pokój z łazienką bez śniadania.

19 lutego, Jerozolima. O 9.00 wyruszyliśmy autobusem do Jerozolimy (70 NIS/os.), gdzie dotarliśmy o 13.00, godzinę szybciej niż przewidywał to rozkład. Jedną noc postanowiliśmy spędzić w tym samym hostelu co ostatnio, tym bardziej że jako goście powracający mieliśmy 5% zniżki.

Naszym głównym celem była dzielnica ortodoksyjnych Żydów – Mea Szearim. Przy wejściu do tej dzielnicy powstałej w XIX w. wiszą wielkie plansze z prośbą o zachowanie skromnego stroju oraz zakazie wchodzenia dla grup. Spacerkiem przeszliśmy przez okolicę, podziwiając ten dość niecodzienny widok i nawet robiąc kilka zdjęć. Później kolejny raz poszliśmy na stare miasto, aby kupić już kilka pamiątek dla nas i naszych rodziców.

W hostelu zamówiliśmy również na jutro przejazd „door to door” spod naszego hostelu pod drzwi hostelu Abraham w Tel Avivie (22,5 NIS/os., choć nie zamierzaliśmy tam spać, był to i tak najwygodniejszy sposób transportu).

Inne ceny:

– książka *Nasza podróż do Ziemi Świętej* 40 NIS

- talerz – płaskorzeźba z Jerozolimą 35 NIS
- pieczywo a'la rogal 5 NIS
- shoarma XL 25 NIS
- czteropak piwa 25 NIS

Nocleg: Abraham Hostel (<https://abrahamhostels.com/>) 280 NIS za pokój z łazienką i skromnym śniadaniem.

20 lutego, Tel Aviv. Po śniadaniu ruszyliśmy o 9.15 busem do Tel Avivu. Spotkaliśmy przesympatycznego Polaka, który jechał do Nazaretu, aby pieszo przejść 70 km szlakiem Jezusa. Tel Aviv to miasto nowoczesne, pozbawione jakichś spektakularnych zabytków. Poszliśmy pospacerować głównym bulwarem miasta, a następnie nad brzeg morza. Zdziwiło nas tylko, że w zasadzie na każdej plaży widniał zakaz kąpeli, może było to związane z niskim sezonem, który akurat trwał.

Inne ceny:

- znaczek na pocztówkę do Polski 7,5 NIS
- pita z wątróbką 20 NIS
- piwo Obołon 1 l – 12,5 NIS
- shoarma w bagietce 29 NIS
- makaron na spaghetti 6,90 NIS
- sos do spaghetti 15 NIS
- zupka chińska 2 NIS

Nocleg: Rena's House (<https://www.booking.com/hotel/il/rena-39-s-house.pl.html>) 467 NIS studio z aneksem kuchennym za 2 dni – bardzo polecamy.

21 lutego, Tel Aviv (Jaffa). Dziś rano, jako że nie mamy śniadania w hostelu zrobiliśmy sobie spaghetti, które dało nam energię do zwiedzania. Poszliśmy do dzielnicy Jaffa, kiedyś samodzielnego miasta, zanim powstał Tel Aviv. Jaffa to jeden z najstarszych portów w Izraelu, istniał już w XVIII w. p.n.e. Z ciekawszych miejsc zwiedziliśmy:

- wieżę zegarową,
- kościół św. Piotra, z obrazem MB Częstochowskiej, w każdą niedzielę o 18.00 jest tu odprawiana msza św. w języku polskim,
- XII-wieczny meczet Mahamoudia,
- fontanna zodiakalna,
- mostek życzeń ze znakami zodiaku,
- pchli targ (mało ciekawy).

Na obiad zjedliśmy w porcie pyszną świeżą rybę z frytkami (ryba 35 NIS, frytki 10 NIS, budka „Fish and chips”).

W parku w Jaffie spotkaliśmy ciekawe małżeństwo z Warszawy, które rowerami dotarło aż do Ziemi Świętej. Robili to sukcesywnie co roku, podróżując około 2 tygodnie i w każdym kolejnym roku rozpoczynając podróż z tego samego miejsca, w którym skończyli. Cała podróż zajęła im 8 lat.

Inne ceny:

- piwo San Miguel (puszka) 9 NIS
- Pringelsy (duża paczka) 12 NIS
- sok pomarańczowy 1,5 l 4,9 NIS

22 lutego, Tel Aviv. Ostatni dzień naszego pobytu w Izraelu. Musieliśmy opuścić hostel o 11.00, więc zostawiliśmy bagaże i poszliśmy na Bazar Carmel, największy i najbardziej znany targ w Tel Avivie. Zaopatrzyliśmy się na nim m.in. w bakławę (pudełko 20 NIS), ale można tam kupić dosłownie wszystko – bogactwo owoców i miejscowych smakołyków. Na obiad wróciliśmy do tej samej budki co dzień wcześniej, bo ryba tam bardzo nam smakowała. Ok. 16.00 podjechaliśmy autobusem do najbliższej stacji kolejowej Hahagana, aby już stamtąd bezpośrednio udać się pociągiem na lotnisko (bilet autobusowy 5,9 NIS, bilet kolejowy 13,5 NIS). Na lotnisku przed check-inem przeprowadzano jeszcze z każdym wywiad dotyczący pobytu w Izraelu. W zależności od odpowiedzi na paszport naklejana jest naklejka, na której rzekomo pierwsza liczba oznacza stopień zagrożenia, jaki stanowimy dla państwa Izrael. My na szczęście mieliśmy „2”, więc dalsze procedury przeszły szybko i gładko. Na lotnisku wydaliśmy resztę naszych szekli, kupując m.in. chałwę (paczka za 37 NIS) oraz dobre lody włoskie (4 NIS). Lot do Polski mieliśmy o 20.20, a na miejsce dotarliśmy 15 minut po 23.00. Pomimo panujących w Polsce mrozów nasz samochód po 2-tygodniowym postoju odpalił bez problemów i od razu dotarliśmy do domu.

Wioletta Ilkiewicz
Wojciech Ilkiewicz

Od Polski do Chin



Termin: 16 lipca – 24 sierpnia 2017

Jak wiecie i obserwujecie przebieg naszych podróży po świecie, już dawno rozważaliśmy zamiysł przejazdu przez Chiny, jednak ze względu na pozwolenia, przewodnika i bezmiar biurokracji chińskiej, nie podejmowaliśmy tematu. Sami też mieliśmy skromne chęci na organizowanie grupowego przejazdu... dla obniżenia długiej listy kosztów. Właśnie z tych powodów, jeszcze w zeszłym roku, skontaktowałem się z właścicielami firmy „Bezdroża 4x4”, wiedząc, iż rok wcześniej zorganizowali taki wyjazd i mieli w swej ofercie kolejną, drugą wyprawę przez Azję do Chin i z powrotem. Po przeanalizowaniu trasy i rozważeniu kosztów, przystąpiliśmy do negocjacji, aby dołączyć się do ich grupy w przejeździe tylko przez Chiny.

Grupa miała liczyć około 10 przygotowanych wyprawowo terenówek. Ustaliliśmy warunki oraz koszty i zaklepaliliśmy ten wyjazd wspólnie z „Bezdrożami 4x4”, zdając sobie sprawę, że przez trzy tygodnie będziemy skazani na niedogodności podróżowania w grupie. Warunki i udział na takich zasadach przyjęliśmy razem z Jackiem i Mirą, naszymi kolegami motocyklistami, którzy wcześniej byli z nami również na Alasce, a do tej podróży przygotowali swojego Land Rovera Defendera. W efekcie końcowym okazało się, że na wyprawę do Chin z „Bezdrożami 4x4” grono chętnych z różnych powodów się posypało i przez ten kraj jechał z nami jeden z właścicieli firmy podróżniczej, jeden uczestnik i my z Jackiem i Mirą. Dla nas, można by powiedzieć, że to było ogromne szczęście, ponieważ posiadając stosowną wiedzę po odbyciu tego przejazdu, nie wyobrażam sobie konwoju składającego się z kilkunastu aut.

RELACJA Z PODRÓŻY

16 lipca. Rano po dziewiątej ruszamy z naszej „Chałupy na Górze” w kierunku granicy z Ukrainą w Korczowej. Na trasie za Tarnowem dołączają do nas Mira i Jacek z Częstochowy, jadący przebudowanym do celów wyprawowych Land Roverem Defender. Za Rzeszowem spotykamy się z uczestnikami – Arkiem, mieszkającym w tym mieście i jadącym Nissanem Patrolem, oraz z Włodkiem i Zbyszkim jadącymi Toyotą

Land Cruiser 90, a którzy dotarli tu z Lublina. Teraz już wszyscy razem podążamy na granicę. Z wywiadów internetowych wiemy, że czas oczekiwania na odprawę w Korchowej dochodzi do pięciu godzin, toteż myślimy o zmianie miejsca wjazdu na Ukrainę, ale w końcu pozostaje pierwsza wersja, która w efekcie kończy się wynikiem, iż na przejściu stoimy sześć godzin. Tuż za granicą, na pierwszym parkingu, w budce wymieniamy pieniądze, za 100 USD dostajemy 2560 UAH (hrywien). Tam też, po zmianie czasu +1 godz., o 22.40 rozbijamy obozowisko przy stacji paliw „OKKO”.

17 lipca. Jedziemy przez Równe, Żytomierz w kierunku Kijowa. Droga bez historii, mocno uważamy na radary i miejscową policję. Kijów zwiedzamy z auta, objeżdżając Chreszczatyk (Kreszczatik), wyjeżdżając z centrum, tuż obok stadionu Dynama Kijów, a dalej podziwiamy sakralne budowle ławry Kijowskiej. Przekraczamy Dniestr i jadąc dalej w kierunku Charkowa, 82 km za stolicą Ukrainy w wiosce Siemieniówka, pozostajemy na nocleg na zamkniętym parkingu pensjonatu „Awtopan”. My z Jackiem i Mirą śpimy w naszych wyprawowych apartamentach, reszta wybrała pokoje hotelowe. Za 50 hrywien mamy możliwość kempingowania z dostępem do łazienki, gdzie jest prysznic z ciepłą wodą. Wieczór integracyjny z barem u Jacka na masce (jest wyjątkowo płaska i pozioma, więc nic się nie przewróci).

18 lipca. Rano rozważamy możliwości wjazdu do Rosji. Z dwóch wersji, przez Charków na Biełgorod czy przez Sumy na Kursk, wybieramy tę drugą, która jest krótsza o 100 km, lecz mniej sprawdzona. O 16.15 jesteśmy na przejściu w Junakiwka, 50 km za Sumami. Przejście praktycznie puste, przed nami jedno auto. Po stronie ukraińskiej dość szybko uporano się z czynnościami celnymi i po godzinie stoimy przed rosyjskim szlabanem. Kolejno przyjmują dokumenty i wpuszczają na przejście.

Niestety, pojawił się ogromny problem, ponieważ Arek ma źle wystawioną wizę rosyjską z datą wjazdu 15 września, a nie jak my od 15 lipca. Totalna porażka, nikt nie sprawdził prawidłowości dat, poczynając od konsulatu, biura pośrednictwa wizowego i samego Arka. Jedyna decyzja, która jest możliwa, to odwrót Arka z granicy i próba wyjaśnienia całej sytuacji w konsulacie Rosji w Charkowie. Tę wiadomość odbieramy na CB radio, gdyż wjeżdżaliśmy na przejście przed nim. Po stronie rosyjskiej wszystko idzie bardzo ślamazarnie, Jacka odprawiają jako pierwszego i kiedy dochodzi do wystawienia dokumentu odprawy celnej (*wremiennyj wwoz*) jego auta... zaczynają się problemy. Auto zarejestrowane jest na firmę, a rosyjski celnik twierdzi kategorycznie, że upoważnienie jest źle wystawione i zawiera za mało danych i pieczętek, ponadto nie jest potwierdzone notarialnie, jedynie przetłumaczone na język rosyjski. Pierwszy werdykt: mają zawrócić z powrotem na Ukrainę. Jesteśmy nieco zdumieni, gdyż Jacek twierdzi, że w podobnej sytuacji przy odprawie motocykla do Rosji, również zarejestrowanego na firmę, nie było żadnych problemów. Natomiast nam, przeglądnęli auto i kazali czekać, nieśpiesznie stwierdzili, że przecież jedziemy razem, więc dokumenty wystawią na auto później.

Po trzech godzinach nerwowej ceremonii odprawowej i łapówce w wysokości 100 USD, przekazanej przez Jacka celnikowi, łaskawie wystawili dokumenty i po sześciu godzinach, już o zmroku, wyjechaliśmy z granicy, zbulwersowani do granic możliwości. Kilka kilometrów dalej, na parkingu płatnym (100 rubli), stacji paliw „ABC25”, roz-

bijamy nasze obozowisko na dzisiejszą noc. Przed zaśnięciem, już przy „antystresantach”, z jednej strony cieszymy się, że łapówka załatwiła sprawę Jacka i Miry, z drugiej jednak żal nam Arka, który ma teraz dość trudną misję naprawczą wizy.

19 lipca. Rano tankowanie i w drogę (1 l ON – 36,70 rubli, ok. 2,50 zł). W pierwszym napotkanym banku wymieniamy pieniądze, za 100 USD dostajemy 5749 RUB (rubli), 1 RUB = 0,65 PLN. Jedziemy na wschód w kierunku Kurska. W mieście odwiedzamy memoriał wielkiej bitwy pancerniej II Wojny Światowej, która odbyła się właśnie pod tym miastem, pomiędzy 5 lipca a 23 sierpnia 1943 r. Na tych terenach rozegrała się największa bitwa pancerna w dziejach świata, a największe starcie miało miejsce pod Prochorówką. Była to ostatnia niemiecka strategiczna operacja ofensywna na froncie wschodnim. Zwycięstwo Sowietów w tej bitwie oddało inicjatywę strategiczną w ręce Armii Czerwonej już do końca wojny.

Dalej jedziemy do Woroneża, a z tego miasta kierujemy się na Wołgograd. Pogoda wspaniała, tylko krajobrazy bardzo monotonne. Jediną rozrywką są pobyty w przydrożnych „Kafe”, gdzie posilamy się miejscowymi specjałami kuchni rosyjskiej: solianka, borszcz, pielmieni. Tuż przed miastem Borisoglebsk, w wiosce Listopadowce, zostajemy na nocleg na stacji paliw „Rosneft”.

20 lipca. Rano ruszamy dalej w kierunku Wołgogradu, do miasta docieramy wczesnym popołudniem. Droga prowadząca z Moskwy do tego miasta znajduje się w przebudowie, więc jazda jest mocno męcząca i mozolna. Oczywiście po dojeździe do Wołgogradu, niegdyś Stalingradu, kierujemy się pod wielki memoriał bitwy, która odwróciła losy II wojny światowej. Na miejsce to wybrano „Kurhan Mamaja” lub inaczej: wzgórze 102, najwyższe wzniesienie na terenie miasta, o które w trakcie bitwy toczyły się niezwykle ciężkie walki, a zarazem miejsce pochówku 34 505 radzieckich żołnierzy poległych w obronie miasta. W dniach od 17 lipca 1942 r. do 2 lutego 1943 r. o miasto toczyły się zażarte walki (bitwa stalingradzka), które zakończyły się całkowitym zniszczeniem niemieckiej 6 Armii i kapitulacją jej resztek. W roku 1961 w ramach destalinizacji miastu nadano nazwę pochodzącą od nazwy rzeki. Przemierzamy cały teren kompleksu, jednak największe wrażenie robi stojąca na wzgórzu statua „Matka Ojczyzna Wzywa!”. Monumentalny pomnik poświęcony radzieckim żołnierzom walczącym w bitwie stalingradzkiej, jedna z najwyższych rzeźb na świecie, swym wyglądem nawiązująca do antycznych wyobrażeń bogini Nike i zwrócona symbolicznie ku zachodowi, postać jest alegorią ojczyzny wzywającej swych synów do walki z najeżdżącą. Jego całkowita wysokość, wraz z wykonanym ze stali nierdzewnej mieczem, wynosi 85 m (dla porównania Statua Wolności bez cokołu mierzy jedynie 45 m), a waży zaledwie... około 8 tys. ton! Pod pomnik prowadzi rozpoczynająca się u stóp kurhanu droga, składająca się z 200 stopni, gdyż tyle dni trwała bitwa stalingradzka. Wzdłuż trasy marszu znajduje się 35 granitowych nagrobków, pod którymi spoczywają obrońcy miasta odznaczeni tytułem Bohatera Związku Radzieckiego. Jedyne co dośkwiera podczas obchodu całego kompleksu, to potworny upał sięgający 40°C. W roku 2008 „Kurhan Mamaja” i statua „Matki Ojczyzny” zostały wpisane do grona „7 Cudów Rosji”, tuż obok Błękitnego Oka Syberii – Jeziora Bajkał, Peterhofu czy Soboru Wasyła Błogosławionego.

Wyjeżdżamy z rozległego i zasmogowanego Wołgogradu, wzdłuż Wołgi, na południe w kierunku Astrachania i w miejscowości Sołodniki, w ogródku, gdzie Włodek ze Zbyszkciem znaleźli lokum, wraz z Jackiem i Mirą zostajemy na nocleg w naszych autach. Oni płacą po 1000 rubli od łóżka, a my przy tej okazji mamy dostęp do łazienki.

21 lipca. Jedziemy mozolnie dalej w stronę Astrachania. Co po drodze? Ano totalna nuda, wyschnięty step, potworny upał, od czasu do czasu po lewej stronie widzimy rozległą rzekę Wołgę. Po południu docieramy do miasta i szukamy hotelu, gdzie mamy spotkanie całej grupy jadącej do Kazachstanu, Kirgistanu i do Chin. Mini Hotel Inter City za cenę 2500 rubli pokój dla 2 os. – Magistralnaya St 26b – jest umiejscowiony przy głównej trasie dojazdowej do Astrachania, nieopodal dobrze zaopatrzonego centrum handlowego, gdzie możemy uzupełnić zapasy (GPS Garmin N 046° 24.854, E 47° 58.663).

Maciek, organizator wyjazdu do Chin, jadący Nissanem Patrolem, jest już na miejscu i ma niezbyt pomyślne wieści. Arek, który wrócił się z rosyjskiej granicy, z powodu źle wystawionej daty wizy, dopiero dzisiaj wyrobił następną z prawidłowym terminem. Dokonał tego w Warszawie, gdzie wcześniej dotarł z Kijowa samolotem (w Kijowie konsulat Rosji nie obsługuje petentów). O 17.00 doleci ponownie do Kijowa i wystartuje autem na trasę do Astrachania. W związku z tym będzie obsuwka czasowa, co najmniej o jeden dzień. Niezbyt jesteśmy zadowoleni z tej sytuacji, ale cóż robić, musimy wszyscy czekać. Pod wieczór, docierają następni uczestnicy, Ania i Mateusz z Tarnowa, którzy jadą jedynie do Kirgistanu, a poruszają się Toyotą Land Cruiser.

Jak nowe spotkanie, to nowy wieczór integracyjny, w końcu po przejechaniu 2800 km od domu i przejsiach na przejściach należy nam się drobna nagroda.

22 lipca. Mamy dzień wolny, więc zwiedzamy Astrachań. Od XIII w. był to warowny gródek Tatarów. W roku 1459, po rozpadzie Złotej Ordy, został stolicą samodzielnego chanatu, który znalazł się w 1556 r. w granicach Państwa Moskiewskiego. Znany był jako ośrodek handlu tranzytowego z Bucharą, Chiwą, Persją i Indiami. Rozwijało się tu także rybołówstwo na Wołdze i Morzu Kaspijskim. Po roku 1870 stał się punktem tranzytowym transportu ropy naftowej z Zakaukazia do Rosji.

Z hotelu „marszrutką” (busiki transportu zbiorowego) jedziemy pod miejscowy Kreml, w obrębie murów którego ulokowany został Sobór Zaśnięcia Matki Bożej. Prawosławny sobór z XVI w. przetrwał do naszych czasów w formie praktycznie niezmienionej i wznosi się na wysokość 75 metrów. Sobór został zamknięty po rewolucji październikowej w roku 1918, ponownie został otwarty po upadku ZSRR. Przez wiele wieków Astrachański Kreml, mimo oddalenia od stolicy, odgrywał ważną rolę w życiu politycznym państwa. Wzniesiona z białego kamienia warownia nierzadko wabiła swym bogactwem i potęgą buntowników i wichrzycieli. Obecnie Astrachański Kreml, dawno już pozbawiony statusu obiektu wojenno-obronnego, wie dzie swe istnienie w charakterze muzeum-rezerwatu. Kremłowskie mury obronne wspaniale się zachowały, wysokie baszty i przepiękne sobory z zielonymi kafłowymi kopułami czynią oblicze wiekowego miasta majestatycznym i wytwornym, a uporządkowana dzwonnica z „Prechistensкими Vorotami” (Prechistenskaya Brama) już dawno stała się symbolem Astrachania. Obchodzimy cały kompleks i kierujemy się na nadwołżański bulwar.

Miasto w swym centrum uporządkowane, wszędzie klomby, kwiaty i fontanny. Wystarczy jednak wyjść trochę poza centrum, aby dojrzeć pozostałości starego Astrachania, z drewnianymi domkami ledwo trzymającymi się kupy, podupadłymi domami kupców, które po „liftingu” z blachy i sidingu... tworzą hybrydę, będącą krótkotrwałym pomostem pomiędzy mizernym istnieniem a nieuchronnym wyburzeniem.

Po powrocie do hotelu mamy informację, że Arek ma jeszcze 800 km do pokonania, a czas na to jedynie do jutra rana... czekamy.

Coś o kawiorze astrachańskim i nie tylko...

... żywe złoto!... on zawsze spełniał wszystkie wymogi idealnego obiektu pożądania. Było go mało, kosztował krocie i pochodził z kraju, którego wszyscy się bali. Od 200 lat nic się nie zmieniło, aż trudno uwierzyć, że to tu poławia się kawior po pół miliona złotych za kilogram – tu i tylko tu, bo nigdzie indziej na świecie poza Morzem Kaspijskim nie ma bielugi – ryby, która daje najdroższą na świecie ikrę. A jak to się zaczęło? od pokarmu dla pospółstwa, do uczty dla podniebienia wybranych. Taką drogę przeszedł kawior w swojej długiej historii. Wszystko ginie gdzieś w mrokach historii, ale jedno jest pewne: na początku kawior nie uważany był za szczególny delikates. W Rosji żywili się nim biedni rybacy, którzy nie mogli sobie pozwolić na zmarnowanie niczego, co nadawało się do konsumpcji. Jednak już car Iwan IV poznał się na specjale. Jesiotr, występujący tylko w rejonie Morza Kaspijskiego, oraz jego ikra za jego czasów stały się trwałym elementem jadłospisu na kremlowskich ucztach. Za panowania Piotra Wielkiego centrum rybołówstwa ulokowano w Astrachaniu, położonym w delcie Wołgi, tuż przy jej ujściu do Morza Kaspijskiego, gdzie zresztą przetrwało do dziś. To właśnie Piotr Wielki wprowadził monopol państwowy na produkcję kawioru. W carskiej Rosji nie była to żadna nowość. Produkcja większości towarów, uważanych za luksusowe, znajdowała się w rękach władzy. Coś, co jednak w Rosji stało się elementem jadłospisu, na Zachodzie długo nie potrafiło zyskać akceptacji. Choć czyniono próby, żeby zainteresować resztę Europy rosyjskim specjałem. Podobno ambasador rosyjski, wybierając się do Ludwika XV, zabrał ze sobą szkatułkę wypełnioną żywym złotem. Niestety francuski król nie poznał się na wykwinności kawioru i, jak podają źródła, zwrócił całą porcję, którą próbował. Prezent okazał się więc grubym nieaktym. Jednak już wnuk Ludwika XV, Ludwik XVI był wielkim smakoszem kawioru. Mówi się, że kazał nawet założyć hodowlę jesiotra na wybrzeżu francuskim.

Jednak na swój moment kawior musiał poczekać aż do rewolucji październikowej i exodusu rosyjskiej arystokracji na Zachód. W Paryżu, gdzie znalazła się spora grupa emigrantów, kawioru oczywiście nie było. Jednak tęskniący za ojczyzną lub choćby jej namiastką szlachcice stworzyli popyt na kawior. Realizacji ich zachcianki podjęli się ormiańscy bracia Petrosjan, którzy, widząc swoją szansę na intratny biznes, zwrócili się do władz radzieckich z prośbą o eksport. Kłopoty finansowe nowego państwa oraz zachęta w postaci żywej gotówki sprawiły, że Ormianie uzyskali całkowity monopol na wprowadzanie kawioru ze Związku Radzieckiego. Przebywający na uchodźstwie Rosjanie byli zachwyceni. Pozostawało jeszcze przekonać nieprzekonanych, a początki nie były łatwe, bo kiedy bracia Petrosjan w 1920 r. przywieźli kawior na wystawę gastronomiczną w Paryżu, wokół ich stoiska trzeba było ustawić spluwaczki. Ludzie krzy-

wili się i pluli na potęgę tym darmowym paskudztwem. A jednak romans z zachodnimi nuworyszami powiódł się zgrabnie, a do tego niewątpliwa teza, że jedzenie kawioru jest modne i świadczy o statusie społecznym. Pracą organiczną bracia Petrosjan sprawili, że kawior wjechał na salony Europy i stał się stałym elementem rautów zblazowanych bogaczy.

23 lipca. Arek dotarł o trzeciej nad ranem, jesteśmy w komplecie. Dajemy mu nieco odpocząć i tuż po 10.00 ruszamy na trasę w kierunku granicy z Kazachstanem. Przekraczamy Wołgę, a następnie rzekę Buzan mostem pontonowym (opłata 135 rubli), jedziemy wzdłuż brzegów Morza Kaspijskiego na wschód. Wokół zielone równiny, rozlewiska, a na pastwiskach konie i krowy. W Karaoziek przekraczamy granicę do Kazachstanu. Jeszcze po rosyjskiej stronie, wykupiliśmy ubezpieczenie na ten kraj za 1600 rubli, wymieniamy pieniądze 1 USD = 32 KZT (tenge). Jedziemy dalej, po drodze rozlewiska i mało ciekawa krajobrazowo trasa. Po dotarciu do miasta Atyrau, nad rzeką Ural, oddzielającą Europę od Azji, urządzamy nocleg na dziko.

24 lipca. Ponieważ będziemy w Kazachstanie ponad pięć dni, musimy dokonać rejestracji na miejscowym posterunku policji z biurem dla imigrantów. Okazało się, że właśnie zmieniono jego siedzibę, co spowodowało, iż rozległe miasto Atyrau przemierzaliśmy wzdłuż i wszerz. Nasz wysiłek i tak poszedł na próżno, ponieważ w czasie trwania „Expo 2017”, którego organizatorem jest Kazachstan, zniesiono ten dolegliwy dla turystów obowiązek, no cóż... zmarnowaliśmy prawie dwie godziny. Wyjeżdżamy z miasta drogą A27, aby w miejscowości Dossor odbić na południe w kierunku miasta Kulsary. A w nim obiad, uzupełnienie zapasów i pożegnanie z asfaltem. Dzisiaj wyjeżdżamy w step, gdzie przez kilka dni pozostaniemy bez kontaktu z cywilizacją. Naszym celem jest dotarcie od północy do brzegów tego... co pozostało po Morzu Aralskim. Totalna dzicz, równiny wyschniętego stepu i przeokropny wszędybylski kurz... no i wielbłądy. Aby dostać się do naszej kabiny mieszkalnej od tyłu, musimy zmieścić kilogramy tego upierdliwego minerału, do złudzenia przypominającego talk o kolorze beżu. Od teraz omiatanie auta z kurzu to będzie dyżurny zabieg obowiązujący kilka razy dziennie.

Przed zmrokiem urządzamy obozowisko, oczywiście na dziko, na pięknej zielonej łące, przy wielkiej rurze zasilającej ten skrawek wyschniętego terenu w wodę. Wokół spacerują konie i krowy.

25 lipca. Od rana jedziemy przez step. Totalne odludzie. Przez cały dzień mozolnej jazdy w potwornym upale dochodzącym do 40°C, walczyliśmy z kurzem i ledwo co widocznymi śladami, które ktoś wytyczył na tym bezkresnym obszarze. Pod wieczór naszą stepową trasę przecięły nasyp torów kolejowych, niestety ma kilka metrów wysokości i jest bardzo stromy, a na nim nowe tory na betonowych wysokich podkładach. Jedziemy wzdłuż żelaznej drogi, aby natrafić na miejsce przekroczenia takiej wymagającej przeszkody. Docieramy do mostu, gdzie tory przebiegają nad okresowym przepustem wodnym, jednak jest za nisko i żaden z naszych pojazdów nie ma szans na przedostanie się na drugą stronę. Jedziemy więc dalej i szukamy dogodnego miejsca. Po paru kilometrach znajdujemy takie, gdzie jest nieco niżej i mniej stromo. Maciek i ja przeskakujemy wierzchem przez nasyp, niestety po nieudanej próbie

Jacek odpuścił, natomiast Arek utknął, zawisł na szynie drążkiem stabilizatora. Ogarnęła nas panika, bo cóż to będzie, kiedy nadjedzie pociąg? Szybka akcja ściągnięcia ciężkiego Nissana Patrola z torów kończy się zerwaniem napędów w Toyocie Włodka. Dopiero desperackie szarpnięcie Maćka wyrwa Nissana Arka z pułapki, kończące się zerwaniem jednego z mocowań stabilizatora. Maciek rozwalił felgę i musi ją prostować, gdyż schodzi powietrze. Wynik... szkody i... tylko kilka chwil dzieliło od katastrofy w ruchu lądowym, kiedy już po wolnych torach przejechał ogromny skład napędzany dwoma lokomotywami. Robi się późno, a tu same straty i dalej część aut nie przebrnęła na drugą stronę torowiska. Jacek jedzie szukać dogodniejszego miejsca do przeprawy, reszta usuwa usterki i szacuje defekty. Arek pojedzie dalej bez stabilizatora, a Włodek będzie jechał tylko z tylnym napędem. Jacek, po kilku kilometrach, znalazł awaryjny peron usypany ze żwiru, gdzie po przewróceniu jednego z wielu słupków zabezpieczających, by nikt tędy nie przejeżdżał... po prowizorycznych naprawach wszyscy bezpiecznie przeprawili się na drugą stronę tego wysokiego nasypu.

Z opóźnieniem czasowym, schodzącym wzburzeniem i bezlitosnym kurzem, po kilkudziesięciu kilometrach zatrzymujemy się na nocleg gdzieś na stepie.

26 lipca. Od rana przedzieramy się dalej przez step, na wschód w kierunku Morza Aralskiego. Droga fatalna, dwa wyjeżdżone ślady tworzą tak wielkie koleiny, że co rusz zahaczamy podwoziem. Kurz włóczy się razem z nami, tworzy go pył z wyschniętego błota. Współczujemy Jackowi i Mirze, gdyż do ich Defendera wdziera się on każdą szparką i do tego nie mają klimatyzacji, a gorąc nie do zniesienia 42°C. W południe docieramy do pierwszej osady, która stanęła na naszej trasie, do Bozoy. Uzupełniamy zapasy żywności, wody i w dalszą drogę. Jadąc dalej szutrówką w kierunku Qulandy, przejeżdżamy nad brzegami głównego zbiornika Morza Aralskiego, zasilanego rzeką Amu-daria, który widzimy jedynie z oddali.

Po 60 km jazdy, niestety, mamy pierwszą poważną awarię, w Jacka Land Roverze urwało się mocowanie wahacza stabilizującego tylny most. Prowizorycznie z wielkim wysiłkiem mocujemy go do ramy kilkoma śrubami. Jacek jest zmuszony powrócić do Bozoy i zespawać mocowania. Resztą grupy podjeżdżamy jeszcze nieco na wschód i rozbijamy biwak na dzisiejszy wieczór, czekając na Jacka i Mirę. Maciek ma zamiary na miejsce, gdzie ze stepu wypływa słodka woda. Docieramy tam z kilkoma piaskowymi przygodami, a na miejscu... wielka rura! Toteż możemy się nieco odkurzyć, obmyć i opruć.

Niestety, Jacek i Mira nie dotarli do naszej bazy dzisiejszego dnia, co jest powodem naszego zatroskania takim obrotem sprawy. Albo usterka była zbyt trudna do usunięcia, albo pobłądził na dojeździe... albo jedno i drugie.

27 lipca. Rano mamy wyjaśnienie, dlaczego Jacek i Mira nie dotarli na biwak. Krążąc po stepie, nie znaleźli właściwego zjazdu do miejsca biwakowego, a na dodatek zakopali się tak w piaskowej wydmy, że dopiero rano wyciągnęli ich z pułapki kierowcy ciężarówek. Ale to nie koniec przygód... efektem tegoż zakopania stała się następna usterka Defendera, uknęła się tylna półośka i zostali tylko z przednim napędem. W konsekwencji zdarzeń, omijają nadaralskie tereny i jadą szutrową drogą prosto do Aralska, aby spróbować usunąć tę następną usterkę. My jedziemy stepem,

a raczej dnem morza w kierunku jego brzegu, gdzie pozostało jeszcze tylko kilka statków rybackich... nie do końca pociętych na złom. Obowiązkowo zbiorowa fotka i dalej przez wyschnięte morskie dno. Na jednym z garbów słyszę w naszej Toyocie niepokojący dźwięk, coś pękło. Zaglądamy, zdaje się jakby wszystko było poprawnie. Jedziemy dalej, ale nie jest prawidłowo, gdyż słychać jakieś skrzypienie i ocieranie. Po dojeździe do wody, na plażę jednego ze zbiorników pozostałych po morzu o nazwie „Tushebybas Schyg”, mam trochę czasu, aby zdiagnozować defekt. Jest! Urwało się dolne ucho przedniego, lewego amortyzatora, które łączy go z dolnym wahaczem. Do Aralska jeszcze 120 km, będzie ciężko dojechać, a tylko tam mamy możliwość naprawy, czyli przyspawania mocowania (tuleja metalowo-gumowa). Jedziemy dalej wzdłuż klifu, który, dawniej zalany wodą, wskazuje jak wysoko ona kiedyś sięgała. Docieramy do następnego zbiornika wodnego pozostałego po morzu o nazwie „Shevchenko Schyg”, najbardziej wysuniętego na północ i zasilanego wodami rzeki Syrdaria. Podobno... od kilku lat zahamowano spadek wody i powoli będzie się napełniać basen morza, czyli ktoś oświecony zaczyna naprawiać niegdysiejszy radziecki program zapoczątkowany w latach 30. XX wieku, który zakładał wykorzystanie dwóch dopływów tego akwenu, Amu-darii na południu oraz Syrdarii na północy, do irygacji pól bawełnianych i ryżowych. W czasach świetności ze względu na swoje ogromne rozmiary: 428 km długości i 234 km szerokości, przy maksymalnej głębokości 69 metrów, jezioro przez miejscowych nazywane było „Morzem Aralskim”..., ale czy uda się naprawiać największą katastrofę ekologiczną tego obszaru? Kiedy z morza zrobiono kałużę?

Z duszą na ramieniu walczymy z terenem i awarią. Przód naszego auta wisi tak nisko, że nie sposób pokonywać trudności terenu, a w szczególności wystające zwalę ziemi pomiędzy głębokimi koleinami. Mozolnie, po kilku godzinach walki, docieramy pod wieczór do Aralska. Jacek przesłał namiary na warsztat, gdzie kończy naprawę, więc jedziemy tam i my, aby usunąć naszą usterkę. Jest dobrze, mają stary amortyzator i przespawają mocowanie. Dostajemy również informację, że dalej na trasie w Szymkent jest serwis Toyoty i na pewno kupimy tam nowy amortyzator. Płacimy 15 tysięcy tenge (ok. 180 zł) i jedziemy do „Ai-Zułgys Hotel”, w którym to Maciek załatwił pokoje (5 tys tenge za pok. 2os. bez klimy, śniadania, a w naszym przypadku... bez światła).

28 lipca. Rano żegnamy się z Włodkiem i Zbyszkim, pozostają w Aralsku, aby usunąć awarię przedniego napędu w ich Toyocie Land Cruiser. I tak mieli się od odłączyć w Kirgistanie, gdyż ich celem nadrzędnym jest Bajkał. Życzymy sobie nawzajem może nie szerokiej, ale poprawnej drogi i ruszamy na trasę w kierunku Kirgistanu. Jadąc główną drogą nr M32 na południowy-wschód, po 270 km docieramy do miejscowości Bajkonur. Nie ma mowy o zwiedzaniu kosmodromu, możemy jedynie zrobić sobie zdjęcie przy wjeździe, a w kazachskiej części miasta (rosyjskie zamknięte), zrobić zakupy i coś zjeść. Tu nie jest tak jak w Kourou (Gujana Francuska) czy Canaveral (Floryda), gdzie wszystko udostępnione jest do zwiedzania i gdzie bez trudu odwiedziliśmy te niezwykle ciekawe miejsca wystrzeliwania rakiet w kosmos. Otrzymaliśmy

jedynie informację, iż właśnie dzisiaj o 21.30 wystartuje rakieta, której lot mamy nadzieję, będzie widoczny z odległości kilkuset km.

Dalsza jazda niezmiernie monotonna i nużąca... step, step, step, a wokół konie, wielbłądy, kozy, krowy. Co jakiś czas małe, zapyziałe wioski zagubione na końcu świata, trwają siłą zaradności i woli mieszkańców. Jeszcze przed zmrokiem docieramy do miejscowości Zanakorfan i zjeżdżamy nad rzekę Syr-daria, aby rozbić obóz na dzisiejszą noc. Znajdujemy wspaniałe miejsce na samym brzegu i wreszcie czas na relaks i małe co nieco w procentach. Punktualnie o wyznaczonej porze startu oglądamy wspaniały spektakl ze startu rakiety, chociaż jesteśmy ponad 300 km od Bajkonuru, to widok jak na dłoni. Po kolei odłączają się kolejne człony rakiety, a para wodna pozostająca po spaleniu, tworzy niesamowite obrazy na bezchmurnym zapadającym w zmierzch niebie.

29 lipca. Wyjeżdżamy z obozowiska z życzeniem, aby wszystkie następne były tak atrakcyjne. Przy trasie przed miejscowością Turkistan zwiedzamy ruiny niegdyś wielkiego miasta za murami „Gorodiszczce Sauran”, które rozkwiłało na przestrzeni od XIII do XVIII w., a w samym mieście podjeżdżamy pod „Mausoleum Of Khoja Ahmed Yasawi”. Obiekt wpisany na światową listę UNESCO, wstęp 500 tenge od os. (6 zł). Mauzoleum zostało zbudowane z rozkazu Timura, niegdyśszego władcy Azji Centralnej w latach 1389–1405, jako nowe miejsce dla zmarłego w 1166 roku sufickiego mistyka i poety Ahmeda Hodży Jesewi, które od tamtej pory jest oficjalnym miejscem kultu. Mauzoleum jest wybitnym osiągnięciem w architekturze Timurid, która znacząco przyczyniła się do rozwoju muzułmańskiej architektury religijnej. Całość obchodzimy w godzinę i jedziemy dalej do Szymkent, do serwisu Toyoty, wymienić uszkodzony amortyzator. Zapytanie o dostępność i... rozczarowanie, gdyż odpowiedź brzmi: nie ma. Będą dzwonić za alternatywnymi, niefabrycznymi po innych magazynach, tego ponad milionowego miasta. Jednak już po kilku minutach sytuacja zmienia swój bieg i idzie do nas pracownik z oryginalnym, nowiutkim amortyzatorem w rękach. Szukał z rocznika naszego auta, a ten jest nieco młodszy, oczywiście o tym samym numerze katalogowym. Nawet cena zupełnie przystępna, ok. 110 USD za sztukę. Zaskakuje nas bardzo niska cena wymiany, tylko 30 USD. Maciek z Arkiem jadą w tym czasie zrobić wymianę oleju w swoich Patrolach, ja kibicuję w wymianie amortyzatorów, która trawa niespełna dwie godziny. Wszystkie auta doprowadzone do porządku, ruszamy dalej na wchód w kierunku Taraz, aby w okolicy tego miasta przekroczyć granicę z Kirgistanem.

Docieramy tam już o zmroku, przejście całkowicie puste, tak więc po godzinie jesteśmy po drugiej stronie. W stosownej budce wymieniamy pieniądze: 100 USD = 6700 KGS (som) – 100 somów = 5,50 zł i jedziemy jeszcze kilkanaście kilometrów od granicy nad „Talas Kanal”, gdzie rozbijamy dzisiejsze obozowisko przy rzece. Dziś na stacji paliw, na której wszyscy tankowaliśmy, pracownik nalewający paliwo zapytał nas: co wy robicie? Odpowiadamy: podróżujemy – a on na to: aaaa... to wy cyrk!... i to by było na tyle...

30 lipca. Po opuszczeniu bazy noclegowej wspinamy się na sąsiadującą tamę i podziwiamy tam, niczym na Mount Rushmore (głowy prezydentów), wyrzeźbioną

w skalnym zboczu głowę Lenina. Oglądaczy było więcej, a sympatyczni Kirgizi obdarowali nas tradycyjnym chlebkiem (borsok) i owocami, nie tolerując odmowy wzniesienia toastu miejscowym trunkiem. Dalej pniemy się w góry i pokonujemy przełęcz „Otmok Pass” 3326 m n.p.m. Podziwiamy piękne krajobrazy i niezliczoną liczbę jurt, gdzie miejscowi pasterze w okresie letnim wypasają swoje zwierzęta, w większości konie.

Za przełęczą dojeżdżamy do trasy M41, jadąc na wschód poprzez szeroką, zieloną dolinę, rozpostartą pomiędzy pasmami gór Tien-Szan (niebiańskie góry). Po pokonaniu 50 km w tym cudownym krajobrazie, zbaczamy na południe drogą A367, w stronę jeziora Song-Kol. Choć z mapy wynikałoby, że to droga główna, ma nawierzchnię szutrową. Po pokonaniu następnych 90 km w okolicy miejscowości Bayzak natrafiamy na nie lada gratkę. W ten niedzielny dzień, miejscowa społeczność wyznaczyła sobie święto, urządzając narodowe zawody jeździeckie. Sporo turystów w ten dzień przywiozły w to miejsce busiki „Inturistu”. Napotkaliśmy nawet na dwie osoby z Polski.

Z wielkim zainteresowaniem przyglądaliśmy się zmaganiom zapasników na koniach, pogonią za kobietą by ją pocałować, za workiem robiącym za owieczkę, za mężczyzną, by uderzyć go pałą (ręcznie skręcany skórzany pejczyk) w plecy i wiele innych konkurencji. W jednej z dyscyplin, podczas zmagania i wywrotki konia wraz z jeźdźcem (pięknie ubraną kobietą), ten pierwszy doznał złamania nogi, co było przykrym zdarzeniem tej imprezy. Oglądałoby się jeszcze, ale czas jechać. W miejscowości Kyzart zjeżdżamy z głównego szlaku i polnymi duktami kierujemy się w stronę jeziora Sung-Kol. Drożka staje się być coraz bardziej stroma. Na jednym z podjazdów Defender Jacka nie daje rady i nadwyreżona półośka tylnego mostu powtórnie zostaje uszkodzona na połączeniu wielowypustowym, tym razem definitywnie odmawia posługi. Sytuacja jest krytyczna, musimy przeciągnąć auto poprzez przełęcz i to w bardzo trudnym terenie, a jest coraz ciemniej. Z wielkimi perypetiami, tworząc karawanę, wyciągnęliśmy auto na przełęcz „Asylbek Tologonow” 3400 m n.p.m. Cała ta ekstremalna przeprawa zajęła nam tak dużo czasu, że u celu byliśmy już po zmroku. A tam: ni stąd, ni zowąd, pojawili się dwaj kirgisy pasterze wypasający konie i tak zaczęła się zabawa w... wodka, wodka, wodka... Pasterze zapragnęli bardzo spróbować naszej wódki i tak nas cisnęli, że Mira połała im do kubków wysokoprocentowej nalewki. Ponieważ chłopcy (mieli po 25 lat) zasmakowali w trunku, wsiedli na konie i dalej do nas, po kolei... i znów podali hasło: ciut, ciut wodka. Ale stała się rzecz dziwna, bo nim cokolwiek im zaproponowaliśmy, oni spadli z koni. Po wskrzeszeniu znów to samo, ale dostali tylko piwo. Pijąc kumys lub słabe napitki, spirytualizacją mogą sobie zaszkodzić, ale było już za późno. Tak ich rozbolały brzuchy, że jeszcze chwilę się pomęczyli i zasnęli tuż obok naszych aut.

A my? Jak już wiemy z doświadczenia, spanie na wysokościach znosi się różnie, najczęściej źle. Choć to dobrze, że postanowiliśmy pozostać na biwaku na przełęczu, by do jeziora zjechać już za jasności jutrzejszego poranka, na dziś dość burzliwych chwil.

31 lipca. Spanie na przełęczu ma jednak i pozytywne skutki, widok z tego miejsca jest spektakularny, z jednej strony na głęboką dolinę, z której wczoraj przybyliśmy,

a z drugiej, na lśniącej w oddali toń jeziora Song-Kol, do złudzenia przypominającą bajkalskie klimaty. Zjeżdżamy w dół do jego brzegów i dalej podążamy jego północną stroną na wschód. Wytyczona droga polna jest teraz bardzo przyjemna i równa, przecina przyległe do jeziora zielone pastwiska i łąki, a wysokość, na której się znajdujemy, to 3020 m n.p.m. Środek lata, pasterze ustawili swoje jurty, wokół konie, krowy, barany i kozy. W jurtowej wiosce zauważamy grupkę turystów, z pewnością można tu wynająć lokum i wypożyczyć konie. Opuszczamy brzegi tego pięknego akwenu i po pokonaniu małej przełęczy, kierujemy się do głównego szlaku, który po zjeździe z gór prowadzi do miasta Naryn.

Pierwszy fragment zjazdu po szutrowej drodze to niezliczona liczba serpentyn symetrycznie ułożonych na stromym zboczu. Panoramiczne krajobrazy i wielokolorowe góry tworzą przepiękne tło do podziwianych widoków. Po dojeździe do miasta Naryn uzupełniamy zapasy, tankujemy do oporu tanie paliwo i ruszamy do granicy z Chinami. Po wyjeździe z miasta wspinamy się na przełęcz Ak-Beyit Pass 3282 m n.p.m., gdzie tuż po jej przekroczeniu znajduje się „Check Point” – wjazd do zamkniętego terenu przygranicznego. Sprawdzenie dokumentów, wiz i ruszamy dalej w kierunku granicy oddalonej o 60 km. Po wjeździe na następną przełęcz Tuzbel Pass 3568 m n.p.m. wkroczyliśmy na kolejny płaskowyż i tam nad jeziorem Chatyr Kol, 14 km przed granicą urządzamy obozowisko. Z przekroczeniem granicy musimy nieco poczekać, gdyż mamy na niej być dopiero jutro, gdzie przejmą nas chińscy przewodnicy. Jest woda, trochę czasu, więc doprowadzamy sprzęty do błysku, nie zapominając o kilku toastach. Nie można za wiele, bo wysokość spora... 3600 m n.p.m. Jutro opuszczamy krainę kumysem płynącą, gdzie góry, pasterze, jurty, konie, kurut, lagman, baranina i efektowne pejzaże.

1 sierpnia. Szybki dojazd do posterunku granicznego. Pas graniczny zabezpieczony jak za czasów NRD i RFN. Po Kirgiskiej stronie szybko i sprawnie jesteśmy w pół godziny odprawieni. Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy, więc do umówionego czasu, czyli do 11.00 musimy poczekać na naszych przewodników przed bramą graniczną z Chinami. Z małym opóźnieniem docierają i przejmują całą odprawę nas i naszych pojazdów. Po krótkich procedurach na samej granicy, jedziemy następne 130 km do faktycznego punktu odpraw granicznych, mieszczącego się u zbiegu drogi S212, którą jedziemy, a główną trasą S309. Przejazd zajął sporo czasu, gdyż droga biegnąca najpierw wzdłuż rzeki Tu'er Gate River, a później Qiake Make River, jest w totalnej rozsypce, zniszczona przez powódzie. Tu spotykamy się z głównym agentem, który podjął temat przewodnictwa i firmowania turystycznego przejazdu dla całej naszej grupy – General Menager WANG LUN, e-mail: nature_lunwang@hotmail.com, tel. 0086 991 2329162, fax: 0086 991 2329163, kom. 0086 139 09923337 Add: Room 1904, Xing Ya Building, No: 183 Renmin RD Urumqi, P.R. of China 830002. Przyleciał z Urumqi, gdzie mieści się siedziba jego turystycznej firmy, i będzie naszym przewodnikiem na części trasy, później zastąpi go jego brat.

Ale wróćmy do samego posterunku. Cały zawinięty w koncentrinę (zasieki ostrzowe). Najpierw wydano kilka sprzecznych komend, potem odebrano nam trochę żywności i już byliśmy gotowi do zwyczajowych procedur imigracyjno-celnych. Później

przyszedł czas na odprawę naszych pojazdów... i tu zaczęły się schody. Zostaliśmy zdezynfekowani, zeskanowani, poprzeglądani, zważeni, a w konsekwencji wszystkich tych ceremonii... zamknięto nasze auta na specjalnym parkingu do następnego dnia, tłumacząc to jakąś kwarantanną. Suma sumarum, po kilku godzinach, z koniecznym bagażem podręcznym, wsiadamy do podstawionego autobusu i jedziemy 60 km do hotelu w Kaszgarze (Kashgar).

Jakieś nowinki? Ano, jesteśmy zaskoczeni pełnym monitoringiem dróg, mnóstwem zasieków i wszechobecną policją ze swymi różnorodnymi wozami bojowymi i osprzętowieniem podręcznym. Wrażenie: czyżby trwała tu wojna albo przynajmniej stan gotowości przed nikomu jeszcze nieznaną napaścią? Nawet stacje paliw wyglądają jak twierdze ze stalowymi, potężnymi barierami, kratami, zasiekami z drutu kolczastego i koncentryny, a jakby tego było mało, to jeszcze uzbrojone służby ochrony przed wjazdem. Ponadto, miasto zatrzęsnięte w okowach smogu i pyłu unoszącego się w powietrzu. Nieopodal centrum mamy już zarezerwowane pokoje w „Xinde Business Hotel” (160 juanów za pokój 2-osobowy za dobę plus zwrotna kaucja 27,50 juanów). Ale nie tak szybko z tym wejściem do hotelu! Najpierw uzbrojeni policjanci przed schodami do drzwi głównych, potem bramka, później skanowanie bagażu oraz czujny wzrok trzech ochroniarzy z bronią. Dopiero recepcja... a tu – angielski na poziomie mniej niż zero, smród papierosów, okna, przez które widać tylko mgłę – takie brudne. Ano, wychodzi na to, iż użyte w nazwie hotelu słowo „business”... jest mocno nadużyte.

2 sierpnia. Dzisiaj uzmysłowiłem sobie, że na przestrzeni ostatnich 25 lat jestem już po raz 44 w Chinach. Czym mnie dzisiaj one zaskoczą, poprzez tak długi przejazd północnymi terenami aż po Morze Żółte? Poprzednie, biznesowe pobyty w południowych rejonach od Szanghaju po Hongkong tylko w małym zakresie dawały szansę na zwiedzanie i poznawanie tego ogromnego kraju. Zaledwie jeden, czasem dwa dni z moich dwutygodniowych pobytów przeznaczałem na ten cel. Co prawda, w 2005 r. stałem po wyjeździe z Rosji na wysokości Czity, pomiędzy Zabajkalskiem a Manzhouli, na chińskiej granicy motocyklem, objeżdżając wokół świata, jednak właśnie z powodu braku przewodnika, a w tamtych czasach policyjnego konwoju, nie zostałem wpuszczony wraz z pojazdem do Chin i sprawa dotarcia tą drogą do Władywostoku upadła. Wcześniej i później wielokrotnie przemieszczałem się różnymi pojazdami po tym kraju, jednak tylko jako pasażer wożony przez chińskich agentów i kierowców, teraz sam muszę podjąć „walkę” ze specyfiką tutejszego ruchu drogowego. Myślę, że te nabyte doświadczenia i obserwacje pomogą mi i nam w technice poruszania się po tym kraju.

Co do specyfiki bytu tych ludzi, zwyczajów i kulinariów mam większe doświadczenia, które z pewnością również się przydadzą. Nie zaskoczy mnie wszechobecny bród, smród i kultura osobista polegająca na bekaniu, charkaniu, spluwaniu na chodnik, braku dbałości o higienę jamy ustnej oraz namiętne palenie papierosów i porzucanie ich w dowolnym miejscu. Te wszystkie zjawiska już pierwszego dnia dały o sobie znak w kontaktach z miejscowymi Chińczykami.

Mamy świadomość, że ten dzień musimy jakoś zagospodarować, kierowcy całe do południa, pasażerowie cały dzień. W tej części Chin słońce wstaje dopiero sporo po

ósmej, pamiętajmy, że w Chinach obowiązuje tylko jedna strefa czasowa i w związku z tym nie jest to prawidłowe odniesienie do światowych stref czasowych. Wychodząc na ulicę, pierwszy raz zetknęliśmy się z tak ogromną liczbą skuterów elektrycznych i z tańczącymi bądź ćwiczącymi o poranku w parkach Chińczykami (do parku również przechodzi się przez bramki i strażników z bronią). Zaczynamy od wymiany pieniędzy, które przebiega bardzo sprawnie i to z lepszym kursem niż ten oficjalny, bankowy... ano taki zaoferował „konik”, gdzie za 100 USD otrzymaliśmy 6700 CNY lub RMB (yuan renminbi, czyli juan). Przeliczamy i od dziś musimy zapamiętać, iż 1 juan to 0,56 polskiego złotego. Tymczasem Wiola z Mirą poszły zwiedzać stary Kaszgar, Agnieszka została w hotelu, a reszta o 14.00 jedzie z powrotem do posterunku celnego, gdzie wczoraj pozostawiliśmy auta.

Ponownie perypetie i kłopoty, nasze pojazdy podobno ważą... więcej niż wczoraj, mało nie skończyło się na przedłużeniu kwarantanny o następny dzień. Mała łapówka udzielona przez naszego chińskiego przewodnika pana Wanga uratowała sprawę. Po kilku godzinach auta są nasze i jedziemy do hotelu. Wieczór i kawałek nocy spędzamy na przepięknym starym mieście Kaszgaru.

Miasto należy do prowincji Xinjiang, oznaczający dosłownie nowe kresy. Nazwa ta została nadana w 1759 roku, kiedy w wyniku podboju Dżungarii terytorium to weszło w skład Chin. Mieszka tu zdecydowana większość Ujgurów, wyznających islam, którzy fizjonomią kompletnie nie przypominają Chińczyków i w większości nie znają chińskiego. Mają swój język, swoją kulturę, swoją kuchnię, a co za tym idzie, jest to ważny ośrodek kultury muzułmańskiej. Oprócz nich jest dużo Pakistańczyków, Afgańczyków, trochę Kirgizów, Tadżyków, próbujących tworzyć swój własny świat.

Chińczycy Han to okupanci, podobnie jak w przypadku Tybetu, którzy ten świat skutecznie niszczą. Ujgurzy, traktowani często jako obywatele drugiej kategorii, mają status podrzędny względem przybywających tu „osadników” ze wschodnich prowincji. Podobnie jak w Tybecie, dąży się do „rozcieńczenia” lokalnej ludności przez sprowadzanych tu masowo Chińczyków, co wybitnie drażni Ujgurów. Efekt?... liczba policji, jaką spotykamy przechadzając się wieczorem po mieście, patrol obok patrolu, wozy opancerzone gotowe prawie na wojnę. Kamery w mieście, na wjazdach czy wyjazdach z miasta, a do tego posterunki policyjne. W każdym sklepie obecny jest pan mundurowy, który ma pilnować porządku, uzbrojony po zęby. I jak czuć się tu wolnym... kiedy zewsząd Wielki Brat patrzy?

Eskalacja problemu zaczęła się w czerwcu 2009 roku, gdy w jednym z miast niedaleko Hongkongu jeden z Chińczyków oskarżył Ujgurów o gwałt dwóch kobiet. Rozgorzała bijatyka, a następnie w hotelu robotniczym wściekli Chińczycy zabili dwóch Ujgurów. To wystarczyło, aby w oddalonej o kilka tysięcy kilometrów stolicy muzułmańskiego Xinjangu, Urumqi doszło do pierwszych demonstracji, początkowo pokojowych. Długo nie trzeba było czekać, aby demonstracje i protesty rozeszły się po całym Xinjangu. Miały miejsce też w Kaszgarze i niestety doszło do rozlewu ujgurskiej krwi. Cała sprawa z zabójstwem dwóch Ujgurów tylko podsyciła już bardzo napiętą sytuację w całym Xinjangu i Kaszgarze.

Ginie ujgurska kultura. Coraz bardziej nasilają się wyburzania ujgurskich domów w Starym Mieście Kaszgaru. Chińczycy Han, napływający do Xinjiangu, mają większe perspektywy, lepsze możliwości na start i łatwiej im zacząć biznes – wystarczy tylko przystąpić do partii komunistycznej, czego religijny ujgurski muzułmanin nie zrobi. Widać gołym okiem, że ujgurską prowincję Xinjiang czeka ten sam los co Tybet: powolne i skuteczne zabijanie kultury ludzi, którzy są prawowitymi właścicielami tej ziemi. Region w przeszłości dwukrotnie ogłaszał niepodległość. W listopadzie 1933 r. jako Pierwsza Republika Wschodniego Turkiestanu, oraz w listopadzie 1944, jako Druga Republika Wschodniego Turkiestanu. Obie zostały zlikwidowane przez Chińczyków w 1934 i 1946 roku. Co gorsza, Xinjiang jest samotny w tej walce i mało kto w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co tu się dzieje, bo wszystko dzieje się po cichu, a Xinjiang nie ma tak jak Tybet swojego Dalajlamy. Mało kto mówi o krzywdach Ujgurów na Zachodzie... a kto to są w ogóle Ujgury? – wielu z nas zapyta.

A Kaszgar to miejsce nie byle jakie. Tu przecinały się wszystkie drogi Jedwabnego Szlaku. Każda karawana musiała zatrzymać się właśnie w tym mieście. To przedmieście ogromnej pustyni Takla Makan. Dziś Kaszgar to duża metropolia, gdzie resztki dawnego miasta zostają skutecznie przez Chińczyków niszczone, a w zamian stawiane są nowe, lepsze budynki, mające poprawić jakość życia tutejszym mieszkańcom. My, turyści jesteśmy bezpieczni, włos nam z głowy nie spadnie, toteż spokojnie zwiedzamy miasto. Szczególnie po zmroku, stare miasto za murami wygląda niezwykle, przypomina wręcz stare miasta Iranu, jak Yazd czy Shiraz. Ta sama technika budowania domów – drewniane pale, słoma i glina w późniejszej fazie suszona, tworzą ściany ujgurskich domów. Jego kameralna atmosfera pozwala spokojnie chłonąć obrazy, które tylko pięknem i kolorami zapisują się w pamięci.

Ponieważ Wojtek widział Kaszgar już po zmroku, ja opowiem, co zarejestrowałam za dnia, który spędziłam z Mirą. Nasz spacer zaczęliśmy od „Kaszgar Old City” i czego tam nie było... tradycyjne targi, drobne sklepy przyciągające turystów jedwabiami, zdobionymi nożami, drewnianymi instrumentami muzycznymi czy biżuterią oraz pięknymi wyrobami ze skóry, metalu i drewna. To miejsce, gdzie bezpośrednio na ulicy kowale, stolarze i szewcy tworzą swoje dzieła za pomocą ręcznych narzędzi. Są też uliczne sklepiki, w których mięso wisi na hakach i czeka na swoich kupców, gdzie na przydrożnych straganach możemy posmakować różnych miejscowych potraw i specjałów, gdzie możemy się napić zimnego, specyficznego napoju na bazie kwasu chlebowego. Ale jedno jest pewne, tego dnia piłyśmy doskonałą „kawę po kaszgarsku”, nie zawaham się powiedzieć, że ten, co ją tworzył, to jakiś magik, a może nawet alchemik. Procedury zaparzania trwały 40 minut, kompozycja to 24 składniki, użyte instrumenty są nam nieznane i choć kosztowała najwięcej ze znanych mi kaw... warto było!

Stary Kaszgar to miasto mające, dodajmy jeszcze, swój własny klimat i gdzie czas przemian cywilizacyjnych na szczęście zdecydowanie wolniej płynie. Przeszliśmy przez ulicę do jeszcze starszej zabudowy, choć słowo zabudowa to wielkie nadużycie, ale jest tu tak wiele do zobaczenia, że wchodzimy z Mirą wszędzie, do prywatnych domów również, jedna kobieta pozwoliła nam wejść po drabinie na taras, oj... ruina niebywała. Wychodząc, tak sobie pomyślałam, że czas tego miejsca, zagarniętego przez

dekadencję, nieuchronnie zbliża się ku zagładzie, a w przypadku właśnie Kaszgaru nie będzie to trudne zadanie, bo przecież po cichutku całe kwartały starej zabudowy są niszczone spychaczami i ustępują miejsca temu, co nowe, i nie da się zaprzeczyć: tak estetycznego i nowoczesnego centrum nie powstydziłoby się żadne polskie miasto. Żal tylko, że budowa nowych dzielnic oznacza niszczenie tradycyjnej, często kilkusetletniej zabudowy. To chyba typowe dla komunistów całego świata, że budowanie swoich utopii poprzedzają zawsze zrównaniem z ziemią tego, co stare, bez względu na wartość. Bo przecież, na miejscu zniszczonych, powstają bliźniaczo podobne domy, pokazujące, jak chińscy budowniczowie wyobrażają sobie „idealne” budownictwo ujgurskie. Na wielkiej przestrzeni miasta stworzono identycznie wyglądające, ozdobne fasady, maskując fakt, że owo fałszywe stare miasto konstruowane jest w całości z betonu. Już widzę chińskich turystów, którym sprzedaje się bilety wstępu do „starego Kaszgaru”, wmawiając im, że oglądają zabudowę sprzed kilkuset lat. Zresztą tego rodzaju oszustwa historyczne w tym kraju to podobno nic niezwykłego.

3 sierpnia. Po dwóch dniach opuszczamy hotel. Rano musimy jeszcze zrobić przegląd samochodów, ich rejestrację i wyrobić chińskie prawa jazdy. Ponownie z szybkiego załatwiania sprawy robią się dwie godziny przepychanek. Po oklejeniu narożników aut taśmą odblaskową, wreszcie jest już prawie wszystko, prawie to znaczy, że po tablice rejestracyjne musimy przyjechać za kilka godzin. Wykorzystujemy ten czas na wycieczkę, aby dotrzeć do jednego z najwyższych łuków skalnych na świecie „Shiptons Arch”, oddalonego od Kaszgaru o 70 km. Łuk skalny nazwany został od nazwiska jego odkrywczy – Erica Shiptona. Nazywany w języku chińskim Niebiańską Bramą, zaliczany jest do najwyższych skalnych mostów na świecie. Łuk po ujgursku nazywający się „Tushuk Tash”, ma 365 m wysokości i 65 metrów rozpiętości, odkryty w 1947 r., został później na długi czas zapomniany. Dopiero ekspedycja zorganizowana w roku 2000 przez National Geographic Society przywróciła pamięć o tym tajemniczym miejscu. Do niedawna, do łuku można było się dostać tylko dzięki wiedzy nielicznych miejscowych i to samochodem terenowym.

Dziś, gdy sława łuku staje się coraz większa, obok autostrady widnieje drogowskaz, a przy nowej asfaltowej drodze prowadzącej pod to miejsce przygotowano obszerny parking i informacje, kierujące nas na właściwą drogę do celu (wstęp 45 juanów od os.). Szlak wiedzie kanionem okresowej rzeki, przypuszczamy, że w porze wiosennej trasa nie jest dostępna ze względu na wysoki poziom wód płynących z gór. Po godzinie wędrówki naszym oczom ukazuje się ten cud natury. Na koniec wędrówki pozostają do pokonania strome i długie schody, prowadzące na taras, z którego najlepiej widać jego ogrom. Mimo że na zdjęciach tego tak nie widać, łuk naprawdę robi duże wrażenie. Jeszcze większe zrobiłby, gdyby oglądać go z drugiej strony. Jednak tam jest ogromna przepaść, otoczona stromymi brzegami gór, dostępna pewnie tylko dla bardzo doświadczonych wspinaczy.

Po południu wracamy kolejny raz do Kaszgaru, tym razem błyskawicznie odbieramy chińskie tablice rejestracyjne i jedziemy w rejon gór Pamiru, wzdłuż granicy z Tadżykistanem. Pierwszy raz tankujemy, ależ emocje, przed stacją „Sinopec” pasażerowie opuszczają auta, natomiast kierowcy stają przed kolczatkami poziomymi i piono-

wymi, żelazną bramą, stalowymi rurami, czekając, by pan Wang podał ochroniarzom jakiś uprawniający nas do tankowania dokument autoryzacyjny, po czym po kolei, pojedynczo, podjeżdżają do tankowania. 1 l ON – 5,32 juanów, czyli 2,98 PLN.

Jedziemy, a co po drodze? Punkty kontroli, policja, kamery, wioski ukryte za gęsto zasadzonymi smukłymi drzewami i glinianym murem z ogromną metalową bramą. Domy z kamienia i gliny, konstrukcja dość wątpliwa, ale kupy się trzyma. Mijamy wielobarwne góry, cementową rzekę w wersji mini; droga bardzo dobra, a tymczasem otoczenie zmienia góry na bardziej siwe, ponakrywane chmurami. Pod wieczór docieramy do zapory i zbiornika wodnego na rzece Bulunkou, gdzie u jego brzegów urządzamy dzisiejsze obozowisko.

4 sierpnia. Rano pada, a chmury porozkładały się na górach, murowane jurty, domki – „skrytki”. Jedziemy dalej na południe drogą G314, zwaną „Karakorum Highway” w rejon jeziora Kezhou Kala Kule Lake, położonego na 3914 m n.p.m. Po drodze mijamy skromne osady zamieszkałe przez Ujgurów. Przed jeziorem mijamy skrzyżowanie do przejścia granicznego prowadzącego z Tadżykistanem. W 2011 r. byliśmy na naszym GS-sie BMW po drugiej stronie gór i przełęczy, pokonując słynną drogę Pamir Highway, teraz podążamy nie mniej słynną trasą Karakorum Highway. Niestety, aura nie dopisała dzisiejszego poranka, piękne widoki zawłaszczyła mgła i ołowiane chmury.

Wracamy tą samą drogą, którą tu przyjechalіśmy, w kierunku Kaszgaru. Mieliśmy w planie przebić się szutrowymi drogami przez góry z Taheman do Zepu, jednak z powodu dużych opadów deszczu mamy informację, że poschodziły tam lawiny skalno-błotne. W drodze powrotnej pogoda radykalnie się zmienia, wreszcie możemy podziwiać przepiękne widoki na trzy siedmiotysięczniki, na otaczające nas góry z tą najwyższą w tym rejonie, którą przykrywa wieczna czapa lodowca – Kongur Shan 7719 m n.p.m. Dopadły nas jednak skutki nocnych ulew i tylko cudem udało się nam przejechać obok zepchniętego z drogi przez lawinę w przepaść tira, który zawisł i tylko patrzeć jak spadnie. A cud polegał na tym, że postanowiliśmy jakoś się przebić, nim przyjadą służby i zablokują całkowicie ruch, usuwając tira. A kiedy wszyscy stali i patrzyli, nasza grupa boczkim, przez kamienną rzekę przebiła się i pojechaliśmy dalej, trochę większym, a trochę mniejszym błotem, ale do przodu.

Na 50 km przed Kaszgarem skręcamy na wschód i przez Akto jedziemy podrzędnymi drogami do Yiengisar. W jednej z wiosek zatrzymaliśmy się na obiad i zakupy. Jak zwykle biegam z aparatem fotograficznym i beztrzesko strzelam fotki, aż tu nagle dwóch policjantów chce nas gdzieś zabrać, nie wiemy gdzie, ponieważ oni mówią po chińsku, a my po polsku, dopiero porozumienie osiągnęliśmy w języku migowym. Po dotarciu do aut, gdzie już czekał nasz przewodnik pan Wang, a policjantów zaczęło być coraz więcej, wszystko zostało wyjaśnione, że przecież nie spadliśmy na ziemię nagle prosto z chmur, tylko mamy na wszystko stosowne pozwolenia.

W Akto mieliśmy kolejną bardzo pouczającą przygodę, cała nasza grupa wraz z autami... została zaaresztowana, tuż obok kontrolnego posterunku policji. Około 15 mundurowych (ta liczba rosła z każdą minutą) trzymało nas ponad pół godziny pod bronią i nawet wyjaśnienia naszego chińskiego przewodnika nie dawały oczekiwanej

reakcji. Otoczyli nas samochodami, abyśmy nie podjęli próby ucieczki, robili nam setki zdjęć i czekali na posiłki oraz wyższych rangą policjantów. Przyjechał jeden, potem kolejni, patrzyli, dzwonili, doskonaliły pokaz siły, sprawności i możliwości. Nasze dokumenty skrupulatnie rozczytywali, wyglądali jakby myśleli, ale była w ich oczach jakaś nieokreślona bezradność... i dopiero kiedy przyjechał szef wszystkich szefów, nastąpiło nasze oswobodzenie. Widać umiał czytać ze zrozumieniem. Dalej kierujemy się główną drogą nr 315 do Yecheng i za miastem, tuż za posterunkiem policji, na parking, na którym rozłazi się smród, ponieważ służy on nie tylko do postoju, ale robi za toaletę i wysypisko śmieci, już po zmroku urządzamy obozowisko.

Dzisiejszy dzień jednogłośnie obwołaliśmy dniem policji i wypiliśmy toast za ich dzielną i patriotyczną postawę. Chińska Republika Ludowa może spać spokojnie, żaden wicherzyciel, antykomunista, szpieg czy inny taki złowrogi przedstawiciel imperialistycznych krain nie naruszy systemu, który oparł się nawet „polskiej chorobie” (termin ten został ukuty jeszcze w NRD, po czym zyskał wielką popularność w kręgach władzy ChRL. Mianem „polskiej choroby” określano międzyklasową mobilizację społeczeństwa, które całe występuje przeciw władzy niczym ruch „Solidarności” w Polsce w latach 80.).

5 sierpnia. Dzień zaczynamy od procedury tankowania. Z Yecheng jedziemy do Khotan. Tereny stają się coraz bardziej płaskie i z typowych stepów przeobrażają się w pustynię. Miasto położone jest w regionie autonomicznym Xinjiang, w południowej części Kotliny Kaszgarskiej, na skraju pustyni Takla Makan. Kierujemy się do centrum, a za bazę wypadową wybraliśmy parking obok wielkiego bazaru. I właśnie ten bazar był największą atrakcją: kolorowo, orientalnie i do tego potężna oferta kulinarna w wydaniu straganowym. Można oglądać, chłonąć zapachy i popróbować tych egzotycznych przekąsek. Zauważamy, że dominuje tofu w różnych odsłonach.

Jednak najciekawszym i dającym sławę miastu jest Jade City. Przez ponad trzy tysiące lat było źródłem pozyskiwania kamienia z rzek, Biała Jade (Yurungkash) i Czarna Jade (Karakash). Z tych złóż pochodzi kremowy, przechodzący do jasnozielonego kamień, a najcenniejszy jest ten czysty biały, osiągający horrendalne ceny. Czasem kolory się mieszają i tworzą wzory lub żyłki. Jadeit – Święty Kamień Mistyków, jest symbolem władzy, powodzenia oraz fortuny, długowieczności, płodności, mądrości i równowagi, jest bardzo popularnym kamieniem w kulturze chińskiej. Pomaga utrzymać pieniądze przy sobie. Jego nazwa pochodzi od hiszpańskiego słowa „piedras de ijada”, czyli kamień nerkowy, terapeuci leczą jadeitem choroby pęcherza i nerek. Był również używany do wyrobu biżuterii przez Majów, którzy przypisywali mu magiczne właściwości. Jest bardzo rzadkim minerałem i sporadycznie tworzy dobrze wykształcone kryształy. Skupiska jadeitu mogą osiągnąć masę kilku ton, ale nie wszystkie minerały mogą się przydać jako materiał jubilerski. Jest ładnie podobny do nefrytu, ale twardszy i ze względu na skład chemiczny należy do innej grupy minerałów. Podglądamy stragany i zerkamy do sklepów, gdzie na zapleczu obrabiane są kamienie, nieomieszkawszy zakupić bransoletki, na pamiątkę pobytu w tym niezwykłym miejscu. Jadeit do bransoletek wybierany jest bardzo często, nie tylko ze względu na jego cenę i piękny wygląd, ale i właściwości symboliczne, podobno nie tylko przynosi szczęście,

ale i chroni, a nawet, jak uważają niektórzy, ma właściwości uzdrawiające, czyli jak zapowiada prorocтво, zwiastuje mi się podróżowanie w zdrowiu, szczęściu i ochronie, a do tego zawsze będą trzymały się mnie pieniądze – tak wiele za tak niewiele.

Dalej to kontynuacja przejazdu drogą nr 315 na wschód i niezbyt ciekawe, monotonne widoki na pustynię Takla Makan. Nocleg na dziko, kilka km od drogi, 10 km za miastem Jutian.

6 sierpnia. Rano ruszamy dalej na wschód drogą nr 315. W Ming Feng uzupełniamy zapasy i po 40 km odbijamy na północ w drogę nr 165, która przecina pustynię Takla Makan z południa na północ. Potężny wiatr i pył podnoszony z pustyni mocno daje się we znaki, auta wręcz spycha z drogi. Siłę tę skrzętnie wykorzystali Chińczycy, umieszczając tysiące potężnych wiatraków generujących prąd. Nie wierzyliśmy, że może ich być aż tak wiele, ciągną się setkami kilometrów i to w wielu rzędach, krótki pomiar i przeliczenie dało taki wynik. Gospodarka i potencjał inwestycyjny w tym kraju nie zna granic. Pustynia jest drugą po Ar-Rab al-Chali, największą piaszczystą pustynią świata, o powierzchni równej 270 tys. km², tj. bliskiej powierzchni Polski. Klimat skrajnie suchy, silne wiatry i burze piaskowe powodują, że liczne, krótkie rzeki, spływające z otaczających gór, wnikają w nią i „gubią” wodę w jej piaskach. Wydmy przypominające piramidy wznoszą się 300 m ponad otaczającą je równinę, a gwałtowne wichury mogą podnosić trzy razy wyższe ściany piasku. Otoczona jest przez najwyższe na świecie łańcuchy górskie od północy Tien-Shan (Tien-szan), od południa Karakorum i Kunlun Shan. Mozolnie pokonujemy obszar pustyni wąską asfaltową drogą, jazda po piachu jest praktycznie niemożliwa i graniczyłaby z lekkomyślnością, wręcz głupotą.

Pustynia Takla Makan to jeden z najbardziej niegościnnych i niebezpiecznych obszarów na Ziemi. Znana jest z mrozących krew w żyłach opisów burz piaskowych zwanych „kara buran”. Przypisywano im niekiedy nadprzyrodzone moce. Przemierzający te tereny w VII w. chiński mnich i podróżnik Xuanzang tak opisał to zjawisko: „Kiedy zrywa się wichur, ludzie i zwierzęta tracą orientację i gubią drogę, nie będąc w stanie wędrować dalej. Do ich uszu docierają żałosne jęki i inne przerażające dźwięki, sprawiając, że nieszczęśnicy nie wiedzą, dokąd iść. Wielu z nich przepada bez wieści, a wszystko to jest sprawką demonów i złych duchów”. Mieszkający w tym rejonie ludzie zawsze uważali ją za niebezpieczne miejsce, a nazwa Takla Makan, wywodząca się z języka ujgurskiego znaczy „miejsce łuków”. Pod wieczór z przygodami i kilkukrotnym grzebaniem się w piachu, kiedy tylko na kilkadziesiąt metrów wjechaliśmy w jej głąb, nocujemy w wyschniętym rozlewisku okresowej rzeki, w pyle i w złowrogim towarzystwie komarów.

7 sierpnia. Od rana dalsze zmagania z pustynią. Po dotarciu do Lutai, wpadamy na trasę nr 314 i kontynuujemy jazdę na wschód. Pod wieczór docieramy do miasta Korla. Co po drodze?... ano mozolna jazda w pustynnych krajobrazach, pokonywanie przestrzeni, a jedyne zdarzenie... to naprawa dwóch defektów w samochodzie Maćka, styrane przebiegiem i warunkami eksploatacji gumy popękały i trzeba je było ratować dętkami. Nocleg w hotelu „Jun Lan Hotel” (160 juanów za pokój 2-os. ze śniadaniem).

8 sierpnia. Od rana kontynuujemy jazdę na wschód w kierunku miasta Turpan (Turfan). Mieliśmy zamiar przejechać jeszcze do Urunqi, leżącego u podnóży górskiego masywu Tien Shan, stolicy regionu autonomicznego Xinjiang, jednak po wywiadzie okazało się, że na przejazd przez góry drogą nr 216 potrzebny jest specjalny permit. Na trasie kończącej zmagania z pustynią Takla Makan w okolicach przełęczy Argaybulak Daban, napotykamy na pierwsze większe uprawy szczególnego gatunku winogron, z których po wysuszeniu w specjalnych suszarniach, powstają słodkie rodzynki. Na wschodnim krańcu pustyni leży również wielka niecka, zwana Depresją Turpan (-154 m p.p.m). Jest to jedno z najgorętszych i najniżej położonych miejsc na Ziemi. Nie ma tu prawie żadnych opadów, a temperatury w lecie sięgają 50, a zimą -35°C, gdzie piaski pustyni Takla Makan sąsiadują niemal z piaskami pustyni Gobi... taka chińska „Dolina Śmierci”. Nieopodal oazy Turpan znajdują się ruiny miast, założonych około III w. p.n.e. Miasto owe leżało na trasie słynnego Jedwabnego Szlaku, którym aż do piętnastego wieku kupcy podróżowali pomiędzy krajami śródziemnomorskimi a Chinami. Miejsce to kojarzy się nam z tajemniczą, bezpieczną oazą na bezlitosnym Jedwabnym Szlaku pełnym kupców, bandytów i grajków, przepełnionym towarami, objuczonymi zwierzętami, miejscu, gdzie krzyżowały się kultury, rasy, religie i zwyczaje.

Szybko dojeżdżamy autostradą do miasta i jeszcze tego dnia rozpoczynamy zwiedzanie. Jedyne co przeszkadza, to potworny upał 45°C. W samym mieście nie ma wiele do zobaczenia, poza pięknym minaretem Emina, znajdującym się na obrzeżach (wstęp 45 juanów od os.). Budowę minaretu zaprojektowanego przez ujgurskiego architekta Ibrahima rozpoczęto w roku 1777. Budynek miał powstać prawdopodobnie w celu upamiętnienia stłumienia antymandżurskiego powstania przez turfańskiego dowódcę, Emina Hodżę. Budowę dokończył w roku 1778 syn Emina, Sulejman, od imienia którego pochodzi chińska nazwa Sugong (dosł. „Wieża księcia Su”). Minaret mierzy 44 m wysokości i jest najwyższy w Chinach. Wzniesioną z cegieł i drewna, zwężającą się ku górze wieżę, wieńczy niewielka kopuła. Ściany zewnętrzne wykonano z żółtych, suszonych na słońcu cegieł, ułożonych w różnorodne wzory.

Stamtąd jedziemy 10 km na zachód od miasta, aby zwiedzić ruiny „Jiaohe Ancient City Ruins” (wstęp 115 juanów od os. plus bus). Są chyba najlepiej zachowane i najłatwiej dostępne spośród wszystkich pozostałości starożytnych miast Jedwabnego Szlaku w Xinjiangu, miasto było stolicą byłego państwa Cheshi. Nazwa Jiaohe, znaczy po chińsku „gdzie spotykają się dwie rzeki”. Lessowe wzniesienie, będące niegdyś wyspą okoloną tymi właśnie dwiema rzekami, stanowiło naturalną obronę, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego miasto nie ma murów. Zamiast nich, strome urwiska (ponad 30 metrów wysokości) po wszystkich stronach okalających je rzek, działały jak naturalne ściany. Widoczne dzisiaj rozległe ruiny są pozostałościami budynków głównie z epoki Tang, gdy mieszkano tu ponad 7 tys. mieszkańców, głównie buddyjskich Ujgurów. W roku 2014 ruiny Jiaohe zostały wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Wytyczona szeroka centralna ulica umożliwia zwiedzanie, po wschodniej i zachodniej stronie (podział miasta), bez ryzyka naruszenia zabytkowej substancji. Mniejsze uliczki przecinają całe miasto, gdzie jest wiele pozostałości domów mieszkalnych dla

zwykłych ludzi, rezydencji dla arystokratów i żołnierzy, biur rządowych, warsztatów i świątyń (Wielki Klasztor), które przenoszą nas do świata starej architektury. Ze szczytu wzgórza rozciąga się piękny widok na całą dolinę. Na urwiskach po jej drugiej stronie widać liczne suszarnie winogron, gdzie powstają słynne turpańskie rodzynki. I właśnie te rodzynki, to największy fenomen tego najgorętszego w Chinach i ciągle zasypywanego piaskiem miasta. Tak, w tym piekielnie gorącym zakątku świata podstawową uprawą jest winorośl i to nie byle jaka. Winogrona z Turpanu mają ponoć najwyższą zawartość cukru i są niezwykle cenionym produktem na światowych rynkach. Ktoś zapyta, jak to możliwe? Otóż wszystkiemu są winne pradawne systemy irygacyjne zwane „karezami”. To ich obecność stała się przyczyną rozwoju osady na szlaku handlowym jako miejscu, gdzie można było napoić zwierzęta, czy zwyczajnie odpocząć kilka dni w zacisznym cieniu przed dalszą podróżą przez pustynię.

Zwiedzanie rozległych ruin zajęło nam sporo czasu, nawet mimo że dodatkowo wykupiliśmy transport elektrycznym busem. Po zmroku na szczęście robi się nieco chłodniej. Wracamy do Turpan, a na nocleg pozostajemy w hotelu „Gaochang Hotel” (240 juanów za pokój 2-os.). Pierwszym zamysłem było spanie gdzieś na dziko, jednak dotkliwe wysokie temperatury skutecznie odwiodły nas od tego pomysłu.

9 sierpnia. Ponieważ wczoraj z powodu braku czasu nie odwiedziliśmy starożytnego podziemnego systemu kanałów „karez”, robimy to dzisiaj tego poranka. Turpan nazywany „Prefekturą Ognia” i „Domem Wiatru”, osadzony w bardzo suchym klimacie, mimo to demonstruje rozległe, bujne i zielone oazy. Sekret leży w sieciach studni i kanałów nawadniających, rozprzestrzeniających się pod ziemią, takich jak sieci naczyń, które zapewniają siłę życiową Turpan. „Karezy” to nic innego, jak ręcznie kopana, wielokilometrowa sieć podziemnych kanałów, łącząca nieodległe góry z osadami i polami uprawnymi. Woda płynie pod ziemią, przez co ulega mniejszym stratom w wyniku parowania. Ten podziemny system został zbudowany przez lokalną ludność. Nawet dziś ludzie kopiący i utrzymujący nadal w sprawności „karezy”, są niezwykle cenionymi i dobrze opłacanymi pracownikami.

Muzeum „Karez Water System” (wstęp 40 juanów od os.) jest atrakcją obliczoną na dochód, sporo tu kiczu i makiet, ale mimo to warte obejrzenia. „Karez” jest słowem perskim i uważa się, że i sama technika wywodzi się ze starożytnej Persji, skąd rozprzestrzeniła się na zachód aż po Maroko i na wschód do Chin. Turpan jest nawadniany przez ponad 400 takich podziemnych kanałów, mających łączną długość blisko 5000 km, dlatego jest również określany jako „podziemny Wielki Mur”. Zapoznanie się z muzealnymi makietami i przejście wzdłuż jednego z kanałów, który udostępniony jest do zwiedzania, uzmysławia nam naocznie techniki i zasady działania tego systemu.

Opuszczamy miasto, a na wylocie gęszcz suszarń rodzynek. Kierujemy się na wschód drogą nr 312 do miejscowości Hami. Jedziemy terenami roponośnymi, a podstawowymi elementami krajobrazu są potężne magistrale energetyczne, kiwające się pompy wydobywające ropę, wielkie obszary paneli słonecznych i wiatraki, wytwarzające energię elektryczną. Szukając dobrego miejsca na dzisiejszą bazę noclegową, docieramy w góry Karlik Shan, odległe od Hami 20 km. Góry te są najdalej na wschód

wysuniętym pasmem gór Tien Shan, przez które przejeżdżaliśmy pierwszy raz w Kirgizji. Najwyższy szczyt Tomort 4886 m n.p.m., przykryty jest czapą lodowca. Pasma to łączy dwie wielkie pustynie Gobi i Takla Makan. Podjeżdżamy w jeden z wąwozów, prowadzących korytem wyschniętej rzeki pod lodowiec i pomiędzy skałami urządzamy obozowisko. Cisza, spokój, wreszcie umiarkowana temperatura, doskonałe miejsce na odpoczynek po trudach podróży.

10 sierpnia. Rano opuszczamy wzorcowe obozowisko, wracamy do trasy G30 i jedziemy dalej na wschód. Wczoraj w Turpan rozstaliśmy się z naszym chińskim przewodnikiem, panem Wang, dzisiaj po drodze w Liuyuan, odbieramy na dworcu kolejowym, naszego nowego przewodnika, którym jest jego młodszy brat, przedstawiający się ksywką Ricky i tak już do końca zostało. Dalej z Liuyuan kierujemy się drogą nr 215 do Dunhuang. Opuściliśmy Xinjiang i wjechaliśmy do prowincji Gansu. Nagle mniej posterunków policyjnych, a co za tym idzie, również kontroli, zasieków i innych takich podobnych barier. Jeszcze tego dnia w Dunhuang organizujemy bilety na jutrzejsze zwiedzanie wykutych w skale grot „Mogao Grottoes” (wstęp 100 juanów od os.). Przy wydmach, na publicznym parkingu nocujemy na dziko. Z tym naszym dzisiejszym noclegiem było nieco zamieszania, gdyż niespodziewanie znalazł się domniemany właściciel terenu, który zażądał sporej opłaty. Zbyty przez naszego przewodnika, groził wezwaniem policji, ale tylko na groźbach się skończyło i spokojnie spędziliśmy noc. Może spokojnie to zbyt duże słowo, gdyż na pobliskich wydmach balangi z fajerkami i muzyką trwały do późna.

11 sierpnia. Rano zwiedzamy kompleks „Mogao Grottoes”. Auta pozostawiamy na parkingu przed budynkiem administracyjno-muzealnym, najpierw w dwóch salach oglądamy filmy, a później autobusami udajemy się w pobliskie góry, aby zwiedzić kompleks grot. Jaskinie Mogao, znane też jako „Jaskinie Tysiąca Buddów”, to zespół 492 skalnych świątyń wykutych w skalnym urwisku. Jaskinie wypełnione są malowidłami i rzeźbami, z których najstarsze pochodzą z IV w. p.n.e. Jak głosi legenda, buddyjski mnich Le Zun odbywał długą podróż do Zachodniej Krainy. Po przeprawieniu się przez pustynię Gobi, w pobliżu Dunhuang, zatrzymała go góra Sanwei. Tam znalazł wyjątkowe źródło, gdzie po ugaszeniu pragnienia słodką wodą, usiadł, by zażyć odpoczynku. Zapadał zmierzch i mnich podziwiał zachód słońca, gdy nagle góry zaczęły błyszczeć. Uniósł głowę i ujrzał wspaniałego złotego Buddę Maitreję, unoszącego się na niebie. Wyłoniło się tysiąc promieniejących Buddów, otoczonych fruującymi wokół wrózkami, które grały na trzymanyh w dłoniach instrumentach niebiańskiej muzyki. Le Zun głęboko poruszony promienną sceną, natychmiast postanowił zostać i uczcić to wydarzenie. W przeszłości uczył się malarstwa i rzeźbiarstwa, więc użył swoich umiejętności, aby odtworzyć wizję, którą zobaczył na niebie. Lata później, inny mnich buddyjski o imieniu Fa Liang przybył w to samo miejsce i miał identyczną wizję. Fa Liang wypełnił drugą jaskinię malowidłami i rzeźbami obrazującymi boską scenę. Mogao szybko stało się miejscem pielgrzymek buddystów, artystów, urzędników i wielu innych ludzi.

Epoka panowania dynastii Tang była okresem największego rozkwitu sztuki w jaskiniach Mogao. Ozdobiono wówczas 260 jaskiń i wyrzeźbiono największe posągi,

w tym posąg siedzącego Buddy o wysokości 34,5 m, który jest jedną z największych na świecie rzeźb. Po upadku dynastii Tang, nastąpił również kryzys sztuki chińskiej w Mogao. Pochodzące z późniejszych epok posągi i malowidła są o wiele prostsze i ubożej zdobione, jednak i wówczas zdarzały się dzieła, zasługujące na szczególną uwagę, należy do nich 16-metrowy posąg leżącego Buddy, otoczony mniejszymi posągami jego uczniów. Dla starożytnych Chińczyków, którzy wierzyli, że Niebiosą chronią pobożnych, wyobrażenia z jaskiń były szczególnie wyjątkowe. Niektóre przedstawiały wielką dostojność Buddy, inne zaś okropności piekła czekające na grzeszników. Powszechnie wierzone, że bóstwa ukazują się w wizjach ludziom pełnym wiary, a owe sceny były przez to traktowane dosłownie jako ziemski wgląd w inne światy. W późniejszych wiekach straciły na znaczeniu i zostały częściowo zasypane przez pustynię.

Dla świata zachodniego odkrył je Aurel Stein, a w roku 1987 wpisano je na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Jaskinie są jedną z największych atrakcji turystycznych Chin, co powoduje, że zwiedzanie odbywa się w jazgotliwych tłumach, a prowadzeni przez przewodnika możemy odwiedzić zaledwie kilka świątyń z 30, które udostępnione są do zwiedzania. Szczęśliwym trafem, te najważniejsze z postaciami stojącego i leżącego Buddy są zawsze na trasie zwiedzania. Liczba odwiedzających, według opinii ekspertów, może stanowić zagrożenie dla tego miejsca, stąd też powstały plany zeskanowania malowideł, by zachować ich koloryt na dłużej.

Wracamy do głównego szlaku, drogi nr G30 i jedziemy autostradą do Jiayuguan. Obozowisko na dzisiejszą noc urządzamy nad zalewem, przed miastem. Ponownie przyjemne miejsce, niezbyt gorąco i tym razem bez owadów.

12 sierpnia. Dotarliśmy na zachodni koniec „Wielkiego Muru” (Final Point Of The Great Wall). Właśnie za ostatni jego bastion uznaje się fort w Jiayuguan, wyznaczający niegdyś granice imperium chińskiego. Trudno go porównać do pochodzących z tych czasów, europejskich zamków rycerskich. Budowla ta, będąc wielką warownią, mimo militarnego, a nie reprezentacyjnego charakteru, ma wielkość królewskiego kompleksu, jakim za czasów Jagiellonów stał się Wawel. Została zbudowana w roku 1372, za panowania cesarza Hongwu. Okala ją wysoki na 11 i długi na ponad 730 metrów mur, zwieńczony w narożnikach dwoma wysokimi, trzykondygnacyjnymi basztami obronnymi. Twierdza posiada dwie bramy, które dla bezpieczeństwa wyposażono w potrójne dachy i wewnętrzne dziedzińce. Zabezpieczało ją kilka linii obronnych, a w wewnętrznej części znajdowały się magazyny i studnia, zapewniające możliwość długiej obrony w wypadku oblężenia, a także świątynia buddyjska. Na bogate zdobnictwo twierdzy składają się pokryte szklivem dachy i elementy dekoracyjne wykonane z ceramiki, drewna i kamienia. Jak głosi legenda, gdy obywatel został wygnany z królestwa, był zobowiązany do wyjścia przez zachodnią bramę w Jiayuguan i już nigdy nie wracać.

W czasie zwiedzania, na potężnym placu, odbywały się różnego rodzaju pokazy... fascynujące sztuki walki, demonstracja umiejętności, a wszystko to w stosownych strojach i z rynsztunkiem w wielu wersjach. Był też pokaz sztuki teatralnej, scenki rodzajowe, malowanie wachlarzy i wiele innych zajmujących atrakcji. Jednym z elementów zwiedzania całego kompleksu jest odwiedzenie dość interesującego muzeum

„Wielkiego Muru”. Tu dowiadujemy się, że był on zbiorczym systemem obronnym, składającym się z zapór naturalnych, sieci fortów i wież obserwacyjnych oraz w najbardziej strategicznych miejscach murów obronnych z ubitej ziemi, murowanych lub kamiennych, osłaniających północne Chiny przed najazdami ludów z Wielkiego Stepu. Przyjmuje się, że „Wielki Mur” rozciągał się od Shanhaiguan na wschodzie nad zatoką Liaodong do Jiayuguan na zachodzie i ma długość około 2400 km.

Pierwszy „Wielki Mur” miał wznieść pierwszy cesarz Chin w III w. p.n.e., miała to być zarówno zaporę przed najazdem, jak i symbol potęgi władcy. Przy budowie miało zginąć z wycieńczenia około miliona robotników, a zmarłych miano zamurowywać w ścianach konstrukcji. Opowieści te były elementami legendy tyranii Qin Shi Huang. Rzeczywiste dowody na budowę przez niego „Wielkiego Muru” są bardzo skąpe. Znaną do dziś postać, mur uzyskał dopiero za dynastii Ming, w XV wieku. Dynastia ta, odczuwając duży nacisk ludów mongolskich, postanowiła zbudować, w oparciu o wciąż istniejące fragmenty starożytnego muru, ciągły system fortyfikacji od granic Korei aż po pustynię Gobi. System ten składał się nie tylko z samego muru, ale także z przylegających do niego osad nadgranicznych, factorii handlowych oraz szerokiego na blisko 1 km pasa „spalonej” ziemi. W czasie drugiej wojny chińsko-japońskiej, pełnił funkcję linii obrony dla wojsk Kuomintangu Czang Kaj-szeka.

W muzeum bardzo obrazowo przedstawiono strategiczne elementy budowli, jest sporo makiet i informacji na temat jego powstania. Natomiast „Wielki Mur”, który po raz pierwszy w tej podróży zobaczyliśmy na żywo obok fortu, był glinianym obwałowaniem o grubości 2–3 metrów i trudno go było utożsamiać z widzianą na zdjęciach potężną kamienną budowlą.

Po zakończeniu zwiedzania kompleksu pojechaliśmy jeszcze do oddalonego o jakieś 6 km od centrum Jiayuguan, położonego w pobliskich górach, fragmentu „Wielkiego Muru”, który w odrestaurowanej formie udostępniony jest do zwiedzania.

Po południu drogą nr G30 zmierzamy do Zhangye, a na nocleg pozostajemy w korycie wyschniętej rzeki, opodal Gór Tęczowych, które są niezwykle atrakcją tego miejsca i które będziemy zwiedzać dopiero jutro. Dziś dotarliśmy tu w porze zamknięcia i zrobiliśmy jedynie kilka fotek przez ogrodzenie. Mamy więcej czasu na wieczorny relaks, który tym razem realizujemy w mniejszym gronie, tylko z Jackiem i Mirą.

Ponieważ, jak wcześniej sygnalizowaliśmy, zdarzyło się wiele wpadek organizatora, tym razem również z tytułu braku informacji, doszło dzisiaj do małej utarczki słownej, dotyczącej czasu zwiedzania całego kompleksu w Jiayuguan. Jak podkreślałem, brak wyobraźni, doświadczenia i niekonsekwencja w działaniu, powoduje, że z uprzejmych na pozór ludzi, na jaw wychodzi pospolite chamstwo. I tak też się stało tym razem, co bardzo odmieniło atmosferę dalszego wspólnego podróżowania. Piszemy o takich sytuacjach, ponieważ właśnie wspólne podróżowanie wymaga specyficznej kultury współżycia; jeśli się jej nie stosuje, dochodzi do takich zdarzeń, jakie miały swe początki w Kazachstanie i dzisiaj podczas zwiedzania fortu. Finał?... to uszkodzone sprzęty, zagrożenia wypadkami lub wręcz katastrofami i przewrotna atmosfera. Znacze nas z tworzenia imprez i wypraw, więc rozumiecie, o co nam chodzi. Jako uczestnicy, a nie organizatorzy tej wyprawy, nie możemy tworzyć scenariusza

sza i atmosfery podróżowania. To rola organizatora, którego powinnością jest, co było kategorycznie ustalone przez niego na początku, czyli codzienna, poranna odprawa z ustnie udzielanymi informacjami co do trasy przejazdu i programu zwiedzania. Natomiast używanie CB-radia jest nieodzwonne w łączności na trasie, a nie do przekazywania ogólnych i szczegółowych informacji, jeśli się wie, że odbiór jest nie na najwyższym poziomie, a organizator ma najgorszy i do tego zawodny sprzęt. Tak więc, towarzysko zrobiło się nieznośnie i coś pozostało – dalej tak trwać, i jak to śpiewał Wojciech Młynarski: róbmy swoje...

13 sierpnia. Rano zwiedzamy zamknięty obszar Gór Tęczowych. Park zajmuje 510 km² i jest położony na północnym pogórzu pasma Qilian Shan. Główny obszar parku znajduje się w pobliżu miejscowości Kangle i Baiyin, 30 km na zachód od Zhan-gye. Rezerwat Krajobrazowy „Zhangye Colorful Danxia Scenic Spot”, to najchętniej odwiedzana część parku, posiada też najlepiej rozwiniętą infrastrukturę turystyczną (wstęp 74 juany od os.). Znany jest przede wszystkim z niezwykle kolorów skał, które tworzą ostre, nieraz wysokie na setki metrów ściany skalne i ostańce o nietypowych kształtach. W rezultacie krajobraz tworzą, przypominające gigantyczny, wielowarstwowy tort, różnobarwne przekładańce skalne, które w wyniku ruchów górotwórczych zostały przesunięte względem poziomu, tworząc malownicze wzgórza. Wiatr, deszcz i mróz nasilając erozję, z czasem nadały skałom fantastyczne kształty podobne do wież, filarów czy wąwozów o różnych strukturach i rozmiarach.

Już w roku 2005 obszar ten został uznany przez reporterów za jeden z najładniejszych krajobrazów formacji skalnych w Chinach, w roku 2009 „Chinese National Geography” uznał Zhangye Danxia za „szósty najpiękniejszy krajobraz” w Chinach, a w roku 2010 został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na żywo robią niesamowite wrażenie, lecz aby wyglądały bardziej impresjonistycznie, tak zdecydowanie kolorowo jak na folderowych zdjęciach, należałoby je podziwiać o świcie lub przy zachodzie słońca, koniecznie tuż po deszczu, gdy kolory są najintensywniejsze, kiedy powietrze jest przejrzyste, a skały nasączone wodą, pogłębiają nasycenie barw. Inaczej, tak jak w naszym przypadku, kolory są nieco bledsze, co nie znaczy, że gorsze.

Krajobraz Gór Tęczowych, to skrzyżowanie krajobrazu marsjańskiego i szalonego świata „Alicji w Krainie Czarów” lub... terenu po eksplozji fabryki farb. Skały mienia się wszystkimi kolorami tęczy... od czerwonego, przez pomarańczowy i żółty, zielony, niebieski aż po fioletowy..., lecz w nieco wybladłym wariacie. Generalnie, zwiedzanie jest dobrze zorganizowane, miejsce jest mocno oblegane, dzisiejszemu przemierzaniu platform towarzyszy słońce na całe niebo i temperatura 32°C, więc... w ruch poszły kapelusze, parasole, maski, okulary, chusty i... lody (wg mnie obrzydliwe, ale to rzecz smaku).

Dalej jedziemy na południe drogą nr 227 do Xining. Trasa biegnie przez kolejne pasma gór Qilian Shan. Jedziemy malowniczą trasą, gdzie pasterze przepędzają ogromne stada jaków, kóz i owiec. Po drodze pokonujemy kilka wysokich przełęczy, z tą najwyższą o wys. 3782 m n.p.m. Na kilkadziesiąt km przed Xining wpadamy na autostradę i w blasku zachodzącego słońca podziwiamy potężne, nowoczesne miasto. Xining, to nieogarnione osiedla 20-piętrowych bloków, pomiędzy którymi wy-

strzeliły w niebo jeszcze wyższe biurowce. Jakby tego było mało, wszędzie wokół wyrastają smukłe konstrukcje budowlanych dźwigów, oznajmiające wszem i wobec, że miasto nadal się rozrasta. Z daleka nie wyróżniało się żadne centrum, zupełnie jakby było nim całe, ciągnące się na przestrzeni kilkunastu km. Ricky, nasz przewodnik, wyjaśnia nam, że te bogactwa biorą się z wydobywania ropy, której pokłady lokują się na tym obszarze.

Jednym z głównych powodów naszego przyjazdu do Xining jest buddyjska świątynia „Ta’Er Temple”, położona 20 km na płd. zach. od miasta. Już po ciemku docieramy do Huang Zhong i znajdujemy miejsce na nocleg, na wzgórzu, niedaleko od ww. tybetańskiego monastynu.

14 sierpnia. Klasztor Ta’er Temple lub Kumbum Monastery położony jest na skraju Wyżyny Tybetańskiej, która od zawsze historycznie związana była z Tybetem aniżeli z Chinami. Ta’er Temple jest świętym miejscem dla buddyjskiej szkoły „Żółtych Czapek”. Tak popularnie w świecie zachodnim nazwa się jedną z głównych szkół buddyzmu tybetańskiego – Gelug, której pryncypałem jest Dalajlama (czyli lama o mądrości jak ocean). Znakiem rozpoznawczym są żółte okrycia głowy noszone przez mnichów. Podobnie jak w innym przypadku „Czerwone Czapki” są synonimem szkoły Kagyu.

To niezwykle opactwo buddyjskie, które jest niemalże całkowicie otwarte dla zwiedzających, wygląda jak miasteczko, zajmuje pokaźne wzgórze i składa się z niezliczonych budynków. Jego architektura pełna barw to prawdziwa uczta dla oczu. Po uiszczeniu opłaty (wstęp 80 juanów od os.), możemy zerknąć, jak funkcjonuje ten niezwykle klasztor.

Został wzniesiony w roku 1577, aby upamiętnić Tsongkhapa (1357–1419), reformatora i uczonego, założyciela szkoły Gelug. Mistrz ten znany jest z uniwersalnego, ekumenicznego, niesekciarskiego i apolitycznego podejścia, popartego rozległą wiedzą o wszystkich tradycjach buddyjskich. Ze względu na jego wkład dla rozwoju buddyzmu w Tybecie jest tradycyjnie uważany wraz z Longczenpą i Sakją Panditą za głównego odnowiciela buddyzmu tybetańskiego. Ta’er w języku tybetańskim znaczą „gongben”, co innymi słowy oznacza „10 000 figur Buddy”. Każdego dnia rzesze pielgrzymów i turystów przybywają tu z różnych stron świata. Obecność mnichów, misterna architektura świątyń, w połączeniu z feerią barw, towarzystwem wymyślnych rzeźb i posągów, jak również zapachem świec robi magiczne wrażenie. Prócz tego, młynki modlitewne mają kształt walca i zamieszczone są na obrotowej osi, a na ich powierzchni wypisane są mantry.

Według wierzeń, obracanie młynkiem daje taki sam efekt, jak ustne ich recytowanie, jednak młynek można obracać szybciej niż wypowiadać wersety. Widzieliśmy wiele rodzajów młynków, czasami bardzo małe, takie, które ludzie mogli trzymać w ręku, lub całe rzędy średniej wielkości, które wprawiali w ruch, obchodząc świątynię dookoła. Natomiast odbywający korę (obchodzenie) wokół klasztoru pielgrzymi, niewątpliwie nadają wiarygodności miejscu, które niegdyś, przez pewien czas, dawało schronienie Dalajlamie. Z kolei wspomniany widok pogrążonych w żarliwej modlitwie, zarówno starszych, ale co ważne, również młodych Tybetańczyków wzywa do refleksji. Ciężko bowiem uciec od pytań, dotyczących kondycji tej wiary i jej miejsca w codzien-

nym ich życiu. Przemierzając kolejne świątynie, na tym rozległym terenie, widzimy grupę osób klękających i opuszczających się na ziemię do pozycji leżącej, tak aby dotknąć jej głową, po czym wstają i tak bez ustanku. Podobno, w takim rytmie, niektórzy idą tak całą drogą do Lhasy, stolicy Tybetu. Mnisi, którzy praktykują ten typ pielgrzymki, mają blizny na czole od ran powstałych wskutek ciągłego dotykania głową do podłoża. Jedna z kobiet, którą podpatrujemy, podkłada sobie kawałek materiału pod głowę, żeby uchronić się przed ranami.

Znaczną uciążliwość tego miejsca jest ogrom pielgrzymów i turystów, cały czas przepychamy się w tłumie. Oczywiście, jak w każdym świętym miejscu, tuż obok klasztoru handel sprawnie przedstawia swą ofertę. Straganów bez liku: kapelusze, biżuteria, dewocjonalia, nieskończoność pierdół w ilościach i gatunku do wyboru. Oczywiście jest i straganowa gastronomia, z której również i my korzystamy, gdyż w tym rejonie i na tej wysokości, jako oferta kulinarna, pojawił się wreszcie ziemniak oraz bataty (słodka wersja ziemniaka), upieczone w skórkach, a do tego szaszłyki z wołowiny.

Po południu opuszczamy Huang Zhong, przejeżdżamy ponownie rozległe miasto Xining i jedziemy dalej na wschód, drogą nr G6 do Hongguqu, gdzie odbijamy na południe miasta Linxia. Po zjechaniu z głównej trasy przemieszczamy się malowniczą drogą przez góry, mijamy małe wioski, do złudzenia przypominające polskie krajobrazy okolic Nowego Sącza. Kolorowe pola uprawne, kultura rolna na małych arealach i stromych zboczach, a na ścierniskach stoją snopki. Tego na Nowosądeczynie niestety już nie ma... I jest jeszcze coś, czego nie ma (przynajmniej na razie): meczety – nowiuteńkie i te w budowie, rosną jak grzyby po deszczu. „Meczetowy” szlak kończymy w Linxia, wynajmujemy pokoje hotelowe w „Linxia Hotel” (168 juanów pokój 2-os. ze śniadaniem).

15 sierpnia. Kontynuujemy „meczetowy szlak”, przemieszczając się poprzez góry do Longxi. Malownicze, rolnicze tereny. Już wczoraj, przed miejscowością Linxia, wjechaliśmy w zastanawiający świat małych wiosek z nadmiarem meczetów. Ta nagła zmiana rozbudza nasze zainteresowanie, skąd mieszkańcy, muzułmanie, mają taką obfitość środków, aby wystawić tak wiele, tak ogromnych i okazałych świątyń? Nawet Ricky, nasz przewodnik, nie dał nam jednoznacznej odpowiedzi. Podobno, w jakimś stopniu, partycypuje w kosztach rząd chiński.

A jeśli jesteśmy już przy religii: w Chinach od wieków wyznawane są różne filozofie i religie. W Państwie Środka nigdy nie wystąpiło zjawisko panowania jednej religii nad drugą. Wprost przeciwnie, występujące tam religie przenikały i przenikają się nawzajem. Tak więc chińska religia to złożony i wieloraki zespół różnych podejść do Boga i jego roli w życiu człowieka. Mieszkańcy Chin mogą być na przykład budystami i konfucjanistami jednocześnie. Wielu z nich wyznaje buddyzm połączony z taoizmem. Jeszcze inni łączą je z elementami religii chrześcijańskiej. Ponad połowa mieszkańców Chińskiej Republiki Ludowej, pytana o wyznanie, nie deklaruje żadnego. Sześćdziesiąt pięć procent Chińczyków to ludność bezwyznaniowa. Oficjalne statystyki nie pokazują całej prawdy na temat religii. Mówiąc wprost, część ludzi nie przyznaje się do swojej religii, bo obawia się represji ze strony komunistycznego państwa. Kolejni, to ludzie, którzy wyrzekli się religii, właśnie na skutek represji ze strony władz. Jesz-

cze inni stosują tak zwany eklektyzm religijny, czyli łączą elementy różnych teorii, koncepcji i tez religijnych bądź filozoficznych, co utrudnia zdecydowanie i jednoznaczne utożsamianie się z jedną z nich. Około dwudziestu procent mieszkańców Chin wyznaje taoizm. Centralnym punktem tej religii jest tao – zasada kierująca światem, mówiąca o tym, że należy pozwolić rzeczom istnieć zgodnie z naturą, a zdarzenia mają biec tak, jak biec mają, bez wszelkiej ingerencji i narzucania czegokolwiek. Po chińsku wu wei znaczy „niedziałanie”. Odnosząc się do życia jednostki, wu wei przeciwstawia się wszelkiemu formalizmowi dotyczącego moralności, wszelkim przykazaniom czy zaleceniom, które są sztuczne i maskują prawdziwe uczucia. Człowiek powinien być dobry nie dlatego, że takie ma rozkazy czy zalecenia, tylko powinno to być dla człowieka w pełni naturalne, nie powinno wymagać od niego jakiegokolwiek wysiłku.

Ale idźmy dalej. Niewiele, bo tylko około sześciu procent Chińczyków przyznaje się do wyznawania buddyzmu. To trudna do zrozumienia religia, a trudna dlatego, że właściwie nie występuje w niej żaden Bóg. To religia, której istotą jest dążenie do doskonałości, a ta odnosi się do wszelkich sfer działania człowieka. W nagrodę za doskonałość cielesną i duchową osiąga się stan nirwany, czyli niezakłóconego szczęścia i błogości. Pozostałe religie Chin to islam i chrześcijaństwo. Muzułmanie i chrześcijanie stanowią tu jakieś trzy procent społeczeństwa. Religia chrześcijańska pojawiła się w Chinach za pośrednictwem wysyłanych tam europejskich misjonarzy, a szczególnie zasłużyli się tu włoscy jezuici, którym udało się nawet zdobyć względy i sympatię cesarza Chin. Przemieszczając się od Kaszgaru, jedziemy terenami, gdzie jest najwięcej wyznawców islamu, który przywędrował w te strony poprzez Jedwabny Szlak.

Dalej krajobrazową, lecz kiepską drogą, będącą w przebudowie, dojeżdżamy do autostrady C30 i już sprawnie, i szybko docieramy do Tianshui. Dzisiaj czeka nas małe święto, gdyż Mira i Jacek mają rocznicę swego związku, a jest niebagatelna, bo to już 40 lat wspólnego pożycia. Jako „tajnos agentos” zakupiliśmy... 40 sztuk „żeńszeniówki”, było trudno, ale kto da radę jak nie my? Zbieraliśmy tę ilość na trasie, w każdym sklepie, do którego mieliśmy dostęp podczas przerw w jeździe, by wreszcie w Tianshui dobrać do czterdziestki w różnego rozmiaru buteleczkach.

Jedziemy jeszcze około 20 km, do Maijishan, gdzie na podwórku u miejscowego kucharza stołówkowego straganu urządzamy obozowisko. A sama impreza? Oczywiście wypadła pozytywnie, zaskoczenie było tęgie! Rzędy flaszek stały na masce Defendera jak „Terakotowa Armia” gotowa do akcji – w tym przypadku „spirytualizacji”.

16 sierpnia. Rano, jeszcze przed zwiedzaniem grot, idziemy na parking, gdzie nasi gospodarze terenu, na którym rozbiliśmy obozowisko, mają swój gastronomiczny stragan. Ponieważ nie chcieli przyjąć zapłaty, to przynajmniej zakupionym śniadaniem zrewanżujemy się za gościnę. Na trasie przemarszu zagospodarowały się stragany z różnościami. Tym razem, prócz tego co zazwyczaj, znalazło się tu wiele suszonych owoców, a orzechowe „szaleństwo” dyskwalifikowało nawet wachlarze.

Zwiedzamy „Maijishan Grottoes” (wstęp 90 juanów od os.). Ten niebezpieczny, wręcz nieprawdopodobny cud architektury, choć z daleka wygląda niczym przerośnięty ul, śmiało mógłby się znaleźć w jednym z filmów science fiction. Ponad setka grot i tuneli wydrążonych w samotnej górze stanowiła przez setki lat święte i niedo-

stępne sanktuarium. Zespół 194 buddyjskich świątyń skalnych, wyrzeźbionych w górze Maiji, w łańcuchu Qin Ling w prowincji Gansu, ok. 45 km na płd.-wsch. od Tianshui. Groty wykuwane były od V wieku za czasów dynastii Song. Trudno dostępna lokalizacja pozwoliła na przetrwanie przez wieki malowideł ściennych i rzeźb, w większości wykonanych z kruchej gliny na drewnianej konstrukcji nośnej i osadzonej w porowatej skale. Ponieważ miejscowy materiał był zbyt miękki, twardy kamień na posągi przywożono z odległych miejsc. Zachowały się groty usytuowane na zachodniej i południowej ścianie góry, część środkowa zawaliła się podczas trzęsienia ziemi w 734 roku. W pionowej ścianie wykute są podesty i zewnętrzne schody, będące jedyną drogą do wysoko położonych jaskiń. Największe grupy rzeźb wykonano w czasach panowania dynastii Sui i Tang. Z okresu Sui pochodzą górujące nad grotami, wysokie na 16 metrów, płaskorzeźby, przedstawiające Buddę w otoczeniu dwóch bodhisattwów. Spacerujemy po trapach i balkonach zwieszonych wysoko nad ziemią. Z jednej strony podziwiamy rzeźby, a z drugiej, panoramiczny widok na otaczające góry.

Dalej jedziemy przez góry do Xi'an, starożytnej Złotej Stolicy. Późnym popołudniem dotarliśmy do miejsca, gdzie przed wiekami zaczynał się Jedwabny Szlak, łączący Chiny z Europą. Uznawane jest za jedno z najważniejszych historycznie miast Chin. Powstało ponad 3100 lat temu i było stolicą trzynastu dynastii. Obecnie cała jednostka administracyjna Xi'an liczy 8,5 mln mieszkańców. Główną atrakcją turystyczną jest znajdujące się w pobliżu miasta muzeum „Terakotowej Armii”. Są to gliniane figury naturalnej wielkości mężczyzn, ustawionych w szyku bojowym, odkryte przez chłopów kopających studnię w 1974 roku. Ale te cuda, będziemy zwiedzać dopiero jutro, a tymczasem szybko zalogowaliśmy się w hotelu Hong Yang Business Hotel (180 juanów pokój 2 os.) i taksówką, jedziemy do historycznego centrum.

Miasto za murami zwiedzamy już w nadchodzącym zmroku. Jadąc taksówką, podziwiamy potężne mury miejskie, liczące wokół 14 km. Cała fortyfikacja naprawdę robi wrażenie. Mury miejskie w Xi'an stanowią jeden z najstarszych i najlepiej zachowanych przykładów murów obronnych w Chinach, a jego budowę zaczęto już w XIV wieku, aby następnie przez kolejne stulecia go rozbudowywać. Dzisiaj to obiekt z listy światowego dziedzictwa UNESCO, odwiedzany przez setki tysięcy ludzi. Jednym z najatrakcyjniejszych miejsc miasta jest położona w centrum, tuż obok Wieży Bębna (Drum Towers) i Wieży Dzwonu (Bell Towers), dzielnica muzułmańska z zabytkowym Wielkim Meczetem, wybudowanym za czasów dynastii Tang. Dla wielu osób mijających ten budynek, może być niespodzianką, że jest to właśnie meczet, bo wyglądem odbiega od znanych nam meczetów, gdyż jest budowlą w typowo chińskim stylu architektonicznym i nie posiada kopuły ani minaretów. Meczet nadal używany przez chińskich muzułmanów stanowi często odwiedzaną atrakcję turystyczną. Musimy wiedzieć, że dzięki Jedwabnemu Szlakowi, łączącemu Państwo Środkie z Cesarstwem Rzymskim, w kraju pojawił się islam, to on dał początek wyjątkowej mniejszości, liczącej obecnie miliony osób, społeczności Hui, czyli chińskim muzułmanom.

Idąc dalej, z powodu ogromnej kolejki do kas biletowych, minęliśmy Wieżę Dzwonu wzniesioną w roku 1384, w czasie panowania dynastii Ming. Drewniana wieża jest największym i najlepiej zachowanym budynkiem tego typu w Chinach. Jej wysokość

wynosi 36 m. Wieża posiada trzy poziomy dachu i składa się z dwóch kondygnacji. Niegdyś z wieży rozlegały się dźwięki bijącego dzwonu, sygnalizujące początek dnia i czas otwarcia bram miasta. Dzwon na wieży informował także o grożących niebezpieczeństwach.

Następnie przeszliśmy do Wieży Bębna, a tam kolejka zupełnie przyzwoliła, tak więc zakupujemy bilety (35 juanów od os.) i wchodzimy. Wzniesiona w 1380 roku, a nazwa wieży pochodzi od dużego bębna umieszczonego wewnątrz, gdzie dźwięki dobywały się o zachodzie słońca, aby zasygnalizować koniec dnia. Wieża składa się z dwóch kondygnacji, a jej wysokość wynosi 34 m. Na pierwszym piętrze budowli mieści się sala, w której znajdują się 24 mniejsze bębny. W 1996 roku zamontowano w wieży nowy bęben, największy w Chinach. W środku wieży znajduje się muzeum bębnow, a niektóre z eksponatów, pochodzą nawet sprzed tysięcy lat. Drugie piętro wieży pełni funkcję tarasu widokowego, z którego roztacza się widok na miasto. Jesteśmy akurat w tym czasie, kiedy już nastały ciemności i włączono oświetlenie, więc czekamy na efekty specjalne, podziwiając w tym czasie panoramę miasta i pięknie podświetloną Wieżę Dzwonu.

Nasyciwszy wzrok, przeszliśmy ponownie do dzielnicy mużułmańskiej, aby zasmakować panującej tu atmosfery i dać się porwać feerii zapachów, tonąc przy okazji w oparach dymu z licznych stoisk z grillem, na których pichcą się kawałki najróżniejszego mięsa. Jest to miejsce bardzo gwarne z rzęsiście oświetlonymi ulicami. Gdzie nie spojrzeć... mnóstwo straganów i sklepów, w których można zakupić pamiątki, lokalne wyroby rzemieślnicze, a także smacznie zjeść, poczynając od smażonych krabów, mięs, zup, poprzez mużułmańskie ciasteczka, na tajskich lodach kończąc. Okrzyki sprzedawców, głośnie rozmowy zarówno turystów, jak i „lokalsów”, flesze aparatów, ostre zapachy przeróżnych przypraw. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy przenieśli się o kilka tysięcy kilometrów, gdzieś tam, z dala od Azji Wschodniej. I mimo iż byliśmy w podróży, nasze myśli wybiegły na chwilę, gdzieś wzdłuż „Jedwabnego Szlaku”, który w końcu zaczynał się właśnie tutaj, w Xi'an, toteż w ofercie nie zabrakło finezyjnych „perełek” z jedwabiu.

Nieco skonani szybkim zwiedzaniem i nadmiarem wrażeń, wracamy do hotelu, chwila relaksu i... dobranoc.

17 sierpnia. Rano przejazd przez potężne miasto w potwornym ruchu. Dotarcie do Lintong, oddalonego zaledwie o 30 km, zajęło nam dwie godziny. Zwiedzanie muzeum „Terakotowej Armii” (dosłownie: „Figury grobowe żołnierzy i koni”), to nie lada wyzwanie, gdyż wraz z nami czyni to tysiące innych turystów, w przeważającej części Chińczyków, a wszyscy podekscytowani i niecierpliwi. Już samo znalezienie parkingu, a później kolejka do kasy po bilety jest wyzwaniem. Na szczęście Ricky, nasz przewodnik, zdobył je, wykorzystując swe przedstawicielstwo i firmę turystyczną (wstęp 150 juanów od os.).

W Museum of Qin Pottery Figures „Terracotta Army” (wykonane z terakoty, czyli wypalanej gliny) znaleźliśmy się z powodu pierwszego cesarza Qin Shi Huangdi i jego specyficznych żołnierzy. Chińczycy zawdzięczają mu zjednoczenie podzielonego królestwa i utworzenie chińskiego imperium, które przetrwało do dnia dzisiejszego,

w niemal niezmienionej formie. Mimo nieocenionych zasług dla rozwoju Chin pierwszy cesarz uważany był i jest nadal także za despotę i tyrana oskarżanego o czystki, walkę z religią, niszczenie ksiąg oraz zmuszanie ludzi do wyniszczającej, morderczej pracy. Jego dynastia Qin upadła zaledwie cztery lata po jego śmierci. Jednak jego panowanie, nie miało się skończyć wraz z jego śmiercią. Rozkazał stworzyć armię z gliny, która miała strzec go w życiu pozagrobowym. Nad powstaniem mauzoleum cesarza przez 36 lat pracowało 700 tys. robotników przymusowych, architektów i rzemieślników. Składa się ono z trzech ogromnych wykopów, w których ustawiono 7,5 tys. terakotowych wojowników i 600 koni naturalnej wielkości, pokrytych warstwą laki i pomalowanych mineralnymi barwnikami. Są wśród nich dowódcy, generałowie i oficerowie, wyżsi od zwykłych żołnierzy oraz jazda, łucznicy i piechota. Każdy uzbrojony w prawdziwą broń, z indywidualnymi rysami twarzy, w precyzyjnie wykonanym mundurze. Niektórzy przystrojeni biżuterią i ozdobami we włosach. Figury składają się z trzech ruchomych części: pustej głowy i korpusu oraz litych nóg. Dzięki temu można je było łatwo transportować i ustawiać. Armię oraz nielicznych cywilów umieszczono w specjalnie przygotowanych dołach przykrytych drewnianym dachem wspartym na filarach. Podłogę i ściany wyłożono cegłą, a stropy trzciną wzmocnianą gliną, mającą chronić przed deszczem. Wkrótce po śmierci cesarza broń z jego mauzoleum została skradziona. Nadpalony dach nad armią zawalił się, tłukąc figury. To, co obecnie podziwia dwa milionów turystów rocznie, to pracowicie sklezione rekonstrukcje.

Ale zacznijmy od początku. Historia miała się tak: kiedy w roku 1974, w małej wiosce położonej 30 km na wschód od Xi'an nastąpiła susza, ludzie nie mieli czym podlewać upraw, więc szef wioski zdecydował, że trzeba wykopać studnię. Długo poszukiwano najlepszego miejsca, czyli takiego, które położone było najniżej. Zaczęło się kopanie, rolnikom szło bardzo ciężko, ziemia była twarda, spalona słońcem. Po trzech dniach, pod pracującymi mężczyznami nagle zapadła się ziemia. Natrafiono na glinianą głowę, później okazało się, że należała do wojskowego wyższej rangi. Należało zachować ostrożność, bo warto było wyciągnąć ją całą i zrobić z niej... naczynie w gospodarstwie. Po chwili chłopcy spostrzegli, że znajdują się w podziemnych korytarzach wypełnionych posągami naturalnej wielkości żołnierzy, więc zaczęli wykopywać gliniane ciała... i tak trzej rolnicy z pewnością nie przypuszczali, że przyczynią się do jednego z największych wydarzeń archeologicznych XX w., które porównywane jest ze sensacyjnym odkryciem grobowca Tutenchamona (1922 r.). W taki właśnie prozaiczny sposób odkryto przez przypadek słynną dziś na cały świat „Terakotową Armię”. W 1976 roku odkryto drugi tunel, z rydwanami i piechotą, później trzeci, z dowództwem armii i czwarty, pusty, ponieważ prawdopodobnie nie ukończono wszystkich prac przed śmiercią cesarza. Sam grobowiec cesarza, znajdujący się wewnątrz wzgórza Li, wciąż czeka na prace wykopaliskowe i nie wiadomo, jakie jeszcze kryje skarby.

Od roku 1979 figury były stopniowo udostępniane zwiedzającym. Muzeum „Terakotowej Armii” Pierwszego Cesarza Qin, składające się z trzech krypt o głębokości od 4 do 8 metrów, zostało otwarte w obecnym kształcie w roku 1994. Znaleźisko zostało przykryte ogromnymi hangarami, dzięki czemu możemy dziś podziwiać szeregi wojowników dokładnie w tym samym miejscu, w którym ustawiono je 2200 lat temu. „Te-

rakotowa Armia” określana mianem ósmego cudu świata, od 1987 roku znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Atmosferę zwiedzania psuje fakt, że nieustannie musimy przemieszczać i przepychać się, poprzez tłumy zwiedzających, nie ma mowy o chwili zadumy nad tym nieprzeciętnym dziełem i jego historią. Oczywiście należy to miejsce odwiedzić i zobaczyć, ale jakoś tak pozostaje niesmak uporczywej komercji, tak jak na Machu Picchu czy przy wodospadzie Niagara... no cóż, takie to utrapienie zwiedzania dziwów nad dziwy.

Tak na marginesie: wiara w życie pozagrobowe w różnych cywilizacjach wymagała należytych starań, by zmarły dostał to, co będzie mu niezbędne lub go chroniło. Nie jest też unikatem budowa nekropolii królewskich, w których obok władcy chowano figury jego sług i żołnierzy oraz skarby. Tak samo było chociażby nad Nilem, gdzie również liczba ukrytych skarbów była wprost proporcjonalna do bogactwa państwa i potęgi króla. Natomiast w Chinach cesarz Qin Shi Huangdi już na początku swoich rządów, wzorem władców zjednoczonych przez siebie państw, rozpoczął budowę grobowca. Od tysiąca lat w grobach królów grzebano tu razem z władcami ich urzędników, dwór, niewolników, żołnierzy, konkubiny, a nawet najbliższą rodzinę. Wszyscy mieli strzec króla. Później zaniechano tego procederu, a miejsce ludzi zajęły figury wykonane z gliny bądź drewna.

Po zwiedzeniu rozległego muzeum w temperaturze 47°C ruszamy dalej na trasę na płn. wsch. w kierunku Linfen. Nocujemy na „Rest Area”, obok stacji paliw „Sinopec”. Gorąco, wilgoć, komary i smród.

Ponieważ już spory odcinek pokonaliśmy od wjazdu do Chin, wypadałoby nieco wspomnieć o panujących tu zasadach ruchu drogowego. W prowincji Xinjiang, z której wyjechalśmy kilka dni temu, w zasadzie nie było większych problemów, umiarkowany ruch, długie przejazdy prawie pustymi drogami, w większości płatnymi autostradami. Dzisiaj w pełni dotknął nas jednak ten sposób jazdy chińczyków, który znałem z moich wcześniejszych doświadczeń, a który miał miejsce podczas biznesowych pobytów na południu. Ogromny ruch na zatłoczonych drogach, można by powiedzieć przelewająca się przez miasto i wioski masa wszelakich pojazdów, od skuterów, trójkołowych wózków, jeżdżących dziwnych konstrukcji, na wielkich, ponadgabarytowych tirach kończąc. I właśnie teraz przydały się te moje doświadczenia, gdyż Maciek, prowadzący grupę z ułańską fantazją, zaczął przemykać pomiędzy tymi pojazdami, nerwowo je wyprzedzając, nie zwracając uwagi, co z tymi, którzy zablokowani brną w tyle. A ja, gdzieś na końcu na CB słyszę: o zajechał mi drogę, nie patrząc wjechał przede mnie, o wymusił pierwszeństwo itp. ukwiecone przekleństwami. A co należy robić w tak zorganizowanym po partyzancku ruchu? Obserwować, gdyż nawet w partyzantce są jakieś zasady. Najważniejsze, nie starać się wyprzedzać, tylko spokojnie brnąć tempem chińczyków w tej całej masie, wtedy nikt nie wymusza, nie zajężdża, jest OK i bezstresowo. Kiedy za moją podpowiedzią prowadzący przeszedł na ten styl jazdy, wszystkie problemy i zagrożenia same zniknęły, a z nimi złowrogie przekleństwa.

18 sierpnia. Docieramy szybko autostradą do Pingyao. Miasto oddalone jest 715 km od Pekinu i 80 km od Taiyuan, stolicy prowincji Shanxi. Do „Pingyao Ancient City”

przyjeżdża się ponoć odnaleźć dawne Chiny, te z wyobrażeń i mitów o smokach. A nie jest to wcale takie proste. Rewolucja kulturalna zapoczątkowana w 1966 roku przyczyniła się do zrujnowania wielowiekowego dziedzictwa. W całym kraju niszczone świątynie, zabytki, meble, księgi, dokumenty... przechowywanie jakichkolwiek pamiątek było uznawane za burżuazyjne zapędy. Władze i czerwogwardziści postarali się, by zatrzeć pamięć o przeszłości, odebrać Chińczykom tożsamość i tym samym stworzyć podwaliny pod nowe, socjalistyczne społeczeństwo. Ale jest Pingyao... gdzie można przenieść się w czasie. Ponieważ stare miasto za murami zamknięte jest dla ruchu samochodowego, auta zostawiamy na parkingu obok murów i zwiedzamy je na piechotę.

Historia miasta sięga IX w. p.n.e. Dzięki doskonałemu położeniu w dorzeczu Żółtej rzeki, Pingyao błyskawicznie się rozwijało na przestrzeni wieków i stało się ważnym ośrodkiem handlu. Przebiegały tu szlaki kupieckie z południa Chin do Mongolii, a potęgą rdzennych kupców z ludu Han rosła. Za czasów panowania dynastii Qing, Pingyao stało się finansowym centrum Chin. To właśnie tutaj w połowie XIX wieku... powstał pierwszy w Chinach bank. Lokalni biznesmeni mieli problem, jak przewozić ogromne ilości gotówki i srebra, więc stworzyli system czeków i depozytów. W całym kraju błyskawicznie stworzono sieć pięćdziesięciu jeden banków, z tego dwadzieścia dwa usytuowano w samym Pingyao. Miasto okolone jest murem o długości 6 kilometrów, do którego można się dostać przez jedną z sześciu bram. Na szczycie fortyfikacji znajdują się 4 wieże i 72 wartownie, a wewnątrz zachowało się około 400 budynków z okresu panowania dynastii Ming i Qing. Ze względu na takie zabezpieczenia i jego rozplanowanie nazywane jest „Turtle City”. Cztery bramy są symetrycznie ustawione na wschodzie i zachodzie, wyglądając jak cztery nogi żółwia. Brama Południowa i Północna przypominają odpowiednio rolę głowy i ogona. Spoglądając z góry, wygląda jak olbrzymi żółw, poprzecinany pasami ulic, tworzącymi wzory na jego skorupie. Liczne zabytki reprezentują style, metody budowania oraz standardy architektury starożytnych miast Chin z różnych okresów. Można podziwiać tam także osiągnięcia artystyczne i estetyczne różnych narodowości chińskich, pochodzących z różnych rejonów Chin (dekoracje, wycinanki, rzeźby).

W samym centrum, gdzie wiedzie nas najpiękniejsza ze starych ulic Ming Qing Jie, nie funkcjonuje normalne życie, tutaj rządzi handel. Znajdują się tu hotele i hostele, muzea, sklepy, sklepiki, stoiska, restauracje i warsztaty. Można nabyć antyki, piękne tradycyjne malarstwo chińskie, przybory do kaligrafii, wyroby z jedwabiu, chińskie stroje i obowiązkowo dawne monety. Jesteśmy przecież w kolebce dawnej finansjery. Szare dachówki, szare drogi, szare niebo. Jedynym punktem kontrastu zdają się być czerwone lampiony. Od razu ma się przed oczami film Zhanga Yimou *Zawieście czerwone latarnie*. Zdecydowanie warto jest zgubić się choćby na kilka chwil, odejść w bok i w zaułkach zajrzeć na podwórka, gdzie toczy się codzienne życie mieszkańców, są skromne garkuchnie, wisi pranie i jest niezły pieprznik. Można też wykupić bilet, uprawniający do zwiedzania dawnych rezydencji bogatych kupców, banków i innych budynków, gdzie teraz znajdują się muzea, ale no to potrzeba dużo więcej czasu, my dysponowaliśmy zaledwie dwoma godzinami, a to zdecydowanie za mało.

W 1997 roku Pingyao zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO, jako najlepiej zachowane starożytne miasto w Chinach.

Po zwiedzeniu miasta, następuje zmiana planu i zamiast jechać na północ do Datong, aby zwiedzić wiszące świątynie, jedziemy na wschód w kierunku Morza Żółtego, do brzegów Pacyfiku. Datong zwiedzimy w drodze powrotnej, jadąc do Mongolii. Nocleg na trasie w Yangquan w hotelu Da Zhong Spa (140 juanów pokój 2-os.). Jakoś dziwnie ktoś ulokował hotel – pomiędzy betoniarnią a linią kolejową.

19 sierpnia. Pokonując szarobure, płaskie tereny wschodnich Chin płatną autostradą, jedziemy w kierunku Morza Żółtego. Krajobrazy w deficycie, a otaczającą nas przestrzeń przykrywa mgiełka, przypominająca dym lub smog. Do brzegów docieramy w miejscowości Huanghua. Co zastajemy? Koszmarne, myszate, błotniste wybrzeże, pocięte setkami stawów z hodowlą krewetek. Widoku na otwarte morze, a raczej zatokę Bo Hai Bay... brak. Przy ujściach kanałów, w błotnej, ołowianej mazi, kotwiczą zdezelowane i zardzewiałe kutry rybackie. W jednej z miejscowych „krewetkarni” konsumujemy te produkty chińskiego przemysłu spożywczego, gdyż to co zaobserwowaliśmy, z naturą nie ma nic wspólnego. Pokonujemy kolejne fragmenty wybrzeża, sceneria nieco się zmienia, gdyż pomiędzy krewetkowymi basenami, wyrastają wiertnie i pompy przemysłu naftowego. Pojawiają się również potężne rafinerie i inne obiekty przemysłowe. Nadal jednak nie dotarliśmy do morskiego brzegu, a przecież wszyscy marzymy o kąpeli, toteż po kolejnych próbach zatrzymaliśmy się na jakiejś grobli, gdzie po pierwszej akceptacji przez „lokalsów” i pobraniu opłaty za biwakowanie, szybko się z tego pomysłu wycofano i zwróciwszy nam pieniądze... przegoniono dalej.

Po dwóch latach ponownie stanęliśmy naszą Toyotą na wschodnim krańcu Azji, poprzednio we Władywostoku, na północ od Półwyspu Koreańskiego, teraz przybyliśmy do brzegów Pacyfiku po południowej jego stronie, a sięgając w podróżniczą historię, pierwszy raz dotarłem na drugi koniec Azji motocyklem, BMW R1150GS w 2005 roku, objeżdżając wokół świata..., liczę przebyte kilometry tylko w tych podróżach i dają wynik długości naszego równika, ponad 40 tys. km.

20 sierpnia. Wstaliśmy..., a dookoła „zielone” wydmy i ludzie naprawiający je, by się nie przemieszczały. W tle inwestycje, którym nie ma końca. Ale wróćmy do ponownienia prób dotarcia do otwartego morza. Przebrnąwszy przez rozległe obszary zamkniętych nabrzeży portowych, wreszcie udało się nam tego dokonać w obszarze Wolnej Strefy Ekonomicznej tuż za Tanggu, czyli Dongjiangwan Scene. Pozostawiliśmy auta na parkingu i gotowi na kąpiele maszerujemy na plażę. To co nas zastanowiło, to najpierw łopatki, grabki i wiaderka w ofercie sprzedaży, potem znak zakazu kąpieli, a na koniec... setki ludzi, chińskich plażowiczów taplających się w błotnej mazi, szukających nieznanym nam żyłtek, gdzie popielata woda wyrzuca na brzeg brudną, beżową pianę, dostarczając nam ostatecznych argumentów do odwrotu.

Zaspokoiwszy wszelkie potrzeby kontaktu z Morzem Żółtym, szybkim przejazdem dotarliśmy do stolicy, Pekinu (Beijing). Im bliżej tej potężnej aglomeracji, liczącej obecnie 20 mln ludzi, tym większy smog. Lokujemy się w północnej części miasta, przy piątym ringu, 20 km od centrum, w hotelu Huaqing Spa Hotel (270 juanów pokój 2-os.

bez okna). Będzie to nasze lokum na następne trzy noce, tak aby zwiedzić Pekin i udać się do Wielkiego Muru. Auta pozostaną na parkingu, a my przez ten czas będziemy przemieszczać się publicznymi środkami transportu. Ponieważ jesteśmy na tyle wcześnie, mamy jeszcze tego dnia możliwość zwiedzenia Summer Palace, czyli Pałacu Letniego. Znajduje się on ok. 15 km na płn. zach. od centrum Pekinu. Do cesarskiego letniego pałacu jedziemy więc metrem, które jest w tym mieście nad wyraz rozbudowane, a dystans 20 km pokonujemy w godzinę.

Kompleks parkowo-pałacowy (wstęp 30 juanów od os.) stanowił miejsce letniego odpoczynku cesarzy chińskich z dynastii Qing. Centralnym punktem Yiheyuanu jest Wzgórze Długowieczności oraz sztuczne jezioro Kunming. Nad brzegiem jeziora znajduje się przystań z wypożyczalnią rowerów wodnych, którymi za opłatą można popływać pomiędzy kwiatami lotosu w celach rekreacyjnych i pooglądać inne ciekawe miejsca od strony jeziora, np. Wyspę Południową z Mostem Siedemnastu Łuków. Cały kompleks zabudowany jest licznymi ogrodami, altankami, pawilonami, galeriami i klasycznymi rezydencjami (ponad 3 tys. obiektów). Naszej uwadze nie śmiał umknąć Long Corridor, czyli 728 metrowy korytarz, a raczej jakby przedłużona altanka, jej dźwigary zdobi ponad 14 000 malowideł. Podobno jest to najdłuższy tego typu obiekt na świecie. Możemy iść nim aż do ciekawostki architektonicznej w postaci słynnego Marmurowego Statku pokrytego w wielu miejscach mozaikami, który niestety nie pływa, natomiast... „popłynął” całkowicie budżet przeznaczony na rozbudowę floty, a wydany przez cesarzową Cixi... właśnie na tę konstrukcję i wiele innych. Wśród ważnych obiektów wymienić należy Halę Życzliwości i Długowieczności z rzeźbami w kształcie zwierząt na dziedzińcu oraz budynki na Wzgórzu Długowieczności (60 metrów wysokości) z Buddyjską Świątynią Morza Mądrości na czele.

Nazwa Yiheyuan oznacza Ogród Pielęgnowania Harmonii, a jego dzieje zaczynają się w 1750 roku, kiedy to dla uczczenia 70 rocznicy urodzin swojej matki cesarz Qianlong rozkazał utworzyć w tym miejscu rezydencję o nazwie Ogród Czystych Fal (Qingyiyuan). Pogłębiono i poszerzono wówczas jezioro, nadając mu nazwę Kunming. Ziemia wybrana po wykopaniu jeziora posłużyła do usypania Wzgórza Długowieczności. Qingyiyuan doznał poważnych zniszczeń podczas interwencji wojsk angielsko-francuskich w trakcie II wojny opiumowej w 1860 roku. W 1885 roku cesarzowa Cixi nakazała wybudować nową letnią rezydencję cesarską na gruzach Qingyiyuan.

Cały wieczór, aż do zmroku spędzamy w tym niezwykle urokliwym miejscu. Jest niedziela, więc największą uciążliwość stanowi nadmiar masy ludzkiej, ciągle gadającej. Niemal wszędzie trzeba się przeciskać, przepychać i być narażonym na włożenie drutów parasoli słonecznych w oczy. Dzień kończymy w jakiejś podrzędnej stołówce, racząc się kiepskim żarciem i dobrym piwem Tshingtao (popularna marka chińskiego piwa, również nazwa największego w Chinach browaru).

21 sierpnia. Po nocnych opadach, wszechobecny smog spotęgował swą moc, a przy panującym skwarze zrobiła się taka atmosfera, że tylko „siekiere wieszać”. Trasę do centrum pokonujemy metrem, wysiadając tuż obok Placu Niebiańskiego Spokoju (Plac Tian'anmen). Przybywają tu wszystkie zagraniczne delegacje i tłumy turystów.

Tutaj proklamowano Chińską Republikę Ludową, a dziś odbywają się najważniejsze uroczystości państwowe. Stąd także mieszkańcy Pekinu puszczają lampiony w Święto Wiosny. Oto Plac Bramy Niebiańskiego Spokoju, największy publiczny plac na świecie.

Zaczynamy obchód placu w pełnym słońcu, niebo ma odcień kremowy, a żar z niego leje się potworny, 42°C. Generalnie problem nasila się szczególnie w środku lata, gdy brak wiatrów, powietrze stoi, co zdarza się najczęściej. Miasto jest piękne i niezwykle interesujące, to fakt, ale ma tę poważną przypadłość: straszne kłopoty ze smogiem i to takim, przy którym ten w Krakowie to tylko symboliczny dymek. Ale wróćmy do placu. Posiada imponujące rozmiary: 880 m na 500 m. Historia placu i bramy sięga roku 1417 i czasów panowania cesarza Yongle, trzeciego cesarza Chin z dynastii Ming, zwanego architektem Pekinu. To on przeniósł stolicę z Nankinu do Pekinu, za jego panowania powstały także najważniejsze budowle: Zakazane Miasto i Świątynia Nieba. W czasach imperium przez plac Tian'anmen biegła święta droga, którą cesarz dwa razy w roku podążał z Zakazanego Miasta do Świątyni Nieba. W okresie panowania dynastii Ming i Qing (do 1912 r.) mieściły się tu główne urzędy państwowe, a przywilej wejścia na plac mieli tylko wybrani dostojnicy. Obwieszczano tu edykty cesarskie i celebrowano święta religijne. Plac miał wówczas kształt litery T i był otoczony murem. Na początku XX w. wyburzono urzędy cesarskie, które ucierpiały podczas II wojny opiumowej i powstania bokserów, i nigdy ich nie odbudowano.

Z czasem rozebrano także zabytkowe miejskie mury, a w latach 1952–1954, z okazji zbliżającej się 10. rocznicy utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej, plac został poszerzony i przebudowany. Budynki po obu stronach wyburzono, by postawić socjalistyczne gmachy państwowych instytucji. Tym samym Tian'anmen stał się największym publicznym placem na świecie. Wyraźne ślady radzieckiej architektury noszą główne budowle Muzeum Historii i Rewolucji Chin, Wielka Hala Ludowa, Mauzoleum Mao Zedonga oraz Pomnik Bohaterów Ludowych. Plac, świadek krwawych wydarzeń sprzed dwudziestu ośmiu lat i miejsce spoczynku wieloletniego dyktatora, który bezpowrotnie zmienił Chiny i Chińczyków, a którego kult jest tu wciąż żywy. Miejsce mało urokliwe, ciężko o nim mówić inaczej niż „osobliwość” z wstrząsającą historią. Kiedy w Polsce tworzyła się demokracja, w Chinach bezwzględnie łamano prawa człowieka. To tutaj 4 czerwca 1989 roku wojsko rozjechało gąsienicami czołgów i rozpędziło ogniem z broni maszynowej protestujących studentów. Cały świat obiegiło słynne zdjęcie autorstwa Jeffa Widenera, na którym, dzień po stłumieniu protestów, anonimowy przechodzień z siatką zakupów w rękę próbował zatrzymać kolumnę chińskich czołgów, stając się międzynarodowym symbolem walki o wolność.

Plac Tian'anmen od północy graniczy z Bramą Niebiańskiego Spokoju, oddzielając świat rewolucji od świata cesarskiego... dosłownie. Wchodzimy do Zakazanego Miasta..., a z fasady bramy czujnie obserwuje nas Przewodniczący Mao Zedong (Mao Tse-tung). Napisy po obu stronach portretu to typowe rządowe slogany: „Niech żyje Chińska Republika Ludowa” oraz „Niech żyją zjednoczone ludy świata”.

Zakupujemy bilety (60 juanów od os.) i wkraczamy do Zakazanego Miasta, miasta w mieście, przez wieki odizolowanego od świata zewnętrznego. Tak naprawdę,

to ogromny kompleks pałacowy, skrywający wiele bram, pałaców, ogrodów i świątyń. Otoczony gigantycznym murem i jeszcze większą fosą, konserwował tak cesarski dwór i jego otoczenie przez dobre 600 lat. I nie ważne, czy była to dynastia Ming, czy Quin, czy Mongołowie. Gdy Marco Polo odwiedzał Pekin, rządził tu Kubilaj Han. Końcem maja 1215 roku siły zbrojne Mongołów pod wodzą Czyngis-chana zniszczyły miasto, urządzając krwawą rzeź jego mieszkańców, pół wieku później jego wnuk Kubilaj odbudował miasto, które stało się stolicą jego imperium. Nadał mu nazwę „Dadu”, co oznacza „Wielka Stolica”. Kubilaj wolał umieścić swoją stolicę w Pekinie niż w środkowej części Chin, ponieważ miasto było ośrodkiem handlowym, chciał także, aby jego imperium przypominało Chiny. Taki był prawdziwy początek współczesnej roli miasta. A my? Mamy swoją historię: w czerwcu tego roku, jadąc motocyklem na Sardinie, staliśmy w Wenecji przed domem Marco Polo, teraz pokonawszy na kołach całą tę przestrzeń świata, stoimy w miejscu, gdzie on dotarł za czasów okupacji mongolskiej.

Kolejno mijamy imponujące bramy, dziedzińce, pawilony i pałace. Centralny i najbardziej imponujący, to oczywiście Pawilon Najwyższej Harmonii. Następne to Pałac Średniej Harmonii, Pałac Zachowania Harmonii i wiele innych. Tu pozwolimy sobie, przy całym zachwycie miejscem, na małą refleksję, no cóż, szkoda, że nie udostępniono pałacowych wnętrz, gdyż zwiedzanie kompleksu w tym wypadku kojarzy się z oglądaniem dziedzińców i bram, nie budynków. Oczywiście, jeśli ktoś jest w stanie dopchać się do pawilonów, to na kilka sekund, z oddali zerknie do wewnątrz, lecz na pocieszenie, wspaniałe pałacowe wnętrza... można obejrzeć w nagrodzonym dziełkiem Oskarami filmie B. Bertolucciego: *Ostatni cesarz*.

A co z zewnątrz? Niewysokie parterowe budowle wzniesione w tradycyjnym stylu. Bogato zdobione, trzykondygnacyjne dachy, są pokryte glazurowanymi, ceramicznymi płytkami o złotym kolorze, który był zarezerwowany wyłącznie dla cesarza. Zdobia je dekoracyjne figurki mitologicznych stworów: feniksy, smoki, lwy, pegazy czy jednorożce, których zadaniem była ochrona przed demonami. Przez Zakazane Miasto przepływa Żółta Rzeka, przez którą przerzucono 5 mostów, odzwierciedlających 5 cnót konfucjańskich. Natomiast ekspozycją wartą zachodu było zwiedzenie pałacowego muzeum zegarów The Clocks and Watches Museum (wstęp 10 juanów od os.). Wytwornie wykonane, ich zewnętrzne ozdoby świadczą o wysokim poziomie rzemiosła. To klejnoty historii czasu. Pałacowy kompleks opuszczamy przez Bramę Boskiego Zwycięstwa, by udać się do parku Jingshan położonego na Wzgórzu Węglowym, skąd roztacza się olśniewająca panorama Zakazanego Miasta, pod warunkiem że nie zalega smog.

Dalszy nasz plan zwiedzania zaprowadził nas na wschód od murów Zakazanego Miasta do hutongów, starych pekińskich dzielnic. Zachowało się tu jeszcze sporo autentycznych ich kwartałów, nierzadko aż o średniowiecznym rodowodzie. Po konsumpcji wspaniałych pierożków w małej jadłodajni, wynajmujemy riksze i zagłębiamy się w ich świat. Budynki są parterowe, bardzo małe, szczelnie połączone z sobą wąskimi korytarzami i posiadające w środku małe dziedzińce. Podróżujemy w takcie skrzypiącego łańcucha rikszy pośrodku innej przestrzeni, pięknie zdobione bramy, drzwi,

małe świątynie pośród starych, wijących się konarów. Tak mieszkano w Pekinie przed erą przeludnienia i blokowisk od czasów Dynastii Ming. Bloki z wielkiej płyty i biurowce wyparły jednak całe połączenie hutongów. Zwłaszcza w latach 50. i 60. dokonała się największa „rzeź” większości z nich. Hutongi mają swój urok i wydaje się, że obecnie przeżywają drugą młodość. Oprócz zainteresowania turystów, stają się miejscem, gdzie powstają nowe knajpki, kawiarnie, herbaciarnie, warsztaty rzemieślnicze, pensjonaty, hostele, a nawet rewitalizowane posiadłości.

Czas spędzony w tym miejscu szybko biegnie, a my w planie mamy jeszcze zwiedzenie Niebiańskiej Świątyni, która oddalona jest od centrum o kilka kilometrów. W celu przyspieszenia dotarcia w to miejsce wynajmujemy motorową riksę, a sam przejazd staje się nie lada atrakcją. Docieramy tam jednak na tyle późno, że możemy zwiedzić tylko park, a na świątynię jedynie popatrzeć i to zza okalających ją murów (wstęp 15 juanów od os.). Charakterystyczny okrągły budynek, składający się jakby z trzech nałożonych na siebie ostrosłupów – to symbol Pekinu. Świątynia Nieba, wybudowana bez użycia gwoździ i pnąca się ku niebu na ponad 33 metry, to tylko część ogromnego kompleksu, To właśnie tutaj cesarze dynastii Ming i Qing składali ofiary, modląc się o obfite zbiory.

Cesarz w Chinach uważany był za istotę niemalże boską. To on był ogniwem łączącym niebo z ziemią. W Świątyni Nieba symbolika ta nabiera jeszcze większego wyrazu. Niebo – okrąg i Ziemia – kwadrat, znajdują tu swoje odzwierciedlenie niemalże na każdym kroku. W jaki sposób? Otóż, by powiązać Niebo z Ziemią, okrągłe świątynie stawiano na kwadratowych płytach, obowiązkowo w osi południkowej. Kiedy cesarz modlił się o obfite plony, łączył te dwa wymiary, by stały się jednością. Zachodziło tu jednakże pewne ryzyko, bo kiedy mimo modlitw państwo nawiedziła klęska nieurodzaju, to cesarz tracił poparcie ludu, uważano, że nie jest już ulubieńcem Bogów, więc jako taki, tracił swój autorytet. Zobaczyć jeszcze możemy Pawilon Cesarskiego Sklepienia Nieba i Okrągły Ołtarz, niestety z oddali, a także nieco bardziej na zachód ogrody różane i fontannę.

Z parku wychodzimy już po zmroku i metrem wracamy do naszego hotelu na peryferiach. W Pekinie metro działa doskonale, jest bardzo bezpieczne, pracują tu tysiące osób, szczególnie ochroniarzy. Sprawdzane są wszelkie bagaże w formie security check. Bilety są tanie, kosztują od 3 do 8 juanów za kurs z przesiadką. Jesteśmy tak skonani nadmiarem wrażeń, ogromem zwiedzania, smogiem i gorącem, że po jednym drinku oddelegowaliśmy się do snu.

22 sierpnia. Dzisiaj dzień relaksu, choć zaczął się nieco wcześniej, wynajęliśmy busa dla całej naszej ekipy i jedziemy na spotkanie z Wielkim Murem. Tak jak Petra, Machu Picchu i Piramidy w Egipcie, Wielki Mur Chiński został wpisany na nową listę siedmiu cudów świata. Jest to największa i najdłuższa budowla na świecie wybudowana przez ludzi. Główna część muru ciągnie się na długości 2400 km, budowano go ponad 17 stuleci, a jego powstanie zostało okupione ofiarą prawie 3 milionów istnień ludzkich. Kusiło nas odwiedzenie takiego jego fragmentu, gdzie odnowiona część, w którymś miejscu się kończy i na pewno da się postawić kilkadziesiąt kroków na tym

starym, sprzed wielu wieków. Po konsultacjach stanęło więc na Mutianyu, około 60 km na północ od naszego zakwaterowania.

Docieramy w okolice Mutianyu i dalej w górach, przy zbiorniku wodnym „Huanghuacheng lake”, pokonawszy uliczkę pełną straganów, docieramy pod zaporę. Zakup biletów, wejście na tamę i płyniemy szybko łodzią na drugą stronę zbiornika, gdzie wchodzimy na Wielki Mur. Widok jest niesamowity, zdjęcie wydaje się straszonym spłaszczeniem rzeczywistego wrażenia. Stoimy i patrzymy na tę wielką budowlę, okalającą pobliskie góry, wijącą się od szczytu do szczytu i nadziwić się nie możemy, że ludzkimi rękami to dzieło powstało. Miejsce nad wyraz urokliwe i ciekawe, niestety pogoda niezbyt ciekawa, co powoduje, że zwiedzanie kończymy nad wyraz szybko i to ucieczką w tropikalnej ulewie. Po powrocie do Pekinu, shopping w pobliskiej galerii handlowej.

23 sierpnia. Kończymy przygodę z Pekinem, który dzisiaj przywitał nas nad wyraz rześką pogodą i klarownym niebem, żałujemy, że wczoraj nie mieliśmy takiej pogody. Jedziemy autostradami na zachód, do Datong, objeżdżając stolicę Chin od północy. Przez długi odcinek trasy przemieszczamy się drogą prowadzącą wzdłuż Wielkiego Muru. Na 30 km przed miastem zjeżdżamy z głównej autostrady i jedziemy następne 35 km pod Suspendet Temple – Wiszący Klasztor, zbudowany na skalnym urwisku góry Hengshan. Ten unikatowy zespół świątyń buddyjskich „przyklejonych” do zbocza powstał w VI w. z inicjatywy władców dynastii Wei. Kompleks składa się z około 40 pawilonów połączonych ze sobą korytarzami, schodami i balkonami. Naskalne grotty służyły niegdyś za sale modlitewne. Największe wrażenie wywiera przejście wąskimi drewnianymi pasażami, podtrzymywanymi jedynie kilkoma drewnianymi słupami, kiedy zdajemy sobie sprawę, że praktycznie wiszą one nad przepaścią. Niezwykle malownicze i kolorowe budowle, z których roztacza się piękny widok na pobliskie góry. Po zwiedzeniu jedziemy następne 70 km, aż za Datong do „Yungang Grottes”, które będziemy zwiedzać dopiero jutro. Obozowisko organizujemy na parkingu obok wejścia do obiektu.

24 sierpnia. Rano wraz z otwarciem kompleksu grot wpisanych na listę UNESCO zwiedzamy to niecodzienne miejsce. Groty Yungang to jedna z największych atrakcji w północno-wschodnich Chinach. W potężnych, bogato zdobionych jaskiniach wykuto ok. 50 000 posągów Buddy, w tym największy mierzy prawie 17 metrów wysokości. Jaskinie powstały za czasów dynastii Wei. Wszystkie figury wykonane są z piaskowca, który poddawany działaniu niekorzystnych warunków atmosferycznych jest szczególnie narażony na zniszczenie, dlatego od lat przeprowadzane są tutaj zabiegi w celu ochrony tego niezwykłego miejsca.

Na terenie obiektu spokojnie można spędzić pół dnia, odwiedzając kolejne jaskinie z licznymi wizerunkami Buddy w środku. Oprócz samych jaskiń, znajdziemy między innymi bardzo malowniczą świątynię na wodzie. Oczywiście, gdzie jest to tylko możliwe, napotkamy na wielką liczbę kolorowych straganów, oferujących różne gadżety. Pogoda dopisuje i od samego początku spaceru towarzyszy nam przyjemne,

słońce, a otaczający groty park jest doskonałym miejscem na chwilę relaksu przed dalszą jazdą.

Na tym obiekcie kończymy przygodę z Chinami i jedziemy na północ drogą 208 do granicy z Mongolią. Dzisiejsze obozowisko rozbijamy 20 km przed granicą, na rogatkach miasta Erlian, obok centrum turystycznego, zawiadującego skansenem dinozaurów. Jak wiadomo, znajdujemy się w południowo-wschodniej części pustyni Gobi, która zachowała najwięcej szczątków tych zwierząt.

W tym miejscu przychodzi czas na podsumowanie. Ponieważ moje doświadczenia z Chinami z 8 tys. km przejechanych w obecnej podróży muszę dołączyć do tych poprzednich, z ostatniego ćwierćwiecza kontaktów z tym państwem, ujmę to tak:

Chiny poznałem od środka, od zaplecza, czasem brudnego od przeróżnych spraw, innym razem niedostępnego i pięknego. Fascynują, ale wiemy, że nie moglibyśmy tu spędzić całego życia, gdyż za mało je znamy, rozumiemy i nie ze wszystkim się zgadzamy. Chiny są trudne i momentami nieznośne. Tłumy, wszędzie dużo ludzi, którzy się pchają, pluja, pierdzą i bekają bez żadnego skrępowania. Kiedy mówią, to krzyczą lub szczekają, nie oglądają się wokół, co powoduje, że ciągle na kogoś wpadają, szturchają i depczą. Palą w sklepach i restauracjach, nawet przy jedzeniu mimo zakazów, siorbią, mlaszczą, a resztki wypluwają na podłogę lub stół. Jest brudno, czasem przerażająco brudno, tak brudno, że podeszwy przyklejają się do podłogi, a meble kleją się do rąk. Karaluchy czują swą przewagę nad ludźmi, a widok szczura wychodzącego z kupy śmieci nie jest żadnym zjawiskiem. Spaliny i smog utrudniają oddychanie, a dzieci swe potrzeby fizjologiczne załatwiają na ulicy. Nie lepiej jest we wszelakich miejscach zwanych u nas toaletami, gdzie zapach urywa nozdrza, a uryna i kał wyłażą na zewnątrz.

Jeśli nie możesz znieść tego, co przedstawiłem powyżej, to nie jedź do Chin. Nie jedź do Chin, jeśli nie możesz żyć bez kanapki z serem na śniadanie, schabowego na obiad i jesteś jedzeniowym konserwatystą. Jeśli nie lubisz próbować nowych, nieznanych smaków, to niechybnie umrzesz tu z głodu. Większość potraw, które zostaną ci zaserwowane, będziesz widział po raz pierwszy w życiu, zapach i forma niejednokrotnie będzie odstręczać, a składników nie rozpoznasz i do końca nie będziesz wiedział, czy to był kurczak, szczur, pies czy może sfermentowane tofu, niekiedy ich woń będziesz kojarzył ze smrodami. Nie jedź do Chin, jeśli nie lubisz tłumów, gdyż zawsze i wszędzie będziesz w centrum zainteresowania tubylców. Bo masz tak jasną twarz i duże oczy, bo masz śmiesznie długi nos, masz włosy na rękach i nogach. Jesteś taki wysoki i inny, że koniecznie trzeba cię dotknąć, czy aby jesteś prawdziwy, i wszyscy chcą z tobą mieć „selfie”. Dla Chińczyka nie ma lepszej pamiątki z wakacji niż fotka z białym. W tym czasie kilku innych będzie pstrykać je również ukradkiem, udając, że nie są tobą zainteresowani.

Nie jedź do Chin, kiedy w hotelu oczekujesz anglojęzycznej obsługi, pokoje śmierdzą papierochami, a pościel robi wrażenie nieświeżej. W zwykłych hotelach czeka na ciebie grzyb, odchodzące tapety, śmierdzące tytoniem zasłony i brud niesprzątany od tygodnia, a okna, jeśli w ogóle są, wychodzą na śmietnik lub szyb wentylacyjny.

Jeśli nie lubisz wyzwań, nie radzisz sobie z rozwiązywaniem problemów, to nie jedź do Chin. Tu każdy dzień jest wyzwaniem, a czasem najprostsza sprawa urasta do rangi problemu. A wszystko to za sprawą grubego muru różnic kulturowych, które tkwią w tym narodzie od wieków, oraz ogromnej bariery językowej. To co dla nas jest oczywiste, dla Chińczyka niekoniecznie takim się jawi. Nie zrozumiesz, pytając o kierunek, dlaczego każda napotkana osoba pokazuje dokładnie ten w przeciwną stronę i nie korzystaj z tłumacza Google, bo zamiast do restauracji zaprowadzą cię na masaż.

Jeśli to, co powyżej przedstawiłem, cię nie przeraziło i jesteś przekonany, że to, co ciekawe i niezwykle nie musi wyglądać bajkowo i cukierkowo, pakuj walizki i ruszaj w drogę do Chin. Zaskoczą cię mnóstwem tego, o czym przeczytałeś w całej relacji, a o czym w tym podsumowaniu już nie wspominałem.

Radomir Kolmas
Anna Kolmas

Wietnamsko-tajska wyprawa



Termin: 11–29 lutego 2016

Uczestnicy: 2 osoby + 2 dzieci w wieku 9 lat

Wiza: Katar – na lotnisku w Doha wiza na okres 1 miesiąca za 100 QAR (płatność tylko kartą), za dzieci również trzeba zapłacić, formalności (nie trzeba zdjęcia) trwają około 30 min. Tajlandia – ruch bezwizowy na okres do 30 dni. Wietnam – wiza jednokrotna na 14 dni w ambasadzie Wietnamu w Warszawie za 230 PLN (od ręki, 1 zdjęcie). Makao – ruch bezwizowy. Hongkong – ruch bezwizowy.

Czas: Katar +2 godz., Tajlandia +6 godz., Wietnam +6 godz., Makao i Hongkong +7 godz. w stosunku do Polski.

Pieniądze (kurs na dzień 11.02.2016 roku):

Katar 1 USD = 3,63 riali (QAR), 1 EUR = 4,95 QAR

Tajlandia 1 USD = 35 baht (THB), 1 EUR = 39 THB

Wietnam 1 USD = 21 800 dongów (VND), 1 EUR = 24 600 VND

Makao 1 USD = 7,84 pataca (MOP), 1 EUR = 8,81 MOP

Hongkong 1 USD = 7,79 dolarów Hongkongu (HKD), 1 EUR = 8,78 HKD

Uwagi. Wietnam bardzo się zmienia i warto pojechać tam jak najszybciej (staje się bardziej nowoczesny i też zarazem droższy niż wcześniej). W Wietnamie w tym okresie (luty) występują 2 pory klimatyczne – na północ od Hoian pogoda zmienia się (deszczowo i około 10 st. C, a na południu około 30 st. C i słonecznie).

W Tajlandii na wyspie Phuket są inne ceny (o wiele wyższe) niż w innych regionach kraju – dotyczy to zarówno jedzenia, jak i noclegów i transportu (wyspa zdominowana głównie przez rosyjskich turystów).

Ciekawsze niż Hongkong wydaje nam się Makao – dużo pozostałości po Portugalczykach (kuchnia, architektura). W Hongkongu widać, że jest bardzo gęsto zaludniony (dużo ludzi na ulicach, bloki-wieżowce).

RELACJA Z PODRÓŻY

11 lutego. Na lotnisku w Warszawie okazuje się, iż jest overbooking i nie możemy polecieć Qatar Airways bezpośrednio do Doha. Linie wystawiają nam nowe bilety na przelot z Warszawy przez Budapeszt do Doha i z Doha do Bangkoku według wcześniejszej rezerwacji. 12.40 – przelot liniami LOT z Warszawy do Budapesztu – 1 godz. 5 min. 16.35 – przelot liniami Qatar Airways z Budapesztu do Doha – 5 godz. – w czasie lotu raz posiłek na gorąco. Z lotniska przejazd taksówką za 28 QAR do hotelu. Nocleg w hotelu Guest Palace w Doha – 250 QAR za pokój z łazienką bez śniadania – pokoje brudne, podniszczone.

Woda 1,5 l w sklepie za 1,50 QAR.

12 lutego. Śniadanie w hotelu – 20 QAR/os. (dzieci za darmo) – jajecznica, hummus, parówki, chleb arabski. Z hotelu jedziemy taksówką za 10 QAR w okolice Museum of Islamic Art. Spacerujemy nadmorską promenadą (Corniche) aż do hotelu Sheraton – po drodze port z tradycyjnymi, arabskimi łodziami, tzw. dhow, Pałac Emira, ministerstwa i wieżowce.

Przejazd taksówką za 20 QAR na suk Waqif – zadaszne alejki, budynki z mułu i koralowców, kawiarnie i restauracje. W kawiarni – 2 kawy, 2 wody – 38 QAR. Ciekawy jest bazar ze zwierzętami oraz plac obok Fortu, gdzie odpoczywają wielbłądy. Idziemy na piechotę na Corniche i oglądamy z zewnątrz Museum of Islamic Art (ciekawa, nowoczesna konstrukcja położona w parku). Taksówką za 15 QAR jedziemy na lotnisko (z zewnątrz oglądamy Muzeum Narodowe).

14.00 – lot Qatar Airways do Bangkoku – 5 godz. Przejazd z lotniska Suvarnabhumi do hotelu w Bangkoku za 600 THB, 40 min. Nocleg w hotelu Baan Khun Rak – apartamenty na wynajem – 2 pokoje z łazienką (bardzo czysto) – 1200 THB.

13 lutego. Przejazd taksówką w okolice Khao San Road za 120 THB + 50 THB opłaty za przejazd autostradą. Śniadanie w barze na Khao San Road – 2 zestawy z omletem (bekon, parówka), 2 omlety z szynką, tosty – 450 THB. Kawa latte grande w Starbucks za 100 THB.

Jedziemy tuk-tukiem (autorikszą) za 80 THB w okolice Pałacu Królewskiego. Zwiedzamy Pałac Królewski i Wat Phra Kaew (wejście 500 THB od osoby, dzieci za darmo) – w przypadku gdy wchodzimy np. w krótkich spodenkach, przed wejściem należy wypożyczyć odpowiedni strój (200 THB depozytu) – świątynia Phra Kaew jest najbogatsza i najciekawsza w Bangkoku (dużo pozłacanych stup, posągów i malowideł naścienne). Płyniemy tramwajem wodnym do Wat Arun – 3 THB/os. (dzieci też). Wchodzimy na szczyt Wat Arun, aby podziwiać widok na rzekę i Bangkok (wejście 50 THB/os., dzieci za darmo).

Wracamy z powrotem tramwajem wodnym do przystani Tha Tien i idziemy do Wat Pho (wejście 100 THB/os., dzieci również). W głównym budynku znajduje się słynny, pozłacany, tzw. Leżący Budda o długości 43 m, wokół znajdują się kolejne świątynie oraz szkoła masażu. Jedziemy tuk-tukiem za 80 THB na Khao San Road i jemy obiad w restauracji – 2 x smażony ryż z kurczakiem, smażony ryż z krewetkami, sajgonki, satay z kurczaka z sosem orzechowym, piwo Singha, woda, espresso –

860 THB. Jedziemy taksówką za 600 THB do hotelu po bagaże i następnie na lotnisko Don Muang – (przejazd zajmuje około 1,5 godz.).

19.35 – lot Air Asia do Ho Chi Minh (Sajgonu) – 1 godz. 20 min (4 bilety kupowane przez Internet w Polsce za 10 320 THB, w tym 1000 THB za 1 sztukę bagażu). Lotnisko w Sajgonie nowoczesne. Taksówka z lotniska do hotelu za 300 000 VND. Nocleg w Guest House Mai – 24 USD za pokój z łazienką. W kawiarni – sajgonki z warzywami, bagietka z dżemem, sałatka owocowa, kieliszek wina czerwonego, piwo Tiger i Saigon – 280 000 VND. W Sajgonie mnóstwo na ulicach motocykli – nieraz trudno przejść przez ulicę.

14 lutego. Śniadanie w barze – 2 kawy wietnamskie z mlekiem skondensowanym, 2 omlety z szynką i serem, 2 omlety, tosty – 297 000 VND. W sklepie – mała woda 3000–10 000 VND, duża woda 7000–10 000 VND.

Przejazd taksówką za 40 000 VND do Muzeum Pozostałości Wojennych (Museum of War Remnants) – wejście do muzeum 15 000 VND/os. + 7500 VND/dziecko. Muzeum znajduje się w dawnym budynku ambasady USA – zgromadzono zdjęcia, wycinki z gazet, a na zewnątrz sprzęt wojskowy (czołgi, helikoptery). Z muzeum na piechotę idziemy przez Park Tao Dan, aby zobaczyć świątynię hinduską (Mariamman Hindu Temple – zamknięta), katedrę katolicką oraz budynek poczty zaprojektowany przez Eiffla.

Zwiedzamy tzw. Pałac Zjednoczenia (Reunification Palace) – wejście 30 000 VND/dorosły + 3000 VND/dziecko – dawna siedziba Prezydenta Wietnamu Południowego – bogato wyposażone pokoje, lądowisko dla helikopterów, bunkier – centrum operacyjne w podziemiach.

Przejazd taksówką za 80 000 VND do chińskiej świątyni Jade Emperor Pagoda (wejście za darmo) – pełna kadzidełek i ludzi modlących się. Przejazd taksówką za 110 000 VND do dzielnicy Cholon – wizyta na bazarze Binh Tay (owoce, przyprawy, ubrania) oraz w pagodzie Thien Hau (wejście za darmo) – pełna kadzideł na suficie w kształcie spirali. Przejazd taksówką za 120 000 VND na handlową ulicę Dong Khoi (kupujemy 4 koszulki za 260 000 VND). Obiad w chińskiej restauracji – 9 pierożków z mięsem, smażony ryż z kurczakiem, kurczak w limonce, wieprzowina w sosie słodko-kwaśnym, piwo Tiger, herbata oolong, woda – 564 000 VND.

Spacer nad rzeką Sajgon, gdzie cumują łodzie-restauracje. Wstępujemy do baru na dachu hotelu Majestic, z którego roztacza się widok na miasto. Przejazd taksówką za 32 000 VND do Golden Dragon Water Puppet Theater. Oglądamy o godz. 19.45 (są również przedstawienia o 17.30, 18.30 – bilety trzeba kupić wcześniej tego samego dnia) spektakl tzw. kukiełek na wodzie (ludzie ukryci są za ekranem i pod wodą poruszają kukiełkami) – przedstawienie trwa około 1 godz. i składa się z około 10 różnych scenek, np. rybacy, taniec smoków, zbiory ryżu (do spektaklu muzykę przygrywa orkiestra) – bilety po 160 000 VND/os. (dzieci również). Powrót taksówką za 32 000 VND do hotelu.

15 lutego. Śniadanie w barze – 4 omlety, tosty, woda, 3 kawy wietnamskie z mlekiem skondensowanym – 304 000 VND. Z biura turystycznego położonego niedaleko

hotelu wypożyczamy samochód z kierowcą na wycieczkę do świątyni Cao Dai i tuneli Cu Chi w Ben Dinh za 100 USD (trwa 8 godz.).

Najpierw jedziemy około 2,5 godz. do świątyni Cao Dai (wejście za darmo) – sekty będącej połączeniem różnych religii – na nabożeństwo o 12.00, obserwacja z górnej galerii nabożeństwa z udziałem kobiet ubranych na biało i księży. Budynek w środku i z zewnątrz przypomina chińską świątynię. Następnie jedziemy do tuneli Cu Chi w Ben Dinh – wejście 90 000 VND/os. + 45 000 VND/dziecko. Zwiedzanie rozpoczyna się filmem nt. budowy i życia żołnierzy w tunelach, a następnie z przewodnikiem ogląda się w lesie bunkry oraz pułapki na Amerykanów. Można również wejść do pokazowego tunelu (oświetlony) oraz postrzelać na strzelnicy (około 30 000–45 000 VND za naboje). Miejsce ogólnie bardzo komercyjne – sklepy z pamiątkami związanymi z okresem wojny.

Z tuneli jedziemy około 1,5 godz. bezpośrednio na lotnisko w Sajgonie. Jemy obiad w restauracji na lotnisku – 2 razy smażony ryż z kurczakiem, krewetki w cieście, 2 razy sajgonki z makaronem, 2 piwa Tiger, woda, 2 kawy wietnamskie – 405 000 VND. 18.40 – lot Vietnam Airlines do Danang (1 godz.), bilety kupowane w Polsce przez Internet – 1 210 000 VND/osoba dorosła + 905 000 VND/dziecko, razem 4 230 000 VND – w czasie lotu otrzymuje się tylko wodę do picia.

Z lotniska w Danang taksówka za 335 000 VND do hotelu w Hoian (zamawiana przez hotel) – ok. 0,5 godz. Nocleg w hotelu Hoa My w Hoian – 32 USD za pokój ze śniadaniem – bardzo dobre warunki (2 duże łóżka), mały basen. W barze butelka wietnamskiego wina Dalat za 80 000 VND, 2 naleśniki z bananami, sałatka z papai, sajgonki z warzywami, shake mleczny z mango – 205 000 VND. W hotelu usługa prania – 25 000 VND za 1 kg.

16 lutego. Śniadanie w hotelu – 2 naleśniki z czekoladą, 2 omlety z warzywami, kawa, herbata. Kupujemy bilety na zwiedzanie Hoian – 120 000 VND/os. (dzieci za darmo) – bilet na 5 wybranych obiektów w Hoian. Zwiedzamy Tran Family Chapel – mała kaplica chińska położona w ogrodzie (w większości zabytkowych domów znajdują się sklepy z pamiątkami i przewodnicy, którzy po nich oprowadzają, zachęcają do ich zakupu) – w cenie poczęstunek imbirem i kokosem oraz oglądamy tzw. Tan Ky House – dom kupiecki usytuowany nad rzeką. Następnie udajemy się do tzw. krytego Mostu Japońskiego (mały, drewniany), do tzw. Assembly Hall of the Fujian Chinese Congregation (świątynia chińska ze spiralnymi kadzidełkami na suficie) oraz tzw. Assembly Hall of the Cantonese Chinese Congregation.

Przejazd taksówką do My Son i następnie na plażę Cua Dai – razem za 700 000 VND. Do ruin świątyń w My Son jedzie się około 40 min – wejście za 100 000 VND/os. (dzieci za darmo). Ogólnie świątynie My Son przypominają świątynię Angkor Wat, ale są zbudowane z cegły i w dużej mierze są bardzo zniszczone (na niektórych zachowały się płaskorzeźby i zdobienia). Ogólnie miejsce ciekawe – położone w dolinie i otoczone lasem tropikalnym. W kawiarni 2 kawy wietnamskie z mlekiem skondensowanym za 40 000 VND. Jedziemy na plażę Cua Dai – szeroka, piaszczysta plaża z palmami – morze bardzo wzburzone i raczej nie można się kąpać. Wracamy do Hoian (około 6 km) taksówką za 105 000 VND.

Obiad w restauracji w Hoian – tzw. white rose (pierożki ryżowe z mięsem), wonton (pierożki z mięsem), 2 razy sajgonki z mięsem i warzywami, wołowina w sosie słodko-kwaśnym z ryżem, kalmary nadziewane mięsem i warzywami, kieliszek wina Dalat, woda, duże piwo Tiger, kufel lokalnego piwa, mango lassi, 2 kawy wietnamskie – 537 000 VND. Spacer wieczorem po Hoian – ulice oświetlone lampionami, co tworzy niesamowity nastrój.

17 lutego. Śniadanie w hotelu – 2 razy naleśniki z bananami, 2 razy omlety z warzywami, kawa, herbata. O godz. 8.00 jedziemy autobusem, tzw. open-tour (autobus od Sajgonu do Hanoi przeznaczony głównie dla turystów – zakup biletów w hotelu) do Hue, 4 godz., 7 USD od osoby (dzieci również) – autobus sypialniany w stylu chińskim. Autobus przejeżdża przez 6-km tunel Hai Van – po przejechaniu tunelu zmienia się pogoda (robi się deszczowo i zimno – ok. 10 st. C). W Hue autobus zatrzymuje się w dzielnicy turystycznej.

W Hue nocleg w hotelu Sports 1 – 24 USD za pokój ze śniadaniem (3 duże łóżka, dobre warunki, czysto). W barze jemy – 2 razy sajgonki z warzywami, 2 bagietki z wędliną, 2 sałatki owocowe, 2 kawy wietnamskie – 286 000 VND.

Przejazd taksówką za 32 000 VND z okolic hotelu do Cytadeli. Zwiedzamy Pałac Cesarski (wejście 105 000 VND/os., dzieci za darmo) – ogólnie bardzo mało zachowało się z Pałacu, trwają prace restauratorskie – najlepiej zachowane to: Thai Hoa Palace, który służył jako sala tronowa; Halls of the Mandarins (miejsce, gdzie można przebrać się w stroje z epoki), Teatr Cesarski i świątynia To Mieu z urnami i ołtarzami na cześć cesarzy (odrestaurowana przez Polaków).

Przejazd taksówką za 82 000 VND do pagody Dieu De. Ogólnie pagoda mało ciekawa – wokół świątyni dużo mnichów. Powrót taksówką za 52 000 VND w okolice hotelu. Obiad w restauracji – smażony ryż z kurczakiem, wołowina z ananasem i ryżem, zupa pho, 2 razy sajgonki z mięsem, krewetki w trawie cytrynowej, naleśniki ryżowe z krewetkami zawijane w bananowcu, piwo Tiger, kieliszek wina Dalat – 396 000 VND.

Jedziemy taksówką za 32 000 VND do teatru z kukiełkami na wodzie – teatr na zewnątrz (wejście 100 000 VND/os., dzieci również) – najciekawszy taniec smoków oraz taniec kukiełek ze świecami na głowie. Powrót taksówką za 30 000 VND w okolice hotelu. W barze – 2 kieliszki wina Dalat, herbata imbirowa, naleśnik z czekoladą oraz naleśnik z bananem, owoce z jogurtem – 260 000 VND.

18 lutego. Śniadanie w hotelu – 4 omlety z warzywami, bagietki, owoce (ananas, jabłko, banany), herbata, kawa. Z hotelu wynajmujemy samochód z kierowcą za 27 USD na objazd tzw. grobów cesarskich w okolicach Hue. Najpierw jedziemy do grobu Tu Duc (wejście 80 000 VND od osoby, dzieci za darmo – do wszystkich grobów za wejście płaci się tyle samo, czyli 80 000 VND od osoby) – największy z grobów, otoczony wysokim murem ze stellami i posągami strażników na dziedzińcu. Następnie jedziemy do grobu Khai Dinh – w stylu europejskim, bogato zdobiony na zewnątrz, a w środku zdobienia na ścianach z porcelany, oraz do grobu Minh Mang – położony w ogrodzie z jeziorem (w środku grób zamknięty). Następnie jedziemy do Pagody Thien Mu – położonej na wzgórzu z posągami Buddy, mało ciekawa.

Po powrocie do Hue jemy obiad w restauracji – ryż smażony z kurczakiem, chicken satay, chicken curry, wołowina z warzywami, 2 razy sajgonki z warzywami, woda, 4 kawy wietnamskie, 2 ginger tea – 537 000 VND. Spacer po Hue – nadbrzeżem nad rzeką Huong oraz po bazarze Dong Be. Z hotelu przejazd taksówką za 10 USD na lotnisko Phu Bai w Hue. Lotnisko bardzo małe, ale nowoczesne.

21.15 – lot Vietnam Airlines do Hanoi, 1 godz., 1 300 000 VND od osoby dorosłej (razem za 4 osoby 5 000 000 VND) – tylko woda do picia. Z lotniska w Hanoi przejazd taksówką do hotelu – 15 USD, 30 min. Nocleg w Hanoi w hotelu Blue Sky – 21 USD za pokój z 2 dużymi łóżkami z łazienką i ze śniadaniem.

19 lutego. Śniadanie w hotelu – omlęt z bagietką, ananas, kawa, herbata. Spacerujemy po tzw. Starej Dzielnicy – stare kamienice i ulice wypełnione straganami, pełno ludzi. Kupujemy wietnamską kawę – 2 opakowania kawy po 250 g każda za 300 000 VND.

Idziemy nad jezioro Hoan Kiem z położoną na wyspie świątynią Ngoc Son (wejście 20 000 VND od osoby, dzieci za darmo) – z charakterystycznym czerwonym mostem oraz szkieletem wielkiego żółwia, znalezionym na dnie jeziora. Na pocztce wysyłamy kartki do Polski – pocztówka za 7000 VND + znaczek za 13 000 VND. W kawiarni – kawa za 20 000 VND + 4 ciastka za 42 000 VND.

Przejazd taksówką za 32 000 VND do Świątyni Literatury. Wejście do Świątyni za 20 000 VND od osoby (dzieci za darmo) – przypominająca chińskie świątynie z kolejnymi dziedzińcami i budynkami świątyń, otoczona ogrodem z drzewkami bonsai i kwiatami (słynne stelle na grzbietach żółwi oraz posąg Konfucjusza). Na piechotę idziemy pod pomnik Lenina i do Mauzoleum Ho Chi Minha w stylu socjalistycznym (pełno strażników, zamknięte, otwarte tylko w określone dni i godziny). Obok znajduje się Muzeum Ho Chi Minha (również zamknięte) oraz tzw. One Pillar Pagoda (symbol Hanoi – mała pagoda stojąca na słupie).

Przejazd taksówką za 98 000 VND w okolice Vietnam Museum of Ethnology – wejście 40 000 VND/dorosły + 10 000 VND/dziecko – nowoczesne muzeum nt. plemion zamieszkujących Wietnam, na dziedzińcu znajdują się kopie różnych obiektów (domy na palach, groby). Powrót taksówką za 120 000 VND do tzw. French Quarter.

Obiad w restauracji – 2 razy sajgonki z warzywami, ryż smażony z kurczakiem, wołowina z grilla z ryżem, sałatka z papai, kawa wietnamska, woda, butelka wina Dalat (za 280 000 VND) – 770 000 VND. Przejazd taksówką za 20 000 VND do tzw. Water Puppet Theater obok Jeziora Hoan Kiem – wejście do Teatru za 100 000 VND od osoby (dzieci również) – przedstawienie trwa około 50 min (razem 14 scenek). Powrót na piechotę do hotelu przez tzw. Starą Dzielnicę.

20 lutego. Śniadanie w hotelu – omlęty z bagietką, kawa, herbata. Wyjazd na wycieczkę do Zatoki Halong (załatwiana w hotelu, 45 USD za osobę dorosłą, 22,50 USD za dziecko) – przejazd z hotelu minibusem do Halong około 4 godz. (w tym przerwa 30 min). W cenie wycieczki bilety za wejście do Parku Zatoki Halong – 120 000 VND od osoby. Na łodzi jemy lunch wliczony w cenę wycieczki (krewetki, kapusta, tofu, sajgonki, kalmary, ryba, ryż). Po lunchu płyniemy do tzw. pływającej wioski (domy, restauracja, stacja benzynowa – wszystko na łodziach) – stamtąd małymi łódkami przepływa się wzdłuż skał przez jaskinię do laguny (w cenie wycieczki). Następnie

płyniemy na wyspę do jaskini Hang Dau Go – duża, ciekawie oświetlona, ogromne stalaktyty i stalagmity. Razem wycieczka łodzią trwa około 4 godz. i następnie ok. 4 godz. powrót minibusem do Hanoi.

W Hanoi wysiadamy w centrum koło Jeziora Hoan Kiem i idziemy na obiad do restauracji indyjskiej Namaste Hanoi – malai kofta, naan, samosa z warzywami, masala dosa, chicken biryani, chicken musharq (w sosie pomidorowym), woda, piwo Tiger – 505 000 VND. Powrót taksówką za 20 000 VND do hotelu.

21 lutego. Śniadanie w hotelu – omlety z bagietką, kawa, herbata. Przejazd taksówką na lotnisko Noi Bai w Hanoi za 15 USD. Na lotnisku kupujemy lalkę drewnianą z tzw. wodnego teatru za 3 USD oraz lalkę z papieru za 1 USD.

9.10 – lot Air Asia na lotnisko Don Mueang w Bangkoku – 1 godz. 40 min – około 310 USD za 4 osoby przez stronę Air Asia. W samolocie – japońskie wino śliwkowe za 150 THB oraz woda za 30 THB. W Bangkoku odbieramy bagaże i mamy około 3-godzinną przerwę. Jedziemy taksówką za 150 THB do centrum handlowego Future Plaza (wracamy na lotnisko za 80 THB) – w stylu europejskim, pełno sklepów i restauracji – w piekarni kupujemy 6 ciastek za 140 THB oraz kawę w Starbucks za 110 THB.

14.40 – lot Air Asia do Phuket – 1 godz. 20 min – 7817 THB (około 250 USD) kupowane przez stronę Air Asia. Lotnisko w Phuket małe i niezbyt nowoczesne. Przejazd taksówką do hotelu w Kamala – 750 THB (taksówki na wyspie drogie w porównaniu z pozostałą częścią Tajlandii), 30 min. Zatrzymujemy się w hotelu Kamala Tropical Garden – 9382 THB za 4 osoby w bungalowie w ogrodzie (bez śniadania) + 500 THB/dzień za dodatkowe łóżko – warunki bardzo dobre. Wypoczywamy na basenie w hotelu.

Jemy w barze obiad – sajgonki, zupa tom-ka z kurczakiem i owocami morza, 2 razy smażony ryż z kurczakiem, pad thai (makaron z kurczakiem i omletem), kurczak w sosie słodko-kwaśnym, 2 kieliszki wina, mango shake, piwo Tiger, woda – 980 THB. W sklepie duża woda 12–15 THB.

22 lutego. Śniadanie w barze – 2 omlety z tostami, 2 naleśniki z tostami, kawa, sok pomarańczowy, 2 sałatki owocowe (ananas, mango, arbuzy) – 560 THB. Wypoczynek na plaży – wypożyczenie leżaka za 100 THB. W barze na plaży – mai thai, 2 piwa Tiger, 2 sałatki owocowe, 2 wody – 560 THB. Wieczorem obiad w restauracji – pizza hawajska, zupa tom-ka, wołowina z bazylią z ryżem, pad thai, satay z kurczaka, 2 piwa Tiger – 1320 THB.

23 lutego. Śniadanie w hotelu w restauracji – 4 omlety z szynką i pomidorami z tostami, musli z jogurtem, kawa, herbata – 735 THB. Przejazd tzw. tuk-tukiem do Patong za 400 THB – 15 min. Wypoczynek na plaży w Patong – szeroka plaża, ale pełno ludzi i położona blisko ulicy – leżak za 100 THB. Obiad w restauracji – zupa tom-ka, 2 razy smażony ryż z kurczakiem, samosa z warzywami, pad thai, 2 naan, kurczak w sosie orzechowym, karafka wina czerwonego, woda – 1385 THB.

Spacer po Patong – ulice pełne barów i restauracji (większość lokali to lokale go-go). Powrót tuk-tukiem do Kamala za 400 THB. Wieczorem w barze w Kamala – 2 lody Magnum, 2 lody z owocami, karafka wina czerwonego, sałatka owocowa – 1080 THB.

24 lutego. Śniadanie w barze w formie bufetu – 150 THB/dorosły + 100 THB/dziecko – omlet, parówki, tosty, owoce, kanapki, sok, jogurt. Odpoczynek na plaży w Kamala – można skorzystać z masażu (masaż nóg i kręgosłupa za 1 godz. 400 THB).

Obiad w barze na plaży – 3 razy sajgonki z warzywami, zupa tom-ka, piwo Tiger, woda, chicken satay, espresso – 585 THB. Wieczorem kolacja w restauracji – sajgonki, chicken satay, 2 razy smażony ryż z kurczakiem, kurczak z orzechami, pad thai, kieli-szek wina czerwonego, piwo Tiger, 2 małe wody – 1480 THB.

25 lutego. Śniadanie w barze w formie bufetu – 150 THB/dorosły + 100 THB/dziecko – omlet, parówki, tosty, owoce, kanapki, sok, jogurt. Odpoczynek na plaży w Kamala. Koło południa wracamy do hotelu i odbieramy bagaże. Przejazd taksówką z hotelu na lotnisko za 1000 THB – 40 min.

14.30 – przelot Air Asia na lotnisko Don Mueang w Bangkoku – 1 godz. 10 min – 8697 THB za 4 osoby. Odbieramy bagaże i jemy obiad w restauracji na lotnisku – sajgonki, chicken satay, 2 razy smażony ryż z kurczakiem, pad thai, kurczak z orzechami, piwo Singha, woda – 1189 THB. W Starbucks – kawa frapuccino za 140 THB za sztukę.

18.30 – lot Air Asia do Makao – 2,5 godz. – 15.000 THB za 4 osoby (w tym 280 THB za wybór miejsc + 1000 THB za 2 bagaże). Lotnisko w Makao małe, ale nowoczesne. Przejazd z lotniska do hotelu za 80 MOP + 20 MOP za bagaże. Nocleg w hotelu Towns Well – 680 MOP za pokój z łazienką bez śniadania (dobre warunki, duży pokój). Wieczorem spacer po Starym Mieście w Makao. W sklepie – mała woda za 4,50 MOP.

26 lutego. Zostawiamy bagaże w hotelu. Na śniadanie kupujemy w piekarni 4 bułki z parówką, 2 ciastka z rodzynkami, 2 ciastka z fasolą, 4 babeczki portugalskie – 96 MOP oraz kupujemy kawę w McDonald's za 13 MOP za sztukę. Spacer po Starym Mieście – główny plac Largo do Senado, kościół św. Dominika, Katedra – place i chodniki pokryte kostką poukładaną we wzory – architektura i atmosfera jak w Portugalii.

Zwiedzamy ruiny kościoła św. Pawła (za darmo) – zachowała się tylko fasada bogato zdobiona, warto zajrzeć do krypty i do małego muzeum ze sztuką sakralną. Jedziemy schodami ruchomymi do Muzeum Makao (wejście 15 MOP/dorosły, 8 MOP/dziecko) – bardzo nowoczesne, repliki kolonialnych domów portugalskich, dużo informacji nt. historii Makao, oraz do Monte Fort (zwiedzanie za darmo) – fortu z widokiem na całe Makao. Następnie idziemy do ogrodu Lou Lim Ioc – ogrodu chińskiego z mostkami, sadzawkami i gajem bambusowym, oraz do Fortu Guia – wjazd kolejką gondolową (3 MOP/dorosły, 2 MOP/dziecko w 2 strony), na wzgórzu tereny rekreacyjne (boiska, place zabaw) oraz latarnia i kościół katolicki z malowidłami na ścianach. Zjeżdżamy kolejką na dół i odwiedzamy chińską świątynię Kun Iam z dziedzińcem z kadzidłami. Taksówką za 40 MOP jedziemy do Mandarin's House (wejście za darmo) – chińskiego domu z pokojami i dziedzińcami otoczonymi ogrodem (ogólnie mało ciekawe). Spacerujemy po dzielnicy Penha Hill z kolonialnymi, portugalskimi domami.

Obiad w portugalskiej restauracji – sardynki, krokiety z krewetkami, 2 razy smażony ryż z kurczakiem, minchi (mięso wołowe z warzywami – tłuste), kurczak po afrykańsku (w sosie curry), butelka wina portugalskiego Grao Vasco, woda mineralna, 2 kawy brazylijskie, mus czekoladowy – 570 MOP. Odbieramy bagaże z hotelu i jedziemy tak-

sówką za 36 MOP do terminalu promowego. O 21.30 płyniemy wodolotem Turbo-Jet do Kowloon (Hongkong) – 1 godz., tzw. super class 302 MOP/dorosły, 287 MOP/dziecko (dostajemy do jedzenia kanapkę i wodę). Z terminalu promowego w Kowloon idziemy na piechotę do hotelu.

Nocleg w Shanghai Hostel HK w Chungking Mansion (wieżowcu z hotelami i pensjonatami na każdym piętrze – bardzo małe pokoje) – mały pokój z 2 dużymi łózkami z łazienką za 600 HKD. Na parterze Chungking Mansion znajdują się sklepy i tanie restauracje. Woda mała w sklepie – 5–7 HKD.

27 lutego. Śniadanie jemy w piekarni – 2 kanapki z kurczakiem i tuńczykiem, 2 hot-dogi, 5 ciastek – 160 HKD. W Starbucks kupujemy kawę za 32 HKD za sztukę. Płyniemy Star Ferry z przystani Tsim Sha Tsui do Central na wyspie Hongkong – 2,80 HKD/dorosły i 1,40 HKD/dziecko, 10 min – wspaniały widok na wyspę.

Jedziemy schodami ruchomymi o długości 800 m i idziemy do świątyni Man Mo – dużo wiszących kadzidełek i ludzi modlących się (wejście za darmo). Jedziemy taksówką w okolicy kolejki na Victoria Peak za 30 HKD. Duża kolejka do wjazdu na górę – bilet w 2 strony 40 HKD/dorosły i 18 HKD/dziecko. Widok z Victoria Peak mało ciekawy – na górze jedno wielkie centrum handlowe – na powrót na kolejkę czekamy około 1 godz. Idziemy do Hongkong Park z tzw. Aviary (ptaszarnia) – za darmo, ptaki w wielkiej klatce, anglikańska katedra St. John (surowa w środku), budynek banku HSBC i tzw. Statue Square z fontanną.

Przejazd drewnianym, piętrowym tramwajem – bilet 2 HKD/dorosły i 1 HKD/dziecko – dobre miejsce na obserwowanie miasta. Przejazd taksówką za 22 HKD do dzielnicy Soho. Obiad w restauracji marokańskiej – tadżin z warzywami, kuskus z baraniną, szaszłyki z mielonego mięsa, chleb, piwo Tsingtao, woda – 640 HKD

Wracamy przez centrum handlowe do promu i płyniemy Star Ferry do Kowloon. Następnie jedziemy metrem ze stacji Tsim Sha Tsui do stacji Yau Mai Tei – 5 HKD/dorosły i 2,50 HKD/dziecko. Idziemy na Temple Street Night Market – targ z ubraniami, biżuterią oraz stoiskami z jedzeniem. Wracamy metrem do hotelu i w sklepie kupujemy wino śliwkowe za 18 HKD + mała butelka wina czerwonego za 10 HKD. Kowloon wieczorem zatłoczony – trudno przejść ulicami. W ciągu dnia temperatura około 23 st. C, a wieczorem około 17 st. C.

28 lutego. Jemy śniadanie w Cafe de Coral – 4 zestawy z parówkami i jajecznica z kawą/herbatą 86 HKD. Idziemy do Kowloon Park – staw z flamingami, dużo imigrantów, i następnie do Muzeum Nauki – wystawa dot. dinozaurów – wejście 20 HKD/dorosły i 10 HKD/dziecko – multimedialne (ruchome zwierzęta i filmy). Idziemy do Muzeum Historycznego – wejście 10 HKD/dorosły i 5 HKD/dziecko – prehistoria, zwyczaje i historia: odtworzony wystrój sklepów, aptek czy czasów z okresu tzw. wojen opiumowych – nowoczesne i ciekawe. Jedziemy metrem ze stacji East Tsim She Tsui z przesiadką do Tung Chung na wyspie Lantau – 17,50 HKD/dorosły i 8,50 HKD/dziecko – 30 min. W centrum handlowym w sklepie kupujemy zestaw sushi za 54 HKD, mały zestaw sushi za 18 HKD, wino śliwkowe za 18 HKD, 4 ciastka po 5 HKD/1 szt.

Jedziemy kolejką tzw. Ngong Ping 360 do Ngong Ping – przejazd w 2 strony za 150 HKD/dorosły + 75 HKD/dziecko – ok. 25 min – widok na wyspę Lantau i lotni-

sko. Na górze posąg siedzącego Buddy o wysokości 26 m (wejście za darmo) – po schodach wchodzi się na szczyt i można wejść do środka posągu – pod drodze można zwiedzić klasztor Po Lin. Powrót kolejką do Tung Chung i następnie przejazd metrem do East Tsim She Tsui. Spacer Tsim She Tsui East Promenade z tzw. Avenue of the Stars – widok na wyspę Hongkong z wieżowcami. Obiad na Canton Rd. W restauracji Din Tai Fung – 30 pierożków (dim-sum), 2 bułki na parze, 2 razy pierożki z krewetkami i mięsem, piwo Taiwan, woda – 620 HKD – jest to słynna sieć tajwańskich restauracji z gwiazdką Michelin – na stolik trzeba czekać około 30 min.

Wracamy do hotelu, odbieramy plecaki i następnie jedziemy taksówką za 245 HKD na lotnisko – 30 min. Lotnisko nowoczesne i bardzo rozległe, dużo luksusowych sklepów. Mała butelka wody mineralnej za 15 HKD.

29 lutego. 0.01 – lot Qatar Airways do Doha – 9 godz. – dostajemy kolację na gorąco (krewetki z ryżem) oraz śniadanie (omlet). Na lotnisku w Doha mamy kilkugodzinną przerwę – jest plac zabaw dla dzieci – kupujemy daktylę za 22 QR i kubki za 30 QR/sztuka.

9.05 – lot Qatar Airways do Warszawy – 6 godz. – jeden posiłek (omlet).

Beata Rujner
Tomasz Cukiernik

Dubaj, Malezja i Singapur zimą



Termin: 23 lutego – 17 marca 2017

Całkowity koszt podróży: 5700 zł/os., w tym samoloty 2544 zł/os.

Trasa: Lotnisko w Pyrzowicach – Dubaj – Dauha – Kuala Lumpur – PN Taman Negara – Kuala Besut – Cherating – Malakka – Singapur – Dauha – Dubaj – lotnisko w Pyrzowicach.

Informacje praktyczne:

Przekraczanie granicy. Do ZEA, Malezji i Singapuru dla Polaków nie ma wiz. Największy problem był przy przekraczaniu granicy malezyjsko-singapurskiej, gdzie jest dokładniejsza kontrola i jest zakaz wwożenia m.in. gum do żucia czy nielegalnego oprogramowania (nie wspominając o narkotykach).

Zdrowie. Do ZEA, Malezji i Singapuru Sanepid zaleca szczepienia na żółtaczkę A i B, dur brzuszny, tężec i błonicę. W przypadku odwiedzania obszarów zagrożonych malarią w Malezji powinno się brać leki przeciwmalaryczne. W Malezji i Singapurze występuje też niebezpieczeństwo choroby zika. Ponadto zaleca się picie wyłącznie wody butelkowanej lub przegotowanej.

Bezpieczeństwo. Wszystkie odwiedzane kraje są bardzo bezpieczne dla turystów, także w nocy. Ludzie są przyjaźnie nastawieni do obcokrajowców.

Waluty. Nie ma problemów z wymianą pieniędzy – najlepiej w kantorach. Na lotnisku w Dubaju kurs jest bardzo opłacalny, natomiast na lotnisku w Kuala Lumpur kurs wymiany jest niekorzystny. Podczas pobytu w ZEA za 100 USD płacono 363 AED, 440 MYR i 139 SGD.

Noclegi. W Dubaju noclegi są drogie lub bardzo drogie: 2-osobowy pokój za 250 zł to bardzo dobra cena. W Malezji najtańsze hostele to wydatek od ok. 20 zł od osoby w pokoju 2-osobowym. Lepsze kosztują co najmniej dwa razy więcej. Hotele dobrej klasy to minimum 100 zł od osoby za noc w pokoju 2-osobowym ze śniadaniem. W Singapurze najtańsze hotele są nieco tańsze niż w Dubaju.

Jedzenie. W Dubaju w restauracjach jest drożej niż w Polsce. Najtaniej wychodzi jeżdżenie uliczne. Tania jest tylko woda mineralna: 1,5 l – 1,60 AED. W Malezji jedzenie w knajpkach i barach poza dużymi miastami jak Kuala Lumpur czy Malakka jest bardzo tanie. Bez problemu dobre śniadanie można zjeść za 4 zł, a obiad za 7 zł. W stolicy i Malakce ceny w restauracjach mogą przekroczyć te polskie. Woda mineralna 1,5 l w zależności od miejsca sprzedaży może kosztować od 1 do 3 MYR. W Singapurze w centrum jest drożej niż w Polsce, a na przedmieściach ceny są całkiem do zniesienia.

Komórki i Internet. W restauracjach i hotelach wszędzie jest dostępne i bezpłatne Wi-Fi. W omawianych krajach nie ma problemu z zasięgiem telefonów komórkowych. Jednak telefoniczne połączenia komórkowe są bardzo drogie. W Plusie połączenie lokalne w ZEA i do Polski kosztuje 13,53 zł/min, rozmowy odbierane – 8 zł/min, a SMS – 2 zł. Połączenie do Polski z Malezji i Singapuru – 8 zł/min. Rozmowy odbierane i SMS-y kosztują tyle co w ZEA.

Pogoda i różnica czasu. Podczas pobytu w lutym w ZEA temperatura wynosiła ok. 20–25 st. i zdarzał się lekki deszyk. Sucho. W lutym i marcu w Malezji i Singapurze temperatura wynosiła ok. 30–35 st. i generalnie było słonecznie. Tylko w Kuala Lumpur kilkakrotnie spadł intensywny deszcz. Dość wilgotno. Naszą zimą różnica czasu między Polską a ZEA wynosi trzy godziny, a między Polską a Malezją oraz Singapurem – siedem godzin, które należy dodać.

Język. W Dubaju łatwo można dogadać się po angielsku. W Malezji w dużych miastach czy w miejscowościach turystycznych, jak i w Singapurze też nie było z tym problemu. Jednak na przedmieściach Singapuru można natrafić na osoby, które totalnie nie znają żadnego języka obcego.

Zakupy. Uogólniając, w Dubaju i Singapurze jest drożej niż w Polsce, a w Malezji – taniej. Dubaj to przede wszystkim gigantyczne centra handlowe, ale też tradycyjne suki na starym mieście. W Malezji i Singapurze sprzedawcy nie są nachalni (jak np. w Indiach) i nie oszukują na cenach ani przy wydawaniu reszty. Z reguły ceny są stałe i niechętnie negocjowane. Najczęściej sprzedawca w ogóle nie zgadza się na żadne negocjacje.

RELACJA Z PODRÓŻY

23 lutego. O godz. 12.20 wylot z lotniska w Pyrzowicach samolotem A320 liniami Wizz Air do Dubaju. Na pokładzie wypiliśmy 10 buteleczek wina po 187 ml każda (wyszło 13 zł od buteleczki). Przylot do Dubaju przed godz. 21.00. Wymiana pieniędzy w kantorze na lotnisku 200 USD = 726 AED. Na lotnisku kupiliśmy bilet elektroniczny na metro i autobus – po 25 AED/os. Przejazd autobusem do stacji metra Ibn Battuta – ponad 30 min, dalej metrem 45 min do stacji Al-Rigga. Stamtąd bardzo blisko było do naszego hotelu Synaj, który zarezerwowaliśmy wcześniej przez booking.com. Cena 404 AED/2 os. za 2 doby bez śniadania, Wi-Fi w cenie.

24 lutego. Śniadanie w hotelu za 25 AED/os. i jak za tę cenę, to mały wybór, niesmaczne i dość drogo w porównaniu z możliwością jedzenia na mieście. W piątki

metro jeździ dopiero od godz. 10.30. Przejazd do stacji FBG. Tu autostrada ma po 8 pasów w każdą stronę! Następnie 3-kilometrowy spacer do hotelu Al-Arab (żagiel). Obok pełna ludzi plaża, gdzie wszyscy robili sobie selfiki z widokiem na Zatokę Perską i hotel. Stamtąd przejazd taxi do centrum handlowego Mall of the Emirates – 30 AED, gdzie znajduje się stok narciarski. Przejazd metrem na stację Burj Khalifa, skąd przejście niemal godzinę przez chodniki ponad ulicami i ogromne centrum handlowe Dubai Mall. Bilety na wieżowiec Burj Khalifa (najwyższy budynek na świecie – 830 m) kupiliśmy w Polsce przez Internet i kosztowały 130 AED/os. (tak jest znacznie taniej). Wjazd windą na 124 piętro – na wysokości 452 m. Taras widokowy składa się z części wewnętrznej i zewnętrznej. Obie pozwalają na oglądanie widoków przez szyby. Z góry można podziwiać niesamowitą panoramę na wieżowce, Zatokę Perską i pustynię oraz oczka wodne pod wieżą. Widoczność niestety była raczej średnia. Po około godzinie zjazd na dół. Kawa w centrum handlowym – 15 AED, a na zewnątrz w kawiarniach – aż 30 AED. W Dubai Mall znajduje się też wielkie akwarium z rekinami. Przejście tunelem znajdującym się pod akwarium kosztuje aż 100 AED. Sok owocowy – 23 AED. Widokówki po 1,5 AED. Wymiana 20 USD = 71 AED. Przejazd metrem do Al-Rigga, gdzie niedaleko stacji znajduje się restauracja libańska – 2 przystawki po 15 AED. Budyń na deser – 7 AED.

25 lutego. Pobudka o godz. 6.50 i bez śniadania przejazd na Stare Miasto Deira. Trzy stacje metra za 3 AED. Targ rybny, gdzie sprzedawcy chętnie pozują do zdjęć. Wybrzeże z portem – wielkie kutry rybackie. Suk ze złotem – zamknięty o tej porze. Niedaleko suk z przyprawami. Wokół wiele meczetów. Śniadanie w sukach – samsy za 12 AED i kawa po 2 AED (herbata 4 AED). Następnie przepłynięcie abrá (tradycyjna łódka) na drugą stronę Zatoki Dubajskiej – 1 AED. Suk tekstylny. Zakupiliśmy T-shirt za 25 AED. Zabytkowe Stare Miasto, gdzie można zjeść burgera z wielbłąda (camelburger) za 15 AED. Powrót metrem do stacji Al-Rigga. Wieża zegarowa w dzielnicy Bastakija. Wymeldowanie z hotelu i przejazd metrem do stacji Ibn Battuta – 7 AED za 45 min. Dalej autobusem na lotnisko – 7 AED za 40 min. Na lotnisku wymiana 10 USD = 34,5 AED. Kawa w automacie 3 AED. Ofoliowanie plecaków – 25 AED/szt. Lot samolotem A320 linią Al-Maha do Kataru (1 godzina). Przesiadka na Boeinga 777 linii Qatar Airlines do Kuala Lumpur (7 godzin).

26 lutego. Na lotnisku bardzo zły kurs wymiany – 20 USD = 82,59 MYR. Z lotniska przejazd Airport Busem do Sentral Station (1 godz.) – 10 MYR/os. Ze stacji Sentral taxi do hostelu Backpacker's Travellers – 20 MYR. Bardzo obskurny pokój 2-os. bez okna – 88 MYR/2 os. za 2 doby + 20 MYR depozyt za klucze. Wymiana w kantorze 200 USD = 870 MYR. Targ w Chinatown. Torebka 33 MYR. Mapa Kuala Lumpur w księgarni – 7,2 MYR. Na placu Mardeka, na którym znajduje się pałac sułtana, odbywał się wielki zlot motocyklistów oraz koncert malezyjskiego hip-hopu. Z jednej strony placu znajduje się anglikański kościół św. Marii. Niedaleko meczet na wodzie Masjid Jamek. Następnie przeszliśmy do parku Kuala Lumpur Forest Eco Park, gdzie gaworzyliśmy z malezyjską młodzieżą. Za darmo chodzenie po mostach linowych w koronach drzew. Stamtąd idzie się do wieży TV – Menara (421 m). Wjazd na górę kosztuje

105 MYR/os. Taras obserwacyjny otwarty na wysokości 300 m. Znajdują się tam platformy ze szklaną podłogą i widokiem na miasto, w tym na Twin Towers.

Dwa obiady w restauracji + zielona herbata – 39,8 MYR. Zaczął padać deszcz, więc wstąpiliśmy do McDonald'sa – 2 McFleury – 11 MYR. Wieczorem przejście pod Twin Towers. Jack fruit w kawałkach – 4 MYR. Mangostynka – 12 MYR/kg. Kokos w restauracji – 7 MYR.

27 lutego. Park Ptaków w Kuala Lumpur – bilet 67 MYR/os. Kolorowo, zielono, ptaki niespotykane w Polsce. Można było karmić papugi z ręki i rybki. Taxi za 100 MYR: parlament Malezji, chińska świątynia Thean Tou z dojazdem do Kampong Baru (tradycyjna dzielnica Kuala Lumpur). Beata zgubiła telefon w świątyni, ale ktoś odniósł go do stoiska z pamiątkami. Trzeba było wrócić taksówką. W Kampong Baru obiad – kurczak z ryżem i krewetkami – 5 MYR + wyciskany sok z lodem – 3 MYR, a następnie odwiedziliśmy meczet. Stamtąd przejazd metrem za 1,5 MYR/os. Wymiana 500 USD = 2190 MYR.

Herbata zaparzana w dzbanku w chińskiej restauracji – 3,5 MYR. Ciasto czekoladowe 2,8 MYR. Guava, melon, smoczy owoc – po 1,5 MYR, durian – 18 MYR, kokos – 7,3 MYR. W hostelu kupiliśmy 3-dniową wycieczkę do Parku Narodowego Taman Negara, która kosztowała 400 MYR/os., w tym transport, 2 noclegi, pełne wyżywienie i wycieczki po dżungli.

28 lutego. Pobudka o godz. 6.30. Śniadanie-bufet w hotelu naprzeciwko – 12 MYR/os. O godz. 8.30 przejazd busem z grupą turystów ok. 3 godziny do Jerantut. Po drodze coś strzeliło w aucie i prawdopodobnie urwało się zawieszenie w prawym kole z przodu, ale kierowca się tym zbyt nie przejął i pojechaliśmy dalej. W Jerantut obiad i przejazd 30 min busem do Kuala Tembeling, skąd popłynęliśmy łódką w górę rzeki Tambalen – 60 km. Po drodze ciągle zmieniała się pogoda – słońce/deszcz. Po niecałych 3 godzinach dotarliśmy do Kuala Tahan. Obowiązkowo trzeba było kupić zezwolenie na fotografowanie – 5 MYR. Kara za brak zezwolenia – 10 tys. MYR.

Nocleg w Han Rainforest Resort. Posiłki w pływającej restauracji przycumowanej przy brzegu rzeki. Wieczorem była wycieczka na oglądanie w dżungli owadów, ale zrezygnowaliśmy.

1 marca. Po śniadaniu wycieczka łódką do dżungli. Najpierw chodziliśmy zawieszonymi wśród koron drzew mostami linowymi. Niesamowite przeżycie i widoki. Niestety połowa mostów była w remoncie. Potem jeszcze wyżej przejście na punkt widokowy, skąd rozpościera się panorama na najwyższy szczyt malezyjskiej części półwyspu malajskiego – Gunung Tahan (2187 m n.p.m.). Na tę górę można wykupić 7-dniową wycieczkę, która kosztuje 1200 MYR/os. Trasa wiedzie przez dżunglę. Przewodnik opowiadał, jak radzić sobie w dżungli w różnych sytuacjach, np. jak można za pomocą liścia odkazić sobie ranę.

Po obiedzie przepłynięcie łódką do wioski Teresi, gdzie żyje lokalne plemię Batek. Wzdłuż rzeki mieszka ok. 300–350 osób z tego plemienia. W każdej wiosce jedna rodzina po ok. 30–35 osób. W całej okolicy ok. 1000 osób. Mają osobny język, dzieci nie chodzą do szkoły, szpitale mają za darmo. Państwo daje im 1000 MYR socjału na wioskę. Tylko oni mogą legalnie korzystać z parku narodowego, polować itd., ale wyłącz-

nie na własny użytek. Biorą też pieniądze za przyprowadzenie turystów, ale nie są to duże kwoty. Żenią się tylko z osobami z innych wiosek. Państwo proponowało domy poza dżunglą, ale nie zgodzili się. Pokaz, jak tradycyjnie rozpala się ogień, strzela strzałkami zatrutymi i niezatrutymi, jak zrobić w dżungli klej czy papier ścierny z liścia.

Później w ramach wycieczki płynięcie łódką przez bystrza i kiwanie łodzią tak, żeby wszystkich porządnie ochlapać wodą z rzeki. Shake bananowy – 7 MYR.

2 marca. O godz. 8.00 wyjazd z Kuala Tahan. Godzinny transport busem do Jerantut, gdzie dotarliśmy do biura-baru firmy turystycznej. Tam zjedliśmy śniadanie i dostaliśmy pakowany lunch. Przejazd kolejnym busem do Gua Musang i stamtąd kolejny bus do Kuala Besut, gdzie dotarliśmy ok. godz. 17.00 z myślą, by udać się na wysepki Perhentian. Będąc w dżungli, dopłaciłem po 35 MYR/os., by jechać do Kuala Besut zamiast wracać do Kuala Lumpur.

W Kuala Besut nad Morzem Południowochińskim okazało się, że nie płyną łódki na wyspy Perhentian z powodu sztormowej pogody. Turyści czekali na otwarcie rejsów i pozajmowali wszystkie pokoje w hotelach w miasteczku. Ostatecznie pani z biura znalazła nam 4-osobowy pokój z klimatyzacją za 120 MYR w hotelu Samudera przy samym wzburzonym morzu. Spacer wzdłuż piaszczystej plaży, która jest, niestety, zanieczyszczona głównie plastikowymi butelkami. Wieczorem kolacja w knajpce nad samym brzegiem morza. Sałatka warzywna z owocami morza oraz wołowina z imbirem, soki arbuzowe i z liczi, banana split i lody – razem 33 MYR.

3 marca. Zmiana pokoju na 2-osobowy – 105 MYR. Śniadanie w knajpce – jajko z cebulą w naleśniku i sosy + kawy – 7,60 MYR za 2 osoby.

Rano nadal nikt w biurach turystycznych nie wiedział, czy z powodu sztormu (choć pogoda była ładna) łódki popłyną na wyspy. W końcu ministerstwo wydało zezwolenie i pierwsze łódki popłynęły wczesnym popołudniem mimo nadal wzburzonego morza. Bardzo je rzucało na falach. Poszliśmy na spacer wzdłuż plaży – było bardzo gorąco. Widokówki – 1 MYR/szt.

Po południu spacer na dworzec autobusowy, który znajduje się za miastem. Po drodze cmentarz i meczet. Okazało się, że z tego dworca autobus nie jedzie do Cherating. Trzeba podjechać taxi do Jerteh, skąd autobus jedzie do Kuantan. Kupiliśmy bilety za 29 MYR/os. na dzień następny na godz. 11.15. Inne kursy były o godz. 13.15 i 23.30. Ugadaliśmy się z taksjarem, żeby o 10.30 następnego dnia przyjechał po nas do hotelu, by nas zawieźć za 20 MYR na dworzec w Jerteh.

4 marca. Rano taksjarski w ogóle nie przyjechał do hotelu. Inny taksówkarz też wziął 20 MYR za ok. 20 min jazdy na dworzec w Jerteh. Stamtąd był spóźniony autobus, który jechał z Kota Baru do Kuantan. Łącznie mieliśmy jechać niecałe 5 godzin, a jechaliśmy 6 godzin. Po drodze liczne postoje. Toalety po 0,30 MYR. W autokarze było Wi-Fi, ale działało słabo.

W Cheratingu zakwaterowanie w Pelangi Beach Resort. Bungalowy z ciepłą wodą i klimatyzacją oraz wielkimi robalami – 90 MYR/doba + 30 MYR depozyt za klucz. Po kolacji spacer wzdłuż plaży przy zachodzie słońca. Odpływ morza.

Zepsuł się aparat fotograficzny Nikon D60 (przekroczenie zaprogramowanej liczby naciśnięć migawki).

5 marca. Poszliśmy do Rezerwatu Żółwi, gdzie leczone są i trzymane chore żółwie. Trzy km w upale i wzdłuż ruchliwej drogi. Wstęp darmowy, ewentualnie dowolne datki. W obiekcie znajdowały się trzy baseny z żółwiami, niewielkie muzeum i sklepik. Ośrodek ulokowany był przy samej plaży. Bardzo piękne miejsce. Na 3,5-kilometrowej plaży co roku żółwie morskie składają jaja od kwietnia. Z powodu olbrzymiego upału w drodze powrotnej wzięliśmy taxi za 20 MYR.

W Cheratingu kupiliśmy oryginalnie malowaną na miejscu koszulkę w cenie 30 MYR. Przy drodze biegały i skakały małpy. Obiad w knajpcie na plaży – 15,50 MYR.

Trzy razy podeszli do nas na plaży uczniowie-ankieterzy, którzy w szkole robili badania na temat postrzegania umiejętności językowych Malezyjczyków przez obcokrajowców. Umówiłem się z właścicielem małego sklepiku, że mnie podwiezie do miasta w sprawie śrubokręta do aparatu. W naszym bungalowie na całego zagościły robale – przypuszczam, że to miejscowa odmiana karaluchów – były dość spore. Właścicielka zbagatelizowała problem i spryskała pokój sprayem na robale, co nic nie dało. Codziennie zabijałem ich po kilka.

6 marca. Byłem umówiony z właścicielem sklepu, że mnie podwiezie do Cukal, ale mnie totalnie olał. Na wylotówce w Cheratingu nie zatrzymują się autobusy, żeby zabrać pasażerów; w miasteczku nie ma nawet postoju taxi. Ostatecznie pojechałem autostopem. Zatrzymał się emerytowany marynarz, Norweg, który od 35 lat mieszka niedaleko ze swoją żoną Malezyjką. W centrum handlowym w sklepie optycznym udostępniono mi odpowiedni śrubokręcik, rozkręciłem aparat (tak jak zalecali na filmiku na youtube.com), ale nie dało się go naprawić. W Cukalu nie ma ani dużego centrum handlowego, ani autobusów do Cheratingu. Po wymianie w kantorze 200 USD = 880 MYR wzięłem taxi za 30 MYR (30 min).

W Cheratingu zarezerwowałem porządny hotel Residence Inn Cherating. Pokój 220 MYR ze śniadaniem, klimatyzacją, balkonem, basenem. Zaliczka 100 MYR. W poniedziałek zamknięte było biuro z wycieczkami. Po południu kąpiel w morzu. Woda bardzo ciepła, ale daleko od brzegu nadal płytko i nie dało się pływać. W Beach Barze na plaży soki po 5 MYR.

7 marca. O godz. 9.00 z biura Haviz's Cherating Activites ruszyliśmy łódką z przewodnikiem rzeką Cherating podziwiać lasy mangrowe. Wycieczka za 35 MYR/os. trwała 1,5 godziny. Widzieliśmy iguany, węże zawinięte w koronach drzew, ptaki, kraby, niejadalne owoce i spadające nasiona do wody. Po wycieczce zjedliśmy obfite śniadanie – jajka z tostami i masłem za 11 MYR za 2 osoby. Przed godz. 12.00 wymeldowanie z bungalowów i przeprowadzka do hotelu. Obiad na plaży za 24 MYR. Odpoczynek nad hotelowym basenem. Kolacja w hotelowej restauracji: kotlet z kurczaka z frytkami, warzywami i sosem oraz ryba w panierce z frytkami i surówką i desery lodowe – łącznie 56 MYR.

Ponieważ Malezja jest krajem w większości muzułmańskim, to bardzo drogi jest alkohol. Butelka wina w hotelowym pubie kosztowała 280 MYR. Nie można było kupić lampki wina.

8 marca. Beata z okazji Dnia Kobiet w prezencie dostała masaż olejkami – 1 godzina – 90 MYR. Kupiliśmy bilety na autobus firmy S.P. Bumi do Malakki – 39 MYR/os.

Wieczorem w hotelu odbywała się impreza pracownicza. Wszyscy byli bardzo mili i zaprosili mnie do uczestnictwa. Proponowali jedzenie, od którego ugięły się stoły i robili sobie ze mną zdjęcia. Na scenie odbywały się śpiewy i tańce. Zagościł też jakiś ważny polityk z tej prowincji i nawet do mnie zagadał.

9 marca. Rano zarezerwowałem przez booking.com hotel w Malakce. Kocos w knajpce za 5 MYR. Spacer plażą w kierunku ujścia rzeki Cherating do Morza Południowochińskiego. Można wynająć quada – 15 MYR/godz. Niestety, wzdłuż plaży palone są śmieci i śmierdzi na całą okolicę. Toaleta przy plaży kosztuje 0,30 MYR.

Z hotelu trzeba było się wymeldować do godz. 14.00, ale za darmo przetrzymano nam bagaże do wieczora. O godz. 22.00 przyjechał zamówiony taksówkarz, żeby nas zabrać na dworzec autobusowy w Gelidze (taxi za 40 MYR). Na dworcu herbatka za 2 MYR.

10.03. W nocnym autokarze do Malakki z powodu klimatyzacji było bardzo zimno. Mieliśmy jechać 7 godzin, a podróż trwała zaledwie 5 godzin i 20 minut i o godz. 5.20 rano byliśmy na dworcu w Malakce. Śniadanie w McDonalddie na dworcu autobusowym, który otworzono dopiero o godz. 6 – 14 MYR. Kupiłem bilet na autobus firmy 707 Travel Group do Singapuru – 27 MYR/os.

Taxi do Casa Blanca Guest House – 20 MYR. Pokój 2-osobowy z łazienką, klimatyzacją i dużym tarasem – 226 MYR za 3 noce za 2 osoby. Dobrze działa Wi-Fi. Poszliśmy do centrum handlowego Mahkota Parade Shopping Complex, by kupić aparat Nikon 3300 – 1850 MYR. Wymiana 500 USD = 2200 MYR.

Zwiedziliśmy muzeum morskie znajdujące się w replice portugalskiego statku Flor de la Mar, na którym Afonso de Albuquerque przyплыł, by zdobyć w 1511 roku Malakę. Wstęp 10 MYR dla obcokrajowców, 5 MYR dla Malezyjczyków. Na statku opisana historia podboju Malakki przez kolejne potęgi morskie: Portugalię, Holandię i Wielką Brytanię oraz historia miasta jako miejsca handlu od wieków.

Wysyłka widokówek na pocztę – 0,50 MYR znaczek.

Po odpoczynku w czasie największego upału, po południu poszliśmy zwiedzić stare miasto:

- Christ Church – kościół anglikański,
- Porta de Santiago – ostatnia pozostałość po portugalskim bastionie,
- wieża zegarowa,
- na wzgórzu ruiny kościoła katolickiego św. Pawła, gdzie kupiliśmy obrazki,
- budynek związany z proklamacją niepodległości Malezji w 1957 roku,
- pałac sułtana (muzeum) był zamknięty, bo czynny tylko do godz. 17.00,
- w parku samolot, pociąg, czołg itp.,
- Stadthuys – holenderski ratusz z XVII wieku.

W Malakce jest gigantyczna liczba różnych muzeów, niemal w co drugim budynku. Informacja turystyczna działa do godz. 17.00. Wokół ciągle jeżdżą bardzo ozdobione, świecące i grające głośną muzykę riksze rowerowe. Na starym mieście mnóstwo sklepów z pamiątkami, olbrzymia liczba turystów, głównie z krajów azjatyckich. Można się poczuć jak w Krakowie – ludzie posągi. Po powrocie do Chinatown okazało się, że wieczorem zaczął się wielki targ. Wzdłuż jednej z ulic po obu stronach roz-

łożono stragany z jedzeniem, piciem, pamiątkami, koszulkami, herbatami, wynalazkami typu żarówka, która świeci po włożeniu jej do szklanki z wodą i innymi bibelotami. Próbowaliśmy różnych egzotycznych owoców i soków z nich, np. papaja – 2 MYR, sok z gawiole – 9 MYR, sok z awokado – 7 MYR, owoc guavy – 5 MYR, ciasteczka z durianem – 2,50 MYR/szt., czapetka 5 szt. – 2,50 MYR, mango z przyprawami – 5 MYR, herbata różana 100 g – 10 MYR, herbata jaśminowa 100 g – 10 MYR, napój z trzciny cukrowej, kasztany, cider Stowberry. Facet jak akrobata obierał kokosy – 5 MYR, inny mielił robotem kuchennym miąższ arbuza po zrobieniu małej dziurki w skórce – 10 MYR. Obrazki po 5 MYR. Występy typu karaoke na dużej scenie. Istne wariatkowo.

11 marca. Zestaw śniadaniowy na styl amerykański – 17 MYR. Weszliśmy do śródka Christ Church, bo był otwarty. Potem pałac sułtana – replika zbudowana w latach 80. XX wieku – bilet 5 MYR dla obcokrajowców i 3 MYR dla Malezyjczyków. Przed pałacem zakazane ogrody. Przejazd kolorową i grającą trójkółową riksą rowerową nad brzeg morza – 20 MYR. Rikszarz nie dowiózł nas nad samo morze, ale niedaleko ujścia rzeki Malakka. Przeszliśmy przez chaszcze nad rzekę. Piaszczysty brzeg był umocniony kamieniami. Po południu krótka drzemka w hotelu. Potem wycieczka statkiem po rzece – 21,20 MYR/os., nieco ponad 30 min w dwie strony. Z perspektywy rzeki można podziwiać Malakkę. Kolacja w restauracji tajskiej.

12 marca. Dwa śniadaniowe zestawy z kawą kosztowały 40 MYR. Na jednej ulicy Tokong Besi znajdują się trzy świątynie: Sri Poyatka Venayagar Moorthi – hinduska świątynia z 1781 roku, meczet Kampung Kling z 1748 roku, Cheng Hoon Teng – najstarsza w Malezji tradycyjna świątynia chińska z 1673 roku – buddyjska. Wcześniej przy innej świątyni chińskiej odbywała się ceremonia obwożenia starego człowieka, który nie wiedział, co się z nim dzieje, gdyż wstąpił w niego duch. Był prowadzony przez kilka osób i wnoszony na ciężarówkę, przy tym grano głośną muzykę, palono kadzidełka i staruszek noszony był od świątyni do świątyni na terenie całego miasta. To był dzień przed jego urodzinami.

Inna świątynia chińska jednocześnie propagowała buddyzm i taoizm. Dalej weszliśmy do meczetu Kampung Hulu, gdzie wręczono nam kiść malutkich bananów. Potem doszliśmy do kościoła św. Piotra, gdzie odbywała się msza św. po angielsku. To najstarszy w Malakce funkcjonujący do dzisiaj kościół katolicki z 1710 roku. Kolejny kościół św. Franciszka Ksawerego, gdzie odbywała się msza św. w języku malajskim. Przy komunii św. pobłogosławił nas ksiądz. Oba kościoły były pełne. Nigdzie nie można było wymienić pieniędzy. Kantory i banki były zamknięte z powodu niedzieli. Jedyny funkcjonujący kantor był w centrum handlowym 50 USD = 220 MYR. Na targu kupiłem mango – 2 MYR i papaję 3,50 MYR. W centrum handlowym koszulka kosztowała 10 MYR, sok ze smoczego owocu – 12,80 MYR, a lody miały smaki mangostynki i gawiole.

Wyjazd na wieżę Menara Taming Sari – 23 MYR/os. Obracający się pierścień wyjeżdża na wysokość 80 m, skąd rozpościera się panorama całej Malakki. CD z muzyką malezyjską – 5 MYR. Obiadokolacja za 2 osoby kosztowała 24,50 MYR. Bardzo drogie są papierosy (28 MYR) i alkohol.

13 marca. Na śniadanie jajecznicza z tostami – 28 MYR/2 os. Pakowanie się i przejazd taxi na dworzec autobusowy Malaka Sentral – 20 MYR. O godz. 10.00 autokar do Singapuru, w którym w rzędzie były po 3 siedzenia zamiast 4. Przejazd na granicę trwał ok. 3,5 godziny. Cały czas płatna autostrada, jeden przystanek na parkingu na toaletę. Na granicy najpierw po stronie malezyjskiej wejście do kontroli paszportowej bez bagażu głównego. Potem przejazd autokarem na drugą stronę przez most i w Singapurze wejście do kontroli z bagażem. Najpierw kontrola paszportowa, potem bagażu. Skanowanie jak na lotnisku, pobieranie odcisków palców. Następnie dojazd 6-pasmową autostradą autokarem na dworzec przy Queen St.

Wymiana pieniędzy w kantorze – 76 MYR = 23,50 SGD, 200 USD = 278 SGD. Przejście na stację metra Bugis. Kupiliśmy dwie karty na przejazd komunikacją publiczną za 12 SGD każda, w tym 5 SGD niezwracane za kartę i 7 SGD na karcie do wykorzystania. Przejazd zieloną linią metra do Kallang. Zakwaterowanie w hotelu Darlene** – 150 SGD za 3 noce za pokój 2-osobowy z łazienką. Obiad na rogu – zestaw z kotлетem + kawa – 12 SGD. Nad ulicami często są kładki dla pieszych, czasem podziemne. Autobusy miejskie także dwupoziomowe. Następnie przejazd 7 przystanków autobusem 31 w pobliżu plaży nad Cieśniną Singapurską. Park, plaża, wieża widokowa, dżungla. Na horyzoncie mnóstwo wielkich statków towarowych stojących na redzie. Następnie przejście do hinduistycznej świątyni Sri Senpaga Vinayagar, gdzie odbywały się modły i prośby o uzdrowienie. Herbata imbirowa w knajpce – 3 SGD. Wróciliśmy autobusem 12 za 0,87 SGD.

14 marca. Śniadanie (jajka z kawą) 7 SGD/2 os. Spacer po centrum Singapuru: hotel Raffles, katedra St. Andrews, National Gallery Singapore, nowy budynek Sądu Najwyższego, parlament, teatr Victoria, Muzeum Cywilizacji Azjatyckich, pomniki – rzeźby handlarzy przy rzece Singapur, nabrzeże z knajpkami (akwaria z żywymi homarami, które można zamówić na talerz), most Cavenagha, pomnik Rafflesa, teatr na Zatoce, rzeźba – fontanna Iwa, gigantyczne budynki w kształcie durianów, most dla pieszych w kształcie spirali DNA. W końcu dotarliśmy do hotelu Marina Bay Sands – wjazd na 57 piętro za 20 SGD/os., które można wydać w barze z panoramą na cały Singapur. Kupiliśmy 2 kokosy i 2 napoje. Kelnerzy chętnie robią zdjęcia. Obok znajduje się Gardens by the Bay – wstęp 28 SGD + 8 SGD za podniebny spacer.

Przejazd metrem pod Istanę – siedzibę prezydenta, ale jest ona dostępna dla zwiedzających tylko przez 5 dni w roku. Przejazd metrem do ogrodów botanicznych – wstęp wolny.

15 marca. Przejazd metrem i spacer po Chinatown: świątynia hinduska Sri Mariamman, świątynia Zęba Buddy – ząb znajduje się w stupie ze złota o wadze 420 kg, meczet.

Pierogi w knajpce chińskiej z kawą – 17 SGD. Kurczak w knajpce w podziemnym centrum handlowym. W Singapurze zjedliśmy też sporo egzotycznych owoców: arbuz w kubku – 2,50 SGD, jack fruit – 2,50 SGD, guava – 1,50 SGD, karambola – 3 SGD/2 szt., marakuja – 3,70 SGD/6 szt., gawriola.

16 marca. Przejazd metrem na lotnisko Changi w Singapurze. Foliowanie plecaków możliwe jest tylko w terminalu 1 i 2 – duży – 26 SGD, mały – 13 SGD, a my lecieli-

śmy z terminala 3. Śniadanie na lotnisku – 10 SGD. Kupiłem książkę *Up Close with Lee Kuan Yew* o twórcy sukcesu Singapuru – 28 SGD.

Lot do Kataru Airbusem A350 z niewielką liczbą pasażerów. Przylecieliśmy do Dauszy i w ostatniej chwili zdążyliśmy na samolot do Dubaju. Przy wejściu z samolotu na lotnisko czekała na nas obsługa. Gdyby nie ten chłopak, to na pewno nie zdążylibyśmy na samolot, bo mieliśmy ok. 20 minut czasu, a lotnisko jest spore. Z Dauszy lot do Dubaju Airbusem A320 – pełny samolot. Następnie ponad cztery godziny czekania na samolot Wizz Air do Katowic. O godz. 1.10 w nocy przylot na lotnisko do Pyrzowic.

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Tajwan



Termin: 8–21 października 2016

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek

Trasa lotnicza: Warszawa – Pekin, Pekin –Tajpej (Air China 1515 PLN), powrót podobny

Koszty podróży: 3245 PLN na osobę

Kursy walut: 1 USD = 3,88 PLN, 1 USD = 31,39 TWD, 10 TWD = 1,23 PLN

Czas: w zależności od pory roku, zimą + 6 godz., a latem + 7 godz.

Bezpieczeństwo: jest spokojnie, prawie wszędzie jest monitoring

Wizy: przy pobycie turystycznym do 3 miesięcy wizy nie są potrzebne

Język: chiński, w miejscach turystycznych angielski

Pogoda: jest słonecznie, gorąco i mamy prawie 80% wilgotność. Klimat tropikalny

Elektryczność: 220V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet *Tajwan*

Kosztyk podróżnika: woda mineralna 1,5 l – 25 TWD, coca-cola 2 l – 40 TWD, sok 1 l – 50 TWD, lody 1 l – 120 TWD, chleb tostowy 50 TWD, masło 110 TWD, ryż 1 kg – 90 TWD, makaron 1 kg – 80 TWD, ziemniaki 1 kg – 50 TWD, filet z kurczaka 1 kg – 100 TWD, mielone 1 kg – 120 TWD, pomidory 1 kg – 80 TWD, banan (taki jak w Europie) 1 kg – 60 TWD, pomarańcze 1 kg – 80 TWD, mleko 1 l – 75 TWD, jogurt 150 ml – 35 TWD, jajka 10 szt. – 40 TWD, chipsy duże – 40 TWD, czekolada – 50 TWD, piwo 0,5 l – 48 TWD, wino 0,75 l – 300 TWD, wódka 0,5 l – 550 TWD, papierosy 200 TWD, benzyna 95 1 l – 34 TWD, obiad na ulicy 60–100 TWD, kawa w kawiarni 100 TWD. Zakupów praktycznie nie robiliśmy, bo śniadania mieliśmy w hotelach, a obiadokolacje spożywaliliśmy na ulicznych targowiskach lub w marketach.

RELACJA Z PODRÓŻY

8 października. Bytom–Katowice–Warszawa–Pekin. O godz. 7.25 mamy Polskiego Busa z Katowic do Warszawy na przystanek Metro Młociny (46 PLN/os. w dwie

strony). Następnie metrem dojechalśmy do Centrum, skąd autobusem 175 dotarliśmy na lotnisko. Samolot (Air China) do Pekinu mieliśmy o godz. 14.10.

9 października. Pekin – Tajpej – Hualien. Po 8,20 godz. lotu byliśmy w Pekinie, tutaj przestawiamy zegarki o + 6 godz. i czekamy 4 godz. na samolot do Tajpej. Poszliśmy do bramek, gdzie próbowaliśmy pospać do kolejnego lotu. O godz. 8.35 mieliśmy odlot do stolicy Tajwanu. Na miejscu byliśmy o godz. 11.45. Tu na lotnisku kupiliśmy bilety na autobus 1819 do centrum miasta za 125 TWD/os., który podjeżdża w okolice dworca kolejowego Main Station. Przejazd trwał 1 godz. Wymieniliśmy dolary w banku, kurs 1 USD = 31,39 TWD, w niektórych bankach pobierana jest prowizja, w zależności od wysokości wymienianej kwoty. Na dworcu kupiliśmy bilety na pociąg do Hualien za 440 TWD/os., na godz. 15.10. Na miejscu byliśmy o godz. 17.15. Tu mamy zarezerwowany pensjonat Dream Homestay za 3060 TWD/3 os. (No. 23, Guoxing 3 rd street, 970 Hualien). Następnie poszliśmy zapoznać się z kuchnią azjatycką, zamówiliśmy zupełną z ostrą pastą paprykową. Na dzień dzisiejszy wystarczy.

10 października. Hualien – Park Narodowy Taroko. Pobudka o godz. 7.00. Ruszyliśmy na dworzec autobusowy (ok. 500 m od hostelu). Tam kupiliśmy bilety do Taroko za 78 TWD/os. Jechaliśmy 1 godz. do kwatery Parku Narodowego Taroko, który jest największą przyrodniczą atrakcją Tajwanu. Wokoło rozciągały się malownicze widoki na góry oraz skalny wąwóz pełen jaskiń, wodospadów i mostów. Było trochę mgliście i siała deszcz. Ruszyliśmy pieszym szlakiem, który po 650 m okazał się zamknięty. Tak zdarzyło się jeszcze w kilku przypadkach, ponieważ w ostatnich tygodniach Tajwan nawiedziły trzy tajfuny i dokonały zniszczeń niektórych tras. Ponadto od dłuższego czasu padały deszcze, więc szlaki były rozmyte. Doszliśmy do widocznej z drogi świątyni Eternal Spring Shrine. Dalsza droga wiodła główną trasą samochodową w dół wąwozu. Szliśmy przez kilka tuneli, a z trasy schodziło się na szlaki, m.in. Shakadang. Droga wiała się wzdłuż rzeki, która przypominała płynny beton. Po kilku godzinach wyszło słońce i mogliśmy się już oswoić z wilgotnością i upałem. Dotarliśmy do Chang-chur Shrine, ale był zamknięty, tak więc poszliśmy w kierunku Buluowan Snallow Grotto.

Postanowiliśmy podejść jeszcze na tarasy widokowe, które powoli zasnuwały chmury. Dwie Tajwanki próbowały wjechać tam samochodem, więc zapytałam, czy możemy z nimi podjechać. Okazało się, że mają problem z prowadzeniem auta i poprosiły o wjechanie na górę. Wykorzystaliśmy sytuację i tak dotarliśmy na górę, pokonując prawie 3 km. W dół już zeszliśmy i tu też złapaliśmy okazję do miasteczka Taroko. Po krótkim czasie podjechał autobus, którym wróciliśmy do Hualien za 88 TWD/os. Kierowca miał chyba jakąś „karną trasę”, bo jechał wzdłuż i wszerz, przez większość dzielnic i ulic miasta. W końcu dojechalśmy do dworca kolejowego, gdzie kupiliśmy bilety na następny dzień do Kaohsiung za 648 TWD/os., a w jednej z knajpek zjedliśmy obiad za 85 TWD/os. Następnie udaliśmy się w kierunku promenady nad morzem, by zobaczyć zachód słońca. Przy Mingyi Street zwiedziliśmy buddyjską świątynię Dai Tianfu, po czym przeszliśmy na nocny targ, na którym popróbowaliśmy różnych potraw kuchni azjatyckiej.

11 października. Hualien – Kaohsiung. Godz. 5.00 pobudka, chociaż mieliśmy wrażenie, że w ogóle nie spaliśmy. O godz. 6.00 mieliśmy pociąg do Kaohsiung, a na miejscu byliśmy po 4,5 godz. Tu przywitał nas potworny upał. Mirek zabukował hotel Centre (No. 6, Zhongzheng 4 th rd. Xinxing Dist. Kaohsiung). Znajduje się przy głównej ulicy koło szklanego ronda. Jest to bardzo charakterystyczny punkt, który stanowi wizytówkę miasta. Wejścia do metra tworzą „płatki” lotosu zaprojektowane przez włoskiego architekta. W nocy są one bardzo ładnie podświetlone. Zostawiliśmy bagaże i pojechaliśmy czerwoną linią metra do Starej Cukrowni. Koszt przejazdu w zależności od odcinka 20–50 TWD/os. Jest to fabryka, która została zamknięta dawno temu. Niszczące i rdzewieje, ale można pospacerować naokoło budynków, których część jest jeszcze z okresu kolonialnego. Całości dopełniają stare pociągi towarowe oraz industrialne rzeźby z recyklingu.

Następnie podjechaliśmy metrem na 55 tys. Stadion Narodowy World Games Stadium, który stanowi atrakcję architektoniczną. Został zaprojektowany przez japońskiego architekta i jest przeznaczony do gry w piłkę nożną, rugby i przeprowadzane są na nim zawody lekkoatletyczne. Jest on zbudowany w formie węża, jego dach układa się w kształcie łuski. Obiekt jest pierwszym na świecie, który pokrywa swoje zapotrzebowanie energetyczne, korzystając z energii słonecznej. Stalowa konstrukcja pokryta jest na dachu 8844 ogniwami fotowoltanicznymi, które w ciągu roku mogą wygenerować 1,14 mln kilowatogodzin energii elektrycznej.

W drodze powrotnej dotarliśmy nad jezioro Lotus Pond, gdzie wokół zbudowano liczne świątynie i pagody. Niektóre zaskakują swoją architekturą i bajkowym wystrojem. Do najciekawszych należą: Pagoda Smoka i Tygrysa, Pawilon Pei Chi oraz świątynia Konfucjusza. Miejsce jest niezwykle malownicze, szczególnie po południu, kiedy w pełnej kwiatoł lotosu wodzie odbijają się promienie zachodzącego słońca. Wytoczoną ścieżką przeszliśmy wokół jeziora, aż doszliśmy do stacji metra, skąd wróciliśmy do centrum miasta.

Niedaleko hotelu znaleźliśmy fajną knajpkę, gdzie można było nakładać dania z bufetu. W tle leciała muzyka z mantrą buddyjską. Przypomniał nam się Nepal z motywem „o mani padme hum...” Najedliśmy się dobrego jedzonka i wróciliśmy do pokoju. Obiad kosztował od 60–80 TWD.

12 października. Kaohsiung – Tainan. Śniadanie okazało się świetne, bo to nie western style, ale porządne azjatyckie jedzenie. Kilka stanowisk z ciepłymi lub zimnymi potrawami, toster z chlebem, nutella, dżem, owsianka, sałatki, kawa, herbata z mlekiem. Najedliśmy się do syta i ruszyliśmy w drogę. Z dworca kolejowego za 68 TWD/os. podjechaliśmy do Tainan. Jest to dawna stolica Tajwanu, która słynie ze świątyń. Korzystając ze wsparcia przewodnika Lonely Planet, obeszlśmy cały kompleks: świątynię Konfucjusza, Great South Gate, Wufei Temple, Fahua Temple, Koxinga Shrine, Linshui Temple, City Gold Temple, Altar of Heaven, Matsu Temple, Chih-Kan Tower, kończąc wycieczkę przy Old Fort of an Ping. Tutaj wstęp kosztował 80 TWD/os. Trasa ma ok. 7 km i wiedzie przez główne ulice miasta. Całość trzeba dobrze rozplanować, tak żeby obejść wszystkie zabytki bez błędzenia. Można tu pospacerować po starych, wąskich uliczkach pełnych restauracji, sklepów i straganów.

Wróciliśmy do Kaohsiung i postanowiliśmy wejść na dach hotelu, w którym nocowaliśmy, aby porobić nocne zdjęcia miasta. Kolację zjedliśmy w tej samej restauracji co poprzedniego dnia.

13 października. Kaohsiung – Chiayi – Fengihu (kolejka leśna). O godz. 6.00 pobudka, po szybkim śniadaniu poszliśmy na dworzec kolejowy, skąd pociągiem pospiesznym podjechalśmy do Chiayi za 245 TWD/os. Przejazd trwał 1,15 godz. Tutaj kupiliśmy bilety za 384 TWD/os. do Fengihu, miasteczka na trasie kolejki leśnej do Alishan. Wyjazd o godz. 9.00, przyjazd na miejsce o godz. 11.20. Na początku wyglądało to trochę kiepsko, bo jechaliśmy przez miasto, obok bloków, autostrad, z dżunglą ma to niewiele wspólnego. Po kilku kilometrach wjechaliśmy jednak do lasu i kolejka zaczęła swoją żmudną wspinaczkę do góry. Trasa wiedzie wokół wzgórz, podziurawionego jak sito przez górników i budowlańców, którzy wytyczali tę trasę. Przejeżdżaliśmy przez 42 tunele i kilkanaście mostów. Kolejka dojechała na miejsce i czekała 3 godziny na drogę powrotną. My rozeszliśmy się po okolicy i każdy z nas ruszył na jakiś szlak albo wzdłuż torów. W 2014 r. trasa została podmyta przez ulewę i od tej pory miasteczko Fengihu zyskało na tym, poprzez rozwinięcie infrastruktury hotelowej i restauracyjnej. Obawiają się, że otwarcie ponownie drogi do Alishan wpłynie negatywnie na losy mieszkańców.

O godz. 14.00 ruszyliśmy w drogę powrotną do Chiayi. Następnie o godz. 16.46 lokalnym pociągiem za 158 TWD/os. pojechalśmy do Kaohsiung. Na miejscu byliśmy o godz. 18.53.

14 października. Kaohsiung – Taichung – Shuishe (Sun Moon Lake). O godz. 6.30 pobudka i śniadanie. Następnie o godz. 8.00 jedziemy pociągiem do Taichung za 469 TWD/os. Przejazd trwał 2,5 godz. Z dworca autobusowego Nantu (w obrębie dworca kolejowego jest kilka dworców autobusowych) za 189 TWD/os. pojechalśmy do Shuishe (Sun Moon Lake). Przyjechalśmy po 1,5 godz. Zatrzymaliśmy się w Tanxiang Resort Hotel Sun Moon Lake (No. 130 Zhongshan Road, Yuchu 555) za 1360 TWD/os. Szału nie ma, ale w cenie jest rejs stateczkiem i śniadanie. Okazało się, że kolejny rejs jest za parę minut, więc udaliśmy się na przystań. Trasa wiedzie do trzech miejsc, gdzie można wyjść na szlaki i pozwiedzać okolicę. Po godzinnym rejsie wróciliśmy do miasteczka.

Lake Moon jest to sztuczne jezioro, nad którym zbudowano liczne świątynie i pagody. Miejsce jest niezwykle malownicze szczególnie późnym popołudniem. Powoli obezliśmy miasteczko, odwiedzając świątynie, galerie, sklepiki. Wieczór zaczyna się około godz. 18.00, więc wróciliśmy do hotelu, gdzie zjedliśmy kolację. Znowu było to losowanie z menu. Znamy tylko cyferki, reszta to czarna magia. Zjedliśmy, co podano, poprawiając ryżem z bananem i cukrem.

15 października. Shuishe (Sun Moon Lake) – Taichung – Chiayi – Budai – Tajpej. O godz. 8.25 autobusem wyjechalśmy z Shuishe do Taichung, bilet kosztował 189 TWD. O godz. 10.42 mieliśmy pociąg do Chiayi za 244 TWD/os., przyjechalśmy po 1,15 godz., stąd miejskim autobusem 7229 o godz. 12.15 jedziemy do Budai za 121 TWD/os. Dworzec autobusowy to mały zadaszony budynek przed stacją kolejową, skąd można pojechać w różnych kierunkach. Po 1.30 godz. byliśmy w Budai.

Według google maps, jest to tylko ok. 30 km od miasta, ale my objechalśmy chyba wszystkie dzielnice. Dotarliśmy do szklanego pantofelka, który okazał się ciekawym miejscem. Sporo ludzi spacerowało i robiło zdjęcia wokół tej architektonicznej ciekawostki.

Pantofelek na obcasie mający 17 metrów został wykończony z 320 kawałków niebieskiego szkła, odbijającego się w wodzie. Jego wnętrze jest planem zdjęciowym dla nowożeńców, którzy w bucie powiedzą sobie „tak”. Budynek kosztował 700 tys. USD. Warto było zrobić takie kółko, aby tu wrócić. Dlatego, jeśli ktoś będzie chciał jechać do Budai, to najlepiej z Kaoshung pojechać do Chiyai, dalej do Budai i dopiero potem do Sun Moon Lake.

Czekając na autobus do Chiyai, zjedliśmy coś na targu rybnym, ale to „coś”, czego nie polecam i nie chcę wiedzieć, co to było... Na dworcu kupiliśmy bilety do Tajpei za 598 TWD/os. na pociąg o godz. 17.32. Po 4.30 godz. byliśmy w stolicy. Mieliśmy zrobioną rezerwację w King Plaza Hotel (3F, No. 163, Nanjing West Road, Datong, Taipei 103) około kilometr od dworca głównego i 15 minut od stacji Zhongshan. Za 5 dob hotelowych zapłaciliśmy 9624 TWD/3os.

16 października. Tajpej – Park Yehliu. Pospaliśmy do godz. 8.00, chyba dlatego, że w pokoju nie ma okien. Specjalnie poprosiliśmy o cichy pokój, bez okien, znając realia azjatyckiej ulicy. Tysiące brzęczących skuterów i kopających samochodów przez całą dobę to zmore. W cichym, ciemnym pokoju spaliśmy błogo, aż nas głód obudził. Śniadanie bardzo dobre. Wykorzystaliśmy okazję i zrobiliśmy kilka kanapek na drogę, napełniając małe butelki Ice Tea. Pijemy bardzo dużo i pocimy się obficie. Ubrania mamy po chwili mokre, tak więc zazwyczaj przemieszczaliśmy się podcieniami, aby unikać palącego słońca. Dotarliśmy do stacji Zhongshan i przejechaliśmy do stacji Zhongxiao Funxing. Stąd autobusem 1815 za 91 TWD przez 1,5 godz. dojechaliśmy do Yehliu. Z przystanku wytyczono ścieżkę dla turystów, którzy chcą dotrzeć do skalnych formacji. Wstęp kosztował 80 TWD/os.

Przez kilka godzin chodziliśmy po okolicy, podziwiając cuda natury i formacje skalne o przedziwnych kształtach powstałe przez lata w wyniku erozji oceanu. Przy odrobinie wyobraźni możemy dostrzec głowę księżnej, panterę, smoka, but. Ponieważ była niedziela, miejsce odwiedziły setki turystów. Przez cały dzień panował tłok i, aby zrobić „czyste” zdjęcie, trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Nas trochę irytował brak rozwagi, ciągle wspinanie się i dotykanie delikatnego piaskowca. Stwierdziłmy, że trochę mało dba się tu o takie dobro naturalne i za parę lat nic z tego nie zostanie.

Słońce tego dnia grzało niemiłosiernie. Teraz i ja zaczęłam przyjmować tutejsze obyczaje i chronić twarz i ręce przed tym ostrym promieniowaniem. Większość Azjatek jest okryta od głowy do stóp i w ogóle nie wystawia skóry na słońce. Specjalnie stosują wysokie filtry, aby się nie opalić. Wieczorem zajrzeliśmy na nocny market, który tętni życiem. Można popробować różnych specjałów kuchni azjatyckiej. Jest tłoczno i trochę trudno zjeść tu w spokoju.

17 października. Tajpej – Jinshui – Jiufen. Autobusem 1062 za 91 TWD/os. pojechaliśmy do Jiufen i okolic. Znajduje się tutaj zamknięta kopalnia złota. Wska-

zana jest w przewodniku jako atrakcja turystyczna, do której wielu ludzi przyjeżdża. Dojechaliśmy do ostatniej miejscowości Jinshui, skąd zeszliśmy 3 km serpentynami. Idąc w dół, doszliśmy pod wodospad Golden Waterfall, który spływa ze wzgórz. Co jakiś czas siąpił deszcz, więc chmury zasłaniały góry. Dalej zeszliśmy do wybrzeża, gdzie mogliśmy obejrzeć starą kopalnię złota. Warto było, chociaż jest zamknięta dla zwiedzających. Poczekałszy chwilę w nadziei na taksówkę lub autobus do góry do Jiufen. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy na stopa samochód i tak podjechaliśmy na miejsce.

Bardzo nas to ucieszyło, bo w tym momencie nastąpiło oberwanie chmury, a my schowaliśmy się pod dachem jednego z budynków. Ulewa jak nagle się zaczęła, tak szybko się skończyła. Co jakiś czas mżyło, ale dało się zwiedzać. Rejon słynie z malowniczych krajobrazów, w oddali widać Morze Wschodniocihńskie. Pozostałości po kopalniach, rury transportowe i do tego džungla, dająca pokaz, jak szybko natura zawłaszcza sobie prawo. Wszystko szybko zarasta mchem, paprociami i po jakimś czasie nie będzie śladu intensywnej działalności człowieka. W Jiufen przeszliśmy główną uliczką i słynnymi schodami, które stanowią wizytówkę miasteczka. Wzdłuż usadowiły się knajpki i sklepiki, gdzie można spędzić miło czas.

Najlepsze widoki rozpościerają się z herbaciarni, ale obsługa nie pozwalała wejść i robić zdjęć. Owszem można sobie usiąść, napić się herbaty i wtedy do woli fotografować. Region słynie z herbaty Oolong zwanej też niebiesko-zieloną, turkusową, ulong, wulong, bohea, bohe, bou. Kto jest koneserem tego gatunku, to będzie mógł popróbować różnych smaków i metod zaparzania. Po kilku godzinach spaceru, usiedliśmy na ławeczce, gdzie przyglądaliśmy się przechodzącemu tłumowi turystów.

Kulminacją zwiedzania był zapadający zmierzch, kiedy zapalają się lampy w domach i restauracjach, a czerwone lampiony dodają uroku. Jedna z restauracji stanowi wizytówkę miasteczka, ponieważ jest dosyć mocno podświetlona, co z lampionami tworzy spektakularny obrazek. Wszyscy ustawiają się z aparatami fotograficznymi i smartfonami (takie czasy) fotografują to miejsce. Warto jest poczekać na takie przedstawienie jak z bajki. Autobusem 1062 wracamy do stolicy.

18 października. Tajpej. Zwiedzamy Tajpej. Najpierw pojechaliśmy metrem do Xiangshan, ostatniej stacji metra nr 2. Stąd udaliśmy się na szlak, który wiedzie do punktu widokowego. To podejście dla emerytów i rencistów okupiliśmy hektolitrami potu. Trasa zrobiona ze schodków i chodniczków wiedzie przez małą džunglę, gdzie nie dochodzi żaden powiew wiatru. Dopiero na odkrytej przestrzeni małe podmuchy dały orzeźwienie. Po zrobieniu zdjęć, podeszliśmy do wieży Tajpej 101, jest to budowla w kształcie „łodygi bambusa”. Górna partia budynku składa się z ośmiu nałożonych na siebie bloków, a każdy z nich z ośmiu pięter. Wykorzystane są tu najnowocześniejsze technologie, m.in. chroniące konstrukcję przed trzęsieniami ziemi o sile 7 stopni w skali Richtera i tajfunami. Prawie pod samym szczytem budynku znajduje się ogromna stalowa kula, której wahania mają amortyzować odchylenie konstrukcji. Był to do niedawna najwyższy budynek świata, dopóki w ZEA nie zaczęto na potęgę stawiać drapaczy chmur.

Wstęp na 89 piętro kosztuje 600 TWD i był to największy wydatek na atrakcje turystyczne na Tajwanie. Pierwsze pięć pięter zajmuje luksusowe centrum handlowe naj-

większych projektantów mody, wyżej znajdują się najdroższe w Tajpej biura i restauracje. Wszystko utrzymane w aurze luksusu, wielkie żyrandole, sztukaterie, przepych. Na 89 piętro wjeżdża winda w 42 sekundy, trochę zatyka uszy. Tutaj znajduje się punkt widokowy, z którego można podziwiać imponującą panoramę miasta. Potem poszliśmy schodami na 91 piętro, gdzie jest otwarty taras, skąd można zobaczyć miasto bezpośrednio, bez szyb. Wszędzie porządku pilnują strażnicy. Wyjście z budynku wiedzie przez galerię koralowców i jadeitu. Można podziwiać przepiękne wyroby za niebotyczne ceny. Dalej winda zwozi turystów na dół do sklepu spożywczo-pamiątkarskiego. Tam też wytyczone trasy wiodą w odpowiednie miejsca tak, aby niczego ważnego nie ominąć.

Następnie podjechaliśmy metrem do Mauzoleum Chiang Kai-shek zbudowanego w celu upamiętnienia jego rządów (w latach 1949–1975 był przywódcą Republiki Chińskiej na Tajwanie). Akurat trafiliśmy przed pomnikiem na uroczystą zmianę warty, która stanowi atrakcję samą w sobie. Młodzi żołnierze odgrywają rolę, stukają obcasami wypolerowanych butów, uderzają groźnie karabinami, coś tam krzyczą. Obok jest pomnik Chiang Kai-shek, siedzącego na fotelu z błogim uśmiechem. Wokół mauzoleum znajdują się: ogród, Teatr, Opera, Filharmonia Narodowa, budowle w stylu chińskim. Dużo dzieci i młodzieży spędza tu czas, siedząc w cieniu budynków lub drzew. Było to jedyne miejsce, gdzie tajwańska nauczycielka z grupą młodzieży powitała nas słowami „dzień dobry”.

Po drodze podeszliśmy do najstarszej chińskiej świątyni Longshan Temple. Następnie udaliśmy się piechotą w pobliże stacji Ximen, tutaj znajduje się restauracja Modern Toilet przy 108, Tajwan, Taipei City, Wanhua District, Lane 50, Xining S Rd. Jest to miejsce, w którym motywem przewodnim jest klozet. Siedzenia stanowią muszle, jedzenie podawane jest w małych sedesach, napoje w kaczkach lub kubkach stylizowanych na kibelki. Trochę dziwnie. Można zamówić posiłek, który zostanie podany w ubikacji. Mirek zamówił spaghetti i dostał do tego kubek herbaty i lody czekoladowe podane w formie kupy. No cóż... menu dosyć ciekawe, curry, steki, frytki, sorbety lodowe. Sama knajpka stanowi atrakcję. Po posiłku ja i Mirek wróciliśmy do hotelu, a Jarek jeszcze poszedł fotografować. Okolica metra jest ciekawa dla fanów zakupów, bo znajduje się tutaj mnóstwo sklepów firmowych. Przejazdy metrem to koszt od 20–50 TWD, w zależności od odległości.

19 października. Tajpej. Po śniadaniu pojechaliśmy do Tamsui, jest to ostatnia stacja metra na północy miasta. Słynie z Old Street, tak jest opisana w przewodniku jako malownicze stare miejsce, gdzie czas płynie wolno. Przyjechaliśmy tam, a dzielnica w niczym nie różni się od innych części miasta. Old Street to po prostu zwykła ulica, która gdzieś tam ma zawieszane lub naklejone stare zdjęcia pokazujące rejon przed wojną. Trasa wiedzie wzdłuż zatoki, dotarliśmy do Fortu Tamsui, w którym mieści się historyczne muzeum (wstęp 80 TWD/os).

Wolnym krokiem wróciliśmy do metra, którym podjechaliśmy do Beitou. Tutaj miały być źródła termalne, ale okazało się, że są w rejonie nowej stacji Xinbeitou. Przeszliśmy więc 1 km i według wskazówek ludzi dotarliśmy do Termal Valley. Po drodze mijaliśmy publiczne łaźnie, z których można skorzystać za 40 TWD/os. (obowią-

kowe stroje kąpielowe), oraz weszliśmy do muzeum Beitou Hot Springs. Dalej poszliśmy więc nad gejzer.

Mirek wrócił do centrum, a my postanowiliśmy wykorzystać resztę dnia i podjechaliśmy na drugi koniec miasta do stacji Tajpej Zoo, stąd kolejką gondolową za 120 TWD/os. pojechaliśmy do ostatniej stacji Maokong (40 minut). Warto przyjechać tu na cały dzień i pospacerować po okolicy. Miejsce położone jest na zboczu góry, skąd rozciąga się widok na miasto. Rejon słynie z plantacji herbaty, a różnych rodzajów można popróbować w wielu herbaciarniach. Okolice przecinają rozmaite szlaki, więc można zrobić fajną wycieczkę. Do miasta można wrócić zwykłym busikiem, który dojeżdża do stacji metra. O tym nikt nie chce powiedzieć, ponieważ większość turystów wraca taksówkami (koszt 70 TWD/os.), a busik kosztuje tylko 15 TWD/os.

Wróciliśmy do miasta późnym wieczorem pełni satysfakcji, że odwiedziliśmy to miejsce. Okazało się jednym z ciekawszych miejsc warty obejrzenia.

20 października. Tajpej – Pekin. Wykorzystujemy dobę hotelową do końca. Wyszliśmy jeszcze wymienić pieniądze i pokręciliśmy się po zabytkowej Dihua Street, która jest zabudowana w stylu angielskim. Potem pakowanie plecaków, kąpiel i poszliśmy na główną stację kolejową Main Station, obok której znajduje się dworzec autobusowy. Stąd odjechaliśmy na lotnisko za 90 TWD/os. Czasu mieliśmy sporo, bo lot do Pekinu był o godz. 18.25. W stolicy Chin byliśmy po godzinie 3.30. Tutaj poczekaliśmy do godz. 2.55 i wylecieliśmy w dalszą podróż do Warszawy. Na pokładzie samolotu łażało nas już spanie, tak więc chcieliśmy tylko catering i odrobinę spokoju...

21 października. Pekin – Warszawa – Katowice – Bytom. O godz. 6.20 wylądowaliśmy w Polsce. Przywitało nas rześkie powietrze i stwierdziliśmy, że mimo wszystko to nasz klimat do życia. Autobusem 331 dojechaliśmy do metra Wilanowska, a stąd metrem do Młocin. Zrobiliśmy zakupy śniadaniowe i PolskimBusem o godz. 8.15 pojechaliśmy do Katowic. W stolicy Górnego Śląska jesteśmy o godz. 12.40. Potem jeszcze tylko autobus, tramwaj i już jesteśmy w domu...

Podsumowanie. Tajwan to wyspa o powierzchni 36 193 km², którą zamieszkuje 22 mln 900 tys. ludzi. Każdy odnajdzie tu coś dla siebie. To doskonałe miejsce dla miłośników gór i morza, gdyż odległości pomiędzy nimi są niewielkie. Szczególnie jest to widoczne na wschodnim wybrzeżu, gdzie ocean niemal osiąga podnóża szczytów. Jednocześnie można podziwiać dynamicznie rozwijający się przemysł, prawną kulturę i nieskażoną dziką przyrodę. Tutaj nie trzeba nawet znać języka chińskiego, dużo jest napisów po angielsku. Poza tym wielu tubylców dobrze lub bardzo dobrze mówi w tym języku. Tajwańczycy oferują także bardzo smaczną i taną kuchnię, tutaj czekają na nas rozkosze sztuki kulinarnej dla najbardziej wybrednych koneserów. Zjeść można na każdym rogu ulicy, praktycznie o każdej porze dnia i nocy.

Tajwan (Republika Chińska) jest wyspą leżącą na zachodnim krańcu Pacyfiku pomiędzy morzami: Południowochińskim i Wschodniocińskim. Tajwan graniczy poprzez wody terytorialne Cieśniny Tajwańskiej z Chinami od zachodu, a od południa

z Filipinami. Wyspa ma około 400 km długości i 144 km szerokości i jest wielkości województwa mazowieckiego. Mniej więcej przez środek wyspy przebiega zwrotnik Raka. Większości z nas Tajwan kojarzy się z wytwarzaną elektroniką, a jest tu naprawdę wiele do zobaczenia. Wyspa posiada fantastyczne plaże, góry porośnięte lasami zwrotnikowymi z palmami, pięknymi paprociami i różnego gatunku bambusami. Tu znajdziecie piękne zabytkowe świątynie trzech głównych religii: buddyzmu, konfucjonizmu i taoizmu oraz drapacze chmur w miastach, które wrą życiem całą dobę. Portugalczycy, którzy w 1590 roku założyli na Tajwanie pierwszą faktorię kupiecką, zachwyceni wyspą nazwali ją „Ilha Formosa” w języku portugalskim znaczy to „piękna wyspa”.

Anita Pogorzelska

Korowajowie – ludzie drzew i Dolina Baliem, czyli Papua Zachodnia



Termin: luty 2017 (24 dni)

Uczestnicy: 7 osób, potem 4 osoby

Kilka słów na temat mojej wyprawy na Papuę Zachodnią, gdzie odbyliśmy z grupą znajomych czterodniowy trek po lesie deszczowym i dotarliśmy do dwóch rodzin Korowajów, „ludzi drzew”, następnie przenieśliśmy się do Doliny Baliem, gdzie odwiedziliśmy plemię Dani.

Byliśmy grupą siedmioosobową, co akurat nie jest dobrym pomysłem, optymalna liczebność grupy to według mnie cztery osoby, tu jednakże rolę odegrały koszty, każdy kolejny uczestnik w ekipie znacznie obniżał cenę od osoby. Nie muszę dodawać, że na tak trudny wypad warto się wybrać ze sprawdzonymi ludźmi, choć w moim przypadku akurat dwóch kolesi wyszukanych specjalnie na ten wyjazd okazało się strzałem w dychę, reszta zaś niekoniecznie...

Jest to jedna z tych wypraw, na którą nie macie szans udać się bez przewodnika. To niemożliwe przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo, udajecie się bowiem na tereny jednych z ostatnich kanibali. Warto też zapłacić więcej i mieć sprawdzonego i rzetelnego przewodnika. W Jajapura spotkacie na ulicach wielu chętnych, którzy będą was przekonywać, że oni są najlepsi i najtańsi, a ten wasz nie jest wart kasy, którą sobie zaśpiewał. W ten sposób łatwo trafić na oszustów, a pozostawienie was bez opieki po dwóch dniach trekku w lesie deszczowym Papui to atrakcja, której nie polecam.

RELACJA Z PODRÓŻY

Pierwsze dwa dni spędziliśmy w podróży (Warszawa – Berlin – Abu Dhabi – Jayapura), do Jayapura dotarliśmy trzeciego dnia rano.

W Jayapura z lotniska odebrał nas nasz przewodnik, zawiózł do hotelu, gdzie rozliczyliśmy się oraz przepakowaliśmy plecaki na trek, zostawiając w depozycie resztę bagaży.

Jayapura, Rasen Hotel. Warunki jak to w Azji, komfortu nie ma, ale poza tym jest OK. Blisko lotniska, przyzwoita miejscówka, hotel często pełen, więc konieczny wcześniejszy kontakt telefoniczny. Nas problem ominął, mieliśmy wszystko zaklepane u Tour Operatora. W cenie zupełnie przyzwoite śniadanie. Blisko do głównej ulicy Jayapura.

Samo miasto to straszna dziura, klasyczne małe, azjatyckie miasteczko bez żadnych atrakcji poza jakimiś knajpkami, w których można zjeść kolację. Tu, w Jayapura, konieczny zakup papierosów na prezenty do Doliny Baliem (jeśli nie kupiliście w PL). Unikać tradycyjnie spacerów po nocy... Ot, konieczny przystanek na trasie do celu...

Z Jajapura dolecieliśmy awionetką do Dekai (lot ok. 1,5 godziny), potem autem 4x4 na „przystań”, czyli miejsce, gdzie było w miarę łagodne zejście do wody, skąd ruszyliśmy w dwudniowy rejs łodzią do wioski Mabul.

Pierwszy nocleg mieliśmy w namiotach – w wiosce Butukarnao u plemienia Citak, pierwszych napotkanych kanibali... Za każdym razem namioty były rozstawiane pod jakimś zadaszeniem. W trakcie podróży łodzią w wioskach dwa noclegi, po jednym w drodze „tam” i „z powrotem” oraz po dotarciu do Mabul (skąd ruszyliśmy na trek) – jeden nocleg, namioty stały w budynku wiejskiej szkoły i w domu naszego lokalnego przewodnika, Assera. Na szczęście te pomieszczenia, nazwę je szumnie pokojami, były na tyle obszerne, że pomieściły nasze 4 namioty.

Warto zagadać z mieszkańcami wioski – do „naszego” domu zeszła się chyba cała wieś, nie ma się co dziwić, nieczęsto widują tam białych. Do Korowajów dociera ok. 200–300 osób rocznie.

Pomimo płynącej obok rzeki, nie polecam zbyt beztroskiej kąpieli ze względu na obecność krokodyli, ale dopóki widno można zejść na brzeg, żeby się umyć. Warto przejść się po wiosce, zajrzeć do sklepiku (bywają napoje w puszkach!), obejrzeć szkołę (nieczynną, bo dla nauczyciela za daleko...), obejrzeć kościół i misję (opuszczone, bo dla księdza vel pastora za daleko...). We wsi większość domów stoi pusta.

Wioski takie jak Mabul, zamieszkałe przez Korowajów, to twór sztuczny, wybudowany w ramach rządowego programu, mającego na celu „ucywilizowanie” mieszkańców lasów deszczowych. Za stworzenie takich miejsc osoba odpowiedzialna otrzymywała kolosalną kasę, rzędu nawet kilkuset tysięcy dolarów.

Ci Korowajowie, których udało się tam ściągnąć, jakoś wegetują. Dostają jakieś pieniądze – za dużo, żeby umrzeć, za mało, żeby przeżyć... Pomieszkują w wiosce, ale jak tylko mogą, to wracają do lasu, który jest ich prawdziwym domem. Smutne życie... Wkraczając na tereny Korowajów, musicie mieć miejscowego przewodnika, który będzie tłumaczem, ale przede wszystkim gwarancją bezpieczeństwa. My mieliśmy Assera i Simsona. Z Mabul po śniadaniu i przedłożeniu w tamtejszym biurze permitu, rozpoczynamy trek do domów Korowajów. Pierwszego dnia pokonujemy ok. 20 km w ciągu 8 godzin.

Pierwszy dzień w lesie deszczowym i kilkugodzinny, niezwykle wyczerpujący trek po bagnie, zmruszałych pniach drzew, po których szło się, balansując, żeby nie spaść, bo bagno w niektórych miejscach było głębokie... Należy unikać kłujących palm sagowych rosnących wszędzie, przytrzymanie się takiej palmy całej pokrytej ostrymi

igłami, od maleńkich jak u kaktusa, po kilkucentymetrowe, w celu złapania równowagi bywa brzemienne w skutkach. Należy też bardzo uważać na pijawki, są wszędzie, cieniutkie niczym nitki, szybkie i bardzo głodne...

Tego dnia dotarliśmy jedynie do domów opuszczonych przez Korowajów. Po trudach trekku trafiliśmy na miejsce noclegu. Nocleg w namiotach pod zadaszeniem, postawionych w opuszczonym „domu dziennego pobytu” Korowajów.

Korowajowie nie znają gospodarki agrarnej, nie sieją, nie uprawiają roli. Skazani są więc na to, co znajdą lub upolują i złowią. Są nomadami, gdy wytną wszystkie palmy sagowe, wyłapią dzikie świnie, wybierają co się do jedzenia nadaje, porzucają swoje domy i ruszają dalej w poszukiwaniu dobrego miejsca na budowę nowego. Nie mieszkają w wioskach, skupiska ich domów zamieszkują ledwie dwie, trzy rodziny. Zabudowania Korowajów to domy na drzewach, budowane często nawet do 30 metrów nad ziemią (w tych domach Korowajowie przebywają od zmierzchu do świtu) oraz zabudowania „pobytu dziennego”, budowane bezpośrednio na ziemi bądź ok. metra nad nią. W takim właśnie domu mieliśmy rozstawione nasze namioty.

Następnego dnia mieliśmy dość krótki trek, ok. 5 godz., po nim dotarliśmy do pierwszej rodziny Korowajów. W jednym domu mieszkały trzy kobiety i trzech mężczyzn. Dom Korowajów dzieli się na dwie części: męską i żeńską. Na noc do domu wnoszone są także zwierzęta. Tego dnia uczestniczyliśmy w codziennych czynnościach Korowajów (ścinanie palmy sagowej i „produkcja” maki, wypłacanie koszy/sieci na ryby), byliśmy gośćmi u nich w domu, zostaliśmy obdarowani udźcem dzikiej świni upolowanej poprzedniego dnia (nasz przewodnik i zarazem kucharz Olfied zrobił nam z tego mięsa pyszny gulasz).

Następnego dnia po śniadaniu znowu ok. 5 godz. trekku do kolejnej rodziny Korowajów. Tej nocy spaliliśmy w namiotach, które Olfied z małą pomocą naszych gospodarzy rozstawił nam w ich domu na drzewie. Korowajowie byli bardziej obserwatorami niż wykonawcami, pierwszy raz bowiem uczestniczyli w tej czynności.

Dom dość zaniedbany i z dziurawym dachem, więc namioty były uzasadnione, ponieważ co noc lał rześisty deszcz. Kolejny dzień to znowu towarzyszenie Korowajom w ich codziennych zajęciach – pokazywali nam pułapki na dzikie świnie, zbieraliśmy jadalne rośliny i wspólnie przygotowaliśmy kolację. No i mieliśmy czas na rozmowę o codziennym życiu w dżungli (dzięki pomocy Assera – tłumacza).

Kolejnego dnia po śniadaniu ruszyliśmy w kierunku wioski Mabul. Trek – ok. 6 godzin. Zmęczenie sięgało zenitu... Nocleg we wsi w budynku szkoły, w sali lekcyjnej.

Podczas rejsu łodzią koniecznie trzeba mieć pod ręką kurtkę przeciwdeszczową, a najlepiej dużą pelerynę z kapturem oraz solidne zabezpieczenie dla sprzętu elektronicznego. Przyda się też jakiś polar, ponieważ podczas ulewnego deszczu na łodzi potrafi być naprawdę zimno!

Po dwóch dniach rejsu dotarliśmy do Dekai. Z Dekai na drugi dzień był przelot do Wameny (ok. 1,5 godz.). Wamena jest punktem wypadowym w góry do plemion Dani, Yali i Lari. My odwiedziliśmy tylko wioski plemienia Dani. Sama Wamena jednak jest dużo bardziej interesująca niż Jayapura czy Dekai. Na głównej ulicy codziennie odbywa się targ, na głównych ulicach jest pełno wózków z pysznym jedzeniem (np.

szaszłycki z kurczaka z sosem na słodko z orzeszków arachidowych, pączki na różne sposoby, naleśniki z różnymi nadzieniami), jest także wiele knajpek z ichniejszym wspaniałym jedzeniem. Jak zawsze polecam spacer ulicami, zakupy w sklepach z pamiątkami; można kupić wiele prawdziwych sprzętów zebranych w papuaskich wioskach, choć jest także klasyczna „cepelia” pod turystów.

Warto odwiedzić miejscowy bazar, należy jednak bardzo uważać podczas robienia zdjęć, ponieważ możecie się spotkać z agresją lokalsów. Ja pytałam, w zdecydowanej większości uzyskiwałam pozwolenie. W sklepach spożywczych i w restauracjach piwa ani innego alkoholu nie dostaniecie.

Z Wameny mieliśmy dwa dni trekku do okolicznych wiosek, takich na oko bardziej ucywilizowanych, z kościołami, nawet posterunkami policji czy wojska. Gdy spytaliśmy, czy wobec tego musi z nami iść miejscowy przewodnik, usłyszeliśmy, że kilka dni wstecz na drodze, którą szliśmy, dwóch Dani się pokłóciło i jeden drugiego zabił strzałą z łuku... Tak więc pozornie spokojne miejsce bezpieczne nie jest i ochrona w postaci lokalsa jest tam niezbędna. Powrót z trekku był dość wyczerpujący, musieliśmy przejść przez rozpadające się mosty linowe oraz dwie rwące rzeki o dnach pełnym głazów i kamieni.

Pierwszego dnia gościliśmy w domu wodza, w którym przechowywana jest ponad dwusetletnia mumia przodka. W następnej wiosce obejrzelśmy pokaz „Mock Battle” – to coś w rodzaju tańca wojennego. Można by powiedzieć: „cepelia”, jednakże później, podczas pobytu na Raja Ampat zostaliśmy zaproszeni na projekcję filmu fabularnego, opowiadającego o konflikcie pomiędzy dwoma plemionami w Dolinie Baliem. Konflikt skończył się bitwą, nieróżniącą się prawie niczym od tej, którą obejrzelśmy. Oczywiście to „prawie” dotyczyło zabitych – w filmie było kilka „ofiara”, podczas występu dla naszej grupy obyło się bez nich.

Film pokazał także, że dość dla nas makabryczny zwyczaj obcinania sobie palców na znak żałoby po męskim członku rodziny jest tam ciągle praktykowany. Poza wizytą w wioskach byliśmy w jaskini w rysunkami naskalnymi, których dotychczas nikt nie zbadał, więc trudno powiedzieć, z jakiego są okresu. Miejscowi twierdzą, że były tam „zawsze”. Wizyta w wioskach Dani zakończyła tę część wyprawy. To był też ostatni dzień wspólnej podróży w pierwotnym składzie, na Raja Ampat mieliśmy być już tylko w czwórkę.

Z Wameny mieliśmy lot do Jayapura opóźniony o godzinę (norma!!!), planowo 6.15–7.17. W Jayapura byliśmy o 8.30. Z Jayapura lot do Sorong 11.05–13.55 (dwa posiłki, międzylądowanie w Manokwari). W Sorong mamy prom do Waisai o godz. 14.00, więc było gorąco, ale na szczęście taksówkarz, który nas wiozł do portu, w trakcie jazdy zadzwonił do jakiegoś swojego kołosa, tamten zatrzymał dla nas prom!!! To jest chyba możliwe tylko w Azji – w tym wypadku bardziej Oceanii.

W Waisai byliśmy ok. 17.00. Tam po wykupieniu permitu spotkaliśmy się z naszym gospodarzem i popłynęliśmy do Mandarin Homestay. Sam homestay chyba OK, ale nie mam porównania, więc trudno mi powiedzieć, czy za te pieniądze nie byłoby lepszego. Gospodarz Kristian OK, pomocny, dało się negocjować wszelkie wypadki, choć już wynegocjowanie niższej opłaty za pobyt skutkowało dość nędznym i jednolitym je-

dzeniem i niezbyt obfitymi porcjami (codziennie dostawaliśmy takie same zestawy na śniadanie, obiad i kolację). Kawa, herbata, przegotowana woda do picia – non stop. Łazienka w szałasie obok domków (beczka na wodę i kubek do polewania się), tam także obok toalety (stojący „europejski” kibelek).

W okolicy sporo podobnych miejscówek, warto zrobić dokładne rozeznanie, w miarę możliwości jak najwcześniej i mejlowo postarać się dogadać ceny za wycieczki, liczbę posiłków, rodzaj posiłków itd. Należy jednak pamiętać, że tam Internet to rzadkość, więc właściciele mogą odpisywać z dużym opóźnieniem, poza tym ich angielski często ogranicza się do znajomości kilku słów – wykażcie się więc dużą cierpliwością i uporem.

Mandarin Homestay to dobra lokalizacja na wyspie Gam, do której płynie się dość długo, ale z której jest dość blisko do wszelkich atrakcji archipelagu Raja Ampat. Kristian oferuje następujące wycieczki – wszystkie warte polecenia:

- Gam Lagoon: snurki i 2 jaskinie pełne nietoperzy, miły początek pobytu. Cena za łódkę (w której max 4 osoby) 200 000 IDR;
- Bird Paradise: przed świtem półgodzinny marsz pod górkę do platform, z których można było dostrzec rajskie ptaki. Na zdjęcia bez profesjonalnego sprzętu nie ma co liczyć, mój obiektyw 16–300 nie dał rady... Cena od osoby: 150 000 IDR;
- Arborek (wyspa): tam najlepsze snurki w przezroczystej wodzie z gruntem pod nogami, ławice kolorowych ryb, jak na taką płycznę stosunkowo mało zniszczona rafa. Po snurkach przepłynęliśmy na stanowisko żerowania mant. Mój snurek życia to ogromna, chyba dwutonowa manta, pod nią rekin szary rafowy oraz ogromna ryba (był to albo gatunek rekina, albo „napoleon”). W drodze do Mandarin H. mijaliśmy dzikie orki i dzikie delfiny. Czad! Cena za grupę/łódkę (byliśmy w 4 osoby): 500 000 IDR, czyli od osoby po 125 000 IDR;
- Wayag – wyspa, wizytówka Raja Ampat. Wy płynęliśmy o 5,30, płynęliśmy ponad 5 godzin. Na miejscu trzeba się wdrapać na górę po prawie pionowym podejściu, po wystających korzeniach. Trudne podejście, ale widok wynagradza wszystko! Cena wyjściowa to: 2 000 000 IDR od osoby, płaciliśmy 1 900 000 IDR od osoby;
- Pyamemo (wyspa i archipelag) oraz Yaben (wyspa i obiad na plaży, potem snurki). Pyamemo – dwie godziny łodzią od Mandarin H., wejście po drewnianych schodach na 2 pomosty. Sporo niżej niż szczyt Wayag, pięknie, choć nie tak spektakularnie jak na Wayag. Cena: przy 4 os. na łodzi od osoby 750 000 IDR (czyli za łódkę 3 000 000 IDR);
- Pasir Tumbul (plaża) Suwandarek (wioska): plaża z krótkimi snurkami i wioska. Sympatyczny spacer, ale tej wycieczki nie polecam, lepiej popłynąć drugi raz na Arborek bądź zostać w Mandarin H. na snurkach – obok „domu” była przepiękna rafa!!!

W sumie Raja Ampat to raj nurkowy, rafa podobno najpiękniejsza na świecie. W tym rejonie to raczej atrakcja dla wytrawnych nurków, ponieważ wody Raja Ampat są zdradliwe, ze względu na często występujące bardzo silne wiry. Ale pod opieką doświadczonych i koniecznie sprawdzonych centrów nurkowych warto, widziałam

filmy znajomego, który tam nurkował, no i żałuję, że się nie szarpnęłam na ten wydatek, ograniczając do snurków.

Pobyt na Raja Ampat zakończył mój pobyt na Papui Zachodniej. Jeszcze oczywiście powrót przez Sorong (nocleg) do Jakarty (nocleg) i po kolejnych dwóch dniach byłam w domu.

Całą wyprawę, wraz ze wszystkimi przydatnymi informacjami, cenami, zamiarami na hotele, spisem niezbędnych rzeczy na trek po dżungli, zamiarami na naszego papuaskiego przewodnika i tour operatora zamieściłam tu: <http://takemytrip.pl/plan->

Anna Lega
Grzegorz Lega

Maroko z północy na południe



Termin: 20–29 stycznia 2017

Uczestnicy: 4 osoby: Ania, Kasia, Grzesiek i Mirek

Przejazd. Wylot z Krakowa do Beauvais (Francja). Auto zostawiamy na prywatnym parkingu Tina – 10 dni/60 zł i mamy w tym transfer na lotnisko, i z powrotem), 5 godzin oczekiwania i kolejny lot do Tangeru. Powrót z Marrakeshu do Bergamo (Włochy), a po noclegu i rannym zwiedzaniu miasteczka wylot do Krakowa.

W Maroku obowiązują dwa urzędowe języki: arabski i francuski, ale w miejscach turystycznych popularny jest j. angielski. Generalnie dla osób bez znajomości francuskiego z powodzeniem można polecić *Blondynka na językach* B. Pawlikowskiej i po miesięcznej nauce tego języka możliwa jest podstawowa komunikacja, która nam się przydała. Osoby wrażliwe na hałas przed wyjazdem do Maroka powinny zaopatrzyć się w stopery do uszu, bo codziennie rano przed świtem nawoływania muezina wyrywają ze snu.

Po Maroku przemieszczaliśmy się pociągami i autobusami CTM, które są tam punktualne, czyste, klimatyzowane i stosunkowo niedrogie. Uwaga, bo w wielu miastach są co najmniej dwa dworce. Planując transport lokalnymi środkami, należy uwzględnić fakt, że w godzinach szczytu mogą zostać wyprzedane wszystkie bilety na autobus CTM, a zatem najlepiej bilety kupować z wyprzedzeniem lub trzeba brać pod uwagę czekanie na następny autobus ok. 2 godz. albo rozejrzeć się za grand taxi i każdorazowo negocjować cenę transportu. Ciekawym rozwiązaniem są petit taxi (które niestety dla nas biorą max. 3 osoby), ale ceny są tak małe, że można było wziąć dwie „petitki” i zapłacić mniej niż przy płatności za 1 grand taxi. Godne polecenia są też przechowalnie bagażu na dworcach CTM. Nasze 4 duże plecaki zostawialiśmy w przechowalni, pani spisywała z biletów godzinę wyjazdu i po powrocie ze zwiedzania miasteczka np. po 4 godzinach, nasze plecaki były już załadowane do autobusu. A opłata za takie nadanie i przechowanie czterech plecaków wyniosła nas w Tetuan 5 dh, a w Chewchawan 4 dh.

Płatności dokonywaliśmy lokalną walutą wybraną z bankomatu kartą USD (kantor internetowy alior banku oferuje bezprowizyjne, jednorazowe w miesiącu pobranie gotówki z bankomatu. My mieliśmy dwie karty USD kantoru internetowego, więc zaraz po wylądowaniu na lotnisku w Tangerze pobraliśmy gotówkę, a potem drugi raz z drugiej karty USD). Mieliśmy również gotówkę EUR – przelicznik 1 EUR = 10,14 dh. Płatności kartami też były możliwe w wielu miejscach (zakup biletu, płatności za noclegi), ale wówczas cena płatności była powiększana o 3% prowizji. Bankomatów nie brakuje nigdzie.

Nasze plecaki ważyły po ok. 7 kg i trochę ich na plecach nosiliśmy. Do plecaka spakowaliśmy drugą parę butów na wypadek przemoczenia, bieliznę, koszulki z krótkimi rękawami na 4 dni (przepierka na noclegach), cienki polar, poncho od deszczu, klapki pod prysznic, ręcznik z mikrofibry, pidżama, śpiworek (prześcieradło zabezpieczające przed niehigienicznymi warunkami Afryki), grzałka do gotowania wody, kubeczki plastikowe na kawę parzoną.

Wizy do Maroka nie są potrzebne, ale po wylądowaniu należy wypełnić małe karteczki (są porozkładane wszędzie na lotnisku), gdzie wpisujemy imię, nazwisko, numer paszportu i zawód wykonywany w Polsce oraz adres hotelu, gdzie się zatrzymujemy. Szczepień tym razem nie uzupełnialiśmy w ogóle (w 2013 robiliśmy na żółtaczkę, dur brzuszny, tężec i krztusiec). Ubiór mieliśmy zwykły podróżniczy, tj. wygodne buty, spodnie, polary ciepłe i kurtki od wiatru. Nakryć głowy nawet nie braliśmy pod uwagę, więc wyglądaliśmy jak typowi turyści. Efektem takiego stroju było stałe zaczepianie przez miejscowych. Stosowaliśmy podstawową zasadę w takich podróżach, czyli „głuchy i ślepy” na zagadywania i próby naciągania na zakupy, a przy wyjątkowo natrętnych stosowaliśmy słowo „halast” co oznacza dosyć, wystarczy, nie jestem zainteresowany rozmową z tobą – skutkowało to natychmiastowym odwróceniem się na pięcie naciągacza i błyskawiczne odstępianie od nas.

RELACJA Z PODRÓŻY

20 stycznia. Kraków – Beauvais – Tanger. Po przylocie do Francji, w oczekiwaniu na kolejny lot kupujemy bilet u kierowcy autobusu nr 6 (po wyjściu z terminala skręcić lekko w lewo) i za 1 EUR/dwie strony/os. jedziemy zobaczyć Beauvais, a w nim najwyższą we Francji katedrę gotycką oraz muzeum Oise (zwiedzanie bezpłatnie). Godna uwagi jest także uliczka Rue du 27 Juín z uroczymi kolorowymi domkami. Po powrocie na lotnisko okazuje się, że na nasz lot musimy przejść na terminal 2 (obsługujący loty pozaunijne), czyli ok. 200 metrów od terminala 1. Wylatujemy punktualnie i o godz. 18.00 lokalnego czasu lądujemy w Tangerze. Transfer z lotniska do miasta taksówką 150 dh/4 osoby. Wpisujemy adres naszego hotelu w nawigację (rezerwacja na booking) i... trafiaamy do petit socco, do hotelu Maram – 30 EUR/4 osoby w jednym pokoju. Pokój jest z łazienką, ale toaleta już na zimnym korytarzu, brrr. Obsługa bardzo miła. Pan ładnie mówił po angielsku. Zaprosił i poczęstował nas pyszną, przesyłdzoną, ale gorącą herbatką miętową. Wieczorem wychodzimy na spacer po mieście i na kolację. Kuskus z herbatką, sałatką i ćwiartką kurczaka 150 dh na 2 osoby – zdecydowanie za drogo jak na ten region.

21 stycznia. Tanger – Tetuan – Chewchawan. Po pobudce przez muezina idziemy zwiedzać Tanger (medyna, kazba, grand socco). Zabiera nam to ok. 2 godz., a następnie udajemy się na piechotę na dworzec CTM. Kupujemy bilety do Tetuan 100 dh/4 osoby. Po godzinnej jeździe, docieramy do Tetuan i od razu kupujemy bilety do Chewchawan 100 dh/4 osoby, zostawiamy plecaki w przechowalni bagażu, za którą płacimy 5 dh i na „lekką” idziemy w miasto. Poznawanie Tetuan zaczynamy od nowego pałacu królewskiego przy placu Hasana II, a potem idziemy się zgubić w medynie. Tu udaje się nam namierzyć tamtejszą minigarbarnię, po której mogliśmy przemieszczać się na poziomie kadzi oraz fotografować bez ograniczeń kadzie z garbowanymi skórami. Nikt z pracujących tam osób nie reagował na nasz widok, wszyscy byli zajęci swoją pracą, a my byliśmy z tego faktu bardzo zadowoleni. Ceny w Tetuan były przystępne: 1 kg mandarynek na targowisku 2,5 dh, woda 1,5 l – 7 dh, bułki 2 dh, kanapki z serkiem topionym lub dżemem 7 dh, daktyle 1 kg – 25 dh.

O 17.00 wsiadamy w autobus i jedziemy do Chewchawan. Po godzinnej jeździe, podczas której podziwiamy górskie krajobrazy, docieramy do miasta i kierujemy się od razu do kasy celem zakupu biletu na kolejny dzień do Fezu. Bilety kosztują nas 300 dh/4 osoby. Tu okazuje się, że bilety na autobus z godz. 15.45 zostały wyprzedane i możemy kupić tylko na godz. 13.45. No cóż, kupujemy i ruszamy pod ostrą górkę w kierunku medyny, aby znaleźć nocleg. Pierwszy hotel cały zajęty, drugi hotel pusty, ale za to okna się nie zamykają, a pod drzwiami 20 cm przerwy na hulanie wiatru w pokoju, ogrzewania brak, więc szukamy dalej. W trzecim hotelu Bab el Ain znajdujemy nocleg ze śniadaniem 300 dh/4 osoby w 2 pokojach obok siebie. Po zakwaterowaniu idziemy na zwiedzanie nocne błękitnego miasteczka. Miasto jest naprawdę piękne, klimatyczne i o tej porze puste, więc do fotografowania wymarzone. Wracamy na noc do naszego hotelu. Temperatura w pokoju ok. 10 stopni, ale dostajemy po 3 koce do ogrzania. Do rana dotrwaliliśmy.

22 stycznia. Chewchawan – Fez. Pobudka o 7.30 i udajemy się na miasto. Rewelacja – mieszkańcy i turyści jeszcze śpią, więc swobodnie można fotografować. Na 9.00 wracamy do hotelu na tradycyjne marokańskie śniadanie: sok pomarańczowy, przestodzoną herbatę miętową, chlebek, masło, dżem i serek topiony oraz kawę z mlekiem. Po śniadaniu kontynuujemy zwiedzanie miasta i okazuje się, że o tej porze miasto zaczyna żyć. Miejscowi rozstawiają swoje kramy, a turystów widać coraz częściej. Niemal ze wszystkich kamieniczek powychodzili sprzedawcy wszystkiego, co się da sprzedać, i błękitne mury miasta zostały ubarwione wszystkimi kolorami i zapachami różnorodnych przypraw. Dla nas, Europejczyków, to było niesamowite. Polecić tutaj można jeszcze spacer ciasnymi uliczkami do bramy Bab al-Ansar i źródła Ras el-Mar. Stąd, przechodząc przez most, kierujemy się ścieżką w górę w stronę hiszpańskiego meczetu, położonego na wzgórzu, z pięknym widokiem na miasto i góry Rif. O 13.45 wyjeżdżamy z Chewchawan do Fez. Na trasie kierowca robi pół godziny przerwy na posiłek/modlitwę w przydrożnym zajeździe. Po drodze pada pierwszy deszcz, w końcu to pora deszczowa. Po dotarciu na dworzec o godz. 18.00 wzięliśmy prywatną taxi, która dowiozła nas za 50 dh pod hotel Batha, skąd odebrał nas Adil, menager naszego wcześniej zarezerwowanego Riadu: Dar el ouedghiri. Po ostatnich zimnych

nocach ten riad był cudownie ciepły. Spędziliśmy tu trzy noce i płaciliśmy 10 EUR/os./ noc ze śniadaniem.

23 stycznia. Fez. Po nocy w ciepłym pokoju i tradycyjnym marokańskim śniadaniu zaopatrzeni w mapę medyny od Adila, wychodzimy na zwiedzanie miasta. Ten plan wystarczył Grześkowi, aby znaleźć każdy ciekawy punkt miasta i aby wyprowadzić nas z każdej „czarnej dziury” (w wielu ciasnych miejscach medyny nawigacja nie działa!!!). Wizualnie Fez jest brzydkim miastem, ale posiada fantastyczny klimat. Na początku spaceru po medynie zwiedzamy: muzeum drewna – wstęp 20 dh/os. Z dachu muzeum można dostrzec (w kierunku południowym) najstarszą garbarnię Fezu. Następnie oglądamy 2 duże meczety: Al-Karawijjin i andaluzyjski, a także wiele mniejszych. Wejście do meczetów jest niemożliwe dla innowierców. Następnie mijamy medresy, do jednej z nich wchodzimy (za 10 dh), gdzie podziwiać można obfitość i różnorodność dekoracji snycerskich i stiukowych. Dochodzimy również do garbarni: najstarszej oraz największej. Za podziwianie ich z tarasu nie płacimy ani dirhama, a na tarasach widokowych spędzamy może kwadrans. Oczywiście zachęcano nas do zakupu produktów, ale nikt nie nalegał.

Dalej przechodzimy przez różnorakie suki, gdzie obok gotowych wyrobów można podglądać cały proces ich tworzenia, np. produkcja garnków, wybijanie napisów arabskich na płytach marmurowych, wypiek chlebków i słodkości, barwienie odzieży użytkowej, rzeźbienie w drzewie cedrowym, ubój i rozbiór mięsa, usługi kaletnicze, tkanie dywanów i mnóstwo innego rzemiosła, które dla nas było ogromną atrakcją. Tutaj pięknie widać, jak wygląda życie wokół targowisk, gdzie lokalni kupują wszystkie potrzebne produkty, jak toczy się codzienne życie mieszkańców. Dla porównania odwiedziliśmy jeden duży market (w Marrakeshu), w którym tłumów nie było, wręcz więcej było obsługi sklepowej niż klientów pomiędzy półkami, tam było autentycznie pusto. Około południa zaczął padać deszcz, więc wykorzystaliśmy ten czas na pyszny obiad. Zjedliśmy wśród lokalsów, a cały obiad dla naszej czwórki kosztował nas 160 dh (tajin, kawa, sałatki, zupy). Po obiedzie znowu gubimy się w medynie i na wieczór wracamy do naszego riadu. Jesteśmy bardzo zadowoleni jak na pierwszy raz w Fezie. Uwaga: jeśli ktoś tak jak my nie nastawia się na zakupy/targowanie to jeden dzień + dobry plan miasta wystarczy na odkrycie Fezu.

24 stycznia. Fez – Azrou – Ifran – Fez. Na naszą prośbę Adil zorganizował nam taksówkę z kierowcą anglojęzycznym (860 dh/cały dzień), którą pojechalśmy w góry Rif do miasteczka Ifran. Po drodze mieliśmy krótki postój nad jeziorem Lac Aoua, następnie pojechalśmy do miasteczka Imouzzer Kandar. Miasto to powstało zaledwie 25 lat temu przy pomocy rządu marokańskiego. Wcześniej zamiast domów i kamienic wszyscy ludzie mieszkali w okolicznych jaskiniach. Do jednej z nich, wciąż zamieszkałej jaskini zaprowadził nas nasz kierowca. Jaskinia co prawda już wyposażona w metalowe drzwi wejściowe, metalowy piec, prąd, lodówkę i telewizor, ale choć trochę można było poczuć klimat życia w jaskini. Herbatka w jaskini dla 4 osób 30 dh. Następnie pojechalśmy „na małą”, które rzekomo do południa są widywane w lesie cedrowym. Niestety przyjechalśmy tam po intensywnych opadach śniegu (20–30 cm) i nasze auto nie poradziło sobie z zimowymi warunkami na drodze. Auto wypchaliśmy

ze śniegu, ale kierowca nie zdecydował się dojechać do celu i musieliśmy zawrócić. Tu mieliśmy okazję podziwiać cudowną zimę w marokańskich górach.

Stamtąd pojechaliśmy do Azrou, gdzie mieliśmy 30 min czasu wolnego. Tyle czasu wystarczyło na wdrapanie się na tamtejszą skałę, z której mieliśmy piękny widok na miasto i okolicę. Później pojechaliśmy do Ifran – uzdrowiska górskiego. Tutaj spacerkiem poszliśmy do parku i odnajdując pomnik lwa, symbol miasta, wróciliśmy do naszego kierowcy. Zwiedzanie zabrało nam 1 godzinę.

Po wyjeździe z Ifran zatrzymaliśmy się ponownie w Imouzzar Kandar, gdzie odwiedziliśmy mały plac targowy z pięknie wyeksponowanymi ziołami. Ludzie w tym miasteczku nie uznają instytucji lekarza, a w razie chorób stosują cały czas właśnie różnego rodzaju zioła. Tutaj w lokalnym barze zjedliśmy pyszne kebaby z frytkami za 28 dh/4 osoby. Po południu wróciliśmy do Fezu – pod Bramę Bab boujulud i wracając do hotelu zrobiliśmy małe zakupy pamiątek: magnesy i breloczki od 10 do 20 dh, mała torebka skórzana po wytargowaniu 120 dh, duża torebka skórzana 30 EUR, pasek skórzany 50 dh, klapki skórzane damskie 85 dh. Figurka wielbłąda z drzewa cedrowego.

25 stycznia. Fez – Meknes – Rabat. Po śniadaniu Adil zorganizował nam taxi na dworzec, więc o 9.00 opuszczamy nasz ciepły i gościnny Riad, aby odkrywać kolejne miejsca w tym pięknym kraju. Tym razem po sugestii Adila do Rabatu jedziemy pociągiem. Bilet jednak kupujemy z przystankiem w Meknes, aby zobaczyć kolejny punkt z Listy UNESCO. Z dworca idziemy 40 min do medyny, konsekwentnie odmawiając propozycji podwiezienia. Tu zwiedzamy: bramę Bab al-Mansur, mauzoleum Mulaja Isaila (niestety w remoncie), medresę Bu Inania, suki oraz punkt widokowy na dachu medresy (10 dh i zdecydowanie warto się było tam wdrapać). Wracając na dworzec, decydujemy się wziąć petit taxi. Ładujemy wszystkie 4 plecaki i Ania z Kasią pojechały za 9 dh na dworzec, a Grzesiek z Mirkiem doszli na piechotę. Kierowca taxi zrozumiał, że chcemy jechać na dworzec, ale na który to nie umiałyśmy powiedzieć – na szczęście w porę zorientowałyśmy się i udało nam się dojechać do tego właściwego, uff.

Po zwiedzeniu Meknes już bezpośrednio pojechaliśmy do obecnej stolicy kraju. Do Rabatu docieramy o 19.00, wychodzimy z dworca na dwupasmową ulicę, przechodzimy na drugą stronę i od razu zabieramy się za szukanie noclegu. W drugiej przecznicy natrafiamy na hotel Bains Balima i tutaj zostajemy, bo warunki dobre, a nocleg ku naszemu zdziwieniu kosztuje 150 dh/2 osoby bez śniadania. Po zakwaterowaniu wychodzimy na nocne zwiedzanie stolicy Maroka. Po drodze trafiamy na sklep monopolowy, gdzie kupujemy butelkę wina za 48 dh i, przechodząc obok tutejszej medyny, kierujemy się w stronę Oceanu Atlantyckiego. W drodze nad ocean wchodzimy na olbrzymi cmentarz muzułmański. Robimy kilka klimatycznych zdjęć i docieramy do oceanu, który tego wieczoru był bardzo wzbudzony, ale niestety, można było jedynie usłyszeć szum, a niewiele zobaczyć. Stamtąd spacerkiem wracamy przez medynę do hotelu.

26 stycznia. Rabat – Marrakesh. Śniadanie w kawiarni w uliczce obok hotelu (12 dh/os.). Po śniadaniu skierowaliśmy się nad Ocean Atlantycki. Mamy sztorm na

Atlantyku i co za tym idzie, piękne widoki fal rozbijających się o skalisty brzeg. Jedna taka fala robi lodowaty prysznic Mirkowi. Następnie udajemy się do kazby al-Udaja, skąd rozpościera się wspaniały widok na wybrzeże Atlantyku i ujście rzeki Bu Ragh-
ragh z mnóstwem łodzi i kutrów rybackich oraz położonego po drugiej stronie rze-
ki miasta Sale. Wychodząc z kazby przez podobno najpiękniejszą bramę w mauretań-
skim świecie – Bab Udaja (niestety też w remoncie), docieramy do ogrodów andalu-
zyjskich, które nas naprawdę urzekły mnóstwem krzewów, drzew, ziół i kwiatów. Na-
stępnie przez medynę idziemy w kierunku pozostałości meczetu Hasana. Obecnie
znajduje się tam wieża Hasana, mauzoleum Mohammeda V i mniejszy meczet. Przy
wejściu na plac bram strzegą wartownicy na koniach, a także pięknie ubrani wartow-
nicy stoją przy każdym z 4 wejść do mauzoleum, chętnie pozujący do zdjęć. Opusz-
czając teren mauzoleum przechodzimy obok katedry chrześcijańskiej – niestety za-
mkniętej. Dalej idziemy wzdłuż almohadzkich murów obronnych, mijając kilka bram
i wielki meczet, dochodzimy do cytadeli Szella, wejście 10 dh. Zobaczyć tu można ru-
iny mużulmańskich budowli, takich jak: minaret, meczet, grobowce królewskie, mih-
rab, a na nich widok bocianów w swoich gniazdach. Jest tam też mnóstwo roślinno-
ści i można tam cudownie się zrelaksować w ciszy i spokoju. Po chwili relaksu, szyb-
kim krokiem wracamy po plecaki do hotelu i dalej na dworzec kolejowy. Tu kupujemy
bilety do Marrakeshu i rozglądamy się za czymś do zjedzenia. Niestety, na dworcu nie
ma czego szukać, więc wybiegamy na zewnątrz i szukamy jedzonka. Jest! Bar szybkiej
obsługi, gdzie zakupujemy bułkę z mięsem i frytkami na wynos. Bardzo smaczna i taki
posiłek wystarcza nam na całą drogę do Marrakeshu. Tym razem pociąg był przepeł-
niony, wiele osób musiało stać na korytarzu. Bilety kosztują 254 dh/2 osoby. Na szczę-
ście udało nam się znaleźć miejsca siedzące i to w jednym przedziale.

Wieczorem ok. 19.00 docieramy do celu. Po 40 min marszu z plecakami docho-
dzimy do medyny i zaczynamy szukać noclegu. Tutaj mamy ogrom różnych możliwo-
ści, kwestia tylko warunków i ceny oczywiście. Ostatecznie wybieramy Ryad Saad za
220 dh pierwsza noc i 200 dh druga noc/za 2 osoby (pokój z klimatyzacją). Oczywiście,
ciepło i naprawdę godne polecenia. Po zakwaterowaniu idziemy na plac Dżemaa
el-Fna. Tutaj dźwięki różnych artystów nakładają się na siebie, jest wesoło, klimatycz-
nie i mnóstwo miejsc, gdzie można zjeść kolację. Na początku trafiamy na obsługę
zapraszającą nas w polskim języku: dzień dobry, herbata gratis – niestety, mimo pol-
skiego akcentu, to jednak ceny były dwa razy wyższe niż w innych punktach. W innych
miejscach słyszeliśmy kolejne polskie teksty takie jak: Magda Gessler moja dziewczyna,
Robert Makłowicz tu gotował, i nie ma sraczki, sraczka za darmo. W końcu zna-
leźliśmy miłe miejsce, gdzie zostaliśmy ugośczeni tajine, sałatką i herbatą za 70 dh/
2 osoby.

27 stycznia. Marrakesh. Wreszcie relaks. Wysypiamy się do woli i ok. 10.00 idzie-
my leniwie na miasto. W Snack Toubkal jemy pyszne śniadanie: sok z pomarańczy,
herbata miętowa/kawa, naleśniki z dżemem, chlebek i serek kiri za 46 dh/2osoby.
Następnie spacerujemy sobie po wąskich uliczkach medyny, delektując się smaka-
mi i zapachami i dokonując ostatnich zakupów pamiątek. W Marrakeshu szukamy kafejki,
gdzie moglibyśmy dokonać odprawy naszych lotów. Znajdujemy biuro podró-

ży (naprzeciwko bramy wejściowej do parku Majorelle), gdzie gratisowo pan odprawa nas i drukuje karty pokładowe Ryanair. Późnym popołudniem po licznych dopytywaniu lokalnych o punkt widokowy dochodzimy do restauracji Perl (niedaleko ronda przy bramie Bab Djedid). Do restauracji wjechaliśmy windą na wysokość 6 piętra. Dobrze, że kelner przyniósł nam menu, bo nikt z nas nie podejrzewał, że kawa kosztować będzie 80 dh!!!, a piwo Haineken „tylko” 50 dh. A zatem rachunek był prosty: zamiast 4 kaw zamawiamy 2 piwa. Płacimy co prawda 100 dh, ale za to mamy przepiękne widoki na Atlas Wysoki. Fotografujemy do woli, tym bardziej, że zbliżał się zachód słońca, a restauracja była pusta. W drodze powrotnej do hotelu udało nam się jeszcze przejść (tuż przed zamknięciem) przez ogrody obok meczetu Kutubijja, jednej z najciekawszych budowli w mieście. Wieczorem znowu doszliśmy na plac Dżemaa el Fna na kolację. W lokalu nr 4 jemy wreszcie harirę – marokańską zupę, owoce morza, ślimaki – wszystkiego trzeba spróbować.

28 stycznia. Marrakesh – Bergamo. Kolejny leniwy dzień w Marrakeshu, ale Grzesiek zaplanował nam odwiedzenie kilku ciekawych punktów w dolnej medynie. Zaczynamy od pałacu Bahia, bilet 10 dh. Warto zobaczyć bogactwo zdobienia dziedzińców, apartamentów, salonów i ogrodów. Potem poszukujemy pałacu królewskiego, ale okazuje się, że tutaj, tak jak w poprzednich pałacach królewskich, teren jest ściśle strzeżony i obowiązuje zakaz wejścia, a wszechobecna ochrona nie zezwala fotografować nawet bram. Dochodzimy do grobowców sadytów znajdujących się przy meczecie kazby (10 dh). Wracamy przez bramę Bab Agnaou do hotelu.

O 12.00 zabieramy nasze plecaki z hotelu, idziemy na plac Dżemaa el Fna i decydujemy się na negocjację ceny zdjęć zaklinaczy kobry. Wychodzimy z propozycją 20 dh, a zaklinacze wyśmiewają nas i mówią, że to kosztuje 200 dh. Ostatecznie za 40 dh mamy legalne zdjęcia węży, ale panowie niezbyt są z tego faktu zadowoleni. O 13.00 jemy ostatni obiad w zaprzyjaźnionej knajpce. O 13.30 ruszamy piechotą na lotnisko. Znowu przechodzimy przez rondo obok naszej restauracji Perl, ale na piwo już nie idziemy. Mijamy duży parking, na którym zauważamy kilka wielbłądów (była możliwość przejażdżki na nich, ale my z tego nie korzystamy). Natomiast na całej trasie na lotnisko towarzyszą nam piękne widoki na ośnieżone góry Atlasu – dobrze, że nie zdecydowaliśmy się na taksówkę. Nareszcie idziemy w krótkich rękawkach, bo temperatura jest ponad 20 stopni. Wchodzimy do ogrodów Menara z gajami oliwnymi, ogromnym stawem i letnim pawilonem. Z tego miejsce rozpościera się chyba najpiękniejszy widok na Atlas Wysoki. A stamtąd już dziarskim krokiem w kierunku lotniska.

Na lotnisko docieramy 2 godziny przed odlotem, więc jeszcze opalamy się przed terminalem. Kiedy podchodzimy już do odprawy, okazuje się, że brakuje nam pieczętki na karcie pokładowej (tam nie ma skanerów i należy podejść do okienka odpraw bagaży, aby pani znalazła nasze nazwisko na liście i ręcznie wykreśliła nas z listy pasażerów lecących danym lotem). Teraz biegiem przez cały terminal, żeby uzyskać wymaganą pieczętkę. Samolot ma 40 min opóźnienia, ale we Włoszech lądujemy o odpowiedniej porze i udaje nam się złapać ostatni autobus do miasta Bergamo. Kupuje-

my bilet – 5 EUR/os./24 godz. na autobusy i kolejki i szczęśliwi jedziemy do zarezerwowanego wcześniej na booking hotelu.

Hotel odnajdujemy 6 min przed północą (a zgłosiliśmy, że dotrzemy między 23 a 24), czyli wszystko zgodnie z planem i nagle okazuje się, że po wpisaniu kodu naszej rezerwacji w bramie wejściowej otrzymujemy komunikat, że nasza rezerwacja została anulowana. Hm, pewnie błąd nr rezerwacji, ale automat jest dla nas bezlitosny, tak jakby się zaciął, powtarza stale komunikat: twoja rezerwacja została anulowana. No cóż, dzwoniśmy na podany nr telefonu i faktycznie dowiadujemy się, że w związku z jakimś błędem naszej karty (na którą rezerwowaliśmy też hotel w Tangerze i było wszystko dobrze), faktycznie rezerwacja została anulowana, a nasz pokój już został wynajęty innym ludziom. W bramie jest bardzo zimno, a my nie możemy wydostać się z tej zatrzęsniętej bramy. Koszmar!!! Po około 15 minutach ktoś jednak wychodzi z bramy i otwiera ją, uff! – wydostajemy się na ulicę.

Nie ma noclegu, więc chcemy wrócić na lotnisko (tam byłoby ciepło i być może udałoby się zdrzemnąć), ale niestety o tej porze autobus już nie kursuje, a dojście do lotniska nie jest możliwe ze względu na autostradę, która łączy miasto z lotniskiem. Idziemy więc w kierunku dworca kolejowego – może tam się zdrzemniemy. Niestety dworzec jest brzydki, zimny i zajęty przez tamtejszych meneli i bezdomnych (a każdy ze swoją ciepłą pierzynką). Na nasze szczęście trafiliśmy na reklamę hostelu. Dzwonimy tam, a sympatyczna pani informuje, że ma wolny pokój dla 4 osób za 97 EUR ze śniadaniem. Bierzemy to i o godz. 00.40 jesteśmy w recepcji i meldujemy się w hostelu. W ostatniej chwili, bo recepcja hostelu pracuje tylko do 1.00 nad ranem. Wtedy ten pokój był dla nas chyba największą radością. Było tam ciepło, czysto, a rano w stołówce pyszne śniadanie.

29 stycznia. Bergamo – Kraków. Wstajemy rano, jemy śniadanie, zostawiamy plecaki w schowkach hostelu, płacąc 1 EUR/2 plecaki i idziemy w kierunku Bergamo Alto. Dochodzimy do kolejki Funicolari i na nasze bilety wyjeżdżamy do Bergamo Alto, a stamtąd na najwyższy punkt miasta kolejną kolejką. W miasteczku zwiedzamy Cytadelę, katedrę, kaplicę Colleoni oraz liczne kościoły. Ranek jest mroźny, a ludzi jeszcze mało. Jest uroczo, więc czas biegnie szybko i nagle dociera do nas, że zostało mało czasu na zjedzenie włoskiej pizzy. No cóż, kupujemy ją szybko w piekarni i trochę posileni wracamy po zostawione plecaki. Na lotnisko docieramy zgodnie z planem. Samolot też odlatuje planowo. Z samolotu mamy piękne widoki na zaśnieżone Alpy. Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z kończącej się właśnie wycieczki, ale też tęsknimy już za naszymi domami w Polsce. Fajnie, że po takiej pięknej wycieczce jest gdzie wrócić i skąd można planować kolejną ciekawą wyprawę, tym bardziej że Grześkowi pomysłów nie brakuje.

Podsumowanie. Uczestnikami byli: Ania, Grzesiek, Kasia i Mirek. Miała to być wycieczka/ucieczka przed polską zimą. Niestety, ten rok był wyjątkowo zimny (średnio 5–7 stopni chłodniej niż w innych latach). Koszty: cała wycieczka zamknęła się w 1500 zł/os. (w tym 470 zł samoloty, 55 zł ubezpieczenie w Generali, pozostałe koszty to noclegi i wyżywienie oraz transporty lokalne). Dodatkowy koszt to pamiątki. Maroko jest krajem mocno turystycznym, więc podróżuje się tam dość wygodnie, pra-

wie jak po Europie. Chociaż wojsko i policja jest na każdym kroku, to jest tam bardzo bezpiecznie. W większości miast marokańskich jest bardzo dużo możliwości wynajęcia noclegu. Wiele noclegów można znaleźć na booking, ale jak się przekonaliśmy, nie ma co robić wcześniejszej rezerwacji (przynajmniej w takim okresie jak my byliśmy), bo standardy afrykańskie różnią się od naszych europejskich, a na zdjęciach nie widać np. że drzwi balkonowe się nie zamykają w ogóle, a głośnik minaretu jest skierowany prosto w nasze okno. Wszystko można załatwić na miejscu, zawsze znajdzie się jakieś miejsce, a ceny można negocjować (co nie jest możliwe przy rezerwacji przez booking).

Mamy nadzieję, że dla kogoś ta relacja będzie użyteczna i pomoże we własnym zorganizowaniu równie wspaniałej wyprawy. Powodzenia!!!

Jacek Strejch

Etiopia



Termin: styczeń 2017

Uczestnicy: trzy osoby

Waluta: birr (ETB), 1 PLN = 5,50 ETB

RELACJA Z PODRÓŻY

Do Etiopii lecimy liniami Turkish Airlines – bilet za 450 euro w obie strony. Ze względu na śnieżycę nad Stambułem lot odwołano, zostajemy przebukowani i lecimy liniami etiopskimi przez Frankfurt. Lądujemy po godzinie 6.00 zaraz po wschodzie słońca. W Etiopii czas liczy się począwszy od wschodu słońca i jest to godzina 1.00. Po zachodzie słońca czas liczony jest ponownie od godziny 1.00.

Na lotnisku w Addis Abebie, stolicy Etiopii leżącej na wysokości ponad 2300 m n.p.m. odbiera nas kierowca przysłany przez Mr. Yemanne Taye, przesympatycznego właściciela biura Sharyem, z którym korespondowałem jeszcze z Polski, ustalając nasz program zwiedzania Etiopii i ceny usług. Za 4-dniowe safari po pustyni Denakil ustaliliśmy cenę 500 USD, za 3-dniowy trekking po górach Simien 250 USD i za 6-dniowy objazd południa kraju 300 USD od osoby. Za 2-dniowy transport do Mekele, miejsca startu wyprawy na depresję Denakil, Yemanne zaproponował cenę 50 USD od osoby przy 3 osobach naszej ekipy. Po 15 minutach jazdy z lotniska docieramy do hotelu Taitu, gdzie w pokoju 201 ma siedzibę biuro naszego przyjaciela Yemanne.

Po zjedzeniu śniadania za 2 godziny podjeżdża po nas bus. Wyruszamy do Mekele za cenę 50 USD od osoby. Podróż trwa 2 dni. Początkowo jedziemy płaskowyżem, mijając zagajniki eukaliptusowe, pola uprawne i pastwiska. Jest styczeń, środek pory suchej i ziemia jest wypalona przez słońce. Już pierwszego dnia widzimy stojących przy drodze mnichów – znak, że jesteśmy w kraju chrześcijańskim, mimo że to Afryka. W Etiopii jest Kościół koptyjski. Typową cechą krajobrazu są charakterystyczne murzyńskie chaty na planie koła kryte stożkowatymi strzechami, pojawiające się co jakiś czas.

Po przejechaniu przełęczy Tamaben pass o wysokości 3250 m n.p.m, na której czasami widuje się stado dżelad – pawianów o „krwawiącym” sercu i charakterystycznych

blond grzywach, zjeżdżamy do miasteczka Debre Sina, gdzie tanio za 15 ETB można kupić lokalne alkohole. Na nocleg zatrzymujemy się w mieście Desje, gdzie nocujemy w spartańskim pensjonacie „Pod różą”. Pokój 2-osobowy z cuchnącą toaletą i jedynie zimną wodą za 150 ETB (27 zł). Na kolację próbujemy tradycyjnej etiopskiej potrawy injery – lekko kwaśnego placka przypominającego swoim wyglądem szarobrazową „ściereczkę z gąbki” i robi się go z najmniejszych na świecie ziaren zboża tef, czyli młki abisyńskiej. Zboże to uprawia się tylko w Etiopii i występuje ono w trzech odmianach: białej, brązowej i czerwonej. Stąd właśnie różnica w kolorze i smaku poszczególnych placków. Ze zmielonego zboża i wody wyrabia się ciasto, które następnie około trzy dni fermentuje, w wyniku czego nabiera ono konsystencji gumy piankowej i lekko kwaśnego smaku.

Następnego dnia po całodzienniej jeździe docieramy do Mekele już po zmroku i zatrzymujemy się w hotelu Atse Yohannes – cena za pokój 2-osobowy 400 ETB ze śniadaniem. Biuro, w którym mamy wykupioną wycieczkę na pustynię Denakil, mieści się w tym samym budynku co hotel. Pani w biurze pyta: „Wy od Yemanne?” i po twierdzącej odpowiedzi każe nam przyjść jutro rano o 9.30. Wręcza nam plan 4-dniowej eskapady i idziemy na zasłużony odpoczynek tym razem w komfortowych warunkach – czyściutko, ciepła woda, miękkie łóżeczko i takie tam.

Rano wyruszamy 6 dżipami w drogę. W jednym jedzie wojskowa obstawa. Początkowo jedziemy przez kilkanaście kilometrów asfaltową drogą na północ w kierunku na Aksum. Pierwszy postój po wjechaniu serpentynami na wzniesienie górujące nad Mekele. Stąd jest ładny widok na miasto w dole. W pierwszej miejscowości skręcamy w boczną drogę i jedziemy na wschód w kierunku miasta Berhale. Początkowo jedziemy przez płaskowyż w kolorze brązu z kępami eukaliptusów i licznymi polami uprawnymi, przy których przycupnęły charakterystyczne murzyńskie chatki ze stożkowatymi słomianymi dachami. Potem w miarę posuwania się na wschód góry stają się coraz bardziej suche i jałowe, a droga zaczyna obniżać się w kierunku depresji Denakilskiej. W pewnym momencie na niewielkim obszarze pojawiają się rosnące dość licznie draceny. W miarę zjeżdżania w dół ich miejsce zajmują akacje, a po wjechaniu na obszar depresji znika wszelka roślinność i pozostają tylko różnokolorowe skały.

Dojeżdżamy do miasteczka Berhale, gdzie zatrzymujemy się na lancz. Widzimy, jak mieszkańcy rozładowują sól przyniesioną tu przez karawany wielbłądów ze słonego jeziora na pustyni Denakil. Pod wieczór dojeżdżamy do brzegu tego jeziora, będącego rozlewiskiem płytkiej wody na tafli twardej jak skała soli. Żołnierze, którzy nas eskortują, tańczą i śpiewają. Podziwiamy zachód słońca, po czym udajemy się do obozu, gdzie na ratanowych łóżkach śpimy pod rozgwieżdżonym pustynnym niebem. Jest ciepło, ale wieje silny wiatr. Rano o wschodzie słońca ruszamy przez słone jezioro do pierwszego cudu pustyni Denakil – wulkanu Dalloł. Koloryt tego miejsca „powala”. Cudowne żółte i brązowe kryształły siarki i jezioro koloru żółtego, zielonego, seledynowego i błękitnego leżące pomiędzy nimi. Woda bulgocze, wokół opary i duszące wyziewy związków siarki. Jesteśmy urzeczeni kolorystem i pięknem tego miejsca. Ale długo nie można tu przebywać ze względu na toksyczne wyziewy. Jest to miejsce niesamowicie kolorowe i piękne, ale jednocześnie niebezpieczne.

Po powrocie do auta jedziemy do miejsca, gdzie wydobywa się sól i ładuje na karawany wielbłądów. Upał 36 stopni, a Afarowie wycinają tafle soli, wiążą w sterty i ładują na grzbiety wielbłądów. Ponownie wracamy do Berhale na obiad i jedziemy do miejscowości, gdzie zatrzymamy się na nocleg. Droga prowadzi przez malownicze pomarańczowobrazowe góry porośnięte przez draceny. Po dojechaniu na miejsce udajemy się na spacer po miasteczku. Od razu dopada nas banda dzieciaków, żebrząca o herbatniki. Kiedy kupujemy im parę paczek, rzucają się na nie jak kury na ziarno i każde ucieka ze swoim kawałkiem. Śpimy na materacach na podłodze.

Rano ruszamy w kierunku wulkanu Erta Ale o wys. 613 m n.p.m. Droga początkowo ładna, asfaltowa, ale ostatni odcinek prowadzi przez piaski i pola lawowe. Trzęsie niemilosiernie, ale za to widoki piękne. Na miejsce dojeżdżamy po południu i po kolacji o zachodzie słońca ruszamy w drogę pieszo. Do przejścia mamy 10 km, co zajmuje nam około 3 godzin. Po męczącym marszu około godziny 23.00 docieramy na brzeg krateru. Jeszcze tylko kilkunastometrowe zejście w dół do kaldery, kilkuminutowy spacer jej dnem i stajemy na krawędzi jeziora płynnej lawy. Jezioro ma około 200–300 m średnicy, a jego tafla faluje 15–20 m poniżej krawędzi, na której stoimy. Bije od niego niesamowity żar, na powierzchni rozżarzonej do czerwoności lawy jak kry pływają krzepnące czarne tafle magmy. Co parę minut jezioro wypłuka do góry kilkumetrowe fontanny lawy. Nagle jesteśmy świadkami oberwania się fragmentu leżącego naprzeciwko zbocza, które wpada do jeziora lawy, wywołując kilkumetrowe zafalowanie. Pokazuje to filmik, do którego podaję link: https://youtu.be/P_-w3jH423M. Zjawisko to powtarza się ponownie po kilku minutach. Przewodnik mówi, że mamy szczęście, bo zdarza się to dość rzadko. Spędzamy na brzegu jeziora lawy ponad godzinę, po czym wracamy na brzeg krateru na przygotowany przez przewodników posiłek i nocujemy na ziemi na wniesionych przez wielbłądy materacach.

Wstajemy godzinę przed świtem i spędzamy ponownie ponad godzinę na brzegu jeziora, czekając na wschód słońca. Kiedy czerwona kula słońca wyłania się na tle poświaty bijącej od jeziora lawy, rozpoczynamy powrót w dół do obozu, zanim zrobi się upał, a czekają nas jeszcze 3 godziny marszu. Po powrocie jemy śniadanie i ruszamy w drogę powrotną do Mekele, gdzie docieramy po południu. Od razu załatwiamy sobie transport na jutro do Debark w górach Simien z godzinnym postojem w Aksum za 80 USD od osoby i wykupujemy 3-dniowy trekking w górach Simien za 250 USD. Śpimy w tym samym hotelu w pokoju 3-osobowym za 1000 ETB (333 ETB od osoby) ze śniadaniem

Wyruszamy rano o 7.00 na północ w kierunku Aksum. Po drodze mijamy pastelowe ceglastobrunatne góry z wioskami i pojedynczymi kępami drzew eukaliptusowych sprowadzonych tu z Australii. Aktualnie pnie tych drzew wykorzystuje się do tworzenia konstrukcji chatek przypominających ule. Dach kryty strzechą, a ściany otynkowane mieszaniną słomy, błota i krowiego nawozu. Za miejscowością Adigrat wspina się serpentynami na malowniczą przełęcz Aloka pass, leżącą na wysokości 3277 m n.p.m. Podziwiamy poletka na tarasach na zboczach góry. Po około 6 godzinach jazdy docieramy do Aksum. Zwiedzamy najślawniejsze budowle miasta i zapoznajemy się z bogatą historią kolebki etiopskiej państwowości. Oglądamy stele nagrob-

ne w kształcie wieżowców (to największe obeliski nagrobne wykonane z litej skały na świecie), cesarskie grobowce, łaźnie Królowej Saby oraz muzeum archeologiczne. Oglądamy kościół św. Marii z Syjonu. Na jego terenie przechowywana jest Arka Przy mierza. Ruszamy w dalszą drogę.

Zaczynają się góry z licznymi iglicami, to już góry Simien, najbardziej malownicze na kontynencie. Droga prowadzi przez liczne przełęcze, jest bardzo malownicza. W jednej z dolin mijamy skupisko baobabów. Ostatni 50-kilometrowy odcinek do De bark jest szutrowy, wcześniej był piękny, nieodbiegający od standardu europejskiego asfalt. Docieramy do hotelu już po zmroku i nocujemy w pokoju 3-osobowym za 300 ETB od osoby. Rano przyjeżdża po nas terenówka i jedziemy szutrową drogą w kierunku gór Simien do miejsca, gdzie zaczyna się nasz 3-dniowy trekking. Jadąc przez miasto, mijamy targ i tłumy ludzi idących drogą. Po przejechaniu około 60 km wysiadamy z auta i ruszamy w drogę.

Pierwszy 3-godzinny odcinek trasy prowadzi brzegiem klifu do bazy Sankanber położonej na wysokości 3200 m n.p.m., gdzie w namiotach spędzamy pierwszą noc. Po drodze podziwiamy cudne widoki, roztaczające się z krawędzi urwiska oraz podpatrujemy dżelady – pawiany o „krwawiących” sercach, endemiczny gatunek małp, niezwykle łagodnych i uroczych stworzeń. Nazwa wzięła się stąd, że mają na klatce piersiowej trójkątny obszar różowej skóry, niepokrytej futrem. Samce mają grzywy prawie jak lwy. W powietrzu unosi się zapach macierzanki, człowiek czuje się jak we włoskiej pizzerii. Mijamy po drodze drzewa, które są kuzynami naszych wrzosów. Są one porośnięte zwisającymi jak brody klaczkami porostów.

W nocy temperatura spada w okolice 0 stopni i jest bardzo zimno. Rano wyruszamy w kierunku bazy Geech, najpiękniej położonym obozowisku w górach Simien na wysokości około 3700 m n.p.m. Znowu spotykamy dość liczne stado dżelad, które spokojnie zajadają trawę w odległości 2–3 m od nas. Dochodzimy na krawędź urwiska, skąd roztacza się ładny widok na cienką strużkę wodospadu, spadającego z przeciwnego zbocza do głębokiej doliny pod nami. Przerwę na lunch robimy koło małego wodospadu. Wieczorem docieramy do wioski Geech. Zwiedzamy wnętrze chaty, gdzie obserwujemy rytuał parzenia kawy. Bo kawa pochodzi właśnie z Etiopii. Białe ziarna kawy płucze się w wodzie, po czym wilgotne praży się na patelni postawionej na żarzącym się ognisku przez około 10 minut, aż zmienia barwę z białej na brązową. Potem tłucze się ją w moździerz i zalewa wrzątkiem w specjalnym dzbanku postawionym na żarze. Po degustacji prawdziwej kawy udajemy się na nocleg w namiotach. Znowu zimna noc, woda rozlana przed namiotem zamarzła.

Dziś czeka nas najdłuższy i najtrudniejszy dzień wędrówki. Wiedzie on najpierw łagodnymi zboczami, porośniętymi lobeliami wielkimi – „wysokogórkami palmami”, które pięknie kontrastują z płową trawą i mnogością kwiatów oraz krzewami pokrytymi białymi kwiatkami. Po około 2 godzinach marszu docieramy na skalny cyfel zwany Imet Gogo o wysokości 3960 m n.p.m. To jedno z najpiękniejszych miejsc widokowych w całym parku. Stąd w całej krasie widać dlaczego przez tak wielu góry Simien nazywane są najpiękniejszymi górami Czarnego Łądu. Widać sterczące iglice skalne, kontrastujące na tle lazurowego nieba. Nasyciwszy ducha pięknymi widokami, scho-

dzimy około 3 godziny do miejsca, skąd zabiera nas auto z powrotem do Debark i dalej do Gonder – trzeciej najważniejszej stolicy Etiopii, wpisanej na listę UNESCO. Zatrzymujemy się w hotelu „L shape” za 166 ETB od osoby (500 ETB pokój 3-osobowy). Od razu wykupujemy transport do Bahir Dar za 10,70 USD na jutro, na godzinę 12.00 spod hotelu.

Rano odwiedzamy Debre Berhan Sellasie – kościół, który jako jedyny przetrwał najazd Mahdystów w końcu XIX wieku. Dziś uważany jest za najbardziej wymalowany kościół w całej Etiopii. Potem zwiedzamy kompleks zamków i pałaców wybudowanych w XVII i XVIII wieku przez króla Fasilidasa i jego następców. Na koniec wchodzimy do środka jednego z kościołów w centrum Gonder i idziemy do knajpki na smaczną rybkę, a potem jazda do Bahir Dar, gdzie zajeżdżamy przed godziną 16.00. Od razu za 300 ETB wykupujemy przejazd do wodospadów Nilu Błękitnego (drugie największe wodospady Afryki – Tis Isat, co dosłownie znaczy „dymiąca woda”). Do wodospadów jedzie się około 1 godziny wertepiastą szutrową drogą. Zwłaszcza pierwszy 7-kilometrowy odcinek jest wyjątkowo wyboisty. Po dojechaniu na miejsce należy jeszcze uiścić opłatę za wstęp i przewodnika oraz za przepłynięcie łodzią przez rzekę i po 10 min marszu oglądamy wodospad. Jesteśmy na miejscu jakieś 10 minut przed zachodem i podziwiamy wodospady na tle pomarańczowej kuli słońca. Wracając, próbujemy khat, lokalnego środka pobudzającego, który rośnie przy ścieżce. Żuje się okorowane gałązki tego krzewu. Zawarta w drewnie substancja ma właściwości odurzające i pobudzające. Na noc wracamy do Bahir Dar, gdzie śpimy w hotelu Newaand za 400 ETB w pokoju 3-osobowym.

Rano za 300 ETB rejs na wyspy na jeziorze Tana, gdzie zwiedzamy klasztory. Po drodze obserwujemy pelikany i rybaków, którzy łowią ryby ze swoich trzciniowych łódek. Trzeba pamiętać, że kąpiel w jeziorze Tana jest niebezpieczna, ze względu na żyjące w wodzie przywry, które pasożytują na ślimakach. Zakażenie nimi jest bardzo niebezpieczne dla zdrowia. Po powrocie z rejsu jedziemy zorganizowanym przez naszego niezastąpionego Yemanne bussem do Lalibelli za 50 USD od osoby. Na miejsce docieramy wieczorem i zatrzymujemy się w hotelu Seven Olivies – 300 ETB pokój 2-osobowy, jedynka 300 ETB.

Rano zwiedzamy kościoły – wstęp drogi, 50 USD. Są 2 grupy kościołów. Pierwszą zwiedzamy rano, drugą po południu, a na koniec stojący na uboczu kościół św. Jerzego, który moim zdaniem jest najładniejszy. Kościoły są ładniejsze z zewnątrz niż w środku, gdzie jest ciemno. Na dodatek wrażenie psuje rozciągnięte nad kościołami zadaszenie z plandeki, mające chronić zabytki przed czynnikami atmosferycznymi. Poznani wcześniej chłopcy pokazują nam fajną knajpkę, gdzie można spróbować lokalnego miodu pitnego, podawanego w szklanych kolbach i posłuchać odbywających się każdego wieczoru występów. Są to tańce w lokalnych strojach i granie na narodowym instrumentie Etiopii – masinko. Jest to instrument 1-strunowy i gra się na nim smykiem, podobnie jak na skrzypcach.

Znajdujemy transport do Addis Abeby za 37 USD od osoby. Wyjeżdżamy dziesięć o 6.30. Jest ciasno, razem z naszą trójką jadą 2 miejscowe kobiety. Do Addis dojeżdżamy wieczorem ok. godziny 22.00. Kierowca jest „burak”, nie chce zawieźć nas do

wskazanego hotelu, mówi, że nie wie, gdzie to jest. Wysadza nas tam, gdzie mu pasuje. Na szczęście okazuje się, że są tam taksówki (czytaj: rozsypujące się rzęchy) i od szoferów dowiadujemy się, że hotel Taitu i tańszy Bardo są niedaleko i oba leżą niedaleko od siebie. Dojeżdżamy tam powyższym rzęchem, w którym pod hotelem zaczyna się bagażnik i nie możemy wyjąć plecaków. Po dobrych kilku minutach działań udaje się otworzyć nieszczęsny bagażnik i wydostać nasze skarby. Hotel Taitu drogi, idziemy więc do tańszego i nędzniejszego Bardo – 160 ETB za osobę. Przed snem dzwoniczymy do niezawodnego Yemanne i umawiamy się z nim jutro rano na 9.00 w knajpce naprzeciwko hotelu.

Przy śniadaniu, za które płaci Yemanne, jak się dowiaduje, że chcę o nim napisać po powrocie do kraju, że jest to „good men in Etiopia”, ustalamy tygodniowy program objazdu południowej Etiopii. Płacimy 300 USD za osobę i za następne 2 godziny wyruszamy w drogę. Przejeżdżamy przez Shashemene – miasto rastafarian. Pierwszy przystanek mamy w Hawassa, gdzie za 83 ETB od osoby nocujemy w hotelu nad jeziorem. Wieczorem spacerujemy brzegiem jeziora, oglądając stojące na brzegu liczne marabuty i podziwiając zachód słońca.

Rano po 6.00 ruszamy w drogę i jedziemy dnem doliny ryftowej pośród licznych jezior. Po południu dojeżdżamy do miejscowości Konso i po ulokowaniu się w hotelu, jedziemy do tradycyjnej wioski ludu Konso. Mieszkańcy wioski nie są zbyt życzliwi dla turystów. Za każde wykonane zdjęcie żądają zapłaty. Staram się robić zdjęcia z ukrycia. Na placu między chatami leży wielki okrągły głaz – ten kto uniesie go nad głowę, jest gotowy do małżeństwa. Mieszkańcy siedzą przed chatami i grają kulkami w jakąś tradycyjną grę – nie chcą nam wyjaśnić jej zasad. Po zmierzchu wracamy do hotelu.

Rano jedziemy w dalszą drogę do Turmi, gdzie odbywa się targ, na którym spotykają się przedstawiciele różnych ludów, aby wymienić towary. Najwięcej jest przedstawicieli ludu Hamerów. Kobiety mają włosy w formie licznych cienkich warkoczyków posmarowanych czerwoną gliną, a mężczyźni piórko i pomponik na głowie. Ubrani w skóry zwierząt, kobiety mają odsłonięte piersi. Za zrobienie zdjęcia z bliska żądają opłaty, z daleka można robić bez problemu. Jedziemy na nocleg do Jinka

Następnego dnia o 6.00 rano jedziemy do wioski Mursi. Przed nami kilka godzin jazdy szutrową drogą przez góry. Po dojechaniu na miejsce witają nas groźnie wyglądający Mursi, kobiety ze słynnymi krążkami o średnicy kilkunastu cm, naciągającymi rozcięcie w dolnej wardze i uszach, z wymalowanymi ciałami. Kobiety na skórze ramion mają blizny świadczące o odwadze. Nacięcia są przypalane rozżarzonym węglem. Im większe, tym większa odwaga ich posiadaczki. Za robienie zdjęć trzeba płacić, za każde oddzielnie. Jedna z dziewczyn ma zapalenie spojówek. Daje jej krople Tobradex do oczu, które mam ze sobą i dzięki temu wkupuję się w ich łaski i robię zdjęcia i filmuję bez opłat. Chwilę spacerujemy po wiosce. Uiszczamy jeszcze wodzowi opłatę 300 ETB od osoby i ruszamy w powrotną drogę. Na nocleg jedziemy do Arba Minch.

Rano jedziemy na rejs łódką po jeziorze Chamo. Oglądamy z bliska pluskające się w wodzie hipopotamy i wylegające się na brzegu krokodyle. Rejs trwa 2 godziny i kosztuje 200 ETB od osoby. Po południu jedziemy w góry do wioski Dorzii, gdzie

dzis odbywa się coroczne święto. Wjeżdżamy dość wysoko po serpentynach. W dole majaczy tafla jeziora Chamo. Przez wioskę maszeruje kolorowa procesja. Ludzie śpiewają, biją w bębny, kobiety jodłują, a mężczyźni wymachują dzidami. Na czele procesji maszerują ubrani w kolorowe szaty dostojnicy kościoła, przed którymi mieszkańcy rozwijają dywan, a po ich przejściu go zwijają, aby dostojnicy nie stąpali po gołej ziemi. Charakterystyczny kształt mają domy ludu Dorzii, przypominające nieco głowę słonia. W środku jest czysto i schludnie, choć dachy kryte czymś w rodzaju strzechy. W tutejszej wiosce wykorzystuje się liście drzewek bananowych. Z nasady liści robi się papkę, która fermentuje i z otrzymanej masy piecze się chleb i pędzi bimber bananowy (jakiegoż daje kopa, jak nasza śliwowica). Poprawiamy jeszcze znanym nam z Lilibelli miodem pitnym, podawanym w charakterystycznych kolbach. Wczuwamy się w atmosferę miejsca, tańczymy z mieszkańcami – niesamowite przeżycie. Po tak ekscytującym dniu wracamy na nocleg do Arba Minch.

Rano czeka nas całodzienny powrót do Addis Abeby, gdzie dojeżdżamy wieczorem. Po drodze mijamy jeszcze rozśpiewaną procesję. Tłum tańczy i śpiewa w rytm bębnów. Po przyjeździe do stolicy jeszcze tylko spacer po centrum i w nocy wylot do Warszawy z przesiadką tym razem w Stambule – nie było śnieżycy, ale poza miastem tereny były lekko przypruszone białym pyłem śnieżnym. Na lotnisko gratis odwieźli nas ludzie naszego przyjaciela Yemanne.

Podsumowując koszty, wydaliśmy 1500 USD w Etiopii i 450 EUR za bilet lotniczy, na osobę, czyli około 8000 PLN za 22-dniowy pobyt.

Benin i Togo



Niemal każdy chyba słyszał o rytuałach wbijania igieł w małe szmaciane laleczki voodoo. Choć niewiele ma to wspólnego z prawdziwą religią wywodzącą się z Afryki i rozwinętą na Karaibach i w południowych stanach USA, to jednak wzbudza to zainteresowanie i ciekawość. Benin to jedyny kraj, którego państwową religią jest Vodun, czyli voodoo, a dzień 10 stycznia rokrocznie poświęcony jest w południowych miastach na obchody związane z religią, którą prezydent Nicéphore Soglo podniósł do rangi państwowego wyznania. W Togo Vodun także kwitnie. Poleciliśmy więc nad Zatokę Gwinejską, zobaczyć, jak mieszkańcy Beninu obchodzą swoje najważniejsze święto religijne.

Trasa: Cotonou – Ouidah – Grand Popo – Porto Novo – Ganvie – Abomey – Park Narodowy Pendjari – Boukoumbe (Somba) – Kara – Kpalime – Lome – Togoville – Vogan – Lome

Termin: 8–22 stycznia 2016

Uczestnicy: 4 osoby (trzej towarzysze podróży i ja)

Przelot: poleciliśmy liniami Brussels Airlines za 560 euro (bilet powrotny) z Berlina do Cotonou, a powrót z Lome do niemieckiej stolicy. Do Berlina dostaliśmy się taksówką – 300 zł za kurs powrotny z Wrocławia na osobę (900 zł za całą taksówkę w obie strony – jechaliśmy w trójkę).

Waluta: walutą używaną w Beninie i Togo jest frank Afryki Zachodniej o symbolu międzynarodowym XOF (potocznie CFA). W trakcie naszego pobytu za 1 euro płacono około 650 CFA w bankach i kantorach, gdzie wymiana przebiegała w miarę szybko i bezproblemowo. Poza tym w wielu miastach działają bankomaty obsługujące karty Visa i Mastercard.

Wizy: Benin i Togo wymagają wiz od Polaków. Wizę Beninu trzeba uzyskać przed wylotem, gdyż nie ma możliwości otrzymania jej na lotnisku. Najprościej i najszybciej uzyskać ją można w ambasadzie Beninu w Berlinie. Można aplikować samemu

(tak jak my to zrobiliśmy, wysyłając paszporty pocztą, wkładając do koperty 10 euro i zaadresowaną zwrotną kopertę z naszym adresem) lub za pośrednictwem jednej z firm specjalizujących się w uzyskiwaniu wiz (np. wizaserwis.pl). Koszt samej wizy to 75 euro. Do tego trzeba doliczyć wysyłkę paszportu w obie strony i ewentualny koszt pośrednictwa. Wizę do Togo można otrzymać w podobny sposób (ambasada Togo także jest w Berlinie) lub uzyskać ją na granicy lądowej. Tutaj trzeba jednak uważać, gdyż małe przejścia graniczne (np. w Nadobie na północy kraju) nie sprzedają wiz, tylko wbijają pieczętkę wjazdową, z którą trzeba się zgłosić na policję do 7 dni i wykupić wizę.

Bezpieczeństwo: Benin i Togo to kraje bezpieczne. Porównując sytuację w krajach sąsiednich, można by pokusić się o stwierdzenie, że bardzo bezpieczne. Jedynymi zagrożeniami są złodzieje w dużych miastach na wybrzeżu, czyli w Cotonou i Lome, ale sytuacja bezpieczeństwa niewiele odbiega od większości afrykańskich metropolii. Bieda połączona z anonimowością kreuje dobry klimat do złodziejstwa. Szczególnie trzeba się mieć na baczności po zmroku i na plaży w Lome.

Transport: w Beninie transport międzymiastowy obsługują auta osobowe, zabierające z reguły 6 pasażerów. Na dalszych trasach, np. z Cotonou do Natitingou, można spotkać większe autobusy. W miastach prawie wszyscy jeżdżą tutaj motorkami chińskiej produkcji. Taki transport zwie się tutaj zemijohn albo w skrócie zemi.

W Togo sytuacja jest podobna, z tą różnicą, że na dłuższych trasach, np. Kara – Lome, można podróżować dużym autobusem z miejscami numerowanymi, który odjeżdża o czasie. W miastach królują motorki.

Zdrowie: polecam stronę who.int. Największym zmartwieniem podróżujących do Togo i Beninu, oprócz chorób, przeciw którym szczepionki są dostępne, będzie zapewne malaria. W porze suchej, przypadającej na nasze zimowe miesiące, komarów jest faktycznie niewiele, ale zagrożenie malarią jednak istnieje. Jako profilaktykę do wyboru mamy lariam, malarone albo doxycyklinę. Osobiście zawsze zabieram moskitierę lub namiot, który rozbijam nawet w hotelowych pokojach. Dobrze chroni przed natrętными moskitami.

Przewodniki i literatura:

Benin – Bradt 2006

Togo – Petit Fute 2015

West Africa – Lonely Planet 2009

Show Me the Magic – Annie Caulfield

The village of waiting – George Packer

RELACJA Z PODRÓŻY

8 stycznia. Porannym lotem zmierzaliśmy z Berlina do stolicy Belgii, skąd Airbus linii Brussels Airlines zawiózł nas do największego miasta w Beninie. W Cotonou lądowaliśmy godzinę po czasie, gdyż kończący swoją drugą kadencję prezydent Yayi Boni wylatywał właśnie z kraju, blokując na kilka godzin całe lotnisko i pewnie połowę miasta. Formalności zabrały nam kolejne 60 minut. W obliczu niedostatku taksów-

wiek przed samym terminalem nie miałem za bardzo możliwości obniżenia wyjściowej ceny za kurs do Ouidah, więc musieliśmy zapłacić owe 15 000 CFA za wieczorną przejażdżkę. Hotel, którego szukaliśmy, był już zamknięty, jak zresztą wiele podobnych przybytków w Beninie. Przy głównej drodze wylotowej z Ouidah trafiliśmy na całkiem przyzwoity hotelik Terra Nostra, gdzie za dwuosobowy pokój z klimatyzacją żądali 10 000 CFA, a śniadanie składające się z bagietki, masła, dżemu i omeleta kosztowało kolejne 2000 CFA.

9 stycznia. Rankiem, kiedy odespaliśmy długi lot, zanurzyliśmy się w afrykańską rzeczywistość. Większość mieszkańców Ouidah przemieszcza się po rozłożystym miasteczku na chińskich motorkach zwanych tutaj „zemi”. Przejazdka taką maszyną to wydatek 300 CFA. Chcąc trochę oszczędzić, można ryzykować i jeździć we dwójkę wraz z kierowcą na jednym motorze, ale jest to trochę niebezpieczne, szczególnie w trakcie pokonywania dłuższego odcinka z centrum do plaży, kiedy to balansując po piaskowej nawierzchni bardzo łatwo spaść z motorka. Taka przyjemność to 500 CFA. Zaoszczędzone 100 CFA można przeznaczyć na przykład na piwo.

Przy samej granicy z Togo leży nadmorski kurort Grand Popo. Miejsce to bardzo urokliwe z długą piaszczystą plażą, ciągnącą się kilometrami i kilkoma restauracjami oraz hotelikami. Senne i spokojne. Dojazd z Ouidah trwa półtorej godziny i kosztuje 1500 CFA za osobę w zbiorowej taksówce. Obiad w położonej przy samej plaży Auberge de Grand Popo kosztuje od 6000 do 8000 CFA w zależności od gatunku ryby, na który zdecydujemy się. Piwo to wydatek 700 CFA. Wystarczy siedem razy zaryzykować jazdę w trójkę na jednym motorze i już mamy wystarczające oszczędności na piwo. Opłaca się.

W Ouidah ciekawym miejscem jest Muzeum Historii Ouidah, gdzie za wstęp pobierają 1000 CFA, a za przyjemność słuchania kompetentnego przewodnika drugie tyle. Dwie godziny w zupełności wystarczą, aby zapoznać się z eksponatami. Późnym popołudniem skusiliśmy się na usługi lokalnego przewodnika, który obiecywał zabrać nas Drogą Niewolników (Route des Esclaves). Zaproponował cenę dość wysoką, tak mi się początkowo wydawało. Z 20 000 CFA obniżyliśmy ją po dłuższych negocjacjach do 15 000 CFA i zważając na późną porę, wyruszyliśmy w kilkukilometrową trasę. Było warto, gdyż bez tego chłopaka nie odnaleźlibyśmy sami Targu Niewolników zlokalizowanego naprzeciwko domu Don Francisco de Souzy czy masowego grobu, gdzie chowano niewolników, którzy zmarli zanim weszli na statki.

Na kolację zakupiliśmy tuńczyka w puszcze za 1500 CFA, bagietkę za 150 CFA i półlitrowe piwo Efes za 600 CFA.

10 stycznia. Na ten dzień czekaliśmy długo, właściwie to dla niego lecieliśmy kilka tysięcy kilometrów z zimnej Europy. Za 600 CFA dojechaliliśmy motorkiem (po dwóch na jednym) do domu szefa Vodun (Chief of Vodoun). Po godzinnych ceremoniach poświęcenia zwierząt i rytualnych tańców wyruszyliśmy razem z wiernymi na procesję, prowadzącą do plaży. Po drodze było wiele przystanków, na których organizowano małe ołtarze i poświęcano kolejne zwierzęta, głównie kurczaki i kozy. W trakcie jednego z przystanków udzieliłem wywiadu dla lokalnej stacji radiowej. Biorąc pod uwagę mój poziom znajomości języka francuskiego, mogę sobie wyobrazić porcję śmie-

chu jaką zafundowałem słuchaczom. Na większość pytań zadanych przez reportera odpowiadałem, że bardzo podoba mi się w Beninie i że cała ceremonia Vodoun jest niezwykle ciekawa. Tyle umiałem. Zawsze to coś.

W porze obiadowej zrobiliśmy przerwę w marszu i przy pokrytej piaskiem drodze, prowadzącej na plażę, zatrzymaliśmy się na obiad – znakomita barrakuda z frytkami kosztowała 3500 CFA, a słodki napój gazowany Pom Pom 600 CFA. Ostatni odcinek drogi na plażę pokonaliśmy motorkiem za 1000 CFA (dwóch pasażerów na jeden motor). Do wieczora trwały obchody Dnia Vodoun na plaży, gdzie zjechali się wszyscy oficjele z okolicy i znane osobistości z Cotonou.

Nie chcąc ryzykować wywrotki na wyboistej drodze powrotnej, zapłaciliśmy za naszą czwórkę 4000 CFA za motoriskę i dotarliśmy już po zmroku do hotelu. Tym razem miła sprzedawczyni, stojąca ulicę dalej, miała dla nas chrupiące bagietki za 125 CFA, a w małym sklepiku obok tuńczyk w puszcze kosztował jedynie 400 CFA. 600 CFA kosztowało półlitrowe piwo.

11 stycznia. Zbiorowe taksówki, pełniące rolę autobusów międzymiastowych, przewożą podróżnych z Ouidah do Cotonou za 1000 CFA. W zwykłym osobowym aucie lokuje się sześciu pasażerów i kierowca, który przy zmianie biegów musi podnosić nogi jednego z pasażerów siedzących z przodu pomiędzy siedzeniami, na skrzyni biegów. W Cotonou znaleźliśmy kantor, gdzie płacono 660 CFA za jedno euro. Następnie wynajęliśmy za 3000 CFA na osobę taksówkę do Abomey-Calavi, skąd można popłynąć do wioski Ganvie za 6550 CFA za osobę (w tym opłata za przewodnika i wiosłarza lub sternika na łódce motorowej). W położonej na wodzie, malowniczej wiosce Ganvie są hoteliki i restauracje. Cola kosztuje 500 CFA, a piwo 600 CFA. Można także zakupić maski w małym sklepiku z rękodziełem. Ceny wyjściowe małych masek (20–30 cm wysokości) to 1500–2000 CFA.

Po 3-godzinnej wizycie w wiosce jedziemy do Porto Novo. W stolicy Beninu nie ma za wiele restauracji serwujących zjadliwe, europejskie przysmaki. Znaleźliśmy jedną – Restaurant Java Promo. Najciekawszym z muzeów stołecznych będzie chyba Muzeum Etnograficzne, gdzie można zobaczyć duże zbiory masek oraz poszerzyć wiedzę na temat Beninu i plemion zamieszkujących ten kraj. Wstęp do muzeum to wydatek 1000 CFA. Towarzyszyć wam będzie z pewnością przewodnik, który cierpliwie zaczeka na małe „cadeaux”. Nasz zasłużył zdecydowanie na zapłatę.

Dla koneserów i smakoszy wybornych alkoholi mam informację – 700-mililitrowa butelka whiskey Chivas Regal w markecie kosztuje w stolicy 14 600 CFA; 10 000 CFA zaś to koszt wynajęcia całej taksówki do Ouidah.

12 stycznia. Nadszedł w końcu dzień, kiedy musieliśmy opuścić ciekawe i pełne atrakcji benińskie wybrzeże Zatoki Gwinejskiej i udać się na północ kraju. Za 6000 CFA zabrał naszą czwórkę kierowca rozpadającego się peugeota do Cotonou, które już rankiem zanurzone jest w smogu i mgłę spalin wydobywających się z tysięcy motorków. Do Abomey z największego miasta w Beninie dostaliśmy się kolejną wynajętą przez nas taksówką za 17 000 CFA, oszczędzając sobie czekania na większy autobus. Około południa, gdy słońce przebiło się już przez smog i piaskową zawiesinę przynętą tutaj przez saharyjski harmatan, dotarliśmy do małego kompleksu hotelo-

wego Chez Monique, gdzie małe pokoiki dwuosobowe kosztowały 8000 CFA. Restauracja prowadzona przez właścicielkę serwowała smaczne spaghetti za 3500 CFA, a frytki za 1500 CFA.

Wstęp do Pałacu Królewskiego ustalono na 2500 CFA, a dostanie się do tego miejsca z naszego hoteliku kosztowało następne 500 franków. Dwie, może trzy godziny poświęciliśmy na docenianie tego, co pozostało po potężnym Królestwie Dahomeju. Popołudnie zaś spędziliśmy dość osobiwie – grając w minigolfa w naszym Chez Monique. Było to wliczone w cenę noclegu, ale kelner, wyszukujący dla nas piłek i kijów golfowych, zasugerował, że zmęczyła go ta czynność i przydałoby mu się to jakoś wynagrodzić. Dostał 500 CFA i zmęczenie minęło.

13 stycznia. Cztery motorki zemi podwiozły nas kilka kilometrów z Abomey do Bohicon, kasując po 1200 CFA. Przez Bohicon przejeżdżają dalekobieżne autobusy, zmierzające na północ kraju. Odjeżdżają z dużego placu (dworca), gdzie można wybrać swojego przewoźnika spośród kilku firm. My, zupełnie przypadkowo, wybraliśmy przedsiębiorstwo KABIR (KTV), jadące do Natitingou. Podróż trwała siedem godzin. Gdy wysiedliśmy z autobusu na dworcu, rozpętała się istna walka wśród kierowców zemi o to, który z nich zawiezie nas za 800 CFA do hotelu Le Vieux Cavalier. Doszło prawie do rękoczynów, a my przyglądając się całej sytuacji, czekaliśmy grzecznie, aż panowie rozwiążą problem. Wspomniany hotel był już nieczynny, ale na naszą prośbę kobieta, która pełniła rolę stróża – opiekuna pod nieobecność właścicieli, zdecydowała się nas przenocować w już trochę zaniedbanych pokojach za kwotę 7000 CFA za dwójkę z wiatrakiem. Można także wyprać ubrania – duża reklamówka za 2500 CFA.

Kolację postanowiliśmy zjeść w jednym z lepszych hoteli w mieście – Tata Somba hotel. Tanio nie było – 3500 CFA za spaghetti.

14 stycznia. W hotelu Le Vieux Cavalier obsługa ma kontakt z kierowcą auta terenowego, który ma dużą wiedzę na temat Parku Narodowego Pendjari i może nas tam zabrać, pełniąc jednocześnie rolę przewodnika. Zaproponowana cena 150 000 franków oraz dodatkowo 35 000 CFA za paliwo za trzy dni nie była negocjowalna. Kiedy wyruszyliśmy o 6.30 rano, było jeszcze ciemno. Po około dwóch godzinach telepania się po wybojach, dojechaliśmy po świcie do bram parku. Tutaj trzeba było zapłacić po 10 000 CFA za osobę tytułem wstępu do Parku Narodowego i 3000 za auto. Park okazał się być bardzo ciekawy z dużą liczbą dzikich zwierząt – różne gatunki antylop, guźce, słonie, bawoły, krokodyle, hipopotamy i mnóstwo ptactwa. Na nocleg dojechaliśmy do jednego z dwóch obozów w parku, w których można rozbić namiot lub przenocować w dwuosobowym bungalowie za 20 000, w pokoju z wentylatorem za 25 000 albo w klimatyzowanej dwójce za 30 000 CFA.

15 stycznia. Śniadanie w restauracji obozowej to koszt 3500 CFA. Piwo, oczywiście nie na śniadanie, to blisko jedna trzecia tej ceny – 1000 franków, a coca-cola to wydatek 800 CFA. Rankiem, kiedy wyruszyliśmy na kilkugodzinny objazd po parku, zaskoczyła nas stosunkowo mała liczba zwierząt, lecz po popołudniowej sjeście przyroda tego miejsca wynagrodziła nam poranne rozczarowanie. Przez ponad piętnaście minut mieliśmy szczęście obserwować polującą lwicę.

16 stycznia. Trzeci dzień to, niestety, dzień wyjazdu z Parku Pendjari. Chcąc zdążyć do granicy togijskiej przed zmrokiem, musieliśmy wyruszyć z obozu skoro świt. I znowu niespodzianka – na wylotowej drodze ukazały się przed nami trzy lwiatka, wypatrujące nerwowo swojej matki, którą dostrzegliśmy po drugiej stronie ścieżki. Widok niezapomniany, dla którego warto było tu przyjechać. Zanim jednak definitywnie opuściliśmy park, zatrzymaliśmy się jeszcze przy malowniczym wodospadzie Tanougou.

Wczesnym popołudniem, kierując się do granicy z Togo, zatrzymaliśmy się w rejonie, gdzie plemię Somba (Tamberma) zamieszkuje pogórkową okolicę. Za wejście do jednej z chat, zwanych tutaj Tata Somba, musieliśmy zapłacić 2000 CFA.

Kierowca miał w zamiarze zostawić nas na granicy, ale po dłuższych negocjacjach zgodził się jechać z nami do Kary. Dodatkowe paliwo, które nasz dżip zużył, kosztowało nas 25 000 CFA. Granica w wiosce Nadoba to nic innego jak mała wiata zbita z desek, chroniąca dwóch przysypiających strażników, którzy z lekko zdziwioną miną wbili nam pieczątki wjazdowe do Togo, tłumacząc, że do siedmiu dni musimy zgłosić się na posterunek policji w większym mieście w celu wykupienia właściwej wizy. Oni na tym posterunku nie mieli innej możliwości.

Kiedy późnym popołudniem dotarliśmy do dużego miasta Kara, w regionie skąd pochodzi ojciec obecnie urzędującego prezydenta Faure Gnassingbé, posterunek policji już nie wydawał wiz. Była przecież niedziela, a jutro rano planowaliśmy wyruszyć do Kpalime. Wizy uzyskamy później – na lotnisku w Lome, przy wylocie. Nie przejmując się sprawami formalno-wizowymi, ulokowaliśmy się w hotelu L'Union położonym bardzo wygodnie – naprzeciw dworca autobusowego firmy Rakiet, obsługującej połączenie z Kary do Lome z przystankiem w Atakpame. Dla nas to było idealne rozwiązanie. Dwójka w hotelu kosztowała 13 000 CFA, a bilet na autobus z numerowanymi miejscami – 4000 CFA.

17 stycznia. Ponad cztery godziny zajął nam przejazd bardzo wygodnym, jak na tutejsze warunki, autokarem. Była telewizja, a każdy z pasażerów zajął swoje miejsce. Odjechaliśmy o czasie. W Atakpame zmuszeni byliśmy wynająć całą taksówkę do Kpalime. Podróż zajęła nam dwie i pół godziny. Było coraz bardziej zielono, kiedy dojechalśmy w końcu do naszej Auberge Aurore, zlokalizowanej przy głównej drodze w mieście. 7000 CFA kosztowała nas dwójka z wiatrakiem. Jednak dwóch z nas spało w namiotach rozłożonych na betonowym dziedzińcu ze względu na temperaturę. Na zewnątrz był większy ruch powietrza, przez co było nieco chłodniej. W hotelowej małej jadłodajni spaghetti kosztowało 3000 franków, a piwo Castel – 500 CFA.

18 stycznia. Rankiem wynajmujemy cztery motocykle (1000 CFA każdy) i jedziemy do wioski Kouma Kunda znajdującej się nad Kpalime. Poranny przejazd prowadzi przez niesamowicie zielone wzgórza i lasy, które niemalże wchodzą na drogę, wspinając się do wioski. Za 5000 CFA od osoby wynajmujemy jednego przewodnika, który prowadzi nas przez okoliczne wzgórza, pokazując dziesiątki gatunków motyli, rośliny egzotyczne (np. pieprz, ananasy, papaje, mango, drzewa kapokowe), następnie do urokliwego wodospadu. Chłopak jest kolekcjonerem motyli i zna się na owa-

dach, więc po zjedzeniu obiadu (spaghetti oraz banan pieczony na oleju i zanurzony w alkoholu za 3000 CFA) ustalamy warunki jutrzejszej wyprawy na najwyższy wodospad w Togo.

Późnym popołudniem jedziemy do Hotelu Cristal, zrelaksować się na basenie. To wydatek 1500 CFA za osobę.

19 stycznia. Negocjacje zakończyły się na kwocie 55 000 franków za naszą czwórkę za kilkugodzinną (około 6 godzin) wyprawę na wodospad Yikpa (Cascade d'Agoumatsa). Przewodnik o Togo wydawnictwa Petit Fute stwierdza, że to najładniejszy wodospad w Togo. Wielu w tym kraju nie widziałem, ale jest naprawdę imponujący. Przewodnik oceniał go na około sto metrów wysokości, co czyniłoby go najwyższym wodospadem w Togo. Warto było spędzić trzy godziny, telepiąc się motorkami po laterytowych drogach, a następnie 3 godziny maszerować w upalnym słońcu po dość stromych zboczach gór sąsiadujących z pobliską Ghaną.

Popołudnie poświęcamy na dojazd do Lome wynajętą za 17 000 CFA taksówką. W Chez Alice, gdzie zatrzymaliśmy się na ostatnie trzy noce, właścicielka pochodzenia szwajcarskiego miała dla nas do wyboru nocleg w wentylowanych pokojach albo piaskowy dziedziniec, na którym za 1000 franków mogliśmy rozbić namioty przy dużej klatce, w której skakał ożywiony naszym przybyciem pawian. Pierwszej nocy wszyscy z nas wybrali namiot.

20 stycznia. W pobliżu hoteliku Alicji znajdowała się ładna plaża, jednak duże i silne fale oraz mnóstwo bezczynnych młodych mieszkańców Lome, patrzących na nasze kosztowności łasym okiem, zmotywowało nas do poszukania bezpieczniejszego miejsca do kąpeli. Taksówka do hotelu Coco Beach to wydatek 2000 franków. Jest tam ładniejsza i bezpieczniejsza plaża, chociażby ze względu na duże skały, które wyrastają kilkadziesiąt metrów od linii brzegowej, chroniąc tym samym kąpiących się od silnych prądów.

Popołudniem udajemy się do Międzynarodowego Muzeum Zatoki Gwinejskiej założonego przez nieżyjącego już Szwajcara. Wstęp do koszt 3000 CFA, ale zdjęć robić nie wolno. Niemniej jednak warto tutaj przyjechać. Setki masek, rzeźb i płaskorzeźb tworzy naprawdę imponującą kolekcję sztuki z Afryki Środkowej i Zachodniej.

Targ Fetyszy, który odwiedziliśmy później, trochę nas rozczerował, ale dostrzegłem mieszkańców Lome, którzy dokonywali tutaj zakupów, co jednoznacznie świadczyło, że kult voodoo kwitnie także i w Lome. Wstęp na taki targ to wydatek 3000 CFA za osobę i 2000 CFA za aparat i/lub kamerę.

21 stycznia. Musieliśmy wydać 15 000 CFA, aby taksówka zawiozła nas tam i z powrotem do wioski Agbodrafo, gdzie zlokalizowana jest mała przystań nad jeziorem Togo. To właśnie stąd odpływają drewniane łodzie, łączące Agbodrafo z położonym na drugim brzegu jeziora Togoville. Właściciel łodzi zażądał od nas 4000 CFA za powrotny rejs. W dającym się już we znaki upale obejrzeliśmy Katedrę, którą odwiedził kilka lat temu Jan Paweł II, oraz dom króla, następcy Młapy III. Nie wyszedł jednak spotkać się z nami ze względu na zły stan zdrowia.

Popołudnie to odpoczynek na plaży przy hotelu Coco Beach.

22 stycznia. Wynajęcie całej taksówki do Vogan, która poczekałaby na nas podczas wizyty na piątkowym targu, to wydatek 17 000 franków. Droga z Lome do tej wioski jest w opłakanym stanie, więc pokonanie dystansu 40–50 kilometrów zajęło nam blisko 2 godziny w jedną stronę. Targ jest ciekawy i bardzo kolorowy. W zlokalizowanej obok hoteliku Chez Alice restauracji Les Noces jemy ostatni ciepły posiłek przed wylotem – pizza z pieczarkami za 2500 CFA, a smaczny hamburger za 2200 CFA. Taksówkarze ustalili z nami kwotę 5000 franków za kurs na lotnisko. Pojechaliliśmy więc i odlecieliśmy do jakże zimnej o tej porze Europy.

Katarzyna (Zuza) Anoszczenko
Rafał (Mundi) Robak

California centralna – wiosenny roadtrip



Termin: 22 kwietnia – 9 maja 2016

Uczestnicy: Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi), Jan Robak & Basia Robak

Trasa: Chicago – Oakland, San Francisco (downtown, Golden Gate Bridge, Presidio, Fort Point National Historic Site, Fort Mason Center, Ghirardelli Square, Lombard Street), Mission San Jose, Santa Clara – University Campus, San Jose, Gilroy, San Juan Bautista Mission, San Juan Bautista State Historic Park, Pinnacles National Park (część wschodnia – Bear Gulch Cave Trail, Bear Gulch Reservoir, High Peaks Trail & część zachodnia – Balconies Cave Trail & Balconies Cliff Trail), Mission Nuestra Señora de la Soledad, Arroyo Seco Road, Arroyo Center – Los Padres National Forest, Mission San Miguel Arcangel, J. Lohr Winery – Paso Robles, Los Padres National Forest Cerro Alto campground, Montana De Oro State Park (Spooners Cove, Bluff Trail, Hazardous Reef Trail), Morro Bay, Morro Rock, Cayucos, Pico Beach, Piedras Blancas Elephant Seal Rookery, Ragged Point, Salmon Creek Falls Trail, Jade Cove & Plaskett Rock Point Trail, Sand Dollar Beach, Pacific Valley Bluff Trail, Limekiln State Park (Limekiln Trail, Falls Trail, Hare Creek Trail), Julia Pfeiffer Burns State Park (McWay Cove Waterfall Trail, Canyon Falls Trail), Big Sur Ranger Station, Pfeiffer Big Sur State Park (Pfeiffer Falls & Valley View Trail), Bixby Bridge, Palo Colorado Road, Garrapata Beach, Garrapata State Park (Rocky Ridge Trail), Mission San Carlos Borromeo Del Rio Carmelo, Carmel by the Sea, Monterey (Cathedral of San Carlos Borromeo, Fisherman's Wharf, Lovers Point, Sunset Drive, Point Pinos Lighthouse), Moss Landing, Elkhorn Slough National Estuarine, Seacliff State Beach, Santa Cruz (Beach Boardwalk, University of California – Campus), Big Basin Redwood State Park (Redwood Trail), Roaring Camp and Big Trees Narrow Gauge Railroad, Waddell Beach, Pigeon Point Lighthouse, Bean Hollow State Beach, Pebble Beach, Pomponio State Beach, San Gregorio State Beach, San Gregorio, Half Moon Bay, El Granada, James Fitzgerald Marine Reserve, Montara State Beach, San Francisco (Golden Gate Park, Haight – Ashbury District, Baker Beach, Golden Gate Bridge), Sausalito

to, Muir Woods National Monument (Loop Trail), Muir Beach, Stinson Beach, Bolinas, Point Reyes Station, Point Reyes National Seashore (Point Reyes Bird Observatory, Tule Elk Reserve, McClures Beach Trail, Point Reyes Beach North, Point Reyes Beach South, Sea Lion Overlook, Point Reyes Lighthouse, Bear Valley Visitor Center & Earthquake Trail & Kule Loklo Trail), San Rafael (Mission San Rafael Arcangel, Museum of International Propaganda), Berkeley (University of California – campus), Oakland – Chabot Space and Science Center, San Francisco (Ghirardelli Square, Cable Car Rotation Station, San Francisco Maritime National Historic Park, Fisherman's Wharf – Boudin Bakery & Pier 39 & Pier 45; Mission District – Mission San Francisco de Asis, Women's Building, Mission Dolores Park), Oakland – Chicago.

Przewodniki: Atlas Delorme South California; Atlas Delorme North California; Coastal California (Lonely Planet) Sara Benson & Andrew Bender; San Francisco and Northern California – Eyewitness Travel guide, California – Eyewitness Travel guide, www.hikespeak.com; www.modernhiker.com

Koszt przelotu: 745 USD/4 osoby (Spirit Airlines: Chicago/Illinois – Oakland/California)

Środki transportu: Kempingowóz, czyli RV – Recreational Vehicle (Cruise America 5623 John Muir Drive, Newark, CA). Całkowity koszt wynajmu RV (Ford V-8 – długość auta 19 stóp) na 14 dni 1544 USD; Thrifty car Rental – Oakland Airport (Kia Optima) 46 USD/dzień (wliczony Nielimitowany przejazd przez płatne mosty wartości 12 USD wykupiony bezpośrednio przy wypożyczaniu auta), Thrifty car Rental Oakland Airport (Nissan Sentra) 70 USD/2 dni.

Koszt benzyny: RV 271 USD (104 galony = 1028 mil, średnie spalanie 10 mil/ galon; samochody osobowe: 7 USD (Kia) plus 12 USD (Nissan). Średnia cena benzyny: 2,80 USD/galon (1 galon w przybliżeniu to 4 litry).

Długość trasy: RV – 1028 mil plus „osobówkami” po San Francisco około 150 mil.

Noclegi: bezpłatnie lub na kempingach (kemping w Pinnacle National Park 23 USD/noc; kemping Cerro Alto w Los Padres National Forest 18 USD/noc) plus motel w Oakland 175 USD/2 noce.

Kilka słów wstępu: Przygotowując każdą podróż, zawsze dokładnie analizujemy mapę topograficzną terenu, na który się wybieramy, przeszukujemy Internet i przeglądamy przewodniki, by ułożyć najbardziej optymalną trasę, zadowalającą każdego z naszej czwórki. A ponieważ jest w naszym gronie dwoje małych dzieci, zawsze musimy brać pod uwagę również ich dziecinne potrzeby. I chociaż od urodzenia są zahartowane wędrówkami góorskimi i średniowygodnymi warunkami podróży, jako odpowiedzialni rodzice musimy z nimi również spędzić trochę czasu na placu zabaw czy plaży. Zawsze staramy się, by nasze wakacje były rozsądne finansowo i pełne niekomercyjnych atrakcji. Lubimy spędzać czas w górach, lasach i dzikich, odludnych miejscach, których w Stanach nie brakuje. Opisana relacja dostarcza wiele cennych informacji na temat atrakcji turystycznych w środkowej Kalifornii, jak również koszty tychże atrakcji, a czasami możliwości ich uniknięcia. Ze względu na podróżowanie z dziećmi w formie „road tripu” wybraliśmy opcję poruszania się kamperem – (RV), która daje nam niezależność i wygodę, bez względu gdzie się znajdziemy. Nie musi-

my codziennie szukać hoteli czy moteli ani restauracji czy sklepów, bo wszystko mamy „na miejscu”.

Kilka słów o wypożyczaniu RV: Wypożyczenie RV w firmie Cruise America znacznie różniło się od nabytego przez nas wcześniej miłego doświadczenia z firmą Apollo. Tym razem trafiliśmy na mało profesjonalną „masówkę”. Jest to najbardziej popularna i wszechobecna wypożyczalnia, której dewizą nie jest jakość, ale ilość. Klient traktowany jest mało profesjonalnie i niestety nasza opinia na temat tej firmy nie jest dobra. Samochód, jaki otrzymaliśmy, był brudny i niedotankowany do pełna. Wskaźnik propanu i wody również wskazywał 3/4 pojemności. Obsługujący nas przedstawiciel był arogancki i nieuprzejmy, i zdawał się być znudzony naszymi pytaniami. Tu należy uwzględnić ważną informację – poziom propanu i benzyny ma być identyczny przy oddawaniu samochodu (tak sobie zastrzegł arogancki pan). I również należy pamiętać o opróżnieniu zbiorników z brudną wodą. Samochód przed oddaniem należy sprzątnąć – tzn. zamieść podłogę, zmyć naczynia i ogarnąć z grubsza wszystko inne. Kara za oddanie brudnego auta wynosi 150 USD. Godziny odbioru (13.00 –16.00) i zwrotu RV (9.00–11.00) nie są zbyt korzystne. A za każdą godzinę spóźnienia trzeba zapłacić 25 USD (tak przynajmniej jest napisane w regulaminie).

W wyposażeniu RV znajduje się: kuchenka, zlew, lodówka, minizamrażarka, prysznic, WC, 2 łóżka (jedno rozkładane z dziennej kanapy ze stołem, drugie nad kabiną kierowcy), stół, generator i klimatyzator. W przypadku Cruise America za wypożyczenie zestawu naczyń i garnków trzeba dodatkowo zapłacić 100 USD. My nie zamawialiśmy tej opcji przy rezerwacji, a mimo wszystko zestaw znajdował się na wyposażeniu.

Cena bazowa przy rezerwacji za 14 dni wynosiła 1686 USD (14 nocy × 75 USD/noc = 1050 USD, plus wliczony limit przejechania 100 mil dziennie – 490 USD za 14 dni, plus podatek stanowy 146 USD). Przy odbiorze kampera firma pobiera również depozyt na czas korzystania z auta i wynosi on w przypadku Cruise America 500 USD (trzeba zapłacić kartą kredytową). Depozyt jest zwrotny, gdy podczas końcowej inspekcji wszystko z autem jest ok. Rezerwując RV, musimy również zapłacić zaliczkę (kartą kredytową) – w naszym przypadku było to 300 USD, która przepada w razie rezygnacji. My nie wykorzystaliśmy wszystkich mil z pakietu i w rachunku końcowym dostaliśmy zwrot 142 USD (0,35 USD × 372 mil + podatek). Całkowity koszt wynajmu na 14 dni wyszedł 1544 USD (110 USD/dzień). Jeżeli przekroczylibyśmy limit przejechanych mil, to za każdą następną firma liczy sobie 0,35 USD. W zależności od firmy jest też dodatkowa opłata za korzystanie z generatora – może być liczona za każdą zużytą godzinę (3,50 USD) lub wykupiona jako pakiet 7 USD za każdy dzień (jeśli ktoś nie chce „wchodzić” w koszty generatora, to trzeba w Walmarcie zakupić „power inverter”, by móc naładować (poprzez gniazdko zapalniczkowe) baterie laptopa, telefonu itp.). My nie używaliśmy w ogóle generatora. Generator umożliwia pracę mikrofalówki i klimatyzatora oraz możliwość ładowania przez gniazdko, gdy pojazd nie jest podłączony do prądu np. na kempingu.

Wakacje w RV jest to najbardziej wygodna wersja wakacyjna, szczególnie jeśli podróżujemy z dziećmi i chcemy jak najwięcej zobaczyć, nie marnując czasu na codzienne poszukiwanie moteli czy hoteli (szczególnie w obszarach dzikich i rzadko zaludnio-

nych). W Kalifornii jest wiele firm zajmujących się wypożyczaniem tego typu aut – od minivanów do olbrzymich gabarytowo autobusów wycieczkowych, m.in. El Monte RV, Apollo, Cruise America, Camper USA, 1st Choice RV, Corona Motorhome, Jucy RV Rentals, Road Bear RV itp. Ceny w sezonie sięgają horendalnych sum, dlatego warto przemyśleć wybór innego terminu. Inną bardzo korzystną finansowo opcją mobilnych wakacji jest tzw „relocation”, czyli w ciągu danego przez firmę czasu (z reguły jest to tydzień lub trochę dłużej) musimy przewieźć auto z punktu A do punktu B, np. z Las Vegas do Los Angeles. Opłata jest wtedy symboliczna – od jednego do kilkunastu dolarów za dzień. Jeśli chcemy pojeździć sobie trochę dłużej, to wypożyczalnia liczy nas np. 60 USD za każdy kolejny dzień. Oferty „relocation” można znaleźć m.in. na stronie www.transfercarus.com lub bezpośrednio na każdej stronie internetowej w wyżej wymienionych firmach wypożyczających RV.

Pogoda: wiosna jest perfekcyjnym czasem na wakacje w środkowej części Kalifornii (ze średnią temperaturą około 20°C). Krajobrazy przepełnione są kwitnącymi kwiatami i soczystozieloną trawą. Wodospady pełne są wody. Czasami jednak doświadczyć można bardzo silnych wiatrów, szczególnie na wybrzeżu. Zimowa czapka z nausznikami jest wtedy niezbędna!

Parki stanowe: Koszt wjazdu do parku stanowego to 8–15 USD/za samochód dziennie. Zakupiony bilet upoważnia do wstępu do wszystkich parków stanowych danego dnia. Roczny karnet 185 USD/auto.

Southern California Annual Adventure Pass (30 USD) potrzebny w: Angeles National Forest, Cleveland National Forest, Los Padres National Forest, San Bernardino National Forest (zakupiony online www.myscenicdrives.com, ważny przez 12 miesięcy od daty zakupu). Niezbędny, jeśli ktoś zamierza korzystać z kempingów lub szlaków turystycznych należących do wyżej wymienionych lasów państwowych. W przypadku tej opisaney wycieczki „pass” przyda się jedynie w Los Padres N.F.

Uwaga na: poison ivy (trujący bluszcz) i poison oak (trujący dąb), szczególnie w okolicach rzek i potoków. Poparzyć się można także zeschniętymi liśćmi tych roślin. Pomoże dostępny wszędzie hydrocortisol, który należy nanieść na swędzące rany. W celu zminimalizowania poparzenia najlepiej jest zakładać długie spodnie, wybierając się na szlak.

Całkowity koszt wycieczki 3674 USD.

RELACJA Z PODRÓŻY

22 kwietnia. Lot Chicago – Oakland odbył się bez żadnych problemów, a jedynym uniedogodnieniem było nieprzerwalne zabawianie naszej małej Basi, która była niesamowicie znudzona podróżą trwającą prawie 5 godzin. Pomimo że lecieliśmy w piątek, odprawa przebiegła bez zastrzeżeń i długich kolejek. Samolot wyleciał nawet kilka minut wcześniej. Po wylądowaniu w Oakland skierowaliśmy się od razu na przystanek, skąd zabrał nas autobus do wypożyczalni samochodów (7600 Earhart Rd). Wszystkie wypożyczalnie znajdują się w tym samym miejscu. Mieliśmy kilka rezerwacji, ale wybraliśmy Thrifty Car Rental, bo nie było tam kolejki i mieli na stanie dużo aut (w przeciwieństwie np. do wypożyczalni Payless, gdzie kolejki też nie było,

ale brakowało im też samochodów). Wypożyczyliśmy nowiutką Kia Optima (na liczniku tylko 5 mil) i dodatkowo wykupiliśmy za 12 USD nielimitowany „pass” (na czas wynajmu samochodu oczywiście) – FasTrack – na przejazdy przez mosty na autostradach (które wszystkie bez wyjątku są w okolicach San Francisco płatne). Za wynajem na jeden dzień auta płacimy 46 USD.

Pierwsze kroki kierujemy do Walmartu po kilka niezbędnych rzeczy typu śpiwory czy suchy prowiant i autostradą 880/80 mkniemy w kierunku San Francisco. Most (San Francisco Oakland Bay Bridge), który prowadzi do centrum, jest zakorkowany i tylko dzięki zakupionej wcześniej przejazdówce Bridge Pass FasTrack omijamy sprawnie bramki i długie kolejki oczekujących samochodów. Przejeżdżamy przez downtown i Chinatown, i jedziemy bezpośrednio na punkt widokowy Golden Gate Bridge (Vista Point ulokowany jest po północnej części mostu). To chyba najbardziej oblegane miejsce turystyczne miasta (olbrzymi parking i 2 budynki z łazienkami czynnymi całą dobę). Słońce zaczyna akurat zachodzić, więc mamy idealną porę na zdjęcia. Nockę spędzamy w naszej Kia na parkingu.

23 kwietnia. Wygnieci i lekko zmarznięci budzimy się na widok wschodzącego słońca nad zatoką San Francisco. Niestety, nie mieliśmy szczęścia podziwiać wschodu we mgle – tak bardzo znanego z widokówek miasta. Wcinamy po bananie i urządzamy sobie mały spacer po moście. Z bliska wygląda imponująco, a kolor czerwonej farby znakomicie kontrastuje z błękitnym niebem i morską wodą zatoki. Dochodzimy mniej więcej do połowy długości mostu i zwracamy zmęczeni hukiem śmigających samochodów. Za chwilę to my śmigamy już przez Golden Gate Bridge w kierunku miasta i na pierwszym zjeździe odbijamy na moment do Fort Point, by spojrzeć na most z innej perspektywy i dopełnić fotograficznych wariacji w temacie Mostu. Jeżeli nie wykupujemy nielimitowanego przejazdu na mosty, to przejeżdżając Golden Gate nie ma możliwości zapłaty manualnej. Po przejechaniu mostu mamy 48 godzin, żeby zapłacić (7,25 USD) online (www.bayareafastrak.org) lub podając numer karty kredytowej przez telefon (877)-229-8655; mosty są płatne tylko w jednym kierunku, np. Golden Gate opłacamy tylko wjeżdżając do San Francisco.

Krążymy trochę po Presidio of San Francisco, mijając setki rowerzystów i uprawiających jogging kalifornijczyków. Przemieszczając się w kierunku wschodnim wzdłuż wybrzeża, zajeżdżamy na poranne sushi do supermarketu Safeway (15 Marina Blvd) i, mając jeszcze kilka godzin do odbioru RV-ika, robimy sobie spacerową rundkę najpierw po Fort Mason, a potem serwujemy dzieciakom olbrzymie lody w kawiarni Ghirardelli na Ghirardelli Square (900 North Point Street), gdzie przy okazji można skosztować darmowych czekoladek tej najbardziej znanej amerykańskiej firmy cukierniczej. W kawiarni znajdują się zabytkowe urządzenia służące do produkcji czekolady, które w godzinach otwarcia cukierni pracują, wytwarzając smakołyki. Smak lodów – szalu nie ma, cena natomiast znacznie przewyższa standardowe ceny w lodziarniach. O 12.00 wsiadamy do auta i jedziemy 80-tką na drugą stronę zatoki San Francisco Bay do miejscowości Newark po odbiór naszego kempingowozu. Po godzinie wyjeżdżamy już z wypożyczalni i kierujemy się oczywiście po zakupy żywnościowe (Costco: 43621 Pacific Commons Blvd, Fremont) i techniczne (Walmart). Ze względu na ogół-

ne wycieńczenie i późną godzinę parkujemy obok Walmartu (44009 Osgood Rd, Fremont) i zapadamy w zasłużony sen.

24 kwietnia. Po szybkim śniadaniu zajeżdżamy do XVIII-wiecznej franciszkańskiej Misji San Jose (43300 Mission Blvd, Fremont; wejście 5 USD/osoba, czynne 10.00 –17.00), która jest niestety jeszcze zamknięta, ale mamy przynajmniej szansę zwiedzić mały kaktusowo-różany ogród i kościół z zewnątrz. Plączemy się tu chwilę i po godzinie wyjeżdżamy 880-ką na południe w kierunku Santa Clara. Tu na krótki czas zatrzymujemy się w kościele St Clare, trafiając tu pomyłkowo zamiast do kościoła misyjnego, potem krążymy dookoła uroczego miasteczka i podziwiamy najbardziej ukwiecony campus uniwersytecki, jaki widzieliśmy w życiu, otoczony strzelistymi palmami – w zasadzie jeden wielki pachnący ogród. To jezuicki prywatny uniwersytet, będący najdłużej działającą wyższą uczelnią w Kalifornii – nieprzerwanie od 165 lat. W Gilroy – światowej stolicy czosnku – zatrzymujemy się przy przydrożnym straganie po warzywa i owoce. Można tu kupić 5 małych avocado za 1 dolara!!! – co jest nie lada okazją.

W końcu dojeżdżamy do najważniejszej atrakcji dnia dzisiejszego – franciszkańskiej misji – San Juan Bautista Mission (bilet 4 USD/osoba, czynne od 9.30 do 16.30, 19 Franklin St, San Juan Bautista). Park tworzy kościół misyjny, dzwonnica i szereg przynależnych do niego budynków z urządzonymi komnatami oraz dziedzińiec przykryty dosłownie różnym ogrodem, otoczonym palmami i przeogromnymi kaktusami. Po przeciwnej stronie znajdują się budynki (hotel, stadnina koni, dawne zabudowania farmerskie), należące do San Juan Bautista State Historic Park (3 USD/osoba). Całe miasteczko tworzy wspaniały, niepowtarzalny klimat i, szczerze mówiąc, nie chce się go opuszczać. Wyjeżdżamy jednak dalej – w kierunku Holister i wskakujemy na malowniczą 25-kę (biegnącą wzdłuż uskoku tektonicznego San Andreas), mknąc najpierw przez tereny rolnicze, a potem przez piękne faliste pastwiska urozmaicone rozłożystymi dębami. Skręcamy w 146-kę na południe i dojeżdżamy do Pinnacles National Park, a w zasadzie do kempingu znajdującego się przy wyjeździe do parku.

Po drodze wyprzedzamy żółtego kompaktowego RV-ika z belgijską tablicą rejestracyjną, który robi na nas piorunujące wrażenie, prawdopodobnie z powodu swojego oryginalnego ekwipunku, akcesoriów off-road i hard-core'owego kształtu. Takim śmiało można podbić Dakar. Kemping (23 USD/miejsce; prysznice, dump station) jest olbrzymi i nieoblegany, więc bez problemu znajdujemy sobie odosobnione miejsce. Nad nami krążą sępy, których gniazda znajdują się na nieopodal rosnących wysokich drzewach. Rozpalamy ognisko i pieczemy, nabyty w Costco, produkt o pięknej nazwie „polska kielbasa”, który, o dziwo, kielbasę przypomina. Przeraził nas zimno wygania nas do łóżek szybciej, niż tego byśmy sobie życzyli.

25 kwietnia. Rozpoczynamy szybkim owsiankowym śniadaniem i wyjeżdżamy z kempingu w kierunku południowo-zachodnim, zatrzymując się na parkingu na końcu 146-ki. Stąd wychodzi nasz szlak Bear Gulch Cave Trail (długość pętli 2,4 mile). Wchodząc na szlak, nie byliśmy do końca pewni, czy uda nam się go przejść z powodu braku latarki, która nam się niefortunnie wczoraj zepsuła. Po przejściu około pół mili znajduje się wejście do jaskini i wyraźna tablica informująca: „Flashlight required

beyond this point". Pomimo jej braku i tak postanawiamy spróbować i w razie potrzeby podświetlać sobie drogę lampą błyskową z aparatu lub telefonem. Większość podziemnej części udaje nam się pokonać bez przeszkód, a na sam „schodowy” końcowy etap „podłączamy się” do grupki ludzi oświetlających sobie drogę latarkami. W jaskini płynie z wielkim hukiem wodospad, dodając istnej grozy temu miejscu. Gdy wychodzimy już na sam szczyt, rozpościera się przed nami piękny widok otaczających gór. Docieramy do Bear Gulch Reservoir i tu chwilę odpoczywamy, obserwując dzieciaki wrzucające kamienie do wody i zjadając słodkie przekąski (na które licznie piknikujące tu również wiewiórki miały na pewno ochotę).

Jaskinia, przez którą właśnie się przecisnęliśmy, należy do tzw „talus caves”, czyli jaskiń powstałych przez osunięcie się olbrzymich głazów, które tworzą „dach” nad wąskimi kanionami. Przed rozpoczęciem tego szlaku trzeba upewnić się w Visitor Center, czy szlak jest w ogóle otwarty, bowiem przez kilka miesięcy w roku ta część jest nieczynna z powodu okresu ochronnego żyjących tu nietoperzy. Park jest również słynny z tego, że jego terytorium zamieszkują kondory. Można je czasami dostrzec górujące nad najwyższymi szczytami parku. W końcu nie jesteśmy pewni, czy udało się nam je dostrzec, czy były to pospolite „turkey vultures” (czyli sępniki różowogłowe). Po krótkim odpoczynku ruszamy górną częścią pętli – szlakiem Rim Trail, mijając wielu wspinających się śmiałków, dochodzimy do parkingu. Jednym słowem szlak-petarda.

Janek spisał się znakomicie, pokonując szlak bez żadnego narzekania i z pełnym uśmiechem. Wypijamy na pokrzepienie hektolitry zimnego soku prosto z naszej RV-ikowej lodówki i podjeżdżamy kawałeczek do Ranger Station (Bear Gulch Day Use Area), gdzie Janek otrzymuje od rangera parkowy „zeszyt ćwiczeń”, który wypełnia malunkami i odpowiednimi podpisami, zdając w ten sposób egzamin na Rangera Juniora. Po rangerskiej przysiędze zawisa na jego piersi złota plakietka, którą z dumą prezentuje każdemu napotkanemu osobnikowi przez następne kilka dni. Ponieważ park jest podzielony na dwie części i nie ma drogi je łączącej, musimy wrócić 146-ką do 25-ki i naokoło poprzez King City przedostać się do części zachodniej. Mijamy malownicze rancza, winiarnie i farmy i drogą G15 dojeżdżamy do wąziutkiej jednopasmowej 146-ki, która prowadzi nas bezpośrednio na Chapparal Trailhead parking, leżący u podnóża gór Pinnacles.

Ponieważ dzień już miał się ku końcowi, mobilizujemy maksymalnie nasze siły i malowniczą doliną ruszamy na Balconies Trail (długość w obie strony 2 mile). Po przejściu około 0,8 mili zaczyna się prawdziwy „hardcore”. Szlak schodzi w ciemną czeluść i musimy najpierw wpuścić Mundka na rozpoznanie terenu wewnątrz głębokiej jaskini, żeby zobaczyć, czy jest jakiegokolwiek z niej wyjście. Mamy już na szczęście działającą latarkę, bo bez niej, niestety, nie da się pokonać tego szlaku. Po szczęśliwym powrocie zwiadowcy, zsuwamy się prawie pionowo w dół do mrocznej groty i kroczek po kroczku w świetle latarki suniemy wzdłuż głazów. Jeżeli nasza latarka przestałaby działać, nie mielibyśmy żadnych szans, żeby się stąd wydostać, a zważywszy, że uczęszczalność szlaku jest minimalna, moglibyśmy tu pozostać dłuższą chwilę. Przeciskanie się najlepiej wychodzi Jasiowi, który dzięki swoim gabarytom jest w stanie wejść przez każdą szczelinę bez najmniejszego problemu.

Kiedy wydostajemy się już z jaskini, z radością witamy przenikające przez skały promienie zachodzącego słońca. Przed nami jeszcze do pokonania kilka miniaturowych szczelin, nad którymi zwisają ogromne skały i wychodzimy już na rozwidlenie szlaków. My skręcamy na Balconies Cliff Trail i wędrujemy po lekkich wzniesieniach, podziwiając Machete Ridge w blasku zachodzącego słońca. Jednym słowem, szlak okazał się istną petardą. Już o zmierzchu opuszczamy park pełni wrażeń. Przejeżdżamy Soledad i skręcamy w Arroyo Road, prowadzącą do Mission Nuestra Senora de la Soledad (wjazd bezpłatny). Tu niestety (co było do przewidzenia) zastajemy zamknięty kościół, ale przynajmniej udaje nam się pokrążyć trochę po dziedzińcu i pstryknąć kilka zdjęć. Niecałą milę od misji znajdujemy olbrzymi uklepany parking i tam postanawiamy spędzić noc.

26 kwietnia. Po nocy pełnej delikatnych hałasów spowodowanych przepinaniem przyczep od ciągników i traktorów (jak się okazało, zaparkowaliśmy w miejscu skrzyżowań pól uprawnych i przez pół nocy jeździły tędy maszyny rolnicze). Ruszamy G17 na południe i skręcamy w G16 (Arroyo Seco Road), zakładając, że uda nam się przedostać poprzez malownicze góry (należące do Los Padres National Forest) do Mission San Antonio de Padua. Niestety, po dojechaniu do kempingu Arroyo Center otrzymaliśmy informację od rangera, że droga jest dalej nieprzejezdna. Zjechaliśmy zatem sobie na krótki odpoczynek nad rzekę (Arroyo Seco), która okazała się przejrzysto czysta i przeraźliwie zimna, więc o kąpieli nie było nawet mowy.

Zawracamy, przekraczając rzekę w punkcie Gaging Station i wskakujemy na 101-kę (w kierunku południowym). Ponieważ droga, którą jedziemy, prowadzi przez piękne winnice, postanawiamy jednak opuścić tereny rolnicze i zjechać na G19, by „zahańczyć” o trochę dzikości. Mijamy Nacimiento Reservoir, w którym utrzymuje się bardzo niski stan wody, widoczny skutek wieloletniej suszy w Kalifornii. W ostatnim roku ludność wielu najbardziej „wysuszonych” miejsc miała nakaz bezwzględnego oszczędzania wody, przy bezpośrednim zakazie podlewania trawników i ogródków oraz mycia samochodów przed domami. Mijamy sarnę-mamę z noworodkiem, który jest wielkości małego pieska i potyka się co chwilę, upadając na trawę. Nad naszymi głowami krążą wszechobecne tu sępy, a przed samochodem czmychają przepiórki. Ponieważ przez pomyłkę dojechaliśmy do Paso Robles, musimy 101-ką zawrócić w kierunku północnym do Mission San Miguel Arcangel (wstęp bezpłatny, 775 Mission Street, San Miguel, czynne 10.00–16.30).

Misja jest przepiękna – stare obdrapane mury otaczają kościółek i dziedziniec z wielką fontanną (a w niej ławica chińskich pomarańczowych karp) i kaktusami wielkości drzew. W tyle dzwonnica i zaniedbany cmentarz. Do tego pałace południowe słońce, wydaje nam się, że jesteśmy gdzieś w Meksyku z dala od cywilizacji. Budynki misyjne i kościółek trochę podupały po trzęsieniu ziemi, które miało tu miejsce 13 lat temu. Mimo to jest to jedna z piękniejszych misji, jakie widzieliśmy w Kalifornii.

Dalej drogą Estrella Road, mijając liczne winnice, dojechaliśmy do winiarni J. Lohr (6169 Airport Rd, Paso Robles), w której można bezpłatnie skosztować kilku ichniejszych gatunków wina. Wino nie za bardzo nam smakuje (white riesling za słodki, a chardonnay zbyt kwaśne), więc nie robimy tu zakupów. Jedziemy dalej w kierunku

ku miasteczka Paso Robles i zaglądamy na chwilę do Walmartu (180 Niblick Road) po kilka drobiazgów. Przy samym wejściu do sklepu znajduje się stanowisko z lokalnymi winami – i o dziwo, to samo wino, które przed chwilą próbowaliśmy w winiarni i które kosztowało 18 USD, tu kosztuje niecałe 9 USD. Jednym słowem, albo ujawniła się tu negocjacyjna globalna siła hipermarketu, albo praktyka zrobienia w bambuko snobistycznych turystów, skorych przepłacać na łonie winnicy. Ponieważ w okolicy znajdują się dziesiątki winiarni, wybór przy zakupie szlachetnego trunku mamy spory.

Dzień się już kończy i postanawiamy spędzić dzisiejszą noc na nieodległym kempingu Cerro Alto (Los Padres National Forest; zjazd z drogi nr 14; 18 USD/noc/auto; uwaga – trujący dąbek (poison oak) w okolicy potoku). Niespełna pół roku temu mieliśmy przyjemność również tu nocować, ale wtedy przebywaliśmy tu w listopadzie, w zupełnej ciemności i mrozie. Tym razem trafiła się nam ciekawsza miejscówka – ułożona pod wielkim eukaliptusem. Rozpalamy w końcu wielkie ognisko i smażymy „polskie” kiełbaski, delektując się lokalnym czerwonym winem. Dzieciaki bawią się aż do zmroku, potem szybka kąpiel w naszej RV-ikowej kabinie prysznicowej i kiedy zaczynamy przygotowywać się już do snu, niespodziewanie do naszych drzwi ktoś zaczyna dość intensywnie pukać. Ponieważ jest już zupełnie ciemno, a na zewnątrz nie ma żadnego oświetlenia (a na kempingu nie ma prawie nikogo poza nami), przechodzą nas ciarki ze strachu, że oto jakiś leśny dziad chce nas ukatrupić. Po otwarciu drzwi oczom naszym ukazuje się młodociana para kanadyjskich Francuzów, władająca łamaną angielszczyzną, a w ich oczach dostrzegamy przerażenie. Po krótkiej rozmowie chłopak tłumaczy nam, że w jednej z prymitywnych kempingowych toalet, a w zasadzie na jej dnie znajduje się ludzka głowa i kupa ludzkich włosów! Ludzie ci są przestraszeni i proszą nas, żeby ktoś z nas poszedł i to zobaczył, i pomógł podjąć jakąś decyzję w tej sprawie. Nie zabrzmiało to zachęcająco, ale Mundek postanawia to sprawdzić. Przed dotarciem do toalety przed „zwiadowcami” zatrzymuje się stary mercedes-beczka i osoba nią kierująca okazuje się pracownikiem kempingu (tzw. „host”), który ze zdziwieniem przysłuchuje się makabrycznej historii. Od razu proponuje przerażonym Francuzom, że zaraz to sprawdzi i jeśli im ma to w czymś pomóc, odda im pieniądze za kemping. Podczas gdy kierowca-host pojechał zostawić samochód na parkingu, trójka przerażonych udała się w podejrzane miejsce. Cała ta atmosfera rodem z Hitchcocka tak się udzieliła, że Mundi czuł przez chwilę niepewność, czy Mike nie jest przypadkiem jakimś Freddy Kruggerem czy innym seryjnym killerem, który pojechał po narzędzie zbrodni i zaraz do kompletu obetnie im głowy i spuści do kibelka. Mundi zajął w dziurę pełną fekalii i ku jego uciesze głowy ludzkiej tam nie zobaczył... tylko pukle włosów. W tym momencie dołączył do nich Mike i też z lekkim uśmieszkiem zaproponował zmianę miejsca z dala od tej toalety. Dziewczyna z przerażeniem w oczach powtarzała tylko „łi, łi, łi”. I tak to właśnie bywa, gdy ktoś naogląda się za dużo horrorów.

27 kwietnia. Po porannych czynnościach i zatankowaniu wody do RV-ikowego zbiornika, wyruszamy z kempingu-horroru (sprawdziwszy jeszcze raz zawartość przerażającej toalety, czy przypadkiem przez noc nie przybyło tam kilku innych głów) w kierunku wybrzeża. Przejeżdżamy przez miasteczko Morro Bay i kierując się na po-

łudnie, dojeżdżamy do wspaniałego parku stanowego – Montana de Oro (wstęp bezpłatny). Na sam początek udajemy się na plażę w Spooner's Cove, by malce mogły nacieszyć się zabawą w piasku i skokami przez fale w czasie trwającego przypływu. Nieopodal nas przepływają delfiny, a na drugim krańcu plaży wyleguje się samotnie foka. Plaża jest praktycznie pusta, poza kilkoma poszukiwaczami małż i innych mięczaków. Na pewno jest to jedno z bardziej spektakularnych miejsc parku. W części północnej zatoki wznosi się łuk skalny, z którego można zejść bezpośrednio do pieczary zalewanej co chwilę falami. Przy łuku skalnym płynie też mały strumyczek, w którym nasze dzieciaki budują liczne tamy. Spędzamy tu 4 wspaniałe poranne godziny. Gotujemy następnie wykwintny obiad (czyli makaron z pomidorowym sosem ze słoika) i wyjeżdżamy do miejsca, skąd wychodzi szlak Bluff Trail (droga dalej jest już niestety zamknięta).

Zrobiło się okrutnie wietrznie, więc ubieramy się w czapki z nausznikami i wyruszamy na spacer po wysokiej skarpie położonej wzdłuż Oceanu Spokojnego. Szlak dostarcza wspaniałych widoków i nawet w jednym miejscu można po drewnianych schodkach zejść na plażę, usłaną brązowymi muszelkami. Przed wejściem na szlak jest tablica informująca o lokalnych zagrożeniach – trujący bluszcz, kleszcze i grzechotniki. Na szczęście poza licznymi jaszczurkami nie napotykamy niczego innego. Spodnie wkładamy oczywiście długie ze względu na niską temperaturę, ale i na trujący bluszcz, który potrafi okrutnie poparzyć.

Po zakończeniu tego spektakularnego szlaku zaglądamy do miniaturowego Visitor Center, ale, niestety, nie wstrzeliwujemy się w jego godziny otwarcia (11.00–14.00). Leżący niedaleko kemping, niestety, nie dysponuje już wolnymi miejscami, musimy więc szukać innych opcji na dzisiejszą noc. Ponieważ jeszcze jest chwila czasu do zachodu słońca, wychodzimy na Hazardous Reef Trail (wychodzący z tego samego parkingu co Dune trail – niedaleko eukaliptusowego zagajnika). Szlak prowadzi nas wzdłuż wysokich traw piaszczystą ścieżką do skalnej szerokiej zatoki, skąd rozpościera się malowniczy widok na Pacyfik i Morro Rock. Wiatr wieje niesamowicie mocno, więc nie zabawiamy tu długo. Wracamy na moment zachodu do Spooner's Cove, ale słońce niestety chowa się za chmury, psując całe widowisko i uniemożliwiając zrobienie ciekawych zdjęć. Ponadto statyw pod wpływem igraszy huraganowego wiatru po prostu przewraca się. Już po ciemku zaczynamy szukać miejsca na nocleg i parkujemy przy wyjściu na szlak Los Osos Elfin Forest (17th street, Morro Bay). Zapomniałam jeszcze dodać, że w niektórych miejscach parku na plaży można natknąć się na lepiące plamy ropy naftowej, która najprawdopodobniej przywędrowała tu z jakiegoś przeciekającego tankowca. Nikt jednak nie potrafił nam wytłumaczyć, skąd tak naprawdę plamy się tu znalazły i czy ktoś zajmuje się ich usuwaniem.

28 kwietnia. Dzień zaczynamy od krótkiej objazdówki po miasteczku Morro Bay, zaglądając nawet do wędzarni ryb (Fishery), ale ceny tutejszych przysmaków skutecznie nas odstrasza (Najtańsza wędzona ryba kosztowała 20 USD/funt, czyli mniej niż pół kg). Miasteczko zamieszkiwane jest chyba wyłącznie przez emerytów, bo nie zauważyliśmy nikogo poniżej sześćdziesiątki. Podjeżdżamy pod olbrzymią Morro Rock od strony południowej i przystajemy na chwilę przy panu obserwującym (przez ol-

brzymią lunetę) gniazdo sokoła umiejscowione na szczycie Morro. W zatoce pluskają się wydry i pływają foki. Po plaży przejechał pickupem szybko ranger i zaczął wyganiać z wody serfera-ryzykanta, który pomimo bardzo wysokich fal i porywającego wiatru ryzykował życiem za chwilę przyjemności.

Opuuszczamy to urocze miejsce i jedziemy na północ 1-ką do osady Cayucos, w której według przewodnika Lonely Planet serwują najlepsze rybne taco w centralnej Kalifornii (Ruddell's Smokehouse 101 D street). Jedzenie okazało się zwyczajne, bez żadnych rewelacji – Janek wyjadł wszystkie krewetki i kawałki tuńczyka z tacosów, a Basia nawet na nie nie spojrzała... Po „obfitym” posiłku powędrowaliśmy na plac zabaw, ulokowany na plaży, a następnie spacerkiem na molo, skąd mieliśmy szansę podziwiać, wynurzającego się co chwila z wody, wieloryba. Przy brzegu szaleją serferzy. Fala jest wysoka, ale nie wieje tak bardzo jak przy Morro Rock. Spacerujemy jeszcze przez chwilę po miasteczku, mijając liczne restauracje i galerie sztuki, po czym wskazujemy z powrotem na słynną Jedynekę. Mijamy malowniczą Cambrie i zatrzymujemy się na chwilę na Pico Beach (przy ujściu rzeki San Simeon), by przyjrzeć się z bliska wyrzuconemu przez wzburzony ocean „draft wood”, który pokrywał tu całą zatokę. I znowu porywisty wiatr uniemożliwił nam spacerowanie. Po prostu poruszaliśmy nogami w miejscu... nie przemieszczając się.

Podjeżdżamy następnie do jednej z większych atrakcji na wybrzeżu oceanu – Piedras Blancas Elephant Seal Rookery (wjazd bezpłatny) – będącej domem dla liczącej około 17 000 sztuk populacji słoni morskich (dla porównania w 1970 roku było ich tu zaledwie 20 sztuk). Widok jest po prostu obłędny – setki wielkich, tłustych, ryczących i wylegujących się na plaży ssaków całościowo tworzy niepowtarzalny widok!!! Spacerujemy wzdłuż wybrzeża po drewnianym deptaku widokowym, obserwując z ciekawością pełzające po piasku zwierzęta. Co chwilę można też zaobserwować miniwalki „na ugryzienia” i ciężko tak naprawdę stwierdzić, czy jest to forma zabawy czy rywalizacji. Samce tworzą sobie haremy liczące od 30 do 100 samic i rzeczywiście na plaży widoczne są przede wszystkim „panie”, dostrzegamy zaledwie jednego olbrzymiego samca. Taki Alfa „szczęściarz” w ciągu swojego życia może dorobić się nawet 500 sztuk potomstwa. Zdziwiający jest fakt, że słonie morskie potrafią być szybsze niż człowiek. Jeśli ustawimy obydwa zawodników na wydmie piaszkowej, to monotonna zwierzę poradzi sobie lepiej niż przeciętny homo sapiens.

Następna na naszej trasie jest Point Piedras Blancas Lighthouse. Brama wjazdowa jest zamknięta, można przed nią zaparkować i podejść do latarni pieszko, ale z powodu porywistego wiatru jakoś nam się nie chce wychodzić z auta. Jedziemy dalej serpentynami, podziwiając strome górskie zbocza spadające prosto do oceanu. Piorunujący widok obserwujemy w okolicy Rugged Point! Przy ujściu rzeki Salmon Creek znajduje się malutki parking na kilka aut i tu właśnie parkujemy, by ruszyć wreszcie na szlak (Salmon Creek Falls Trail – długość 0,6 mili). Szlak rozdziela się prawie na samym początku, my podążamy wzdłuż strumienia w górę. Kilka ścieżek łączy się na przemian i rozdziela, ale w końcu dochodzimy do dolnego wodospadu. Ogromna masa wody spada z wielkim hukiem pośród wielkich głazów. Nas jednak interesuje dotarcie do górnego, bardziej spektakularnego wodospadu. Wspinaczka na wysoką ska-

łę obok nas wydaje się zbyt niebezpieczna, więc zwiadowca Mundi idzie szukać innej drogi. Po 20 minutach wraca po nas i wszyscy razem mozolnie, pokonując przeszkody (m.in. wąską jaskinię, przez którą musimy się przecisnąć) i miejscami przenosząc „ręcznie” Basię w plecaku (bo przejścia pomiędzy głazami okazują się zbyt ciasne), docieramy do wąskiego „przesmyku”, skąd po przeciwnej widać już zapierającą dech w piersiach górną część wodospadu Salmon Creek (36 metrów wysokości). Ponieważ miejsce to jest zbyt niebezpieczne, dzieci z tatą zostają z tyłu, a ja z rozstawionym statywem pstrykam kilka zdjęć i delikatnie się wycofuję. Schodzimy po chwili ze szlaku i pełni wrażeń podążamy Jedyneką dalej na północ. Widoki dosłownie wywalają nas w kosmos! Dzień ma się już ku końcowi, więc parkujemy naszego RV-ika w dużej zatoczce przy drodze i podziwiamy lekko przymglony zachód słońca wpatrzeni w przybrzeżną Bird Rock.

29 kwietnia. Po szybkim śniadaniu przejeżdżamy dosłownie 2–3 mile (odległość od Plaskett campground to 0,25 mili na południe) i parkujemy po lewej stronie drogi (w małej zatoczce). Stąd wychodzi spektakularny szlak Jade Cove & Plaskett Rock Point (długość 1,5 mili w obie strony). Przedzieramy się przez wysokie krzewy i łąki usiane ziołami i kwiatami, wydającymi niesamowicie intensywne zapachy wiosny. Szlak jest bardzo sielankowy i zarazem łatwy do przejścia. Przy samej skarpie natomiast znajduje się bardzo strome zejście na kamienistą plażę, ale wygląda to zbyt ryzykownie, by schodzić tam z dziećmi. Widoki przybrzeżnych skał, o które rozbijają się co chwila potężne fale, i wszechobecne tu kolorowe kwiaty tworzą widok nieporównywalny do żadnego na świecie.

Następnym naszym punktem jest Plaskett Campground (należący do Los Padres National Forest, ulokowany przy Plaskett Ridge Road), gdzie uzupełniamy zapasy wody w naszym wozie. Kemping oczywiście załadowany turystami do pełna – ani jednego wolnego miejsca. Rezerwacje na takie miejscówki trzeba robić zapewne z rocznym wyprzedzeniem. Podjeżdżamy kawałeczek dalej na północ i parkujemy na wielkim parkingu, z którego prowadzi krótki szlak po schodach na jedną z piękniejszych kalifornijskich plaż – Sand Dollar Beach (parking 10 USD/auto, my posiadamy Southern California Annual Adventure Pass, więc nie musimy płacić). Ku naszemu zdziwieniu zamiast opisywanego w każdym przewodniku złocistego piasku, całą plażę pokrywają tylko duże, szare otoczaki („gadające kamienie”). Pomimo tego „mankamentu”, plaża naprawdę jest przeurocza – strome klify nad nią i wystające skały z błękitnego oceanu obmywane przez wysokie fale. Można by tu spędzić cały dzień, rozkoszując się jej pięknem.

Po 2 godzinach „plażowania” wracamy do auta inną drogą – ścieżką w górę wychodzącą ze środkowej części Sand Dollar Beach. Po dotarciu na parking zauważamy „przewrażliwioną” rangerkę, która wlepia każdemu mandaty za brak opłaty (10 USD, trzeba ją umieścić w kopercie pobranej ze skrytki przy wjeździe, a jej drugą część przytwierdzić do szyby jako dowód zapłaty). Również i my dostajemy pogroźki od niesympatycznej pani, która stwierdza, że to, iż posiadamy przypięty do lusterka „pass”, nie zwalnia nas od wypełnienia koperty i umieszczenia na niej numerów na-

szej „przepustki” (???). Dziwi nas to trochę, ale nie chcąc wchodzić z nią w dyskusję, grzecznie wykonujemy polecenie.

Ponieważ już porządnie zgłodnieliśmy, urządzamy sobie barbeque na parkingowym grillu. Z pełnymi brzuchami ruszamy na kolejny spektakularny szlak – Pacific Valley Bluff Trail (długość 1 mila; wychodzący z małego zjazdu przy drodze około 1 mili na północ od Sand Dollar Beach; wejście przez furtkę; szlak dobrze oznaczony). Spokojnym spacerkiem po nadmorskiej łące dochodzimy do kolejnych malowniczych klifów. Widok niesamowity!!! Po godzinie znowu podążamy na północ do Limekiln State Park (wjazd 10 USD/auto). Wychodzą stąd 3 szlaki (Limekiln Trail, Falls Trail, Hare Creek Trail – łączna ich długość to około 3 mile), prowadzące przez gęsty redwoodowy las. Wszystkie szlaki wychodzą z kempingu (oczywiście wolnych miejsc brak). Najpierw kierujemy się wzdłuż rzeki, by po wielu zmaganiach i przeprawach po powalonych pniach i kamieniach dotrzeć do wodospadu, który z wysokości ponad 30 metrów spektakularnie spływa dwoma strugami do doliny. Następny szlak – Limekiln prowadzi do historycznych piecy wapiennych, które były zasilane energią ze spalonego redwoodowego drewna. Trzeci szlak prowadzi wzdłuż wartko płynącego strumienia Hare Creek i daje przyjemne zakończenie wędrówki w parku.

Po męczącym, ale pełnym wrażeń „hikingu” bierzemy zasłużony prysznic (bezpłatny) w łazience przy parkingu, gdzie zaparkowaliśmy. Tuż przed zmierzchem wyjeżdżamy znowu na Jedynekę i cofamy się kawałeczek na południe, wspinając się na Nacimiento-Fergusson Road, gdzie z przydrożnej zatoczki podziwiamy niezwykle fotogeniczną panoramę okolicy. Nocujemy właśnie w tym miejscu razem z kilkoma innymi podróżnikami śpiącymi w swoich wozach.

30 kwietnia. Po śniadanku zjeżdżamy do Jedynek i mknijemy dalej na północ (mijamy wypełniony po brzegi kemping Kirk Creek) i zatrzymujemy się dopiero w McWay Cove Waterfalls (wjazd 10 USD/auto, uwaga – trujący bluszcz przy szlakach). My jednak nie płacimy za wstęp, tylko ustawiamy się wzdłuż drogi pośród innych samochodów (w wielu opisach parku na Internecie jest napisane, że rangerzy pozwalają parkować bezpłatnie przy drodze). Pomimo godzin porannych jest już tłum ludzi – zresztą co się dziwić – wodospad McWay Cove jest najważniejszym punktem wycieczkowym na wybrzeżu Big Sur, a może i całego kalifornijskiego wybrzeża Pacyfiku. Ważną informacją do dodania jest fakt, że spadająca bezpośrednio struga wody do oceanu jest najlepiej podświetlona wieczorem i wtedy to stanowi prawdziwą perełkę do sfotografowania. Razem z tłumem przedostajemy się do punktu widokowego, skąd rozpościera się panorama na lazurową zatoczkę. Następnie przez tunel pod drogą przeprawiamy się pieszo na parking parkowy, skąd wychodzi szlak na Canyon Falls (długość 1 mila w obie strony). Wędrujemy po redwoodowym lesie wzdłuż strumienia, przeprawiając się wielokrotnie przez wodę i gubiąc szlak, który po ziemi nie został jeszcze należycie przygotowany i naprawiony. Strumień w pewnym momencie rozdziela się i kierujemy się wzdłuż jego prawej odnogi, by w końcu dotrzeć do 9-metrowego wodospadu.

Przed powrotem do auta zaglądamy jeszcze do turbinowej kabiny (umiejscowionej w małym domku przy szlaku) napędzanej siłą płynącej wody. I dalej, jadąc wzdłuż

wybrzeża, docieramy do Big Sur Ranger Station (47555 CA-1, Big Sur), gdzie miła rangerka zaopatrza nas w kilka darmowych map terenu. Podjeżdżamy około milę na północ i parkujemy (razem z dziesiątkami innych aut) wzdłuż drogi w małej zatoczce, unikając tym samym opłaty 10 USD za wjazd na oddalony o kilka kroków parking parku stanowego Pfeiffer Big Sur. Przechodzimy przez „visitor center (połączony z małą kawiarnią)” i ruszamy na szlak Pfeiffer Falls & Valley View Trail (długość około 2 mile w obie strony). Choć według przewodnika Lonely Planet to prosty i „kids friendly” szlak, to według nas średnio trudny ze stromymi podejściami (ze sterczącymi wszędzie korzeniami utrudniającymi wędrówkę, szczególnie dzieciom) i niesłychanie męczący dla nas wszystkich. Wodospad tworzą 2 spokojnie spływające strugi wody z wysokości ponad 12 metrów.

Po wyczerpującym marszu wsiadamy do auta i kierujemy się na plażę Pfeiffer Beach (drogą Sycamore Canyon Road), by podziwiać zachodzące słońce. Ku naszej dośłownej rozpaczce po pierwsze: RV nie mogą jechać tą drogą, a po drugie: warujący tam ranger informuje nas, że parking jest pełny i nikt dzisiaj już tam nie wjedzie. Smutno było usłyszeć tę informację, bo miejscówka ta była opisywana w przewodniku jako petarda turystyczna. Jedziemy więc dalej wzdłuż Jedyńki w kierunku północnym, powoli rozglądając się za jakimś miłym miejscem na nocleg. Mijamy malowniczo położone zatoki, strome klify i soczyste pastwiska. Zatrzymujemy się dopiero przy zabytkowym moście Bixby Bridge z 1932 roku, wysokość 85 metrów i razem z setką innych turystów fotografujemy go ze wszystkich możliwych miejsc. Stojąc na moście, można dostać niezłych zawrotów głowy. Łączący 2 strome klify wpadające do oceanu, malowniczo wkomponowuje się w krajobraz wybrzeża. Dwie mile dalej za mostem skręcamy w prawo w Palo Colorado Road w poszukiwaniu jakiegoś fajnego miejsca na nocleg. Wjeżdżamy w „redwoodową” dolinę iście z krainy czarów lub raczej... z horrorów. Wąziutką półpasmową drogą przeciskamy się pomiędzy potężnymi drzewami. Wśród nich dosłownie „wepchane” są „chatki-puchatki”, które z powodu wysokich gęsto rosnących drzew, zabierających całe światło słoneczne, przez całą dobę muszą być doświetlane. Ponury klimat i brak żywej duszy daje niezłe podłoże dla naszej wyobraźni – przenosimy się do jakichś najmroczniejszych opowieści o trollach czy wiedźminach. Dolina jest bardzo wąska i biegnie równolegle do rzeczki, nad którą co chwila „przerzucony” jest mostek, prowadzący do prywatnej ponurej posesji. Z wielkim trudem udaje nam się zawrócić i wracamy z radością na wybrzeże oceanu.

W odległości około 1 mili od wyjazdu z tej magicznej drogi zatrzymujemy się na szerokim poboczu i krótkim spacerkiem docieramy do Garrapata Beach – istnej petardy!!! Zejście na plażę jest nieco skomplikowane. Schody są urwane (zapewne przez sztormowe fale) przy samym końcu i trzeba zsuwać się po resztkę wystającego betonu. Plaża jest piaszczysta, otoczona skalnymi klifami i przy zamglonym zachodzącym słońcu tworzy niepowtarzalny klimat!!! Spędzamy tu zaledwie 20 minut, ponieważ słońce już zaszło i czas wracać. Wdrapujemy się z powrotem na urwane schody i poprzez pachnącą łąkę docieramy do auta. Zostajemy tu na noc, bo nie mamy już ochoty krążyć w poszukiwaniu czegoś bardziej przyjaznego turystycznie.

1 maja. Rano wyruszamy na północ i poprzez coraz bardziej zurbanizowane obszary docieramy do Mission San Carlos Borromeo De Carmelo (3080 Rio Rd, Carmel-By-The-Sea; bilet 6,50 USD/osoba dorosła). Dziś niedziela, a więc cały parking przy kościele jest zajęty, udaje nam się znaleźć miejsce dopiero gdzieś daleko w jednej z uliczek. Zwiedzanie zaczynamy od kościoła-bazyliki i zachrystii pełnej oryginalnych dewocjonalii. Potem muzeum główne i mniejsze pomieszczenia, gdzie oglądamy średniowieczny film o misji. Po wchłonięciu całej dostępnej tu historycznej wiedzy, udajemy się na przepiękną publiczną plażę Carmel-by-the-Sea (bezpłatna), gdzie pomimo nie najwyższych temperatur, dzieciaki szaleją, budując zamki ze śnieżnobiałego piasku i szukając lokalnych krabów pomiędzy kamieniami. Jedynym mankamentem tej cudownej plaży jest to, że jest to jedyne (zapewne w promieniu wielu mil) miejsce, gdzie lokale mogą popłażować sobie ze swoimi czworonożnymi przyjaciółmi. Nie mam nic przeciwko pieskom, ale ich liczba przewijająca się w ciągu godziny wokół nas osiągnęła na pewno liczbę około stu. Ludzie są tak zafascynowani swoimi pupilkami, że pozwalają im swobodnie wałęsać się wokół niekoniecznie zadowolonych z tego faktu ludzi. Niektóre z nich są naprawdę okazałych rozmiarów, a my po prostu boimy się o swoje dzieci, które biegają po całej plaży.

Po tym zwariowanym „plażowaniu” przejeżdżamy przez uroczne miasteczko Carmel-by-the-Sea i Jedyneką wzdłuż piaszczystych nadbrzeżnych wydmy dojeżdżamy do Monterey. Parkujemy w centrum i spacerkiem idziemy najpierw do katedry San Carlos Borromeo (500 Church Street), w której wnętrzu można zobaczyć kawałki oryginalnych malowideł ściennych, wystające z odnowionych ścian. Potem spragnieni lokalnych przysmaków spacerujemy po Fisherman’s Wharf # 2, gdzie znajdują się 2 sklepy rybne ze świeżo złowionymi lokalnymi specjałami (niestety już zamknięte). Wracając w kierunku brzegu, dostrzegamy 5 samochodów straży pożarnej na sygnale, stojących w pełnej gotowości przy kolejnym pomoście. Okazuje się, że w jednej z restauracji włączył się alarm przeciwpożarowy, ale nic nie wskazuje na to, by było co tu gasić. Dzieciaki robią sobie zdjęcie z uśmiechniętym strażakiem i dostają od niego naklejki z logo „Monterey Fire Department”. Po zapewnieniach strażaka, że akcja pożarowa jest już zakończona, zaglądamy do bardziej komercyjnego miejsca – Fisherman’s Wharf # 1, które wzdłuż całej długości pokryte jest restauracjami, cukierniami, biurami obsługującymi rejsy czarterowe, sklepikami z tandetnymi pamiątkami oraz masą innych pułapek turystycznych. W ramach promocji każda z restauracji serwuje spacerującym turystom miseczki z „cream chowder” (gęstą kremową zupą małżową), która jest naprawdę przepyszna i o dziwo smakuje też naszym maluchom. Po takim półgodzinnym spacerze po molo jesteśmy już totalnie najedzeni samymi poczęstunkami.

Wracamy do auta i wzdłuż wybrzeża, jadąc Cannery Road, dojeżdżamy do Lover’s Point. Niebo jest bardzo zachmurzone, co na pewno odbiera sporo uroku temu miejscu. Przy wejściu na plażę spotykamy starszego pana spacerującego ze śnieżnobiałą wielką papugą o imieniu Nadia. Mundi zaprzyjaźnia się z Nadią (z pochodzenia Rosjanką) i w tym języku przemawia do niej przez najbliższe 15 minut. Nadia chyba doskonale rozumie się z Mundim, bo z przyjemnością siedzi na jego ramieniu i skrzeczy mu prosto do ucha. Spacerujemy jeszcze chwilę po parku, a ponieważ słońce już

zaszło, ustawiamy nasz kempingowóz przy wybrzeżu. Mundi wczuł się w nieodpartą potrzebę parkowego grillowania, co po zmroku prawdopodobnie nie do końca jest legalne w parku miejskim. Więc szybko po zaserwowaniu kiełbasek prosto z ognia, uciekamy spać.

2 maja. Poranek zaczynamy od objazdówki (ulicą Sunset Drive) wzdłuż przepięknych rezydencyjnych terenów Pacific Grove. Mijamy Point Pinos Lighthouse i modernistyczne domki osadzone bezpośrednio na piaszczystych wydmach, porośniętych fioletowo-różową roślinnością. Część z tych domów była oflagowana pomarańczową taśmą dookoła, sugerując, że niedługo ulegną rozbiórce i na ich miejscu powstanie kolejna kilkumilionowa rezydencja. Lighthouse Avenue jedziemy na wyczekiwany przez dzieci Dennis the Menace Playground (polska wersja – Denis Rozrabiaka), niestety plac jest czynny dopiero od 10 rano. Jest to miejsce znane przede wszystkim z tego, że jego założycielem był rysownik komiksowy Hank Ketcham, a którego miedziany pomnik wart ponad 30 000 USD został skradziony w latach 90. z parku. Z zewnątrz obserwujemy tylko wielką stalową lokomotywę, stojącą u wejścia do parku. Wyjeżdżamy więc z miasta w kierunku Santa Cruz.

Zaglądamy jeszcze do sklepu Costco (w Seaside) po kilka spożywczych drobiazgów. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze przy przydrożnym straganie (tuż przed miasteczkiem Moss Landing) z warzywami i owocami, gdzie za „grosze” kupujemy trochę witamin. Ceny są naprawdę zachęcające – 10 małych avocado za 1 USD czy 5 funtów soczystych pomarańczy za 1,30 USD, grapefruity za 1 USD. Skręcamy na mały mostek w kierunku Moss Landing i oczom naszym ukazują się leniwie wylegujące się na powierzchni wody, drzemiące wydry morskie, które delikatna fala znosi w kierunku brzegu. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy wydr z tak bliskiej odległości. Za mostem skręcamy w prawo i jedziemy do samego końca mariny, mijając dom „wyjęty” iście z filmu Pippi Langstrumpf ze sztucznym koniem na werandzie. Jest tu kilka restauracji, gdzie można też zakupić świeże i wędzone ryby, ale ceny są bardzo wygórowane. Mijamy jakąś wielką elektrownię i jedziemy do Elkhorn Slough National Estuarine Research Institute. Dookoła biedne i zaniedbane tereny, a kiedy w końcu dojeżdżamy do wyznaczonego miejsca, okazuje się, że Visitor Center jest dzisiaj nieczynny.

Jeszcze przed wjazdem do Santa Cruz parkujemy przy drodze i po wielkich schodach schodzimy na plażę należącą do parku stanowego Seacliff. Przy pomoście stoi zacumowany wrak statku z I wojny światowej (SS Palo Alto) i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że statek ten zbudowany jest z betonu. Co dziwne, podobno dobrze utrzymywał się na wodzie. Park jest bardzo zaniedbany i śmierdzący, łożenki najbrudniejsze, jakie do tej pory widzieliśmy w Kalifornii. Po bardzo stromych schodach wdrapujemy się z powrotem na górę, sapiąc i odpoczywając co 3 stopnie. Wskakujemy do auta i jedziemy do Santa Cruz – przejeżdżamy przez miasteczko, mijając wielki tandetny historyczny już lunapark z kasynem i mariną (przy Santa Cruz Beach Boardwalk), i zatrzymujemy się na klifie przy West Cliff Drive z widokiem na tę całą szopkę i serfujących w zatoce śmiazków.

Santa Cruz rywalizowało od zawsze z Huntington Beach o miano amerykańskiej stolicy serferskiej, niestety korona została przyznana w 2008 roku temu drugiemu.

Przyrządzamy sobie wspaniały obiad w postaci smażonej ryby i zającąc się nią, spoglądamy na panoramę miasta. Następnie krążymy jeszcze po mieście, mijając latarnię morską i główną ulicę miasta Pacific Avenue, wypełnioną młodziami, przejeżdżamy obok miejsca, gdzie kiedyś była katolicka misja zniszczona przez trzęsienie ziemi (teraz tylko mała replika). Na sam koniec zwiedzania miasta zaglądamy na ogromny kampus uniwersytecki (University of California), położony pośród idyllicznych łąk i wzgórz Santa Cruz Mountains.

Uniwersytet został założony przez grupę hipisów na terenie starej farmy (na ponad 800 hektarach porolniczych). Wszystkie farmerskie budynki stoją zachowane do dzisiaj, nadając bardzo oryginalny, rustykalny charakter tej uczelni. Budynki uniwersyteckie, znajdujące się w leśnej części kampusu, są natomiast zaprojektowane w bardzo modernistycznym stylu. Całość tworzy bardzo ciekawą fuzję architektoniczną. Ale najbardziej wystrzałowym miejscem całego kampusu jest trochę ospałe pozornie Leonardo Lane – kompleks kilkudziesięciu, żyjących w komunie, rock'n'rollowych starych RV-ików lub przyczep kempingowych – oficjalnie miejsce zakwaterowania najbiedniejszych studentów, a faktycznie – moim zdaniem – swoista kuźnia ideologiczna różnej maści nurtów i rezerwat cyganerii artystycznej. Ruszamy na spacer tą alejką i widzimy niesamowicie przyjaznych młodych ludzi (zapewne potomków hippisów), siedzących przed swoimi „rezydencjami”. Niektórzy z nich nawet założyli małe ogródki „przydomowe”, hodując poza kaktusami warzywa i „zioła”. Objeżdżamy teren uniwersytetu, zaglądając w każdą drogę, która prowadziła do jakiegoś uczelnianego modernistycznego budynku.

Już późnym wieczorem wskakujemy na drogę Grade Road, biegnącą wysokim grzbietem górskim (Ben Lomont Mountain), a prowadzącą do Big Basin Redwood State Park (wjazd 10 USD/auto). Po pokonaniu około 8 mil trasy, za skrzyżowaniem z drogą Alba Road, pośród redwoodowych lasów znajdujemy w końcu wielką zatoczkę przy drodze, gdzie urządzamy sobie nocleg.

3 maja. Po szybkim śniadaniu ruszamy i drogą King Hwy wjeżdżamy do parku jeszcze przed godziną 7 rano. Parkujemy przy Visitor Center i ruszamy na szlak Redwood Trail (długość 0,6 mili – pętla). Jest to tzw. „self guided tour”, czyli szlak z oznaczonymi punktami, które są opisane w broszurce (dostępnej w skrzynce przed wejściem na szlak). Ścieżka wiedzie wzdłuż najbardziej spektakularnych drzew „Coast Redwood”, sięgających wysokości prawie 100 metrów, np. Mother of the Forest. Drzewo to było najwyższe w całym parku, ale niestety burza utraciła mu wierzchołek, skracając o 10 metrów. Część drzew leży powalona, dając realny wgląd na ich wielkość. Nasze dzieciaki z radością wspinają się na nie i wędrują wzdłuż nich jak po mostach. Niektóre drzewa są wypalone w środku, tworząc wielkie komnaty, gdzie z powodzeniem można wstawić kanapę, telewizor i np. łódkę pełną piwa. Coast Redwood to niesamowite drzewa – odporne są na trzęsienia ziemi i ogień, insekty i gnienie. Są to najwyższe drzewa na świecie. Do swojej egzystencji potrzebują dużo wilgoci, co zapewnia im często występująca w tym rejonie nadoceaniczna mgła. Żyją ponad 2000 lat. Spotkać je można tylko w jednym miejscu na ziemi – w pasie nadoceanicznym od okolic Big Sur do południowego Oregonu.

Po przyjemnym porannym spacerze podjeżdżamy do miniaturowej zatoczki, skąd po drewnianych stopniach schodzimy do platformy widokowej, wychodzącej na wodospad Sempervires (wysokość 6 metrów). Przejeżdżamy przez zacienione pole kempingowe – bardzo klimatyczne i praktycznie niezamieszkałe. Ponieważ musimy wracać mniej więcej tą samą drogą w kierunku Santa Cruz – postanawiamy zjechać jeszcze do Roaring Camp and Big Trees Narrow Gauge Railroad (5401 Graham Hill Rd, Felton; bilety na przejazd 20–27 USD/osoba), skąd odjeżdżają wagoniki ciągnięte przez XIX-wieczne parowe lokomotywy. Parkujemy przed wjazdem, unikając opłaty 8 USD na teren parku.

Park to jedna wielka atrapa starego miasteczka z dzikiego zachodu i jedynie lokomotywy są tu autentyczne. Miejsce idealnie przygotowane dla zorganizowanych grup szkolnych czy kolonii. Poza przejażdżką pociągiem oferuje „gold panning” (płacąc 5 USD, masz gwarancję, że znajdziesz w misce pełnej żwiru opiłki prawdziwego złota), kręcenie świeczek z gorącego wosku, pokazy kowalskie, demonstracje drukarskie, wystawy historyczne, jadłodajnię i sklepik z drewnianymi zabawkami i innymi komercyjnymi pierdółkami. My jesteśmy jeszcze przed sezonem, więc wszystkie te atrakcje poza sklepikiem są pozamykane (na szczęście!). Pociąg odjeżdża chwilę po tym, jak się tam zjawiamy. Dzieci szaleją, biegając po całym miasteczku.

Po godzinie opuszczamy park i malowniczą drogą Boonie Doon Road zjeżdżamy serpentynami do wybrzeża Pacyfiku (Davenport). Skręcamy na północ na Jedynkę i po kilku milach zatrzymujemy się na Waddel Beach (wjazd bezpłatny). Dzieciaki pogrzebały trochę w piasku, a my z wielkim zainteresowaniem obserwowaliśmy kitesurfingowców, którzy napędzani potężnym wiatrem dosłownie szybowali nad falami. Podjeżdżał taki kitingowiec na plażę, wypakowywał plecak, maszerował z ekwipunkiem na plażę, pompował latawiec (wyglądający trochę jak spadochron), przypinał się do niego i ruszał pędem z deską w ocean. Po godzinie obserwacji latawcujących starszych panów ruszamy do następnego punktu – latarni morskiej Pigeon Point (wstęp bezpłatny).

To strasznie zaniedbane miejsce, generalnie zasługujące na nazwę rudera, ale niewielka inwestycja finansowa pomogłaby na pewno stworzyć z niej pełną uroku atrakcję turystyczną, tym bardziej że jest to podobno jedna z lepszych miejscówek do obserwacji przepływających w oceanie wielorybów. Latarnia, jedna z najwyższych na wybrzeżu Pacyfiku, ogrodzona jest pordzewiałą metalową siatką, sama też okropną rdzą strasząc. W 2001 roku potężny sztorm zniszczył jej górną konstrukcję i od tamtej pory niszczeje w zastraszającym tempie. Obok w małym budynku znajduje się hostel, okupowany przez jakichś niesfornych nastolatków, sądząc po zachowaniu, najprawdopodobniej z poprawczaka. I tylko kolorowa, bujnie kwitnąca roślinność tuszuje upadłość tego miejsca.

Około 3 mile na północ zatrzymujemy się na plaży Bean Hollow State Beach (wjazd bezpłatny) – bardzo spektakularnej (w kształcie półksiężyca) i ukwieconej żółtymi „ice plants”. Milę na północ w Pebble Beach (wjazd bezpłatny) podziwiamy tafoni – małe dziurki (miniwnęki) wyrzeźbione w piaskowcowych skałach – połączone ze sobą tworzą coś na kształt gigantycznego plastra miodu. Ostatnią atrakcją dzisiaj jest Pescade-

ro State Beach (wjazd bezpłatny) – w tle z piaszczystymi przymglonymi wysokimi klifami. Daleko na plaży siedzi samotny człowiek na kłodzie drzewa, dając idealny kadr do zdjęcia. Spacerowanie wzdłuż klifów jest surowo zabronione ze względu na ich niestabilność i „kruchosc” oraz możliwość osunięcia się piechura razem z klifem do oceanu. Nocleg organizujemy sobie w niedalekiej odległości od tychże klifów, więc nie ma mowy nawet o takim wieczornym spacerze. Jemy kolację i szybko idziemy spać.

4 maja. Ruszamy o poranku i pierwszy krótki postój robimy na pięknej Pomponio State Beach (8 USD/auto). Potem tylko na dosłownie sekundę zaglądamy na San Gregorio State Beach (8 USD/auto). Tu uwagę naszą przykuwają porozwieszane ogłoszenia zawierające ofertę pracy dla pobierającego opłaty za parking „cięcia” za 12 USD/godzinę oraz dla sprzątaczk za 10 USD/godzinę. To raczej nie za dużo, rozpatrując wysokie koszty utrzymania w Kalifornii. Zatrzymujemy się na chwilę w wiosce San Gregorio przed sklepem, którego właściciel jest najwidoczniej zagorzałym przeciwnikiem rowerzystów: „No bikes on sidewalk” czy „Bicyclers please remove your shoes” najwyraźniej nie wyrażają jego sympatii dla kolarstwa i kolarzy. Przejeżdżamy przez centrum miasteczka Half Moon Bay, po czym mały rekonesans w małej marinie, gdzie można kupić bezpośrednio od rybaków świeżo złowione łososie (9 USD/funt) i rockfish (6 USD/funt).

Bez zakupów podążamy jednak dalej na północ do James Fitzgerald Marine Reserve (200 Nevada Ave, Moss Beach; czynne 8.00–20.00, wjazd bezpłatny). Jest to miejsce, gdzie pływy wyrzucają na brzeg bardzo dużo fauny morskiej. Pomimo że akurat jest przypływ, udaje nam się na plaży odnaleźć kilka krabów, muszle, małże, gąbkę morską, chitony i kelp. W małym Visitor Center oglądamy wszystkie dostępne tu wodne zwierzęta oblane formaliną i pozamykane w słoikach. Na zewnątrz tego malutkiego budynku na ekranie można obejrzeć filmik dokładnie opisujący lokalny ekosystem morski. Jadąc dalej na północ mijamy piękną piaszczystą plażę – Montara State Beach (wjazd bezpłatny), na sąsiedniej jakiś dziwny wysprejowany bunkier – pozostałość umocnień wojskowych wybrzeża z czasów wojny. Podobno na plaży pod nim jest plaża nudystów, której nazwa – a mianowicie Gray Whale Cove State Beach – jest całkiem adekwatna do wylegujących się tu sylwetek i to w wersji rozbieranej, biorąc pod uwagę typowy przekrój społeczeństwa amerykańskiego. Pokonując ponad kilometrowy tunel, a następnie las eukaliptusowy porastający stoki San Pedro Valley, wjeżdżamy jakby do innego świata – do aglomeracji San Francisco.

Co nas bardzo przyjemnie zdziwiło, wybrzeże Pacyfiku w bardzo bliskiej odległości San Francisco jest nieskomercjalizowane i zupełnie dzikie, pełne pięknych piaszczysto-kamienistych plaż i niezdobitych klifów. Drastycznie różni się ono od okolic Los Angeles, gdzie zabudowania ciągną się dziesiątkami mil i zamieszkiwane są przez tabuny bezdomnych. Miasto-sypialnia Daly City (składające się z identycznych osiedli małych domków ustawionych jeden obok drugiego) boryka się z poważnym problemem osuwisk, które występują na klifowym wybrzeżu, potęgowane dodatkowo trzęsieniami ziemi. Całe rezydencje po sztormach wpadają do oceanu. Jakby tego było mało na terenie tym przebiega uskok tektoniczny San Andreas, a więc trzęsienie ziemi może zdarzyć się w zasadzie w każdej chwili. Mimo tych niedogodności ob-

szar jest bardzo gęsto zaludniony. Przejeżdżając obok San Francisco ZOO, zauważyliśmy kilka helikopterów kołujących nad wybrzeżem, zjechaliśmy więc na chwilę na plażę i najwyraźniej byliśmy świadkami akcji ratunkowej. Najprawdopodobniej zaginął serfer i spuszczeni na linach z helikopterów nurkowie mieli za zadanie go odnaleźć. Akcję utrudniał silny wiatr i wysokie fale. Na plaży pojawiło się już sporo gapiów. Nie chcąc być świadkiem zakończenia tej akcji, ruszamy dalej Jedyneką wzdłuż wybrzeża.

Wjeżdżamy do Golden Gate Park – największego parku rekreacyjnego na terenie miejskim San Francisco. Mijamy ogród różany, papugi siedzące na drzewach, małe jezioro, gdzie dziadkowie puszczaają sobie miniżaglówki na wodzie, wielki wiatrak sprzed ponad wieku, grupki wylegujących się na trawie młodzików. Jednym słowem „luz blues” – mnóstwo miejsca, żeby się zrelaksować i porządnie odpocząć z dala od miejskiego zgiełku. Zahaczamy o kultową dzielnicę wyrotowców Haight Ashbury, gdzie co chwila mijamy jakiegoś niezrównoważonego emocjonalnie człowieka, wszyscy tu wyglądają jakby właśnie wrócili z całonocnej mocno zakrapianej imprezy. W powietrzu unosi się zapach panującego tu zioła. Mijamy charakterystyczne (nieco już wyblaknięte) damskie nogi w kabaretkach i czerwonych szpilkach wystające z okna (1452 Haight Street), wszechobecne wszędzie murale, małe klimatyczne butiki. W dzielnicy rosyjskiej objazd kończymy na rosyjskiej katedrze – Holy Virgin Cathedral (6210 Geary Blvd) z połyskującymi złotymi kopułami.

Jako że pora obiadu już dawno za nami, postanawiamy zatrzymać się na chwilę w jakimś przyjemnym miejscu, obierając za cel miejscówkę Baker Beach (wjazd bezpłatny) z perfekcyjnym widokiem na Golden Gate Bridge. Zajadając, wpatrujemy się w promieniujący czerwienią w zachodzącym słońcu most, którym za godzinę przejeżdżamy po raz kolejny, by tym razem z Conzelman Drive, prowadzącej do kilku punktów widokowych, podziwiać Golden Gate od strony północno-zachodniej z całą panoramą San Francisco w tle. Na scenicznej drodze Bunker Road przejeżdżamy wąskim jednokierunkowym klaustrofobicznym tunelem i znów wracamy do cywilizacji w gęsto zaludnionym Sausalito, gdzie domy dosłownie wydają się tu przyklejone do stromych stoków. W miasteczku znajduje się Bay Model Visitor Center (2100 Bridge-way, czynne do 9.00–16.00 od poniedziałku do piątku, wejście bezpłatne), ale docieramy niestety zbyt późno, by móc podziwiać gigantycznych rozmiarów hydrauliczny model zatoki San Francisco. Model „wypożyczony” jest w prawdziwą wodę, ukazując prądy i prądy morskie.

Ponieważ mamy jeszcze chwilę czasu do zachodu słońca, jedziemy do Muir Woods National Monument (10 USD/osoba – najbardziej wygórowana opłata za wejście na teren NPS w Stanach! Nawet mapkę parku trzeba zakupić w sklepiku!). Na szczęście tłumów nie ma i można bez problemu znaleźć miejsce na parkingu. Wzdłuż drogi jest zakaz parkowania ze względu na bardzo liczne zakręty. Wyruszamy chodnikiem wzdłuż potoku, spacerując pośród gigantycznych rozmiarów Sequoia sempervirens. Drzewa całkowicie przesłaniają światło słoneczne i wszędzie panuje półmrok. Na moście nr 1 skręcamy w lewo i wznosimy się (idąc szlakiem Bohemian) do nieco wyżej położonej części parku. Przy moście nr 2 szlak zmienia nazwę na Hillside Trail. Cały czas idziemy wąską ścieżką, prowadzącą przez gaje redwoodowe. Wracając do auta o godzi-

nie 17.30, zauważamy rangersa wywieszającego tabliczkę z napisem „Admission free”. Cóż, na spacerowanie w resztkach światła słonecznego pozostało może jeszcze z 1,5 godziny, ale mimo to napływający tłum wydawał się większy niż w czasie, kiedy my zaczęliśmy spacer.

Zjeżdżamy na wybrzeże do Muir Beach, gdzie od razu „wita” nas informacja o przekroczeniu stanowej normy zawartości jakiegś szkodliwej dla zdrowia bakterii w wodzie z bezwzględnym zakazem kontaktu z wodą. A jednak znaleźli się tacy użytkownicy tej plaży, którzy zignorowali zakaz, spacerując brzegiem, obmywanym co chwila przez fale oceaniczne. Kilkoro nastolatków, pomimo silnego wiatru, rozpalilo ogniska na piaszczystej plaży. Klimacik fajny, ale zostać na nocleg tu nie możemy, bo to teren parku narodowego i na pewno prędzej czy później zjawi się ranger, który będzie wyganiał nocnych imprezowiczów.

Wyjeżdżamy dalej Jedyneką na Muir Beach Overlook, ale opadająca szybko gęsta mgła uniemożliwiła nam podziwianie widoków. Miejscówkę na nocleg znajdujemy w okolicy Mount Tamalpais State Park w ukrytej zatoczce, bezpośrednio odchodzącej od Jedynki. Ustawiając samochód na nocleg, zauważamy, że rączka służąca do operowania zaworu od zbiornika z brudną wodą dynda na „ostatnim włosku”. Zresztą mimowolnemu uszkodzeniu podczas naszej eskapady uległy jeszcze inne urządzenia. Ciągłe wyłączająca się lodówka, zacinające się nieustannie drzwi do łazienki, nieustannie zapchany odpływ prysznic, niedziałające diody wskazujące stan wody w zbiornikach. Ten RV ma przejechane 7500 mil, a więc licząc statystycznie wypożyczany był około pięciu razy. Jeszcze drugie tyle i z pewnością ten bubel można będzie wyrzucić na szrot.

5 maja. Poranek wita nas gęstą mgłą, utrzymującą się, niestety, prawie do południa. Podjeżdżamy do pobliskiego miasteczka Stinson Beach i zatrzymujemy się przed placem zabaw przy Parkside Cafe, by spokojnie przygotować śniadanie, bez rozsadzających wewnątrz RV-ika dzieci. Zapach aromatycznej kawy roznosi się na cały plac, a my obserwujemy lokali podjeżdżających co chwilę po pachnącego rozbudzaacza. Po spaleniu kalorii na huśtawkach i karuzelach zabieramy pociechy na plażę za kawiarnią. Plaża ta również jest objęta zakazem wchodzenia do wody ze względu na przekroczoną zawartość bakterii *E. coli* i *Enterococci*. Zresztą cała infrastruktura jest tu przebudowywana przed nadchodzącym sezonem turystycznym i panuje straszny bałagan. Nie chcąc narażać się na bezpośredni kontakt z zakażoną wodą, zwracamy więc do auta, obiecując młodemu inną „zdrowszą” plażę. Jedyneką jedziemy dalej na północ, otaczając po lewej stronie Bolinas Lagoon, następnie, skręciwszy w lewo w Olema Bolinas Road, obieramy kierunek południowy do niegościnnego Bolinas. Lokalna społeczność usunęła wszystkie kierunkowskazy, by utrudnić dojazd turystom, chociaż w dzisiejszej dobie GPS-u nie stanowi to najmniejszego problemu. Mieszkańcy bardzo niechętnie witają tu ludzi z zewnątrz, co zresztą obserwujemy, przejeżdżając naszym RV-ikiem przez centrum Bolinas. Dojeżdżamy do końca Wharf Road i zwracamy, bo tak naprawdę nie ma tu nic ciekawego do oglądania.

Bardzo wąską drogą Mesa Road dojeżdżamy do Point Reyes Bird Observatory (wjazd bezpłatny), gdzie dwoje młodych wolontariuszy – biologów prowadzi obser-

wacje ornitologiczne. Obrączkują ptaki złapane w sieci porozwieszane w niedalekiej odległości od obserwatorium. Co pół godziny wyruszają na krótki spacer, sprawdzając 12 miejsc i jeśli znajdą jakiegoś ptaszka zaplątanego w pułapkę, chowają go do płóciennego woreczka i następnie w biurze nakładają mu specjalną obrączkę z numerem, i od razu po tej czynności wypuszczają na wolność. Wybieramy się razem z nimi na taki obchód, ale nie udaje nam się zostać świadkiem takowego wydarzenia. Oglądamy w Visitor Center różne szkielety i piórka lokalnego ptactwa i idziemy na krótki szlak schodzący do rzeki. Nie chcąc wracać tą samą drogą, idziemy wąską ścieżką przez zarośla, które okazują się „bogate” w trujący bluszcz, co niestety już po fakcie odczuwa jedyny właściciel krótkich spodenek w naszej drużynie, czyli Mundi. Po powrocie do domu na jego łydkach pojawiają się swędzące rany i bąble, które utrzymują się przez kolejne kilka dni, gojąc się bardzo trudno. Ścieżka doprowadza nas do asfaltówki i nią wracamy do naszego auta.

Dalej Jedynką dojeżdżamy do Point Reyes Station, gdzie tankujemy i nabieramy wody do RV-ikowego zbiornika (bezpłatny dystrybutor wody na stacji benzynowej). W miasteczku zaglądamy też na degustację sera do Cowgirl Creamery, ale próbujemy pyszny organiczny kozi serek, którego cena jednak jest chyba najbardziej wygórowaną ceną sera na świecie. Sir Francis Drake Boulevard wyjeżdżamy z miasteczka w kierunku Point Reyes National Seashore (wjazd bezpłatny). Tuż przed miasteczkiem Inverness mijamy czeską restaurację „Vladimir’s (Restaurant Czechoslovakian) z wielkim drewnianym logo Pilsner Urquell (12785 Sir Francis Drake Blvd) i rosyjską przeuroczą drewnianą replikę dachy umiejscowioną na palach – Lipnosky’s Dacha (12830 Sir Francis Drake Blvd) z kopułami i krzyżami prawosławnymi. Jedziemy dalej na północ drogą Pierce Point Drive, mijając farmy i tysiące pasących się tu łaciatych krów. Jak tylko minęliśmy zabudowania farmerskie, zobaczyliśmy wielkie stado jeleni (Tule Elk) pasących się na ukwieconej łące. Widok wspaniały!!!

Dojeżdżamy do samego końca drogi i wychodzimy na krótki, ale stromy (w drodze powrotnej) szlak, prowadzący do plaży McClures Beach. Plaża robi na nas piorunujące wrażenie: otoczona wysokimi klifami mała urocza zatoczka. Dzieciaki od razu zabierają się do budowania tamy na małym potoczku spływającym do zatoki. Po 10 minutach są całe oblepione w mokrym piasku, ale patrząc na ich niesamowitą radość wynikającą z tarzania się i babrania w piachu, dajemy im pozwolenie na zupełną swobodę w organizacji zabawy. Plaża jest zupełnie wyludniona, co nadaje jej dodatkowo niepowtarzalnego klimatu. Po 1,5 godziny zziębniętych małolatów taszczyliśmy do auta, gdzie od razu wrzucamy pod gorący prysznic. Wyjeżdżamy w kierunku południowym, zaczynając już rozglądać się za jakimś klimatycznym noclegiem, aż tu nagle ku naszej wielkiej radości jelenie przeniosły się teraz bliżej drogi i mamy je dosłownie na wyciągnięcie ręki. Pojawia się też zdeorientowany kojot, który przemyka pomiędzy naszym autem a wrogo nastawionym do niego stadem jeleni. A jelenie przechodzą sobie przez drogę, w ogóle nie odczuwając lęku przed nami. Wyglądają majestatycznie oświetlone promieniami zachodzącego słońca. Po 30 minutach obserwacji wspaniałego widowiska jedziemy dalej na południe, skręcając w prawo na Francis Drake Boulevard i po przejechaniu 5,5 mili na plażę Point Reyes Beach North. Za-

trzymujemy się na olbrzymim parkingu (dostępne łazienki) i z okna RV-ika podziwiamy zachodzące słońce i wzburzone fale, uderzające z wielką siłą o brzeg. Zasypiamy kołysani przez wiatr...

6 maja. Wstajemy o świcie. Niesamowicie rześkie powietrze stawia nas od razu na nogi. Jedziemy na samo południe Point Reyes National Seashore mocno poharataną drogą aż do Elephant Seal Overlook. Spacerujemy ścieżką do punktu widokowego, z którego (z dużej odległości) oglądamy wylęgające się na plaży foki. Drą się okrutnie, a ich ryk spotęgowany jest jeszcze przez odbijające się od skał echo. Pogoda się psuje i zaczyna kropić deszcz. Podjeżdżamy do parkingu, skąd już pieszo idziemy około 0,5 mili do Point Reyes Lighthouse Visitor Center. Tuż za budynkiem znajduje się 308 schodów (o wysokości 30 piętrowego budynku), którymi schodzimy w dół do samej latarni morskiej. Latarnię specjalnie wybudowano poniżej płaskowyżu, by jej światło nie ginęło w zalegającej często na tych obszarach mgłę, ale jednocześnie na tyle wysoko, by miało ono wystarczający zasięg. Wąskimi schodkami schodzimy razem z Basią, która jest niesiona w wózku jak księżniczka, do samej latarni i na razie nie chcemy się martwić o drogę powrotną do góry. Widok stąd cudowny. Jest stąd świetne miejsce do obserwacji przepływających niedaleko wielorybów i podobno – według rangera – ktoś je dzisiaj widział.

Zapoznajemy się z historią tego uroczego miejsca, po czym zaczynamy mozolną wspinaczkę po tych 308 schodach... Wyczerpujący trening sprawnościowy wykończył nas konkretnie. Sapiąc, zaglądamy do Visitor Center, gdzie znajduje się muzeum z ciekawostkami dotyczącymi okolicznej fauny i flory. Przed jego wejściem stoi olbrzymia czaszka wieloryba szarego. Znajdujemy dużo ciekawych informacji dotyczących wielorybów np. to, że konsumują dziennie nawet do 2 ton pożywienia. Migrując, pokonują dziennie do 120 km. Cała trasa ich podróży w obie strony to od 10 do 13 tysięcy km. Lato spędzają w okolicach Alaski, a zimę w ciepłych wodach na wysokości Meksyku, gdzie na świat przychodzą małe. Migrując, zawsze płyną w odległości 3–4 km od brzegu i z łatwością można je wypatrzeć, posługując się lornetką czy teleobiektywem. Deszcz znowu zaczął padać, więc uciekamy szybko do auta, mijając po drodze pasące się przy muzeum sarenki. Podjeżdżamy 20 mil do Bear Valley Visitor Center (czynne od 10.00–16.30).

Deszcz przestał na szczęście już padać, więc wybieramy się na spacer po szlaku Earthquake Trail (długość 0,7 mili pętla). Spacer jest bardzo łatwy i prowadzi do miejsca, gdzie możemy zobaczyć namacalne „skutki” wielkiego trzęsienia ziemi z 1906 roku, które było najsilniejszym i najtragiczniejszym, jakie nawiedziło rejon San Francisco. Zginęło wówczas ponad 3000 ludzi, a 80% tych, którzy ocalili (25 tysięcy), musiało zamieszkać w prowizorycznych namiotach, gdyż ponad 28 000 budynków zostało zniszczonych przez trzęsienie lub pożary spowodowane trzęsieniem ziemi. Wędrujemy dokładnie do miejsca zetknięcia się 2 płyt tektonicznych – oceanicznej (pacyficznej) i kontynentalnej (północnoamerykańskiej) zwanego uskokiem San Andreas. Stoi tutaj przemieszczony drewniany płot, który przetrwał to trzęsienie – ziemia przesunęła się wtedy wduż uskoku o około 6 metrów, rozrywając ogrodzenie. Na tablicach poustawianych wzdłuż ścieżki możemy zobaczyć wiele zdjęć z tego tra-

gicznego wydarzenia i przeczytać dużo informacji na ten temat. Spacerujemy też Kule Luklo trail (długość 0,8 mili) do miejsca, gdzie pośród wysokich drzew eukaliptusowych można zobaczyć replikę wioski Indian Coast Miwok, którzy zamieszkiwali te tereny zanim zjawili się przybysze z Europy. Nie ma tu zbyt wiele do oglądania (kilka drewnianych szałasów i podziemny dom spotkań oraz mały ogródek), ale miejscówka jest bardzo przyjemna, chyba ze względu na te eukaliptusy i wszędzie biegające przepiórki (California quail). Warto też odwiedzić muzeum w Visitor Center (bezpłatne) – ma bardzo ciekawe ekspozycje o zwierzętach, zamieszkujących te tereny. Po pochłonięciu wszelkich możliwych informacji o florze i faunie wyruszamy małymi, lokalnymi drogami w kierunku San Rafael, gdzie pierwsze kroki kierujemy do misji San Rafael Arcangel. Kościół jest zamknięty, ale warto tu zajrzeć, bo budynek z zewnątrz prezentuje się też okazale. Niedaleko tego kościoła (przy ulicy 1000 5th Avenue) znajduje się nowo powstałe Musuem of International Propaganda (wejście bezpłatne, czynne od środy do soboty 12.00–15.00). My trafiliśmy akurat na ostatnie przygotowania przed oficjalnym otwarciem, które miało się odbyć dnia następnego, ale mimo to udało nam się porozmawiać chwilę z właścicielami tego unikalnego na skalę światową muzeum. Podróżowali oni po całym świecie, zbierając różne pamiątki przez okres ponad 40 lat i teraz całą tę kolekcję udostępniają innym. Udaje nam się dojrzeć kilka eksponatów z polskimi akcentami, kilka radzieckich (m.in butelkę z Leniniadą – lemoniadą) czy północnokoreańskie książeczki propagandowe. Z pewnością podczas następnej wycieczki w te rejony musimy tu zajrzeć na dłużej.

Przejeżdżamy przez most (Richmond – San Rafael) na drugą stronę zatoki do miasta Richmond, które raczej nie zachęca do odwiedzin. Zaparkowaliśmy pod Walmartem, ale niestety po 2 godzinach snu zostaliśmy wypędzeni z parkingu przez strażnika miejskiego. Przenieśliśmy się po długich poszukiwaniach gdzieś na inną plażę nieopodal Walmartu i tam kończymy nasz nocny wypoczynek.

7 maja. Po tak nieprzespanej nocy zaczynamy się organizować i pakować, bo do godziny 11.00 musimy oddać RV do wypożyczalni. Dotankowujemy propan (U-haul: 5330 International Blvd, Oakland – uwaga, dzielnica gangsterska!) i benzynę, zamykamy i doprowadzamy do stanu idealnego kempingowóz i wypożyczamy osobówkę (nissan versa) w Thrifty Car Rental (7600 Earhart Rd, Oakland) i na 2 samochody jedziemy do Cruise America (5623 John Muir Drive, Newark). Po inspekcji RV-ika i załatwieniu wszelkich formalności wskakujemy w osobówkę i 880-ką jedziemy na północ. Zjeżdżamy do śródmieścia Oakland i chińskiej dzielnicy, a ponieważ pada deszcz, robimy sobie rundki samochodem, zwiedzając miasto przez okno auta. Dojeżdżamy do Berkeley i tu już lejący deszcz nie może zniweczyć planów Mundka – wielkiego fascynata zwiedzania kampusów uniwersyteckich.

Berkeley to najstarsza „jednostka” Uniwersytetu Kalifornijskiego (150 lat), ciesząca się od lat pierwszym miejscem w kategorii uczelni publicznych w USA i na świecie, także uczelnia macierzysta kilkudziesięciu noblistów. University of California w Berkeley ma też polskie akcenty. Literaturę słowiańską wyładał tu w latach 1960–1978 Czesław Miłosz. Studiuje tu ponad 38 000 studentów rocznie, a cały kampus zajmuje prawie 500 ha. Spacerujemy po nim 2 godziny. Do ciekawszych miejsc, w jakie za-

glądamy, należy górująca nad miasteczkiem uniwersyteckim prawie 100-metrowa Sather Tower – wieża zegarowa z dzwonnica (jedna z 3 najwyższych tego typu wież na świecie), skąd rozpościera się wspaniały widok na cały kampus i zatokę (wjazd windą na platformę widokową 3 USD od osoby). Dzwonnica to tak naprawdę carillon – instrument muzyczny, będący zespołem dzwonów, na których można wybijać melodie za pomocą specjalnej klawiatury. Dzwonów jest 61, a najcięższy z nich waży prawie 5 ton. Wieża ta wzorowana jest na podobnej budowlі znajdującej się na placu św. Marka w Wenecji. Większość budynków oglądaliśmy tylko z zewnątrz, bo zapewne z powodu weekendu wszystko było zamknięte. Po kampusie przemykają sarny, czując się tu jak u siebie w lesie. Na koniec wycieczki zaglądamy na pyszną kawę do wypelnionej po brzegi studentami kawiarni Strada (2300 College Ave).

Naszym następnym i kulminacyjnym punktem dnia było muzeum Chabot Space and Science Center (10000 Skyline Blvd, Oakland, wstęp 18 USD, dzieci 14 USD). Wjeżdżamy wąską serpentynową drogą na wysokość 470 m n.p.m., gdzie stoi budynek muzeum i planetarium. Miejsce to przeznaczone jest przede wszystkim dla dzieci, które mogą wszystkiego tu dotknąć oraz wykonywać naukowe doświadczenia, ale największą petardą jest chyba kino, gdzie rozłożeni niemal w pozycji leżącej oglądamy na suficie kina, niczym na sklepieniu niebieskim, trójwymiarowe filmy o kosmosie. Na 3 piętrze znajdują się oddzielne budynki z zabytkowymi potężnymi teleskopami, wciąż funkcjonujące. Wszystkie te ekspozycje niezmiernie podobają się Jankowi, który pomimo próśb personelu o opuszczenie muzeum z powodu zamknięcia w ogóle nie zamierza tego zrobić. I trzeba niestety użyć podstępu, żeby go stamtąd wyprowadzić. Po tych kilku godzinach spędzonych w muzeum jesteśmy wykończeni, więc jedziemy bezpośrednio do motelu (Civic Center Lodge, 50 6th St, Oakland).

8 maja. Rano, korzystając z uprzejmości pana w motelowej recepcji, drukujemy sobie „boarding pass” na jutrzejszy lot do Chicago i w miarę możliwości, żeby nie tracić czasu, wskakujemy na autostradę (880 i 80) prowadzącą nas do San Francisco. Od razu po przejechaniu mostu (San Francisco – Oakland Bay Bridge) skręcamy w prawo i jedziemy w porannych korkach wzdłuż doków na The Embarcadero street. Jest to trasa, którą poruszają się również „streetcars”, czyli zabytkowe (pochodzące sprzed ponad 70–80 lat) tramwaje (linia F Market & Wharves). Poza tramwajami ciekawostką są również ryksze (pedicabs), którymi powożą, uposażeni w umięśnione łydki, młode dziewczyny i chłopaki. Taka przejażdżka kosztuje 20 USD za milę (1,6 km). Po 40 minutach powolnej jazdy wzdłuż chyba najbardziej ruchliwej turystycznie ulicy w San Francisco (Embarcadero przechodzi w Jefferson Street) skręcamy na północ w Hyde Street i po przejechaniu kilku przecznic w końcu znajdujemy wolne miejsce do zaparkowania. Kierując się w stronę doków, skracamy sobie drogę przez Ghirardelli Square, gdzie oczywiście częstujemy się czekoladkami. Wędrujemy do Cable Car Rotation Place (Beach & Hyde Street), czyli do zajezdni, gdzie następuje przekręcenie tramwaju do jazdy w kierunku przeciwnym.

Ostatnia działająca na świecie ręcznie sterowana kolejka linowa (przejazd 7 USD) jest na pewno ikoną San Francisco. Działa nieprzerwanie od końca XIX wieku, a obwozi dziś głównie turystów. Ciekawy jest tu system hamulcowy, składający się z 3 od-

dzielnych części – metalowy „break shoe”, awaryjny hamulec i drewniane (sosnowe) hamulcowe bloki pomiędzy kołami, które muszą być wymieniane co kilka dni. Więcej informacji na temat tramwajów linowych można dowiedzieć się w Cable Car Museum (1201 Mason St, wejście bezpłatne).

Po całym widowisku „tramwajowym” przechodzimy pośród kolorowych straganów z pamiątkami do San Francisco Maritime National Historical Park – Museum & Visitor Center (Hyde & Jefferson Street). Poza bezpłatnymi mapkami i folderami można tu zapoznać się z ciekawą historią żeglugi morskiej, rozkoszując się modelami okrętów i interaktywnymi wystawami. Visitor Center to tylko namiastka tego, co możemy znaleźć naprzeciwko ulicy w plenerowej części tego historycznego parku narodowego (Hyde street Pier). Podążamy więc zachęeni głośnym huknięciem do pierwszego eksponatu, tj. maszyny parowej, gdzie dzieciaki, pociągając za sznurek, cieszą się z powodu wydobywanego przez urządzenie głośnego hałasu, potem zwiedzamy Lewis Ark, ciągniemy sznury, podnosząc ciężkie beczki (Block&Tackle) jak niegdyś marynarze. Nie wchodzimy dalej na molo, by zwiedzać wnętrza okrętów, bo z naszymi dziećmi byłoby to po prostu niemożliwe, tym bardziej że mieliśmy już okazję je odwiedzić kilka lat temu, więc z pewnością polecamy wszystkim, którzy znajdą się w tym miejscu (bez małych dzieci).

Podążamy dalej na wschód, mijając kafejki, restauracje i sklepy z typową turystyczną badžewiarnią w temacie San Francisco na tysiąc możliwych sposobów. Docieramy do Fisherman’s Wharf market, gdzie przepychamy się pomiędzy stoiskami w poszukiwaniu najwspanialszych krewetek dla Jasia-smakosza. Są tu wszelkie owoce morza – wielkie kraby, homary, małże, krewetki, ostrygi, ośmiornice... kucharze uwiązują się bardzo szybko, by sprostać olbrzymiej masie wygłodniałej klienteli. Zamawiamy zasmażane krewetki i siadamy na skwerku, słuchając przyjemnego rzępolenia lokalnego artysty-grajka.

Posuwając się dalej na wschód, mijamy lokalnych artystów i wyłudających pieniądze szołmenów (a nawet szczerego do bólu koleżkę z kartką: „won’t lie – need USD for weed”). Promenadą ciągną tłumy turystów, łapiąc się na te wszystkie pułapki. Boduin Bakery oferuje pokazowe zagniatanie ciasta i bułek w witrynie swojej piekarni, co zachęca od razu do zakupów pachnącego pieczywa. Docieramy w końcu do osławionego mola Pier 39, gdzie na pomostach wylegują się „sea lions”, obfotografowane ze wszystkich stron. Pojawiły się tutaj około 25 lat temu i od tamtej pory są nieodłącznym akcentem tego miejsca. Niektórzy wiążą ich przybycie z trzęsieniem ziemi w 1989 roku i można przyjąć, że od owego czasu ich populacja w tym miejscu znacznie wzrosła, chociaż widywano je już tam także wcześniej. Rybacy musieli na dobre opuścić molo nr 39, by nie utrudniać życia nowym przybyszom, których liczba dochodzi dziś nawet do 1700 sztuk. Thuściochy porykują i wygrzewają się na słońcu, budząc podziw i ciekawość wszystkich odwiedzających. Dzieciaki już nam zaczynają wariować, więc powoli zarządzamy odwrót do auta, zaglądając jeszcze na przystań nr 45, by pooglądać okręty wojenne (USS Pampanito i Jeremiah O’Brien).

Wygłodniali i zmęczeni spacerem postanawiamy wypróbować coś z kuchni meksykańskiej – jedziemy więc do Mission District. Jest to dzielnica słynąca przede wszyst-

kim z murali – czyli malowideł na budynkach, przedstawiających jakąś ciekawą historię czy personę. Zdecydowanie jedną z najokazalszych tego typu jest mural na Women's Building (3543 18th Street). Kolorowe malowidła ukazują wielki wkład i znaczenie kobiet we współczesnej historii. (Inne niedaleko położone murale warte zobaczenia to: Balmy Street pomiędzy 24 i 25 Street & and Treat Street and Harrison Street; Carnival Mural 24th Street and South Van Ness Avenue; Clarion Alley – jeden „block” powyżej 17th Street, pomiędzy Valencia Street and Mission Street). Po szybkiej rundce pomiędzy budynkami ozdobionymi muralami zasiadamy w meksykańskiej jadłodajni (El Toro Taqueria, 598 Valencia street), rozkoszując się zabójczo pysznym burrito z guacamoli. Jedzenie nie dość, że pyszne to i tanie jest, a porcje naprawdę wielkie. Stołując się tu lokalni mieszkańcy, turystów poza nami nie widać.

Z pełnymi brzuchami odwiedzamy kościół misyjny (Mission San Francisco de Asís – 3321 16th Street), gdzie odbywa się akurat koncert muzyki organowej Paula Meiera. W kościele zebrała się niewielka grupa fanów, by wysłuchać koncertu, z przyjemnością też byśmy zostali, ale dzieciaki mają na ten temat inne zdanie. Przeczuwając kraniec cierpliwości naszych malców po całodziennym realizowaniu punktów turystycznym, postanawiamy dać im porcję dziecięcego szaleństwa na ślizgawkach i huśtawkach w parku Mission Dolores Park, gdzie podziwiamy panoramę San Francisco. Chyba najbardziej urokliwy plac zabaw w mieście przyciąga nie tylko dzieciaki, ale i mnóstwo młodych ludzi, imprezujących na trawiastym wzgórzu w otoczeniu palm.

Chwilę przed zmierzchem opuszczamy miasto i brnąc w korkach docieramy po 2 godzinach do motelu. Tu już tylko pakowanie i przygotowania do jutrzejszej podróży.

9 maja. Poranna nerwówka przed odlotem, zbieranie wszystkiego i wszystkich, oddanie samochodu do wypożyczalni; wszystko w pośpiechu, a już na lotnisku okazuje się, że samolot lecący z Chicago do Oakland ma 1,5 godziny opóźnienia, w związku z tym nasz odlot jest również opóźniony. Zaczynamy więc zabawianie naszej młodzieży atrakcjami na lotnisku, potem w samolocie i wycieńczeni tymi akcjami docieramy do Chicago, snując już plany na kolejną wycieczkę.

Katarzyna (Zuza) Anoszczenko
Rafał (Mundi) Robak

Utah (USA) – na granicy



Termin: 15 – 30 listopada 2016

Uczestnicy: Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafal Robak (Mundi), Jan Robak & Basia Robak

Trasa: Chicago – Nevada (Las Vegas), Arizona, Utah (St. George, Washington, Hurricane, Road 59); Arizona (Winsor Castle Pipe Spring National Monument, Fredonia), Utah (Kanab, House Rock Valley Road, Wire Pass Trail, Buckskin Gulch Trail – North, Stateline Campground, Kanab, Frontier Movie Town – Little Hollywood museum; Paria Road, Paria Movie Set, Toads Tools Trail, Whitehouse campground, Wiregrass Canyon Trail, Glen Canyon National Recreation Area – Lone Rock campground, Arizona (Powell Lake scenic overlook), Page, Lower Antelope Canyon, Horseshoe Bend, Dam Overlook, Navaho Bridge & Marble Canyon, Lee's Ferry, River trail, Road 89 west, Cliff Dwellers, Dominguez – Escalante Interpretive Site, Jacob lake, Grand Canyon National Park North Rim, Fredonia), Utah (Kanab, Dinosaur Track Trail, Hancock Road, Coral Pink Sand Dunes State Park, Ponderosa Grove Campground, Sand Dunes Road, Mt. Carmel Junction; Zion National Park – Zion Canyon Road (Watchman Trail, Zion Human History Museum), Grafton Ghost Town, Zion National Park – Zion Canyon Road – (Court of the Patriarchs Trail, Zion Lodge, Emerald Pools Trail, Kayenta Trail, Weeping Rock Trail), Kolob Terrace Road (Hoodoo City trail), LaVerkin Overlook, Zion National Park – Kolob Canyons (Colob Canyon View Point Trail); Redcliff's Recreation Area (White Reef Trail, Anasazi Trail, Dinosaur Track Site), Washington, St. George (Red Hills Desert Garden), Snow Canyon State Park (Jenny's canyon trail, Snow Canyon Campground #24, Butterfly trail, Lava trail, Petroglyph trail); Old Hwy 91, Arizona, Nevada (Valley of the Fire State Park (Arch Rock Campground, Natural Arch trail, Fire Wave trail), Las Vegas, Chicago.

Noclegi: kempingi (0–20 USD) oraz bezpłatnie na ziemiach publicznych (BLM).

Gdzie nocować za darmo w USA?: US National Forests & Grasslands – na ziemiach lasów federalnych generalnie możemy rozbić namiot, zaparkować RV czy osobówkę

w dowolnym miejscu (tak zwany dispersed camping), chyba że istnieją jakieś lokalne przepisy tego zakazujące. Zawsze trzeba sprawdzić w lokalnym biurze – National Forest Ranger Station. Czasami można spotkać przygotowane ogniskowe kręgi z kamieniami, ale to, czy możemy rozpalić ognisko, też różni się w zależności od lokalnych przepisów i zagrożenia pożarowego. Powinniśmy kempingować w odległości przekraczającej 200 stóp (60 m) od rzeki czy jeziora. W najbliższej okolicy dużych miast, np. Denver czy Santa Fe, lokalne przepisy zabraniają w ogóle kempingowania poza wyznaczonymi kempingami. BLM (Bureau of Land Management) – Public Lands – kempingowanie praktycznie ograniczone jest tylko przez tereny przeznaczone na wypas bydła i kopalnie czy kamieniołomy, ale wtedy teren jest ogrodzony płotem i z reguły jest jakaś informująca tabliczka o zakazie wstępu. BLM często oferuje też prymitywne kempingi z toaletami i stołami piknikowymi za darmo lub za niską opłatą 2–10 USD. Rest Area/Rest Stop – znajdują się głównie przy autostradach i drogach szybkiego ruchu. Można legalnie przenocować w samochodzie lub RV. Zawsze dostępne są łazienki, stoliki, czasami place zabaw dla dzieci i wybiegi dla psów. Truck Stops (Flying J, TA, Pilot) – miejsce, gdzie nocują kierowcy ciężarówek, ze stacją benzynową, fastfoodowym barem i płatnymi prysznicami (8 USD).

Kasyna – zawsze można zaparkować przed kasynem i przespać się w samochodzie czy RV. Walmart Supercenter (największa sieć hipermarketów w USA) – w większości przypadków można spać w aucie na parkingu przed sklepem. Ale np. w aglomeracji Los Angeles czy Santa Barbara w Kalifornii istnieją duże ograniczenia i można nawet dostać mandat za spanie w samochodzie. Sztuka polega na tym, by dobrze czytać i interpretować znaki i przepisy parkowania.

Długość trasy: 1225 mil (1971 km)

Przewodniki: Atlas topograficzny DeLorme Arizona, Utah Road and Recreation Atlas; Paria Canyon, Kanab – Vermilion Cliffs National Monument and Grand Staircase – Escalante National Monument Topographic map (National Geographic); Hiking Zion & Bryce National Parks E. Molvar & T. Martin; www.hikestgeorge.com; www.alltrails.com; americansouthwest.com; www.tripadvisor.com; www.citrusmilo.com

Transport: Samolot (Frontier Airlines): przelot Chicago – Las Vegas i z powrotem 545 USD/4 osoby; Wypożyczony camper (Ford E350 V8) 645 USD (koszt całkowity 1145 USD minus 500 USD, certyfikat upominkowy wygrany w konkursie fotograficznym organizowanym przez Cruise America = 645 USD), wypożyczone auta Advantage Car Rental Las Vegas 37 USD i Thrifty Car Rental Las Vegas 34 USD.

Koszt benzyny: Camper –285 USD (128 galonów, średnie spalanie 9,6 mili/galon) + 2 osobówki, razem 7 USD. Cena benzyny: 2.10–2.60 USD/galon (galon to prawie 4 litry).

Koszt wyjazdu: 2030 USD.

Pogoda: Temperatury powietrza późną jesienią w południowej części stanu Utah nie zachęcają raczej do podróżowania z małymi dziećmi (dzień – średnio około 10°C, noc – średnio około 0°C), ale nie jest to oczywiście niewykonalne. Mając do dyspozycji wygodnie ogrzewane RV i ciesząc się (poza kilkoma wyjątkami) totalnym „wyludnieniem” turystycznym, rozkoszowaliśmy się pięknem dzikiej przyrody w samotności.

Długość dnia w tym okresie, niestety też jest dużym minusem – słońce wschodziło po 7.00, a zachodziło kilka minut po 17.00, co zmuszało nas do bezwzględnej organizacji i maksymalnego wykorzystania światła słonecznego. Przeżyliśmy też bardzo mocne uderzenie śniegu, ku ogromnej ucieście dzieci. Deszczu było stosunkowo niewiele, czasami powiał silny, pustylny wiatr, ale rozpatrując całościowo, pogoda była dobra i pozwoliła nam prawie w 100% zrealizować nasz plan podróży.

Zagrożenia (flash flood): Pomimo że sezon burzowy już za nami, to przebywając na pustyni i w tzw. „slot” kanionach (czyli wąskich, głębokich kanionach), zawsze należy być czujnym i nigdy nie udawać się na piesze wędrówki, gdy zbliża się burza, a nawet deszcz w odległości 50 mil od naszego położenia. W przypadku, gdybyśmy zostali złapani przez deszcz – błotnista woda razem z niesionymi przez nią konarami drzew i gałkami wdziera się z ogromną siłą i prędkością do kanionu i jesteśmy w pułapce, bo z reguły nie mamy szansy, żeby wspiąć się po stromych skałach kanionu. Nie ma żartów. Przykładowo rok temu grupa 7 „hikerów” zginęła podczas wędrówki po Keyhole Slot Canyon w parku narodowym Zion. Wyruszyli pomimo prognozy pogody, przewidującej 40% szansy na deszcz. Przed ich wejściem na szlak National Weather Service ogłosił już zagrożenie powodziowe, ale uczestnicy wyprawy niestety nie mogli tego sprawdzić, bo znajdowali się poza zasięgiem sieci komórkowych. Po 2 godzinach marszu zostali porwani przez „flash flood” i wszyscy zginęli. Ratownicy znaleźli ich ciała rozrzucone w olbrzymich odległościach od siebie. Takich przypadków jest niestety wiele. Żeby uzmysłować sobie jak wygląda „flash flood” na pustyni, wystarczy na Youtube wpisać np. amazing flash flood utah, ale filmiki pokazują bardzo „łajtową” wersję fali powodziowej w szerokiej wyschniętej dolinie rzeki (dry wash).

Kilka słów o RV: Recreational vehicle to pojazd i dom w jednym. Jest to najbardziej wygodna opcja wakacyjna, szczególnie, jeśli podróżujemy z małymi dziećmi i chcemy jak najwięcej zobaczyć, nie marnując czasu na codzienne poszukiwanie moteli, hoteli czy restauracji. Pożyczany przez nas RV należy do najmniejszych tego typu pojazdów w Stanach i ma długość „zaledwie” 19 stóp. W wyposażeniu znajdują się: 2 łóżka (mieszczące 4 osoby, w tym jedno rozkładane w wersji stół plus kanapy), lodówka, plus mała zamrażarka, kuchenka, mikrofala, ogrzewanie, ochładzanie, zlew, kibel i prysznic. Na wyposażeniu jest też generator, którego zużycie opłacane jest dodatkowo – za każdą godzinę 3 USD (lub wykupiony w pakiecie na każdy dzień za 5 USD × liczba dni). My z generatora nie korzystaliśmy. Właściwie to generator umożliwia pracę mikrofalówki, klimatyzatora dachowego i gniazdek elektrycznych, gdy pojazd nie jest podłączony do prądu, np. na kempingu (jeśli ktoś nie chce wchodzić w koszty generatora, to trzeba w Walmarcie zakupić „power inverter”, by móc naładować (poprzez gniazdko zapalniczkowe) baterie laptopa, telefonu itp.

W RV znajdują się 2 akumulatory, przy czym drugi odpowiedzialny jest za „kabinę mieszkalną”. Ogrzewanie, lodówka i kuchenka zasilane są propanem. Benzyna i propan były nabyte do około 3/4 pojemności i należało zadbać, by oddając kampera również uzupełnić ich poziom do takiej samej wartości. Samochód przed oddaniem należy sprzątnąć – tzn. zamieść podłogę miotłą (która jest na wyposażeniu) oraz opróż-

nić zbiorniki z brudną wodą. Opcją dodatkową jest wypożyczenie naczyń i garnków za 100 USD, co wydaje się całkowicie nielogiczne, bo talerze, kubki i sztućce i tak zawsze są w szufladach, a jeśli nie, to zakup garnka i patelni w Walmarcie to zaledwie koszt rzędu 15–20 USD. Można też wykupić zestaw do spania za 55 USD na osobę, ale nam wystarczą 2 śpiwory z Walmartu po 30 USD sztuka.

Przy odbiorze kampera firma pobiera również depozyt na czas korzystania z auta i wynosi on w przypadku Cruise America 500 USD (np. firma Apollo Rental kasuje aż 1500 USD). Trzeba zapłacić kartą kredytową. Depozyt jest zwrotny, gdy podczas końcowej inspekcji wszystko z autem jest OK. Oddając RV, trzeba też pamiętać, że należy to zrobić w godzinach 9.00–11.00, bo w przypadku spóźnienia firma policzy nas po 25 USD za każdą godzinę. Koszt wynajmu RV bardzo różni się od terminu i lokalizacji. Poza sezonem ceny są nawet czterokrotnie niższe niż w sezonie. Cena bazowa za dzień w listopadzie wynosiła 45 USD (w lecie ceny dochodzą do 200 USD/dzień). Dodatkowo doliczana jest opłata 35 USD za każde 100 mil przejechane. Limit dzienny – opłacany z góry to właśnie te 100 mil. Czyli na 14 dni naszej wycieczki mieliśmy wykupione 1400 mil na łączną kwotę 490 USD. Jako że nie zużyliśmy wszystkich wykupionych mil, firma oddała nam pieniądze przy zwrocie auta. W przypadku tego wyjazdu mieliśmy do dyspozycji certyfikat upominkowy na 500 USD, który wygraliśmy w organizowanym przez Cruise America fotokonkursie, co w znacznym stopniu obniżyło koszt naszej eskapady.

RELACJA Z PODRÓŻY

15 listopada. Nasz samolot do Las Vegas startował o 7.15, a więc czekała nas pobudka o godzinie 3 rano, co wiązało się oczywiście z wielką nerwowką. Zerwanie dzieci o tak wczesnej porze zawsze kończy się miauczeniem i marudzeniem przez kolejne kilka godzin. Jak to zwykle bywa, lotnisko O'Hare nawet o godzinie 5.30 rano we wtorek potrafi być zatłoczone powykęcانymi we wszystkie strony kolejkami podróżnych, co oczywiście wpływa na ogólne złe samopoczucie zarówno pasażerów, jak i pracowników. Jako że podróżujemy z dziećmi, mamy zawsze możliwość skorzystania z przywileju „krótszej” kolejki do odprawy TSA. Tym razem przeszukiwanie bagaży jest bardzo staranne i 2 z naszych toreb są skrupulatnie opróżnione i przejrane.

Szczęście uśmiechnęło się do nas w samolocie, kiedy okazało się, że jedynym wolnym miejscem było to właśnie obok Janka, który ku wielkiej radości mógł zająć fotel przy oknie i rozkoszować się widokami. A było co podziwiać: mniej więcej od południowej części Colorado zaczyna się prawdziwy festiwal krajobrazowo-geologiczny. Wielkie kaniony i góry oglądane z lotu ptaka dają wielce pogładową i praktyczną lekcję geologii. Pomimo 1,5-godzinnego opóźnienia dolecieliśmy do Las Vegas bez większych strat czasowych i kolejką lotniskową, kursującą między terminalami (kolor czerwony), udaliśmy się na terminal 3 po bagaże. Stamtąd bezpłatnym autobusem dojeżdżamy do McCarran Airport Car Rental Center (7231 Giles Street) i korzystamy z wcześniejszej rezerwacji zrobionej w wypożyczalni Advantage. Autobus dowozi podróżnych do głównego lobby gmachu wypożyczalni samochodów firm Thrifty, Advantage, Dollar, Alamo, Avis, Budget, National i Enterprise. Po załatwieniu formalności zjeżdżamy piętro niżej, by odebrać auto (Kia Forte). Z powodów logistycznych,

ale również ekonomicznych (przy 4-osobowej rodzinie) potrzebujemy auto praktycznie tylko by dojechać do wypożyczalni Cruise America (551 Old Gibson Rd, Henderson NV) po odbiór RV (recreational vehicle).

Mamy umówioną dokładną godzinę na odbiór RV-ika i musimy być co do minuty. Jadąc Hwy-215, zjeżdżamy na chwilę do REI (sklep ze sprzętem turystycznym) po zamówiony wcześniej plecak – nosidełko dla Basi (Deuter Kid Comfort) i za moment przybywamy do Cruise America. W parę minut załatwiamy wszelkie formalności i wyjeżdżamy szczęśliwi kempingowozem, gotowi na podbój dzikiego zachodu. Ale zanim to jeszcze nastąpi, musimy zrobić zaopatrzenie żywnościowe (Costco; tu trzeba mieć wykupioną specjalną kartę członkowską klienta) i techniczne (Walmart). Obok Wal-martu znajduje się sklep „99 cents” (czyli popularny dolarowiec = wszystko kosztuje 1 USD), gdzie kupujemy trochę zabawek i kolorowanek dla dzieci (wszystkie sklepy znajdują się w podblizu Cruise America). Już po zmroku opuszczamy miasto, przejeżdżając przez niesamowicie rozświetlony kolorowymi neonami Las Vegas STRIP (główna reprezentacyjna aleja pośród kasyn) i autostradą nr 15 wyjeżdżamy za miasto do zjazdu Ute (nr 80), gdzie parkujemy nasz kempingowóz w zupełnej ciemności pośrodku totalnej pustyni i dosłownie zapadamy w zasłużony sen, będąc jeszcze świadkami niesamowitego spektaklu wypalających się w atmosferze ziemskiej meteorytów, przecinających rozgwieżdżone nocne niebo.

Sen przebiega bez zakłóceń aż do 5 nad ranem, kiedy to budzi nas głośnie walenie do drzwi. Uśmiechnięty pan policjant – typowe rysy Indianina – informuje nas, że znajdujemy się na terenie rezerwatu indiańskiego (Moapa River Indian Reservation) i musimy ten teren niezwłocznie opuścić. Nieformalnie daje nam jednak dobrą radę i wskazuje nam miejsce (po drugiej stronie drucianego ogrodzenia), gdzie możemy zaparkować i kontynuować spanie. Jest naprawdę w porządku – powiedział nam, że widział nasze auto już dawno, ale nie chciał nas budzić, a teraz kończy swoją nocną zmianę i niestety musiał to zrobić. Mundi, z jedną nogą w śpiworze, podciąga nasz domek na kółkach dosłownie kilkadziesiąt metrów i parkujemy w zatoczce przy wjeździe na autostradę.

16 listopada. Dzień zaczynamy od rozgrzewającego śniadania i ruszamy dalej na północny wschód w stronę Utah. Opuszczamy Nevadę i podziwiamy malowniczy kanion rzeki Virgin, leżący na terenie Arizony. Jest tu zjazd (Cedar Pockets exit #18) na malowniczy prymitywny kemping Virgin River Canyon Recreation Area (8 USD/noc), dokąd z powodu ogromnego zmęczenia nie udało nam się wczoraj dotrzeć. Bez zatrzymywania pokonujemy 30-milowy odcinek Arizony i wjeżdżamy do Utah. Ponieważ zapomnieliśmy o kupieniu kilku drobiazgów, musimy zajechać do Walmartu w St. George (2610 Pioneer Rd). Jako że nieopodal znajduje się Costco, to dorzucamy jeszcze do naszej lodówki trochę wałówek i tankujemy na ich stacji. Konkurencyjna cena benzyny w Costco jest niższa o 0,45 USD za galon niż na okolicznych stacjach, więc w przypadku tankowania RV oszczędzamy jakieś 10 USD. Kolejki do dystrybutorów przypominają nam CPN z lat 80. w Polsce.

Jako że jesteśmy w Utah – światowej kolebce Mormonów – oczom naszym ukazuje się cały ten lokalny folklor wielodzietnych rodzin, robiących olbrzymie zakupy.

Charakterystyczne stroje kobiece wyjęte „żywcem” z XIX wieku są tak okropne, że nie da się tego opisać... długie bordowe lub granatowe sukienki z falbankowymi rękawami, z kołnierzykami dopiętymi pod samą szyję, a do tego sportowe białe lub czarne buty i obowiązkowy warkocz dobierany, chyba pleciony z tydzień temu... i te nieufne spojrzenia.

Przez Hurricane docieramy drogą 59 do granicy z Arizoną i „meldujemy się” w Pipe Spring National Monument (wstęp 7 USD/osoba dorosła, czynne 8.30–16.30 w sezonie zimowym). Park oferuje do zwiedzania „zamek” Winsor (wejście tylko z przewodnikiem – wliczone w cenę biletu wstępu), szlak widokowy, zagrody z końmi, rogatym bydłem (Texas Longhorn cattle) i kurami, sad i ogrody oraz Kaibab Band of Paiute Indians Visitor Center Museum. Miejsce to było jednym z pionierskich osad Mormonów, których głównym zajęciem była produkcja sera i mleka oraz sprzedaż tych produktów mieszkańcom Saint George. Na środku tego fortu bije źródło, którego istnienie w ogóle umożliwiło osiedlenie się w tak nieprzystępnym obszarze pustynnym. Przewodnik indiański, który nas oprowadzał po „komnatach” fortu, był, krótko mówiąc, niemrawy i mruczał cicho pod nosem, a więc niewiele wynieśliśmy merytorycznych treści, ale za to jego autentyczność malowniczo zrekompensowała nam naszą percepcję pionierskiego ciężkiego życia pierwszych kolonizatorów dzikiego zachodu. Dzieci nasze przez cały jego wykład tarzały się w kurzu i sypały piaskiem, a więc po wyjściu stamtąd wyglądały makabrycznie.

Czasu do zamknięcia obiektu mieliśmy niewiele, a więc ruszyliśmy na krótki widokowy szlak – Ridge Trail, który prowadzi po zboczu góry do granicy rezerwatu indiańskiego (Kaibab Paiute) i z powrotem w dół do fortu. Akurat tuż obok w zagrodach odbywa się karmienie zwierząt, więc dzieciaki mają ciekawe widowisko. Janek nawet pomaga rangerce karmić kury suszonymi larwami robaków (ble!). Wracając do budynku Visitor Center, przechodzimy jeszcze przez stylizowane miejsce biwakowe z repliką wozu mormońskiego. Kompleks jest już nieczynny i rangersi czekają tylko na nas, żeby nas grzecznie wyprosić i pozamykać bramę i muzeum. Niestety jest już 16.30 i za pół godziny zachodzi słońce, a więc czas na znalezienie jakiegoś fajnego noclegu. Przejeżdżając przez Fredonię, zatrzymujemy się na chwilę przy Kaibab National Forest Ranger Station (430 S Main Street) i tam dowiadujemy się dobrą nowinę, że z powodu sprzyjających warunków pogodowych droga prowadząca do parku narodowego Grand Canyon North Rim będzie otwarta do 1 grudnia, co rozwiewa nasze wątpliwości w 100%. Dane, jakie znaleźliśmy na stronie parku narodowego, wskazywały na coś zupełnie innego. A więc postanawiamy, że wracając tą drogą za kilka dni przedziemy się na pewno do North Rim.

Mijamy Fredonię i tuż za miasteczkiem skręcamy w szutrową drogę w prawo (Cowboy Drive), przejeżdżamy może z pół mili i znajdujemy ciekawe miejsce – obszerną zatoczkę, gdzie postanawiamy przenocować (teren ten należy już do BLM). Rozpalamy ognisko, a Mundeł smaży kiełbasę na metalowym widelcu, bo w okolicy nie ma żadnego przydatnego patyka, który mógłby być użyty do tego celu. Obserwujemy zachodzące na czerwono słońce, a w niedługim czasie wschodzący super wielki księżyc. Piękna, spokojna noc na pustyni.

17 listopada. Wstajemy o świcie i bez śniadania pędzimy na północ do Kanab – a mówiąc dokładniej do Grand Staircase-Escalante National Monument Visitor Center (745 E. Highway 89; czynne poza sezonem 8.00–16.30 od poniedziałku do piątku). W biurze tym codziennie o godzinie 8.30 rano rozpoczyna się cała procedura losowania pozwoleń (permits) do wyjścia na legendarny już szlak „The Wave”. Wylosowanie pozwolenia upoważnia danego szczęśliwca do wędrowania tylko dnia następnego niezależnie od zaistniałych okoliczności (chyba że jest to losowanie w piątek, a biuro poza sezonem jest nieczynne w weekend, to wtedy ranger dokonuje losowania pozwoleń na 3 dni). Dokładnie o 8.30 ranger wprowadza chętnych do pokoju z około 45–50 krzesłami i każdy przedstawiciel grupy wypełnia jedną aplikację (imię i nazwisko wszystkich osób z grupy, adres, telefon, tablice rejestracyjne auta, numer telefonu i imię osoby kontaktowej). Ważne jest, by tylko jedna osoba z grupy wypełniła aplikację, natomiast gdy ktoś chciałby przykombinować i wypełnić dodatkowe podanie, to wtedy cała grupa jest wykluczona z głosowania. Oddając rangerowi wypełnioną aplikację, od razu dostajemy numer zapisany na naszym zgłoszeniu. Czas na wypełnienie informacji mamy do 9.00.

Punktualnie o 9.00 ranger wrzuca drewniane kuleczki z numerkami do maszyny losującej i kolejno losuje szczęśliwców. Szczęście to uśmiecha się tylko do 10 osób dziennie. Zważywszy na fakt, że tego dnia było 37 podań, a osób około 60 szanse na wygranie zawsze większe niż w totolotku. Pierwszy los wyciągnęła 4-osobowa grupa, potem 3-osobowa, następnie 2-osobowa i pomimo że zostało tylko 1 miejsce do rozlosowania, ranger przed wyciągnięciem losu powiedział, że nie chce, aby ktokolwiek wędrował sam i jeśli wylosuje grupę 2 osób, to pozwoli im pójść na szlak. I tak też się stało. Ostatnimi szczęśliwcami zostały 2 starsze kobiety, które zaczęły piszczeć i skakać z radości. Widać było, że to było ich wielkie marzenie. Nam miny posmutniały, ale jako że dnia następnego był piątek, mieliśmy w planie tu wrócić i spróbować jeszcze raz, tym razem z większymi szansami. Pamiętać trzeba o tym, że tak naprawdę to nie jest wytyczony szlak, tylko trek po „wilderness” dla osób, które dają sobie radę z mapą i kompasem (dystans w obie strony 6 mil).

Podobno (przeczytałam gdzieś na blogu hikerskim) około 30% ludzi w ogóle nie znajduje „Fali”, a zdarzają się nawet wypadki śmiertelne. Ludzie wychodzą na wędrowną źle przygotowani, a pamiętać trzeba, że w lecie temperatura na pustyni wynosi ponad 40°C podczas dnia. Idzie się w pełnym słońcu i galon wody na osobę to minimum jakie trzeba ze sobą zabrać, by się nie odwodnić. Poza tym powrót nocą też może się skończyć tragicznie – jak ten sprzed 3 lat, kiedy to 30-letni kalifornijczyk wracał po zmroku i prawdopodobnie z powodu braku latarki wpadł do kanionu i zginął na miejscu. Jeżeli ktoś rozważa opcję udania się do „The Wave” bez wymaganego permitu, to naraża się na mandat w wysokości „jedynie” 1500 USD za osobę. Jeszcze wspomnę o loterii internetowej – bo takowa ma również miejsce. Przyznawany limit pozwoleń to również 10 sztuk na dzień. Na internetowej stronie BLM należy z wyprzedzeniem 3-miesięcznym zaznaczyć 3 interesujące nas daty. Jeśli wygramy, to zostaniemy oczywiście powiadomieni przez rangera. My spóźniliśmy się kilka dni i ta możliwość nam przepadła. Jeśli wylosujemy pozwolenie – niezależnie, czy osobiście, czy online to pła-

cimy 7 USD opłaty za każdą dorosłą osobę. Jeśli udałooby się nam takie pozwolenie zdobyć, to musimy odczekać kolejne 2 tygodnie, chcąc starać się o następne.

I jeszcze jedna reguła – jakby danego dnia na losowaniu pokazało się 10 lub mniej osób, to automatycznie każdy otrzymuje permit i loteria nie odbywa się. Jeśli danego dnia wydane jest mniej niż 10 permitów, to następnego dnia można zdobyć pozwolenie na ten właśnie dzień. Bardzo ważną informacją jest też sam dojazd do wyjścia na szlak. Jeśli danego dnia (lub nawet poprzedniego) padał deszcz, droga House Rock Valley Road jest nieprzejezdna. I na koniec dodam jeszcze to, że każdy podróżujący z psem musi też posiadać, czyli wygrać permit dla zwierzaka.

Po pechowym dla nas losowaniu postanawiamy pojechać właśnie w miejsce, gdzie rozpoczyna się wyjście na „The Wave”, będącym również początkiem szlaku Buckskin Gulch (jednego z najdłuższych i najgłębszych „slot” kanionów na świecie), który prowadzi przez Wire Pass (elewacja 1536 m n.p.m.). Ranger informuje nas, że południowa część szlaku Buckskin jest bardzo „zabłocona” i ciężka do przejścia – postanawiamy więc zaatakować kawałek części północnej. Jedziemy 37,5 mili na wschód i skręcamy w prawo (na południe) w szutrową drogę House Rock Valley. Droga jest stosunkowo łatwo przejezdna (jeśli jest sucho oczywiście) i prujemy nią 20–30 mil na godzinę. Temperatura ma osiągnąć maksymalnie tylko 7°C, ale na szczęście jest bardzo słonecznie i w miarę bezwietrznie. Po przejechaniu 8,5 mili dojeżdżamy do całkiem sporego parkingu (jest WC, wody brak), rejestrujemy się, wpisując nasze dane do książki umiejscowionej w metalowej „skrytce”, wypisujemy nasze dane na kopercie, której górną część odrywamy i wkładamy za szybę w samochodzie, do dolnej części wkładamy 12 USD – czyli opłatę za wejście na szlak (6 USD/osoba dorosła), a następnie wrzucamy ją do specjalnej wrzutni.

Wkładamy ciepłe czapki i rękawiczki, „zarzucamy” Basię na plecy Mundka i ruszamy płaskim korytem wyschniętej rzeki w kierunku północno-wschodnim. Czasami skracamy sobie drogę, przedzierając się słabo wydeptanymi ścieżkami przez zarośla sagebrush i jałowca. Zawsze zbieram sobie trochę gałązek sagebrusha i rozcieram w dłoniach jego listki i kwiatostan, uwalniając w ten sposób najpiękniejszy zapach pustyni amerykańskiej. Wire Pass jest stosunkowo łatwym szlakiem, którego długość do skrzyżowania z Buckskin Gulch wynosi 1,7 mili (w jedną stronę). Po przejściu około 3/4 mili na prawo odchodzi szlak, prowadzący do The Wave. Po około 1 mili szerokie koryto „dry wash” zamienia się w „slot canyon”, czyli wąski kanion, którego miejscami szerokość dochodzi do pół metra. Zawsze wchodząc do takiego kanionu trzeba być poinformowanym o pogodzie, a w zasadzie o opadach deszczu, nawet w odległości 50 mil w każdym z kierunków, gdyż te powodują tzw. „flash floods”, wdzierające się z potężną siłą do „slot” kanionów i uniemożliwiające ucieczkę.

Po kilku minutach marszu po kanionie napotykamy na przeszkodę – około 3-metrowy spadek, o którym wiedziliśmy już wcześniej (od rangera w Kanab), więc nie było to dla nas zaskoczeniem. Pierwszy opuszcza się w dół Mundek i potem cała nasza reszta po kolei przy jego pomocy schodzi na dolny poziom kanionu. Podobno jest jakieś przejście górą, ale na szczęście nie jest to w naszym przypadku konieczne. Wędrujemy wąskim, głębokim kanionem aż do rozwidlenia, kiedy to Wire Pass dochodzi

do szlaku Buckskin Gulch. Zgodnie z radą rangersa udajemy się do jego północnej części, skręcając w lewo. Ale zanim to następuje, rozkoszujemy się fotografowaniem tego uroczyska – pionowa wysoka (piaskowcowa) skała połyskuje intensywnym pomarańczowym kolorem i tworzy olbrzymie wgłębienie jakby załazek łuku skalnego. Dolina rozszerza się, by za chwilę znów zmniejszyć się do szerokości około 2 metrów. Idąc Buckskin Gulch na północ, musimy też pokonywać liczne kałuże i błotniste kawałki.

Po około pół godziny marszu zawracamy z powrotem do Wire Pass, bo nasz 5-letni Janek już zaczyna powoli narzekać na brak energii, a paliwo w postaci słodczy uległo wyczerpaniu. Basia uwalnia się z plecaka, w którym do tej pory jest niesiona i zaczyna własną penetrację terenu, wdrapując się na każdą, dającą możliwość wejścia, skałę. Wracamy więc znacznie dłużej niż to było zamierzone. Bez problemu pokonujemy 3-metrową przeszkodę w kanionie Wire Pass, na którą wspinamy się, pomagając sobie nawzajem. Wychodzimy z kanionu i dalej już suchym korytem rzeki dochodzimy do parkingu. Trzeba uważać, bo łatwo można przegapić powrotną drogę od koryta rzeki do parkingu.

Dzień ma się już ku końcowi, więc szybko jedziemy na oddalony o dosłownie 1 milę na południe bezpłatny kemping – Stateline, prowadzony przez BLM. Kemping położony jest dokładnie na granicy Utah i Arizony, stąd jego nazwa. Jest tu po prostu pięknie. Nikogo poza nami nie ma, chociaż później dojedzie jeszcze kilka aut. Jest tylko 8 miejsc bardzo ładnie zagospodarowanych, z kręгами na ognisko, wiatą i betonowym stołem z ławkami. Jest też oczywiście WC (wody i kontenerów na śmieci brak). Korzystając z ostatnich promieni słońca, wędrujemy dookoła kempingu, zbierając chrust na ognisko i podziwiając panoramę okolicy. Dziś w nocy ma być minus 5°C, co staje się powoli odczuwalne. Mimo że Mundek z wielkim zapalem rozpala ognisko, chętnych do pozostania na zewnątrz brak. Zajadamy się pyszną gorącą jejecznicą w naszym RV-iku i włączamy ogrzewanie na maxa. Przed nami naprawdę zimna noc.

18 listopada. Budzimy się jeszcze przed świtem, szybko zbieramy i wyjeżdżamy z powrotem drogą House Rock Valley na północ, kierując się do Visitor Center w Kanab. Z wielką nadzieją meldujemy się o 8.30 rano na losowaniu „permitów” do The Wave. Nasza aplikacja została zachowana z dnia poprzedniego, więc nie musimy jej od nowa wypełniać. Niestety, liczba aplikacji dzisiejszego dnia wynosiła 52, ludzi nawaliło co niemiara. Najbardziej przykro zrobiło się nam, kiedy to loterię wygrała para składająca się z jakiegoś młodzika w wyćwiekowanej kurtce i spodniach opuszczonych do kolan oraz dziewczyny z cekinową torebką i butach na koturnie, i mogę założyć się, że ludzie ci nie doszli do celu, bo wyglądali, jakby nie potrafili odróżnić północy od południa.

Dla każdego geografa, hikera czy podróżnika zdobycie i przejście tego szlaku jest prawdziwym marzeniem i wyzwaniem. Cóż nie udało nam się, może następnym razem. Na pewno wiemy, że zobaczyć „falę” musimy. Na otarcie łez zabieramy dzieciaki do muzeum „Little Hollywood” (297 W Center St; wjazd bezpłatny, otwarte od 9.00 codziennie) i płaczemy się pomiędzy eksponatami pochodzącymi z wielkich produkcji filmowych – przeważnie westernów. Najbardziej znanym filmem, którego gadżety możemy podziwiać, jest „Desperate Hours” (Anthony Hopkins i Mickey Rourke)

z 1990 roku. Miejsce dosyć ciekawe i warte obejrzenia – dużo makiet drewnianych konstrukcji i całych domów (wszystko w muzeum pochodzi z jakiegoś planu filmowego i jest umieszczone na zewnątrz zaraz za wielkim sklepem z upominkami), wszędzie porzucane atrapy strzelb, którymi wymachują nasze dzieciaczki; w małej salce można przysiąść na tzw. „krzeselku reżysera” i obejrzeć film o historii tego muzeum.

Po wyjściu z muzeum tankujemy do pełna benzynę i propan, i ruszamy w dziękoch. Jedziemy na wschód 89-tką i po przejechaniu 33 mil skręcamy w lewo na północ w szutrową drogę Paria Road (585) – chyba najbardziej spektakularną drogę w tej okolicy (widoki dosłownie wywalają w kosmos!!!). Droga jest całkowicie przejezdna dla wszystkich rodzajów aut (oczywiście w okresie bezdeszczowym). Jeden z mało kompetentnych rangerów w Kanab błędnie nas poinformował, że osiągalna jest tylko dla samochodów terenowych z napędem na 4 koła.

Po około 5 milach jazdy, urozmaiconych cudownymi widokami różowopomarańczowych Vermillion Cliffs, docieramy do niewielkiego parkingu (chyba z najpiękniej położonym WC na świecie), gdzie kiedyś znajdowało się „Paria Movie Set”, czyli miejsce, gdzie kręcono filmy (np. *The Outlaw Josie Wales* z Clintem Eastwoodem). Wszystkie zabudowania niestety w zagadkowy sposób spłonęły w 2006 roku. Czytamy tablice informacyjne i podjeżdżamy jeszcze (już gorszej jakości drogą) kawałek do załtkowego cmentarza, za którym parkujemy (kilkadziesiąt metrów dalej), bo ostatni kawałek drogi, ze względu na piaszczyste podłoże na terasie zalewowej, trzeba pokonać już pieszo. Dochodzimy do rzeki Paria (3 minuty marszu) i spacerujemy po gliniastym jej brzegu, co oczywiście powoduje, że buty nasze oblepia ciężko usuwalna lepka i śliska maź. Mundi jako jedyny twardziel decyduje się na zanurzenie nóg w wodzie, ale szybko je wyjmuje, bo woda jest przeraźliwie lodowata i śliska z powodu osadów ilastych i gliniastych. Po drugiej stronie rzeki znajdowało się kiedyś miasteczko Pahreah (założone w 1870 roku przez pionierów), zniszczone przez nawracające powodzie w przeciągu kolejnych kilkadziesiąt lat.

Do głównej drogi nr 89 wracamy późnym popołudniem, podziwiając doskonale oświetlone klify, które teraz lśnią intensywnością kolorów różu, czerwieni, pomarańczy. Półtorej godziny przed zachodem słońca docieramy na parking (położony po stronie północnej drogi), skąd wychodzimy na szlak – Toadstools Trail (dokładnie 11,4 mili od zjazdu z Paria Road na drodze 89 w kierunku wschodnim). Szlak jest stosunkowo łatwy (długość 1,6 mili w obie strony) i prowadzi początkowo suchym korytem rzeki, potem jest troszkę delikatnej „wspinaczki” i dochodzimy do oświetlonych zachodzącym słońcem pięknych piaszczowców grzybów skalnych (hoodoos) – Red Toadstools. Lepszego czasu na zobaczenie tego uroczyska nie można sobie wymarzyć. Intensywna czerwień i pomarańczę bijąca z tego miejsca jest nie do opisanias. Jako że mamy jeszcze chwilę do zmroku, udajemy się na przełaj (w kierunku zachodnim) do punktu zwanego White Toadstools – ale tu już tylko dane nam jest podziwiać oświetlone jedynie białe wierzchołki grzybków, reszta pozostaje w cieniu zachodzącego słońca. Robi się już potwornie zimno i próbując skrócić sobie drogę, zapętlamy się w labiryncie głębokich suchych dolinek okresowej rzeki – takich zerodowanych suchych wodospadzików, co znacznie utrudnia nam powrotne wędrowanie.

Postanawiamy więc zawrócić i tą samą drogą, mijając czerwone grzybki, wrócić do auta. Szlak jest bardzo spektakularny i łatwo dostępny z głównej drogi, więc jadąc 89 po prostu nie należy go pominąć – najlepiej późnym popołudniem ze względu na fotogeniczne walory oświetleniowe. Już o zmroku cofamy się 1,5 mili na zachód i wjeżdżamy w szutrową Whitehouse Trailhead Road. Mijamy (zamknięty poza sezonem) Paria Contact Ranger Station i już po ciemku docieramy (po przejechaniu 2,1 mili) do Whitehouse campground (5 USD, wody brak), który niestety okazuje się kempingiem typu „walk-in”, czyli przeznaczonym tylko do rozstawienia namiotów. Parkujemy więc na obszernym parkingu i z podziwem obserwujemy twardzieli, rozstawiających namioty. Temperatura już spadła poniżej 0°C!!! Jest to grupa kilkunastu osób, która zapewne udaje się w dniu jutrzejszym na „backpackerski” szlak biegnący kanionem rzeki Paria, a mający swój koniec w Lee’s Ferry w Arizonie (długość szlaku 38 mil (61 km) – czas przejścia od 3 do 5 dni, wymagany permit na nocleg w kanionie – limit 20 osób dziennie, 5 USD od osoby. Żeby uzyskać pozwolenie na nocleg w Paria Canyon, trzeba dzwonić z 3-miesięcznym wyprzedzeniem do Arizona Strip District Office, korzystając ze specjalnego kalendarza dostępnego online. Część z nich wyrusza zapewne tylko na 9-milowy Whitehouse Trail, który też jest spektakularny (permit też wymagany 6 USD/os.). Postanawiamy, że za kilka lat, jak nasze dzieciaki podrosną, musimy tu koniecznie wrócić i przejść się szlakiem Whitehouse.

19 listopada. Poranek wita nas słońcem, chociaż jest jeszcze przeraźliwie zimno. Znowu z podziwem patrzę na rozstawione namioty. Po szybkim śniadaniu wracamy do 89-ki i skręcamy na wschód, mijając miejsce, skąd wczoraj wychodziliśmy na szlak Toadstools. Jedziemy 13 mil do Big Water Visitor Center, należące do BLM, ale jak informuje nas kartka na drzwiach – miejsce to jest zamknięte z powodu niedoboru kadry pracowniczej. Budynek i wystawy na zewnątrz są profesjonalnie przygotowane i zaprojektowane. Działające łazienki i ujście wody na zewnątrz budynku umożliwia nam dobranie zapasu do naszego RV-ikowego zbiornika. W czasie, kiedy podróżujemy – jak się później okaże – większość zewnętrznych kranów i ujęć jest już „winteryzowana”, czyli przygotowana na zimę i nieczynna. Po przeciwnej stronie 89-ki zaczyna się „księżycowa” droga Smoky Mountain (NPS230), którą się udajemy. Z głównej drogi skręca się w Eathan Allen i po przejechaniu 0,3 mili w prawo w szutrową NP230 (droga przejezdna dla wszystkich aut w porze bezdeszczowej), po pokonaniu 5 mil zatrzymujemy się w miejscu, skąd wychodzi Wiregrass Trail (zatoczka po prawej stronie drogi plus kierunkowskaz ze strzałką wskazującą, gdzie zaczyna się szlak). Schodzimy do wyschniętej doliny okresowej rzeki, następnie na rozwidleniu odbijamy w lewo (na wschód). Dolina staje się coraz bardziej głęboka. Dochodzimy do punktu, gdzie dolina znacznie zwęża się i zaczynają się wyschłe wodospady, czyli znaczne „uskoki” w podłożu. Po pokonaniu kilku z tych „schodów” dochodzimy do miejsca, gdzie przejście jest już niemożliwe – duża kaskada, a pod nią nieznanej głębokości błotne oczko, którego nie da się ominąć. Mundi wdrapuje się na kulminację powyżej jednej ze ścian miniawozu i próbuje znaleźć alternatywne przejście. Opis szlaku znaleziony gdzieś na forum internetowym też dokładnie opisuje to miejsce, że należy je „ominąć” górą i dalej z powrotem zejść do wąwozu. I może nawet poszlibyśmy dalej, próbując kom-

binować, ale dzieciaki tak strasznie zaczęły jęczeć i marudzić, że wracamy z powrotem do auta. Rezygnujemy, bo nie uśmiecha nam się słuchać jęczenia, choć szlak na pewno w dalszej części jest bardziej spektakularny, gdyż koryto okresowego cieku wcina się głębiej w podłoże skalne.

Wracamy tą samą drogą do 89-ki i skręcamy na wschód w kierunku granicy z Arizoną. Tuż przed granicą jest zjazd na Lone Rock Campground położony w Glen Canyon Recreation Area. Przed samym wjazdem, gdzie stoi zamknięta o tej porze roku budka strażnicza, umiejscowiony jest automat pobierający opłatę za wjazd (na karty kredytowe). Cena za sam kemping jest w porządku – 14 USD, ale żeby na nim zostać, trzeba zapłacić dodatkowo 25 USD za przebywanie na terenie Glen Canyon RA. Trochę to sporo, zważywszy, że na kempingu nie ma nawet łazienek i stolików piknikowych. Postanawiamy zrobić mały rekonesans. Miejscówka okazuje się bardzo klimatyczna – można zaparkować RV lub rozbić namiot tuż nad brzegiem rezerwuaru w zasadzie w dowolnym miejscu. Można też w dowolnym miejscu rozpałcić ognisko. Klimacik fajny, ale i tak musimy jechać dalej, bo jest za wcześnie, by rozstawić obóz.

Zawracamy więc do 89-ki i skręcamy w lewo, zajeżdżając też jeszcze na chwilkę na punkt widokowy tuż za granicą stanową, skąd rozpościera się niesamowita panorama na całą dolinę jeziora Powell. Przejeżdżamy przez gigantyczną zaporę wodną na rzece Colorado i na skrzyżowaniu z drogą 98 skręcamy na wschód w kierunku KEN'S Tours (Lake Powell Navajo Tribal Park, przy drodze 222), która organizuje wycieczki do Lower Antelope Canyon. Są dwie firmy organizujące wycieczki do dolnej części kanionu Antylopy – obydwie znajdują się obok siebie. Wybraliśmy Ken's (zamiast Dixie Ellis Tour), bo zezwalają małym dzieciom na zwiedzanie i do tego mają lepsze recenzje. Kilka lat temu odwiedziliśmy Upper Canyon i dlatego tym razem decydujemy się tylko na część dolną. Kupuję bilet dla Mundka i Jasia (dzieci wchodzą za darmo; 20 USD plus 8 USD opłata za wjazd do rezerwatu indiańskiego) oraz robię rezerwację dla siebie na „photography tour” (42 USD plus 8 USD) na dzień jutrzejszy na 9.30 (poza sezonem organizowane są tylko 2 fotograficzne wycieczki dziennie 9.30 i 12.30). Zjadamy szybki obiad i chłopaki idą na godzinną wycieczkę, a ja zostaję z Basią w samochodzie, bo jest zdecydowanie za mała, żeby ją zabierać ze sobą.

Chłopaki pełni wrażeń wracają po ponad godzinie i, łapiąc ostatnie chwile światła słonecznego, podjeżdżamy (7 mil) do Horseshoe Bend (wjazd bezpłatny). Parkujemy na przepełnionym parkingu i idziemy (razem z wielkim tłumem) ścieżką (długość w obie strony 1,5 mili) do miejsca pięknego i przerażającego zarazem. Horseshoe Bend – czyli spektakularny „meander”, jaki utworzyła rzeka Colorado w głębokim kanionie, oglądany jest z 300-metrowej półki skalnej, nie mającej żadnych zabezpieczeń. Z przerażeniem patrzę na grupę nastolatków, których nogi zwisają nad przepaścią, albo wariatów wychylających się, aby strzelić sobie zabójcze „selfie”. Ja nie jestem nawet w stanie ustawić statywu, bo nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Lęk wysokości niestety uniemożliwia mi rozkoszowanie się w pełni urokiem tego miejsca. Dzieci trzymamy z daleka od przepaści. Na szczęście zajęte są grzebaniem łopatkami w piasku. Już o zmroku wracamy do RV i nie mając pomysłu na nocleg, jedziemy na parking pod Walmart Supercenter w Page (1017 W Haul Rd). Stoi już tu kil-

ka kempingowozów z zaciągniętymi firankami w oknach, co sugeruje, że ich właściciele na pewno już smacznie drzemią. Znajdujemy odosobnione miejsce i też idziemy spać.

20 listopada. Wstajemy przed świtem, jemy śniadanie i jedziemy na punkt widokowy nad rzekę Colorado i tamę Glen Canyon Dam. Pogoda nie napawa optymizmem, niebo całkowicie zachmurzone, ale prognoza pogody nie przewiduje na szczęście opadów deszczu, co znacznie pokrzyżowałoby mi plany obfotografowania kanionu Antylopy, do którego wycieczki mają prawo być odwołane w każdej chwili z powodu zagrożenia „flash flood”. Jakoś zbyt długo schodzi nam na punkcie widokowym, a ponieważ na mojej rezerwacji wycieczki jest napisane wyraźnie, że muszę stawić się pół godziny wcześniej, czyli na 9.00, to „speedujemy” na maxa do biura indiańskiego. Jesteśmy już po czasie, a przed nami ogromna kolejka samochodów, czekająca na wjazd na parking. Okazuje się, że dzisiaj rano w budce wjazdowej siedzi „poborca” biletów wstępu do Tribal Park. Nie czekając, biegnę na przełaj przez zarośla sagebrush’owe do kasy sprzedającej bilety na wycieczkę (bo mam tylko rezerwację), ale zanim dobiegam do okienka, zostaję zatrzymana przez supervisora obiektu, który informuje mnie, że i tak nie mogę wykupić biletu na wycieczkę, dopóki nie okażę dokumentu, że zapłaciłam za wjazd do parku. Co za paranoja. Wczoraj wszystko załatwiało się w jednym okienku, dzisiaj zasady się zmieniły.

Supervisor obiecuje mi, że zawiadomi przewodnika, by poczekał, gdyż jestem w trakcie załatwiania formalności i za chwilę dołączę do grupy. Mundi natomiast ćwicząc cierpliwość dowleka się na parking dopiero po 15 minutach. Indianka przy bramie wjazdowej chciała go policzyć 24 USD za wjazd do parku (Navaho entrance fee). Stwierdziła, że każda osoba w aucie musi zapłacić. Po długich negocjacjach, że tylko ja wybieram się na wycieczkę, w końcu opłata stanęła na kwocie 8 USD. W ostatniej chwili płacę za wycieczkę, pokazując otyłej indiance w okienku bilet za wjazd na parking. O 9.28 wchodzę do poczekalni, skąd wychodzi wycieczka. Na moje wielkie szczęście w porannej wycieczce fotograficznej biorą udział tylko 2 osoby (reszta nie zjawiła się zapewne z powodu niesprzyjającej pogody), a więc każdy z nas ma swoje go własnego przewodnika do dyspozycji.

Wycieczka fotograficzna ma tą zaletę, że po pierwsze można na nią zabrać statyw, a po drugie, wszyscy inni turyści muszą ustępować miejsca fotografującym. Wygląda to trochę komicznie, bo gdy zbliża się do nas jakaś grupa ludzi – mój przewodnik krzyczy „photography tour” i wszyscy muszą szybko przemknąć i nie przeszkadzać mi w robieniu zdjęcia. Poza tym uczestnicy phototour idą w przeciwnym kierunku do zwykłych wycieczek. Kanion jest bardzo wąski i z kilkoma metalowymi drabinami, umożliwiającymi przechodzenie pomiędzy jego poziomami. Jest to najbardziej komercyjny slot kanion w USA, ale na pewno wart zobaczenia. Wyszlifowane przez wodę piaskowcowe ściany tworzą mieniące się fale i niesamowite wzory np.: twarz indianina czy delfina. Przewodnik dokładnie pokazuje mi ciekawe kadry i czasami nawet używa swojego iphona, pokazując, jak świetnie może być zdjęcie zrobione nawet zwykłym smartphonem. Moja wycieczka ma trwać 2 godziny, ale zapewne z powodu nielicznej grupy uczestników kończymy 30 minut wcześniej.

Dzieciaczki w czasie mojej nieobecności spędzają czas na zewnątrz pod okiem taty, babrając się w pustynnej „piaskownicy” nieopodal parkingu. Tuż przed południem wyjeżdżamy w końcu z parku i po zatankowaniu na pobliskiej stacji Big Lake Trading Post (2,46 USD/galon) kierujemy się do kolejnej atrakcji Navaho Bridge. Jedziemy na południe 89-tką aż do skrzyżowania w Bitter Springs, gdzie skręcamy na północ (w drogę 89ALT).

Dojeżdżamy do Marble Canyon, gdzie wysokie, strome brzegi kanionu rzeki Colorado łączą dwa spektakularnie położone mosty – jeden stary (z 1926 roku) – przeznaczony teraz dla ruchu pieszego i nowy (wybudowany w roku 1975 za kwotę 15 USD mln), po którym odbywa się ruch kołowy. Po przejechaniu mostu parkujemy przed Visitor Center (prowadzonym przez NPS) i idziemy na mrozący krew w żyłach spacer po starym moście, który wznosi się na wysokości 142 metry nad rzeką. Pomimo mojego lęku wysokości udaje mi się pokonać całą długość mostu (ponad 250 metrów) tam i z powrotem. Podobno można tu dojrzeć najpotężniejsze ptaki Ameryki Płn. – kondory kalifornijskie, które lubią przesiadywać na klifach i latać pod mostami w kanionie rzeki Colorado. Spotkać tu można też sępnika różowogłowego, które czasami są z nimi mylone.

Wyjeżdżając z parkingu, skręcamy od razu w prawo w kierunku Lee’s Ferry, które należy do Glen Canyon Recreation Area (opłata za wjazd jest 25 USD). Jest to jedyne miejsce na przestrzeni 600 mil, dające bezpośredni łatwy dostęp do rzeki Colorado. Pięciomilową drogą dojeżdżamy do piaszczystej plaży (super miejscówka na piknik). Dzieciaki chwilę bawią się w piasku, Mundek moczy stopy w wodzie, ale że dzień ma się już ku końcowi, podjeżdżamy więc do końca drogi, skąd wychodzi szlak River Trail (długość 1,5 mili w obie strony). W 2006 roku były tu kręcone sceny do kultowego filmu *Into the wild* Seana Penna.

Szlak wychodzi z parkingu i po kilku metrach marszu dochodzimy do „zabytkowych” zabudowań, są tu też porzucane części maszynierii i przede wszystkim łodzi parowej zatopionej przy brzegu („Charles H. Spencer paddlewheel steamboat”), która odbyła zaledwie jeden rejs rzeką Colorado i z powodu niewystarczającej mocy porzucona. Przy niskim stanie wody można zobaczyć jej zatopione szczątki. Miała służyć do przewozu węgla wydobywanego nieopodal. Jednak silne prądy rzeki uniemożliwiły jego przewóz i inwestycja nie wypaliła. Po przyjemnym spacerze wzdłuż rzeki zajeżdżamy jeszcze do „dump station”, żeby nabrać wodę do naszego RV-ika, ale pomimo wcześniejszego (emailowego) zapewnienia rangersa, że woda będzie w tym terminie dostępna na kempingu, okazuje się, że wszystko już zostało zakręcone na zimę. Cóż, trzeba będzie trochę z kąpielą poczekać....

Wyjeżdżamy z Lee’s Ferry, kierując się na zachód i po przejechaniu około 5 mil od skrzyżowania, już w zupełnej ciemności znajdujemy dużą zatoczkę przy drodze i tam parkujemy. Ponieważ są to ziemie należące do BLM (ziemie publiczne) bez obawy rozpalamy ognisko i pieczemy kiełbaski. Noc jest w miarę ciepła, ale to zapewne zasługa tego, że jesteśmy na wysokości poniżej 4000 stóp (1200 m) i dodatkowo dużego zachmurzenia, które niestety przyniesie nieprzyjemną zmianę pogody w dniu następnym.

21 listopada. Dzień zaczyna się niestety deszczowo. Chmury płyną bardzo nisko nad pustynią, tworząc niesamowity klimat grozy, „zderzając się” z wysokimi klimami nieopodal naszego obozowiska. Wyruszamy (89ALT), jadąc dalej na zachód i po chwili zatrzymujemy się na szutrowym parkingu przed skąpanymi w deszczu ruinami Cliff Dwellers. Są to pozostałości zajazdu i jego zabudowań z lat 30. ubiegłego wieku (Blanche Russells Rock Houses) i otaczające je spektakularne skalne grzybki (mushroom rocks). Deszcz rozpadał się już na dobre, więc zwiedzamy je bardzo chaotycznie, wpadając tylko do największego pomieszczenia i obiegając je dookoła w zatrważająco szybkim tempie. Szkoda, bo miejscówka zasługuje na dużo dłuższą wizytę. Budynki wtopione są w grzyby skalne, a brakujące części nadbudowane wyciosanymi nierównej wielkości kamiennymi „cegłami”, wszystkie otwory natomiast to resztki pomalowanych na turkusowo drewnianych okiennic i framug. Nie wiem, czy mi się tylko wydawało, ale wbiegając do tego budynku, usłyszałam (zapewne z ukrytego magnetofonu), powodujące ciarki na całym ciele, dźwięki przypominające wycie kojota.

W okropnej ulewie jedziemy dalej i na naszej drodze pojawia się kolejny punkt – Dominguez – Escalante Interpretive Site (zjazd na prawo). Nic tu tak naprawdę nie ma – widać resztki zdemolowanych tablic informacyjnych i betonowy pomnik z 1976 roku. Podejrzewamy, że tablice zostały zniszczone przez Indian, którym „nie na rękę” mogły być zamieszczone na nich informacje. Jedziemy dalej; do nieustannie padającego deszczu dochodzi jeszcze gęsta mgła, więc ograniczona widoczność zmusza nas do rezygnacji z planu odwiedzenia Condor Realase Viewing Site (zjazd z 89A na House Rock Valley Road nr 1065 w kierunku północnym). Jest to miejsce, gdzie można obserwować szybujące kondory, niestety nie przy takiej pogodzie. Zaczynamy się wspinać po serpentynach w kierunku Jacob Lake.

Deszcz zamienia się w lepiący śnieg, co raczej nie napawa nas optymizmem, zważywszy na fakt, że mamy w planie eksplorowanie oddalonego o ponad 44 mile (70 km) od Jacob Lake Parku Narodowego Grand Canyon (North Rim). Zatrzymujemy się na chwilę w miasteczku (wysokość 2400 m n.p.m.) i upewniamy się, pytając w lokalnym hoteliku (Jacob lake Inn, obok stacji benzynowej), że park jest otwarty. Na parkingu poza nami stoją jeszcze 2 auta – opancerzone jednostki antyterrorystyczne SWAT. Ciekawi nas, co tu robią, ale brakuje nam odwagi, żeby zapytać. Może mają tu jakieś zgrupowania szkoleniowe, a może jacyś niebezpieczni przestępcy ukrywają się w okolicznych lasach. Śnieg pada coraz bardziej i robi się z niego plucha, zważywszy na temperaturę powietrza, oscylującą blisko zera stopni C. Wszystkie turystyczne miejsca są już pozamykane (Visitor Center, kempingi, sklepiki) i nie mamy jak dobrać wody do naszego RV-ika. Znowu plan kąpeli odchodzi w daleką przyszłość, chociaż zawsze można się wykąpać w śniegu!

Zaczynamy powoli sunąć na południe (droga 67). Droga jest nieodśnieżona i w miarę jak jedziemy dalej, wznosząc się nad poziom morza, śniegu znacznie przybywa. Jest już zupełnie biało. Pługów nie widać. Innych aut też. Chyba jesteśmy dzisiaj pionierami na tej drodze. Docieramy z wielkim wysiłkiem, jadąc może 10 mil/godz. do wjazdu do parku narodowego, ale zaspy śnieżne są strasznie wysokie i zaczynamy się

konkretnie ślizgać. Postanawiamy, że nie będziemy dalej ryzykować i zawracamy. Po przejechaniu z powrotem prawie 2/3 drogi, zatrzymujemy się w bocznej leśnej drodze na krótki piknik – po pierwsze, żeby napić się gorącej herbaty, a po drugie pozwolić dzieciom poszaleć na śniegu. Las wygląda po prostu bajkowo. Wysokie ośnieżone sosny na tle gór – wszystko idealnie białe. Daleko wypatrujemy lisa lub kojota biegnącego po śniegu. Dzieciaki biegają jak oszalałe, tarzając się w śniegu, rzucają śnieżkami, a ich radości nie ma końca. Niestety nie mamy dla nich odpowiedniego ubrania na tego typu harce i w dość szybkim czasie, całych przemoczonych, musimy ewakuować z powrotem do auta. Z wielkim płaczem i niechęcią dzieciaki wracają i od razu zasypiają zmęczeni tak wielkim wysiłkiem i przede wszystkim niską temperaturą. W czasie naszego „piknikowania” zauważamy pług, jadący w stronę parku, a za nim kilka samochodów. Postanawiamy, że damy jeszcze raz szansę. I jakie jest nasze zdziwienie, gdy dojeżdżamy do granicy parku, a odśnieżona droga się kończy. Okazuje się, że teren należący do Kaibab National Forest został starannie odśnieżony przez pług, który widzieliśmy niedawno, a teren parku narodowego ciągle pozostaje zasypany.

Powoli więc, po śladach innych aut jedziemy bardzo ostrożnie i za jakiś czas oczom naszym ukazuje się jadący z przeciwnej strony pług, należący do Grand Canyon National Park. Jesteśmy uratowani. Teren wzniósł się jeszcze wyżej, drzew jest teraz więcej i rosną przy samej drodze, tworząc naturalny tunel. Droga jest przepiękna. Dojechawszy na miejsce, grzęźniemy w roztapiającej się ciapie, docierając na punkt widokowy, z którego nic nie widać. Mgła jest tak gęsta, że patrząc na oddalone kilkanaście metrów dalej zabudowania schroniska górskiego (Grand Canyon Lodge), ledwo je widać, a tylko zdjęcia kanionu, które widzieliśmy wcześniej w internecie, przypominają nam, jak tu jest pięknie. Wszystko jest już tu pozamykane, łącznie z łazienkami, a do dyspozycji mamy tylko 3 podśmierdujące toi toie. Cóż, może kiedyś uda się nam tu wrócić podczas bardziej sprzyjających warunków atmosferycznych. W drodze powrotnej śnieg cały czas padał i w zasadzie ślady porannego odśnieżania zostały całkowicie zatarte.

Dojeżdżamy do Jacobs Lake, skręcamy w lewo (89Alt) i zjeżdżamy w dół. Próbuje- my znaleźć nocleg jeszcze w obrębie National Forest, ale jest tak zimno, że ostatecznie zjeżdżamy z gór w niższe elewacje i znajdujemy super miejscówkę (8 mil przed miasteczkiem Fredonia) już na pustynnych ziemiach BLM. Mundeck rozpala ognisko, ale pomimo znacznej zmiany elewacji niska temperatura i wiatr w otwartej przestrzeni nie zachęcają do wyjścia na zewnątrz.

22 listopada. Wstajemy o 6.00 rano i bez śniadania jedziemy znowu do Kanab w nadziei, że los się do nas uśmiechnie i wygramy wejściówkę do „Wave”. Na parkingu przed Visitor Center poza nami jest kolejna sześćdziesiątka chętnych. Po szybkim śniadaniu idziemy do biura i tam spotykamy Polaka z Kalifornii, który ma podobne marzenie jak i my. Po wypełnieniu aplikacji zaczyna się stresująca chwila – losowanie... i niestety znowu NIC!!!! Można powiedzieć, że jesteśmy już doświadczonymi loteryjnymi pechowcami. Braliśmy udział w 5 loteriach i nie mieliśmy ani razu szczęścia. W sumie to najmniej zależało nam tym razem. Janek po wczorajszych śniegowych zabawach się rozchorował i ciężko by mu było przejść te 6 mil. Poza tym po wczoraj-

szych deszczach droga prowadząca do szlaku była nieprzejezdna, a jedyną możliwością, z resztą ryzykowną, był podjazd od południa od arizońskiej 89-tki. Nabieramy w końcu wody (kranik umiejscowiony na północnej ścianie budynku Visitor Center) i bierzemy załuszoną kąpiel w naszym RV-iku.

Dobijamy znowu wodę, mając na względzie trudności z jej zdobyciem i wyjeżdżamy z Kanab w kierunku północnym. Ale zanim wyjeżdżamy, Mundi postanawia sprawdzić okolicę za budynkiem i wjeżdża w niewinnie wyglądający, jak się po chwili okazuje, gliniasty podjazd. Mokra glina oblepia momentalnie nasze opony, tworząc grubą warstwę i samochód zaczyna tańczyć, robiąc piruety nie do opanowania. Dobrze, że po kilkunastu metrach jest asfaltowy parking. Z rozpędem wjeżdżamy na stabilne podłoże i wychodzimy sprawdzić, jak wygląda nasz RV – a wygląda żałośnie. Opony oblepione 10-centymetrową warstwą gliny, całe boki brązowe od gliniastego błota, przypomina terenowy wóz po powrocie z ciężkiej trasy. Będzie się trzeba tego brudu oczywiście pozbyć, oddając RV do wypożyczalni, bo w regulaminie jest napisane, że nie wolno nam wjeżdżać na żadne drogi nieposiadające asfaltowej nawierzchni. Cóż, ten krótki odcinek przejechany po mokrej „nieasfaltowej” powierzchni uzmysłowił nam, że jazda podczas deszczu po bocznych drogach jest po prostu niewykonalna. Po tym wydarzeniu opuszczamy miasto i zatrzymujemy się w Port of Entry (3 mile za Kanab na północ).

Parkujemy w południowej części olbrzymiego placu i wychodzimy na szlak Dinosaur Tracks (długość 1 mila). Za ustawionym w rogu parkingu to i totem maszerujemy na południe i przedzieramy się przez wysokie zarośla sagebrushu, aż dochodzimy do starej serwisowej drogi i kierujemy się nią na wschód (w lewo). Idziemy dosłownie kawałeczek, cały czas wypatrując przejścia w ścianie skalnej, po którym moglibyśmy się wspiąć na górną półkę (dokładny opis tego szlaku jest dostępny w postaci kolorowej ulotki w Kanab Visitor Center). Z wielkim trudem wdrapujemy się na samą górę i zaczynamy baczna obserwację otaczających nas skał. Znajdujemy kilka widocznych śladów łap jakiegoś małego dinozaura trójpalczastego. Podobno na tym obszarze odnaleziono 20 różnych śladów dinozaurów.

Schodzimy z jeszcze większym trudem niż wchodziliśmy, ześlizgując się po grząskim podłożu i śliskich skałach. Wracamy do auta i kierujemy się dalej na północ, mijając po drodze zamkniętą na sezon Moqui Cave, czyli – jakkolwiek piękną to jednak – pułapkę turystyczną w postaci sklepiu z upominkami i małym muzeum umiejscowionym w piaskowcowej jaskini. Skręcamy w lewo w Hancock Road, prowadzącą do Coral Pink Sand Dunes State Park (wjazd 8 USD/auto, kemping 20 USD – prysznic & dump station). Jeszcze przed wjechaniem do parku zaglądamy na kemping Ponderosa Grove (5 USD/noc, brak wody, 9 miejsc) i już wiemy, że dzisiaj tu wrócimy. Przepięknie położona miejscówka, otoczona wysokimi sosnami – wymarzone miejsce na nocleg. Park stanowi jest sławny oczywiście ze swoich mieniących się na różowo wydmy i rzeczywiście robią one duże wrażenie, szczególnie w świetle popołudniowego słońca. Myślę, że jedynym mankamentem krajobrazu, który w znaczącym stopniu denerwuje większość, a przynajmniej tych proekologicznie nastawionych, jest fakt, że wszystkie te wydmy są porożędzane przez ATV i ich liczne ślady zabierają urok temu

miejscu. Jako że jest to park stanowy – rekreacja w postaci ściągnięcia się po wydmachach quadami jest jak najbardziej dozwolona.

Po około 2 godzinach zawracamy z powrotem na Ponderosa Grove i tu jako jedyńcy zaczynamy kempingowanie. Temperatura spada bardzo szybko zaraz po zmroku. Mundek rozpala ognisko, które znakomicie współgra z przejrzystym niebem pełnym gwiazd. W oddali wyją kojoty. Janek się nam rozchorował na dobre. Gorączkuje i jest osłabiony. Jesteśmy sami na kempingu. Dopiero w nocy przyjeżdżają jacyś twardziele, którzy rozstawiają namiot.

23 listopada. Rano wszystko pokryte jest szronem połyskującym w porannym słońcu. Widok niesamowity. Mróz trzyma mocno. Rozgrzewamy się gorącą owsianką i opuszczamy kemping, jadąc malowniczą drogą biegnącą po Yellowjacket Canyon (Sand Dunes Scenic Backway), przerywając kilka razy postojami na obserwację orłów bielików, które są tu na „wyciągnięcie ręki”. Wczoraj, jadąc Hancock Road, też spotkałliśmy jednego orła siedzącego na szczycie wyschniętego drzewa. Scenerię urozmaica w pewnym momencie kilka kruków, które bezskutecznie próbują wywalczyć u orła miejsce na gałęzi.

Dojeżdżamy do drogi nr 8/89, skąd rozpościera się piękna panorama na Zion National Park. Na skrzyżowaniu w Mt. Carmel (2 stacje benzynowe) skręcamy na drogę nr 8 bezpośrednio prowadzącą do Parku Narodowego Zion. Opłata za wjazd to 30 USD (bilet ważny 7 dni), ale jako że podróżujemy RV, to rangerka kasuje nas dodatkowo 15 USD za przejazd przez historyczny 1-milowy Zion – Mt. Carmel Tunnel, który rzekomo musi odbywać się z eskortą. Pani ranger jest bardzo nieprzyjemna i nawet nie chce się jej wyjść z budki, żeby zmierzyć wysokość i szerokość naszego samochodu. Na stronie internetowej Zion jest wyraźnie napisane od jakiego wymiaru konieczna jest opłata. My jedziemy najmniejszą kompaktową wersją RV, a więc prawdopodobieństwo jest duże, że tej opłaty nie powinniśmy uiszczać. Poza tym z tą eskortą to też kolejna bajka. Nikt nas nie eskortuje, a za nami jedzie sznur osobówek, czyli ewentualnie można powiedzieć, że to my eskortujemy kogoś. Ruch jest jednostronny – ci jadący z przeciwka czekają, aż my wyjedziemy z tunelu. Wykupiony przez nas bilet tunelowy ważny jest na 2 przejazdy. Zanim jeszcze przejeżdżamy tunel, zatrzymujemy się na poboczu po dłuższych poszukiwaniach jakiegokolwiek miejsca, gdzie można się wcisnąć.

Przed samym wjazdem do tunelu rozpoczyna się szlak Canyon Overlook (długość 1 mila), prowadzący jak sama nazwa wskazuje do miejsca, skąd rozpościera się niesamowity widok na dolinę Zion. Poranek nie jest najlepszą porą na oglądanie tego widoku, ale nie mamy wyjścia. Dech i tak zapiera w piersiach!!! Szlak jest stosunkowo łatwy, jeśli nie licząc stromego podejścia po kamiennych schodkach na początku szlaku. Przechodzi się też po wąskiej kładce z poręczami i miejscami trzeba bardzo uważać, by nie zsunąć się w dół. Pomimo drugiej połowy listopada, turystów było tutaj tysiące. A jutro zapowiada się jeszcze więcej – Święto Dziękczynienia to czas, kiedy park zapętnia się podobnie jak w letnich miesiącach. I może przez to traci swój niepowtarzalny klimat... tłumy pseudoturystów i my to nie jest dobre połączenie. Poza tym drażnią mnie pozostawione wszędzie na szlaku kubki po kawie z logo nieopodal znajdu-

jącego się hotelu – jednym słowem namiastka tego, jaki typ ludzi odwiedza ten park. Po 2 godzinach wracamy do zaparkowanego daleko od wyjścia ze szlaku samochodu i ustawiamy się w długiej kolejce oczekującej na przejazd przez tunel. Przejeżdżamy bez problemu i zatrzymujemy się już po drugiej stronie, by porobić trochę fotek.

Serpentynami zjeżdżamy do doliny i skręcamy na południe do Visitor Center. Zostało nam jakieś 2 godziny światła dziennego, więc jedynym rozsądnym wyjściem było rozdzielenie naszej drużyny, bo niestety stan zdrowia Janka nie pozwala mu na wędrowkę, a Mundkowi też nie chce się wspinać z Basią na rękach (Basia ostatnio bojkotuje plecak-nosidełko. Idę więc sama na Watchman Trail (długość 3 mile w obie strony), który w zasadzie na całej swojej długości wznosi się dość stromo do góry. Zaczyna się przy Visitor Center, dalej idzie się wzdłuż rzeki i przecina drogę serwisową. Od tego punktu praktycznie do końca szlaku podejście staje się strome i zaczyna wspinaczka na punkt widokowy, skąd o zachodzie słońca można podziwiać oświetlony na pomarańczowo Watchman Peak oraz praktycznie całą dolinę, gdzie znajduje się kemping i Visitor Center. Na samej górze jest jeszcze „loop trail”, czyli ścieżki dookoła poprowadzone tak, by dostarczyły maksymalnie najlepszych widoków odwiedzającym. Ludzi praktycznie tu nie ma, schodząc, spotykam jeszcze kilku wchodzących na górę spóźnialskich – pani w butach na koturnie z torebką i koleś z papierowymi koronami burgerkinga na głowach! Towarzystwo odwiedzające ten park „podoba” mi się coraz bardziej. Reszta mojego zespołu przebywa w tym czasie w muzeum – Zion Human History Museum, zapoznając się z dziejami Indian i pierwszych osadników na tym terenie.

Spotykamy się po 2 godzinach na parkingu przed Visitor Center i korzystając z ostatnich promieni słońca, podjeżdżamy na most przy Canyon Junction, by zrobić fotkę znaną z widokówek (na rzekę Virgin z panoramą gór w oddali), i ruszamy na poszukiwanie noclegu. Wyjeżdżamy z parku przez South Entrance, mijamy połyskujące bożonarodzeniowymi światłkami Springdale i w miasteczku Rockville skręcamy w lewo w Bridge Road. Przejeżdżamy zabytkowym mostem i zaraz za nim skręcamy w prawo w Grafton Road. Jedziemy już po ciemku, co znacznie utrudnia nam znalezienie jakiegoś miejsca na nocleg. Dojechawszy do skrzyżowania z drogą Smithsonian Butte Scenic Backway Road (kiepskiej jakości), zauważamy znak informujący, że właśnie zaczyna się teren należący do BLM!!!

Zaglądamy w zatoczkę przy drodze i dobrze, że to robimy, bo informacja o tym miejscu bardzo się później przyda. My jedziemy dalej drogą w kierunku Grafton Ghost Town. Tuż za wspomnianym skrzyżowaniem droga staje się szutrowa, ale bezproblemowo przejezdna przez nasz wehikuł. Parkujemy w sercu miasta duchów i idziemy spać. I wszystko przebiega spokojnie, aż do naszych RV-ikowych drzwi puka duch – otwieramy i niestety zamiast ducha stoi policjant, który informuje nas, przepraszając jednocześnie, że nocować tu nie możemy, bo teren ten jest prywatny..., no więc zjeżdżamy z powrotem w kierunku ziem BLM i parkujemy właśnie w tej zatoczce, którą upatrzyliśmy sobie wcześniej. Oprócz nas jest tu jeszcze kilka innych samochodów, a nawet namioty. Jak widać, nie wszyscy lubią zatłoczone parkowe kempingi. Zresztą

z tego co widzieliśmy, to jeden z kempingów w Zion nie miał już wolnych miejsc, drugi być może również.

24 listopada. Przed świtem przemieszczamy się z powrotem do Grafton Ghost Town (wjazd bezpłatny), urządzamy śniadanie mistrzów i w pierwszych promieniach słońca zaczynamy obchód miasta duchów. Jest okrutnie zimno, znowu w nocy był przymrozek, fotogeniczny szron pokrywa wszystko dookoła, kałuże skute lodem. Samo miasteczko jest bardzo dobrze zachowane, chociaż ciągle potrzebuje wielu funduszy do kompletnej renowacji. Grafton założyli Mormoni ponad 150 lat temu i początkowo miała to być farma zajmująca się uprawą bawełny. Obszary te jednak nie były łatwe do opanowania przez farmerów. Niewystarczająca ilość opadów, „flash floods”, stosunkowo mała powierzchnia terenu nadającego się pod uprawę oraz wymagający codziennej pielęgnacji (zapychający się piaskiem i mułem) system nawadniający w znacznym stopniu utrudniał życie osadników. Poza tym częste zgony spowodowane chorobami i nieszczęśliwymi wypadkami, przeważnie dzieci, „zbudowały” smutną historię tego miejsca. Z lekkim dreszczykiem czyta się historię 2 małych dziewczynek, które zginęły, huśtając się na huśtawce zawieszanej na drzewie. Równie zatrważająca jest niewyjaśniona przyczyna umierania wielu niemowlaków.

Spacerujemy po wszystkich zabudowaniach, czasami musimy się przeciskać przez dziury w płocie, by dostać się do jakiegoś tajemniczego lokum..., ale warto, bo wszystkie te miejsca są godne dokładnego przyjrzenia się. Poza tym miejsce to „grało rolę” w kilku filmach (m.in. *The Red Fury* z roku 1984 i *Child Bride Of Short Creek* z 1981). Po godzinie biegania po miasteczku wracamy zziębnięci do RV-ika i odjeżdżamy w kierunku Zion National Park. Parkujemy obok muzeum, gdzie przy okazji nabieramy w baniaki pysznej źródlanej wody (kranik umiejscowiony jest niedaleko wejścia do budynku). Znajduje się też tu przystanek autobusu (shuttle bus), który jest jedynym dozwolonym środkiem transportu w tej części parku narodowego (Zion Canyon). Autobus ten kursuje tylko w sezonie turystycznym, przy czym „Thanksgiving weekend” jest ostatnim w tym sezonie terminem kursowania aż do wiosny. Pierwszy przystanek jest przy Zion Canyon Visitor Center, a ostatni w Temple of Sinawava na samym końcu kanionu. Autobusy kursują co 10–15 minut, a opłata za przejazd wliczona jest już w bilet parkowy.

My startujemy przy muzeum i przejeżdżamy tylko 2 przystanki do Court of the Patriarchs. Wdrapujemy się po asfaltowym stromym chodniku (kilkadziesiąt metrów) do punktu widokowego, skąd podziwiamy oświetlone porannym słońcem strome klify gór o imieniach Abraham, Isaac i Jacob. Następny przystanek to Zion Lodge. Jak sama nazwa wskazuje, znajduje się tu hotel i restauracja, do tego kawiarnia i sklepik z pamiątkami (ci, co mają wykupione tu pokoje hotelowe, mogą dojechać swoim autem). Zaglądamy tylko na chwilę do środka, bo wewnątrz jest bardzo przytulne... w kominu płonie ogień i można się trochę ogrzać. Towarzystwo ubrane w ciuchy sportowe z najnowszych kolekcji, buciki na obcasach, torebeczki, pefen makijaż... itp. W środku i na zewnątrz kłębią się już setki pseudohikerów, niestety udających się w tym samym kierunku co i my, czyli na szlak Emeralds Pools. Przeciskanie się przez masę takich ludzi nie należy w naszym przypadku do przyjemności. A więc i perspektywa spędze-

nia dzisiejszego dnia pośród tłumów budzi w nas niechęć.... Ale na szczęście to tylko kilka godzin. Dzisiaj wieczorem opuszczamy to miejsce, udając się w bardziej odludne okolice Zion.

Wychodzimy z hotelu, przechodzimy przez ulicę, pokonujemy most i skręcając w prawo, maszerujemy chodnikiem (wzdłuż rzeki Virgin) w kierunku Lower Emeralds Pools (0,6 mili). Przechodzimy pod wodospadem i wspinamy się, przytrzymując łańcuchami na wyższy poziom prowadzący do Middle Pools (będący tuż nad nami). Wszędzie tłumy ludzi okupujących wszystkie możliwe miejsca „postojowe” przy szlaku. Przechodzimy obok środkowego stawu, a następnie w ciągu kilkunastu minut dochodzimy do Upper Pool (odległość 0,5 mili w jedną stronę), gdzie razem z setką innych użytkowników tej trasy postanawiamy chwilę popiknikować. Dzieciaki grzebią się w piasku obok stawu, którego chłodna woda w lecie na pewno dostarcza przyjemnego ukojenia zmęczonych spacerem stopom. Dziś poszukujemy raczej miejsca, gdzie moglibyśmy się ogrzać.... ale niestety znajdujemy się przy wysokiej pionowej skarpie, która całkowicie blokuje promienie słoneczne.

Skostniałi z zimna ruszamy więc po kilku minutach i jako drogę powrotną wybieramy Kayenta Trail (1 mila długości), prowadzący do kolejnego przystanku autobusowego The Grotto. Najcudowniejsze jest to, że cała długość tego szlaku prowadzi po południowym nasłonecznionym stoku góry, gdzie rozkoszujemy się każdym padającym na nas promieniem słońca. Szlak poprowadzony jest w zasadzie płasko, bez żadnych podejść ani utrudnień i pokonujemy go dość sprawnie, docierając do przystanku autobusowego w ciągu półgodzinki. A na przystanku znowu tłumy. W nadjeżdżającym autobusie, z którego korzystamy do następnego przystanku w Weeping Rock, gdzie roślinność zwisa spektakularnie ze skalnej ściany, też tłumy.

Stroma asfaltowa ścieżka (0,5 mili) prowadzi nas do tzw. Wiszących Ogródów „Hanging Gardens”. Dochodzimy do końca szlaku, podchodząc do skalnej wnęki, z której „siąpi” na nasze głowy lodowaty deszcz. Nie zabawiamy tu zbyt długo, bo Janek opadł nam już z sił i chyba znowu ma gorączkę. To już nasz ostatni szlak w tej części Zion National Park. Może kiedyś tu wrócimy, by wybrać się na Angels Landing Trail – najbardziej oślawiony i niebezpieczny szlak w parku. Czy też Hidden Canyon Trail, który dostarcza niemałej adrenaliny dla wędrujących nim śmiazków. Dzisiaj skostniałi z zimna marzymy już tylko o tym, by wrócić do naszego RV-ika i rozgrzać się gorącą herbatą i smakowitym obiadem. Autobusem jedziemy jeszcze na końcowy przystanek Temple of Sinawava i stamtąd już z powrotem do przystanku przy muzeum, skąd RV-ikiem przemieszczamy się na przestronniejszy parking pod Visitor Center. Tu urządzamy iście królewski obiad i królewską gorącą kąpiel!!! Tak przygotowani odjeżdżamy na nocleg w to samo miejsce, w którym spędziliśmy noc wcześniejszą.

25 listopada. Budzimy się o świcie i napełniwszy brzuchy gorącą owsianką, wyruszamy na podbój mniej popularnej części Parku Narodowego Zion. Z głównej drogi nr 9 w Virgin skręcamy na północ na Kolob Terrace Road. Droga ta tylko częściowo prowadzi przez park narodowy, przeplatając się z terenami prywatnymi, licznymi farmami i rezydencjami. Jest niesamowicie spektakularna i – co najważniejsze – w ogóle nieuczęszczana przez turystów. Wznosimy się dość znacznie, aż w końcu nasza trasa

prowadzi wysoczyzną, a po obu stronach wąskiej drogi mamy głębokie doliny, w których gdzieś tam rozmieszczone są nowoczesne osiedla mieszkalne. Mijamy jakiś dziki kemping po prawej i dalej wznosimy się, aż do miejsca zwanego Hoodoo City. Jest to nieoficjalna nazwa dzikiego szlaku, wychodzącego z małej zatoczki przy drodze (0,3 mile na wschód tuż za parkingiem, z którego wychodzi inny szlak Hop Valley trailhead).

Parkujemy więc auto (przy północnej stronie drogi) i idziemy na przełaj w kierunku widocznych pomarańczowych piaskowcowych wieżyczek. Momentami trafiamy na słabo widoczną ścieżkę. Przechodzimy obok wielkiego wyschniętego drzewa, którego powykręcane konary na tle niebieskiego nieba dają idealne tło do zdjęć. Przechoodzimy przez zagajnik sosnowy i odbijamy na południe w kierunku „hoodoos”. Trudno powiedzieć jaką odległość przeszliśmy, ale wydaje mi się, że było to około 0,75 mili. Miejscówka rzeczywiście wygląda jak miasteczko wieżyczek na skamieniałych wydmach. Mundek wdrapuje się na szczyt jednej z nich, pozując do zdjęcia. Dzieciaki latają dookoła, poszukując szyszek i innych skarbów leśnych. Słońce przyjemnie ogrzewa nasze zziębnięte twarze.

Po niecałych 2 godzinach wracamy do samochodu, uradowani faktem, że mieliśmy „Hoodoo City” tylko dla siebie. Jedziemy dalej na północ, wznosząc się coraz wyżej i wyżej. Jesteśmy na wysokości ponad 2400 m n.p.m. Tu już zalega pokrywa śnieżna. Skręcamy w szutrową drogę (w prawo), prowadzącą do zamkniętego już o tej porze roku kempingu Lava Point. Znajduje się tu też punkt obserwacyjny z pięknym widokiem m.in. na główny kanion Zionu. Cały teren pokryty jest grubą warstwą śniegu i udaje nam się jakoś przejechać tylko i wyłącznie dzięki wyjeżdżonym koleinom, bo pługi tego terenu nie obsługują.

Wracamy do głównej drogi i za chwilę docieramy do sztucznego zbiornika Kolob Reservoir otoczonego prywatnymi domkami letniskowymi. Miejsce idealne dla wędkarzy ze względu na bogate w pstrągi wody zbiornika (jest nawet sklepik z artykułami wędkarskimi). Wracamy tą samą drogą, rezygnując z marszu 4,5-milowym szlakiem Northgate Peaks ze względu na bardzo osłabiony stan Jasiowego zdrowia. W miasteczku Virgin skręcamy na wschód i jadąc drogą nr 9 mijamy Fort Zion Trading Post – z atrapami budynków z dzikiego zachodu otoczonych wielkimi kaktusami. Chcieliśmy się zatrzymać tam tylko ze względu na minizoo, co byłoby na pewno frajdą dla dzieci, niestety jednak jest to atrakcja czynna tylko w sezonie turystycznym.

Jedziemy dalej, aż po niecałych 4 milach skręcamy w lewo (na południe) w szutrową La Verkin Overlook Road, którą jedziemy 1,5 mili, aż docieramy do punktu widokowego La Verkin Overlook, skąd mamy doskonałą 360-stopniową panoramę okolicy. I w takiej właśnie scenerii zjadamy sobie wystawny obiad. Z pełnymi brzuchami opuszczamy tę supermiejscówkę i zamierzamy ostatecznie pożegnać się z Zion National Park, udając się do, mamy nadzieję, mniej zatłoczonej jego części – oddalonego o ponad 20 mil Kolob Canyon.

Kierujemy się 17-tką na północ do autostrady nr 15 (wjazd nr 27), którą opuszczamy po 9 milach pędu (jeden zjazd wcześniej przed wjazdem do parku) w celu wypatrzenia sobie jakiejś przyjemnej skrytki na nocleg. W tej części Parku Narodowe-

go Zion nie ma żadnego kempingu, więc jeszcze przed zmrokiem chcemy zorganizować sobie fajne noclegowe miejsce w bliskim sąsiedztwie Kanionu Kolob. Jedziemy South Old Hwy 91 i zjeżdżamy w pierwszą lepszą szutrową drogę na prawo, tam trochę kombinujemy, ale potencjał na dobry nocleg jest widoczny. Za moment więc szybko pokonujemy bramę parkową, dzięki naszej 7-dniowej wjazdówce (w tej części wymagana jest opłata 30 USD). I robimy to w ostatnich minutach kończącego się dnia. Słońce oświetla pomarańczowe nagie skały ostrych krawędzi zboczy doliny, którą jedziemy do samego końca do Kolob Canyons Viewpoint. Z parkingu wychodzimy w kierunku południowym na Timber Creek Overlook Trail (długość 1 mila w obie strony), który prowadzi nas na skaliste wzgórze, skąd podziwiamy zachodzące za górami słońce.

Po godzinie wracamy skostniali do auta i już o zmroku opuszczamy Zion, kierując się do naszego wyznaczonego wcześniej miejsca kempingowego. I co się okazuje – nie znajdujemy go od razu... Błądzimy po ciemku w labiryncie głęboko zerodowanych polnych drózek, które wszystkie wydają się do siebie łądząco podobne. Utrudnione są manewry zawracania naszym wielkim wozem. Płacemy się, zahaczając o wystające konary drzew. W końcu zorientowawszy się jako tako w terenie, zrezygnowani obieramy bliżej nieokreślone miejsce na nocleg. Z przyczyn technicznych rezygnujemy z rozpalania ogniska, a ogrzewamy się nastawionym na maxa grzejnikiem.

26 listopada. Wstajemy około 5.00, jeszcze długo przed świtem. Dotaczamy się do głównej drogi i wskakujemy na autostradę nr 15 w kierunku południowym. Opuszczamy ją za chwilę, zjeżdżając na 23 „exit”, kierując się do następnego punktu z naszej listy – Red Cliffs Recreation Area (wjazd 5 USD/auto). Jedziemy na południe 3,5 mili Main street, skręcamy w prawo i.... tu oczom naszym ukazuje się tunel (nieproporcjonalnie wąski jakiś i dość niski), którym musimy przejechać (o wysokości 11,9 stóp... a nasz RV-ik podobno ma wysokość 12 stóp). W zasadzie są to 2 tunele pod 2 „nitkami” autostrady. Jedynym logicznym rozwiązaniem jest wdrapanie się na nasyp autostradowy i baczne nadzorowanie naszego pojazdu powoli wjeżdżającego w tunel. Okazuje się, że RV-ik pokonuje tunele bez większych przeszkód, więc informacja napisana na tunelu bądź dane naszego auta muszą być zakłamane.

Zaraz za tunelami znajduje się nasz cel. Z szutrowego parkingu na prawo od rozdwienia wychodzimy na prosty szlak – White Reef trail, prowadzący do miejsca, gdzie prawie 60 lat temu kręcono film *They come to Cordura*. Z hollywoodzkiej repliki meksykańskiego zamku pozostało już niestety niewiele. Krajobraz czerwonych skał w oddali oświetlony porannym słońcem wygląda za to przepięknie. Park Red Cliff poprzecinany jest kilkoma szlakami, które zarówno mogą służyć jako długodystansowe, jak również, z powodu bliskości terenów mieszkalnych, chętnie wykorzystywanych, co zauważyliśmy, na spacerki miejscowych z psem.

Podjeżdżamy na kemping (wolnych miejsc brak, 15 USD/noc, dostępna woda), skąd wychodzi Anasazi Trail. Szlak prowadzi poprzez piaskowe wzgórza porośnięte jukką i sagebrushem do miejsca archeologicznego, gdzie „zza płotu” możemy obserwować pozostałości indiańskich pueblo. Krzątamy się tu trochę, czytając opisy na ta-

blicach i wracamy okrężną drogą poprzez Metate i Red Reef Trail na kemping. Tu jeszcze (przechodząc przez kempingową alejkę) podchodzimy kilka kroków do Dinosaur Track Site, gdzie widocznych jest kilka odcisków trójpalczastych dinozaurów. Na sam koniec naszego pobytu w parku nabieramy w końcu wody do naszego RV-ika z kranu na parkingu. Park i kemping ogólnie mówiąc godny polecenia.

Wyjeżdżamy z Red Cliff, kierując się tranzytem przez park stanowy Quail Creek (super miejsce dla wędkarzy) do Washington, gdzie musimy zakupić kilka rzeczy w Walmarcie i Costco oraz zatankować. Jadąc dalej, zaglądamy na chwilę do Red Hills Desert Garden (357- 469 Red Hills Pkwy, St George; gratis). Nowoczesny ogród botaniczny (otwarty w ubiegłym roku) oferuje zwiedzającym przede wszystkim ciekawą „architekturę roślinności” w postaci dziesiątków gatunków kaktusów i innych sukulentów czy też sztuczną „rzekę”, zamieszkałą przez lokalne gatunki ryb i zasilaną wodą z lokalnej rzeki Virgin. Jest też sztuczny „slot” kanion, który prowadzi zwiedzających do „jaskini”, gdzie poprzez akwaria, a raczej „przeszkłone galerie widokowe”, możemy podziwiać, co dzieje się pod wodą. Twórcy tego kompleksu zadbali o możliwość poznania zarówno pospolitych gatunków lokalnej flory i fauny wodnej, jak i zagrożonych wyginięciem okazów. Miejsce dodatkowo kusi świątecznymi instalacjami i milionem światełek bożonarodzeniowych rozciągniętych pomiędzy kaktusami i krzaczkami.

Odnajduję kilka gatunków mojego ulubionego sagebrusha i rozgniatam w dłoni ich listki... zapach powala z nóg!!! A do tego jeszcze hiszpańska lawenda. Pomiedzy kamieniami i kaktusami przebiegają co chwila małe jaszczurki. Pełno tu dzieciaków biegających w labiryncie kładek, mostków i chodników. Przejeżdżamy dalej do kolejnego parkingu, a tam już reszta brygady udaje się na eksplorację naturalnego „slot” kanionu, ja natomiast zostaję, przygotowując obiad.

Po około 1,5 godziny wyjeżdżamy z parku w kierunku Snow Canyon State Park (wjazd 6 USD/auto). Przy bramce wjazdowej pani rangerka nie pobiera od nas opłaty.... i nie wiemy w ogóle dlaczego. Może Mundi zagadał ją pytaniami o kemping? Pani podaje nam mapę parku i życzy przyjemnego pobytu. Snow Canyon to park, który po prostu trzeba zobaczyć! Jesteśmy tu po raz drugi i odkrywamy go na nowo. Ponieważ słońce już nam się chowa za horyzont, biegniemy szybko na szlak – Jenny’s Canyon Trail (długość 0,5 mili), który prowadzi do czoła klifu poprzez piaszczyste podłoże porośnięte pachnącymi bylicami sagebrushu.

Przy rozgałęzieniu ruszamy najpierw do wąskiego i krótkiego kanionu-wnęki, a następnie na punkt widokowy. Po 20 minutach jesteśmy z powrotem w aucie, by zarezerwować miejsce na kempingu (20 USD/noc, bezpłatne prysznice, kran z wodą), który według zapewnień pani z budki wjazdowej posiada jeszcze kilka wolnych miejsc. Kemping – petarda jednym słowem! Wybieramy miejsce nr 24 z pięknym widokiem na otaczające nas góry. W kręgu ogniskowym ktoś pozostawił dużo drewna, więc szykuje nam się długa noc z wielkim ogniskiem. Temperatura w miarę przyjazna – około 8°C, więc dzieciaki od razu łapią koparki i łopatki i zaczynają zabawę w piasku. W nocy mamy towarzysza wycieczki – jakaś myszka lub pręgowiec zakradł nam się do środka

i zaczął wcinać makaron z szuflady. Schrugał kilka świderków i wystraszony najprawdopodobniej naszym przebudzeniem uciekł w popłochu.

27 listopada. Rano niemrawo zwlekamy się z łóżek, a to z powodu pogody za oknem. Jest pochmurno i ma dzisiaj padać deszcz, co nie napawa nas optymizmem. Guzdrzemy się jakoś strasznie ze śniadaniem, prysznicem i z kempingu wyjeżdżamy dopiero około 11.00. Pierwszym szlakiem, jaki wybieramy, jest Butterfly Trail (długość 2 mile w obie strony). Wędrujemy skamieniałymi wydhami (petrified dunes) pomiędzy czarnymi wulkanicznymi skałami. Szlak prowadzi po płaskim terenie i jest stosunkowo łatwy. Na końcu łączy się z Lava Flow Trail, gdzie znajduje się wejście do jaskini lawowej (lava tube).

Schodzimy więc do czarnej przepaści i wchodzimy do jaskini, by ukryć się przed deszczem, który właśnie zaczyna padać. Niebo jest strasznie zachmurzone i zapowiada się mokry dzień. W mżawce wdrapujemy się jeszcze na punkt widokowy (overlook), skąd rozpościera się wspaniała panorama na Snow Canyon. W planie mamy jeszcze przejście nieoficjalnego szlaku Petroglyph Trail (długość 2 mile w obie strony). Ale żeby się tam dostać, musimy trochę pokrążyć po okolicy. Ponieważ nie ma go na mapie parkowej, używamy informacji z forum internetowego z opisem dojazdu. Wyjeżdżając w tym celu z parku północnym jego krańcem, skręcamy w drogę nr 18 na południe. Natomiast gdyby w tym miejscu miał ktoś ochotę na rekonesans, by przyrzec się wygasłemu stożkowi wulkanu (cinder cone), to na północ 18-tką rzut beretem. Po drodze podjeżdżamy jeszcze na „overlook”, skąd widać całą panoramę Snow Canyon. Trzeba jechać powoli, żeby nie przegapić drogi odchodzącej w prawo (na zachód), która jest jedną z wielu lokalnych szutrowych uliczek – 4400 North (niepodpisana) i dojechać aż do końca do zamkniętej bramy. To jest ślepa uliczka pomiędzy stadninami koni i zabudowaniami mieszkalnymi. Nie ma tu żadnej informacji o szlaku.

Deszcz zaczyna łać już konkretnie, ale nie zniechęca nas to do przejścia tego fantastycznego szlaku. Jest to istna perełka Snow Canyon i może kiedyś zostanie tu wytyczony oficjalny szlak. Ubrani w kurtki przeciwdeszczowe człapiemy po szutrowej drodze wzdłuż płotu. Dochodzimy do granicy terenu prywatnego z parkiem stanowym i tu pomiędzy podłużnymi metalowymi linkami przeciskamy się na drugą stronę. Schodzimy w dół do labiryntu skał i chociaż mamy w rękę wydrukowany opis kolejnych punktów, to ciężko jest nam nawigować na jego podstawie. Błądzimy, wdrapujemy się i zeskakujemy ze skałek, cofamy się i wracamy z powrotem. W końcu dostajemy się do pierwszego miejsca, gdzie na pionowych skałach w minislot kanionie odkrywamy liczne petroglify. Są tu niełatwo dostępne aż 3 grupy petroglifów. Jak się okazuje, trafiliśmy według tego bardzo niedokładnego opisu.

Niestety, z tego miejsca znowu cofamy się w kierunku wejścia i po paru próbach zlokalizowania oczom naszym ukazuje się olbrzymia skała („newspaper rock”) wypełniona petroglifami (wcześniej obok niej przechodziliśmy i wystarczyło się odwrócić, by je zobaczyć!!!) Znajdujemy też betonową małą tamę i od tego miejsca zaczynamy iść według opisu szlaku. Idziemy na zachód wzdłuż płotu odgraniczającego teren prywatny, a tam 2 rezydencje z podgrzewanymi basenami, z których unosi się

para – och, jaką mamy ochotę na taką gorącą kąpiel z pięknym widokiem na stożkowate góry i skamieniałe wydmy. Ktoś miał naprawdę świetny gust i duże pieniądze, by ulokować tu swój dom.

Idziemy dalej i znajdujemy następny punkt – Sinking Shiprock, skałę przypominającą naprawdę rufę tonącego okrętu. Na jej północnej ścianie znajdują się liczne petroglify. Uszczęśliwia nas jej widok, bo w końcu udało nam się przejść najważniejszą część szlaku według opisu. Dalej nie idzie nam już tak dobrze. Znowu krążymy pomiędzy minislot kanionami, penetrując obszar i cofając się co chwilę do poprzedniego punktu, by znów zweryfikować położenie. Tak wygląda nasz trekking. Wyzwaniem jest każdy następny z wielką satysfakcją znaleziony kopczyk. Dzieci bawią się przednio, z zaangażowaniem wypatrując kopczyków.

Kawałek drogi podążamy oznakowanym Gila Trail, ale nie znajdujemy miejsca, gdzie powinniśmy się z tym Gila wedle instrukcji z internetu rozstać. Jako że zachód słońca już się zbliża, postanawiamy wracać do auta i iść na przełaj, czyli raz w górę, raz w dół, na azymut. I tak wymęczeni na maxa docieramy prawie po 4 godzinach wędrowania się do samochodu. Szlak, pomimo że wykonaliśmy tylko jego połowę, okazał się super!!! Nikogo poza nami na nim nie było, co dodatkowo zapunktowało i stanowiło o jego wyższości nad innymi szlakami w parku! Uważamy, że odnalezienie 5 stanowisk z petroglifami jest nie lada sukcesem, bo czytaliśmy o śmiałkach, którym nie udało się zlokalizować ani jednego miejsca, a krążyli tam przez 5 godzin. Janek zostaje bohaterem wycieczki, bo pomimo dużego osłabienia wspinał się rewelacyjnie i czasami był nawet naszym zwiadowcą.

Wyjeżdżamy 18-tką i już po zachodzie słońca skręcamy w 8-kę w kierunku Santa Clara. Jedziemy jakąś wyludnioną drogą przez rezerwat indiański, ale pomimo zapadających ciemności podziwiamy jeszcze okolicę, która daje wiele możliwości biwakowo-noclegowych. My jednak gnamy do Nevady, bo chcemy przenocować dzisiaj w Valley of the Fire State Park i od rana zacząć eksplorowanie parku. Został nam już tylko jeden dzień na zwiedzanie, nie licząc dnia odlotu, kiedy to musimy pozalać trochę rzeczy w Las Vegas i przygotować się do powrotu. Jedziemy więc pośród ciemności pomiędzy „joshua tree” (Joshua Tree National Landmark) i zjeżdżamy do autostrady nr 15 już w Arizonie.

Tuż po przejechaniu granicy z Nevadą wskakujemy do Mesquite, by pooddawać niepotrzebne nam już rzeczy do Walmartu. I dalej już 15-tką i 169 docieramy w totalnych ciemnościach do parku Valley of the Fire. Park ten jest również istną petardą, jeżeli chodzi o krajobrazy, szlaki i kemping, który ulokowany jest pomiędzy czerwonymi górującymi piaskowcami (tworzącymi ciekawe formy skalne) i zaliczamy go do jednego z ciekawszych kempingów, na jakich byliśmy podczas kilkunastu lat podróży po Stanach. Wstęp do parku kosztuje 10 USD, ale jeśli zatrzymujemy się na kempingu (są ich 2, jeden posiada prysznice), kwotę tę możemy sobie odjąć od opłaty uiszczanej za kemping (20 USD). Na kemping Arch Rock docieramy po 22.00 i od razu padamy spać.

28 listopada. Po szybkim śniadaniu jedziemy na chwilę pod Visitor Center. Pomimo że napisane jest, iż biuro otwierają o 8.30, to z jakichś powodów tego nie robią.

Ponieważ to już nasza 3 wycieczka do tego parku, postanawiamy zacząć od szlaku, którym nigdy nie szliśmy. Jest to nowy szlak o nazwie Natural Arch Trail (długość 4,8 mili w obie strony), którego nawet nie ma na ulotkach parkowych (znajdujemy go na tablicy ogłoszeniowej przy Visitor Center).

Kierujemy się na wschód i tam zatrzymujemy się przy Petrified Wood, miejscu gdzie można zobaczyć odkopany skamieniały konar drzewa. W tej okolicy powinno znajdować się wyjście na szlak, ale nie możemy go znaleźć, więc przechodzimy na przełaj przez wzgórze do wyschniętego koryta rzeki (dry wash), którą to prowadzi ten szlak. Jak się okazuje, kilka spotkanych przez nas później osób też miało problem ze znalezieniem początku tego szlaku. Idziemy więc po piasku doliną i im dalej wędrujemy, tym robi się piękniej. Wyszukujemy w oddali łuki skalne, od których powstała nazwa tego szlaku. Dochodzimy do zwężenia z minislot kanionem (przypominającym troszeczkę Antelope canyon) i kilkoma głazami, po których musimy się wspiąć. W oddali widzimy już kopułę White Dome.

Ponieważ Janek już jest bardzo zmęczony, musimy zawrócić. Mundek wraca, wdrapując się z Basią na zbocza górskie i tam penetrując łuki skalne i jaskinie, a ja z Jassem sunę suchą doliną, którą docieramy aż do końca do drogi. Szlak super i na pewno godny polecenia. Ponieważ zdrowie Jasia jest w nie najlepszej kondycji, postanawiamy zrobić jeszcze tylko jeden szlak – Fire Wave Trail (1,5 mili w obie strony). Szlak ten jest dla nas rekompensatą za prawdziwy „the Wave” w Utah. Jest to taka miniaturka i namiastka prawdziwej Fali. Jeszcze 2 lata temu nie było żadnych oznaczeń sugerujących, że takowy szlak istnieje. I tylko nieliczni się w to miejsce udawali. Dzisiaj, pomimo że na mapach parkowych dalej nie figuruje jako oficjalny szlak, to w miejscu, gdzie się zaczyna, stoi słupek z jego nazwą. Takie słupki ustawione co chwila prowadzą nas na miejsce, co świadczy o wzrastającej popularności. A na końcu szlaku widzimy fotogeniczną „skręconą fałdę” skalną w kształcie fali z przeplatany mi naprzemiennie warstwami w kolorze białym i czerwono-pamarańczowym. Słońce idealnie ją oświetla. Super miejscówka dla obiektywu z szerokim kątem, niestety jest tak tłocznie, że trudno jest uchwycić coś ciekawego, nie mając w kadrze turystycznego statysty.

Wygrzewamy się w słońcu, leżąc na skale. Trochę nas przymroziło na tej wycieczce w górnych elewacjach Utah i Arizony i taki relaksik jest nam potrzebny przed powrotem do domu. Niebo nad nami zaczyna się chmurzyć i zmieniać kolor na ciemnofioletowy, więc zbieramy towarzystwo i wracamy do auta, podziwiając groźnie wyglądający pejzaż. Podjeżdżamy na sam koniec drogi parkowej, skąd wychodzi szlak na White Domes, (prowadzący przez slot canyon). Tylko dlatego, że byliśmy już na tym niesamowitym szlaku dwukrotnie kilka lat temu i że musimy już wracać na kemping, żeby się pakować, to odpuszczamy sobie jego zdobycie tym razem. Na kempingu rozpoczynamy akcję przygotowawczą do powrotu. Część rzeczy trzeba wyrzucić, bo nie mieszczą się nam do walizek. Zmęczeni, ale dokładnie spakowani kładziemy się około północy spać.

29–30 listopada. Pobudka przed 5.00. Zbieramy się bez śniadania, by dojechać na czas do Las Vegas. Przed oddaniem RV musimy jeszcze zatankować, dobić propan

i posprzątać. Jedziemy najpierw do wypożyczalni samochodów Thrifty (7231 Gillespie street), gdzie ja przesiadam się do osobówki i już na 2 pojazdy docieramy do Costco i Walmartu. Po doprowadzeniu RV do stanu idealnego jedziemy do Cruise America oddać nasz wehikuł.

Kilka minut przed 11.00 dojeżdżamy do biura i po szybkiej, wręcz formalnej inspekcji pracownika otrzymujemy rachunek i paragon ze zwrotem kaucji i kwoty naliczonej za niewykorzystane przez nas mile. Na naszą prośbę miły pracownik próbuje wydrukować nasze karty pokładowe na dzisiejszy lot do Chicago, ale ku naszemu zdziwieniu jest to niemożliwe (pojawił się jakiś błąd na stronie linii lotniczych Frontier Airlines). Trochę nam to zaburzyło porządek dnia. Postanowiliśmy udać się do lokalnej biblioteki i spróbować przez Internet jeszcze raz to zrobić. Niestety po wpisywaniu numeru z naszej rezerwacji znowu wyskakiwała informacja o błędzie. Zadzwoniliśmy więc bezpośrednio do linii lotniczych i okazało się, że nasze karty pokładowe są gotowe i możemy je bezpłatnie wydrukować na lotnisku tuż przed wylotem. Akurat niespodziewanie w dniu dzisiejszym na wielu lotniskach w USA odbywają się strajki obsługujących je pracowników i przewidziane są strasznie długie kolejki. Przedstawiciel Frontiera sugeruje, abyśmy stawili się na lotnisku 3 godziny wcześniej.

Dzieci bawią się w bibliotece i wcale nie chcą z niej wychodzić, ale postanawiamy zachęcić je kilkoma atrakcjami. W hotelu Circus Circus co 45 minut odbywają się pokazy cyrkowe (bezpłatnie) i właśnie tam postanawiamy się udać na zakończenie naszej wycieczki. Autostradą pędzimy więc na Las Vegas Strip, po drodze zahaczając jeszcze o sklep turystyczny REI w celu oddania plecaka nosidełka, następnie parkujemy na tyłach hotelu (bezpłatnie). Maszerujemy przez 20 minut korytarzami hotelowymi pełnymi stoisk z badziewkami, przechodzimy przez przesiąknięte dymem papierosowym kasyna, w końcu dochodzimy do małej sceny cyrkowej. Pierwszym pokazem, jaki oglądamy, jest balansująca na jednej ręce gimnastyczka. Występ jednak trwa 5 minut i mamy kolejne 40 minut do zabicia czasu. Oczywiście dzieciaki, jak opętane, biegają od automatu do automatu, nie mogąc się nadziwić, że istnieje tak wielki świat gier komputerowych. Straszny to widok dla nas, rodziców, poddanych na ten ekstremalny test na asertywność. Dajemy się namówić na jakieś wrzutki do celu i Janek wygrywa pluszowy miecz, którym oczywiście cieszy się przez całe następne 5 sekund. Oglądamy jeszcze jeden występ żonglera i uciekamy z tej pułapki turystycznej jak najszybciej do samochodu.

Przepakowujemy się ostatecznie, wyrzucając kilka niepotrzebnych rzeczy i jedziemy najpierw do wypożyczalni Thrifty oddać osobówkę, a potem autobusem na lotnisko. Kolejka do stanowiska Frontier przez pół hali! Drukujemy „boarding pass” i cierpliwie czekamy w kolejce, która – o dziwo! – przemieszcza się całkiem sprawnie. Jeszcze nigdy nie widziałam tak uwijających się szybko pracowników linii lotniczych. Oddajemy bagaże i idziemy odpocząć na pobliskie ławeczki. Włączamy szkrabom bajkę na DVD, a sami padamy na krzesła, mając za sobą jakże stresującą, organizacyjną część dnia.

Niecałą godzinę przez odlotem przechodzimy kontrolę TSA i idziemy do poczekalni. Lot odbywa się bez większych zakłóceń, nie licząc tego, że lecimy w nocy, a siedzenia w samolocie się nie rozkładają i są delikatnie mówiąc niekomfortowe, by móc poddać w nich nasze organizmy zbawiennej regeneracyjnej roli snu nocnego, ale cóż – tanie linie lotnicze – tanie wyposażenie. Coś za coś. Nad ranem szczęśliwie lądujemy w Chicago kończąc tym samym naszą – geologicznie zdominowaną – fantastyczną podróż i planując w głowie już następną...

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Kostaryka – Panama



Termin: 20 lutego – 15 marca 2016

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek

Trasa lotnicza: Katowice – Paryż (Wizz Air 2 loty – 78 PLN/os.) Paryż – Frankfurt – Bogota – Panama City (Lufthansa, 6 lotów – 1596 PLN/os.), powrót podobny. Dodatkowo lot krajowy Panama City – David (Copa Airlines, 1 lot – 236 PLN/os.)

Koszty podróży: 5181 PLN/os.

Kursy walut: 1 USD = 3,99 PLN, 1 EUR = 4,42 PLN, 1 USD = 530 CRC

Czas: w zależności od pory roku zimą –6 godz., a latem –7 godz.

Bezpieczeństwo: ogólnie spokojnie, jedynie w dużych miastach należy zachować czujność.

Wizy: przy pobycie turystycznym do 3 miesięcy wizy nie są potrzebne.

Język: hiszpański, w miejscach turystycznych angielski.

Pogoda: jest słonecznie, gorąco i mamy prawie 80% wilgotność.

Elektryczność: 110V, należy mieć adapter z dwoma płaskimi bolcami.

Przewodniki i mapy: Lonely Planet *Costa Rica*.

Koszyk podróżnika: Woda mineralna 1,5 l – 800 CRC, coca-cola 2 l – 1300 CRC, lody 0,75 l – 1450 CRC, chleb tostowy – 1000 CRC, bagietka – 550 CRC, ryż 1 kg – 850 CRC, spaghetti 1 kg – 1500 CRC, ziemniaki 1 kg – 750 CRC, pomidory 1 kg – 1800 CRC, cebula 1 szt. – 210 CRC, sałata zielona – 350 CRC, kalafior – 1000 CRC, papryka 1 szt. – 250 CRC, fasola w puszcze – 1000 CRC, banan (taki jak w Europie) 1 kg – 500 CRC, papaja 1 szt. – 600 CRC, ananas 1 kg – 800 CRC, jajka 6 szt. – 2000 CRC, tortilla 25 szt. – 1000 CRC, piwo 1 l – 1300 CRC, benzyna 1 l – 530 CRC, obiad w restauracji od 2000 CRC. Zakupy robiliśmy na targowiskach lub w marketach znajdujących się w centrach miast.

RELACJA Z PODRÓŻY

20 lutego. Katowice – Paryż. Z Bytomia autobusem nr 85 podjechaliśmy na lotnisko w Pyrzowicach. O godz. 11.35 mieliśmy odlot do Paryża. Przy odprawie okazało się, że obsługa Wizzair rygorystycznie podchodzi do bagażu podręcznego i kwestionowali nasz 90-litrowy plecak. Po wymianie zdań kazano nam zostawić torbę z prowiantem i przepakować plecak, aby zmieścił się w specjalnym pojemniku określającym wielkość 42×32×25cm. Po 2 godz. lotu wylądowaliśmy na lotnisku Paryż-Beauvais. Z Paryżem ten port lotniczy ma tylko wspólną nazwę (zupełnie jak nasze Pyrzowice z Katowicami). Do stolicy trzeba jeszcze podjechać 77 km busem, który zatrzymuje się na dworcu w pobliżu stacji metra Porte Maillot. W tę stronę jechaliśmy busem za 13 EUR/os. z przewoźnikiem Polakiem, który założył firmę specjalizującą się w przewozach z/na lotnisko. Po miesiącu okazało się, że z uwagi na „niezdrową konkurencję” na rynku nakazano firmie zawiesić działalność, tak więc te dane są już nieaktualne. Oficjalnie można w dwie strony dostać się autobusem, którego dworzec znajduje się niedaleko metra Port Maillot. Dalej metrem za 1,80 EUR/os. podjechaliśmy do stacji Esplanade de la Defense (linia 1). Tutaj przeszliśmy do Hotelu Ibis Budget przy 37 Quai du Président Paul Doumer – 92400 Courbevoie. Opłatę za hotel 15 EUR/os. mieliśmy uregulowaną wcześniej, my natomiast dokupiliśmy śniadania za 6,15 EUR/os., tzw. bufet otwarty. Małe śniadanko kosztuje 2,50 EUR/os., co stanowi rogalik i kawę. Warto więc dopłacić i jeść bez ograniczeń. Zostawiliśmy bagaże i ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Najpierw metrem dojechaliśmy do stacji Chatelet, która stanowi „serce” przesiadkowe, skąd można rozpocząć wędrowkę w wielu kierunkach miasta. Za każdy przejazd płaciliśmy 1,80 EUR/os. Bilet można łączyć z autobusem i niektórymi pociągami. Taryfy są trochę skomplikowane, więc po wejściu do metra warto zapoznać się z obowiązującymi cennikami. Wszystko jest zautomatyzowane, wiele maszyn obsługuje tylko karty płatnicze, więc warto kupić sobie kilka biletów, aby na którejś ze stacji nie było kłopotów.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od katedry Notre Dame, następnie udaliśmy się do Montparnasse, gdzie obejrzelśmy najstarszy dworzec kolejowy w mieście. Dalej uliczkami przeszliśmy w kierunku wieży Eiffla, którą w nocy rozświetlają złocisto-srebrne światelka. Trzeba przyznać, że wieża zrobiła na nas wielkie wrażenie. Cała konstrukcja jest podświetlona i co jakiś czas włącza się jak choinka i błyska. Ponadto ogromny reflektor omiata niebo jak latarnia morska. Została otwarta 31 marca 1899 r. z okazji wystawy światowej. Konstrukcja wieży składa się z ok. 18 tys. metalowych części, i blisko 2,5 mln nitów. Całkowita masa wynosi 9 tys. ton żelaza, a jej wysokość 300 m. W zależności od wahań temperatury wieża zgodnie z prawem fizyki rośnie lub maleje o około 16 cm. Przez 31 lat wieża Eiffla była najwyższą budowlą na świecie. Zmieniło się to w 1930 r., kiedy wzniesiono nowojorski wieżowiec Chrysler Building.

Pola Marsowe są zagrodzone siatką, po ulicach chodzą uzbrojone patrole wojska i policji. Jest więc patrolujących radiowozów. Czuć, że Paryż po 13 listopada jest w stanie wyjątkowym. Nie widać na ulicach bezdomnych uchodźców, jak pokazują media, kawiarenki i restauracje są pełne, życie toczy się normalnie, ale pokaz siły wojskowej robi swoje. W ważniejszych miejscach wejścia strzegą żołnierze, a plecaki są

dokładnie sprawdzane. Ogólnie centrum miasta sprawia wrażenie afrykańsko-arabskiego. Lata emigracji i kolonizacji powodują, że na ulicach dominują ciemnoskórzy obywatele. Około 2 km dalej znajduje się Łuk Tryumfalny, również ładnie podświetlony. Trzeba przyznać, że większość zabytków lepiej prezentuje się w nocy niż za dnia. Paryż jest bardzo ładny, obrzeża miasta to dzielnice małych kamieniczek lub bloków. Po kilku godzinach zwiedzania wróciliśmy metrem do naszej dzielnicy.

21 lutego. Paryż. Śniadanie hotelowe stanowią bagietki, rogaliki, chleb, ciasto, serki, jogurty, koktajl z owoców, sok, mleko, dżemy, nutella, płatki, herbata, kawa. Dzisiejsze zwiedzanie zaczęliśmy od dojazdu metrem do stacji Łuk Tryumfalny, skąd poszliśmy Polami Elizejskimi, oglądając kolejne zabytki miasta. Odwiedziliśmy Mały i Duży Pałac, niedaleko jest Plac Inwalidów z katedrą i szkołą wojskową. Większość budynków w centrum miasta jest reprezentacyjna, i co rusz używaliśmy aparatów fotograficznych. Krok za krokiem dotarliśmy do Luwru, do którego wchodzi się przez szklaną piramidę. Dalej podeszliśmy do Comedie de France, ale nie mogliśmy obejrzeć przepięknego wnętrza, ponieważ można wejść tylko do holu teatru, jedyna możliwość to pójście na przedstawienie. Kolejną atrakcją było centrum Pompidou z kolorowymi rzeźbami, i instalacjami sztuki nowoczesnej. Dziwnie i kontrastowo wygląda to miejsce wśród starych kamienic i kościołów. Niedaleko jest Les Halles, ale w kompletnym remoncie, więc nic fajnego nie zobaczyliśmy oprócz placu budowy i przebudowy metra. Ma tu powstać ogromne centrum handlowe.

Następnie udaliśmy się do Bastylii, miejsce to określał pomnik w centrum placu i nazwa na stacji metra. Niedaleko jest cmentarz Pere-Lachaise, gdzie pochowanych jest wielu artystów, my poszukaliśmy grobów Jima Morrisona i Fryderyka Chopina. Cmentarz ma specjalną mapę „znani i lubiani”, gdzie kierują swoje kroki turyści. Na grób Morrisona przyjeżdżają „pielgrzymki” z całego świata, zostawiając na nim maskotki, bransoletki, opaski, przyklejone gumy do żucia, natomiast miejsce spoczynku Chopina trudno znaleźć, wyróżnia się wykutą rzeźbą. Cmentarz jest ładny, trochę przypomina Recolettę w Argentynie. Stąd już metrem podjechalśmy do Pigalle. Tu podeszliśmy do dzielnicy czerwonych latarni, sex-shopów oraz do Moulin Rouge. Boczne uliczki doprowadziły nas do katedry Sacre Coeur, położonej na wzgórzu, z którego rozciąga się piękna panorama miasta. Stąd schodami zeszliśmy do głównego Placu Saint Pierre. Na górę można wjechać kolejką linową. Powoli zbliżał się zmierzch, więc jeszcze raz podeszliśmy na Pigalak, gdzie rozbłyskały neony, wiatrak pięknie świecił na czerwono, a cała dzielnica rozpusty nabrała kolorytu. Coraz więcej autokarów podjeżdżało pod Moulin Rouge, rzesze turystów udawały się na słynne pokazy kankana. Drogą powrotną szliśmy aż do stacji Lazarre, skąd metrem nr 3 podjechalśmy do Pont de Levallois Becon. Stąd przeszliśmy na Ile de la Glande Jaffe, wyspę, która została zagospodarowana na rzecz apartamentowców i placów zabaw. Uff... dziś jak nic zrobiliśmy półmaraton. Jutro ruszamy w dalszą drogę!

22 lutego. Paryż – Frankfurt – Bogota – Panama City. O godz. 6.15 pobudka, zjedliśmy śniadanie i pojechalśmy metrem do stacji Chatelet. Stąd pociągiem RER za 10 EUR/os. na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Odnaleźliśmy odpowiedni terminal i o godz. 11.00 odlecieliśmy do Frankfurtu. Tu o godz. 14.00 mieliśmy 11,5-godzin-

ny przelot do Bogoty, a stamtąd o godz. 22.35 do Panamy City. Na lotnisku w Panamie mamy nockę, bo wykupiliśmy poranny przelot do David przy granicy z Kostaryką. Tak więc „rozbijamy obóz” i próbujemy spać. No cóż, różnie to bywa, chociaż na lotnisku cichutko i spokojnie, to jednak klimatyzacja tak działała, że skostnieliśmy z zimna.

23 lutego. Panama City – David – Paso Canoas – San Isidro. Jesteśmy już po odprawie do David, ale lot opóźnił się o pół godziny i wystartowaliśmy o 8.15. Po 45 minutach byliśmy na lotnisku przy granicy z Kostaryką. Niesamowicie, że tę samą trasę trzeba będzie za trzy tygodnie pokonać autobusem w 8 godzin. Z lotniska wychodzi się na ścianę tropikalnego gorąca, jest prawie 80% wilgotności, 35°C, i przedstawiamy zegarki o –7 godz. Dopiero po dwóch dniach organizm przyzwyczai się do takiej temperatury. W samolocie poznaliśmy Polkę Darię, która jechała na wakacje i chciała korzystać z couchsurfingu. Pogadałam z nią, czy jej nowy kolega, który po nią przyjechał, mógłby podrzucić nas na dworzec autobusowy w kierunku granicy. Następnie łapiemy busa za 2 USD, który sprawnie i szybko dowiózł nas na miejsce. Tu mamy starcie z biurokracją i ślimaczym tempem pograniczników. Ponad godzinę trwało, aż doszliśmy do okienka, gdzie zeskanowano palce, kciuki, dłonie, zrobiono zdjęcie i mogliśmy wejść do strefy międzygranicznej. Tam znaleźliśmy bank, gdzie dokonaliśmy wymiany walut: 1 USD = 530 CRC, bez pobierania prowizji. W Kostaryce nie ma konieczności posiadania większej ilości Colonów (CRC), gdyż równie dobrze prawie wszędzie można było płacić w dolarach (USD). Następnie podeszliśmy do granicy z Kostaryką i tutaj w parę minut zostaliśmy wpuszczeni do kraju. Stąd odjeżdżają autobusy do Neilly za 1750 CRC/os. Po pół godzinie byliśmy na miejscu, gdzie od razu mieliśmy autobus do San Isidro za 4350 CRC/os., odległość 199 km przejechalśmy w 4,40 godz. Zatrzymaliśmy się w Hotel Chirripo, San Isidro, Perez Zeledon za 27 000 CRC/3 os. Po szybkim prysznicu poszliśmy na obiad do Pollo Coco, gdzie porcja ryżu, kurczaka i fasoli kosztowała 2500 CRC.

24 lutego. San Isidro – San Gerardo. O godz. 8.30 mamy autobus do San Gerardo. Odjazd jest z innego terminala, bo choć miasteczko jest małe, ma kilka terminali. Po godzinie jazdy byliśmy na miejscu. Przejazd kosztował 1300 CRC/os. Są tu dwie ulice, więc wzdłuż tej „głównej” znajduje się kilka hoteli i pensjonatów. My zatrzymaliśmy się u rodziny Pani Leyli Fonseca Vargas przy Perez Zeledon obok kościoła (nie używa się tutaj nazw ulic i numeracji) w homestay za 9000 CRC/os. ze śniadaniem. Poszliśmy załatwiać permity do parku narodowego. Okazało się, że wejściówki do parku Cerro Chirripo z noclegiem zarezerwowane są na pół roku do przodu i nie ma szans na wejście dwudniowe. Tak więc będziemy próbowali wejść na górę ekspresowo w jeden dzień. Samo załatwienie pozwoleń to pobranie u strażnika numeru konta, potem trzeba podejść do zaprzyjaźnionego hostelu, gdzie można dokonać przelewu opłaty za wejście do parku. Następnie z potwierdzeniem wraca się do strażnika, który wystawia permit. Nie można tego zorganizować z Polski, ponieważ twierdzą, że przelew może nie zostać zaksięgowany i pozwolenie będzie nieważne. Całość kosztowała nas 10 USD + 7 USD/os. za transfer bankowy.

Po załatwieniu pozwoleń udaliśmy się piechotą do Aqua Termales, które znajdują się niedaleko. Podejście jest dosyć wymagające, szczególnie w tym upale i wilgot-

ności. Po chwili byliśmy złani potem, doszliśmy na miejsce i od razu wypiliśmy 2 litry Sprite'a. Odpoczęliśmy w cieniu, a następnie wykupiliśmy wejściówki na baseny po 3500 CRC/os. Trzeba jeszcze przejść kilka metrów przez las, aż dochodzi się do dwóch basenów, położonych tarasowo. Są wykafelkowane, jeden jest mniejszy i okupowała go rodzina Kostarykanów, drugi upodobali sobie turyści. Są wyprofilowane ławki, na których można się wygodnie zrelaksować. Baseny mają ciepłą wulkaniczną wodę, która stale je zasila. Co ciekawe, wyjście z wody powoduje, że powietrze wydaje się chłodniejsze. Trochę nas te temperatury osłabiły, więc powoli wróciliśmy do naszej kwatery, gdzie zjedliśmy obiad i około 18.00 padliśmy ze zmęczenia. Wieczorem zaczął padać deszcz i były to jedyne opady przez cały pobyt w Ameryce Środkowej.

25 lutego. San Gerardo – Cerro Chirripo (3820 m n.p.m.). No cóż... wykorzystaliśmy tym razem zmianę czasu na naszą korzyść i obudziliśmy się około godz. 2.00 w nocy. Doleżeliśmy do 3.00 i po szybkim śniadaniu i oprowiantowaniu ruszyliśmy z Jarkiem w góry. Mirek został na miejscu, w planach miał wycieczki po okolicy. Zaczęliśmy z miasteczka San Gerardo, które leży na wysokości 1330 m n.p.m. Tak więc mieliśmy do przejścia dodatkowo 2 km do miejsca El Termometro na wysokości 1520 m n.p.m., gdzie rozpoczyna się szlak, i 6 km do bramy administracji parku, której nikt nie pilnuje. Nie ma tu żadnych strażników, nikt nie sprawdza permitów. Tu rozpoczęła się nasza żmudna wspinaczka na górę. Droga była trochę rozmokła po deszczu, a trasę oświetlaliśmy latarką. Około godz. 5.30 wzeszło słońce i dopiero wtedy okazało się, jak wygląda reszta drogi. Na 7 km w zadaszonym miejscu do odpoczynku, jest dostęp do wody pitnej. Do głównej bazy Crestones 3342 m n.p.m. (zagospodarowanego schroniska) trzeba przejść 14 km. Większość trasy pnie się ostro w górę, gdzieś tam są kilkusetmetrowe płaskie odcinki, które dają odpocząć kolanom. Na 9 km rozdzieliliśmy się z Jarkiem, bo jest silniejszy i szybszy, więc jak kozica pokonywał odległości i ok. godz. 10.00 zameldował się w głównej bazie. Ja dotarłam tam o godz. 12.10, tak więc moja dalsza droga na szczyt nie miała już sensu, bo na górę trzeba dotrzeć przed godz. 12.00, aby mieć czas na zejście w dół. Z głównej bazy jest jeszcze prawie 500 m przewyższenia, i ponad 5 km do przejścia. Dalsza droga na sam szczyt wiodła łagodnie w górę, a ostatnie 200 m to już strome wejście na Cerro Chirripo 3820 m n.p.m. Dzisiaj tylko czterech piechurów spróbowało zaatakować szczyt w jeden dzień.

W sumie byliśmy zadowoleni, że udało nam się osiągnąć pułap przewyższenia ponad 2000 m i dotrzeć na 3342 m n.p.m., a Jarkowi wejść na samą górę. Sam wierzchołek określany jest mianem igły. Widoki z Cerro Chirripo nawet przy gorszej pogodzie, kiedy widoczne jest tylko bliższe otoczenie, są piękne. Można podziwiać Cerro Piramide (3807 m n.p.m.), Cerro Truncado (3680 m n.p.m.) czy Cerro Nuevo (3710 m n.p.m.), a także położone u podnóża szczytu Jezioro Chirripo.

Poczekaliśmy na Jarka jakieś 2 godz. aż wrócił do bazy, odpoczął, posilił się, a potem rozpoczęliśmy wędrówkę w dół. Okazało się, że śliskie kamienie z piaskiem stały się wyzwaniem dla utrzymania równowagi. Wciąż w dół, kamień za kamieniem, schodki za schodkami zlizaliśmy, a końca nie było widać. Około godz. 18.00 zaczęło się ściemniać, a trasa dodatkowo schowała się we mgłę, więc jeszcze szybciej sta-

raliśmy się schodzić. Przyświecaliśmy sobie latarką i po ponad 15 godzinach wróciliśmy do kwatery. Tu czekali gospodarze i, jak nas zobaczyli, to zrobili dziwne miny. Oprócz potwornego zmęczenia, byliśmy poparzeni przez słońce. W ogóle tego nie czuliśmy, dopóki się nie wykąpaliliśmy. Twarze zaczęły piec, a mięśnie reagować. W sumie mieliśmy dzisiaj bardzo dobrą pogodę, praktycznie cały czas byliśmy poubierani „na krótko”, w półbutach turystycznych. Według naszego Garmina przeszliśmy dzisiaj 43,7 km. Zdobycie góry nie wymaga wielkich umiejętności wspinaczkowych, wymaga jedynie wielkiego samozaparcia. Górę najlepiej zdobywać w lutym i marcu, kiedy jest najbardziej sucho. Znów jak dzieci zasnęliśmy, zapominając o świecie.

26 lutego. San Gerardo – San Isidro – Quepos. Rano budzi nas odgłos helikoptera. Okazało się, że maszyna robiła kilka rund w góry i z powrotem, bo miasteczko przygotowuje się do sobotniego biegu, i helikopter zaopatruje bazę na górze w wodę i prowiant dla biegaczy. Panowało ogólne poruszenie, dzieci cieszyły się z helikoptera, który stanowił nie lada atrakcję. Co roku około 200 biegaczy startuje ze stadionu w San Gerardo w 34 km biegu górskim, dobiegając do głównej bazy Crestones i zwracając w dół. Opłata za start wynosi 200 USD. Rekord trasy z 2012 r. to 3 godz. 5 min 26 s. Dzisiaj ujawniły się lekkie zakwasy, nasi przyjaciele dnia codziennego w Polsce. Mimo że trenujemy i biegamy, na taki wysiłek nie ma mocnych. Zjedliśmy śniadanie, które składało się z ryżu gallo pinto, pieczonych bananów, tostów, tortilli, kawy, sera (wypas do woli). Udaliśmy się na przystanek, skąd za 1500 CRC/os. odjeżdżał autobus do San Isidro. Tu przeszliśmy na Terminal Blanco na autobus do Quepos, który odjechał o godz. 11.30 za 2425 CRC/os. Po 3 godz. byliśmy na miejscu. Zatrzymaliśmy się w Wide Mouth Frog, przy Apartado 256, Quepos, podobno najlepszym hostelu w Kostaryce, za 35 USD/3os. w malutkim pokoju, ale z basenem i dostępem do kuchni.

Poszliśmy na rekonesans na miasto. Znaleźliśmy piekarnię z pysznymi, ciepłymi bagietkami, supermarket i targowisko na promenadzie. Ceny na targu są o wiele niższe niż w sklepach, tak więc warto zaopatrywać się na straganach. Wieczorem robiłam obiadokolację i resztę czasu spędziliśmy na basenie, relaksując się i rozmawiając z Panią Krystyną ze Szwecji. Ciekawa osoba, starsza Pani podróżująca z synem, którego usilnie chce ożenić. Śmiechu co niemiara, bo Pani Krystyna okazała się niezłą gawędziarką i barwnie opowiadała o swoim życiu i przygodach.

27 lutego. Quepos (Park Narodowy Manuel Antonio). Wstaliśmy o godz. 5.30, by na godz. 6.00 zdążyć na pierwszy autobus do Parku Manuel Antonio. Przejazd kosztował 310 CRC/os. W przewodniku jest napisane, że warto wcześniej podjechać, bo w weekendy przyjeżdża sporo turystów i może braknąć pozwoleń na wejście do parku (limit wynosi 800 osób). Okazuje się również, że rano jest więcej zwierząt, i nie ma aż takiego upału. Wstęp do parku 16 USD, płatne w banku otwieranym o godz. 7.00 (zresztą park też otwierany jest o godz. 7.00). Już przy głównej alei powitała nas sarenka i gromada małp kapucynek o białych twarzach. Nieraz warto dołączyć do grupy turystów, która ma swojego licencjonowanego przewodnika – przyrodnika z lunetą, przez którą można wypatrzeć zwierzęta. W taki sposób na szczycie drzewa widzieliśmy leniwcę. Przewodnicy dobrze wiedzą, gdzie leniwcę leniuchują i oszczędza się czas na samodzielne przeczesywanie gęstej dżungli. Poza tym wypatrzyli słyn-

nego kwezala herbowego (najlepiej zobaczyć go w okresie lęgowym, od marca do czerwca).

Po przejściu kilku szlaków ja udałam się na plażę, a chłopaki robili rekonesans po parku. Przychodzą tu mali złodzieje, czyli ostronosy koati, drapieżniki ssaki z rodziny szopowatych, które bez obaw kradną plecaki i reklamówki z jedzeniem, wyjadając co lepsze kąski. Co jakiś czas patrolowały swój rewir łowiecki, i wtedy na żadne kąpiele w oceanie nie można się wybierać. Można też spotkać duże iguany, które wylegają się na kamieniach lub kłodach drewna. Niedaleko jest punkt z wodą, który upodobały sobie małpki kapucynki. Tutaj można siedzieć godzinami i oglądać te bystre, śmieszne zwierzęta, które spijają wodę prosto z kapiącego kranu. Są one bardzo prospołeczne i potrafią trzymać się w grupie poligamicznej, czasem liczącej nawet czterdziestu osobników. Uczta dla fotografów. Jest tu prawie wszystko, co potrzebne do szczęścia: ciepły ocean, złoty piasek, sporo zwierząt, stąd też turyści licznie odwiedzają ten park. Wychodząc z parku, z daleka usłyszeliśmy dobiegające dźwięki rytmicznej muzyki z pobliskiej plaży. Była tam ustawiona scena, gdzie odbywały się pokazy zumbi. O godz. 16.00 wracaliśmy do Quepos.

28 lutego. Quepos – Puntarenas – Santa Elena. Po śniadaniu udajemy się na dworzec, skąd odjeżdżamy do Puntarenas. Bilet kosztował 2400 CRC/os, odjazd o godz. 9.30. Następnie przesiedliśmy się na autobus do Santa Elena, za bilet zapłaciliśmy 1500 CRC/os. Droga wiedzie przez góry krętymi serpentynami. Przez dłuższy czas jest asfaltowa, ale zdarzają się miejsca, gdzie jest tylko ubity kamień. Autobusy wytrwale pokonują te wyboje, docierając do celu. W Kostaryce nie można kierować się kilometrażem przy obliczaniu czasu na pokonanie trasy. Tutaj 100 km można jechać cały dzień, bo autobusy zatrzymują się na każde zawołanie, zbierają po drodze pasażerów, mają postoje na obiady i toaletę. Nocleg znaleźliśmy w Info Center Backpackers w Monteverde, który znajduje się w centrum miasta, przy głównej ulicy. Za pokój zapłaciliśmy 10 USD/os. Zrobiliśmy zakupy żywnościowe i odpoczywamy.

29 lutego. Santa Elena (Reserva Botanica Monteverde). O godz. 6.00 zjedliśmy śniadanie, a potem autobusem szkolnym podjechaliśmy 7 km do Reserva Botanica Monteverde (ze względu na kondensację pary wodnej nazywany lasem chmurowym). Bus odjeżdża z przystanku niedaleko hotelu, za przejazd zapłaciliśmy po 1500 CRC/os., wstęp do parku kosztował 20 USD/os. Trochę nas to już ruszyło, bo miejscowi płacą ułamek tej sumy. Park to kilka alejek, które w niektórych punktach przecinają się tworząc szlak, który ma sprawiać wrażenie skomplikowanego i długiego. W rzeczywistości spaceruje się tutaj jak w parku miejskim. Jest mgliście i w ogóle nie widać spektakularnych krajobrazów. Jest to specyficzne miejsce, ponieważ większość kraju jest sucha, a tutaj stale utrzymuje się mgła i chmury, z których sięgają mżawki.

Wróciliśmy do miasteczka i udaliśmy się do serpentarium, które zostało założone przez pasjonatów gadów i płazów. Wstęp 14 USD/os, ale jest możliwość przyjsjcia na ten sam bilet kilka razy w ciągu dnia. Podzieliliśmy się z Jarkiem, ja zostałam tutaj, a on poszedł do ogrodu motyli. Ekspozycja obejmuje prawie 30 akwariów, w których przebywają kolorowe żabki, ropuchy, węże, pająki, jaszczury oraz insekty. Większość żab i ropuch to stworzenia nocne, dlatego warto tu wrócić wieczorem, by zobaczyć faj-

ne zdjęcia. Szczególnie czekałam na Chwytnicę Czerwonooką, która oprócz leniwców jest atrakcją tego regionu. Wstęp do motyli wynosił 17 USD/os., ale można kupić pakiety wstępów łączone z gadami, insektami i zjazdem na linie. Miejsce, gdzie fruwały różnokolorowe motyle, to pięć hangarów zakończonych z obu stron podwójnymi drzwiami. W każdym z nich panowały setki motyli w jednym kolorze. Nad głowami fruwały stworzenia, którym natura przypisała krótki żywot – zaledwie trzy tygodnie. Jarek zrobił sesję z motylami, szczególnie z niebieskimi skrzydełkami. Są przepiękne.

Wróciliśmy do hostelu, zrobiliśmy obiad, a wieczorem poszłam znów obejrzeć żaby. Okazało się, że płazy obudziły się i nawet ziewały, co wzbudzało salwy śmiechu. Większość akwariów jest zaciemniona i można podświetlić pomieszczenie zamontowaną w środku żarówką lub latarką. Odwiedzający skupili swoją uwagę na żabach z czerwonymi oczami, bo to one stanowiły główną atrakcję. Są zielone z białym brzuchem i niebieskimi bokami. Obok znajdują się żabki transparentne, przybierające kolor liści jak kameleon. Znalazłam jeszcze 2-centymetrowe żabki czerwono-czarne i biało-czarne jak salamandra, wyglądają ślicznie. Niesamowite, jak natura potrafi przybrać maskujące barwy. Część stworzeń za dnia w ogóle nie było widać, siedziały zakamuflowane pod liśćmi, a wieczorem okazało się, że jest ich o wiele więcej, i wspólnie zaczęły prawdziwy koncert umiejętności wokalnych. Zapytałam właścicieli, czy na mój bilet może wejść Jarek, zgodzili się, więc pobiegałam do hostelu. Wzięliśmy latarkę i zrobiliśmy kolejną sesję. Okazało się, że były to najdokładniej sfotografowane żaby w Kostaryce.

1 marca. Santa Elena – La Fortuna. O godz. 6.00 pobudka (hm... jesteśmy na wakacjach). Dzień wcześniej wykupiliśmy przewóz do La Fortuna bus–statek–bus za 20 USD/os. W agencjach kosztuje 25 USD, ale dostaliśmy zniżkę jako rezydenci hostelu. O godz. 8.00 mieliśmy busa do przystani przy jeziorze Arenal, przejazd trwał 1,30 godz., następnie łodzią przepłynęliśmy w 40 minut do kolejnej przystani, skąd busem dowieziono nas do La Fortuna. Widoki malownicze, bo z każdej strony wylania się potężny stożek Wulkanu Arenal (1630 m n.p.m.), górujący nad okolicą. Jego wierzchołek jest schowany w chmurach. Miasteczko jest typowo turystyczne, tak więc jest tu sporo prywatnych kwater, małych hoteli i restauracji. Znaleźliśmy Hostel Amistad, który znajduje się przy Avenida Central, ok. 100 m od kościoła. Jest kuchnia, hamaki, pokój z łazienką, to co potrzebujemy za 40 USD/3os.

Zostawiliśmy bagaże i poszliśmy według nawigacji do Ecocentro Danaus. Szliśmy jakieś 4 km w upale, aż doszliśmy do gospodarstwa, niestety, ludzie nie potrafili nam wytłumaczyć, gdzie znajduje się rezerwat. Wyszliśmy na ścieżkę i poczekaliśmy aż ktoś pojedzie. Jeden z miejscowych pokazał nam, że trzeba jeszcze podejść 800 m i przejść zawalony most. Byliśmy na miejscu. Wstęp 15 USD/os. Jest to park, gdzie „podobno” są leniwcze, stworzono motylarnię i przylatują tu ptaki. Chłopaki poszli szukać leniwców, a ja zostałam przy recepcji, gdzie były ustawione karmniki, do których przyleciało wiele ptaków zwabionych kawałkami bananów, papai i ananasa. Ucztowaliśmy tukany, kolibry, zimorodki, a innych nazw ptaszków nie znam, były niebieskie, żółte, z czerwonymi brzuszками. Do wyboru, do koloru. Park dawał możliwość podejścia do nich bez spłoszenia na bardzo bliską odległość. Na drzewie siedziała duża

iguana, a w zaroślach buszował jakiś futrzany stworek. Pytałam o nazwy poszczególnych zwierzątek, ale są to ich nazwy własne, więc nic mi to nie mówiło. Tukany rządziły, są przepiękne. Nie takie duże jak w Meksyku, ale równie malownicze.

Chłopaki wrócili, ale bez leniwców. Posiedzieliśmy jeszcze trochę, a potem ruszyliśmy w drogę powrotną. Upał niemiłosierny. Udało nam się zatrzymać samochód na stopa, który podwiózł nas do miasta. Coraz częściej mam wrażenie, że ten kto wytyczał odległości w Kostaryce był albo pijany, albo popsuta mu się linijka. Dziś na kolację gallo pinto własnej roboty.

2 marca. La Fortuna (Park Narodowy Arenal). Po śniadaniu pojechaliśmy do Parku Narodowego Arenal. Przejazd 17 km kosztował 1100 CRC/os. Wysiedliśmy na skrzyżowaniu i przeszliśmy jeszcze 2,5 km szutrową drogą do budynków strażniczych. Udało nam się wynegocjować wstęp dla miejscowych, czyli po 1000 CRC + 1000 CRC łapówki. Bilet normalnie kosztuje 15 USD/os. Park to kilka alejek wśród wysokich drzew i traw, gdzie można zauważyć wiewiórki, jaszczurki, różne gatunki ptaków. Po jakimś czasie dochodzimy do zastygłej lawy, która stanowi pozostałość, jaką był do 2010 r. aktywny wulkan. Od tej pory jest on w stanie uśpienia. Lata wcześniej stanowił atrakcję z uwagi na potoki lawy i wybuchy popiołów, co było widowiskowe szczególnie nocą. Obecnie wulkan jest w głównej mierze tylko wizerunkowo atrakcją turystyczną, i kto wie, kiedy da o sobie znać. Ze względu na bezpieczeństwo szlaki na szczyt są zamknięte. Po kilku godzinach przechadzania się po parku wróciliśmy do skrzyżowania i próbowaliśmy zatrzymać samochód na stopa. Po chwili złapaliśmy vana z rodziną Amerykanów, którzy dowieźli nas do miasta. Postanowiliśmy jeszcze podejść 3,8 km do Catarakta la Fortuna, gdzie znajduje się wodospad i gorące źródła, ale wstęp kosztował 12 USD/os., więc sobie odpuściliśmy. Okazało się, że takich budżetowców jak my było więcej, i właściwie tylko zorganizowane wycieczki tam wchodziły. Jarek jeszcze poszwendął się po miasteczku, a ja przygotowałam obiad. Jutro Morze Karaibskie!

3 marca. La Fortuna – Ciudad Quesada – San Jose – Cahuita. Godz. 5.40 pobudka, śniadanie: tosty, banany i w drogę. O godz. 6.10 ruszyliśmy autobusem do Ciudad Quesada za 1300 CRC/os., zaraz mieliśmy autobus do San Jose za 1785 CRC/os. Po 2,5 godz. byliśmy na miejscu. Tu zmieniliśmy terminal, skąd o godz. 12.00 mieliśmy kolejny autobus do Cahuity za 4700 CRC/os., przejazd 4,15 godz. Braliśmy też pod uwagę przejazd z La Fortuna na północ do Tortuguero, ale za opcję door-to-door chciano po 60 USD/os. W Cahuita zatrzymaliśmy się w Cabinas Palmer za 10 USD/os., niedaleko morza. Tutaj mamy pokój z łazienką, patio, hamaki, śniadania i dostęp do kuchni. Wieczorem zrobiliśmy rekonesans po miasteczku, okazało się, że są tu cztery ulice, a na mapie widnieje to miasto jak jakaś metropolia. Panuje tu atmosfera relaksu i wypoczynku. Słońce, turkusowa woda, wysokie palmy zachęcają, żeby zwolnić tempo życia.

4 marca. Cahuita (Park Narodowy Cahuita). Oj, pospaliśmy do oporu... Po śniadaniu udaliśmy się do Parku Narodowego Cahuita, dzisiaj nigdzie nie trzeba było jechać, bo park znajduje się tuż przy plaży i jest za darmo! Obok dużego hotelu, jest mostek, prowadzący do budki strażnika, który wstęp uznaje, jeśli się tylko uśmiechniesz. Trzeba jeszcze tylko wpisać swoje dane do książki przy wejściu i wyjściu. Park

słynie z ładnych piaszczystych plaż, i rafy koralowej. Samo przejście trasy do Puerto Varga ma 8 km, ale my przeszliśmy ok. 5 km. Główny szlak prowadzi wzdłuż plaży. Część lądowa parku charakteryzuje się wilgotnym lasem równikowym oraz bagnami namorzynowymi. W strefie przybrzeżnej rośnie dużo drzew kokosowych i migdałowych. Park powstał między innymi w celu ochrony rafy koralowej, która zajmuje powierzchnię 6 km². Można tu zaobserwować wiele zwierząt: małpy, szopy, jaszczurki, węże, ptactwo wodne. Park jest fantastyczny i co najważniejsze – nie ma tu tłumów ludzi. Późnym popołudniem wróciliśmy do hostelu, i zrobiliśmy podwieczorek w postaci bananów w cieście. Wieczorem przeszliśmy się na plażę z czarnym piaskiem, gdzie postanowiliśmy się wykąpać, a potem zakupiliśmy produkty na obiadokolację.

5 marca. Cahuita – Limon – Moin – Tortuguero. Wstaliśmy o godz. 6.00, a o 7.00 mieliśmy autobus do Limon za 1210 CRC/os. Tu trzeba zmienić terminal, który znajduje się po drugiej stronie boiska, by dostać się do Moin. Warto też zrobić zakupy w supermarkecie, bo w Tortuguero jest zdecydowanie drożej. Przejazd do Moin za 100 CRC/os. mieliśmy o godz. 9.30, autobus zatrzymuje się niedaleko przystani. Pojechaliśmy tam, i mieliśmy szczęście, bo ostatnia łódź do Tortuguero wyruszyła o godz. 10.00. Za rejs zapłaciliśmy po 35 USD/os. Płynęliśmy 4 godz., a nasz sternik pokazywał nam zwierzęta, m.in. aligatory, leniwcę, ptactwo wodne. Ponieważ poziom wody jest dosyć niski, łódź co chwilę przyspieszała lub zwalniała. Charakterystycznym elementem krajobrazu parku jest labirynt kanałów. Po drodze zatrzymaliśmy się w osadzie, gdzie można zjeść obiad lub kupić miejscowe wyroby spożywcze, np. biały ser. O godz. 14.00 byliśmy w Tortuguero. Nasz nocleg to Cabinas Balcones del Mar, 30 USD za domek, skąd było jakieś 50 m do morza. Jest to drewniana chatka w karaibskim stylu z hamakami. Plaża z czarnym piaskiem jest czysta, a temperatura wody wynosi 26°C. Poszliśmy obejrzeć miasteczko, które składa się z kilkunastu kolorowych domków, położonych wzdłuż głównej uliczki i licznych małych alejek. Tortuguero znajduje się nad brzegami morza i rzeki, co dodaje atrakcyjności, bo z jednej strony są kanały rzeczne z parkiem narodowym, a z drugiej strony ciepłe Morze Karaibskie. W mieście nie ma ani jednego samochodu. Nawet gdyby jakiś był, to nie miałby gdzie jeździć. Główna ulica przecinająca miasteczko nie jest szersza od zwykłego chodnika. Nie ma tu śladu asfaltu. Mieszkańcy wszędzie poruszają się pieszo lub na rowerach. Po południu mogliśmy poobserwować trening młodych adeptów pięściarstwa, gdyż sport ten jest bardzo popularny w krajach Ameryki Środkowej.

6 marca. Park Narodowy Tortuguero. O godz. 8.30 wyruszyliśmy łodzią na wodne safari po kanałach rzecznych. Najpierw w agencji trzeba wykupić rejs za 20 USD/os., następnie udać się do wejścia do parku, gdzie wykupuje się pozwolenie na wstęp za 15 USD/os. Mieliśmy łódkę dla trzech osób, napędzaną silnikiem, którą udaliśmy się w poszukiwaniu licznych gatunków ptaków, ssaków, gadów i owadów. Cała wyprawa to trzy godziny kluczenia łodzią po naturalnych kanałach wodnych i labiryntach rzecznych. Przewodnik robił przystanki łodzią i pokazywał nam co jakiś czas małpy, aligatory, każdą żabkę, opowiadał o nich, o drzewach, kwiatach. W takich miejscach jak kanały Tortuguero można rano obserwować ptaki, które wyruszają szukać poży-

wienia. Jest to miejsce lęgowe dla: fregat, pelikanów, kormoranów i węzówek. Szkoda tylko że nie udało nam się zobaczyć żółwia zielonego, ale ich okres lęgowy przypada od lipca do października. Łódź przybiła do brzegu, a tu stoi ogromna 1,5 m iguana, która została obfotografowana z każdej strony. Przepiękna sztuka. Następnie kupiliśmy za 35 USD/os. bilety powrotne do Moin, na następny dzień. Wróciliśmy do domku trochę odpocząć od upału, a potem poszliśmy popływać w morzu.

Uwaga!!! Należy uważać na silne prądy odpływowe, które poruszają się szybciej od najsilniejszych pływaków. W razie dostania się pod taki prąd należy zachować się spokojnie i nie próbować z nim walczyć, tylko pozwolić się nieść falom. Kiedy jego siła osłabnie, wtedy należy szybko płynąć do plaży.

7 marca. Tortuguero – Moin – Limon – San Jose. O godz. 9.45 ruszamy łodzią do Moin, z powrotem płynęliśmy 3 godz. Potem autobusem do Limon, a stąd dalej do San Jose. Przejazd do stolicy kosztował 3170 CRC/os., jechaliśmy 4 godziny. Mieliliśmy tutaj zarezerwowany Hostal San Jose, przy Avenida 5 Calle 14, który znajdował się nieopodal kilku terminali autobusowych, w tym Coca-Cola Terminal i szpitala San Juan. Jest to ważny punkt orientacyjny, bo w mieście jest aż 16 dworców autobusowych i warto znaleźć sobie jakiś punkt odniesienia. Za nocleg płaciliśmy 30 USD za pokój 3 os. Obiadokolację zjedliśmy w pobliskiej knajpie, płacąc 2500 CRC.

8 marca. San Jose – Cartago. O godz. 8.05 ze stacji Atlantico jedziemy pociągiem do Cartago. Podróż trwa 40 min, a przejazd kosztował 550 CRC/os. Cartago to pierwsza stolica Kostaryki, słynąca z ogromnej Basílica de Nuestra Señora de los Angeles (budowla widoczna z daleka). Są tu też ruiny po kościele św. Jakuba, który zniszczyły wielokrotne trzęsienia ziemi. Niezadaszone mury z pustymi gotyckimi oknami stoją nadal. W miejscu tym, nazywanym Las Ruinas, jest teraz ogród. Miasteczko jest tak inne od San Jose. Pochodziliśmy po uliczkach i po dwóch godzinach wróciliśmy do stolicy. Tutaj podeszliśmy na chwilę do hostelu, a potem udaliśmy się na targowisko Mercado Central. Jest to ogromny targ, gdzie można kupić jedzenie, artykuły codziennego użytku, pamiątki. Ponadto jest tu wiele małych restauracyjek, żywiących miejscowych za przyzwoite pieniądze. Zjedliśmy więc casado con fresca, czyli tzw. danie dnia z napojem. Pyszne i dużo, czyli ryż, makaron, sos z mięsem, sałatka, czerwona fasola, krem z dyni. Zapłaciliśmy 2000 CRC/os.

Następnie zaczęliśmy rozglądać się za przystankiem, skąd będą odjeżdżać autobusy w kierunku stadionu, gdzie miał być koncert zespołu Iron Maiden. Ponieważ Ironi mają do Polski przyjechać w lipcu br., postanowiliśmy sprawdzić, czym będzie różnił się ten koncert od europejskiego. Słuchamy ich muzyki od nastoletnich czasów, wręcz na ich muzyce niektórzy się wychowali. Jarek był na ich pierwszym koncercie w Polsce (Zabrze 1984 r.). Tak więc podczepiliśmy się pod jedną z par ironmeidenowych, zmierzających na koncert i jak po sznurku dotarliśmy na miejsce. Kilka godzin obserwowaliśmy tłum, który odpowiednio „oliwił” gardła złocistym napitkiem, a do tego przypalał ziołem chwalonym przez ludzi z Jamajki. Wieczorem pod bramami stadionu opustoszało, a my spokojnie kupiliśmy bilety za 41 USD/os. i weszliśmy na trybunę. Najpierw grał Rave Age, potem Antrax, a o godz. 20.00 rozpoczęli Ironi. Całość koncertu to animacje z kontynentu południowoamerykańskiego, oczywiście wejście Edie-

go zrobiło furorę. Fajny koncert. Organizacja bardzo dobra, spod stadionu odjeżdżały autobusy miejskie do centrum miasta, tak więc nie musieliśmy iść prawie 5 km do hotelu. Po drodze obejrzelśmy podświetlone zabytki San Jose, plac centralny z katedrą metropolitalną, teatr miejski i pocztę główną. Trzeba przyznać, że miasto lepiej prezentuje się w nocy niż za dnia.

9 marca. San Jose – Paso Canoas – David – Panama City. O godz. 5.00 mieliśmy autobus do Paso Canoas przy granicy z Panamą za 7750 CRC/os. Po 8,5 godz. byliśmy na miejscu. Na granicy trzeba zapłacić podatek wyjazdowy, czyli podejść do busika, w którym jest stworzona mobilna filia banku. Opłata wynosi 7 USD podatku +1 USD za transfer, dostaje się potwierdzenie wpłaty, po czym trzeba wrócić do okienka strażnika granicznego, który stempluje paszport. Przeszliśmy do granicy z Panamą i tutaj podszedł do nas jakiś człowiek, u którego trzeba było wykupić małe karteczki za 1 USD, a następnie wkleić je do paszportu. Potem podeszliśmy do okienka, a tu szybko i sprawnie popatrzone w paszporty i wpuszczono nas do Panamy. Jaka różnica w porównaniu z sytuacją sprzed 3 tygodni. Należy zaznaczyć, że jest to ciekawa granica, bo wchodzi się i przechodzi wokół sklepów i tak naprawdę nikt nie monitoruje ruchu. Wydaje się, że piesi chodzą wszędzie, nie wiadomo, kto jest naganiaczem taksówek, kto przechodzi przez granicę itd. Poza tym w strefie międzygranicznej są dworce, sklepy, bank i ogólnie panuje zgiełk. Wchodząc do Panamy, zauważyliśmy busa do David. Szybko i sprawnie ulokowaliśmy się w środku i po godzinie za 3 USD/os. dojechaliliśmy na terminal autobusowy. Uff... tutaj można płacić dolarami, chociaż mają też swoją walutę, Balboa. Jest to pieniądź w obrocie oficjalnym, ale jak otrzymaliśmy resztę w tej walucie, to nie wiedzieliśmy, jaką te pieniądze mają wartość.

Niedaleko dworca znajduje się kilka knajpek, w jednej z nich zjedliśmy obiad. Potem zrobiliśmy zakupy w supermarkecie, bo jeszcze ok. 8 godzin drogi przed nami. Tak, więc była to ta trasa, której uniknęliśmy na początku naszej wyprawy, oszczędzając czas lotem ze stolicy do David. Teraz przemierzmy ten odcinek słynną drogą Panamericaną. Bilet kosztował 15,25 USD/os., a odjazd mieliśmy o 17.15. O godz. 1.00 w nocy byliśmy na miejscu. Okazało się, że dworzec autobusowy Albroom jest już zamknięty i nie jeździ transport publiczny. Do pensjonatu mieliśmy około 6 km, a w nocy nie wiadomo, jak i gdzie iść, więc wzięliśmy taksówkę. Za kurs zapłaciliśmy 7 USD/3 os., a zatrzymaliśmy się w Residential Cuba, Calle 37 Avenida Cuba Caledonia, za 36,96 USD/3 os. Pokój jest czysty, łazienka z ciepłą wodą, klimatyzacja, telewizor, czego jeszcze potrzeba do szczęścia po 20 godzinach jazdy... Jest to typowy, tani hotel. Wi-fi odbiera na korytarzu, więc wszyscy fani netu siedzą na schodach i cieszą się z zasięgu. Okazało się, że w dzielnicy jest dużo różnych hoteli w podobnej klasie, więc o nocleg nie trzeba się martwić.

10 marca. Panama City. Postanowiliśmy zostać w tym hotelu do końca naszego pobytu, bo warunki są dobre, w miarę cicho (oprócz klimatyzatorów), niedaleko jest stacja metra, a do morza trzeba przejść 3 przecznice. Opłaciliśmy pobyt i ruszyliśmy piechotą zwiedzać miasto. Najpierw doszliśmy do deptaku, który wiedzie w dwie strony miasta: starą i nową. Przyjemne miejsce, które tętni życiem. Po jednej stronie Zatoki Panamskiej mamy klimatyczne, kolorowe fasady kolonialnych kamieniczek. To

Casco Viejo, Stare Miasto ocalone od całkowitej ruiny dzięki wpisaniu na listę dziedzictwa UNESCO. Po drugiej stronie zatoki Punta Paitilla niczym na Manhattanie wyrasta las wieżowców, to biznesowo-bankowa część miasta, odbijająca się w turkusowych wodach zatoki. Panama jest nie tylko tanią banderą, ale i rajem podatkowym.

Po 3 km dotarliśmy do starego miasta, zaczynając zwiedzanie od portu i targu rybnego. Jest to też atrakcja turystyczna, gdzie można smacznie i niedrogo zjeść. Dalej zagłębiliśmy się w uliczki miasta i powoli oglądaliśmy to fascynujące miejsce. Tu nowoczesność miesza się z kolonialną tradycją, wpływy europejskie z karaibskimi, a bieda z bogactwem. Rezydencję z widokiem na zatokę ma tu prezydent Panamy; jego pałac łatwo poznać po zbrojnej straży i otaczających go zasiekach. Mieliśmy poczucie, że znaleźliśmy się w Hawanie, jest tu też dzielnica Chinatown. Widać duże inwestycje w rewitalizację, gdzie sporo środków finansowych jest przeznaczonych na remont zrujnowanych budynków, kamienic, teatrów, kościołów. Część starówki jest już bardzo ładnie odnowiona i stanowi wizytówkę miasta, ale nas jak zwykle nosi w rejonach podupadłe, zniszczone, wręcz slumsowate.

Pochodziliśmy kilka godzin, a potem wróciliśmy do „naszej” dzielnicy. Tu znaleźliśmy małą knajpkę prowadzoną przez chińczyków, gdzie stołowaliśmy się do końca pobytu. Okazało się, że pomimo opinii o starym mieście, że jest tanio i przystępnie, to warto zjeść w dzielnicy chińskiej, która zawsze nas dobrze i tanio nakarmi. Jest tu dużo jadłodajni, sklepów, a miejsce tętni codziennym życiem.

11 marca. Panama City. Śniadanie zjedliśmy w knajpcie, a wybór potraw mile nas zaskoczył. Mnie bardzo zasmakowała juka w formie frytek, kluski w formie kartaczy, pieczone kielbaski. Każdego dnia próbowaliśmy nowych smakołyków. Udaliśmy się na stację metra, gdzie kupiliśmy w automacie kartę metrobus. Panama przeprowadziła reformę transportu publicznego i teraz, aby poruszać się komunikacją, trzeba mieć kartę. Kosztuje 2 USD/os. i można ją doładować od razu w automatach. Trzeba pamiętać, że wkładając duży nominał do środka, maszyna nie wyda reszty. Przejazdy są tanie, więc my mieliśmy doładowane po 3 USD. Wystarczy, jeśli więcej się zwiedza piechotą niż jeździ. Dzisiaj jedziemy do Kanału Panamskiego, który jest pierwszym skojarzeniem z Panamą. Dojechalismy do terminala Albrook, dalej autobusem miejskim pod sam kanał. Wchodząc do pojazdu, przykładamy kartę do czytnika, potrącona jest odpowiednia kwota za bilet, np. 35 centów, a wychodząc, można jeszcze sprawdzić stan konta. Wstęp do kompleksu muzealno-widokowego Miradores Locks wynosi 15 USD/os. Obejmuje punkt widokowy, muzeum i kino.

Pierwsze kroki skierowaliśmy na specjalny taras, z którego można obserwować wpływające statki. Między 9.00 i 11.00 jest więcej przepraw dużych transoceanicznych kontenerowców, więc zgromadziło się wielu turystów. Każdy chce zrobić jak najlepsze ujęcie, a całe show to obserwowanie jak ogromne statki są ciągnięte przez małe kolejki, napełniając się wodą śluzą, a następnie statek podnosi się do poziomu wody i wypływa w dalszy rejs. Trzeba uzbroić się w cierpliwość, bo ten proces długo trwa, więc mieliśmy nadzieję, że większość turystów poganiana przez pilotów wycieczek nie długo zwolni miejsca widokowe. Po przepłynięciu jednego statku większość odeszła, a my ulokowaliśmy się przy poręczy i oglądaliśmy przeprawy wykorzystujące prawa

natury i fizyki. Ponadto kunszt inżynierii ludzi, którzy wymyślili ten projekt, zrealizowali go i do dnia dzisiejszego działa. Kanał, który ma 82 km, był poszerzany kilka lat temu, więc powiększyła się jego przepustowość. Jest to jeden z największych skrótów świata łączący dwa Oceany: Spokojny i Atlantycki, tzw. kura znosząca złote jajka. Za przepłynięcie statki płacą, zależnie od wagi, średnio ok. 30 tys. dolarów. Rekordem była przeprawa gigantycznego cruisera, który za pokonanie kanału zapłacił ponad 330 tys. dolarów. Najtaniej, za jedyne 36 centów, przepłynął go wpław w 1982 r. Amerykanin Richard Halliburton.

Potem wróciliśmy do miasta, tutaj ponownie z Albrook podjechaliśmy do Amador, jednej z dzielnic, gdzie znajduje się Biomuseum. Stanowi atrakcję architektoniczną, bo pośród starych kamienic i drapaczy chmur wybudowano nowoczesny budynek pomalowany w pastelowe kolory, jest to coś w rodzaju ogrodu botanicznego. Poroiliśmy zdjęcia i wróciliśmy do centrum. Terminal autobusowy połączony jest z centrum handlowym, więc skorzystaliśmy z klimatyzacji, chodząc po galerii i odwiedzając sklepy. Kupiliśmy lody i w jednej z knajpek skonsumowaliśmy je. Potem podjechaliśmy w pobliże meczetu Jama Masjid. Pieszko wróciliśmy do naszego hotelu, oglądając jeszcze poczynania młodych uczennic grających w siatkówkę.

12 marca. Panama City. Śniadanie zjedliśmy u Chińczyka. Potem autobusem z głównej Avenida Balboa pojechaliśmy w kierunku Panama Viejo, czyli ruin starej Panamy. Wstęp kosztował 12 USD/os. Są to ruiny i pozostałości pierwotnego zespołu miejskiego, najstarszego na wybrzeżu pacyficznym. Miasto zostało założone 15 sierpnia 1519 r. Zespół archeologiczny Panama Viejo został w 1997 r. wpisany na listę obiektów UNESCO. Do czasów dzisiejszych zachowały się ruiny katedry wraz z 30-metrową wieżą, ruiny ratusza, szpitala, kościoła, klasztoru. Znajduje się tu również muzeum. W oddali mamy kontrast z nowoczesnymi budynkami Panama City. Obejrzelśmy ruiny i ruszyliśmy w drogę powrotną. Odwiedziliśmy jeszcze fabryczkę karnawałowych eksponatów i tak znaleźliśmy w upalnej Panamie styropianowe bałwanki, Mikołaja, Oskary. Fajnie było pooglądać jak produkuje się scenografię do karnawałowego show.

Wróciliśmy do centrum autobusem, wysiedliśmy w pobliżu starówki i znów zanurzyliśmy się w stary świat. Szliśmy wolno, robiąc zdjęcia to tu, to tam, aż w pewnym momencie coraz więcej osób ostrzegało nas przed wyrwami i napadami. Radzili nie zapuszczać się głębiej w rejony po tzw. lewej stronie. Trochę to ignorowaliśmy i metodycznie chodziliśmy uliczka za uliczką. W pewnym momencie zatrzymała nas policja z pytaniem, co my tu robimy? No zwiedzamy... to idźcie na prawo, wszystko co na lewo to niebezpieczne, nie wolno. Posłuchaliśmy, ale dwa dni wcześniej nikt nam nie zwracał uwagi, chodziliśmy po zakazanych rejonach i nic się nie stało. Część miasta jest bardzo dobrze odnowiona i stanowi wizytówkę, reszta jest zrujnowana i czeka na generalny remont. Może i jest niebezpiecznie, ale nie odczuliśmy tego specjalnie.

Najbardziej fascynujące życie toczy się w ścisłym centrum na Avenida Central, dzieciaki bawią się przed bramami domów, panowie dyskutują popijając piwo, kobiety karmią dzieci lub farbują włosy, a Indianie Kuna zaskakują kolorami strojów. Jest to bardzo fajne miejsce, by porobić ludziom ciekawe zdjęciowe portrety. Kuna nie spo-

sób przeoczyć, nawet w gęstym panamskim tłumie. Cechą wyróżniającą kobiety Kuna są tkane ręcznie i barwione bluzki zwane molas, czerwone chusty noszone na głowach, sznury bajecznie kolorowych koralików zdobiących ich nogi i nadgarstki, z rytualnie pomalowanymi twarzami i nosami przyozdobionymi złotymi kolczykami w przegrodzie nosowej, wyglądają tak samo jak przed wiekami. Kuna są jednym z siedmiu autochtonicznych plemion Panamy. Na początku XX w. wywalczyli sobie nie tylko autonomię, ale i prawo do własnej flagi, języka, praw, wierzeń. W 1952 r. rząd Panamy postanowił oddać Indianom Kuna ziemię. To około 48 spośród prawie 400 małych wysepek na Morzu Karaibskim, ułożonych w archipelagu San Blas. Łączna populacja Indian wynosi obecnie około 40 tys., w tym 25 tys. żyje na wyspach, a pozostali na lądzie stałym. Indianie Kuna są niscy, mają wysoko sklepione klatki piersiowe i orle nosy. Kuna zajmują się rybołówstwem, uprawą ryżu, kukurydzy, manioku, trzciny cukrowej. Społeczeństwo Kuna jest matrylokalne. Po ślubie młoda para zamieszkuje w domu panny młodej. Tradycja ta oznacza, że wielkie kilkupokoleniowe rody żyją w tym samym domu połączone więzami krwi po linii żeńskiej.

Po kilku godzinach rozdzieliliśmy się, ja powoli wracałam w kierunku nowego miasta, a Jarek fotografował ludzi. Podeszłam jeszcze do nowej części Panama City, bo bardzo spodobał mi się jeden z wieżowców.

13 marca. Panama City – Bogota. Dzisiaj odpoczywamy przed dwudniową podróżą i chłodzimy się hotelową klimą. Jarek poszedł jeszcze do miasta szukać motywów zdjęciowych. Wykorzystujemy dobrą hotelową dobową do końca, tzn. do godz. 12.00, a potem metrem jedziemy do Albrook, stąd autobusem na lotnisko Tocumen. Przejazd ze względu na niedzielę i brak korków trwał tylko 40 min. Z przystanku autobusowego trzeba przejść jeszcze pasażem jakieś 300 m do hali odlotów. Na lotnisku udało mi się sprzedać nasze karty metrobus, bo pewnie nigdy ich już nie wykorzystamy. Dodatkowe 4 USD, a co... Tutaj przepakowujemy się i przebieramy w odzież zimową. Odlot według rozkładu. Panama City – Bogota o godz. 17.50, następnie z Bogoty o godz. 21.50 mieliśmy 11-godzinny przelot do Frankfurtu, by następnego dnia o godz. 14.50 wylądować w największym porcie lotniczym Niemiec.

14 marca. Frankfurt – Paryż. Z Frankfurtu mamy start o godz. 20.20, jeszcze tylko 1,15 godz. lotu i już jesteśmy w Paryżu. Z lotniska pociągami RER za 10 EUR/os. podjeżdżamy do Chatelet, a stąd dalej metrem do Neuilly Ville, gdzie mieliśmy nocleg w Ibis Budget Hotel przy 38 avenue Georges Clémenceau – 92000 Nanterre (19 EUR/os.). Dokupiliśmy śniadanie za 6.15 EUR. Położyliśmy się spać, mając nadzieję na oszukanie jet lagu.

15 marca. Paryż – Katowice – Bytom. Siedzimy w hotelu do oporu, potem metrem ze stacji Nanterre-Ville za 2,75 EUR/os. podjeżdżamy do Port Maillot, stąd autobusem za 17 EUR/os. jedziemy na lotnisko Paryż-Beauvais, przejazd trwał 1,10 godz. Lot Wizz Air, który miał być o godz. 20.15, jest opóźniony o godzinę, tak więc zawalił się plan powrotu Mirka do Tych. Z lotniska odbiera nas znajomy, z którym jedziemy do Bytomia.

Podsumowanie. Prawie nigdzie na świecie nie jest tak, że praktycznie obok siebie są dwa oceany (Atlantyk – Pacyfik), słońce i fale nie powinny zawieść przez cały

rok, w głębi lądu dymią groźne wulkany, mamy tu gęstą dżunglę, dzikie górskie rzeki, szczyty górskie sięgają prawie 4000 m n.p.m. W odróżnieniu od Meksyku czy Gwatemali brakuje jedynie prekolumbijskich zabytków. W rzeczywistości jest to małe państwo (4,8 mln mieszkańców), o powierzchni 51 tys. km (ponad 6 razy mniejsze od Polski). Z północy na południe mierzy 460 km, a w najwęższym miejscu ma zaledwie 120 km. Dla wielu obywateli Europy i Ameryki Północnej Kostaryka stała się wspaiałą nową ojczyzną. Przez cały rok temperatura utrzymuje się na poziomie 22–30°C w dzień i w nocy. Wyjątkowo jak na ten rejon świata spokojnie tu i w miarę dostatnio. Od 1949 r. w kraju nie ma armii, choć Kostaryka leży między Nikaraguą i Panamą, które do oazy pokoju trudno zaliczyć. Okazuje się, że zamiast wydawać setki milionów dolarów na wojsko, można je wydać na pożyteczne rzeczy, typu: edukację, ochronę zdrowia, infrastrukturę, przyrodę (parki narodowe), turystykę. Zwolennicy coraz bardziej popularnego podglądania ptaków koniecznie powinni się tu wybrać. W Kostaryce występuje ich 850 gatunków, 16 gatunków papug, ponad 50 gatunków kolibrów, czego więc trzeba więcej miłośnikom fauny i flory. Do Kostaryki z całego świata zjeżdżają fani raftingu. Rzekami najbardziej nadającymi się na spływ są Pacuare i Reventazon. Ci, którzy wolą się wspinać, również znajdą coś dla siebie. W parku narodowym Chirripo leży najwyższy szczyt w kraju Mt. Chirripo o wysokości 3820 m. Są też trzy inne szczyty powyżej 3500 m. Taka właśnie jest Kostaryka, nie można się tu nudzić. Mieszkańcy, to prawdziwa mieszanka etniczna: Metysi, Murzyni, Mulaci, Indianie i biali. Kostaryka jest warta każdego wydanego grosza, centa i pensa.

Kolumbia we dwoje



Przejazd. Samolot: cena za osobę na trasie Berlin – Frankfurt – Bogota – Frankfurt – Berlin 4200 PLN; po wykupieniu bilet bezzwrotny, bez możliwości zmian w rezerwacji; Berlin-Tegel – Frankfurt (LH181) – 1 godz. 15 min; Frankfurt Intl (Terminal 1) – Bogota El Dorado Intl (LH 542) – 11 godz. 25 min; Bogota El Dorado Intl Terminal 1 – Frankfurt Terminal 1 (LH543) – 11 godz.; Frankfurt – Berlin-Tegel (LH192) – 1 godz. 10 min; cena łączna za dwa połączenia jak niżej – 630 PLN, zwrot z potrąceniem – 121 PLN, zmiana – 91 PLN. Bogota El Dorado Intl – Santa Marta (Simon Bolivar Intl) – Avianca (AV9764) – 1 godz. 34 min; Cartagena (Rafal Nunez Intl) – Medellin – (AV9761) – 1 godz. 13 min.

Wymiana pieniędzy. Na lotnisku w Santa Maria: 1 USD = 2650 peso; Cartagena: 1 USD = 2510–2600 peso.

Ceny z końca 2015 roku:

Benzyna, 1 galon: 7900–11 200 peso, diesel, 1 galon: 7200 peso.

Taxi: lotnisko El Dorado (Bogota) – Candelaria (dzielnica historyczna) – 30 000 peso; taxi Bogota – Candelaria – El Dorado Aeropuerto – 25 000 peso; taxi – lotnisko Santa Marta – Minca – 80 000 peso (ok. 45 min jazdy); taxi Minca – centrum Santa Marta – 50 000 peso (45 min jazdy); taxi – Minca – Santa Marta – Minca z oczekiwaniem przy muzeum Boliwara – 100 000 peso; taxi – lotnisko Medellin – centrum – 70 000 peso (ok. 45 min jazdy); taxi Centrum Medellin – Terminal del Sur – 8000 peso; taxi z Valle de Cocora do dworca autobusowego w Armenii – 100 000 peso

Autobus Santa Marta – Cartagena (minibus – Berlinas) – 32 000 peso, ok. 4,5 godz. jazdy; autobus Medellin – Armenia (6 godz.) – 43 000 peso (Flota Occidental).

Transport statkiem z Kartageny na Isla Grande (statkiem hotelu San Pedro de Majagua) – w obie strony – 110 000 peso/os.

Autobus Armenia – Bogota (8 godz.) – Bolivariano – 41 000 peso.

Przejazd kolejką na Monserrate – 1 osoba w jedną stronę – 8500 peso, w dwie strony – 17 000 peso.

Hotele: Berlin Holiday Inn – nocleg jedna noc oraz opłata za parkowanie samochodu na 15 dni – 159 euro; Hotel Abadia Colonial Bogota (pokój Margarita) ; calle 11 No 2-32 dla 2 osób – 220 000 peso/1 noc; Hotel Eco Tabs Minca – 234 000 peso/1 noc; Hotel Casa India Catalina, Cartagena – 221 400 peso/noc; Hotel Casa del Curato, Cartagena – 260 000 peso /1 noc; Hotel Dorado 70 Medellin – 195 000 peso/1 noc; Reserva del Cairo, Valle de Cocora – 198 000 peso – 1 nocleg.

Ceny w sklepach: woda mineralna 1,5 litra: 1970–2620–2800–3400 peso; Sprite: 3 litry 5030 peso, 1,75 l – 2100 peso (Salenta), woda 0,6 l Manantial 1600 peso. Wafelki – 1270 peso.

Ceny w restauracjach. Standardowo jest doliczany zarówno w restauracjach, jak i kawiarniach 10% napiwek, czyli propina – czasem się pytają, czasem już przynoszą doliczony. Spagetti pesto (Bogota, Abadia Colonial) – 17 000 peso; spaghetti puttanesca (Bogota, Abadia Colonial) 18 000 peso; dodatkowo – 5000 peso – propina, czyli napiwek wliczony do rachunku; piwo Aguila 4300 (zwykle wliczają podatek 8% IPO), woda 2160 peso. Kawa na lotnisku w Bogocie – Kartagenie (Juan Valdes) Flat White 4200–4900 peso, ciastko kokosowe 8000 peso; ciastko śliwkowe 6000 peso; woda 3000–3800 peso. Happy Tucan (piwo) 5000 peso (Minca), kurczak na drugie danie 24 000 peso, sopa arroz (dodatki – zmielone mięso, avocado) 13 900 peso, piwo Club Colombia – 5000 peso; Sopa de Verduras (Parque del Cafe) 5700 peso; ziemniaki gotowane (papa cocida) 3200 peso; Reserva del Cairo: zupa 7800 peso, omlet 11 000 peso; sandwich veggie 11 000 peso; sandwich z kurczakiem 16 200 peso; pincho de cerdo 8200 peso, ciastko bananowe 3500 peso, herbata zielona 1800 peso, piwo 3500 peso; sok 3300 peso; lotnisko przy wyjeździe (Crepes and Waffles): zupa cebulowa 7700 peso, zupa Green Kiss 9400 peso; maracuya 6900 – łącznie 26 200 (w tym wliczona propina – 2000 peso).

Wstęp do obiektów:

- Botero Museum – bezpłatne cały czas;
- Wycieczka z przewodnikiem, oglądanie ptaków 80 000 peso (Minca, ok. 2 godz. rano);
- Muzeum Złota 3000 peso, w niedzielę bezpłatnie;
- Muzeum Bolivara w Santa Marta (Extranjeros) 20 000 peso;
- Muzeum Historyczne w Cartagenie 17 000 peso (14 000 peso – nauczyciel);
- Wejście do Castillo San Felipe – Cartagena 17 000 peso;
- Wejście do Miradores Aires de Cocora 3000 peso;
- Wejście do Santuario San Pedro Claver – Cartagena 10 000 peso;
- Parque de la Cultura Cafeteria koło Montenegro/Armenia 24 000 peso – sam wstęp, 7 atrakcji, w tym występ show cafe 48 000 peso/os.;
- Jardin Botanico (w tym Mariposaria). Dorośli 18 000 peso, Adulto Mayor (> 60 roku) 9000 peso; przewodnik w języku angielskim (2 godz.) 30 000 peso;
- Wycieczka łodzią z przewodnikiem po lesie namorzynowym na Isla Grande 45 000 peso/os. łącznie z dojściem około 1,5 godz.;
- Museo Internacional de Esmeralda (otrzymuje się opaskę Nacional) 5000 peso (nieczynne w niedzielę).

RELACJA Z PODRÓŻY

Październik 2015, pierwsze dni podróży. Podróż wraz z moją żoną Grażyną rozpoczęliśmy od Berlina. Wcześniej skorzystałem ze strony „Park and fly” i stąd pojawiliśmy się w hotelu Holiday Inn w Berlinie. Na lotnisku Tegel znaleźliśmy się nieco później niż myśleliśmy. Nie miało to znaczenia, bo odprawę rozpoczynano na półtorej godziny przed odlotem. Wpierw był lot do Frankfurtu, a potem czekało nas prawie czterogodzinne oczekiwanie. Na samo przemieszczenie się z jednego terminalu na inny potrzebowaliśmy co najmniej godzinę. Trzeba było wyjść poza strefę lotniska i jeszcze raz przejść przez kontrolę dokumentów, a następnie bagaży.

Nasz lot do Bogoty miał trwać 11 i pół godziny. Czekala nas siedmiogodzinna różnica czasu pomiędzy Bogotą a Wrocławiem w okresie czasu letniego. Wiza do Kolumbii nie jest potrzebna. Niemniej swoje trzeba odstać w kolejce na pieczętkę zezwalającą na wjazd. Przy transporterze z bagażami od czasu do czasu pojawiali się celnicy z psami, wachającymi bagaże. Wymieniłem trochę dolarów, mając na uwadze, iż następnego dnia w niedzielę mogą być kłopoty z wymianą. Za to otrzymałem potwierdzenie, w którym oprócz mojego podpisu znalazły się i wyciśnięte moje odciski palców. Zupełna nowość.

Cena za przejazd taksówką do starej części miasta – Candellaria była umiarkowana – 30 tysięcy peso, czyli około 11 USD. W recepcji znano jedynie rodzimy hiszpański język. Nasz pokój przylegał do wewnętrznego patio, których ten hotel miał bez liku, wstawiono nam grzejnik do pokoju i mogliśmy wreszcie zasnąć o piątej nad ranem czasu polskiego.

Miasto położone jest na wysokości 2600 m n.p.m. i niektórym przybyszom zdarzają się kłopoty z aklimatyzacją na tej wysokości. Poranne chmury zawisły nad miastem, przypominając, że październik to jeden z najbardziej deszczowych miesięcy w tym regionie Kolumbii. Zapakowałem więc do plecaczka parasol, ale nie musiałem go ani razu otwierać. W miarę upływu dnia robiło się nawet coraz cieplej, pomimo średniej rocznej temperatury w Bogocie niezmiennie oscylującej w granicach 14 stopni Celsjusza.

Bogota w niedzielę rano wyglądała na wpół wymarłe miasto. W godzinach rannych co niedzielę obowiązują spore restrykcje co do ruchu samochodowego. Duża część ulic jest w tym dniu całkowicie wyłączona z ruchu samochodowego, za to ich miejsce zajmują niepodzielnie rowerzyści. Ten ukłon w stronę ekologicznych rozwiązań datuje się już od ponad 20 lat.

Plac Bolivara to jeden z największych placów Bogoty. Można go określić obrazowo jako bijące mocno serce miasta. W niedzielne przedpołudnie mieszkańców – poza rowerzystami – była dosłownie garstka. Katedra również świeciła pustkami. Msza miała się odbyć za półtorej godziny, a wewnątrz surowej, potężnej klasycystycznej budowli odbywała się próba z udziałem kilku osób z chóru.

Można było więc jeszcze pospacerować uliczkami starego miasta, gdzie na każdym rogu znajdował się jakiś policjant, a gdzieś tam też i stali wojskowi uzbrojeni jak na wojnę. W pobliżu znajdowało się szereg budynków rządowych, stąd pew-

nie i ich obecność. Dotarliśmy też w okolice dawnego pałacu prezydenckiego, czyli Palacio de San Carlos położonego naprzeciwko zbudowanego później Teatro Colon.

Centrum historycznemu Bogoty brakuje jeszcze sporo do blichtru starannie wypieczonego cacka. Wczesnym niedzielnym porankiem walało się sporo niesprzątniętych śmieci na chodnikach, co pewnie miało poczekać z posprzątaniem do nowego tygodnia. Na dłużej wstąpiliśmy do kościoła Nuestra Senora del Carmen, gdzie odprawiano w tym czasie mszę świętą.

Jednym z najbardziej na świecie rozpoznawalnych Kolumbijczyków jest Francisco Botero. Oczywiście w kategorii sztuk pięknych. W 2000 roku podarował miastu Bogocie ponad 200 dzieł, w dużej części własnych, ale i również obrazy wielu innych artystów pochodzących z własnej kolekcji, jak: Picassa, Salvadora Dali, Edgara Degasa, Auguste Renoira. Miały być one szeroko dostępne, stąd też po dziś wejście jest za darmo. Mieści się tam jeszcze kilka innych muzeów, ale wrażeń aż dosyć było przy tej najbardziej znanej części poświęconej dziełom Botero.

Kilkanaście minut spaceru dzieliło nas od jeszcze bardziej słynnego Museo de Oro, które oferuje zwiedzającym największą kolekcję wytworów ze złota na całym świecie, prześcigając w tym również Muzeum w Limie. Ma być tam podobno 55 tysięcy przedmiotów, w tym większość ze złotego kruszcu. Niedziela była dniem bezpłatnego zwiedzania, choć w inne dni tygodnia cena za wejście nie jest wysoka i wynosi 3 tys. peso. Muzeum było oblepione istną chmarą ludzi. Można było za to robić zdjęcie, nie trzeba było niczego zostawiać w szatni.

Wszechobecność wojska i policji na większości uliczek starego miasta bierze się nie tylko z troski o bezpieczeństwo takiego turysty jak ja, ale i bliskości Pałacu Prezydenckiego, czyli Casa de Nariño. Ulice biegnące wzdłuż Pałacu są wyłączane z ruchu kołowego. Piesi mogą przechodzić, ale po inspekcji toreb czy bagaży.

Poniedziałek. Był poniedziałek, ale w Bogocie rowerzyści nadal królowali na wielu głównych arteriach miasta zupełnie wyłączonych z ruchu kołowego. W tym dniu rano mieliśmy odlot z drugiego terminalu liniami Avianca.

Niewielkie lotnisko w pobliżu Santa Marta położone jest nad samym Morzem Karaibskim. Czekając na lot, można się przejść kilka metrów i zażyć ożywczej kąpieli. Nie planowaliśmy spędzić tego czasu nad morzem. Jechaliśmy do położonej sześćset metrów wyżej małej miejsciny Minca. Miała ona być mekką dla miłośników natury i zwała co roku amatorów obfotografowywania ptaków. Minca okazała się być sporą wioską bez ambicji resortu. Trochę małych sklepików, barów, czasem i jakichś jadalni dumnie nazwanych restauracjami. Zdjęcia naszej rezydencji widziane przeze mnie podczas rezerwowania wyglądały tak jak w rzeczywistości. Otrzymaliśmy swój własny domek, gdzie zamiast okien były moskitiery, z salonem na dole i sypialnią na górze, z tarasem z hamakiem aż zachęcającym do nie robienia niczego poza czytaniem. Przy okazji sprawdziliśmy listę gości w ciągu ostatniego roku i wychodziło na to, że byliśmy pierwsi w tym miejscu spośród polskich obywateli.

Stopniowo ściemniało się, ale najprzyjemniej było o tej porze na hamaku, którym można się było jeszcze owinąć, aby uchronić się przed komarami. W nocy świa-

tła Santa Marty widoczne były niemal na wyciągnięcie ręki, choć było to ponad 30 kilometrów odległości.

Wtorek. O tej porze roku ruch turystyczny słabnie. W centrum wioski urzędowała instytucja zwana taxi-motocykl. Ale nas interesował czterokołowy pojazd. Chcieliśmy wpaść do Santa Marta, metropolii nad brzegiem morza. Przede wszystkim po to, aby odwiedzić położoną na obrzeżach miasta Quinta de San Pedro Alejandrino, czyli hacjendę, gdzie dokonał swego ziemskiego żywota Simon Bolivar. Niestety nie było nic od zaraz. Rankiem wszelkie dostępne auta wyjechały gdzieś tam w trasę i jedynym nas zadowalającym terminem była godzina 14.00, już po obiedzie.

Cena za wejście dla cudzoziemców do muzeum Bolivara była całkiem słona. Nie było wyboru, trzeba było płacić, jakśmy już taki kawał czasu przejechali. W rozległym kompleksie, oprócz historycznego folwarku i młyna cukrowego, postawiono wielkie białe mauzoleum oraz nowoczesne muzeum, zawierające dzieła współczesnych artystów z różnych stron Ameryki Południowej, nawiązujące w dość luźny sposób do osoby Wyzwolicielea.

Wieczorem nie opuszczaliśmy naszego domku. Zaczęło wpiern kapać, potem lać, dudnić w dach naszego domku tak, iż nie miałem przekonania, czy wycieczka na ptaki z przewodnikiem, który był w tym dniu też i naszym kierowcą, z którym się umówiliśmy wczesnym porankiem, dojdzie do skutku.

Środa. Dniało już, kiedy wsiadłem do auta Fidela, który był dzień wcześniej naszym kierowcą, ale miał i swoją agencję podróżniczą. Nie odjechalśmy daleko od miasteczka, może kilometr czy dwa, aby następnie zacząć iść wzdłuż drogi. Fidel był profesjonalnie przygotowany – lornetka, aparat Nikon, katalog ptaków. Co chwilę wabił ptaki bądź wydając z siebie piski ptasie lub też nagrane na dyktafon. Miał przy sobie nawet wskaźnik laserowy, którym zamiast tłumaczyć, iż ten mały ptaszek jest na którejś tam gałęzi od góry czy dołu jakiegoś tam drzewa, rzucał tylko snop zielonego światła i było wszystko widoczne. Ptaków było niedużo, znacznie mniej niż na naszym tarasie w recepcji.

Zdążyłem więc dotrzeć jeszcze na śniadanie. Niedługo potem ruszyliśmy jeszcze raz z Fidelem, tym razem do Santa Marty pod dworzec autobusowy. Ale ku naszemu zdumieniu Fidel wysadził nas przed niedużą firmą spedycyjną, która oferowała nam przejazd do Cartageny mikrobusem. Pierwszy i ostatni raz, bo ten środek komunikacji bardzo trzęsie, a niemal nie było miejsca na moje nieco długie nogi.

Przed dojazdem do celu naszej podróży miasta – Cartagena de los Indias mieliśmy tylko jedną kontrolę dokumentów na rogatkach miasta. Taksówką dojechalśmy prawie pod sam hotel, zarezerwowany kilka dni wcześniej. Hotel położony w starej części miasta wyglądał nobliwie. Wilgotność powietrza w Cartagenie pomimo wątpliwej bryzy morskiej nadal wyduszała ze mnie hektolitry potu, a co za tym idzie, gorącą zakupów wielu litrów płynów. Następnego dnia mieliśmy ruszać na wyspę, gdzie podobno – zgodnie z relacjami osób tam bywałych – na napoje można było wydać fortunę. Zapobiegliwość uczyniła, że spościłem się jak mysz, dźwigając na ostatnie czwarte piętro ilość płynów na kolejne dwa dni, licząc po 4 litry na osobę.

Czwartek. Dzień moich urodzin spędziliśmy na rajskiej wyspie. Tym czymś co mogłoby zakrawać na raj, była Isla de Rosario, godzinę statkiem od Cartageny. Mieliśmy już wykupiony bungalow w hotelu, trzeba było też zadbać o to, aby dowiedzieć się, jak tam dotrzeć. Praktycznie było to możliwe tylko rano, jeśli nie liczyć propozycji jeszcze droższych opcji niż organizowane przez hotel San Pedro de Majagua za 110 tysięcy peso na osobę w obie strony. Wpierw jednak trzeba było dojechać do przystani. Miało być kilka minut taksówką, a zrobił się z tego cały kwadrans. Lepiej nie ufać w kolumbijskie poczucie czasu. Na szczęście odjazd był zaplanowany, tak jak wypisywano w informacji na stronie internetowej, o godzinie dziewiętej z Marina Santa Cruz. Czekala już tam grupka osób, spośród nich tylko niektórzy mieli zostać na wyspie. Większość z pasażerów w godzinach popołudniowych odpływała z powrotem do Cartageny.

Było tam bowiem co robić. Zwykle te wyspy są przedmiotem jednodniowej standardowej wycieczki dla turystów, płynących na znacznie większej łajbie niż ta, którą mieliśmy płynąć. Masowy turysta wsiada na większy statek i za znacznie mniejszą opłatą niż nasze nocowanie na wyspie dostaje wszystko po trochu, czyli masowe nurkowanie z fajką, odwiedziny w Oceanarium i standardowy lunch.

Przy hotelu były dwie piaszczyste plaże, jedna z muzyką w stylu latynoskim, czyli tak głośno, że dźwięki z głośników nakierowane na morze pewnie dochodziły i do Cartageny, oraz inna plaża, kusząca ciszą i delikatnym szumem morskich fal. Na leżakach oddawała się błogiemu lenistwu zaledwie garstka gości, znacznie więcej było sprzedawców.

Piątek. Na Isla Grande nie ma samochodów, a jedynym środkiem transportu może być łódź, rower lub własne nogi. Aby przejść wyspę wzdłuż, nie potrzeba nawet godziny, w poprzek zaś wystarczy kwadrans. Można też pożyczyć rower i przejechać się oznakowaną ścieżką. Wyspę zamieszkuje kilkaset osób, nie licząc turystów zamieszkujących resorty o przeróżnych nazwach, gdzie najczęstszym przyrostkiem jest Eco.

Była równo dziesiąta rano, gdy zgodnie z umową spotkaliśmy się z miejscowym przewodnikiem, aby zakosztować wodnych przygód. Wziął on wiosło i poprowadził nas przez główną osadę wyspy, wzdłuż wszystkich małych sklepików sprzedających wszelkiego rodzaju pamiątki. Miejscowi nie mieli z nas pożytku. Ostatecznie doszliśmy do przystani. Przedziwne było, że weszliśmy na to chybotałe canoe suchą nogą. Przewodnik już na samym wstępie o atrakcjach wyspy wyraźnie podkreślił, iż ani jadłowitych węży czy krokodyli nie mamy się co spodziewać. Nasz gondolier zręcznie meandrował wąskim kanałem pomiędzy malowniczymi drzewami namorzynowymi, gdzie na szczęście i komary jakoś nie hasały, aby dopłynąć w pobliże otwartego morza. Tam już nasza łupinka nie miałaby żadnych szans przy wzburzonym morzu.

O 15.00 wybił dzwon, w tym i dla zapominalskich, że to już ostatnia szansa w tym dniu na powrót do Cartageny. Znaleźli się i tacy, co wbiegli w ostatniej chwili, aby po godzinie dobić do portu w Cartagenie, gdzie tym razem osiedliśmy w hotelu o nazwie Casa del Curato

Sobota. To był nasz pierwszy pełny dzień w Cartagenie, który warto było wykorzystać. Mieliśmy nawet balkon, ale w tym punkcie świata nie ma chłodnych poran-

ków i wyjście z naszego klimatyzowanego pokoju nawet na chwilę dawało odczuć potęgę tropików.

Cartagena potrafiła zachwycić. Przypominała Hawanę, ale tutaj nic nie chyliło się ku upadkowi, nic nie murszało. Mnóstwo było knajp, hoteli, butików. Wszędzie też pełno było amerykańskich turystów, przybywających tutaj kursującymi kilka razy dziennie samolotami z Florydy czy też przyplływających na wielkich statkach wycieczkowych. Wszystko to sprawiało, że miasto tętniło niemal przez całą dobę życiem.

Wszędzie znajduje się mnóstwo sklepików oferujących biżuterię, w tym sztandarowy produkt Kolumbii, czyli szmaragdy. Warto wejść do tych sklepików, choćby z uwagi na klimatyzację, która daje odpocząć od trwającej nieomal całą dobę dusznej spiekoty. Stare miasto otoczone murami można obejść w dwie – trzy godziny, oczywiście biorąc poprawkę na to, że przemyka się koło domów rzucających cień na wąskie uliczki, po których krążą dorożki czy taksówki nieustannie polujące na klientów. Większość najważniejszych budynków znajduje się w pobliżu wybrzeża.

Szczególnie wyróżnia się na tle miasta kościół i klasztor San Pedro Claver. Weszliśmy do środka, zagłębiając się dosłownie i w przenośni w dzieje człowieka, który podpisał się szczególnym zdaniem w dniu 3 kwietnia 1622 roku: „Petrus Claver, aethiopium semer servus. Piotr Claver, Niewolnik Czarnych Niewolników na zawsze”.

Do Cartageny przywieziono z Afryki podobno milion osób w ciągu prawie 300 lat. Co roku wpływało do portu kilkanaście statków z czarnymi niewolnikami. Do tych przestraszonych dzieci, kobiet i mężczyzn wystawianych na targu niewolników przychodził Pedro Claver z posługą nieomal bez przerwy przez trzydzieści dwa lata swego życia w Kolumbii. Chrzcił ich, pielęgnował ich rany. W klasztorze znajduje się jego cела, w której dokonał żywota w roku 1654 w wieku 74 lat. W roku 1888 został kanonizowany przez papieża Leona XIII jako pierwszy mnich Nowego Świata.

Mury miejskie są na tyle szerokie, że można po nich spacerować, a nawet i można byłoby autem jeździć, bo są tam nie tylko schody, ale i rampy. Jazda jest dozwolona jednak tylko dla policji, która niezależnie od pory dnia czy miejsca jest prawie wszędzie. Stąd też i patrolują uliczki Cartageny z wysokości murów. Można się było czuć bezpiecznie.

Od niedawna można zwiedzać miasto z przewodnikiem głosowym „The Cartagena of Gabriel Garcia Marquez”, z 35 przystankami. W czasie, kiedy byliśmy w Cartagenie, jeszcze o tym nie wiedziałem. Na pewno też warto mieć przy sobie trzy jego książki: *Miłość w czasach zarazy*, *O miłości i innych demonach* oraz jego autobiografię *Życie jest opowieścią*.

Cartagenę od strony lądu bronił potężny fort Castillo de San Felipe de Barajas. Na terenie twierdzy trzeba się było nieraz przepychać lub oczekiwać, kiedy to sznur emerytów z wielkich statków wycieczkowych zawijających do Cartageny zejdzie w dostojnym, acz powolnym rytmie po wąskich schodkach. Jedną z osobliwości tego miejsca, oprócz niewątpliwie barwnych widoków na miasto, jest posłuchanie na osobiste zamówienie hymnu własnego kraju w wykonaniu miejscowego muzyka.

Niedziela. Tego dnia mieliśmy lot do Medellin. Lot miał trwać godzinę; alternatywą było 13 godzin spędzonych w autobusie. Na lotnisko nie było zbyt daleko. W nie-

dzielny poranek taksówkarzowi przejazd zabrał niecały kwadrans. Dostaliśmy bilety, ale na tablicy informacyjnej pojawił się napis o półgodzinnym opóźnieniu. Urosło to do godziny, a nawet nieco więcej. Wreszcie dostaliśmy znak, iż możemy wchodzić na pokład samolotu. Lot nad Andami trwał niecałą godzinę.

Port lotniczy José María Córdova International Airport znajdował się od centrum miasta jakieś 40 minut jazdy. Zupełna zmiana krajobrazu w porównaniu do wybrzeża. Było bardzo zielono, temperatura nie więcej niż 20–25 stopni i to na wysokości 2140 m n.p.m. Medellín jest usytuowane w kotlinie 600 metrów niżej, droga wijąca się w dół zawiadła nas na krawędź tej kotliny, skąd widać było niemal całe miasto.

Ścisłe centrum nie może się pochwalić hotelami o przyzwoitym standardzie, stąd zamieszkaliśmy w kilkunastopiętrowym wieżowcu w pewnej odległości od starego miasta. Mieliśmy niecały kwadrans jazdy taksówką od słynnego placu Botero, gdzie wystawiono na świeżym powietrzu 23 wielkie rzeźby tego artysty, znanego nam już z Bogoty.

Korzystając jeszcze z ostatniej godziny popołudniowego słońca, pojawiliśmy się na placu Botero. Tam sztuka i natura przeplatały się ze sobą. Rzeźby tego artysty, urodzonego zresztą w Medellín, nie zrodziły się wyłącznie w wyobraźni artysty. Żywych modelek o tych obfitych kształtach nie brakło w to niedzielne popołudnie. Nawy rzeźb były proste i łatwe do zapamiętania jak: Kobieta, Żołnierz Rzymski, Jeździec, Myśl.

Na dalsze zwiedzanie Medellín czasu już nie było, bo z samego rana chcieliśmy się z tej metropolii wydostać, aby przenieść się w bardziej spokojne miejsca, oddalone o sześć godzin jazdy. Tą kropką na mapie dokąd jechaliśmy, miało być Salento. Po przeróżnych poszukiwaniach w Internecie trafiłem na rezydencję, która mogła się okazać miejscem, gdzie nie trzeba się już będzie wyklócać o pokój z oknem czy balkonem, a za oknem zamiast tysięcy kopających aut będą świergotać ptaki o poranku.

Poniedziałek. Rano, krążąc po zatłoczonych ulicach, dotarliśmy do dworca autobusowego Terminal del Sur, w pobliżu krajowego lotniska w Medellín. Kupiliśmy bilet na rejsowy autobus do miasta Armenia, który z częstotliwością co 1-2 godziny odjeżdżał z Medellín. Następnie mieliśmy dojechać miejscowym transportem do małego miasteczka Salento, opisanego w wielu miejscach jako niemal idylliczne, warte zatrzymania się tam na jakiś czas. Pierwsze dwie godziny jazdy to były niekończące się zakręty, wjazdy i zjazdy po wąskiej nitce asfaltu. Do pokonania mieliśmy 263 kilometry (w linii prostej 191 km), ale nominalnie mieliśmy dotrzeć do Armenii za jakieś 6 godzin. Zapowiadało się więc na niemal całonocną podróż. Okolica jawiła się jako bezpieczna. Im bardziej zbliżaliśmy się do Armenii, tym więcej dominowały pagórki pokryte zielonym kobiercem posadzonych w równych rzędkach drzewek kawowych.

Na rynku w Salento stały wypielęgnowane i wypucowane terenowe autka – Willys Jeep. Pojechaliśmy takim pojazdem do Reserva El Cairo, gdzie mieliśmy zamieszkać przez następne cztery dni. Farma przedstawiała się znakomicie. Otrzymaliśmy pokój z widokiem na góry, gdzie popołudniami i wieczorami mogliśmy usiąść na małym balkonie, przesyłając maile do świata.

Wtorek. Rankiem podjechaliśmy te kilkanaście kilometrów do wejścia do Parku Narodowego Valle de Cocora. Dookoła nas na pobliskich wzgórzach wystrzeliwały na wysokość do 50–60 metrów cienkie palmy woskowe (*Ceroxylon quindiuense*). To najwyższe palmy świata. Przy wejściu na szlak zbierane jest myto, czyli opłata za wejście do parku w wysokości jednego dolara (3000 peso). Wystarczyło cały czas zawsze przy wyborze drogi kierować się na prawo i nie było możliwe, aby pomylić właściwą drogę. Po około 2,5 godz. osiągnęliśmy nasz półmetek – małą chatkę – czy też schronisko La Montana, na wysokości 2860 m n.p.m. Droga powrotna biegła wzdłuż strumienia, który co chwilę przekraczaliśmy, chybocząc się po rozpiętych deszczułkach wiszących mostków. Po pięciu godzinach marszu z co najmniej godzinnymi przystankami dotarliśmy do miejsca, skąd wyruszyliśmy. Stały tam już dżipy, które regularnie odjeżdżały do Salento te około 10 km z kompletem pasażerów o równej godzinie. Zabierały tylu pasażerów, ilu się zmieściło w pozycji stojącej, czyli co najmniej dziesiątkę, zarówno wewnątrz dżipa, jak i na schodkach. Głód i zmęczenie zaglądały nam w oczy, więc wybraliśmy swój własny kurs za pełną stawkę 27 000 peso aż do ryneczku w Salento.

Środa. Tego dnia zawieziono nas na plantację kawy w pobliżu miejscowości Quindaya. Drogi były kręte, to i nasze tempo jazdy nie było zawrotne. Drzewka kawowe mają swoje wymagania. Rosną najlepiej na tej szerokości geograficznej – czyli w strefie równikowej – na wysokości pomiędzy 1200 m a 1800 m n.p.m. Stąd też w pobliżu Salento nie spotyka się zielonych krzewów obsypanych drobnymi owocami w kolorach od zielonego do czerwonego, gdyż jest za wysoko. Im niżej zjeżdżaliśmy w dół, tym bardziej rosła temperatura otoczenia. Oprócz pełnej rundki po plantacji kawowej, zatrzymywaliśmy się co chwilę obok coraz to innego drzewa, które wydawało owoce o egzotycznych i nieznanach nazwach czy smakach. Wczesnym popołudniem znaleźliśmy się w sklepiku z kawą należącym do właścicieli plantacji w Quimbaya, gdzie zakupiliśmy spore ilości kawy. W naszym aucie, a potem pokoju rozniósł się przez następne dni przepyszny zapach kawy z Casa Vieja.

Czwartek. Wybraliśmy się do ogrodu botanicznego na przedmieściach Armenii. Mieliśmy bardzo ambitny plan, gdyż oprócz ogrodu zamierzaliśmy się wybrać też do Parque Nacional del Cafe, gdzie chcieliśmy trafić na występy taneczne i to o określonej porze dnia. W ogrodzie botanicznym zrezygnowaliśmy z dołączenia do czterdziestoosobowej kolumbijskiej wycieczki z jakiegoś miasteczka. Wybraliśmy zamiast tego indywidualne zwiedzanie z przewodnikiem w języku angielskim. Okazało się to być strzałem w dziesiątkę, gdyż dzięki temu poznaliśmy Cristiana. Chłopak sięgał mi poniżej ramion, ale odczuwał autentyczną radość z pokazywania nam tego, czym kolumbijska flora może się pochwalić, w tym olbrzymią różnorodnością palm, nie tylko tych najwyższych znanych nam z doliny Cocora. Ogród botaniczny może się również pochwalić motylarnią, której kształt widziany z góry przypomina również motyla.

Następnym punktem naszej wycieczki był Parque Nacional del Cafe położony niezbyt daleko Armenii. To skrzyżowanie wesołego miasteczka, skansenu i muzeum wysławiającego kawę, stanowiącą podstawę utrzymania tej części Kolumbii. Po zakupieniu biletów obejmujących kilka atrakcji wewnątrz tego parku zjechaliśmy w dół kolejką linową do starannie zagospodarowanego parku, zajmującego obszar około 50

hektarów. Wpierw popędziliśmy do namiotu czy też amfiteatru, gdzie miały zacząć się występy taneczne grup folklorystycznych. Spektakl miał nam pokazać poprzez muzykę, śpiew i taniec historię tych ziem. Niestety, zapowiedzieli absolutny zakaz jakiegokolwiek filmowania czy robienia zdjęć. Byli w tym bardzo konsekwentni.

Piątek. Nasz przewodnik Sebastian odwiózł nas do dworca autobusowego w Armenii o rozsądnej porze bez żadnych niespodzianek. Bilet kupiliśmy już dzień wcześniej, więc pozostało nam tylko czekać, aż go podstawią na stanowisko. Odległość do stolicy nominalnie nie była zbyt duża, a pierwszy odcinek przedstawiał się arcyciekawie. Z poziomu Armenii szosa wspiwała się zygzakami niemal tysiąc metrów wyżej po zboczach Centralnych Kordylierów, aby osiągnąć przełęcz La Linea na wysokości 3300 m n.p.m. To niby tylko, a może i aż 25 kilometrów drogi. Gdy dojechalśmy do Ibague i następnie do doliny rzeki Magdalena, tę najtrudniejszą część drogi mieliśmy już za sobą. Na wielkim dworcu autobusowym w Bogocie, położonym na obrzeżach miasta, pojawiliśmy się zgodnie z planem około 16.00. Zamieszkaliśmy w najbardziej stylowym hotelu na starówce, czyli Hotelu d'Opera położonym naprzeciwko okna, przez które kiedyś wyskoczył Bolivar. Wieczorem na starówce rozbrzmiało intensywne życie, a szczególnie w okolicy Uniwersytetu de la Salle; wstąpiłem tam na małego drinka do Color Cafe przy Plaza del Chorro de Quevedo, czując się bezpiecznie w pobliżu zaparkowanego auta policyjnego.

Sobota-niedziela. Północna część Bogoty ma zupełnie inne oblicze. Tutaj przeniosła się duża część biznesu, niektóre uczelnie, jak i większość ambasad. Jest tam również znacznie bezpieczniejsze niż na obrzeżach miasta czy w części południowej. Tam też znajduje się kompleks handlowy Santa Barbara, który swoją nazwę i lokalizację zapożyczył od znajdującej się tu kiedyś hacjendy Santa Barbara. Sklep jak sklep, ale źródła internetowe podpowiedziały mi, że tutaj mogę upolować co ciekawsze płyty z ludową muzyką kolumbijską. Nie wyszedłem z niego rozczarowany, choć po raz kolejny kupowałem w ciemno, bo nie dało się tych utworów wysłuchać.

Był to nasz ostatni dzień zaplanowanych atrakcji i przeróżnych planów mieliśmy co niemiara, w tym i muzeum szmaragdów, jakiś obiad i wjazd na górę Monserrat. Wróciliśmy więc na południe Bogoty, gdzie w pobliżu Muzeum Złota przy tym samym parku Santander znajduje się wieżowiec Avianca (Calle 6 i Carrera 6a). Drogocenne przedmioty ze szmaragdów umieszczono dość wysoko, bo aż na dwudziestym trzecim piętrze. Nieco poczekaliśmy, aby się utworzyła jakaś grupka i pod wodzą przewodnika mogliśmy przejść się wzdłuż skały „szmaragdonośnej”, którą sprowadzono tutaj na to dwudzieste trzecie piętro. Kolumbia jest znana jako miejsce, gdzie wydobywa się najpiękniejsze i najbardziej cenione z tych kamieni. Niełatwo je szlifować, niełatwo też o te kamienie bez jakiejś skazy, a ponadto trudno czasem laikowi je odróżnić od tych produkowanych fabrycznie. Bilety do muzeum nie okazały się być zbyt drogie, co pewnie rekompensuje się, gdy ktoś zechce zakupić jakieś szmaragdowe cacko dla damy swego serca, sobie lub aby zaspokoić własne zachcianki. Ale przynajmniej może mieć pewność, że kupił z dobrego źródła.

Zostawiliśmy nasze walizki w przechowalni i wybraliśmy się w samo południe do zachwalanej restauracji z sieci tzw. Casa Vieja. Warto było posmakować, w tym pysz-

nej i bardzo sytej zupy z kurczakiem (Ajiaco con Pollo), zwanej też zupą typową dla Bogoty, do której oprócz samych składników, w tym i dwóch rodzajów ziemniaka, podaje się awokado oraz arepę (z mąki kukurydzianej, która dla mnie w smaku była raczej nijaka). Dla tych, którzy chcieliby sami pokusić się o wybór dania, warto w pierwszej przestudiować ich stronę, gdzie znajdzie się co i nawet za ile (www.casavieja.com.co/carta.pdf).

W pobliżu dolnej stacji kolejki na Monserrat znajduje się jeszcze kolejny ważny trop po Bolivarze, czyli Museo Quinta de Bolivar. Kiedy wracaliśmy z góry, muzeum zamknęło już swe podwoje i pozostało nam zajrzeć na rozległy ogród jedynie przez pręty bram. Do kolejki na Monserrat w to sobotnie popołudnie wiła się... oczywiście kolejka. W ciągu tych kilku minut mieliśmy się wznieść o kolejne 600 metrów w pionie, a to mogło oznaczać problemy z aklimatyzacją na wysokości 3150 m n.p.m. Panowały tu bardzo surowe rygory: dzieci powyżej 100 centymetrów musiały płacić za bilet. Dobrze przynajmniej, iż tym, co mieli ponad 190 cm nie kazali opłacać jakiejś podwójnej stawki, a i tak trzeba było wybulić jakieś 8500 peso w jednym kierunku. Góra nazwana tak później Monserrate (od katalońskiej nazwy Montserrat) od setki lat przyciągała swoim śnieżnym wierzchołkiem ludzi. Przybywali tu na początku XVII wieku członkowie Bractwa Prawdziwego Krzyża (Confradia de la Vera Cruz). W połowie XVII wieku zbudowano tu sanktuarium, które nazwano na cześć Matki Boskiej z Monserrate. Na szczyt można wejść drogą, co podobno zajmuje dłużej niż godzinę, ale czasem można się liczyć z jakimiś złodziejaskami. Druga możliwość to kolejka, którą przed 60 laty zainstalowała szwajcarska firma. Można jej ufać, gdyż jak dotąd funkcjonuje bez żadnych wypadków.

Po siedmiu minutach byliśmy już na górze, ale musieliśmy zwolnić tempo chodzenia, bo mimo wszystko była to spora różnica wysokości, a do kościoła trzeba było nieco podejść wzdłuż kolejnych stacji Drogi Krzyżowej. A tuż obok nad drogą rozpanoszyła się kolorowa pstrokaczna; nie brakowało Pszczółki Mai, kwiatuśzków czy gołąbków. Z tarasu przy kościele można się było nacieszyć panoramą Wielkiej Bogoty, rozpościerającej się na rozległym płaskowyżu aż po horyzont. Równie miło było usiąść przy stoliczku restauracji Santa Clara, aby posmakować wraz z widokami również i kolumbijskiej kawy. Na sam koniec naszego pobytu w Bogocie jeszcze raz odwiedziliśmy Muzeum Botero i na pożeganie jeszcze raz przypomnieliśmy sobie pulchne kształty niemal rozsadzające jego obrazy.

Pora było już wyjeżdżać. Nasz samolot odlatywał o 21.50. Nieco wygłodzeni tuż przed wylotem odnaleźliśmy inną całkiem dobrą sieć lokali gastronomicznych Crepes and Waffles, które serwowały kuchnię lekką i niezbyt drogą, w sam raz na pozbycie się ostatnich peso. Czekala nas jeszcze po wylądowaniu w Berlinie dość długa droga autem, które w czasie naszego pobytu czekało na nas na parkingu Hotelu Holiday Inn w Berlinie. W domu pojawiliśmy się już po ogłoszeniu pierwszych wstępnych wyników wyborów parlamentarnych pamiętnego roku 2015.

Brazylia – stan Minas Gerais



Ta relacja pochodzi z podróży, która rozpoczęła się w Buenos Aires, skąd przenieśliśmy się do Boliwii. Ten fragment podróży został opisany w tomie XX „Przez Świat” w przedostatnim rozdziale „Boliwia – od La Paz do Santa Cruz” na stronach 221–230 i kończy się w momencie, gdy nasz samolot wzniósł się w powietrze w Santa Cruz, aby poszybować do Sao Paulo. Ale nim zacznę opowiadać o tej podróży, podzielę się garścią informacji praktycznych o Brazylii.

Termin: 4–11 kwietnia 2015

Waluta brazylijska: 1 USD = 2,80 RS; 2,90 RS; 3,00 RS – real (RS) – w ciągu zaledwie tygodnia, kiedy byliśmy w Brazylii, słabła i z każdą wymianą dolarów otrzymywaliśmy coraz więcej lokalnej waluty.

Transport: autobus lotnisko Tanc Neves, Belo Horizonte – dworzec autobusowy – 10,70 RS; pociąg zabytkowy z panoramicznym wagonem Ouro Preto – Mariana w jedną stronę – 60 RS, 30 RS dla studenta; wypożyczenie samochodu (3 dni, grupo D4, pożyczone w Belo Horizonte Av. Professor Magalhaes Penido 101, przy lotnisku w Pampulha, nieograniczony kilometr, LDW, GPS na 3 dni – 60 RS; dodatkowy kierowca – 21 RS) łącznie 779,52 RS = 1005,03 PLN; autobus Belo Horizonte – Rio de Janeiro (Cometa) – 83,23 RS, Ouro Preto – Belo Horizonte (Passaro Verde) 28,50 RS.

Wstęp: Ouro Preto, Muzeum Króla Chico-Rei – 15 RS, Oratorio – 2 RS.

Hotele: Hotel Pousada do Pilar – Ouro Preto – 280 RS = 352,76 PLN; Hotel Solar do Rosario Ouro Preto – 292,50 RS = 367,36 PLN; Dayrell Hotel e Convencoes – Belo Horizonte – 215 RS = 270,03 PLN + parking 15 RS; Hotel Sol Belo Horizonte – Belo Horizonte – Alameda Santos 700 – łącznie 242,71 RS = 312,95 PLN; Caratinga R. Major Jose Belegard 88 – 218 RS = 272,27 PLN; Pousada do Caraca – 192 RS = 247,57 PLN.

Wyżywienie. Sklep: Nectar de Manga 1 l – 5,60 RS; woda mineralna 1,5 l – 2,50 – 3,50 RS; tonic cytrynowy 1,5 l – 5,49 RS; 1 kg bananów – 1,99 RS, 1 kg marakui – 3,99 RS, 1 kg bułek – 4,99 RS; 1 kg sera mozzarella – 17,49 RS; 1 kg pomidorów – 3,99 RS; 200 g masła – 3,49 RS. Restauracja: Bar – Acaç – 10 RS (300 ml), Inne: obiad w restauracji

na wagę dla 2 osób (Lua Cheia – Mariana) – 54,50 RS (3,60 RS za 100 g); lotnisko Sao Paulo – 6,40 RS za 100 g, restauracja w Rio (Rua do Riachuelo 313) – 100 g = 4,59 RS, napoje płaci się oddzielnie np. – 5,50 RS sok owocowy.

Samolot wewnątrz Ameryki Południowej: Santa Cruz (Viru Viru Intl) – Sao Paulo (Guarulhos Intl) (04.04.2015) – 10:25–14:25 (3 godz.) – różnica czasu – przesuwanie czasu do przodu o godzinę – Boliviana de Aviacion; Sao Paulo (Guarulhos Intl) (04.04.2015) – Belo Horizonte (Tancredo Neves Intl) 17:30–18:59 (1 godz. 29 min). Cena za jeden bilet łączony na trasę Buenos – La Paz – Santa Cruz – Sao Paulo = 2050 PLN; cena za bilet Sao Paulo – Belo Horizonte = 950 PLN.

4 kwietnia. Po 3 godzinach lotu dobrnęliśmy do Sao Paulo. Wzięliśmy swoje bagaże i po raz kolejny oddaliśmy je na lot krajowy do Belo Horizonte. Tu mieliśmy kolejne 3 godziny oczekiwania. Spędziliśmy je w restauracji, z posiłkami płaconymi podług wagi. To była najdroższa cena za kilo – 66 reali. Nasz kolejny samolot wylądował w Belo Horizonte przed planowanym terminem. Lotnisko położone jest około 40 kilometrów od centrum miasta, ale szczęśliwie autobus rejsowy zawiózł nas na dworzec autobusowy, czyli Rodoviarię w ekspresowym tempie. Tam mieliśmy znowu sporo szczęścia, bo na 10 minut przed odjazdem kupiliśmy bilety na lokalny bus o 20.00 (2 godziny) do Ouro Preto. Miasteczko – znane w całej Brazylii z procesji w Niedzielę Wielkanocną – było celem naszej podróży.

Wszędzie panowało spore ożywienie. Młodzi ludzie gromadzili się na placach, uliczkach, podczas gdy nasz taksówkarz objeżdżał niemal całe miasto, raz w dół, raz do góry, szukając właściwej trasy objazdu. Główne uliczki miasta były w tym dniu pozamykane. Nasz hotel Posada del Pilar był piętrowym budyneczkiem, zbudowanym – jak większość domków w centrum tego miasta – może dwieście, a może i trzyście lat temu.

5 kwietnia. Nad miastem unosiła się mgiełka. O szóstej rano nikt już nie pracował przy kolorowych kobiercach na trasie procesji, uprzątnięto też z chodników wszystko to, co zostawili imprezowicze – butelki, puszki. Półtorakilometrowa trasa ciągnęła się od kościoła św. Franciszka z Asyżu aż do kościoła Matki Boskiej Różańcowej; brukowana ulica wyłożona była na kolorowo wzorami z trocin.

Około ósmej rano po mszy, która rozpoczęła się dużo, dużo wcześniej w pięknym kościółku São Francisco de Assis, ruszyła długa – przynajmniej na kilometr – procesja. Przy bijących dzwonach zaczęło się powolne wypełnianie długiego węża osób prezentujących postacie ze Starego i Nowego Testamentu. Czołową grupę procesji stanowiło dwanaście młodych anielskich dziewczyn w fioletowych szatach. Każda z nich trzymała tabliczkę z imieniem apostoła. Gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem, widać było morze większych i mniejszych aniołków. Małe dziewczynki z anielskimi skrzydełkami – prowadzone przez swoje mamy – stanowiły chyba największą grupę.

Zakończenie procesji miało miejsce przy ołtarzu wystawionym przed kościołem Matki Boskiej Różańcowej Czarnych, czyli Nossa Senhora do Rosário Dos Prétos. Z okien barokowej fasady świątyni spłynęły na zebranych płatki śniegu rozrzucone przez stojące w oknach anioły.

Hotel, w którym mieszkaliśmy, wyglądał ładnie tylko z zewnątrz. W pokoju było ciasno, cena spora, choć chyłę czoła, iż w tym dniu wszystkie ceny mogły poszybować. Za prawie tę samą kwotę mogliśmy przenocować następnego dnia w pięciogwiazdkowym hotelu położonym naprzeciwko kościoła MB Różańcowej. Nie mieliśmy też zbyt daleko do przejścia, z walizką, choć było nam mocno pod górę i po brukowanych ulicach.

Dla odmiany postanowiliśmy zmienić środek transportu i wybraliśmy się na godziną przejażdżkę pociągiem do innego miasteczka górniczego Mariany. Tyle trwała jazda na odcinku 18 kilometrów. Za każdy kilometr płacono się przynajmniej jednego dolara. Taka była cena w specjalnym wagonie, dającym okazję na panoramiczny ogląd okolicy. Dobrze przynajmniej, iż za studenta płacono się tylko połowę. Powrót już tak dużo nie kosztował. Ale mielibyśmy tylko pół godziny na pobyt w miasteczku. Postanowiliśmy dać sobie więcej czasu i powrócić już autobusem. Prędkość pociągu była umiarkowana, widoki typowe dla Minas Gerais, czasem jakieś tunele czy wąskie parowyy, przez które przeciskał się cały skład pociągu.

Stara część miasta Mariana jest znacznie mniejsza niż w Ouro Preto, ale za to szybko udało się odnaleźć miejsce na lunch. W restauracji Lua Cheia, przy Rua Dom Vicoso sprzedawano na kilo, i ceny w porównaniu do lotniska w Sao Paulo były niemal dwukrotnie mniejsze, nieco ponad 30 reali za kilogram. Na zewnątrz było duszno, aż w końcu lunął rzęsy deszcz. O zwiedzaniu nie było co myśleć, szczególnie iż większość kościołów zamykano około 16.00.

Co ciekawe, to tutaj również na uliczkach w pobliżu katedry ułożono barwny koiberzec, który czekał na uroczystości tego popołudnia. Wyraźnie chcieli się porą procesji odróżniać od Ouro Preto. Na placu przed katedrą montowano ołtarz, my zaś w strugach deszczu przeplatanych promykami słońca przeczekaliśmy w barze, smakując *acai*, aby wreszcie doczekać się autobusu, kosztującego prawie dwadzieścia razy mniej niż turystyczny pociąg.

Wieczorową porą Ouro Preto opustoszało. Imprezowicze odsypiali swoje lub wyjechali już z miasta, bo następnego dnia był zwykły dzień roboczy. Znalazła się jednak przy głównej ulicy mała restauracyjka z ciekawą propozycją – płacisz 28 reali i przynosimy ci tyle kawałków pizzy o różnych smakach, ile potrafisz zjeść.

6 kwietnia. W poniedziałek prawie wszystkie kościoły były pozamykane. Po czterech dniach wolnych od pracy Brazylijczycy pootwierali za to swoje sklepiki. Póki nie byłem jeszcze znużony, a słońce jeszcze nie wstrzeliło się zbyt wysoko, aby zrazić mnie do chodzenia, wszedłem na wzgórze z kościołem św. Franciszka de Paolo, w pobliżu dworca autobusowego. To jedna z lepszych panoram na liczne wzgórza wewnątrz miasta, jak i jego okolicy. Na prawie każdym z tych wzgórz postawiono mniejszy czy większy kościół. Ale tylko dwa obiekty były w tym dniu czynne: kopalnia złota Mina do Chico-Rei oraz Museu do Oratorio.

Z tych dwóch atrakcji wybrałem uroczyste Museu do Oratorio. Położone ono było obok zamkniętego w tym dniu na cztery spusty pięknego z zewnątrz kościoła Igreja de Nossa Senhora do Carmo. Ołtarzyki podróżne, ołtarze domowe, ołtarzyki kieszonkowe to jedno z wielu eksponatów, jakie wystawiono w tym niewielkim, ale przyciągającym moją uwagę muzeum. Pokazywało ono praktykowanie wiary w warunkach do-

mowych; spotykało się m.in. ołtarzyki dwukondygnacyjne, jeden poziom przedstawiał sceny Narodzenia Chrystusa, a drugi święto Wielkiej Nocy poprzez wyobrażenia sceny Męki Pańskiej i Zmartwychwstania. Tak jak w wielu innych muzeach brazylijskich nie można było niestety robić zdjęć.

Pora było wyjeżdżać. Taksówka w Ouro Preto, w jakimkolwiek kierunku się jedzie i czy to ma być pięćset metrów czy kilka kilometrów, kosztuje tyle samo, czyli 20–25 reali. Do dworca autobusowego mieliśmy niecałe pół kilometra, ale za to wjazd był bardzo ostry pod górę, pod kątem nachylenia co najmniej trzydziestu stopni.

Wróciliśmy do Belo Horizonte już po raz drugi. Mieliśmy tam wynająć samochód, przespacerować się i ruszyć wczesnym świtem do rezerwatu przyrody, w pobliżu miasta Caratinga, gdzie grasowały wielkie małpy, spotykane jedynie w kilku miejscach deszczowego lasu atlantyckiego. Dzieliło nas od nich niecałe sześć godzin jazdy.

Odebranie samochodu w biurze w pobliżu lotniska zajęło nam sporo czasu. Mało kto tam mówił po angielsku, a że komunikacja w tej materii jest dość istotna, więc wszystko trwało bardzo, bardzo wolno i do tego ze słabym rozumieniem tekstu do nas wygłaszanego. Koniec końcem wyjechaliśmy samochodem bez radia i światła wewnątrz samochodu. Mieliśmy za to dach nad głową i nadzieję, iż ściana deszczu jaka lunęła w tym momencie na Belo Horizonte, w następnym dniu już nam nie będzie grozić.

7 kwietnia. Zamiast o świcie ruszyliśmy w drogę dopiero około wpół do dziewiątej. Brazylijskie drogi to odrębne opowiadanie. Wydostanie się z gąszczy ulic Belo Horizonte było sporym wyzwaniem, szczególnie iż miasto, jak większość przez nas spotykanych miejscowości w stanie Minas Gerais, położone jest na wzniesieniach i pagórkach. Pierwsze kilkadziesiąt kilometrów jechaliśmy jedną z głównych magistrali prowadzących na wybrzeże. Dziesiątki wielkich ciężarówek wlokło się pod górę różnym tempem, zwalniając nasze tempo podróżowania.

Z kolei gdy przejeżdżaliśmy przez jakąkolwiek miejscowość, należało się przygotować na częste garby. Nieraz było ich po kilkanaście w jednej miejscowości. Można się było ich spodziewać przy wjeździe i wyjeździe, przy każdym przejściu dla pieszych czy przystanku autobusowym. Zwykle znaki drogowe ostrzegały, że się do nich zbliżamy. Bywało też, iż czasem zapomniano postawić znaku lub był on ukryty w gęstej trawie i wtedy trzeba było być bardzo czujnym, obserwując tych jadących przed nami lub z przeciwka. Ograniczenia prędkości w terenie zabudowanym były przestrzegane przez większość kierowców, gdyż bardzo często znajdowały się tam czujniki i tablice pokazujące prędkość osiąganą w tym miejscu przez zbliżający się pojazd. Dużym ułatwieniem na tych ważniejszych drogach był trzeci pas, dla tych co jechali pod górę. Dawało to szansę na ominięcie tych wszystkich wielkich ciężarówek, ciężko dyszących od ciężaru kopalin i innych dóbr wywożonych z Minas Gerais.

W Caratinga pojawiliśmy się wczesnym popołudniem. Apartament, który otrzymaliśmy, był całkiem spory. Nie zabawiliśmy tam zbyt długo, bo chcieliśmy jeszcze w tym dniu dojechać do rezerwatu. Przejechaliśmy więc kilkadziesiąt kilometrów w jedną stronę, aby się dowiedzieć, iż popołudniową porą nie mamy co liczyć na zobaczenie jakichkolwiek małp i trzeba tam wrócić następnego dnia.

8 kwietnia. Małpy muriquis, które chcieliśmy zobaczyć, podobno lubią też wcześniej wstawać, aby około południa zapaść w drzemkę. Stąd znalezienie ich w puszczy w porze popołudniowej jest skazane na niepowodzenie. Nasz sposób umówienia przez pośredników jednak zaiskrzył, bo o poranku u wejścia do rezerwatu czekał na nas Roberto, pracujący dla Estacao Biologica Caratinga. Mieszkał w pobliżu i od wielu lat służył pomocą turystom, aby naprowadzić ich na małpy muriquis.

Muriquis są największymi małpami w Nowym Świecie. Jest to gatunek zagrożony; w całej Brazylii, w której jedynie występują, jest ich może około 1500 osobników, z tego około 450 buszuje po tym rezerwacie, mającym niecałe 1000 hektarów powierzchni. Trzymają się stadami, czasem w maju podchodzą pod budynki stacji, gdzie znajdują się ich ulubione owoce. Największe ich skupisko znajduje się właśnie w okolicy tej stacji, do której przyjechalśmy. Cena za przechadzkę była dość słona: łącznie za naszą dwójkę i oprowadzanie musieliśmy wysupłać 300 reali (100 USD). Trudno, ale samemu ta sztuka by się raczej nie udała.

Poszukiwania wzdłuż drogi nie przyniosły efektu. Co chwilę Roberto wyjmował swoją krótkofalówkę i rozmawiał z dwoma biologami, którzy również śledzili te małpki. Weszliśmy na wąską ścieżkę wiodącą stromo do góry. Wreszcie na samym szczycie, Roberto przeciągnął ręką po nieprzebytej gęstwinie krzaków i miną zatroskanego znawcy pokazał nam, iż one gdzieś tutaj są. Słyszeliśmy ich gaworzenia, zaś nos wyczuwał zapach dzikich zwierząt. Pozostawało nam je tylko zobaczyć, ale ze ścieżki nie było jak zejść niżej, gdzie gąszcz zieleni sprawiał, iż zanim byśmy się tam przedarli, małpki pewnie dawno by już poskakały gdzieś indziej.

Napotkany jeden z biologów mógł nam nieco bardziej przybliżyć zawilkości naszych poszukiwań. Małpy pochowały się w okolice zwane przez nich „Koniec świata”. Była to już granica rezerwatu, oddzielona drutem kolczastym. Była już godzina dwunasta i małpy udały się na spoczynek. Co nam zostało, to nowe doświadczenie i to poczucie, iż najważniejsze jest gonić „króliczka”, a nie, aby go złapać.

Do sanktuarium Caraca, położonego w górach, gdzie już wcześniej rezerwowaliśmy nocleg, mieliśmy co najmniej cztery godziny szybkiej jazdy. Ale pogoda stopniowo zaczęła się psuć i było coraz mniej pewne, iż zdążymy na tzw. „kolację z wilkami”. Jakiś czas temu jeden z mnichów zamieszkujących to sanktuarium, gdzie znajdują się jednocześnie miejsca noclegowe dla turystów, zaczął wystawiać przy wejściu do kościoła pożywienie, które zaczęło w godzinach wieczornych przyciągać wilki żyjące w tych okolicach. Weszło im to w krew i od pewnego czasu stały się ikoną tego miejsca.

Kolacja z wilkami zwykle rozpoczyna się o 19.30, kiedy to po spożyciu własnej kolacji goście mogą z boku przypatrywać się temu dzikiemu zwierzęciu oddalonemu o kilka metrów. O 19.30 okazało się, iż przed nami jeszcze co najmniej 20 kilometrów do celu. Aż tu nagle przed nami wyrosła zamknięta brama. Był tam dzwonek i napis, iż brama zamykana jest o 20.00. Przyjechalśmy o kilka minut za późno. Ale nie było tak źle. W oddali widać było światła jakiegoś budynku i po kilku słowach wprowadzenia, iż jesteśmy gośćmi w gospodzie przy sanktuarium brama stopniowo zaczęła się otwierać. Wręczono nam kwitek i mogliśmy przejechać. Tuż przy sanktuarium recepcja była nieczynna, wszędzie pusto. Idąc za znakami trafiliśmy do starszej części klasztoru i uroczego małego dziedzińca, gdzie okazało się, iż jesteśmy wciąż oczekiwani.

Niestety było już po kolacji zarówno tej przeznaczonej dla nas, jak i dla innych gości (od 18.30 do 19.30) oraz kolacji dla wilków. A byliśmy już nieco zgłodnieli. Dobrze, iż o 21.00 otwierano mały sklepik. A tu nagle poruszenie: zaczęło za drzwiami mocno chrobać. Wyszliśmy na taras przed wejściem do kościoła, a tam w całej okazałości pojawił się gość specjalny. Mierzył prawie metr w kłębie. To był lobo guará, jak go zwał nasz nocny recepcjonista, czy też wilk grzywiasty. Zjawił się na tak zwaną „dokładkę”. Był od nas zaledwie trzy, może cztery kroki. Podchodził co pewien czas do wielkiej miski z jedzeniem i jego potężne szczęki zaczęły miażdżyć kości zostawione z nocnego posiłku. Co pewien czas podchodził do schodów, skąd się wcześniej pojawił, spoglądał gdzieś w głęboką noc i ponownie wracał do swego posiłku.

9 kwietnia. Rano na tarasie odwiedzionym przez wilka wszystko już było posprzątane. Śniadanie serwowano w dawnym refektarzu, gdzie każdy sobie mógł przyrządzić jajecznicę na płycie podgrzewanej przez palące się drewna. Nie było nic z atmosfery sieciowych hoteli, w których spaliliśmy przez ostatnie kilka dni.

W początkach XIX wieku utworzono tutaj szkołę, której mury w ciągu 150 lat – aż do momentu kiedy zakończyła ona swoją działalność w 1968 roku – ukończyło szereg zasłużonych osób w życiu politycznym kraju, w tym aż trzech prezydentów. O tym wszystkim informowała dumnie lista nazwisk tych znanych osób (www.santuariodocaraca.com.br). Jednym z nich był Kubitschek, twórca nowej stolicy Brazylii. Na wzgórzu zbudowano kalwarię, przypominającą mi o niedawnym dniu Wielkiego Piątku.

Droga powrotna do Rio przebiegała pod znakiem odwiedzenia miejsc już nam znanych. Pojechalśmy wprawdzie do Mariana po drugiej stronie łańcucha górskiego, widzianego przez nas od Caracy. Malowniczość pobliskich gór psuła, a może i podkreślała, widok niezliczonych kopalni należących do potężnego koncernu Vale. Mijaliśmy porozerwane góry, które pocięto na pół, wykopano w nich olbrzymie jamy lub też przerzucano ziemię na wielkie hałdy, które bujna przyroda szybko z powrotem odzyskiwała.

Mariana wydaje się być całkiem sporym miastem, choć stare miasto stanowi jedynie niewielką część całości. Przyjechalśmy tam w porze lunchu. Tym razem nie musieliśmy biegać z wywieszonym językiem i burczącym brzuchem w poszukiwaniu restauracji z bufetem na kilo. Restauracja Lua Cheia była już otwarta dla tak poważnych klientów – głodomorów. Obiad, trochę jeszcze zwiedzania i dalej w drogę. GPS nastawiliśmy na Plaza Tiradentes w Ouro Preto. Na kolejne zwiedzanie Ouro Preto nie mieliśmy czasu. Wymieniliśmy pieniądze w „Minas Geras”, choć już tylko 3 reale po dolarze, kupiliśmy hamak i pochłonęliśmy açaí, zmrożone owoce pochodzące z Amazonii, które stały się naszym ulubionym, wspólnym deserem.

Dojechalśmy do wypożyczalni Hertz w Belo Horizonte dobre pół godziny przed zamknięciem. Rachunek za samochód nam się nieco powiększył, gdyż doliczono nam jeszcze co najmniej 50 reali za umycie. „Ale jak tu umyć samochód, gdy nie mamy światła w samochodzie?” – to pytanie brzmiało bardzo rozsądnie. Druga strona była dość elastyczna, wymieniliśmy się obustronnie najbardziej powszechnym gestem w Brazylii zastępującym OK., czyli załatwienie i cena wróciła do pierwotnej ustalonej. Było więc po co się męczyć w aucie wieczorami. Na dworcu autobusowym w Belo Horizonte pojawili się już po raz czwarty. Warto było przyjechać w przeddzień, gdyż zostało już tylko kilka wolnych miejsc w autobusie odjeżdżającym następnego dnia rano do Rio.

10 kwietnia. Droga pomiędzy Belo Horizonte i Rio jest drogą szybkiego ruchu, najczęściej czteropasmowa, ale jak to w stanie Minas Gerais na tyle kręta, że i mój błędnik mnie zawodził i nawet czytanie mi nie szło. To dziwny kraj jak dla mnie, człowieka z nizin, przyzwyczajonego, iż każde góry gdzieś się kończą, aby zjechać w dolinę rzeki czy na jakiś płaski teren. Nic takiego się po drodze nie działo. Główne szlaki komunikacyjne czasem tylko przecinają dolinę jakieś rzeki, aby następnie ponownie wznieść się zakosami, zakrętami o te kilkaset metrów wyżej. Już pod sam koniec naszej podróży w pobliżu Petropolis wjechaliśmy w cudowne Góry Organowe, pokryte gęstym, zielonym dywanem lasów, widocznych z okna autobusu, jadącego kilkaset metrów wyżej. Po ponad czterystu kilometrach drogi pojawił się pierwszy kawałek prostej drogi od wyjazdu z Belo Horizonte. Znaleźliśmy się na przedmieściach Rio – Miasta Cudownego. Od północnej strony nie ma ono jednak tak magicznego charakteru; ciągną się tutaj zakłady przemysłowe, panuje chaotyczna miejska zabudowa. Po ponad ośmiu godzinach jazdy i prawie godzinnym spóźnieniu wjechaliśmy na dworzec autobusowy. Niedługo później mogliśmy się przywitać z Basią i Martinem, mieszkających od dłuższego czasu w dzielnicy bardzo blisko Sambodromu, względnie bezpiecznej części Rio. Czysz za mieszkanie nie był tam zbyt drogi w porównaniu do okolic plaż Copacabany czy Botofago. Wszyscy się tam doskonale znają, a mieszkańcami są ludzie o przeciętnych dochodach; nie można więc liczyć, iż opłaca się ich z czegokolwiek wartościowego okraść. Lepiej dla złodzieja jechać na gościnne występy w okolicy Copacabany.

Oferta każdego wieczoru w Rio jest dość obfita. Wpierw jednak wpadliśmy do pobliskiej restauracji na wagę, a potem wybraliśmy się taksówką na Copacabanę. O tej porze ta część Rio tętniła życiem. Szczególne ożywienie panowało na ciągnących się wzdłuż plaży straganach. Były tam hawaiany, czyli po mojemu japonki robione w Brazylii. Wybór przeróżny, po 20 do 28 reali. Klientów w bród, nawet i rodaków zaciągających śląską gwarą. Zakupiliśmy ostatecznie hawaiany dla całej naszej rodziny. W pobliżu znajdował się też bar z tradycjami. Mały bar, gdzie stopniowo próbowało swoich instrumentów kilku muzyków, którzy mieli tego wieczoru grywać sambę. Rozpoczynali, według Basi, bardzo wcześnie, bo już około 22.00. Zagaił wpierw zwawy senior tego lokalu, który palnął mówkę do coraz liczniejszego grona słuchaczy. Niektórzy siedzieli, inni zaś stanęli koło artystów, aby włączyć się do śpiewania.

11 kwietnia. Do Santa Teresy, dzielnicy o bogatych tradycjach, położonej na okolicznych wzgórzach spacerkiem było kilkanaście minut, ale w Rio bardziej nam odpowiadało poruszać się taksówkami. Zaczyna się od 4,60 reali przy wejściu do taksówki. Przykładowo jazda do Copacabany nie kosztowała więcej niż 30 reali. Wzdłuż głównej ulicy dzielnicy Santa Teresa ciągną się tory tramwajowe. Ale tramwaj przestał krążyć od kilku lat, kiedy to doszło do wypadku, w którym zginęło kilka osób. Obecnie jeżdżą tu autobusy, ale władze miasta nie zrezygnowały na dobre z Bonde. Tak zwie się żółty tramwaj – symbol dzielnicy Santa Teresa.

Dla tych, co są dłużej albo i krócej tak jak my, warto się wspiąć na prawie sam szczyt dzielnicy do Parku Ruin – dawnego pałacu finansisty i polityka z początku XX wieku Joaquina Murinho. Przez 50 lat budynek pozostawał opuszczony, ale miasto postanowiło przywrócić mu dawną świetność. Jak nazwa wskazuje, „ruiny” zostały, ale

schodami można się wspiąć na taras widokowy, skąd rozpościera się widok na miasto. Widać stamtąd – jak to prawie z każdego miejsca w Rio – położoną na dalekim planie figurę Chrystusa oraz Głowę Cukru, dokąd zamierzaliśmy się jeszcze wybrać. Znacznie bliżej położony był ścięty stożek ze zbrojonego betonu. Tym brzydkim owocem architektonicznych poszukiwań lat 70. była Catedral Metropolitana. W zamyśle architekta miała być nawiązaniem do spuścizny piramid Majów, ale było to dla mnie bardzo nieudolne naśladownictwo.

Rzym ma Schody Hiszpańskie, Rio zaś dorobiło się przed kilkunastu laty swoich słynnych schodów – Ladeira de Santo Teresa. Ich twórcą stał się artysta pochodzący z Chile, ale sercem związany z Brazylią – Jorge Selaron. Mieszkał przy schodach i postanowił przydać im trochę blasku. Dzieło się zaczęło coraz bardziej rozrastać, szczególnie iż przybysze z różnych krajów przywozili mu płytki ceramiczne ze swoich okolic, które on przykładał na schody czy na ściany otaczające schody. Ułożył płytki na 215 schodach, głównie w kolorystyce brazylijskiej – żółto-zielonej, na ściany zaś obrał kolor czerwony.

W ten ostatni dzień warto było dokonać symbolicznych zaślubin z oceanem, jako że nasza trasa podróży omijała jak dotąd wybrzeże. Najbliżej nam było się wybrać taksówką na plażę u podnóża Głowy Cukru. Zwana jest Praia Vermelha, czyli Plażą Czerwoną, gdyż o zachodzie słońca piasek przybiera czerwony kolor. Nie zamierzaliśmy zostać tam aż tak długo. Przy plaży zamyślony czy może i zaśluchany w szum morza stał Fryderyk Chopin, odlany w brązie i odsłonięty w 1944 roku. Stąd prowadziła ścieżka u podstawy Morro da Urca i Pão de Açúcar, gdzie bez jeżdżenia po bezdrożach Brazylii można przyrzeć się małpkom grasującym tutaj ku ucieście odwiedzających. Widziany z daleka długi ogon bardziej przypominał mi małe wiewiórki niż małpki należące do gatunku małp marmozetów, czyli pazurczatek. Mierzyły sobie nie więcej niż 20 cm i trzymały się w małych grupach. Ludzi się zupełnie nie bały i podchodziły nawet na odległość wyciągnięcia ręki, gdy zauważyły coś, co można by schrupać.

Ciągnęło nas jeszcze raz na Santa Teresę, gdzie Martin ze swoimi przyjaciółmi muzykami miał koncert. Tuż przed naszym przyjazdem zaczęli wygrywać różne swoje kawałki, a że impreza na małym skwerku rozkręcała się powoli, staliśmy się o tej porze jego głównymi słuchaczami. Koncert był pod gołym niebem. Dla zaśluchanych było kilka ławek, ale nieraz słuchacze stawali na chwilę, i dalej szli w swoją stronę.

Przyszła pora, aby szykować się do wyjazdu. Nie było po drodze zbyt dużych korków, ale na wszelki wypadek pojawiłem się na lotnisku w Rio na 3 godziny przed odlotem. Jeszcze ostatnia caipirinha, jakieś drobne zakupy i kolejne 11 godzin w podróży, aby utkwic na następne 7 godzin na lotnisku we Frankfurcie. A stamtąd dosłownie godzinny lot i byłem z powrotem we Wrocławiu.

Dorota Konopska



W 13 miesięcy dookoła świata

Termin: 6 czerwca 2016 – 5 lipca 2017

Trasa: Polska – Floryda – Turks&Caicos – Meksyk – Hawaje – Australia – Indonezja – Singapur – Malezja – Kambodża – Tajlandia – Brunei – Malezja (Borneo) – Malezja (KL) – Singapur – Wietnam – Laos – Kambodża – Tajlandia – Ukraina – Polska

Transport: wszelkie dostępne środki transportu: samoloty (19 startów i 19 lądowań), autostop (12 tys. km), pociągi (4 razy), autobusy, busy, skutery, rowery, tuk-tuki, riksze, pieszo.

Noclegi: couchsurfing i wolontariaty z workaway.com (w sumie 10 miesięcy), hostele w Azji (max. 5 USD za noc, w sumie 3 miesiące).

Uczestnicy: 8 miesięcy samotnie, 5 miesięcy duet

Koszt: ok. 27 000 zł, w tym bilety lotnicze ok. 9000 zł, jedzenie, noclegi, bilety wstępów, zakup nowych telefonów, przewalutowania i prowizje za wybieranie pieniędzy z bankomatów, rzeczy użytku codziennego.

Wstęp. Rzucić wszystko i wyruszyć w podróż dookoła świata. Te słowa chyba każdy z nas wypowiedział choć raz w swoim życiu, zazwyczaj mając dość problemów życia codziennego, oglądając film o dalekich lądach bądź czytając kolejną książkę o przygodach ulubionych podróżników. Wszyscy marzą o takiej wyprawie, ale czy w rzeczywistości nie jest to marzenie ściętej głowy? Przecież kogo na to stać, kto ma tyle czasu, ażeby w dzisiejszych czasach tak po prostu wyjechać w nieznane. Ponadto, podróż dookoła świata brzmi zbyt utopijnie, nierealnie, a tym samym z pewnością jest to rzecz właściwie niemożliwa w realizacji.

Otóż nie. Chciałabym wszystkim pokazać, że można. Udowodnić, że jeśli mamy marzenia, w które wierzymy i do których dąży się ze wszystkich sił, to wszystko jest możliwe! Jestem żywym przykładem tego, że świat stoi otworem przed każdym, kto tylko zechce pomóc własnym pragnieniom i odważy się zrobić krok naprzód. Wyruszając w samotną podróż dookoła świata, miałam 25 lat, skończyłam studia w Krakowie, pracowałam w biurze, ale zawsze w moich żyłach płynęła nutka podróżni-

czej, globtroterskiej krwi. Tak więc, pewnego dnia po powrocie z wakacyjnego wyjazdu do USA w ramach programu work&travel – który z założenia miał być podróżą życia, stwierdziłam, że to nie może się tak skończyć. Wiedziałam, że świat ma mi jeszcze wiele do pokazania i zaoferowania. Ponadto, chciałam, żeby to właśnie ta samotna podróż była moim kolejnym życiowym nauczycielem.

Po powrocie z USA przez 10 miesięcy pracowałam na dwa etaty, żeby odłożyć tyle gotówki, ile tylko się da. Planowałam, szukałam rozwiązań, czytałam setki podróżniczych blogów. W tym czasie zorganizowałam wolontariat, jako członek załogi katamaranu na Karaibach oraz w Australii, jako pomoc przy prowadzeniu sklepu (portal workaway.info). Nie miałam pojęcia do kogo lecę. W dniu 6 czerwca 2016, kiedy wylatywałam z Polski, to było właściwie wszystko, co wiedziałam o mojej podróży. Cała reszta tworzyła się po drodze.

Dlaczego to zrobiłam? Żeby przeżyć, poczuć, dotknąć, powąchać, doświadczyć czegoś innego. Żeby poznać i otworzyć się na nieznanne. Żeby przekonać się, czy tu gdzie jestem, to jest to moje miejsce na Ziemi. Żeby czerpać energię, mądrość i wiedzę od innych. Żeby przekonać się, na co mnie stać i ile jestem w stanie znieść. Trochę poznać moje własne ja. Moje słabe i silne strony w chwili, gdy mogę liczyć tylko na siebie samą. Po to, żeby się śmiać, wariować, skakać i czuć, że żyję i nie daję życiu tak po prostu uciec niezauważenie. Żeby zobaczyć, jak piękny jest świat. Żeby zachwycać się wschodem i zachodem słońca co chwilę w innym miejscu, po to by kiedyś, oglądając zdjęcia, móc powiedzieć – to właśnie tam było najpiękniejsze na Ziemi.

RELACJA Z PODRÓŻY

6 czerwca – 15 sierpnia 2016, Karaiby – „Piratka z Karaibów i klątwa białego katamaranu”

Samolot: Balice – Oslo – Miami 1400 zł.

Koszty życia przez 2 miesiące: minimalne (wolontariat – jedzenie i zakwaterowanie za moją pracę na katamaranie, doświadczenie – brak).

Godzina 10.00 na lotnisku w Krakowie. Ze łzami w oczach żegnam się z przyjaciółką, tuląc ją najmocniej, jak potrafię. Dzwonię ostatni raz do rodziców z płaczem i niepewnością, czy dobrze robię. Wtedy na moment przestałam być tak odważna, jaką wydaję się być. I ta wewnętrzna walka nie dawała mi spokoju. Chcę, nie chcę. Chcę, nie chcę. Chcę!!! Przecież tylko do odważnych świat należy. Zaczekałam pięści i wsiałam do samolotu, nadal do końca nie wiedząc, czy dobrze robię.

Samolot odleciał. Po kilkunastu godzinach z przesiadką w Oslo wylądowałam na Florydzie. Tam też z lotniska odebrał mnie Ron. Stary, doświadczony żeglarz pochodzący z Hawajów. Umówiłam się z nim przez portal workaway.info, około 3 miesiące wcześniej. Mimo że nie miałam absolutnie żadnej wiedzy ani doświadczenia w żeglowaniu, zgodził się zabrać mnie ze sobą. O nim samym też nic nie wiedziałam, ale nie bałam się, czułam, że to właśnie tu zaczyna się prawdziwa przygoda.

Wyplłynęliśmy kolejnego wieczora, tak ażeby uciec przed sztormem, który nadciągał. Widać było doskonale na mapach satelitarnych, jak burza pędzi prosto w naszą stronę. W tym czasie dołączyła też do nas trzecia osoba z Kalifornii – stara żeglarka, która po dwóch tygodniach nie wytrzymała i wyjechała, zostawiając mnie z nim samą.

Ta pierwsza noc była piekłem. Zamiast uciec przed burzą, wpłynęliśmy prosto w jej środek. Ciemna noc, gdzieś tam na morzu, niesamowicie silny deszcz, błyskawice z każdej strony, ogromne fale słonej wody prawie zalewające łódź i... i tak aż do rana. Tej nocy nie zapomnę nigdy.

Kolejne dni leciały powoli. Pływaliliśmy od wyspy do wyspy, cumując często przy bezludnych bahamskich plażach, m.in. Sandy Cay, Conception Island, Little San Salvador Island. Takich rajskich miejsc było wiele. Były to plaże, gdzie piasek przypominał puch, a turkusowa woda miała temperaturę ciała i oprócz nas nie było zupełnie nikogo. Zaprzyjaźniłam się ze stadem iguan, pływałam z płaszczkami i polowałam na homary. Łowiłam ryby, które później przygotowywałam na obiad. Bywały też momenty, gdy było bardzo ciężko, kiedy to znowu trzeba było ratować łódź przed sztormem i wtenczas dobywałam ponadludzkiej siły, żeby trzymać liny, łańcuchy czy żagiel.

Odwiedzaliśmy też zaludnione wyspy, m.in. Berry Island, Rum Cay, Grand Bahama Island, Long Island, Exuma Island czy Crooked Island. Podczas pobytu na Long Island zostałam zaproszona przez lokalnych rybaków na prawdziwe połowy w kłatkach. Ja i 7 bahamskich rybaków na rybackiej łodzi. To było niewiarygodne oglądać te wszystkie morskie stwory, stada małych rekinów czy kolorowych rybek. Niestety, ta przygoda nie skończyła się dla mnie szczęśliwie, bo 300-kilogramowa łódzka pełna ryb zsunęła się po łodzi, gdy ta się przechyliła pod wpływem dużej fali i zmiażdżyła mi stopę, co unieruchomiło mnie na kolejne 2 tygodnie. Jednak mimo wszystko warto było to przeżyć.

Po dwóch miesiącach życia na łodzi postanowiłam, że czas na zmiany. Przecież każdemu może zdudzić się życie w raju, prawda? Jako że kilka tygodni wcześniej kupiłam bilet z Hawajów do Australii i to do niego musiałam dostosować wszystkie moje kolejne plany, najlepszym pomysłem było polecieć gdzieś, co będzie na trasie. Po przeszukaniu wszystkich opcji pod kątem finansowym i logistycznym padło na Meksyk. I to był najlepszy możliwy wybór.

16 sierpnia – 15 września 2016, Meksyk – „Guera w Mexico”

Samolot Bahamy – Miami – Mexico City 1600 zł.

Koszty życia: noclegi za darmo z couchsurfingu, autobusy pomiędzy miastami ok. 10 zł za 100 km. Komunikacja miejska w Mexico City – metro za 0,70 zł. Jedzenie 5–10 zł za obiad w lokalnej knajpcie.

Przyleciałam do Mexico City zupełnie nieświadoma tego, co może mnie tam spotkać. Host z couchsurfingu odebrał mnie z lotniska, po czym od razu prosto z portu lotniczego zabrał mnie na imprezę, gdzie tańczyłam pierwszą salsę i piłam tequilę z Latynosami. Chyba lepiej zacząć nie mogłam, bo przecież Meksyk to salsa, muzyka, tacos i tequila. Już wtedy poczułam, że Meksyk to moje miejsce na Ziemi.

Przez kolejne dni odkrywałam Mexico City. Spacerowałam po starym mieście, odwiedzałam wszystkie najśłynniejsze zabytki, budowle, miejsca, muzea, parki, zaczynając od Placu Zoccalo i katedry w jego sercu, niezwyklej urody Palacio de Bellas Artes, Poczty Główną, po Plan Trzech kultur – Tlatelolco, najbardziej kultową dzielnicę Mexico City – Coyoacán, aż po Sanktuarium Matki Bożej z Guadalupe. Pojechałam też do Piramid Azteckich – Teotihuacan (wszędzie wstęp jest darmowy). Innego dnia poje-

chałam do Dinamos; jest to wysokogórski obszar natury chronionej, gdzie spędziłam cały dzień, oraz do Lunaparku – 6 flags, który jest największym tego typu parkiem rozrywki w Meksyku (ok. 100 zł/dzień w wersji najtańszej).

Próbowałam meksykańskiej kuchni, poznałam w tym czasie wszystkich znajomych i rodzinę mojego hosta, uczestniczyłam w zjeździe meksykańskich podróżników, wieczorami uwielbiałam słuchać występów Mariachi, których ostatnim bastionem w mieście Meksyk jest Plac Garibaldi, pijąc i bawiąc się w rytm ich muzyki. W tym czasie poprowadziłam też kilka lekcji angielskiego w szkołach, w których nauczycielem był mój host.

Oczywiście, nie byłabym sobą, gdyby obyło się bez przygód mrozących krew w żyłach. Taki już mój urok, że lubię zaglądać tam, gdzie nie powinnam. Oprócz tego, że słyszałam dwie strzelaniny, to jeszcze zablądziłam przypadkiem w czarnym markecie, który jest słynny na całą latynoamerykę i to nie ze swej chluby, ale z porwań, handlu ludzkim towarem, narzędziami, narkotykami czy bronią. Błądziłam tam około 3 godziny, nie mogąc znaleźć wyjścia. Po długim czasie „spacerowania” w końcu udało mi się stamtąd dostać bez szwanku, ale nikomu nie polecam wycieczek do meksykańskiego „Tepito”.

Oprócz samego Mexico City odwiedziłam też trzy inne miasta: Pueblę, Pachukę i Toluć. Do każdego z nich dostałam się komunikacją publiczną ze stolicy. Autokary są tanie, wygodne i bezpieczne. Każde z tych miasteczek jest piękne i bogate w fantastyczną historię. Podróżowanie wewnątrz Meksyku jest łatwe i dostępne dla każdego.

15 września – 3 października 2016. Hawaje – „Aloha Hawaii”

Samolot: Mexico – San Francisco – Hawaje (Oahu) 1500 zł.

Koszty życia: noclegi za darmo z couchsurfingu, jedzenie dość drogie, ceny niewiele różniące się od cen w USA na części kontynentalnej, komunikacja miejska – autobus 2,50 USD/przejazd.

Na Hawaje z Meksyku przyleciałam z 24-godzinnym opóźnieniem, ponieważ zła pogoda spowodowała korki powietrzne nad San Francisco i tym samym spóźniłam się na lot przesiadkowy. Po drodze w samolocie poznałam również bardzo ciekawych ludzi, a mianowicie 6 kryminalistów-morderców. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że wszyscy byli nawróceni i latali po świecie, aby nawracać na „bożą ścieżkę” inne osobistości tego typu.

Jednak wracając do tematu... Kiedy dowiedziałam się, że mój samolot na Hawaje odleciał beze mnie – a był to ostatni samolot tego dnia, okazało się, że linie lotnicze United Airlines nie zamierzają zapewnić mi niczego, oprócz bardzo nieprzyjemnej obsługi i zmiany terminu lotu, co było ich obowiązkiem, bo bilet był na jednej rezerwacji. W związku z tym tę noc spędziłam na lotnisku.

W południe wskoczyłam w inny, przebukowany lot. Po 6 godzinach wylądowałam w Honolulu. Nawet dla mnie brzmi to jak bajka, bo zawsze myślałam, że to takie miejsce, o którym można tylko marzyć i śnić. Jednak okazuje się, że nie.

Mój host z couchsurfingu odebrał mnie z lotniska. Niestety, na lotnisku w Honolulu nie ma Wi-Fi, więc kontakt w razie nieposiadania karty SIM jest utrudniony. Gdy zawiózł mnie na miejsce, okazało się, że przez następne 3 tygodnie będę mieszkać

w luksusowym apartamencie na 30 piętrze, tuż przy Waikiki Beach, gdzie ceny na hotele są kosmicznie wysokie. Najtańsze łóżko w hostelu kosztuje ok. 35–50 USD/noc, natomiast ceny za pokój w hotelach zaczynają się od 100 USD – kończąc na 1000 USD.

Ja osobiście odwiedziłam tylko jedną wyspę – Oahu, jednak mówię to z żalem, bo wiem z opowieści, jak wspaniałe są inne, np. Big Island czy Maui. Niestety, ceny lotów wtenczas, np. na Big Island, wynosiły ok. 110 USD za 40-minutowy lot w jedną stronę, co było dla mnie kwotą zaporową. Mimo wszystko na Oahu też jest co robić. Nie nudziłam się ani przez chwilę.

Na drugi dzień mojego pobytu David – mój host zaprosił do siebie też drugą osobę – Sandrę, sympatyczną Niemkę, z którą wszyscy razem stworzyliśmy fantastyczne trio. W ciągu dnia leżakowałyśmy na Waikiki Beach, innego pojechałam do Muzeum Pearl Harbor (wstęp za darmo) czy na punkt widokowy Diamond Head (wstęp 1 USD). Natomiast popołudniami dołączał do nas David i zabierał nas autem w różne zakątki wyspy, np. do Puu Ualakaa State Park (wstęp za darmo), gdzie rozciąga się niewiarygodnie piękny widok na całą wyspę Oahu. Ponadto jeden z weekendów spędziłyśmy na słynnym North Shore, gdzie kręcone były hollywoodzkie produkcje, tj. *50 pierwszych randek* czy *Blue Crash*. To miejsce, gdzie pierwszy raz w życiu pływałam z żółwiami i pierwszy raz w życiu odważyłam się wskoczyć na deskę surfingową – tym samym spełniłam kolejne marzenia. Nie zabrakło też tego, co lubię najbardziej – czyli przygód w dżunglach i wodospadów. Będąc na Oahu, nie można też przegapić Polynesian Cultural Center, miejsca, gdzie można poczuć się jak na wyspach Polinezji Francuskiej (cena za najtańszy pakiet 84,95 USD).

Po całym dniu pełnym wrażeń wieczorami grillowaliśmy na dachu wieżowca z widokiem na całe Honolulu.

3 października – 16 grudnia 2016, Australia – „Autostopem przez krainę kangurów”

Samolot: Honolulu – Brisbane 1000 zł.

Koszty życia: 0 zł na noclegi (wolontariat, couchsurfing, namiot i tiry na pustyni).

Transport: Brisbane lotnisko do centrum pociągami 25 AUD, Brisbane – Byron Bay autokarem 50 AUD, 2600 km – autostopem za darmo.

Wiza – turystyczna wiza na 1 rok (po 3-miesięczne okresy) za darmo. Wniosek należy wypełnić on-line, najpóźniej 2 tygodnie przed planowanym przylotem do Australii.

Zanim przyleciałam do Australii, zorganizowałam sobie dwumiesięczny wolontariat w okolicach Byron Bay, czyli w znanym w Australii raj dla surferów. Jednak wcześniej z racji tego, że lądowałam w Brisbane – 200 km od miejsca, gdzie miałam zatrzymać się na dłużej, postanowiłam zostać na kilka dni.

Pierwsze wrażenia? Zawiodłam się. Brisbane od początku przestało mi się podobać, kiedy okazało się, że aby wydostać się z lotniska, muszę zapłacić ok. 25 AUD. Później dojechałam do mojego hosta, który mieszkał na drugim końcu miasta i to bardzo daleko od centrum (2–4 AUD za przejazd, zależnie od długości trasy). Samo miasto też nie zrobiło na mnie wrażenia, wydawało się takie bezpłciowe, bez wyrazu. Zwykle, duże miasto, w którym po dwóch dniach zaczęłam się nudzić.

Po 5 dniach wskoczyłam w autobus Greyhound i pojechałam do Byron Bay. Za przejechanie 200 km zapłaciłam (50 AUD). Z tego też powodu później jeździłam autostopem. Z przystanku odebrał mnie mój host, u którego miałam pracować za jedzenie i zakwaterowanie. Od rana do południa pomagałam prowadzić ich sklepik z akcesoriami do łowienia ryb i nurkowania, a po południu i wieczorami miałam czas dla siebie. Mieszkałam tuż przy samym Morzu Koralowym, gdzie czasami udawało się zobaczyć delfiny, a w oddali pływały wieloryby. O poranku kangury podchodziły prawie pod sam dom, a kukubary i papugi siadały na parapecie i czekały na jedzenie. Nieopodal było też pole golfowe, gdzie na drzewach mieszkwały misie koala. Dla Europejczyka przyzwyczajonego do wróbli i gołębi to był jakiś zupełnie inny świat.

Podczas mojego wolontariatu również jeden z moich znajomych – Konrad, będąc w tym samym czasie na wolontariacie w Tajwanie, po długich rozmowach postanowił do mnie dołączyć i kontynuować 2-miesięczny odcinek mojej podróży w duecie. Umówiliśmy się w Sydney, końcem listopada, kiedy to obydwójce zakończymy naszą pracę i ruszymy w dalszą, wspólną podróż.

Po dwóch miesiącach pożegnałam moją australijską rodzinę i kangury, tym samym zaczynając autostopową przygodę przez Australię. Pierwszy, 750-kilometrowy odcinek pokonałam błyskawicznie, łapiąc tylko jeden samochód prosto do celu. Tam też poznałam mojego kolejnego hosta z couchsurfingu – Łukasza, który pojawi się jeszcze w mojej historii. Do Sydney dwa dni później przyleciał też Konrad zgodnie z umową. Zwiedzaliśmy razem miasto, wszystkie najważniejsze punkty i dzielnice. Jednym słowem, to co w Sydney trzeba zobaczyć. Odpoczywaliśmy w Botanical Garden, gdzie karmiłam papugi kakadu, a wieczorami uwielbiałam oglądać oświetlone miasto i spacerować po Darling Harbour. Jednego dnia pojechałam też na Bondai Beach, a innego wyjechałam na najwyższy punkt widokowy w mieście, skąd widok był niesamowity (30 AUD). Fajną atrakcją jest prom wypływający z Circular Quay, którym można dopłynąć do Manly i spędzić czas na pięknej Shelly Beach.

Po tygodniu spędzonym w Sydney wyruszyliśmy w dalszą drogę. W planie mieliśmy 5000 km autostopem do Melbourne, Adelaide i kończąc w Darwin, tym samym przejeżdżając przez Outback, czyli australijską pustynię.

Autostop od początku szedł nam doskonale. Generalnie rzecz biorąc, uważam, że autostop w Australii funkcjonuje lepiej niż komunikacja publiczna (i jest darmowy).

W samym Melbourne było bardzo przyjemnie – tylko te straszne muchy eh! Jest to miasto zupełnie inne od poprzednich, bardziej angielskie, spokojniejsze. Tam spędziliśmy kolejne 4 dni, spacerując po mieście i robiąc mnóstwo pięknych zdjęć.

Kolejno z Melbourne do Adelaide mieliśmy do przejechania następny etap 800 km. Poszło nam równie gładko i na wieczór dojechalśmy do Adelaide. Tam spędziliśmy tylko jedną noc, po czym zdecydowaliśmy, że ruszamy w stronę pustyni. Zostało nam tylko 6 dni na pokonanie 3000 km przez pustynię. W Adelaide zrobiliśmy zakupy, tak żeby wody i jedzenia wystarczyło nam na kolejne 3 dni. Wtedy też zakładaliśmy, że uda nam się przejechać pierwsze 1500 km do Alice Springs, czyli pierwszego i jedyne miasta na trasie do Darwin.

Był grudzień, czyli najbardziej gorący okres w całym roku. Temperatura sięgała 45 stopni w cieniu, ale cienia nie było. Nasz plan niejednokrotnie nazwany był szalonym, głupim, nieodpowiedzialnym, awykonanym, jednak ja czułam, że to musi się udać. Na outbacku można spotkać czasami samochód, ale średnio jeden na 3–4 godziny i głównie są to lokalni aborygeni, którzy mieszkają w okolicznych wioskach. Jedyнным ratunkiem dla nas miały być tiry jadące z towarem z południa na północ albo ewentualni turyści, którzy wybrali się na wycieczkę np. do Uluru samochodem na własną rękę.

Wiercie bądź nie, ale pokonaliśmy te 3000 kilometrów w 3 dni. Jak to się udało? Nie wiem! Jednak po drodze bywało różnie. Czekaliśmy godzinami, aż złapiemy samochód chociażby dla chwili ochłody w klimatyzacji. Asfalt był tak nagrzwany, że nie dało się po nim chodzić nawet w japonkach. Wszędzie dookoła tylko czerwony piach i... nic więcej!!! Zupełnie nic.

Pierwszą noc spędziliśmy w tirze, który zabrał nas z litości. Dlaczego z litości? Bo kto normalny siedzi na drodze pośrodku niczego po zachodzie słońca? No właśnie! Kierowca tira, kiedy nas zobaczył, wcale nie miał ochoty nas zabrać, ale sumienie nie pozwoliło mu nas zostawić. W taki też sposób pierwszą noc spędziliśmy w tirze i od razu przejechaliśmy 1000 km aż do Alice Springs, gdzie planowaliśmy być 2 dni później.

Tam w miasteczku zastanawialiśmy się nad opcją wycieczki do Uluru – świętej skały Aborygenów, ale niestety byliśmy tak zmęczeni, że prowadzenie samochodu nie wchodziło w grę, autostop do parku narodowego to ryzykowna sprawa, kiedy gonił nas czas, a na wycieczkę zorganizowaną nie było nas stać, więc odpuściliśmy i w południe ruszyliśmy w dalszą drogę w stronę Darwin.

Tym razem już tak łatwo nie było. Czekaliśmy w palącym słońcu i nic. W końcu po wielu godzinach, kiedy się udało przejechać jakiś odcinek, niewielki, ale zawsze coś, to nadeszła noc i musieliśmy rozbijać namiot w kaktusach. Owe kaktusy miały powbijane wszędzie, temperatura w namiocie przekraczała 30 stopni, spalona słońcem ziemia oddawała jeszcze więcej temperatury do środka i w rezultacie nie było czym oddychać, ale nie mogliśmy w obawie przed węzami czy pajakami otworzyć namiotu, aby choć na chwilę odetchnąć. Wstaliśmy z pierwszymi promieniami słońca. Jednak już o 5 rano było gorąco jak piekło, ale łapaliśmy okazje nie tracąc ani jednej sekundy. Auto przejeżdżało raz na 2–3 godziny, zazwyczaj był to jakiś Aborygen, więc żadnych szans na podwózkę. Jednak późnym popołudniem, kiedy traciliśmy już nadzieję, udało się. Zatrzymał się tir pełen siana, wiozący towar prosto do Darwin. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale przejechaliśmy tym właśnie tirem ostatnie 1500 km i tej nocy spaliliśmy na parkingu w namiocie obok tira, więc znacznie bezpieczniej niż poprzednio. Dojechalśmy do Darwin wykończeni, brudni, upoceni, ale szczęśliwi jak małe dzieci. Udało nam się, zrobiliśmy to. Ponadto zdążyliśmy na samolot na Bali.

16 grudnia 2016 – 12 stycznia 2017, Indonezja – „Bali i Jawa”

Koszt życia na Bali (10 dni): hotele 20 zł/os. w 2-osobowym pokoju. Transport: 20–25 zł wypożyczenie skutera/dzień + paliwo 3 zł/litr, jedzenie 4–15 zł za obiad.

Koszty życia na Jawie (2 tygodnie): nocowanie i jedzenie za darmo (wolontariat workaway).

Wiza: 30 dni za darmo.

Na Bali leciałam z wielkimi oczekiwaniami, bo to przecież istny raj ale czy na pewno? Wylądowaliśmy późnym wieczorem na lotnisku w Denpasar, a dokładnie w mieście Kuta. Łało jak z cebra, więc postanowiliśmy wziąć taksówkę. Oczywiście już na wstępie chcieli nas oskubać na kwotę 4 razy większą niż być powinna, jednak ja się wcześniej przygotowałam i mailowo zapytałam w hotelu, ile powinna taka przyjemność kosztować i w końcu zgodzili się na moją cenę.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, dostaliśmy nasz pokój, wzięliśmy zimny prysznic, bo rzadko kiedy w tanich hotelach w Azji ciepła woda występuje, i poszliśmy spać z myślą, że rano czeka nas fantastyczny dzień na Bali. Nic bardziej mylnego. Kuta już po pierwszym wrażeniu stała się dla mnie okropną miejsciną, pełną bezdomnych ludzi, kalekich psów, śmieci wszędzie dookoła, smrodu i bardzo niegrzecznych nagabywaczy. Plaża w Kucie to istne śmietnisko, jakiego nigdy w życiu wcześniej nie widziałam. To takie imprezowe miasteczko, pełne nocnych klubów i barów dla Australijczyków i Niemców, którzy wpadają tu na weekend, żeby tanio i dobrze się zabawić. Stąd polecam uciekać czym prędzej.

Jednak nieopodał, bo 40 km na północ od Kutty i Denpasar znajduje się bardzo urokliwe miasteczko zwane Ubud. Bardzo turystyczne, ale z pewnością warte pobytu. Mnóstwo tu nastrojowych knajpek, zapachów i niezwyklej, nieco mistycznej atmosfery. Ponadto Ubud to fantastyczna baza wypadowa do okolicznych atrakcji. Miasteczko położone wśród pól ryżowych i w stromych wąwozach. Rozstawione przez film *Jedź, módl się, kochaj* przyciąga podróżników z całego świata.

Pierwszego dnia spacerowaliśmy po uliczkach Ubud, po targu, gdzie można kupić wszystko, zaszliśmy do Monkey Temple (wstęp 16 zł), na ulicach wieczorem można było usłyszeć koncerty balijskiej muzyki na żywo i zobaczyć teatry. Drugiego dnia natomiast wybraliśmy się na szlak Kajeng Rice Fields Walk, z dala od zgiełku ulicy można spacerować wiele kilometrów przez bajecznie piękną trasę, gdzie wszystko jest zielone. Tu pierwszy raz zobaczyliśmy m.in. ludzi sadzących ryż.

Trzeciego dnia zostawiliśmy nasze duże bagaże w hotelu, biorąc tylko najpotrzebniejsze i wynajęliśmy skuter, mając w planie zrobić całkiem sporą pętlę w ciągu 5 dni. Tak też było. Zajeżdżaliśmy do świątyń, które choć sławne na Bali, to są bardzo zaniedbane, wydają się być opuszczone i nigdy nierestaurowane. Przejeżdżaliśmy przez maleńkie wioski, zachodziliśmy do chat. Dwukrotnie byliśmy zapraszani na noc do domów Balijszyków, bo nie mieliśmy gdzie się schować podczas burz i ulew po drodze, będąc w jakiś odległych wioskach. Natomiast raz spaliśmy w namiocie pod komisarzatem policji za ich zgodą, a wieczorem piliśmy z posterunkowymi na służbie balijski bimbler z ryżu. Nie znali angielskiego, ale mowa ciała i translator wystarczył, żeby dogadać się w podstawowych kwestiach. Przejechaliśmy trasę z Ubud na północ, zahaczając o wodospady Sekumpul i Git Git (wstęp 4 zł), zatrzymaliśmy się również w Lovinie, miasteczku słynącym z plaży o czarnym, powulkanicznym piachu. Kolejno jechaliśmy wybrzeżem na zachód do Kubu, gdzie widoki były nie z tego świata. To było to Bali, jakie chciałam zobaczyć. Później zajechaliśmy do miasteczka Amalpura, gdzie znajduje się Pałac Puri Agung Kęganin, odwiedziliśmy po drodze kilka plaż, chociaż, szczerze mówiąc, żadna nie przypadła mi do gustu. Zwiedzając Bali

w ten sposób, mieliśmy okazję zobaczyć to, co w Bali najpiękniejsze. Skały, lasy, góry, wulkany, wybrzeże, pola ryżowe, chatki ze strzechami, wąskie i kręte drogi, do tego wszystkiego nie spotkalśmy prawie żadnego białego człowieka.

Po 5 dniach wróciliśmy do Ubud na kolejne dwa dni, żeby spędzić tutaj Wigilię Bożego Narodzenia, zabrać swoje plecaki i wtedy na zawsze pożegnaliśmy się z Bali, łapiąc stopa w kierunku wyspy Jawa.

Jadąc na Jawę, mieliśmy plan. Zatrzymaliśmy się na 4 dni w miasteczku Banyuwangi po to, aby zorganizować na własną rękę wyjście na wulkan Ijen. Do miejsca, które dziś uznaję za jedno z najbardziej niezwykłych w moim życiu i przerażająco pięknych (bilet wstępu 30 zł). Wypożyczyliśmy skuter (35 zł/dzień) i o godzinie 15 wyruszyliśmy w drogę, tak aby zdążyć pod wulkan, zanim robi się ciemno. Zasadniczo jest tak, że na wulkan wchodzi się nocą (bramę otwierają ok. 1 w nocy) po to, aby w dole krateru można było podziwiać niebieskie ognie (czyli płomienie, będące wynikiem palącej się siarki). Trekking trwa ok. 3 godzin, więc jest całkiem przyjemny, a to, że idzie się po ciemku z latarką, dodaje jeszcze więcej elementów przygodowych. Około 5.00 rano wraz z promieniami słońca wyłania się przepiękne turkusowe jezioro, które jest największym kwaśnym jeziorem na świecie i potężne skały otulone kłębam ciężkiego i gęstego dymu. Ijen to miejsce, które trzeba odwiedzić. Jest niesamowite. Drugim wulkanem niedaleko Ijen jest największy wulkan na Jawie o nazwie Bromo – również niesamowity. Około 12.00 w południe wróciliśmy do hotelu wymęczeni po całej nocy, ale zachwyceni tym, co zobaczyliśmy.

Na drugi dzień rano złapał autobus do Jogjakarty. Jechał 26 godzin w ścisłu i smrodzie, ale grunt, że dojechał. Z dworca odebrał nas chłopak, z którym załatwiłam wolontariat przez workaway i zabrał nas ok. 200 km dalej do mużułmańskiej wioski, gdzie uczyliśmy dzieciaki angielskiego. Fajna sprawa, kiedy cała szkoła dzieci cieszy się, bo biali z Europy przyjechali.

Mieszkaliśmy z lokalną rodziną, rodzicami i dwójką ich dzieci, ale tylko ich tato mówił po angielsku. Był policjantem w lokalnej policji i dzięki temu przeżyliśmy też jedną z najdziwniejszych historii, jaką pamiętam. Zabrał nas w nocy na wiejski festyn, gdzie odbywały się pokazy szamańskich tańców. Jechaliśmy długo przez las, aż nagle wyłoniła się mała wioseczka, gdzie była tłumna publika zgromadzona przy placu, na którym występowali tancerze. Pięknie ubrani w szaty i bogato zdobione stroje, ale kilku z owych tancerzy w pewnym momencie traciło nad sobą kontrolę. Zaczynali zachowywać się jak dzikie zwierzęta. Jeden z nich zaczął szarpać na kawałki żywą kurę, drugi rozbijał sobie kokosa na głowie, po czym zemdłał, inny rzucał się na publikę niczym tygrys, innego uspokajali czerwoną wstążką na patyku, jeszcze innego uspokajało tylko kadzidło. Oczywiście nie chciały wierzyć w to, co widzą, a nasz znajomy na pytanie, co tu jest grane, nie umiał nam tego wyjaśnić. Mówił, że to nie ma nic wspólnego z narkotykami, ale że to coś w rodzaju transu, hipnozy... ehhh kto ich tam wie. To było tak dziwne, że nie potrafię tego dokładnie nawet opisać.

Uczenie angielskiego w szkołach też było frajdą. Stałam się oprócz tego gwiazdą jawańskiego instagrama, bo każdy z osobna musiał mieć ze mną zdjęcie. Jednak po dwóch tygodniach, ponieważ nasza miesięczna wiza dobiegała końca, ruszyliśmy w stronę Dżakarty, gdzie czekał nas samolot do Singapuru.

12–16 stycznia 2017, Singapur – „Kraj stworzony od linii”

Samolot: Dżakarta – Singapur 300 zł.

Koszty życia: noclegi za darmo (couchsurfing), jedzenie (12–25 zł za obiad), komunikacja publiczna (w zależności od liczby stacji 5–8 zł).

Przylecieliśmy do Singapuru, czując się jakby w innym, lepszym świecie. Po miesiącu spędzonym w Indonezji raczej nic w tym dziwnego, kiedy na pierwszy rzut oka widzi się ten ogrom, przepych, wieżowce, bogactwo, czyste ulice. Fakt, to kraj centrów handlowych i korporacji, ale nie sposób się tu nudzić. Za dnia z betonowego centrum miasta możemy przejść do przepięknych parków i skwerków wtopionych między wieżowce, pełnych bujnej, egzotycznej roślinności. Innego można wskoczyć w metro i w ciągu parunastu minut znaleźć się w centrum rozrywki i na egzotycznej plaży na wyspie Sentosa (wejście na wyspę 0 zł, kasyno po okazaniu paszportu dla obcokrajowców – 0 zł, reszta atrakcji płatne, to m.in. Uniwersal Studio czy Muzeum Figur, mimo to na Sentosie można spędzić cały dzień i bawić się doskonale, nie wydając fortuny). Kolejne miejsca, które sprawiają, że Singapur można pokochać, to rzecz jasna Garden By The Bay, gdzie trzeba być i za dnia, i wieczorem. W dzień można podziwiać sztukę architektów i ogrodników, którzy stworzyli ten ogród perfekcyjnie, z dokładnością do każdego milimetra. Natomiast wieczorem o 20.00 zaczynają się pokazy światła i muzyki, w rytm której wirują światła na gigantycznych drzewach. Później z kolei wystarczy przejść około 20 minut do Marina By The Sand na inne pokazy, tym razem wody, światła i muzyki. Piękne, romantyczne i robiące niesamowite wrażenie. Obydwa wydarzenia są każdego wieczora, więc nie sposób je przegapić. Nam udało się zobaczyć wszystko, co chcieliśmy w ciągu 3 dni i zachwycałam się Singapurem na tyle, że powróciłam do niego później z największą przyjemnością.

16 stycznia – 1 lutego 2017, Malezja

Transport: autostop 0 zł.

Koszty życia: noclegi (couchsurfing 0 zł), 3 noclegi w George Town (hostel 18 zł/noc), jedzenie (obiad 5–15 zł).

Granice pomiędzy Singapurem a Malezją pokonaliśmy lądem. Z centrum Singapuru co chwilę odjeżdżają autobusy (za ok. 6 zł) do Johor Bahru, przygranicznego miasta po malezyjskiej stronie. Jeśli pokonuje się tę granicę w piątek lub niedzielę wieczorem, to polecam uzbroić się w anielską cierpliwość, bo czas oczekiwania w kolejkach daje mocno popalić. Kiedy stanęliśmy na malezyjskiej ziemi, była już ciemna noc, tanie hotele pozajmowane i w taki sposób pozostała nam tylko noc na dworcu. No cóż, kolejna przygoda. Była już noc na lotniskach, w chatce ze strzechą, na betonie pod posterunkiem policji, w luksusowych apartamentach, na pustyni w namiocie i w tirze, tak więc teraz przyszedł czas na dworzec. Rano wstaliśmy połamani z zamiarem łapania stopa do miasta Malaka. I nie było to wcale takie proste, jakby się wydawało. Malezyjczycy są bardzo mili i pomocni, ale nie znają zupełnie motywu autostopowania, więc było ciężko, ale udało się. Dojechalśmy do Malaki, gdzie pierwszą noc spędziliśmy w domu hosta z couchsurfingu. W samej Malace niewiele widzieliśmy, bo na drugi dzień pojechalśmy z nim i z jego znajomymi na 3 dni na camping do lasu, gdzieś pod Kuala Lumpur. Namioty, ognisko, trekkingi do wodospadów, wspólne gra-

nie na gitarze, kąpiele w lodowatym strumieniu – fajnie było. Po tym minisurvivalu wyrzucili nas na autostradę, gdzie ruszyliśmy autostopem w stronę George Town, czyli miasta na wyspie Penang.

George Town to klimatyczne miasteczko, a jego główną atrakcją jest jedzenie i niezwykle murale wśród wąskich uliczek, małych kawiarenek i hinduskiej dzielnicy, gdzie można zjeść najlepsze indyjskie jedzenie. Spędziliśmy tam 3 dni, spacerując i gubiąc się w zaułkach, szukając kolejnych, nieodkrytych rysunków na murach i innych artystycznych akcentów. To moje ulubione miejsce w Malezji.

Następnie wyruszyliśmy stopem do Kuala Lumpur. Wizyta w stolicy miała być wisienką na torcie podczas pobytu w Malezji. Autostop tym razem poszedł nam zdecydowanie łatwiej. Z noclegiem z couchsurfingu też poszło gładko. Przyjechaliśmy do Kuala około 1.00 w nocy, po czym okazało się, że następne noce spędzimy w luksusowym apartamencie z widokiem na Petronas Towers. Nocowaliśmy w Regalii, czyli hotelu znanym z przepięknego basenu na dachu wieżowca z widokiem na całą panoramę miasta. Także znów paradoks i ironia losu, kiedy to z dżungli lądujemy w miejscu, o jakim nawet nam się nie śniło. Oprócz spacerów po KL, jednego dnia pojechaliśmy miejskim pociągami to tzw. Batu Cave (wstęp za darmo), gdzie spędziliśmy przyjemnie czas, wspinając się po setkach schodów i karmiąc małpy. Oczywiście główną atrakcją i znakiem rozpoznawczym KL są jej dwie wieże, w tym momencie najwyższe bliźniacze wieże na świecie, gdzie wieczorami oglądaliśmy pokazy fontann.

1–10 lutego 2017, Kambodża – „Kraj jednego dolara”

Samolot: Kuala Lumpur – Siem Reap – 35 USD + wiza wyrabiana na lotnisku 25 USD.

Koszt życia: pokój ze śniadaniem 3 USD/os./dzień, obiad 1,50–3 USD.

Wiza: 30 USD, można wyrobić na lotnisku lub on-line.

Do Kambodży przylecieliśmy wcześniej rano, po ostatniej nocy spędzonej na lotnisku (lot było o 5.00 rano, więc takie wyjście było najlepsze). Kwestie wizowe na lotnisku poszły szybko, sprawnie i bezproblemowo. Wypełniliśmy wniosek, zapłaciliśmy i po paru minutach mieliśmy wizę. Można też ubiegać się o wizę on-line, ale wcześniej należy sprawdzić, czy na danym przejściu granicznym taką wizę będą uznawać, bo nie wszędzie to funkcjonuje.

Wyszliśmy z lotniska, skąd zabrał nas tuk-tuk z hotelu i wtenczas zderzyliśmy się z rzeczywistością. Na początku ciężko było uwierzyć w to, co widzą nasze oczy. Dookoła biednie. Bardzo biednie. Droga ledwo jakaś tam jest, wszędzie pył, gwar, ukrop. Każdy trąbi, pędzi, na skuterach jedzie po 5 osób na jednym – pierwsza myśl: czy tak wygląda Trzeci Świat?! Dotarliśmy do hotelu i tego dnia wykończeni położyliśmy się, aby odespać kilka ostatnich nocy i mieć siłę na dzień kolejny, by zobaczyć to, po co przylecieliśmy – Angkor Wat.

Wieczorem, po kilku godzinach odpoczynku, postanowiliśmy odwiedzić jeszcze słynną imprezową i handlową część miasta „pub street”. To tutaj ma miejsce całe życie nocne Siem Reap. Jest tam cała masa klubów, knajpek, pubów. Wszędzie głośna muzyka, street food i owocowe koktajle za dolara – najlepsze na świecie. To tu wieczorami gromadzą się wszyscy przybysze z innych krajów i oddają szalonym kambodżańskim nocom.

Na drugi dzień rezygnowaliśmy jeszcze ze spędzenia całego dnia na Angkor Wat z powodu „zmęczenia materiału”, jednak nie mogliśmy się powstrzymać, żeby zobaczyć ten cud świata od razu. Wypożyczyliśmy rowery (3 USD/dzień) i pojechaliśmy wieczorem w stronę świątyń, ponieważ po godzinie 17.00 można wejść na ich teren bez biletu, mogąc podziwiać widoczny na wszystkich pocztówkach bajeczny zachód słońca. Dzień wcześniej, po 17.00 można też zakupić bilety, żeby nie tracić czasu na stanie w kolejkach następnego dnia (37 USD/dzień).

O poranku wskoczyliśmy na rowery i popędziliśmy szczęśliwi, że w końcu naszym oczom i w pełnej okazałości ukaże się on – Wielki Angkor Wat. Największy na świecie kompleks świątyń, który, wedle pewnych teorii, został stworzony przez kosmitów, bo to przecież niemożliwe wydłubać w skałach takie cudo. Szczercze mówiąc, jestem skłonna w to uwierzyć, przyglądając się tym wszystkim detalom i perfekcyjnym rzeźbom. Spędziliśmy cały dzień, robiąc tzw. małe koło, odwiedzając tym samym kilkanaście różnych świątyń po drodze.

W Siem Reap zostaliśmy jeszcze 3 kolejne dni, bo pierwszy raz zdarzyło się, że prawdopodobnie czymś się zatrulałam i chorowałam, mając omamy, zwidy i gorączkę, ale po 3 dniach przeszło, więc na szczęście obyło się bez lądowania w kambodżańskim szpitalu, czego bardzo bym nie chciała.

Po tym czasie postanowiliśmy wypróbować, jak działa autostop w Kambodży. Oprócz tego, że 80% kierowców chce pieniędzy za podwózkę, to stwierdzam, że całkiem nieźle. Dojechalismy do Battambang, miasteczka oddalonego od Siem Reap ok. 180 km. Zatrzymaliśmy się w hotelu (2 USD/os./noc) w samym centrum miasta. Battambang bardzo różni się od Siem Reap, jest znacznie przyjemniejsze i czystsze. Ponadto na drugi dzień wraz ze znajomym Niemcem, którego poznaliśmy w Siem Reap, wynajęliśmy tuk-tuka (15 USD/dzień), który poobwoził nas po okolicznych wioskach, gdzie mogliśmy zobaczyć prawdziwą Kambodżę. Ponadto wypróbowaliśmy znany w tej okolicy „ bambusowy pociąg” (5 USD), który był nie lada frajdą. Kambodża jest fantastyczna. Nic więc dziwnego, że wróciłam do niej 4 miesiące później, bez zawahania.

10–12 lutego 2017, Tajlandia – „Czas wracać na stare śmieci”

Koszt życia: noclegi za darmo w domu znajomych, jedzenie 5–15 zł za obiad.

Pociąg spod granicy Kambodży w Poi Pet do Bangkoku (5 zł).

W Tajlandii byłam 3 lata wcześniej i w okolicach Bangkoku widziałam właściwie wszystko. Teraz w związku z tym, że spędzałam głównie czas ze znajomymi i nie zwiedzałam zbyt wiele, przejdę do następnego kraju. Tutaj też nastąpiła kolejna zmiana i Konrad wrócił do Polski, a ja ponownie zostałam sama, czekając na samolot do Sułtanatu Brunei na wyspie Borneo.

12–16 lutego 2017, Sułtanat Brunei – „Kraj, który ma wszystko naj?”

Samolot: Bangkok – Kuala Lumpur – Brunei 350 zł.

Koszt życia: noclegi (0 zł couchsurfing), jedzenie (0 zł host miał własną restaurację i nie pozwolił mi płacić, jednakże ceny jak w Singapurze), transport (0 zł, host woził mnie autem).

Przez 25 lat życia nie miałam pojęcia, że istnieje takie miejsce jak Brunei. Znalazłam ten kraj przypadkiem, podczas rozpoznania na mapie dotyczącego Borneo, na które zamierzałam się wybrać. Zobaczyłam wtenczas plamę na mapie Borneo, która okazała się być odrębnym krajem z własnym, najbogatszym na świecie władcą, z najdroższym na świecie domem, z największą na świecie kolekcją luksusowych samochodów, z meczetami ociekającymi prawdziwym złotem i z tylko 40 tysiącami muzułmańskich obywateli, którzy nie płacą podatków. Z drugiej strony to kraj najmniejszy, najnudniejszy i posiadający najbardziej restrykcyjne i niehumanitarne prawo, w jakim byłam.

Z lotniska odebrał mnie umówiony wcześniej host z couchsurfingu, jednak jeździł bus do samego centrum za brunejskiego dolara (ok. 2,90 zł). Zabrał mnie on do domu, w którym mieszkało 20 innych osób z jego rodziny. Przedstawił mi kilku z nich, a oni mimo, że sympatyczni, nie kryli zaskoczenia na mój widok.

Kiedy wybraliśmy się na zwiedzanie miasta, oprowadzał mnie idąc 10 metrów przede mną lub siedząc w samochodzie, ponoć dlatego, że nie zgłosił mojego przyjazdu do agencji turystycznej i nie może mnie oficjalnie oprowadzać, bo inaczej dostałby wysoką karę.

Zwiedzanie zaczyna się rzecz jasna od meczetu Sułtana Omara Ali Saifuddina, to serce Brunei. Nieopodal znajduje się centrum handlowe, gdzie właśnie większość Brunejczyków spędza czas za dnia. Później przejechaliśmy do pływającej wioski na rzece Brunei, która jest ponoć największą taką wioską na świecie. Można wynająć łódkę na rejs (cena do negocjacji, moja 30 zł/godzinę). Na koniec dnia poszłam jeszcze do Royal Regalia Building. Jest to muzeum położone niedaleko meczetu, które poświęcone jest sułtanowi i jego rodzinie (wstęp za darmo). Wieczorami w okolicy promenady pojawia się nocny market, ale tak samo, jak za dnia na ulicach, tak i w nocy na targu jest prawie pusto. Ludzi nie ma nigdzie. Obok targu jest coś w rodzaju sceny, na której można obejrzeć narodowe tańce i przyśpiewki (za darmo).

Brunei to najnudniejszy kraj, w jakim w życiu byłam. Mieszkańcy są mili, ale nudni. Mimo niewielkiej liczby mieszkańców ludzie się nie znają, bo mają 50-osobowe rodziny, więc nie mają potrzeby znać sąsiadów. Niby to bardzo bogaty kraj, ale oprócz złotych meczetów i kilku pałaców księżniczek, to nie sprawia w ogóle wrażenia zamożnego. Pałac sułtana można zobaczyć tylko raz w roku w lipcu, kiedy są jego urodziny.

16 lutego – 30 marca 2017, Malezja (Borneo) – „Wolontariat w krainie orangutanów”

Transport: autostop (0 zł).

Koszt życia: nocowanie (0 zł, couchsurfing, workaway), obiad (5–15 zł).

Mimo obaw o obowiązujące prawo, postanowiłam wyjechać z Brunei w stronę Malezji autostopem. Poszło bardzo łatwo, bo nie czekałam nawet minuty, od kiedy wyskoczyłam z auta hosta na autostradzie. Kierowca podrzucił mnie pod samą granicę. Byłam jedyną osobą, która przekracza granicę pieszo, więc pan celnik zatroskany o mój los zapytał, dlaczego idę na nogach i jestem sama – po czym kiedy powiedziałam mu, że jeżdżę po Borneo autostopem, postanowił mi pomóc i osobiście pytał kierowców, czy podrzucą mnie do Miri – miasteczka przygranicznego, gdzie by-

łam umówiona z kolejnym hostem. Drugi kierowca zgodził się mnie zabrać i podzucił mnie pod same drzwi.

W Miri spędziłam kilka dni na plaży i na trekkingu do wodospadów. Po tym czasie ruszyłam w dalszą drogę do miasta Kuching – gdzie byłam umówiona na wolontariat, pracując dla organizacji ratującej orangutany. Do pokonania miałam w sumie kolejne 1000 km autostopem przez Borneo. Dojechałam do Kuching w dwa dni z noclegiem na dworcu w Sibiu, w połowie drogi. Do Kuching dotarłam kolejnego dnia w nocy.

Przez pierwszy miesiąc pracowałam w barze Monkey Bar, z którego 50% dochodu szło na ratowanie małpek w dwóch sanktuariach, którymi się opiekuje ta organizacja. Odwiedziłam również kilka miejsc w okolicy m.in.: Semenggoh Nature Reserve, w których mieszkają orangutany, park orchidei czy Kubah National Park. Jednakże najważniejszym czasem dla mnie były 4 dni, kiedy to postanowiłam wybrać się sama do lasu deszczowego i nocować w namiocie. Moment, kiedy kupowałam bilet wstępu, uprzejmie informując, że zostaję na 4 dni z zamiarem spania w moim mobilnym apartamencie, był bezcenny. Czterokrotnie zostałam zapytana, czy jestem pewna i wiem co robię. Ja jednak byłam niezłomna. Mowa tu o Parku Narodowym Bako, gdzie budziłam się wśród tropikalnych drzew z widokiem na małpy, zwane nosaczami i świnie z brodą. Spacerowałam po dżungli, sama wytycząc sobie często szlaki. Wieszłam się po lianach, żeby przeskoczyć przez ogromne kałuże czy dochodząc do klifów na końcu lasu, kładłam się na kamieniu i uciniałam drzemkę w miejscu, gdzie nie było absolutnie nikogo oprócz mnie. Idealna cisza, nietknięta niczym dzika natura i ja. Nie zapomnę tych dni do końca życia.

Po czasie spędzonym na Borneo ponownie nastąpiła zmiana i na kolejne 3 miesiące dołączył do mnie Łukasz, o którym już wcześniej wspominałam – mój host z Sydney. Spotkaliśmy się ponownie w Kuala Lumpur (samolot Kuching – Kuala Lumpur 100 zł). Stamtąd pojechaliśmy do Singapuru, o którym pisałam wcześniej, więc przejdę od razu do następnego miejsca, którym był Wietnam.

Wietnam – „Skuterem przez zieloną krainę”

Samolot: Singapur – Wietnam (Saigon) 300 zł.

Wiza: Wyrabiana na lotnisku od ręki (20 USD/30 dni) pod warunkiem posiadania promesy wizowej (otrzymuje się ją po wypełnieniu wniosku on-line za ok. 8–15 USD u jednej z wielu agencji turystycznych).

Koszt życia: Hostele i hoteliki (max. 4–5 USD/noc), jedzenie (1–2 USD za obiad), transport (własny skuter – kupiony za 270 USD, później sprzedany za 150 USD).

Po załatwieniu wszystkich formalności na lotnisku, wsiedliśmy do autobusu jadącego prosto do centrum – numer 152 i 109 (bilet – 1 USD). Pierwsze 3 noce zatrzymaliśmy się w hostelu przy Bui Vien Street, czyli w typowo imprezowo-backpackerskim miejscu. Głównym naszym celem w tym mieście był zakup używanego skutera, po czym szybko chcieliśmy z Sajgonu uciekać i pędzić tymże skuterem na północ, aż do Hanoi.

Wieczór po przyjeździe spędziliśmy na przechadzaniu się po sklepikach i knajpkach przy Bui Vien. Mimo że nie był to mój pierwszy dzień w Azji, wiele rzeczy mnie tu wciąż szokowało i bawiło.

Kolejnego dnia postanowiliśmy zażyć nieco wiedzy i kultury, odwiedzając Muzeum Pozostałości Wojennych (1 USD) i Ho Chi Minh Square, gdzie stoi pomnik dumnego prezydenta. Nieopodal znajduje się też budynek poczty, zaprojektowany przez samego Eiffla. Z Saigonu również warto wybrać się do Doliny Mekongu, która wygląda też pięknie z samolotu.

Następnego dnia kupiliśmy skuter, zapakowaliśmy bagaże i ruszyliśmy w stronę wybrzeża, którym później jechaliśmy aż do samej północy. Zatrzymywaliśmy się zarówno w najbardziej popularnych miejscach, tj. Da Lat, Hoi An, Da Nang, Nha Trang, Hue, Nim Binh, Parku Narodowym Phong Nha-Kẻ Bàng i oczywiście w Ha Long Bay na wyspie Cat Ba, jak też w maleńkich wioskach i miasteczkach, których nazw nawet nie potrafię wymówić. Naszą podróż przez Wietnam skończyliśmy po 25 dniach w Hanoi, gdzie sprzedaliśmy skuter i wyjechaliśmy w stronę Laosu.

W sumie przejechaliśmy 2800 km. Nocowaliśmy w namiocie na plaży albo w taniach hotelikach. Na campingach (np. LU Camping czy Woodstock Beach Camp) lub na dziko. Próbowaliśmy przejeżdżać dziennie od 100 do 200 km, co przy wietnamskich drogach i tak jest sporym wyzwaniem. Na początku zatrzymaliśmy się w Da Lat, górskim miasteczku, w którym nie ma wielu atrakcji, jednak jest to baza wypadowa do wodospadów, np. Elephant Falls czy do Dantala Falls (wstęp 1 USD). Największą atrakcją Da Lat jest Crazy House (1,50 USD) i nocny market na głównym placu miasta.

Po 3 dniach w Da Lat ruszyliśmy dalej, cofając się w stronę wybrzeża. Stamtąd pojechaliśmy do Nha Trang i Hoi An, po drodze zatrzymując się w małych wioskach.

Hoi An to moje ulubione wietnamskie miasto. Słynące z lampionów, wyrobów ze skór, mostów i łódek na rzece. Bardzo turystyczne, ale warto odwiedzenia. Za Hoi An spotkały nas pierwsze problemy z lokalną policją, która zawsze stoi w tym samym miejscu, czyhając na turystów, prowadzących skutery. Za brak międzynarodowego prawa jazdy chcieli wlepić nam mandat (ok. 50 USD), jednak po negocjacjach dostali od nas łapówkę ok. 7 USD i puścili wolno.

Po kilku dniach dojechaliśmy do przepięknej zielonej krainy – do Parku Narodowego Phong Nha-Kẻ Bàng. Tam wszystko było tak zielone, że na sam widok można było się zrelaksować. W tymże parku znajdują się również jaskinie. Jest ich kilka, jednak najważniejszą i najpiękniejszą z nich jest Paradaise Cave (wstęp 12 USD). Spędziliśmy w tym miejscu 3 dni, jeżdżąc również po okolicy, która była dosłownie jak z bajki.

Następnym przystankiem było Nim Binh, czyli tzw. Ha Long Bay na lądzie wtopione w zielone pola ryżowe. Na początku wybraliśmy się na punkt widokowy Mua Caves (5 USD), natomiast przy ładnej pogodzie, której my niestety nie mieliśmy, warto wybrać się na rejs łódką (7 USD). Później jeździliśmy skuterem po okolicznych wioskach, gdzie widoki były nie do opisania.

Na sam koniec atrakcji wybraliśmy się na wyspę Cat Ba – czyli do Ha Long Bay. Na wyspę dostaliśmy się lokalnym promem (2 USD), które pływają co godzinę do 17.00. Zamieszkaliśmy na początku w hoteliku, a później w namiocie na campingu. Pod koniec dnia, zahaczając o zachód słońca, wybraliśmy się na punkt widokowy, skąd rozciąga się panorama na całą zatokę (bilet 1,5 USD). Kolejnego poranka zakupiliśmy

bilet na całonocny rejs po zatoce (bilet 12 USD). W tym były kajaki, pływanie, wyspa mała i pływające wioski. Ha Long Bay jest przepięknym miejscem. Poza tym zwiedzaliśmy wyspę, jeżdżąc wszędzie skuterem.

Ostatnim przystankiem było Hanoi. Zatrzymaliśmy się tutaj kilka dni, aby sprzedać skuter. Niestety, nie polubiłam tego miasta i cieszyłam się, kiedy z niego wyjeżdżałam.

Laos – „Czy tu się kończy świat?”

Transport: autokar: Hanoi – Laos (Wientian) – 20 USD.

Noclegi: hostele, hotele (max 5 USD/noc).

Wiza: wyrabiana na lotnisku lub na przejściach granicznych (30 dni – 35 USD), w ambasadzie laotańskiej w Hanoi (30 dni – 25 USD).

Po 25 godzinach jazdy przyjechaliśmy do stolicy Laosu. Wydawało się bardzo przyjemnie. Cicho, spokojnie – taka miła odmiana dla Hanoi. Zatrzymaliśmy się tutaj tylko na 2 dni. Pożyliśmy rowery (2 USD/dzień) i obejchaliśmy w ten sposób całe miasto. Po tym krótkim czasie relaksu, wyruszyliśmy autostopem, kierując się na północ.

Nie było łatwo podróżować stopem w Laosie, bo prawie nikt nie wiedział, o co chodzi. Jednak mimo wszystko po wielu godzinach stania przy drodze udawało się. Nasz pierwszy przystanek – Vang Vieng, czyli laotańska stolica imprez. Zatrzymaliśmy się w hostelu (4 USD/noc). Jednego dnia spacerowaliśmy po okolicy, natomiast innego wypożyczyliśmy skuter (7 USD) i pojechaliśmy zobaczyć wodospady i niebieskie laguny (2,50 USD).

Stamtąd po 3 dniach ruszyliśmy do Luang Prabang, dawnej stolicy Laosu. Spędziliśmy tam kilka dni, spacerując po mieście, zachodząc do świątyń, na punkt widokowy i targ nocny. Jednakże najważniejszym punktem były spektakularne wodospady Kuang Si (2 USD).

Żegnając Luang Prabang, postanowiliśmy jechać nadal na północ Laosu, aż do Nong Kiew, skąd wypłynęliśmy do Muang Noi, czyli wioski, do której nie prowadzi żadna droga. Jedyną możliwością jest popłynięcie łódką (2,5 USD w jedną stronę). Tam, odpoczywając w hamaku, na końcu świata spędziliśmy 3 dni.

W drodze powrotnej znów zatrzymaliśmy się w Nong Kiew, gdzie wspinaliśmy się na najwyższy w Laosie punkt (2 USD), odwiedzaliśmy lokalny, mały targ warzywny i odpoczywaliśmy kilka dni. Laos to miejsce sprzyjające tylko odpoczynkowi i lenistwu. Tam nie ma co robić.

Po wizycie w Nong Kiew, autobusem wróciliśmy do Wientiane (bilet 18 USD), skąd pojechaliśmy prosto na 4000 wysp, przy granicy z Kambodżą. Spędziliśmy tam kolejne kilka dni na nicnierobieniu, ale tam właśnie po to się jedzie. Po tym lenistwie ruszyliśmy w stronę kambodżańskiej granicy.

Kambodża – „Już kiedyś tu byłam”

Do Kambodży powróciłam z dwóch powodów: bo bardzo lubię ten kraj i dlatego, że planowaliśmy zrobić trasę w zupełnie innej części kraju niż poprzednio. Całą Kambodżę znów przejechaliśmy autostopem, tym razem szło nam znacznie lepiej niż poprzednio. Głównym naszym celem była rajska wyspa Koh Rong, a co po drodze – to się zobaczy. Tak więc odwiedziliśmy przy okazji Kampong Cham, Phnom Penh – sto-

licę, wreszcie docierając do Sihanoukville, skąd złapaliśmy prom na wyspę (10 USD w dwie strony). Na Koh Rong spędziliśmy dwa tygodnie, uzależniając się od tej wyspy na tyle, że nie mogliśmy stamtąd wyjechać. Mieliśmy chatkę za (2,5 USD/os/noc) na samej plaży. Ulubioną knajpkę z jedzeniem za dolara albo dwa. Planowałam zostać tam na zawsze, jednak, jako że wiza pomału dobiegała końca, ruszyliśmy w stronę Bangkoku końcem czerwca, skąd mieliśmy samolot na Ukrainę.

Tajlandia – „Wszystkie drogi prowadzą do Tajlandii”

Jako że już byłam bardzo zmęczona 13-miesięcznym podróżowaniem i zniechęcona do robienia czegokolwiek więcej, w Bangkoku znów zatrzymaliśmy się u moich znajomych, bez szczególnych chęci do zwiedzania. Żegnając się z nimi 1 lipca, pojechaliśmy na lotnisko, aby złapać samolot w stronę domu.

Ukraina – „Ostatnia prosta”

Samolot: Bangkok – Kazachstan – Ukraina (Kijów) – 1200 zł.

Pociąg: Kijów – Przemyśl (60 zł).

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl	4
W świecie globtroterów	5
Adam Stępiński	
Drogą Aragońską do... ..	13
Maciej Brożyna, Łukasz Godek, Maciej Śliż, Sławomir Drozd, Rafał Kołodziej, Katarzyna Szeremeta, Katarzyna Pado	
Kołobusem dookoła Islandii	16
Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź	
Ziemia Święta 2017	22
Wioletta Ilkiewicz, Wojciech Ilkiewicz	
Od Polski do Chin	31
Radomir Kolmas, Anna Kolmas	
Wietnamsko-tajska wyprawa	71
Beata Rujner, Tomasz Cukiernik	
Dubaj, Malezja i Singapur zimą	81
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Tajwan	91
Anita Pogorzelska	
Korowajowie – ludzie drzew i Dolina Baliem, czyli Papua Zachodnia	100
Anna Lega, Grzegorz Lega	
Maroko z północy na południe	106

Jacek Strejch	
Etiopia	115
Tomasz Szymkiewicz	
Benin i Togo	122
Katarzyna (Zuza) Anoszczenko, Rafał (Mundi) Robak	
California centralna – wiosenny roadtrip	130
Katarzyna (Zuza) Anoszczenko, Rafał (Mundi) Robak	
Utah (USA) – na granicy	157
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Kostaryka – Panama	186
Piotr Wiland, Grażyna Wiland	
Kolumbia we dwoje	202
Piotr Wiland	
Brazylia – stan Minas Gerais	213
Dorota Konopska	
W 13 miesięcy dookoła świata	221